



ZABIJCIE
WSZYSTKICH,

BÓG SWOICH ROZPOZNA.

TOM I

ŻĄDZA

Violetta Domagała

NOVAE RES

ZABIJCIE
WSZYSTKICH,
BÓG SWOICH ROZPOZNA.

TOM 1 ŻADZA



NOVAE RES

*Dla Grega, któremu oddałam całą miłość.
Bez niego ta powieść nie miałaby szans na powstanie.*

SPIS TREŚCI

OD AUTORA

ROK PAŃSKI 1199

ROK PAŃSKI 1200

ROK PAŃSKI 1204

ROK PAŃSKI 1205

PODZIEKOWANIA

PRZYPISY

OD AUTORA

Drogi Czytelniku,

Z najwyższą przyjemnością oddaję Ci w ręce I tom powieści z cyklu *Zabijcie wszystkich, Bóg swoich rozpozna*, żywiąc tym samym skromną nadzieję, że wędrówka w odległe czasy będzie dla Ciebie niezapomnianą przygodą i sprawi niezawodnie, iż z niecierpliwością będziesz oczekiwał następnych tomów, biorąc pod uwagę, iż im dalej w las, tym groźniej i niebezpieczniej.

Pragnęłabym w tym miejscu zaznaczyć, że nie podeszłam do tematu w sposób schematyczny, albowiem epoka, o której piszę, jest moją pasją od niemal dzieciństwa, a wysiłek, jaki włożyłam w tę pracę, był ogromny, pomimo że sprawiła mi ona niebotyczną przyjemność. Poprzez wielopłaszczyznową ocenę dokładałam wszelkich starań, aby umożliwić Ci, drogi Czytelniku, głębsze wniknięcie w opisywaną przeze mnie epokę, tudzież dzieje autentycznych bohaterów, którzy żadnym namiętnościom nie kładli wszak tamy. Ich apetyt na życie, dzika żądza, rozplomienione zmysły, wybuchający szkarłatem głos krwi, impulsywność, stająca się momentami gwałtownością, nie były – wbrew obiegowej, jakże krzywdzącej opinii na temat tysiącletniego okresu historycznego – blade i nudne. Powiem szczerze, tego rodzaju nieuzasadnione niczym wypowiedzi są typowe dla osób pozbawionych otwartego umysłu, a przez to woli należytego wyedukowania się i poznania fascynującej prawdy, które z uporem maniaka – wbrew

wszelkim świadectwom naukowym, nie mówiąc już naturalnie o zdrowym rozsądku - nazywają ten okres dziejów ponurym średniowieczem.

Pomimo iż moim analitycznym umysłem nie jestem w stanie wnikać we wszystkie najistotniejsze jego tajemnice, albowiem dzieje te przeminęły setki lat temu, wywodzę prosty wniosek, iż głębiej aniżeli rozum sięga intuicja. Zatem literacka wyobraźnia potrafi czasami spojrzeć wnikliwiej niż najdoskonalszy umysł, mimo że nikomu nie jest dane zrozumieć odległych czasów ani osób w nich żyjących do końca, w swej najgłębszej istocie jesteśmy sobie bowiem obcy. Dokumenty, jakie zachowały się z tamtego czasu, dostarczają często niekompatybilnych informacji, które stawiam pod wielkim znakiem zapytania, ponieważ są one tak względem siebie antagonistyczne, tak krańcowo wzajemnie sprzeczne, iż można pogubić się w gąszczu i ukrytych w mroku nierozwiązanych tajemnicach pokrytych kurzem historii, którego żadną miarą i nawet przy najlepszych chęciach nie sposób zetrzeć. Badacze zamierzchłych dziejów mieli niejednokrotnie poważną trudność w swoich naukowych dociekaniach, dlatego też dochodzili oni do różnorodnych konkluzji, które jednakże nie były oczywistymi, a wprowadzały w spragnionych poznania umysłach jedynie większy zamęt.

Drogi Czytelniku, w pierwszym tomie przedstawiam w niezwykle przejrzysty sposób załazek wydarzeń, które miały miejsce w latach 1199-1205 (choć naturalnie zaistniały one na europejskiej arenie o wiele wcześniej), a które w tym okresie rozwijały się dość spokojnie, aby wkrótce - co opisane jest w tomie drugim i następnych - wybuchnąć z siłą wulkanu, którego lava bezdusznie i z nieokiełznaną furią pochłonęła wszystko to, co tylko napotkała na swej drodze. W powieści, która w dominującym stopniu została oparta na prawdziwych wydarzeniach, poznasz jakże odważne i chorobliwie ambitne osoby, które silną dłońią trzęsły ówczesną Europą, usiłując trzymać za pyski niepokornych sobie poddanych, jednocześnie narzucając im swą wolę, która w ich szaleńczych umysłach była

jedynie słuszną. Poznasz miejsca, które były wspaniałe i oszałamiające w swej nieprzemijalnej urodzie – i niejednokrotnie zastanawiam się, czy przypadkiem nie przewyższają one tych współczesnych, absurdalnie zmienionych i – powiedzmy – udoskonalonych.

W XII i XIII wieku, podobnie jak w poprzednich stuleciach, wciąż wysuwano zastrzeżenia co do postępowania etycznego duchownych, ich nieprzystojnego bogactwa, przekupstwa i rozwiązłości. Głównie jednak krytykowano ich za majątność i nadmiernie szeroką władzę, za zмовę z władzami świeckimi oraz za służalczość. W każdym razie nie różnili się oni od najemników, którym trzeba było płacić. W pierwszym tomie ukazuję zatem waśnie i słowne zapasy pomiędzy heretykami a katolickimi mnichami. Na razie jest w miarę spokojnie, ale poczekaj... zobaczysz, co się stanie niebawem!

W tym miejscu winna jestem dokonać paru wyjaśnień dla znawców tematu. Mianowicie z pełną świadomością starałam się bardzo rzadko używać określenia „katar” (obecnie uważa się, iż to gra słów zaczerpnięta ze średniowiecznej niemczyzny, oznaczająca osobę oddającą cześć kotom; nie będę już nawet pisać o określeniu *bougre*, będącym zniekształconym wyrazem Bułgar, co było oczywistą aluzją do heretyckiego Kościoła dualistów Europy Wschodniej, a które z czasem przekształciło się w angielski wyraz *bugger*, co z kolei było plugawą predylekcją zarzucaną niegdyś zwolennikom kataryzmu), albowiem nie lubię tego zwrotu, jak i wszelkich niedorzecznych oszczerstw, jakie były na ich temat preparowane przez spalających się w nienawistnej zazdrości katolickich przeciwników, a co za tym idzie – prześladowców. Duchowi nauczyciele, jakimi byli owi heretycy, sami wszak tak się nie określali, albowiem byli po prostu dobrymi chrześcijanami, przyjaciółmi Boga. Podobnie ma się rzecz z określeniem *Doskonały*. Tenże zwrot został wprowadzony przez Kościół i to znacznie później, dlatego też nie czułam się w obowiązku używania go. Nazwa ta nie oznacza naturalnie, że osoba taka była bez skazy. Zwrot ten oznaczał *heretica perfecta/hereticus perfectus*, zatem – co jest oczywiste – dotyczył osoby, która przeszła z poziomu

sympatyka na poziom osoby posiadającej święcenia, osoby wtajemniczonej.

I jeszcze jedno wyjaśnienie. W latach, które opisuję w pierwszym tomie i w kolejnych, nie używano zwrotu Langwedocja, ale ja na przekór i aby jednoznacznie wskazać Czytelnikowi jedno z wielu miejsc akcji - albowiem w moim mniemaniu nie ma na świecie człowieka, który nie wiedziałby, gdzie ta przepiękna kraina, obecnie Langwedocja-Roussillon, się znajduje - przytaczam to określenie naprzemiennie z nazwą potężnego hrabstwa Tuluzy.

Życząc zatem przyjemnej lektury, pozostaję z wyrazami szczerego szacunku.

Violetta Domagała

ROK PAŃSKI 1199

Ksiąjący orszak przemierzał drogi Akwitanii. Pogoda nie była im łaskawą. Kłębiaste, burzowe chmury towarzyszyły podróżnym niezmiennie od momentu, kiedy opuścili oni Poitiers w hrabstwie Poitou. Sprawiały wrażenie ociążałych, jak gdyby wisiały w powietrzu rozpięte na igraszkę wichrom, przetaczały się bowiem po niebie posepnie i leniwie. Szare obłoki robiły się stopniowo ciemniejsze i groźniejsze, jakby pragnęły zawładnąć w swe bezkresne ramiona to wszystko, co znajdowało się na ziemi rozmięklej i słotnej. Wozy toczyły się wolno po nierównej, grząskiej drodze okraszonej miejscami wielkimi kałużami. Każdy z podróżnych z utęsknieniem myślał o rozprostowaniu zdrewniałych kości, byle jakim posłaniu, na które mógłby się rzucić, aby z ufnością wtulić się w objęcia zacnego Morfeusza¹. Wtedy bowiem spłynąłby na nich wielki spokój i odprężenie.

Za kolejnym rozległym pastwiskiem, które właśnie mijali, a które o tej porze roku leżało odłogiem, poczęły rozciągać się dębowe lasy ze starymi, ogołocionymi z liści drzewami, z długimi konarami smutnie sterczącymi nad leśnymi wądołami i z rzadka uczęszczanymi drogami. Zawierucha i szaruga nie zamierzały dawać za wygraną. Pałętały się po drogach, unosiły się w powietrzu, były wszechobecne jak przebrzydłe choróbsko toczące człowieka od wewnątrz.

Hugo Carpine jadący wraz ze zwiadowcami na czele wystawnego pochodu, którego zadaniem było ostrzeganie przed możliwym

niebezpieczeństwem, odczuwał od pewnego czasu niepokój. Zakorzeniły się w nim wątpliwości. Wyglądało na to, że pytając uprzednio chłopów o drogę do zamku Belerniey, padł ofiarą oszustwa. W podzięcie za udzielenie odpowiedzi rzucił przydrożnej hołocie jednego solida. Jednakże droga, którą mieli podążać zgodnie z ich wskazaniem, jakby cały czas się wydłużała, a nie skracała. Powinni byli dawno zauważyć rozległe wzniesienie, a na nim piętrzące się groźnie potężne zamczysko, które było celem dzisiejszego nocnego spoczynku. Jeździec z książęcego oddziału postanowił naprędce rozmówić się z dowódcą jazdy na temat podejrzeń, które go dopadły, ale ten zniknął gdzieś z jego pola widzenia. Carpine zaklął wściekle pod nosem. Wyrzucał sobie, że tak łatwo dał się oszukać jak byle jaki tępawy giermek, którym według własnej oceny doprawdy nie był. Gwałtownie zawrócił konia ku wozowi, w którym jechała dostojna pani² ze swą służką³ i arcybiskupem Bordeaux, Eliaszem de Malemort⁴.

Hugo podjechał do księżnej. Otarł rękawicą naprędce twarz z potu i kurzu. Nachylił się z konia ku książęcemu wozowi.

- Pani...? - wycedził z wolna przez nadpsute zęby.

Eleonora dopiero po chwili odsunęła wełnianą zasłonę i nieznacznie wychyliła głowę:

- Tak? - I nieomal natychmiast wzdrygnęła się na kolejne jego słowo, przysłaniając dłonią twarz.

Carpine cuchnął czosnkiem i cebulą, które w trakcie podróży stale podjadał.

- Wybaczcie mą śmiałość - wykrztusił - ale podejrzewam, że chyba... jesteśmy nie na tej drodze, którą mi wprzódki wskazano...

Kobieta chłodno rzuciła okiem na Hugona i przyłożyła dłoń do szyi. Przesunęła palcem po wycięciu płaszcza przetykanego złotem i poprawiła tkaninę zawoju.

- Jakże to? - spytała zdziwiona. Nie mogła nic zaradzić na to, że głos jej brzmiał szorstko. - Mówiłeś przecie, że wkrótce dojedziemy. Cóż się znowu stało?

- No właśnie nie jestem pewien, ale chyba chłopci...

- Chłopci? - przerwała ostro, spoglądając na łuczника. Jej drwina była nieprzyjemna, a ton mówił więcej aniżeli słowa. - Takim sposobem to my nigdy nie dotrzemy do celu. Po odjeździe Lusignanów wyraźnie rozkazałam pilnować drogi i zawczasu wywiadywać się, byśmy znowuż nie wpadli w zasadzkę - przypomniała, nie okazując względów. - Wszak kosztowało mnie to la Perche, aby się uwolnić... A tu kolejna przeszkoda? - spytała z przekąsem, po czym dodała gniewnie: - Przywołaj mi tu szybko dowódcę!

„Na Boga! Cóż za głupiec!” - pomyślała z oburzeniem.

- Jak rozkażecie, pani ... - odparł tonem ponurym jak gradowa chmura. Ścisnął nogami boki ogiera i odjechał, usiłując naprędce zniknąć z oczu możnej pani.

Księżna na powrót wsunęła głowę do wozu. Była poirytowana bezmyślnym zachowaniem żołdaka. Wszak miał on pilnować wyznaczonej uprzednio trasy do Belerniey, a pomimo rozkazów nie przyłożył się należycie do wypełniania nałożonych na niego obowiązków. Jego brak przezorności mógł kosztować księżną kolejny drogi okup, którego nie uśmiechało się jej płacić. Eleonora pośpiesznie dała znak siedzącemu przy niej kapłanowi, aby ten powstrzymał się od zabierania głosu i siedział cicho. Nie w smak jej było wysłuchiwanie wywodów przemądrzałego arcybiskupa i jego niewłaściwych do sytuacji uwag. Duchowny zbyt dobrze znał Eleonorę, aby się jej w tejże materii sprzeciwiać. Nie miało to najmniejszego sensu, a wchodzenie w spór nie byłoby w tej sytuacji korzystne. Wszyscy byli zmęczeni podróżą i zbyt rozdrażnieni. Byle jakie niestosowne słowo wypowiedziane w złym momencie mogło wywołać istną lawinę wzajemnych pretensji i wybuch utajonych żalów.

Stara księżna oparła siwą głowę o bulwiaste poduszki i przymknęła powieki. Były ciężkie. Stukrotnie za ciężkie. Czas straszliwie się jej dłużył, a co gorsza, podróż tak naprawdę na dobre się nie rozpoczęła. Ileż to razy jeszcze ta utrudzona życiem kobieta będzie musiała przeprawiać się przez trudno przejezdne góry,

przepaściste, dzikie przełęczce czy wzburzone morza targane niebezpiecznymi sztormami, by załagodzić kolejny konflikt, ocalić koronę przynoszącemu nieszczęście synowi⁵, by pomóc scalić rodzinę, uratować dynastię i uniknąć wykańczającej wszystkich wkoło wojny? Ileż to razy jeszcze w swoim życiu będzie musiała walczyć o utrzymanie jedności wszystkich zdobytych przez jej drugiego męża⁶ ziem, by nie dopuścić do grabieży i przynajmniej na pewien czas zapobiec nierozważnej ich utracie ze szkodą dla własnej rodziny? Jak długo będzie musiała się jeszcze zamartwiać, czy jej bezmyślny, zawsze nieodpowiedzialnie postępujący syn będzie w stanie utrzymać królestwo, którego nie powinien był odziedziczyć? Wszakże nie dla niego było szykowane olbrzymie terytorium Plantagenetów, które stworzyła wspólnie z Henrykiem, a którego rozległe ziemie ciągnęły się od pokrytych śniegiem szczytów Pirenejów aż do kanału La Manche i od kanału obejmowały królestwo Anglii! Doprawdy, nie dla niego. Czemuż on żyje? Czemu nie umarł miast jej pierworodnego Wilhelma⁷, nadziei rodu? Czym naraziła się Bogu, że nie zechciał usunąć niechcianego płodu z jej łona? Od kiedy na świat przyszedł najmłodszy, najmniej wyczekiwany przez nią syn, nie znosiła tego krnąbrnego, niewdzięcznego dziecka. Jej serce rwało się tylko do Ryszarda⁸, ponieważ to on przyczyniał matce zawsze jeno dumy i radości. Dlaczego jej umiłowany ponad życie syn musiał zginąć jakże niedorzecznie, w pełni męskich sił od jednego wystrzelonego w szyję bełtu Basile'a⁹? Czy długo jeszcze, zmordowana życiem, będzie musiała dusić w sobie te wszystkie smutki i rozterki, których końca nie widać, za to wykluwają się nowe kłopoty i troski, których głównym źródłem był właśnie jej zupełnie nieudany najmłodszy syn? Była przekonana, że już do końca.

Czyż nie nadszedł wreszcie właściwy po temu czas, by odpocząć w zaciszu spokojnych murów Fontevraud; w cieniu wijących się latorośli i alejek w atrium pomiędzy krużgankami klasztornymi wypełnionymi pachnącą słodyczą roślinności, jakże bujnie porastającą żyzne ziemie wokół andegaweńskiego klasztoru, pobudzaną przez

nawiewający z południa ciepły wiatr? Oddać się w spokoju refleksjom i modlitwom. Poddać się cudownemu nurtowi życia w opactwie, którego rytm dnia wyznaczają od dawien dawna ustalone reguły klasztorne wprowadzone przez Roberta d'Arbrissel¹⁰, który uznawał stare wdowy za bardziej moralne od mężczyzn. Dać wreszcie ulgę wycieńczonemu ciału i umysłowi, który już niczego nie oczekuje, niczego się nie spodziewa. Domaga się jedynie wyciszenia i błogiej, sprawiającej duchową przyjemność wewnętrznej harmonii, która leczy tak zdrożone ciało, jak nadszarpnięte nerwy. Tylko tego pragnęła, całkowicie pogodzona z losem i przemijającym szybko czasem, aby ktoś właściwie i godnie mógł ją zastąpić i zdjąć z jej starczych ramion brzemień nigdy niezmnijających się obowiązków. Wszelako ów czas nie był jej łaskawym i od dawna nie sprzyjał. Ranił jedynie i co rusz nakładał nowe troski, które przygniatały serce.

Powieki nadal miała przymknięte, gdy kolejny głos przeszkodził Eleonorze i niebacznie wyrwał ją z zadumy, w której z lubością się pogrążyła.

- Księżno, życzyliście sobie mówić ze mną? - Usłyszała miły, łagodnie brzmiący ton.

Eleonora ponownie rozsunęła wełnianą zasłonę. Ujrzała wysokiego, jasnowłosego mężczyznę, o niebieskich, żywych oczach i pogodnym obliczu. Był to Guy de Ardalais we własnej osobie. Lubiała go. Dzielny wojownik, dowódca towarzyszących jej rycerzy oraz oddziału łuczników, który wiernie służył królowi angielskiemu, podobnie jak niezmordowany, najwierniejszy rycerz wszystkich Plantagenetów, szlachetny Wilhelm le Maréchal¹¹. Król pragnął, aby jego matka wraz z całą świtą była bezpiecznie eskortowana na ziemie kastylijskiego króla Alfonsa VIII¹². Jan Plantagenet powierzył Guyowi szczególne zadanie. Do jego obowiązków należała przede wszystkim ochrona księżnej. Miał jej strzec jak oka w głowie pod groźbą utraty własnej.

- Dlaczego twój człowiek dał się tak łatwo zwieść? Wydałam wam jasne polecenia, a teraz nie wiadomo, kiedy dobrniemy do Belerniey.

Wszyscy są zmęczeni, przed nami bardzo długa podróż i nie ma potrzeby, aby nadwyreżać siły na bezowocne jazdy po lasach, które z pewnością nie przybliżają nas do postoju - wyrzuciła z siebie jednym tchem, dając tym samym upust niezadowoleniu.

- Nierozważnie postąpił, że posłuchał tamtych chłopów, ale nie sądzę, by uczynił to przez niedbalstwo. Wszakże sam pragnąłby już wypocząć jako i my...

- Może i nie przez niedbalstwo, ale na pewno przez głupotę! - odpowiedziała, wzdychając. - Jestem o tym przekonana. Wiedziałaś, że jedziemy inną drogą, niż pierwotnie zaplanowałeś?

Guy skierował nagle spojrzenie na drogę. Zastanowił się przez moment, a chełpliwe słowa ugrzęzły mu w gardle. Unikał jej wzroku jak ognia. Zapadło milczenie, które wnet przerwała rozdrażniona Eleonora.

- Zatem? - Zgrzytnęła zębami. - Nad czym się zastanawiasz?

- Pani... ja również uznałem, że chłopci prawdę mówią i tym sposobem szybciej dotrzemy do zamku. Nie mogłem przypuszczać, że ośmielą się kłamać, mając przed sobą iście królewski orszak, jadący z tak potężną eskortą.

- Bądź co bądź obydwaj pomyliliście się - skwitowała z głębokim westchnieniem, a de Ardalais niechętnie skinął głową na znak potwierdzenia. - Na przyszłość ze mną ustalaj wszelkie zmiany. Nie życzę sobie więcej żadnych niespodzianek. Wszak miałam ich aż nadto w swoim życiu. - Zerknęła kątem oka na jasnowłosego mężczyznę o ujmującej twarzy i szczerym spojrzeniu. - Już wystarczy, chcę jeno spokojnie dotrzeć do córki i zięcia - rzekła szorstko. - Więcej mnie nie zawieź!

- Wedle waszych rozkazów, księżno - odparł posłusznie dowódca, nie śmiąc spojrzeć jej w oczy. - Bowiem waszą rzeczą jest mi rozkazywać, a moją wypełniać wasze rozkazy i życzenia.

Księżna podniosła rękę, dając mu znak, iż może się oddalić. De Ardalais cmoknął na konia i ruszył przed siebie. Bez zbędnej zwłoki puścił się w kierunku niefrasobliwego łuczника. Podjechał do

będącego na przedzie pochodu Hugona. Gdy konie ich zrównały się na tyle, by mogli swobodnie rozmawiać, dowódca bez zastanowienia ściągnął skórzaną rękawicę z dłoni i zniemacka trzepnął nią po przekrzywionym hełmie niczego niepodejrzewającego młodziana. Chłopak gwałtownie ściągnął cugle.

- Cóż robisz, Guy?! - krzyknął przestraszony, wstrzymując konia. - Co?

- Jak to co? Daję ci łupnia, tępaku! - oznajmił ponuro rycerz. - Czemuż to nie spytałeś, czy droga, na którą sam się zdecydowałeś, jest tą właściwą? Księżna niezadowolona, grymasić zaczęła. Musiałem powiedzieć, że sam tak zdecydowałem, bo baty nie ominęłyby cię albo i co gorsza...

- Czemuś ty taki nerwowy? - prychnął Carpine. - Trzeba było prawdę rzec.

Dowódca spojrział na niego ostro.

- Przypominam ci, że mnie podlegasz, zatem pilnuj się - przestrzegł, marszcząc grube brwi. - Obowiązuje cię posłuszeństwo. To ja dowodzę oddziałem, wydaję rozkazy, a ty masz je wypełniać.

Młodzian udał, że bagatelizuje całą sprawę, jak miał to w niechlubnym zwyczaju. Niemniej jednak w głębi ducha odczuł napięcie. Przełknął ciężko i popadł w milczenie.

- Nie popełniaj więcej podobnych błędów, bo będę zmuszony pogruchotać ci gnaty, a wtedy na pewno zaboli. Nie skończy się tylko na obiciu twojego cuchnącego pyska. Zrozumiałeś?

Hugo Carpine skrzywił się i zachrobotał ze złości zębami. Miał do siebie pretensje, że naiwnie zawierzył chłopom i tym samym dał się wystrychnąć na dudka.

Tymczasem orszak minął dwa średniej wielkości wzgórze Lormont okalające wąską dolinę na prawym brzegu Garonny. Pozostawił za sobą nadgryzione zębem czasu opactwa Sainte-Croix i Sainte-Eulalie, a potem grube obronne mury ciasno opasujące Bordeaux, wzniesione dzięki zmyślnej inwencji rzymskich budowniczych, dużo kościołów w ich obrębie oraz jakże imponujący pałac L'Ombrière, dumnie

wznoszący się w południowo-wschodniej części miasta. Rodowa siedziba z dziecięcych lat Eleonory i jej siostry¹³ przywołała echo minionych, szczęśliwych chwil, jakie spędziła w nim do dnia swojego pierwszego ślubu. Kojarzyły się one z edeniczną swawolą dzieciństwa, z jego bezpośredniością i żywością. Wspomnienia o beztroskim życiu, które wiodła jako rezolutna, wiecznie roześmiana dziewczynka wraz z młodszą siostrą u boku ojca¹⁴, poczyniły się z czasem niezauważenie rozmywać w ciągłej pogoni za władzą i przemożnym pragnieniem utrzymania w rękach tego wszystkiego, co odziedziczyła po swych wspaniałych akwitańskich przodkach. Niemniej jednak Eleonora nadal mogła szczycić się doskonałą pamięcią, jeżeli była taka potrzeba. Wówczas potrafiła wydobyć z niej to, co najważniejsze, i niejednokrotnie samą siebie zaskoczyć.

Po północy książęce wozy przy blasku setek pochodni dotarły do upragnionego miejsca przeznaczenia, jakim było wzniesienie, na którym przodek barona de Belerniey postawił zamek. Nareszcie! Wielka, wzbudzająca u wrogów szacunek warownia z czterema potężnymi donżonami wzmocnionymi dla bezpieczeństwa solidnymi przyporami. Aby częściowo złagodzić ponurość chropowatych murów, wywieszono dziesiątki chorągwi ze strzelnic i podłużnych wąskich okien. Spiczaste i długie wisały pod osłoną murów, powiewając zgodnie z rytmem wiatru, a teraz, od kiedy przed dwoma dniami ucichła potężna wichura, pookręcały się na swoich drzewcach pomalowanych na zieloną barwę, ponieważ był to ulubiony kolor właściciela zamku. Pochodnie, które migotały w uchwytach nad okutą żelazem bramą, oświetlały most i olbrzymią wiszącą tarczę herbową rodu de Belerniey.

Wozy wjechały na most i ostrożnie przetoczyły się po nim. Minęły wielkie odrzwia bramy, przejechały pod żelazną, uniesioną wysoko kratą i wjechały na dziedziniec wraz z całą bogatą książęcą i biskupią świtą, wartą przyboczną, oddziałem królewskich rycerzy, łuczników, z psami, sokołami, którymi zajmował się specjalny oddział, trębaczami, zbrojnymi parobkami i stajennymi.

Załoga zamku niczym rozżarzone dyski przelatujące po niebie biegła we wszystkie strony. Śpieszyła z pomocą, aby rozmieścić przyjezdnych według ustalonego przez baronowskiego sekretarza planu. Zrobiło się ostre zamieszanie i powstała wielka wrzawa. Zapanował chaos, wszyscy wzajemnie się przepychali. Dziedziniec zamku Belerniey stał się prawdziwie rzymską areną wypełnioną po brzegi krzykliwymi ludźmi. Stajenni poili strudzone konie i woły, by następnie zaprowadzić je w miejsca dla nich przeznaczone. Służba księżnej i biskupów zaczęła wypakowywać niezbędne rzeczy i targać je do wnętrza komnat, aby za parę godzin z powrotem ładować je na wozy. Świta Eleonory i arcybiskupa odpowiednio do swojego statusu została rozmieszczona w tych częściach zamku, które zazwyczaj były przydzielane gościom. Wszystkich rozłokowano nader sprawnie. Żołdacy pokładli się obok zwierząt w oborach i stajniach jak mocno napita czereda i wnet posnęli. Nikomu nie chciało się ani gadać, ani wyklócać.

Księżna rozkazała gospodarzom, rodzinie de Belerniey, żeby służba jak najszybciej dostarczyła gorącej wody do komnaty, w której przyszło jej spędzić noc. Zamierzała się odświeżyć i usunąć podróżny kurz. Poleciała ponadto, by przyniesiono jej nieduży dzban schłodzonego wina i parę gotowanych owoców.

Arcybiskup otrzymał salę blisko komnaty sypialnianej gospodarzy. Była obszerna. Wszakże nie można było umniejszać jego dostojnemu urzędowi arcybiskupa Bordeaux. Jednakże kiedy Eliasz przestąpił próg, wykrzywił twarz w cierpkim grymasie, wyposażenie bowiem pozostawiało wiele do życzenia i w niczym nie przypominało jego osobistych pomieszczeń w bogatym pałacu arcybiskupim w Bordeaux. Oprócz łoża, stołu, rzeźbionego krzesła z wysokim oparciem i cudownie wyrzeźbionego przez genueńskiego mistrza Tarpagnego posągu Matki Boskiej z małym Dzieciąciem na ręku, niczego więcej w niej nie było. Dlatego też polecono wypakować część biskupich sprzętów, które jechały do Kastylii. W ten sposób Eliasz de Malemort zamierzał uprzyjemnić sobie tę niedługą noc, jaka mu pozostała. Na

pytanie służącego, dlaczego tak wiele czasu poświęca rzeczom pięknym, odpowiedział z wyrzutem: „Toż to pytanie ślepcy!”.

Naprzeciwko malutkich okien wisiał na kamiennych ścianach olbrzymi drewniany krzyż. Duchowny pomodlił się i szybko zrobił znak krzyża, a następnie zajął się przyziemnymi sprawami, które zaprzętały jego uwagę od dłuższego czasu. Przykazano zamkowej służbie, by ta doniosła do jego nowej kwatery czerwonego wina, świeżo upieczonych płatów łososa, do tego chleb i słuszny kawał maślanego ciasta. Teraz nareszcie poczuł się wspaniale. Wszak nie mógł położyć się spać bez solidnego pożywienia, które wprowadziłoby go w wyśmienity nastrój, i posmakowania godnego starożytnych bogów tutejszego wina, z dorodnych winorośli gęsto obrastających ziemię od południowej strony warowni. Przystąpił zatem do uczty.

Kiedy Eleonora przyłożyła swą siwą głowę – onegdaj najpiękniejszą spośród europejskich koronowanych głów – do miękkiej poduszki obłożonej przyjemnym grafitowym aksamitem, doświadczyła błogiego ukojenia i odprężenia jak również ogromnego znużenia, które dopiero teraz dopadło ją najmocniej. Zmęczenie, jakie zniosły ciało i dusza, pociągnęło za sobą dogłębne wyczerpanie. Pomimo usilnego pragnienia zbawienny sen nie zamierzał jednak szybko nadejść. Szerokie łożo dla wygody i bezpieczeństwa przed podrygującymi stale płomieniami ognia, którego szalejące iskry mogłyby nieopatrznie poparzyć szacownego gościa, ustawione zostało w bezpiecznej odległości od kominka. Kobieta przyłgnęła do lnianej powłoki opasującej ściśle pościelenie i naciągnęła na siebie podarowane jej przez baronową de Belerniey ciężkie futra. Miękkie w dotyku i zachwycające. Nadające się idealnie do otulania królewskiego ciała.

Jednak mimo iż służba sprawiła się wyjątkowo dobrze i w komnacie solidnie napalono dla długo wyczekiwanego z niecierpliwością książęcego gościa, a ogień nie przestawał ostro buchać, uczucie chłodu nie ustępowało. Szyby nie zostały dobrze dopasowane i gołym okiem można było zauważyć dziury w otworach, przez które przenikał wszędobylski, napastliwy wiatr. Jednakże

komnata ta pomimo przeciągów była najlepszą, jaką można była zaoferować Eleonorze Akwitańskiej.

Wiatr zawodził głośniejsze niż w dzień, ponieważ w nocy każde odgłosy były intensywniejsze, jak gdyby podsycane przez czarcią zawiść. Lecz jego drażniący uszy poszum wbrew pozorom działał kojąco na starą kobietę. Surowość miejsca jej nocnego odpoczynku i brak urzekająco rozbijającego ciepła nie były czymś, co mogłoby w czymkolwiek przeszkodzić tej żelaznej z charakteru i siły woli Akwitance. Księżna nie zważała na tak trywialne niewygody. Zdołała poznać w swoim życiu zdecydowanie surowsze pomieszczenia, gdzie uciążliwy ziąb był jednym z niewielu towarzyszy jej niedoli i poniżenia – komnaty pozbawione podstawowych wygód należnych jej z racji urodzenia i wychowania. Sale były zimniejsze, mroczniejsze, nawet myszy nie zagrzewały tam miejsca, a ona skazana była na przebywanie w nich przez długie lata, mimo iż nie nawykła do tego ani do życia w niewoli i odrzuceniu.

Nie, takie niedogodności jak ta dziś nie były jej straszne. Wszakże była nieodrodną wnuczką ponadprzeciętnego człowieka, prawdziwego koryfeusza, którego wybryki zrażały do nich nawet osoby obdarzone najlepszą wolą, ale który niewątpliwie przesłaniał winy blaskiem swojej niezwykłej indywidualności, hojności i tym, że z beztroską na sercu traktował siebie, jak i bliźnich. Był wytrawnym poetą obdarzonym ciętym językiem, mecenasem sztuki i jej wyrafinowanym znawcą, ale również walecznym wojownikiem, którego subtelna wiedza czyniła dwornym rycerzem, niepoddającym się nigdy dziewiątym diukiem Akwitanii, Gaskonii i hrabią Poitou¹⁵. Wielki pan, wielki rozpustnik i prześmiewca, mężny i niebywale odważny, przedkładający miłość i szczęście ponad zasady, gotowy zawsze wojować z potężnym Kościołem i jego wiernopoddańczymi wilkami w jagnięcej skórze, którzy raz za razem rzucali mu w twarz ekskomunikami. On wszak zupełnie się nimi nie przejmował. Śmiał się jeno i drwił na całego z faryzeuszowskich głupców.

Blask bijący od potężnego kamiennego kominka przesadnie ozdobionego marmurowymi karkami i przeplatającymi je kwiatami blado oświetlał mocno pomarszczone oblicze byłej królowej Anglii, która była również niegdyś władczynią królestwa Franków. Stojące na kamiennej podłodze wielkie, rozgałęzione świeczniki upstrzone niezliczoną liczbą świec rzucały chybotliwe światło na znajdujące się w komnacie meble. Siedemdziesięciosiedmioletnia księżna naciągnęła na starcze ciało futra i odwróciła się plecami do ognia. Wycieńczona żmudną drogą i ostatnimi przykrymi wydarzeniami z udziałem braci Lusignanów potrzebowała krzepiącego snu, który pomógłby jej bez dalszych niepokojących frasunków dotrzeć do królestwa jedynej pozostałej przy życiu córki, noszącej to samo co ona imię – Eleonory Młodszej¹⁶. Targała nią tęsknota za córką, z którą rozstała się lata temu, gdy ta jako zapłakana dziewięcioletnia dziewczynka zmuszona była opuścić ojcowski dwór i wyjechać do dalekiego, skąpanego w południowym słońcu królestwa. Musiała spełnić narzucone jej przez rodziców oraz Boga przeznaczenie i zostać królową wiecznie zbuntowanej, aczkolwiek wspaniałej Kastylii.

- Pani... śpicie? - spytała służąca, wierna i oddana towarzyska wielu wspólnych lat niedoli. - Ciepło wam?

Dwórka leżała na ubogim pościeliu, na podłodze, jak zawsze blisko swej pani, gotowa na każde jej skinienie, na każde wezwanie, czy to w środku nocy, czy też o poranku. Głos Amarii rozszedł się głucho po olbrzymiej gościnnej komnacie. Był niczym echo uderzające bezgłośnie w kamienne ściany komnaty. Zapanował spokój. Pustka i cichość. Zamek zamknął swe podwoje. Zasnął i pogrążył się w mroku nocy, która wniknęła głęboko w serca i umysły wszystkich obecnych na Belerniey. Martwą ciszę przerywały jedynie trzeszczące i posykujące węzowate języki ognia pobudzane przez podmuch wiatru wpadający co rusz do kominka.

Eleonora nie odpowiedziała. Czy spała? Czy może nadal trwała w głębokiej zadumie, nie mogąc zasnąć pomimo obezwładniającego ją

zmęczenia i opadnięcia z sił? Czy zdołała już pobłogosławić bezkresnego darczynę zapomnienia? Tego nikt nie mógł wiedzieć.

*

W dusznej stajni, którą baron de Belerniey przeznaczył dzisiejszej nocy na spoczynek dla żołnierzy księżnej, jej sokolników, trębaczy, pachołków, panował spokój. Ludzie z orszaku posnęli i chrapali jeden przez drugiego. Niektórzy z nich przebudzali się czasem na chwilę i tręcili śpiących sąsiadów, domagając się zupełnej ciszy. Efektów to jednakże nie przynosiło. Zbierano siły na kolejny wyczerpujący długą jazdą dzień. Oby jak najprędzej dotrzeć do gór, przeprowić się i wjechać na cieplejsze ziemie sąsiedniego królestwa. Oby dotrzeć do Kastylii, upoić się jej niezaprzeczalnym czarem i w pełni rozkoszować się nadobnymi wdziękami pięknych ciemnowłosych kobiet o melodyjnym głosie, pachnących aromatyczną oliwą i słodkim winem. Kobiet o oczach czarnych i zalotnych, których pełne piersi, ukryte pod jasnymi koszulami i kolorowym sukniem, dumnie falowały w rytm poetycznych nut wyśpiewywanych przez wędrownych muzyków. Za tym tęskniono w dusznej stajni, oborze, w donżonach, wszędzie tam, gdzie tylko znalazło się miejsce dla utrudzonych wędrowną gości barona de Belerniey.

Gdy mężczyźni wokół spali jak powalone na polu walki trupy i słyhać było ciężkie, przerywane czasami oddechy wydobywające się z męskich gardzieli, mała, drobna, sprytna dłoń sięgnęła do worka przymocowanego do jednej z żołnierskich zbroi. Delikatnie rozwiązała rzemień otaczający skórzaną sakwę i próbowała wydobyć z niej kilka monet. Powolutku i jak najciszej, aby nikogo nie zbudzić. Starła się, jak mogła. Rączka była zwinna i zapewne doświadczona w tym procederze, bo dotąd nikt nie zareagował. Ileż to już razy okradała w podobny sposób opitych mężczyzn! Zgrabnie chwyciła pieniądze w wytrawne paluszki i równie zgrabnie wyciągnęła je z worka.

Dziewczynka zamierzała już odejść, ale coś ją tknęło, jakby jakiś przymus wewnętrzny rozkazał jej mimo wszystko pozostać i dokończyć to, co już rozpoczęła. Coś szepnęło jej: „Zostań... Poczekaj... Nie odchodź jeszcze”. Nie potrafiła tego wytłumaczyć ani pojąć. To coś sprawiło w każdym razie, iż została dłużej, niż należało... niż powinna była. Postanowiła bowiem zawiązać jeszcze ową okradaną przez siebie sakwę. Pomyślała, że tak będzie lepiej, że nie wzbudzi to żadnych podejrzeń, a ten, któremu odbiera solidy, nie zauważy braku raptem kilku z nich. Odłożyła delikatnie na bok, na suchą słomę, ukradzione pieniądze i zajęła się supłaniem na powrót rzemienia. Nie zdawała sobie sprawy, iż tenże ryzykowny krok mógł ją drogo kosztować. Nie wyczuwała najmniejszego zagrożenia ani tym bardziej nie miała świadomości krytycznego położenia, w jakim raptownie mogła się znaleźć. Niczego nie przypuszczała i nie przewidziała. Była wszak jedynie małą, wygłodzoną dziewczynką, która od wczorajszego poranka niczego nie jadła, a te kilka monet dałoby jej szansę, aby nareszcie zaspokoić męczący ją głód. Przez chroniczne niedojadanie wciąż cierpiała na uciążliwe bóle brzucha.

Zaprzątnięta wiązaniem nie zdołała zauważyć nadciągającego z całkiem bliska niebezpieczeństwa. Wtem znienacka, nie wiadomo skąd, jakby sam diabeł wydobył się nagle, niepostrzeżenie z szatańskiej głębi i pochwycił ją z całej siły za wątłe gardło...

- Ty mała złodziejko! - Usłyszała.

Nie zdołała krzyknąć. Nie zdążyła.

- Chciałaś mnie okraść? Mnie?!

Żelazne ręce zaciskały się na chudziutkiej szyjce jak metalowe klamry nachodzące jedna na drugą. Nie miała szans, aby się uwolnić. Dusila się. Czuła przemożny ucisk, który odbierał jej dopływ powietrza. Słabła, a silne dłonie mężczyzny uniosły ją nad ziemią i nie przerywały śmiertelnego miażdżenia. Przerazona machała w powietrzu szczupłusieńkimi nóżkami, ale na nic się to zdało. Powolutku, na spokojnie uchodziło z niej życie.

W końcu człowiek ów z nagłą ją puścił. Dziewczynka upadła na ziemię. Złapała się obiema drobnymi rączkami za szyję i głośno charczała. Nie mogła krzyknąć. Nie mogła się ruszyć. Próbowwała oddychać. Najemnik stał przed nią i patrzył wściekły na małe dziecko, które chciało go okraść.

- Wiesz, kim jestem?! - krzyknął, nie zważając na śpiących wokół siebie towarzyszy. - Ja ci teraz pokażę, co robię z takimi parszywymi złodziejami jak ty!

Wrząc od gniewu, nachylił się nad dziewczynką i ryknął:

- Wstawaj!

Ktoś stęknął, ktoś tam zaklął. Ludzie przecierali oczy i podnosili głowy. Ciekawość zwyciężyła ze snem, który może już nie nadejść do rana. Niektórzy jednakże odwracali się na bok i niezrażeni ogólnie panującym hałasem ponownie zapadali w błogosławiony sen.

- Cóż tak krzyczysz?

- Co się dzieje? - odezwały się liczne głosy.

- Daj ludziom spać! Ranek zaraz nastanie, a my mało co pospaliśmy!

- A wiecie, co się stało? - łucznik piłował gębę. - Chcecie wiedzieć? To patrzcie... Ta mała dziewczka... - W tym momencie Hugo Carpine złapał dziewczynkę za poszarpaną suknię i postawił ją na chwiejnych nogach. - Ta złodziejka chciała mnie okraść! Próbowwała zabrać moje monety, które miałem na czas wyprawy! - grzmiał. - Nie podaruję jej tego! Zapłaci mi za to, mała dziwka!

Dziewczynka dygotała niemożebnie ze strachu i cały czas się krztusiła. Nadal nie mogła swobodnie oddychać. Chwiała się na nóżkach, kaszłała i łapała nerwowo powietrze. Łzy ciekły po jej drobniutkiej, bladziutkiej, wykrzywionej przerażeniem twarzyczce.

- Zwariowałaś? To małe dziecko ma być tym złodziejem? Widocznie głodna jest... Albo ojciec ją wysłał... To jemu należy się kara, a nie jej.

Najemnik nadal kipiał od gniewu.

- I dobrze, to teraz już nie będzie miał kogo wysyłać - odwarknął niczym wściekły pies.

- Daj sobie spokój! Puść ją i kładź się - burknął zmęczony Clovis de Guentredes. - Potem będziesz jęczał ze zmęczenia cały dzień. Po co ty, człowieku, szukasz kłopotu?

- Ja?! - Carpine stanął jak wryty ze zdziwienia i rozdziawił szpetną gębę. - Ja szukam? Rozum chyba postradałeś. Jak tak będziemy odpuszczając każdemu złodziejowi...

- Boże święty! To nie żaden złodziej, tylko mała dziewczynka. Miejże zmiłowanie nad nią! No spójrz, cała się trzęsie.

- I powinna! - rzucił ochryple nieprzejeđnany żołnierz.

- Mówię ci... daj spokój. Wystarczy jej strachu - przekonywał de Guentredes, ziewając szeroko. - Zamęczasz nas jeno. Trzeba nam się jeszcze przespać. - Przetarł zaspane oczy. - Musimy wypocząć. Kładź się, głupcze, i nie szalej.

Kilku mężczyzn zawołało z tylnej części stajni:

- Na Boga! Zostawże ją!

Wokół podnosiły się gniewne głosy oburzenia i poirytowania nazbyt ochoczym do karania Hugonem. Zbrojni chcieli spać dalej, a nie sprawować nad dzieckiem sąd po nocy.

- Nie podaruję złodziejce! Pokażę, jaka kara czeka małych opryszków! - darł się w ślepym zaciętrzewieniu. - To ją oduczy kradzieży na przyszłość. Ciekawe, co byś mówił, gdyby to ciebie chciano ograbić? - zwrócił się z szyderstwem w głosie do Clovisa. - Co?

Carpine skierował się ku wyjściu. Nim wyszedł, złapał na odchodnym miecz leżący przy zbroi, do której złodziejka zamierzała przywiązać ową nieszczęsną sakwę. Dziewczynka ledwo mogła ustać na nogach z przerażenia. Nie przestawała charczeć i cały czas próbowała się instynktownie uwolnić, ale była zaledwie małym dzieckiem o drobnym ciałku, aż nazbyt wychudzonym. Dygotała i kaszłała. Z przestachu nawet nie próbowała krzyczeć.

- Wracaj tu! Zostaw ją wreszcie! - odkrzyknął zaspany Clovis za wychodzącym najemnikiem. - Słyszysz? To jeno małe dziecko. Wracajże!

Ale Carpine za nic miał słowa rycerza. Szarpał dziewczynką, a że była krucha jak mała sarenka, z lekkością wyciągnął rzeżące dziecko ze stajni. Zatrzymał się. Rozglądał się za jakimś kłosem, którego potrzebował do wymierzenia kary za kradzież własnych, zarobionych solidów. Było ciemno choć oko wykol. Północny wiatr dął i przyciskał odzież do ciała. Chmury posępnie wisiały nad zamkiem i warownymi zabudowaniami. Nie było widać tej nocy ani księżyca, ani migoczących świetlicie gwiazd, którymi zazwyczaj gęsto usypane było niebo. Hugo wytrzeszczał oczy i nerwowo szukał dorodnego powalonego pnia, ale w ciemności niewiele mógł zdziałać.

Dziecko cały czas usiłowało się wyswobodzić. Czy miało szansę na ucieczkę? Carpine zacisnął dłoń na łańcuchach, które okrywały ciało dziewczynki, i poszedł dalej, w ciemność, na tyły dziedzińca. Szedł po omacku. Jakieś psy zerwały się i biegały bez celu po podwórku. Jedne szczeknęły niezbyt głośno, inne z kolei zawyły.

- Zamknąć się, kundle! - odwarknął.

Hugo potrzasał dziewczynką jak starą, bezużyteczną szmatą i ciągnął ją po dziedzińcu prawie że nad ziemią, tak była lekka. W dalszym ciągu szukał właściwego miejsca. Wściekłość i narwany charakter przesłoniły mu rzeczowy osąd sytuacji. Przestał myśleć racjonalnie. Zachowywał się jak szaleniec, którego dotknął obłąd. Dziewczynka, pomimo wszystko, usiłowała stawiać opór, ale cóż znaczy opór dwunastoletniego dziecka wobec tężyzny wyszkolonego najemnika królewskiego. Hugo przebiegał obsesyjnie oczyma po tylnej części dziedzińca, aż w końcu dojrzał to coś. Nareszcie! Rzecz ta przypominała z wyglądu całkiem okazały pień. Podobny do tych, jakich używano do ścinania głów złoczyńcom. Podszedł bliżej, taszcząc ze sobą dygoczącą złodziejkę. Stanął i zaczął się bacznie przyglądać. Uśmiechnął się złowieszczo. Tak, miał rację. To był dokładnie taki pień. Tego właśnie szukał i wreszcie znalazł. Nadawał się doskonale

do wymierzenia kary dziecku, które w młodym wieku para się kradzieżą. Carpine wiedział, co chce osiągnąć i postanowił niezwłocznie to wykonać.

Teraz z kolei chciał zmusić dziecko, by uklęknięto i poddało się jego woli. Dziewczynka jednak nie była w stanie wypełnić jego rozkazu. Była całkowicie sparaliżowana strachem, kiedy tak stała przed kłosem, który służył do odrzynania poszczególnych części ciała. Nie była w stanie wydobyć z siebie krzyku, żadnego głosu. Nie błagała o litość. Nie zebrała o zmiłowanie. Niczego nie uczyniła. Była jak małe ciele bezwolnie przyprowadzone na rzeź, któremu za chwilę poderzną gardło. Jakby zamarła i do cna odrętwiała.

Hugo gwałtownie popchnął ją do przodu i uderzył z tyłu w okolice kolan. Dziewczynka zatoczyła się. Upadła w błoto, obryzgując się nim, i mimowolnie klękła przed miejscem straceń. Uderzyła się mocno w głowę, ale nie odczuła tego, patrzyła tylko zahukana na kawał drewna piętrzący się przed nią. Straszliwie bała się bólu. Bała się cierpienia. Bała się śmierci, którą wyczuwał każdy nerw jej zabiedzonego ciała. Na przekór wszystkiemu pragnęła nadal żyć, mimo iż dotąd jej żywot przypominał pomiatanego przez ludzi obrzydliwego szczura. Dobrze wiedziała, do czego przeznaczony jest ten pieniek i jakie męki muszą ludzie potem znosić, nim Bóg się nad nimi ulituje i pozwoli im w swej łaskawości wreszcie skonać. Hugo nie przestawał krzyczeć na dziecko. Targał jej ręce. Zmuszał, by wysunęła je i oparła na kłocu. Ciągnął za rączki na wysokości łokcia i usiłował za wszelką cenę ułożyć je na pniu. Były sztywne, co utrudniało mu wykonanie zamierzonej czynności.

- Jeżeli za chwilę nie położysz tutaj tych złodziejskich łap, to ci odrąbię głowę... Wiesz, co to znaczy ścinać głowę? Prawie nigdy nie udaje się za pierwszym razem... Kładź je! - darł się nad dzieckiem, które i tak nieomal już półmartwe klęczało przed kłosem. - Powiedziałem: kładź je!

Nikt niczego nie słyszał. Nikt nie przybył, żeby pomóc dziecku. Dwunastoletnia złodziejka do reszty otępiiała z przerażenia posłusznie

wyciągnęła obie rączki, nie mogąc ich nawet wyprostować. Czuła, jakby już nie należały do niej, jakby nie były już częścią jej wysuszonego głodem ciała, jeno czymś, co za chwilę zostanie jej odcięte. Położyła je ulegle, jak żądał tego Carpine, na pieńku, na którym jeszcze za dnia widoczne były ogromne ślady zastygłej krwi, a deszcz nie zdołał ich zmyć do końca. Wynędzniałym, wręcz przeźroczystym ciałkiem, które od czasu do czasu karmiło się jedynie resztkami z zamkowej kuchni Belerniey i odpadkami przeznaczonymi dla świń, wstrząsały niepohamowane dreszcze.

Hugo, jak opętany przez samego diabła, dalej wydierał się na bezbronną dziewczynkę pozbawioną czyjejkolwiek pomocy i wydaną na pastwę rozwścieczonego żołnierza. Złapał wielką, ciężką dłonią jej małe rączki w łokciu i solidnie przytrzymał. W drugiej dłoni trzymał lśniący w zupełnej ciemności miecz. Podniósł go wysoko, ku górze, by łatwiej mu było trafić na kłoc i odciąć jej drobniutkie dłonie. Dziecko zamknęło oczy i wstrzymało oddech. Serce przestało bić. Krew w lichutkim ciałku zastygła. Ta chwila była wiecznością.

Nagle, w okamgnieniu, kiedy wyostrzony miecz Carpine'a powinien był oddzielić małe dłonie od reszty ciała młodziutkiej złodziejki, dziewczynka usłyszała dziwny huk. Natychmiast otworzyła oczy i teraz dopiero zdołała wydać z siebie przeciągły krzyk. Jej ciemiężca leżał powalony na mokrej ziemi w kałużę, wśród końskich i psich odchodów, a nad nim stał jeszcze większy, potężnie zbudowany mężczyzna. Chmury rozpięchły się i księżyc zniecka wyłonił się spoza nich. Pojawiły się gwiazdy, rozmigotane i połyskujące. Wysuwały się ostrożnie zza chmur i ozdabiały noc swą urodą.

Hugo nie podnosił się z rozmytej ziemi. Po chwili zupełnego osłupienia począł ścierać błoto, które zaległo mu na powiekach. Był niebywale zdziwiony. Nie wierzył w to, co mu się przytrafiło. Któż śmiał to uczynić? Całkowicie oszołomiony i poturbowany podniósł wreszcie zaskoczony wzrok na stojącego ponad nim nieruchomo barczystego człowieka. Przyjrzał mu się bez słowa.

Jezu miłosierny, to on! Tę postawną sylwetkę i twarz poznałby zawsze i wszędzie, nawet w piekle. Potem, zmieszany i potężnie zawstydzony, odwrócił wzrok. Zniemacka spojrzał na niebo. Z jednej strony spadała gwiazda – szybko, jakby ciągnęła ją tajemnicza siła, wprost do ziemi. Spadała gwałtownie, szybko, szybciej, aż znikła gdzieś w odległych lasach. Po chwili zaczęła spadać następna i kolejna, i jeszcze jedna, niczym zagęszczony ogień prujący powietrze.

Młodziutka złodziejka zaczęła się z wolna uspokajać. Nadal straszliwie się bała i trzęsła się z nerwów. Wiedziała jednakże, że ten potężny mężczyzna uratował ją i że nie pozwoli jej więcej skrzywdzić. Objęła go spojrzeniem pełnym ufnej wdzięczności. Z delikatnym uśmiechem na twarzy wyciągnął ku niej dłoń. Pomógł jej się podnieść. Dziewczynka stanęła na chwiejnych nóżkach i ona również mimochodem spojrzała w górę, ku niebu. Nigdy, w całym swoim wstrętnym życiu, nie widziała tylu spadających gwiazdek. Czy jedna z nich była jej przeznaczona?

*

- Pani, zechcecie spożyć coś lekkiego przed wyjazdem? – zapytała Amaria siedzącej przed kominkiem księżnej. – Może odrobinę jesiotra? Jeżeli nie macie ochoty wychodzić, przyniosą jedzenie do komnaty.

- Sama nie wiem, czy jestem głodna – odparła w roztargnieniu. – Mało spałam... Późno już? Kiedy ruszamy? Wozy gotowe?

- Wszystko jest stopniowo przygotowywane do podróży. Arcybiskup i biskupi spożywają śniadanie w sali jadalnej z baronostwem. Przekazano mi, że jeżeli zdecydujecie się do nich dołączyć, pani, będą niebywale zaszczyceni.

- Zapal świece – rozkazała Eleonora. – Ciemno tu, nie widzę twej twarzy.

- Wszak jestem blisko, moja pani.

- Zapal!

Amaria posłusznie zakręciła się wokół wysokich świeczników. Na nowo rozpałała zalegający w niewielkich otworach łój. Zrobiło się nieco jaśniej, ale w komnacie nadal panował półmrok, którego dygoczące płomienie nie były w stanie rozproszyć. Czuć było unoszący się ponad nimi swąd palących się łojowych świec, które pomimo tego, że dawały zdecydowanie więcej potrzebnego światła, wydzielały gryzący dym, nieprzyjemny dla książęcych nozdrzy. Służąca krzątała się żwawo i pakowała książęce rzeczy do skrzyń.

- Baronostwo mają gościa - oznajmiła po chwili. - Podobno w nocy przybył.

Kiedy wypowiedziała te słowa, momentalnie ugryzła się w język. Jakże była nierozważną, postępując w ten sposób! Zupełnie nie pomyślała, że nie powinna wyjawiać tej nowiny swojej pani. Że też nie pomyślała zawczasu! Jak mogła być tak bezmyślną?! Ale cóż, słowo się rzekło. Zaiste żałowała, że tak nieostrożnie, zupełnie odruchowo wyrwało jej się z piersi.

Te nieszczęsne rozważania szybko przerwała stara księżna.

- Któż to taki? - zapytała bez specjalnego zainteresowania. Nie przestawała patrzeć w płonącego rześko ogień.

- Chyba was to nie zaciekawi, pani, kto jest gościem...

Eleonora raptownie odwróciła ku niej siwą głowę i bacznie spojrzała w twarz Amarii. Uniosła brwi.

- Pozwól, moja droga, że to ja o tym zdecyduję. Któż to więc? Znam?

Służka nie miała odwagi zdradzić, kim jest ów nocny przybysz. Zdawała sobie sprawę, jak ta wiadomość podzielała na księżną, dlatego chciała oszczędzić jej nieprzyjemnych wieści, do których jednakże konieczności przekazania w znacznym stopniu sama się przyczyniła. Bała się nieprzewidywalnych reakcji Akwitanki na dźwięk tego jednego, jedyne go imienia...

- Amario, czekam. - Nie spuszczała zaintrygowanego spojrzenia z jej oblicza. - Czy naprawdę za każdym razem muszę dwa razy powtarzać? - Westchnęła. - Zaczyna być to nużące.

- Pani... to jest... wasz zięć¹⁷ - wyjąkała służąca, świadomie ścisząc głos. Naiwnie liczyła, że Eleonora machnie na to ręką.

- Czyj zięć?

- Wasz zięć, pani - odpowiedziała Amaria cichutko, niemal mówiąc do siebie. Spuściła oczy, wbijając je w podłogę.

Księżna odczuła irytację. Jej głos zabrzmiał nader stanowczo.

- Pytam: któż to jest?

Domagała się jednoznacznej odpowiedzi. Teraz i bez zbędnej zwłoki.

- Ten, pani... No wiecie... Przybył dzisiejszej nocy do zamku.

Eleonora nerwowo zamrugała powiekami i otworzyła ze zdumienia usta. Już wiedziała.

- Kto?! Kto przybył?! - krzyknęła rozwścieczona, mierząc zagniewanym spojrzeniem służącą. Nie wierzyła własnym uszom. - On tu jest? Tutaj?

Akwitanka natychmiast podniosła się z krzesła. Wyprostowana jak strzała stanęła przed Amarią. Nie potrzebowała się więcej ogrzewać. Natychmiast poczuła w całym ciele niebywałe ciepło, które ogarnęło ją od stóp do głów. Twarz w mgnieniu oka przybrała żywsze kolory i fala wzburzenia przetoczyła się po jej dotychczasowej bladości. Jakby odzyskała dawny wigor, a nocne zmęczenie niepostrzeżenie umknęło. Nabrała werwy do działania i w jednej chwili stała się prawdziwą księżną, jaką była przez całe swoje życie. Władczą, czynną i nieulegającą przyziemnym smutkom. Zawsze aktywna, o nieposkromionej energii, umiejąca w odpowiednim momencie ujarzmić kaprysy i przyziemną, egoistyczną chęć używania, wznieść się na wyżyny rodowej ambicji, dumy i swojego przeznaczenia. Teraz doznała mocnego ukłucia w samo serce, podobnie jak wówczas, kiedy doniesiono jej o śmierci uwielbianego syna. Jakże może stanąć twarzą

w twarz z człowiekiem, który był dla niej uosobieniem wszelkiego zła i rozpusty?

- To znaczy, że ten łotr spożywa śniadanie w sali jadalnej?!

- Owszem, pani - odpowiedziała uprzejmie służąca. - Tam jest w tej chwili.

Eleonora oznajmiła bezceremonialnie:

- Czas zatem i na mnie najwyższy. Ja również będę się posilać przed dalszą wyprawą. - Zwróciła głowę ku skrzyniom. - Podaj mi suknię i płaszcz!

- Księżno moja kochana... czy na pewno jest to wam potrzebne? Czy koniecznie musicie się z nim widzieć? Niebawem ruszamy - przekonywała Amaria. - Nerwy w waszym przypadku nie są wskazane.

Akwitanka wyciągnęła rękę i wskazała palcem.

- Suknia!

Nie dopuszczała odmowy. Jej twarz była napięta, a gniew powodował ucisk serca. Amaria szybko podeszła do skrzyni podróźnej. Ze zdenerwowania wyciągnęła z kufra nie tę suknię, którą księżna sobie zamyśliła.

- Nie. Nie ta, Amario. Chodzi o tę z czerwonego aksamitu, podbitą futrem z popielic.

Służąca po chwili wydobyła właściwą i z szacunkiem rozłożyła ją na pościeli.

- O tak, tak, właśnie tę... Dziękuję. Wszak to prezent od Henryka. Będzie doskonała na spotkanie.

- Pani, ale doprawdy...

- Amario, zamilcz. Już za późno. Nie należało o nim wspominać. Ale skoro to uczyniłaś, to znak, że widocznie tak miało się stać. - Ponagliła: - Szybko, pomóż mi. Nie marnujmy więcej czasu.

Eleonora przy pomocy służącej uporowała się z garderobą, po czym, z niejaką trudnością, zapięła pod szyją złotą klamrę wszytą w szkarłatny królewski płaszcz, do którego żywiła szczególny sentyment, a który pamiętał czasy jej panowania na dworze w Winchester i Clarendon. Nie wydawała tylu pieniędzy co dawniej

na jedwabie, z których szyto dla niej zbyt kosztowne ekstrawaganckie suknie starannie obszywane mięciutkim futerkiem z popielic, z powłóczystymi ponad normę, sięgającymi podłóg obcisłymi i pięknie haftowanymi rękawami, które wystawały spod rękawów kosztownych wierzchnich sukni ciągnących się z tyłu. Zaprzestała trwonić pieniądze na płaszcze w intensywnie lśniących szkarłatach, podszyte futrami soboli i gronostajów. Teraz jej umysł zaprzętały sprawy całkowicie innego wymiaru. Dbała o siebie jak za młodu, ale ta dbałość o urodę, która była niegdyś niewypowiedzianą, a która przebrzmiała niczym wygasające uczucie, nabrała wyraźnie innego charakteru. Dworskie flirty, jako niecierpliwość młodości, były wszak poza nią, podobnie jak kokietowanie uległych, dokarmiających jej próżność mężczyzn, wpatrzonych w nią dawniej jak w jutrzenkę. Koncentrowanie się na własnej przyjemności oglądania w męskich oczach niekłamanego zachwytu, jaki wywoływała jej nieskazitelna uroda i olśniewająca postać, przeminęło jak poranna mgła bezpowrotnie.

W sali jadalnej – tej szczególnie ulubionej przez barona, na dole mieszkalnego donżona – rozstawiono stoły po obu stronach olbrzymiego kominka, aby gościom było ciepłej i mogli z przyjemnością spożywać liczne posiłki bez pocierania co chwila skostniałych z zimna palców. Było gwarno jak w ulu, a może nawet gwarniej. Pomiedzy stołami uwijali się paziowie i giermkowie, w pośpiechu dzielili mięsiwa i nalewali wino. Wesołość sięgała szczytu. Goście jedli, drwili sobie, stroili żarty i opowiadali anegdoty. Niektóre sprośne, niektóre pozbawione polotu, ale wszystkie zabawne. O dziwo, ludzie byli zadowoleni i odprężeni, jakby spali całą noc, a nie jedynie parę godzin. Rejwach był na tyle spory, że momentami musiano się przekrzykiwać. Panowała tu kordialna atmosfera, przerywana jedynie salwami rechotliwego śmiechu arcybiskupa Bordeaux. Wszyscy byli dla siebie wyjątkowo uprzejmi i wdzięcznie zachwalali potrawy i kucharzy barona.

Przy kilku pomniejszych stołach ustawionych na lewo od kominka zasiadło duchowieństwo niższego szczebla wraz z trzema dziesiątkami rycerzy, będącymi towarzyszami Guya de Ardalais'go. Natomiast przy największym, znajdującym się po prawej stronie, bogato zastawionym dzbanami z mocnym winem suto zaprawionym korzeniami rozsiedli się dostojnicy kościelni w randze biskupów. Obok arcybiskupa Bordeaux, po jego prawicy, zasiadł do stołu wyniosły z charakteru, wysoki, barczysty mężczyzna o pięknej smagłej twarzy, szerokim czole i szlacheckich, wyostrzonych rysach. Uwagę zwracał jego ostry, rzymski nos oraz przenikliwe, ciemne oczy, które spod ciemnych brwi iskrzyły tajemniczym blaskiem. Miejsce zaś po lewej stronie przypadło w udziale baronowi i jego kapryśnej małżonce, małej, tłustej baronowej. Nie było dziwne zatem, że senior rodu de Belerniey poszukiwał rozrywek, gdzie tylko mógł, ale z pewnością nie w małżeńskim łożu. Puste krzesło u szczytu stołu przeznaczono dla najwybitniejszego gościa. Czekало ono na księżnę.

Panowie tubalnym głosem śmiali się do rozpuku i wzajemnie częstowali się upieczonymi wczorajszego wieczora żurawiami. Mały prosiak nafaszerowany goździkami i szafranem, dostarczany regularnie z pobliskiej Nawarry, leżał na olbrzymim srebrnym półmisku naprzeciw nich. Nęcił zapachem równie mocno jak swoim apetycznym wyglądem. Spieczona skóra połyskiwała w blasku palącej się oliwy.

Baron klasnął głośno w dłonie i w tej samej chwili doskoczył do niego jeden ze służących, który miał za zadanie pokroić na równe części upieczoną dopiero co wieprzowinę. Młodziutki służący donosiły owoce pieczone w cieście i pachnące, świeże wafle, specjalny smakołyk często pojawiający się na stołach południowej Akwitanii i Gaskonii. Baronowa szczególnie gustowała w korzeniach roślin, przyrządzanych według starych gaskońskich przepisów. Musiały być one albo ugotowane w ziołowych wywarach, albo upieczone wraz z dziczyzną, aby można było poczuć ich specyficzny aromat.

Przybyły nocą gość z zaciekawieniem zerkał na młodziutki panienki, niewinne, ale i nadzwyczaj sprytne. Niejedna z nich chętnie dałaby się uwieść przystojnemu panu. Były głupie i mało doświadczone. Nie wiedziały, do czego zdolny jest ów przyjemnie i elegancko wyglądający mężczyzna z miłym uśmiechem na ładnej twarzy, ale o sercu zimnym i zdradzieckim. Rajmund uśmiechał się w duchu. Wiedział doskonale, jakie wrażenie wywiera na kobietach, czy to na tych szlachetnie urodzonych, czy też na tych z nizin społecznych. Jemu było zresztą zupełnie obojętne, którą z nich bierze do łóżka, byleby niewiasta była nadobną.

Donoszono kolejne dzbany wina, nie zapominano też jednak o chlebie i aromatycznych rybach. W tych stronach było to jedno z ulubionych dań szykowanych zarówno na poranne posiłki, jak i na długie wieczorne uczy przy muzyce i pieśniach.

Mężczyzna siedzący po prawicy Eliasza de Malemort, nie czekając na służących, nakładał sobie kolejne porcje smakowitych mięs i jadł z wyraźnym apetytem. Odrywał garści miękkiego chleba i maczał je w srebrnym pucharze wypełnionym winem z lodowatych podziemi Belerniey. Drugą dłonią co chwila wycierał dobrze przystrzyżoną brodę skrapianą winem i z przyjemnością wciągał powietrze pełne ostrych aromatów, aż mu w nosie kręciło. Był pobudzony i zadowolony. Nie przeszkadzało mu to, że mało spał i że czekał go kolejny żmudny dzień jazdy. Miał wprawdzie przed sobą długą drogę i musiał zdążyć na statek, którym zamierzał przepłynąć na Cypr, teraz jednakże wszelkie myśli o dalszej podróży odsunął od siebie, delektując się wyśmienitym posiłkiem, nie zamierzał bowiem odchodzić nienasyconym od stołu, przy którym uraczono go tak, jak na to zasługiwał dzięki swej godności.

- Jeszcze wina, arcybiskupie? - zapytał uprzejmie Rajmund, biorąc w dłonie wysoki dzban.

Baron de Belerniey poderwał się nagle, chcąc mu służyć pomocą, jakby zapomniał, że ma do tego całą armię służących. Żona

nieznacznie pociągnęła go za kaftan, chcąc zmusić do ponownego zajęcia miejsca przy stole, lecz baron niegrzecznie odtrącił jej rękę.

- Nie, nie... Siedź, baronie. Dam sobie radę z tym niewielkim dzbankiem. - Przybysz roześmiał się w głos i skierował twarz w stronę kapłana.

- Oj, to za dużo... jak dla duchownego. - Eliasz machał rękoma, jak gdyby się wzbraniał, ale zachowanie to nosiło w sobie cechy obłudy. - Zazwyczaj nie pijam takich ilości, ale co fakt to fakt, trzeba ci, baronie, uczciwie przyznać - odezwał się do gospodarza - wina to masz najlepsze! Dalibóg! Na całym południu równie dobrych nie znajdę, choćbym szukał i szukał. Spijcie mnie, panie. - Korpulentny Eliasz roześmiał się, zwracając się do sąsiada po prawej stronie: - Nie dam rady wsiąść do wozu.

- Nic wam nie będzie, arcybiskupie - odrzekł uspokajająco Rajmund. - Trudna droga przed wami, zima w górach już się zapewne na dobre rozpanoszyła. Nie wiadomo, kiedy dotrzecie do Kastylii. Baronie! - krzyknął nagle szlachcic do gospodarza. - Każ przygotować parę beczulek dla naszego duchownego.

- O tak, to całkiem dobry pomysł - ucieszył się nieskromnie arcybiskup.

Dumny z siebie pan na Belerniey odpowiedział z szacunkiem:

- Panie, wszystkiego wcześniej dopilnowałem. Beczki z winem zostały załadowane.

- Baronie, z całą pewnością doskonale się sprawiłeś. Znać, jaki z ciebie dobry i gościnny pan - odparł gość, kiwając głową na znak uznania, a po chwili dodał, zwracając się do Eliasza: - No, arcybiskupie, nie oszczędzajcie się. Będzie wam znacznie cieplej, jak dobrze popijecie tego prosiaczka, coście go prawie całego zjedli.

- No, no, panie, nie ja sam, ale wespół z wami. Gwoli ścisłości, obaj daliśmy mu radę.

- A czy my przypadkiem nie mamy teraz postu, arcybiskupie? - zapytał znienacka uśmiechnięty hrabia. - Że tak sobie dogadzamy tymiż wybornymi potrawami? Nie powinniśmy się ograniczać?

De Belerniey poczuł się zażenowany i zerknął spod byka na Eliasza de Malemort. O wszystkim pomyślał, ale o poście? Czyżby aż tak się zapomniał i przeoczył najważniejszy fakt? Zupełnie stracił głowę z powodu przyjazdu znamienitych gości. Zerknął groźnie na żonę. Czyżby i ona tak bardzo się zapomniała? Jednakże arcybiskup Bordeaux wybawił barona z kłopotu i zagadnął Rajmunda.

- Panie, a co wy tacy gorliwi zrobiliście się w naukach Kościoła? - zadziwił się, unosząc nad stołem dłonie ozdobione złotymi pierścieniami. Musiał uczciwie przyznać, że szlachcic bardzo go zaskoczył treścią postawionego pytania. Kto jak kto, ale ten człowiek wspomina o poście? Wszak szybciej spodziewałby się, że Chrystus w całej glorii zstąpi z niebios i przyłączy się do śniadania. - Dotąd nie były one waszą najmocniejszą stroną.

Hrabia nie przestając się uśmiechać, odpowiedział szczerze:

- W rzeczy samej.

Eliasz de Malemort kończył zaczęłą myśl:

- Takie wyśmienite śniadanie, a wy będziecie się, panie, postem kłopotać?

- Arcybiskupie, ależ broń Boże! - wykrzyknął Rajmund. - Daleki jestem od tego. Prawdę powiedziawszy, obawiam się jeno o wasze zbawienie - przyznał ze słabym uśmiechem na przystojnej twarzy.

Eliasz szybko przełknął i żeby nie dostać czkawki, niezwłocznie popił winem, po czym zwrócił się w stronę mężczyzny:

- Cóż za wspaniałomyślność z waszej strony. Powiem uczciwie... - szepnął mu na ucho - nie obawiam się o swoje zbawienie. Rozgrzeszenie dostanę, zapewniam was. Jakżeby inaczej? Bardziej boję się męczącego burczenia w brzuchu, ha, ha, ha! To nadto przykre - wyznał, rozglądając się za siebie, jak gdyby obawiał się, że służba może podsłuchiwać. - Po prawdzie, na post zawsze jest czas, dłużej niż dwie niedziele pozostały do Adwentu, zatem nie zanedbujmy tych oto bogatych, ku chwale Boga, dań, które tak nęcą, że mi ślinka leci i... - mlasnął rubasznie - nie może przestać.

- W istocie, arcybiskupie... To widać - zaśmiał się Rajmund, mrużąc ciemne oczy. Przechylił głowę w bok i podsumował: - Zatem nie oszczędzajmy się.

- Słuszne słowa, mój panie - zgodził się chętnie Eliasz.

Kiedy tak żartowali na zmianę i wymieniali się uprzejmościami, każdy mając w tym jednakże ukryty swój własny cel, w progu stanęła księżna. Radosny zgiełk spłynął na nią jak szturmowa fala. Surowo powiodła pańskim okiem po wielkiej komnacie. Jej pyszny wygląd z miejsca poderwał wszystkich obecnych na równe nogi - wszystkich z wyjątkiem jednego mężczyzny. Jakże blada i słaba wydawała się wszak terażniejszość, kiedy ją porównywano do przeszłości tej potężnej niewiasty! Baron podbiegł do niej, po drodze niemalże się przewracając. Pochwycił rękę księżnej i z należnym szacunkiem złożył tłustymi wargami serdeczny pocałunek na jej pomarszczonej dłoni.

Jedynie nocny gość nie przeszkadzał sobie i nadal połykał ze smakiem kolejne porcje mięs. Nie widział żadnego powodu, dla którego miałyby się zrywać jak pozostali i biec, aby ucałować dłoń starej kobiety. Nie wstał i nie pobiegł, lecz nadal tkwił przy stole i spokojnie raczył się doskonałym jadłem. Nie spojrzał w stronę, gdzie w pełnym majestacie stała księżna i z lekkim, zdałoby się wymuszonym uśmiechem na twarzy podawała kolejnym osobom dłoń do ucałowania. Niebawem przeniosła wzrok na niego, na jedyne go człowieka, który nie podniósł się na jej widok. Postąpiła krok naprzód. Spojrzała nań z obrzydzeniem, po czym, z wrodzonym dostojeństwem, ruszyła za baronem, który poprowadził ją do stołu, by zajęła należne jej miejsce. Kiedy usiadła, stojący nieopodal służący natychmiast podał jej kielich, a następnie nalał do niego schłodzonego wina. Zamoczyła w nim suche usta i przełknęła duży łyk. Odetchnęła głęboko. Rajmund nadal nie interesował się dopiero co przybyłą księżną, nie przerywał jedzenia ani nie podnosił na nią wzroku. Wlewał w siebie kolejne kielichy wina i nakładał na talerz naprzemiennie: to kawałki ryb, to znów soczyste części z upieczonego prosiaka. W pewnym momencie skinął na służącego, aby ten doniósł mu chleba.

- Hrabio, nie powitasz mnie? - odezwała się w końcu księżna. Jej głos był lodowaty jak wody Garonny w środku zimy, w której niechętnie zażywałby kąpieli.

Wszyscy podnieśli oczy na możną panią, a następnie przesunęli wzrok na szlachcica.

Mężczyzna zdawał sobie sprawę, że Eleonora zjawiała się w sali jadalnej głównie z jego powodu, a nie z potrzeby posilenia się przed dalszą drogą. Był przygotowany na zadawanie przez kobietę niewygodnych pytań, jednakże nie przejmował się ani nią, ani sprawami, o których zapewne chciała z nim porozmawiać. To była już przeszłość, która zupełnie go nie obchodziła. Teraz miał nowe plany i nowe potrzeby. Eleonora i jej problemy były daleko poza nim. Nie musiał więcej zabiegać o jej przychyłność. Nie mogła mu już zaoferować niczego, co mogłoby go ewentualnie zainteresować. Nie posiadała żadnego atutu, aby przyciągnąć uwagę możnego i potężnego szlachcica. Uzyskał wszystko, czego w swoim czasie oczekiwał.

Mężczyzna bez najmniejszego pośpiechu otarł brodę wierzchem dłoni, a następnie rzucił kości i garść spieczonej skóry pod stół, gdzie kilka baronowskich psów rzuciło się na nie jak oszalałe. Wyrywały sobie co większe kawałki i tarnosiły się niemiłosiernie. Rajmund wytarł oblepione tłuszczem palce w zwisający ze stołu barwny obrus, mimo iż postawiono obok niego miseczkę z wodą. W dalszej kolejności podniósł kielich pełen wina i - jakby od niechcienia - zwrócił swe czujne, przenikliwe oczy ku Eleonorze.

- Witaj, księżno. - Wykrzywił twarz w szalbierczym uśmiešku. - Jak przebiega twa podróż? Sądząc po ilości i jakości orszaku, mniemam, że wybornie. Czyż nie?

- Zaiste, w tym wypadku nie mylisz się. Oby wszystko przebiegło bez żadnych problemów, ale po drodze...

Szlachcic przerwał jej.

- A jak twoje zdrowie? - zapytał. - Czy nadal tak samo niezawodne jak i niegdyś?

Gdyby ktoś go nie znał, sądziłby, że pytania owe dyktuje mu prawdziwa troska, a Eleonora jest mu miłą i przyjazną. Ale kobieta wiedziała, jakiego przeciwnika ma przed sobą i nie uległa ani jego podstępnemu urokowi, ani wątpliwej trosce, którą zamyślał według niej roztaczać.

- Od kiedy tak się troszczysz o zdrowie niewiast? - rzuciła z sarkazmem. - Czyżby zmiana jakowaś nastąpiła u ciebie?

- Nie obrażaj mnie, pani. - Obruszył się, stwarzając fałszywe pozory. - Zawsze byłem czuły i wrażliwy, taką wszelako mam naturę.

- Doprawdy? - zadrwiła. - To zapewne całkiem od niedawna. Jakoś nie słyszałam, abys troszczył się o własną żonę.

- Którą, pani? - spytał z bezmierną arogancją.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że Akwitanka poczuje się dotknięta do żywego i o to mu właśnie chodziło. Chciał jej dopiec na każdym kroku. To był jego plan.

Eleonora przekrzywiła głowę. Bez dwóch zdań mierzył ją jego wygląd, jego odstręczający sposób bycia. Nie mogła znieść obecności hrabiego przy wspólnym stole, pomimo iż sama zeszła do komnaty jadalnej, nie zważając na przestrogi Amarii. Dlaczego tak bardzo go nienawidziła? Dlaczego wywoływał w niej tak wielką niechęć i wzbudzał taką odrazę? Czy naprawdę chodziło jedynie o jej córkę? Nie! Posiadał coś, na czym szczególnie jej zależało, a czego nigdy nie mogła zdobyć.

Kazała nałożyć sobie na talerz odrobinę pieczonej ryby i kilka sztuk wafli. Arcybiskup zamierzał zagadnąć barona w jakiejś mało istotnej kwestii, byleby tylko odwrócić uwagę siedzących przy jednym stole biesiadników od rozmowy pomiędzy księżną a hrabim. Przypuszczał, że nie będzie to miła wymiana zdań. Słusznie sądził, iż Eleonora nie zamierzała poddawać się i ustąpić z pola bitwy na słowa hrabiemu Tuluzy Rajmundowi. Była księżną Akwitanii i hrabiną Poitou, jak również była królową Franków i Anglii. Dotąd oddawano jej należną cześć jako królowej Anglii, matce obecnego angielskiego władcy Jana Plantageneta. Była to potężna i silna niewiasta,

niemająca sobie równych w całej Europie. Teraz pragnęła pokazać zniecierpliwionemu zięciowi jego miejsce i wyrazić swoje uczucia względem jego parszywej postaci.

- Wiesz którą, doskonale wiesz, zatem pytanie to ci nie przystoi.

- Pani, nie masz racji, mnie wszystko przystoi, jako że jestem hrabią Tuluzy. Dziwię się, że dotąd tego nie pojęłaś.

- Skądże znowu, wiem i doprawdy nie rozumiem, czym się tak chlubisz.

Rajmund z rozbawieniem odrzucił głowę w tył i wybuchnął gromkim śmiechem. Oparł się szerokimi plecami o oparcie krzesła i śmiał się na całego. Co też ona wygadywała! Cóż za hipokryzja! Wiedział wszak, że przez całe swoje życie Eleonora dążyła do tego, by przejąć na łono swej rodziny, swej dynastii olbrzymią część ziem rozciągających się na wschód od Akwitanii. Tak, było to jedno z jej wielkich marzeń o potędze dynastii. Jeden z wielkich celów jej życia. Tuluza! Za nią gotowa była oszukać, kłamać, zabić. Tuluza! Zrobiłaby wszystko, byleby odzyskać to, co należało niegdyś do jej rodziny. Tuluza! Co do tego nie mogło być najmniejszej wątpliwości.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - odezwała się Eleonora, usiłując nie zważać na hrabiowskie prześmiejki. Nabiła na srebrny widelczyk kawałek białego mięsa ryby i podniosła go do ust.

- Możesz powtórzyć, pani? - spytał, kiedy uśmiech zszedł z jego smagłej twarzy.

- Doprawdy to żalosne, Rajmundzie. - Odsunęła od ust rybę i odłożyła ją z powrotem na talerz. Odpowiedziała tonem, w którym uważny obserwator mógł wyczuć nutę kielkującego rozdrażnienia. - Mówiłam, że nie słyszałam, abyś troszczył się o swoją żonę, ostatnią żonę, a którążby inną?

Rajmund skrzywił się.

- Ach, o tę?

W tym momencie Eleonora dała się ponieść emocjom. Nabrała niezawodnej pewności, że człowiek ten nie zmieni się nigdy.

- W samej rzeczy, nikczemny psie, tę! - odezwała się z najwyższym oburzeniem.

Zebrani momentalnie podnieśli wzrok na księżną.

„Muszę panować nad sobą, ale jakże to czynić, kiedy ten szatan siedzi niedaleko mnie?!” - pomyślała, łapiąc szybki oddech.

Po prawdzie Eleonora Akwitańska starała się rozwiązywać wszelkie spory swoich wasali przemyślnie i rozważnie. W szlachetny, bezstronny, a zarazem umiarkowany i wyważony sposób wydawała opinie. Sprawowała również takie jak należy, rzeczowe sądy. Ba, nawet papieżom potrafiła się przeciwstawić, kiedy zagrażali jej osobistym interesom i w godny siebie, bezpretensjonalny sposób przedstawić własny, odważny punkt widzenia odnośnie swych małżeństw i słusznych oczekiwań z nimi związanych. Wszak wiedziała, że mądrość, którą posiadała, jest rzeczą najniezbędniejszą, jest ona bowiem pewniejszą aniżeli uroda. Jednakże teraz jej mocno pulsująca w żyłach gęsta, akwitańska krew - równie gorąca jak u jej dziada Wilhelma - aż zakipiała. Odezwał się w niej prawdziwy duch przodków, który przez całe życie jej nie opuszczał i pozwalał znosić najcięższe chwile, których nigdy w nim nie brakowało. Wybuch niekontrolowanej złości zdarzał jej się rzadko. Teraz jednak nie obchodziło jej, że poddani przysłuchują się prywatnej konwersacji i dość niestosowne jest wywlekanie na światło dzienne rodzinnych niesnasek. Księżna wiedziała zresztą, że każdy z tu obecnych słyszał niejedno na temat pogardy, jaką żywi do swojego zięcia i jak wielkim utrapieniem był dla niej ród de Saint-Gilles. Nie zmieniło tego nawet zamążpójście Joanny¹⁸.

- Dziwnie brzmią tak wulgarne słowa w twych ustach - zauważył szlachcic z wyszukanym spokojem.

Księżna zdążyła ochłonąć, dzięki czemu odpędziła precz ponure namiętności i powróciła do równowagi. Napłynęła zimna krew... Ale na jak długo?

- Które słowa? - spytała wyniośle. - Cóż cię, hrabio, mogło tak oburzyć?

- Dlaczego nazywasz mnie, pani, psem?

- To proste, Rajmundzie, wszak wyjaśnienia są zbyt proste, ale jeżeli sobie życzysz... Schlebiasz tym, którzy coś ci dają, obszczekujesz tych, którzy ci nic nie dają, a złych gryziesz.

Hrabia wyciągnął pod stołem nogi i odchylił w tył głowę, udając zdziwienie.

- Tak uważasz, pani? Jeśli dobrze sobie przypominam, to tobie szczególnie zależało, aby córka twoja wyszła za mąż za władcę Tuluzy. Czy wówczas nazywałaś mnie nikczemnym psem? Nie sądzę.

Wzruszyła obojętnie ramionami i odparła niby mimochodem:

- Mój głos wewnętrzny mnie nie zawiódł. Zawsze to podejrzewałam, a z upływem lat jedynie upewniłam się co do swych przewidywań. I jak życie pokazało, niezwykle słusznych, Rajmundzie.

- Nieprawda, księżno! - Potrząsnął gwałtownie głową, aż ciemne włosy opadły mu częściowo na czoło. - Nie byłem nikczemnym psem, kiedy posiadałem coś, na czym tobie zawsze zależało! - Powiódł spojrzeniem po sali i zatrzymał sępi wzrok na Eleonorze. Przymrużył ślepią i wycedził między zębami: - Tuluza była twym odwiecznym, niespełnionym marzeniem. Wszakże zabiegałaś o nią bezustannie! Czy to podczas pokoju, czy podczas wojen. Zawsze! Stała się twoją obsesją! - dokończył płomiennym głosem, jak gdyby namiętnie wypowiedzianą puentą zamierzał podsumować krótką przemowę.

Guy de Ardalais na dźwięk wzburzonego głosu hrabiego zaczął się podnosić i powoli dobywać miecza z pochwy. Sytuacja robiła się napięta.

Eleonora zauważyła odruch dowódcy, który zawsze gotowy był stanąć w jej obronie, choć akurat w tym momencie jeszcze nic złego się nie wydarzyło. Spojrzała wymownie na Rajmunda, po czym dała subtelnie znak dowódcy, by usiadł z powrotem na swoim miejscu.

Hrabia uśmiechnął się w duchu. Przypuszczał, że z tym człowiekiem nie poszłoby mu tak łatwo jak z nieopierzonym młodzieńcem podczas dzisiejszej nocy, nawet jeśli de Saint-Gilles był

przekonany o swojej tężyznie fizycznej. Pełen podziwu dla szybkiej reakcji osobistego strażnika Eleonory, rzucił półgębkiem:

- Pani, masz bardzo odważnego rycerza, choć... nie jestem do końca pewien, czy to odwaga, czy może głupota?

„Chociaż jedno i drugie to to samo” - pomyślał drwiąco.

De Ardalais poczerwieniał ze złości. Hrabia dopiekł mu, rycerz zaś, wierny Eleonorze, nie mógł przedsięwziąć żadnych kroków, ponieważ był pod rozkazami księżnej, a jej rozkaz był wyraźny. Rajmund przeczesał palcami włosy, które spadły mu na czoło, i złożył rękę na oparciu krzesła. Kontynuował bez dalszych przeszkód, nie zważając na upokorzonego dowódcę oddziału.

- To ty rozkazałaś memu ojcu¹⁹, aby ci ją zwrócił, powołując się na fakt, iż po twej babce Filipie²⁰ ona należy ci się z mocy prawa i urodzenia. Popraw mnie, jeżeli się mylę.

- Nie... nie mylisz się - odpowiedziała chłodno. - Cóż za niesłychana pamięć, hrabio!

Władca Tuluzy wykrzywił usta w grymasie.

- Księżno, daruj sobie te kpiny! - rzekł. Jej szyderstwa nie dotykały go. Był ponad nie. - Czyż nie robiłaś wszystkiego, by odzyskać ziemie na południu, które niegodnie odebrano Filipie, a o które twój gwałtowny z charakteru dziad nie zamierzał więcej zabiegać i w końcu zrezygnował z nich dla świętego spokoju?

- Bez wątpienia twoje słowa są prawdą - potwierdziła.

Rajmund prawil dalej:

- Czyż nie prosiłaś swego pierwszego męża, Ludwika²¹, a następnie drugiego, Henryka, by nie ustawali w wysiłkach i wywalczyli dla ciebie hrabstwo, które cierniem wbiło się w twe serce i nie pozwalało zapomnieć o sobie?

- No, cóż... - zaczęła Eleonora, ale hrabia nie pozwolił jej dokończyć.

- Byłaś gotowa poświęcić wszystko, byleby ono wróciło kiedyś do ciebie - uzasadniał. - Jakby niemożliwe pragnienie zdobycia Tuluzy

przesłoniło ci świat wokół i jednocześnie kierowało całym twym życiem!

- Zaiste... przez grzeczność nie zaprzeczę! - z jowiszową otwartością przyznała Eleonora, napinając szczękę. Odruchowo zerknęła na serdeczny palec swojej prawej dłoni, na którym tkwił złoty pierścień z cennym szafirem. Pogładziła kosztowny kamień i kierując powoli spojrzenie na szlachcica, odrzekła: - Jednakże nie tylko Tuluza przesłoniła mi świat.

Stanowczo i gniewnie patrzyła hrabiemu w oczy. Przesunęła powłóczyстым wzrokiem po obecnych, ale ci natychmiast przykuli oczy do talerzy i kielichów.

Baron machał krótkimi rękoma i wydawał nerwowe polecenia służącym, aby się nie obijali, jeno stale donosili kolejne potrawy na biesiadne stoły. Pragnął przynajmniej w ten sposób odwrócić uwagę obecnych od jego dwóch możliwych gości, którzy czuli się tak, jakby sami byli w sali jadalnej na zamku Belerniey. Z drugiej zaś strony zdawał sobie sprawę, że bogacze tego świata mogą więcej aniżeli inni. Wszystko im się wybacza, ponieważ to oni dyktują zasady i ustalają warunki, w jakich te zasady mają być skutecznie przestrzegane. To oni są potęgą. Reszta nie ma znaczenia. Nie liczy się, jest jedynie tłem, bladym tłem. Baron uświadomił sobie więc, że dopóki księżna z hrabią będą mieć ochotę omawiać przy stole stare sprawy, które ich w pewnym sensie łączą, nikt nie ma prawa im w tym przeszkadzać. A wręcz przeciwnie, należy umożliwić im swobodną, niczym niezakłóconą konwersację.

Baronowa w duchu szczerze się śmiała z rozwijającej się stopniowo sytuacji. Wszak miała na zamku mało rozrywek, a mąż poświęcał uwagę bardziej kucharkom niż jej samej.

Jedynie arcybiskup nie starał się przysłuchiwać tymże słownym utarczkom. Znał temat od podszewki i nie pociągał on go w ogóle. Przy stole miał ciekawsze zajęcia. Pilnował jedynie, by nie brakowało mu wina, mimo iż kilkakrotnie zaznaczył baronowi, że tym razem to na pewno ostatni kielich. Ale cóż, natura ludzka zmienną jest nie od dziś

i dotyczy to wszystkich, bez względu na pochodzenie i piastowany urząd.

- Pani, przez tę swoją nieodgadnioną żądzę i mrzonki zdobycia czegoś, czego i tak osobiście nie zyskałaś, jedynie córkę swą unieszczęśliwiłaś - dowodził szlachcic. - Poświęciłaś ją dla mojego hrabstwa!

- To moja wina, że ją podle traktowałeś? - zachnęła się Eleonora. Poprawiła się na krześle i wygłosiła swoją opinię, która zresztą niewiele Rajmunda obchodziła. - Odmówiłeś mojej córce wszystkiego, co było jej należne jako twej małżonce, poślubionej przed Bogiem!

Zdziwienie pojawiło się na przystojnej twarzy mężczyzny, który błyskawicznie zareagował:

- Pani, ale ja nie o tym mówiłem! - Przymknął ciemne oczy, lecz jeno na moment. - Będziemy teraz wywlekać na światło dzienne sprawy, które nie mają już żadnego znaczenia?

Eleonora zjeżyła się.

- Doprawdy uważasz, że nie mają?

- W rzeczy samej. Jakież to ma teraz znaczenie, jak traktowałem Joannę? Omówienie tego nic już nie da ani tobie, ani tym bardziej jej. Nie sądzisz? - zapytał, choć zadawanie tego rodzaju pytania było zupełnie bezcelowe. Sytuacja była jasna dla wszystkich. - Bezspornie obie wiedziałyście, że nie żywiłem do niej żadnych uczuć, choć, prawdę trzeba rzec, piękna była, zapewne dzięki tobie, jednakże prawdą jest i to, że nie takie piękności gościłem w swym łożu...

- Wystarczy! - przerwała ostro, ale po chwili zapytała zjadliwie, nie zważając na jego szczerze wyznania, które mimo wszystko musiały budzić odrazę: - Więc czemuś zgodził się ją poślubić?

- Ty wiesz, pani, dlaczego - rzekł bezpretensjonalnym tonem. - Nie będę przy tylu świadkach... wypominał ci twej zapalczywości i żądzę, która wszak była niepohamowaną w dążeniu do posiadania mojego hrabstwa... Choć czemu nie? Właśnie! Byłoby oszustwem zataić ów fakt.

Oskarżycielskim spojrzeniem wpatrywał się w zielone źrenice księżnej. Kobieta nie odwróciła wzroku, wytrzymała argusowe wejrzenie hrabiowskich oczu. Szlachcic przełknął ślinę. Nie powinien był tego mówić, ale...

- I tak wszyscy wiedzą, że sprzedałaś swą córkę, aby tylko Tuluza znalazła się w rękach twojej rodziny. Czyż mówię nieprawdę? - Przebiegł kłującym wzrokiem po obecnych, po czym skierował go na Eleonorę i rzekł z naciskiem: - Sprzedałaś ją jak byle jaką dziewczkę na ulicznym bizantyjskim targu! Nawet nie starałaś się tego ukrywać.

„Boże, każ temu psu cierpieć po wsze czasy!” - pomodliła się w duchu.

- Nie przypominam sobie, hrabio, byś narzekał, kiedy ci ją „sprzedawałam”! - odpaliła ogniście. Podniosła kielich z winem i z gorącą zawziętością dodała: - Niezaprzeczenie chętnie ją kupowałeś! Byłoby oszustwem zataić ów fakt.

Zmrużyła oczy koloru akwitańskich winorośli soczyście rozkwitających podczas wczesnej wiosny, kiedy wybudzają się one z zimowego uśpienia. Starala się zachować kamienną twarz, mimo że w duszy rozpętała się prawdziwa burza uczuć. Błyskawice szalały niczym ocierające się o siebie chmury, a grzmoty rozbrzmiewały na miarę silnego wybuchu ognia spadającego na ziemię pod wpływem wiatru i rozbicia skłębionych chmur.

- Zaiste... - wyrzekł z wolna władca Tuluzy, jakby zastanawiał się nad wagą każdego ze swych słów. - Zaiste... kupiłem, to prawda, bo przecież stosownie wynagrodziłaś me poświęcenie i zgodziłem się. Czy miałem wybór? Pewnie tak, ale, jak to mówią, brzęk monet jest słodszy od niejednego gorącego łona. - Uśmiechnął się chytrze i marszcząc brwi, spojrzał z byka na księżną. Serce wezbrało mu swawolą i piekielnym triumfem. Na jego twarzy pojawił się wyraz najbardziej zwodniczej uciechy. To był szczwany lis.

Eleonora знаła tę minę, która zawsze była dla niej odpychająca.

Wzajemne oskarżenia dwojga możliwych wywoływały skrępowanie wśród gości barona de Belerniey. Nikt jednakże nie śmiał przerwać

gorącej dysputy księżnej i hrabiego, raz przebiegającej z pozoru spokojnie, to znów burzliwej i nieokiełznanej. Lekki wiaterek owiewał twarze siedzących przy stole gości, by po chwili smagać je ostrym, nieprzyjemnym wichrem. Obecni spuścili głowy. Talerze i misy pełne parującego jadła donoszone przez służbę barona zapełniały stoły po obu stronach ogromniastego kominka i roznosiły świeży aromat pieczeni przesyconych wonnościami przypraw, które kręciły ostro w nosie.

- Dlatego zechciałeś pojąć za żonę Joannę? - spytała, nie mogąc powstrzymać się od uszczypliwej przymówki. - Że obiecałam ci pełne sakwy pieniędzy?

- A z jakiego innego powodu miałbym poślubić trzydziestoletnią kobietę? To już nie było pierwszej młodości dziewczę.

- Joanna była piękniejszą od wszystkich innych...

Rajmund zbaraniał. Zrobił wielkie oczy i zapytał zgryźliwie:

- I cóż z tego?

- Mogłeś się szcycić godną podziwu żoną z królewskiego rodu Plantagenetów! - atakowała Eleonora. - Nie każdy ma szansę dostąpić takiego zaszczytu i zostać zięciem samego króla Anglii.

- Księżno, nie wiem, jakże powinienem to najprościej ująć... - Wydał usta w zamyśleniu, zastanowił się chwilę, sprawiając wrażenie, jakby chciał grać na zwłokę, i odrzekł: - Mamy całkowicie odmienne założenia w tejże materii i nie przypuszczam, abyśmy w tej konkretnej kwestii doszli kiedykolwiek do porozumienia.

- Tak sądzisz? - spytała zaczepnie. - Jakoś nie miałeś tych, jak to nazywasz - tu parsknęła drwiąco, poprawiając siwe włosy pod zawojem - odmiennych założeń, kiedy zaślubiłeś mą córkę!

- Bez wątpienia. Czas niejedno odmienia, pani. Sama wiesz o tym najlepiej. W gruncie rzeczy Joanna była jeno kolejną niewiastą, którą poślubiłem, i miałem oczywiście szczere przekonanie, że będzie to w miarę udane pożycie, córka twoja jednakowoż nie spełniła pokładanych w niej nadziei.

Akwitanka obróciła głowę w bok i roześmiała się złośliwie.

- Może były zbyt wygórowane?

- Może ty, pani, miałaś zbyt wysokie mniemanie o córce? - odgryzł się Rajmund.

- Jakże możesz tak mówić? - fuknęła powodowana impulsem. - Wszak obdarzyła cię dziedzicem²²!

- Powtórzę raz jeszcze: I cóż z tego? - Pochwycił się za czoło, które przetaił, wzdychając. - Okazała się mdła i słaba. Nie takiej żony pragnie hrabia Tuluzy, nie takie były moje życzenia.

- To królewska córka! - odparła wyniośle stara kobieta. - Nie mógłbyś sobie życzyć lepszej i nie znalazłbyś lepszej.

Rajmund wyczuwał w jej głosie protekcyjną nutę. Podkreślała swą wyższość. Zawsze mówiła do niego, jakby stała na piedestale, a on, czołgający się poniżej jej stóp, zebrał o uwagę, której mu świadomie skąpiła.

- Nie życzę sobie, abyś przy mnie wypowiadał się o mojej zmarłej córce, a o swojej żonie w podobny sposób. - Po czym oznajmiła raz jeszcze z podniesioną głową: - Pamiętaj, że masz dziedzica dzięki mojej córce!

„Jakże mógłbym zapomnieć, skoro póki życia wiecznie będziesz mi o tym przypominać” - pomyślał, kierując jednak wzrok znad napełnianego przez służbę kielicha na Eleonorę, udał zdumienie.

- Chciałbym ci zwrócić uwagę, pani, że sama nie byłaby w stanie tego dokonać - wyjaśnił zjadliwie. - Inna kobieta zresztą również powiła mi syna.

- Ale jakoś żadnej z dwóch poprzednich nie udało się tego dokonać - nie ustępowała księżna. - Nie waz się uwłaczać pamięci Joanny!

- Dlaczego mam mówić jeno to, co tobie pasuje? - zadziwił się szlachcic. - Pani, zależało ci przede wszystkim na tym, by przejąć tak czy owak Tuluzę, bym nie złożył hołdu mojemu kuzynowi Filipowi Augustowi²³ i bym zapewnił Joannie dostatnie, obfitujące w luksusy życie, skoro twój syn Ryszard zmarnotrawił cały jej posag.

Chmura gniewu przetoczyła się przez pomarszczone czoło Akwitanki, a serce gwałtowniej zabiło. Podniosła do piersi dłoń, którą zdobił piękny pierścień z cennym szafirem. Całe opanowanie znikło zmiecione afektem.

- Jak śmiesz?! - warknęła jak ranny wilk pokazujący przy tym ostre kły. - Mówisz o moim synu! O królu Anglii!

Księżna mogła znieść wszystko: oskarżenia o bycie złą matką, o unieszczęśliwianie własnych dzieci, aby powiększać rodowe posiadłości, ale na wspomnienie o ukochanym Ryszardzie serce matki pękało. Na dźwięk imienia swojego ulubieńca ścisnęła impulsywnie dłonie. Zaiste, to prawda. Jedyńm dzieckiem, za którym rzuciłaby się w ogień, które było jej jedyną miłością, był Ryszard. Zaiste, tylko on sprawiał, że była szczęśliwa. Tylko on gotów był zrealizować wszelkie jej marzenia i niespełnione ambicje. Zaiste, tylko Ryszard. Wszak nikt inny jak tylko on byłby w stanie wyszarpnąć dla niej hrabstwo, którego nie potrafił zdobyć żaden z jej mężów. Zaiste, tylko Ryszarda kochała bardziej niż jakiegokolwiek mężczyznę, bardziej niż pozostałe dzieci, bardziej niż własną duszę!

- O byłym królu Anglii - burknął szlachcic z rodu de Saint-Gilles z perfidnym błyskiem w oku. - Jeżeli zaś chodzi o twoją córkę, to nie uwierzę, że kochałaś Joannę i że gryzł cię jej ciężki, twoim zdaniem, los.

- To było moje dziecko. Jakże mogłabym jej nie kochać?

Hrabia odpowiedział głośnym, szatańskim śmiechem. Zawisł on w powietrzu jadownicie i przygnębiająco. Zabrzmiał w uszach obecnych niczym tembr spiżowego kolosa. Odbił się od kamiennych ścian donżona i Eleonora odniosła wrażenie, jakby złośliwe duchy otoczyły ją z prawa i z lewa z szyderczym chichotem.

- Prawdą jest jedynie to, iż była twoją córką.

- Posuwasz się zdecydowanie za daleko! - syknęła złowrogo księżna z płonącymi oczyma. - Uważaj!

De Ardalais gotów był ponownie się zerwać, ale Eleonora mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Rajmund dokładał wszelkich starań, aby wyprowadzić kobietę z równowagi i nie ukrywał radości, kiedy udawało mu się osiągnąć zaplanowany uprzednio cel. Było to łechtające uczucie beztroskiej przyjemności. Natomiast Akwitanka usiłowała nad sobą panować. Kontrolować swoje zachowanie i pozostać twardą i niewzruszoną, będącą ponad prowokacyjne zachowanie szlachcica. Czy jej się udawało? W każdym razie wykorzystywała swoje doświadczenie życiowe i wkładała cały wysiłek, żeby unaocznić Rajmundowi, jaką pogardę czuje do niego, i udowodnić, że jego bezczelne wypowiedzi nie odnoszą zamierzonego skutku.

Była jednakże tylko kobietą i Rajmund potrafił umiejętnie grać na jej uczuciach. Był w tym mistrzem, choć przyznać trzeba, że Eleonora nie pozostawała w tyle i skutecznie się odgryzała. Wszakże i ona była mistrzynią.

- Gdyby rzeczywiście tak było, jak mi tu teraz starasz się wyłożyć, to nie pozwoliłabyś, aby poślubiła hrabiego Tuluzy. Znałaś mnie i moje zwyczaje.

- Hrabio, bardzo się starasz, aby wszyscy w odpowiednim czasie zdołali je poznać.

Rajmund nie łamał sobie głowy opryskliwością Eleonory.

- Ale ty miałaś, księżno, za nic jej uczucia - klarował. - Ta pogoń za mrzonkami zrujnowała życie twej córce. Twoim celem było jeno odzyskanie Tuluzy. Nieważne, w jaki sposób, byleby marzenie z młodości wreszcie się kiedyś ziściło. - Jego twarz zdawała się twarda jak skalny głaz. - I proszę, nie zaprzeczaj!

Na Boga! Jakże gardziła tym obleśnym hrabią! Miała nieprzepartą ochotę kazać go wychłostać i patrzeć z przyjemnością, jak ta jego hrabiowska, plugawa krew będzie ściekać z porozcinanych pleców, aż zrobi się wielka, krwawa kałuża. Wszelako z drugiej strony wszystko, co mówił, było prawdą. Przytłaczającą i dokuczliwą, ale jednakże prawdą. I to właśnie Eleonorę bolało najbardziej. Nie mogła, nie powinna mu okazać, iż ma on całkowitą rację. Lecz czyż nie było faktem, że żądza posiadania Tuluzy zaślepiła ją i skutkiem tego

poświęciła własne dziecko, aby zapewnić dynastii hrabstwo? Nie mogła znieść, że ten parszywy pies otwarcie o tym rozprawia.

„Cóż za nieszczęście, cóż za przekleństwo losu, że Tuluza znalazła się w jego niegodnych łapskach... Ale dzięki Bogu przejdzie ona za jakiś czas na mojego wnuka, syna Joanny” – pomyślała z ulgą. I myśl, ta myśl jeno ją radowała, była jej pocieszeniem, nadzieją na przyszłość. Bądź co bądź spełni się jej odwieczne – jak mawiał hrabia – marzenie o posiadaniu Tuluzy. Jeżeli nie w jej rękach osobiście, co się z wielkim prawdopodobieństwem nie zdarzy, to przynajmniej wróci do jej rodziny za sprawą wnuka Rajmunda Młodszeo. I oby jak najprędzej! Boże, dopomóż!

– Ty, będąc mężem, powinieneś właściwie zadbać o żonę i otoczyć ją opieką oraz miłością, na jaką w pełni zasługiwała. – Kobieta nie dawała za wygraną.

– No, no, z tą miłością to już chyba przesadziłaś, księżno. Nie po to hrabia ma żonę, żeby ją kochać. Ja uczyniłem to, co uznałem za stosowne. A ty, pani... czy spytałaś Joannę, czy chce mnie poślubić?

Eleonora zrobiła wielkie oczy.

„A o co miałabym pytać?” – pomyślała zdumiona.

Dała znak baronowi, by nalano jej wina, i odpowiedziała Rajmundowi z wyższością:

– Nie było takiej potrzeby. Joanna nie miała nic do powiedzenia, jak zresztą żadna z moich córek. Jej zdanie nie zmieniłoby niczego. To racja stanu rządzi i wymaga poświęceń dla korony, dla rodziny. Królewskie córki są posłuszne woli rodziców.

– W istocie, ale nie wzięłaś pani pod uwagę jej zdania... – Patrzył na nią, mrugając oczyma przy jasnym blasku palącej się oliwy. – Czy w ogóle mogła zdecydować jako dorosła kobieta o czymkolwiek więcej aniżeli wówczas, kiedy jako małe dziecko wysyłaliście ją na Sycylię, żeby tam poślubiła pierwszego męża? – pytał bez przekonania. – Wówczas nie mogła podejmować samodzielnych decyzji, ale później... Uważam, księżno, że...

Eleonora z przekąsem zerknęła na hrabiego i szybko ucięła:

- Twoje zdanie zupełnie mnie nie interesuje.

- No cóż... jak zwykle - odrzekł uszczypliwie Rajmund. „Przecież nie mógłbym oczekiwać niczego innego”, pomyślał i dokończył zdanie:

- Gdybyś ty, pani, bardziej przejmowała się dobrem własnej córki aniżeli moim dziedzictwem, i nie kazałabyś jej mnie poślubiać, to zapewne inaczej potoczyłoby się życie Joanny.

- Nie twoją sprawą jest to oceniać.

- No, myślę, że jednak moją, skoro twa córka była przez trzy lata moją żoną.

Joanna nie miała szczęśliwego życia. Ale któż je miał? Czy liczy się miłość, czy władza i posiadanie? Czy królowa, księżna, hrabina może marzyć o szczęściu i miłości? Eleonora jako niezaprzeczenie mądra, biegła w sztuce rządzenia i doświadczona przez życie kobieta wiedziała, jaką wybrać odpowiedź.

- Odebrałaś jej niezbędne środki do życia - postanowiła ugryźć go od innej strony. - Przybyła do Rouen bez grosza przy duszy! Płakała i żaliła się na biedę, w jaką wpędziła ją nierozważnymi posunięciami.

- Powinnaś to, pani, nazwać szalonym kaprysem swej córki!

- Jakże pięknie potrafisz mieć językiem - odrzekła, z posępnym spojrzeniem kiwając głową z boku na bok.

- Te nienasycone potomkinie królów! - sapnął z widoczną niechęcią pan na Saint-Gilles. - Wiecznie mało i mało. Nigdy im człowiek nie dogodzi. Widocznie nie dysponowałem takimi środkami, jakich domagała się twoja córka - wywodził. - Zbyt wymagająca była, podobnie jak i ty jesteś. Żałuję, ale królem Sycylii to ja nie jestem, stąd i prawdopodobnie żale Joanny. - Wzruszył ramionami.

„A ty zawsze jeno użalasz się nad sobą - pomyślała z kpina stara kobieta. - Biedny Rajmund...”.

- Ale hrabią Tuluzy! - rzekła dosadnie. - Sądzę, że zdecydowanie bogatszym niżli sam król wyspy.

- Trudno mi tego dociec. - Rajmund był uparty jak muł. Odciął się księżnej: - Skoro Joanna była w ciężkiej sytuacji, jak to określasz, to należało się nią zająć. Wszak była twoją córką.

- A twoją żoną! - zręcznie zripostowała Eleonora. - Nie zapominaj o tym.

- Jakżebym mógł! Na okrągło mi to przypominasz, pani - odparł, przesuając prawą dłoń po oczach w geście niewymownego znużenia. - Od kiedy tylko się tu zjawiaś.

*

Dziewczęta służebne były wniebowzięte. Hrabia Rajmund wręczył każdej z nich po dwa solidy. Patrzyły radośnie na niego i na monety, które znalazły się w ich spracowanych dłoniach. Posłusznie kiwały głowami, kiedy możny pan przykazywał im zająć się małą dziewczką, którą przyprowadził do zamkowej kuchni. Od dobrej godziny były na nogach i jak to było przyjęte w zwyczaju, zaczęły szykować się do wyrabiania ciasta na poranny chleb. Zerkwały zalotnie na przystojnego hrabiego i nie całkiem dokładnie słuchały, kiedy tłumaczył im, że dziecko ma być gotowe na rano. Przywoła ją podczas śniadania, musi zatem być wówczas czysta i schludnie ubrana.

Rajmund wyszedł, a służące, odprowadziwszy go rozanielonym wzrokiem, przyjrzały się dwunastoletniej dziewczynce. Jej wygląd był upiorny. Dziewczęta zaczęły się podśmiechiwać. Dziecko było ubłocone i cuchnęło na odległość niczym świnia. Włosy miało pozlepiane, jakby wsmarowano w nie tłustą maź.

Mała Ria, lepka i czarna od brudu, stała przed nimi w podartej sukni, posiniaczona i z wielką żalością patrzyła, jak się z niej śmieją i drwią na całego. Trzęsa się jeszcze w powodu niedawnych wydarzeń, a teraz doszły nowe upokorzenia. Tu, w kuchni, nie mogła czuć się lepiej. Była bezbronna, rozdygotana, jak zawsze osamotniona, wystawiona na ludzkie pośmiewisko.

- Dość, dziewczęta! Za co dostałyście pieniądze? Za stanie i głupie uśmieszki? Szykować szybko banię! - rozkazała pannom pulchna, niska kobiecina, Gerberga, która dopiero dziś pierwszy raz

miała okazję ujrzeć Rię na własne oczy. Parę razy zdołało się jej obić o uszy, że jakieś osierocone dziecko wzorem dzikiego zwierza podkrada się i zabiera odpadki przeznaczone dla świń, ale nigdy nie udało jej się ani dostrzec, ani złapać dziewczynki.

Ria płochliwie zerknęła na starszą służącą, która miała najwyraźniej posłuch u młodszych kobiet. Wydawała się miłą i przyjacielską.

Dziewczęta, ostro skarcone przez dowodzącą nimi kobietę, bez ociągania przytargały średniej wielkości banię z pomieszczenia obok. Na kominku w obu cedrach woda była już wrząca, wobec czego pośpiesznie zaczęły ją przelewać. Ria stała drętwo i patrzyła na zgrabnie uwijające się dwie młode służące. Jedna z nich podeszła do dziewczynki.

- Rozbieraj się z tych brudów.

- Ależ ona cuchnie! - zaczęła pastwić się nad dzieckiem wyższa z nich. - Gdzieś ty była?

Ria milczała.

- Jak to gdzie? - Panny służebne zaśmiały się. - Ze świniami się zabawiała. - Szydzą bez litości i umiaru.

Wielkie jak grochy łzy spływały po twarzy dziewczynki. Bała się cokolwiek powiedzieć. Było jej zimno, była śpiąca, głodna i wyczerpana. Bez pośpiechu, z widocznym lękiem i wstydem na twarzyczce, zsuwała z ciała złachmanioną, podartą suknię. Nieprzyjemna służąca ze złością uszczypnęła ją w ramię.

- Szybciej, brudasie. Nie mam czasu!

Ria syknęła z bólu.

- Nie myśl, że ja będę dotykać te brudy! - nie omieszkała wspomnieć.

Dziewczynka miała siniaki na całym ciele i była niemiłosiernie brudna. Płonęła ze wstydu. Nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Najchętniej uciekłaby stąd jak najdalej. Wszak jeno to umiała.

- Mówię: szybciej! - Służąca była niewzruszona stanem dziecka. Nie zważała na jej skrzępowanie i odczuwany ból.

Tymczasem poczynano się rozwidlać. W zamkowej kuchni pojawiały się kolejne kucharki i służące. Niektóre wpadały do niej rozweselone, a inne ledwo powłóczyły nogami. Ziewały i rozciągały ręce na boki, chcąc rozprostować zaspane ciała. Była późna jesień i każdy o tej porze dnia wolałby spać w swoim łóżu i nie wychylać głowy w przejmujący chłodem poranek. Praca jednakże nie mogła czekać, a baronostwo i jego goście poczują niedługo burczenie w żołądkach. Czas zabierać się do roboty! Hrabina nie lubiła leniwych dziewcząt, bo z takimi były wieczne kłopoty.

- Jestem taka zmęczona... - mruknęła najmłodsza z nich i z miejsca przysiadła na najbliższym krześle. - Najchętniej spałabym dalej.

- To trzeba było spać, a nie biegać pomiędzy przyjezdnymi - śmiały się inne. - I po co ci to było? Jakoś nikt nie zwrócił na ciebie uwagi.

- Jesteście tego pewne? - spytała tajemniczo, po czym ze swawolnym uśmiechem odchyliła szarą koszulę.

Z dumą okazała dziewczętom zaróżowione, okrągłe ślady na szyi. Panny służebne zaczęły się tłoczyć przy rumianej służącej. Każda usiłowała dojrzeć widoczne dowody nocnych uniesień miłosnych. Niektóre parskaly śmiechem, inne z niedowierzaniem kiwały głowami. Jedne były zazdrosne, a inne dziwiły się jej lekkomyślności, która z czasem mogła spowodować, że sprawy przybiorą nieoczekiwany obrót.

- No, no, uważaj, żebyś niedługo nie pokazywała nam wielkiego brzucha - rzuciła ze śmiechem Gerberga. - Wtedy dopiero będziesz dumna co niemiara, a wraz z tobą nasza baronowa.

Reszta dziewcząt zawtórowała najstarszej służącej.

Ria rozebrała się. Otuliła się drobnymi ramionami jak niewidzialną tkaniną. Czekala cierpliwie, kiedy pozwolą jej wejść do bani z gorącą wodą.

Tymczasem gdy służące przestały wreszcie naigrywać się z zakochanej panny, z miejsca znalazły sobie inny cel drwin. Zwróciły

zaciekawiony wzrok na stojącą nago dziewczynkę. Z odrazą wytykały ją palcami.

- Jakaż ona szpetna! - prześmiewały się zniesmaczone. - Cóż ona ma na głowie?

- Jakaś ty brudna! - Wykrzywiały się ze wstrętem.

Ria istotnie wyglądała, jakby wyciągnięto ją dopiero co z błota albo z łajna. Zdawała sobie sprawę, że jej widok wzbudza obrzydzenie. Zawsze to wiedziała i dlatego unikała ludzi, chyba że... oni ją łapali. Ale wówczas zawsze potem... krzywdzili.

Wtem do akcji ponownie wkroczyła niska, pulchna kobiecina, Gerberga.

- Zabierać się do roboty albo ja was wszystkie tak wyszykuję, że będziecie gorzej wyglądać od tej małej. - Machała rękoma, próbując rozgonić dziewczęta. - No już-już, wynocha mi stąd... Napatrzyłyście się? A teraz do roboty, moje panny. - Chwyliła Rię za rękę i pomogła jej wejść do bani.

Dziewczynka wsunęła stopę. Momentalnie głośno krzyknęła. Woda była wrząca. Gerberga w mig sprawdziła jej ciepłość, po czym zawrzała gniewem na uczuciową obojętność służących.

- Wy głupie! - wrzasnęła. - Nie dolałyście zimnej wody? Gdzież podziałyście rozum?

Dziewczęta zaczęły się podśmiechiwać, a Gerberga rozzłościła się na dobre. Nie czekając, aż służące zabiorą się za dolewanie, złapała duży sagan. Czym prędzej nabierała lodowatej wody z wielkiego cebra i przelewała ją do przygotowanej dla Rii bani.

- Oj, ja was urządzę, moje panny. Tylko się z nią uporam - zapowiedziała ostro, po czym obróciła ku nim głowę. - Cóż ja mówiłam!? - ponownie krzyknęła z płomieniem w oku. - Wynocha! Do roboty!

Służące z miejsca rozpięchły się niczym kurczaki po dziedzińcu. Zajęły się pilnymi obowiązkami i przestały zwracać uwagę na cuchnące straszidło.

Po chwili Gerberga pomogła dziewczynce raz jeszcze wejść do bani. Ria tym razem niezwykle ostrożnie wsunęła stopę do wody. Była ona ciepła. Po chwili nieśmiało, aczkolwiek z uczuciem wielkiej przyjemności, zanurzyła się w niej cała. Poczwała się błogo jak nigdy w życiu, bo też nigdy w życiu nie było jej dane kąpać się w ciepłej wodzie. Kobięcina ze wzruszeniem przyglądała się małej brudasce, która była ogromnie zawstydzona.

- Wstań, dziecko, umyję cię - zaproponowała miło.

Ria spojrzała na nią. Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy. Nie chciała, aby ktokolwiek dotykał jej ciała, a tym bardziej ją mył.

- No wstań, muszę cię umyć - powtórzyła delikatnie. - Ty nie zrobisz tego, jak należy.

Widząc, że dziecko nie reaguje, pociągnęła ją czule za rękę. Dziewczynka opierała się, ale w końcu, po cierpliwych namowach, usłuchała kobiety, która była dla niej wyjątkowo dobra, i stanęła. Gerberga, chcąc zmyć brud, zaczęła pocierać szmatką jej mizerną buzię i ciało. Udawała, że nie czuje unoszącego się wokół smrodu, choć ten niemiłosiernie drażnił nozdrza. Na drobniutkich dziewczęcych piersiach zauważyła podłużne blizny. Kiedy doszła do brzucha, ujrzała to samo. Jakby cięto ją nożem. Ślady były stare, niektóre zgrubiałe, brzydkie.

- Obróć się, moje dziecko - przykazała cicho, dotykając łagodnie jej kościstych pleców.

Dziewczynka nie oponowała. Pogodne i uspokajające spojrzenie Gerbergi koło jej wstyd i wszelkie obawy. Wcześniejszy strach rozpułynał się. Służąca obejrzała ją całą dokładnie. Nie chciała sprawiać dziecku dodatkowego bólu, zatem dotykała ją delikatnie. Życie do tej pory nie oszczędzało dwunastoletniej sieroty. Bezustannie zadawało jej rany, a one wrzynały się w jej żywe ciało. Zostały zasklepione; mimo że blizny były wrażliwe niby żywe mięso, nie krwawiły śmiertelnie.

Gerberga delikatnie rozchyliła jej chude nogi. Dziecko poddało się jej.

- O Panienko Przenajświętsza! - wyrwało się nagle służącej.

Natychmiast podniosła głowę i spojrzała na dziewczynkę. Twarz Rii nie wyrażała żadnych emocji. Nie znać na nim było trwogi, jeno smutek i zmęczenie. Gerberga raptownie, bez namysłu, przysunęła ją do siebie. Po macierzyńsku mocno objęła, muskając ustami dziewczęce czołko. Tulila osieroconą dziewczynkę do swoich obfitych piersi, nie zważając, że Ria ocieka wodą.

- Biedne dziecko! - szepnęła ze współczuciem.

*

Rozmowa księżnej i hrabiego prowadziła donikąd. I po cóż o tym rozprawiać? Rajmund demonstracyjnie okazywał znudzenie i ziewał nieprzystojnie. Miał nadzieję, że odstręczy tym kobietę, ta jednak nie zważała na pokazowe zachowanie interlokutora. Ostatecznie uznał, że żale Akwitanki są jak męczący ucho warkot kołowrotka.

Kobieta pragnęła wypomnieć szlachcicowi wszystko to, o czym dowiedziała się z ust umierającej córki i od wiernych jej ludzi. Nienawidziła hrabiego równie mocno, jak pragnęła jego ziem. Pasja i żądza niezmiennie towarzyszyły jej podczas długiego życia. Sprawiały one mianowicie, że potrafiła odnaleźć w sobie dość sił, aby stawić czoła wszelkiego rodzaju przeciwnościom losu, albowiem najtrudniejszym było spokojnie je znosić. Jednakże dzięki determinacji nauczyła się dzielnie je przewycięzać, ponieważ zdolna była powalić zły los na kolana i odnieść triumf. Niczym nadchodzący niespodziewanie, z ogromną siłą wicher, który potrafił zmieść wszystko na swojej drodze. Dziś naprzeciwko niej niespodzianie stanął władca Tuluzy. Wykorzystując okazję, postanowiła wytknąć mu wszystko i oczekiwała w związku z tym rozsądnych wyjaśnień, do których on wszelako nie kwapił się.

- Nakłoniłam Jana, aby wypłacał swojej siostrze, a twojej żonie roczną pensję w wysokości stu marek - oznajmiła Eleonora ze zjadliwym grymasem na twarzy. - Inaczej gotowa była umrzeć w zupełnej nędzy.

- Ha, ha, ha - gruchnął śmiechem Rajmund. - Córka i siostra króla w nędzy?

„Czy ona naprawdę ma mnie za takiego głupca?” - pomyślał szybko i rzekł:

- Pani, pleciesz takie bzdury, że wywołuje to mój prawdziwy niepokój. Czy to starość daje o sobie znać w tak przykry sposób?

Akwitanka puściła uwagę hrabiego mimo uszu. Baron de Belerniey w tym samym momencie począł niezdrowo chrząkać. Hrabia zerknął na pochrząkującego gospodarza, który najwyraźniej starał się przeszkodzić im w dyskusji.

- Baronie - zwrócił się do właściciela zamku - skoro złapał cię nagły kaszel, to wyjdź... i wróć, kiedy on minie.

De Belerniey pochylił głowę i bez większej zwłoki odszedł na stronę.

Władca Tuluzy przeniósł spojrzenie na księżną i oznajmił obojętnie:

- Ty jako matka powinnaś jej tę pensję wypłacać. Wszak wszystkim jest wiadome, że jesteś bogata jak mało kto!

Eliasz de Malemort oderwał kawał piersi z doniesionych przed momentem kuropatw nafaszerowanych bogato kolendrą, a następnie łypnął okiem na Eleonorę. Zauważył jej niewielkie zmieszanie, ale trwało ono jeno krótką chwilę. Księżna szybko zapanowała nad sobą - w tym też była mistrzynią, niemającą sobie równych. Arcybiskup Bordeaux nie mógłby spodziewać się niczego innego. Przewidział to. Dumnie odpowiedziała:

- Całą swoją ruchomą własność rozpisałam znacznie wcześniej, zanim dowiedziałam się o kłopotach Joanny.

- To wszystko wyjaśnia - odparł z sarkazmem szlachcic. - Lepiej obcym aniżeli swoim... Nie mówisz mi całej prawdy, pani. Poznałem

w stosownym czasie treść testamentu Joanny i rzecz wyglądała zgoła inaczej.

- Doprawdy? - Zdziwienie niczym fala morska rozlało się na jej pomarszczonym licu. - Doniesiono ci o tym?

Judaszowy uśmieszek przemknął po twarzy Rajmunda.

- Że też pytam - burknęła. - W końcu wszędzie masz szpiegów.

Hrabia z niesmakiem pokręcił głową.

- To tak jak ty, pani - odparował. - Chyba nie powinnaś być zdziwioną.

Księżna pominęła milczeniem jego uwagę. Władca Tuluzy podjął nową myśl:

- To niezwykle zastanawiające...

- Cóż takiego mogło tak rozbudzić twą ciekawość, hrabio? - mruknęła z pogardą Eleonora.

- Joannie nie mogłaś wypłacić ani jednej marki, a ona tobie, jak prawdziwie dobra córka, nie tak już bardzo dobrej matce, zapisała na cele dobroczynne, dla ubogich i na budowę kuchni w Fontevraud aż trzy tysiące marek. - Rajmund ze zdumienia rozłożył ręce, po czym oparł je na udach. Jeden z psów wychylił spod obrusa łeb i położył go również na hrabiowskim szerokim udzie. - Niewiarygodne!

- I to cię aż tak zdumiewa? - zakpiła.

Rajmund pieszczotliwie pogładził wielki łeb zwierzęcia i wsunął mu do pyska pieczone udko kuropatwy. Pies złapał mięso i z powrotem schował się pod stół.

- W istocie, pani - przytaknął niezwłocznie. - Okazuje się bowiem, że Joanna posiadała pieniądze, a pomimo tego żaliła ci się na mnie. Cóż za kobieca przewrotność. Choć szczerze muszę przyznać... okazała się nieodrodną córką swej matki.

Baronowa zerknęła na księżną, podobnie jak inni biesiadnicy. Akwitanka usiłowała nie zwracać na nich uwagi. Przełknęła wyrzut pana na Saint-Gilles i milczała jak zaklęta. Guy de Ardalais gotowy był jak poprzednio stanąć w obronie matki króla, ale Eleonora umiejętnie studziła jego porywczosć.

- Pani, masz do mnie całkiem nieuzasadnione pretensje. I naprawdę trudno mi dociec, z jakiej przyczyny. Chciałaś, bym poślubił twoją córkę i stało się - wyjaśniał, jakby nie miała świadomości tych faktów. - Chciałaś, by nasz syn, zrodzony z tego nieudanego małżeństwa, dziedziczył po mnie Tuluzę. I tak się stanie, dzięki woli twojej i moze Boga. Niczego więcej nie obiecywałem. Nadal ci mało? Czegóż jeszcze chcesz, pani?

Księżna ciężko westchnęła. Oboje na zmianę przerzucali się wzajemnymi uszczypliwościami i szyderczymi zaczepkami. Stara kobieta dała znak stojącemu obok służącemu, by ten podał jej kawałek ciasta.

- Czy wiedziałeś, że Joanna wydała przez cesarskie cięcie drugiego syna? - zapytała znienacka.

- Przekazano mi, jak również i to, że wówczas zmarła - mówiąc to, hrabia sięgnął po kielich. Nie był specjalnie przejęty. - Czy prawdą jest, że przed śmiercią przyjęła święcenia i została mniszką? Czy to było możliwe w jej sytuacji?

- Stało się tak zgodnie z jej ostatnią wolą, ponieważ bardzo tego pragnęła - odrzekła ponuro kobieta. - Arcybiskup Canterbury²⁴ spełnił jej życzenie, uznał bowiem, iż pragnienie byłej królowej Sycylii jest tak niezwykłe, iż musi pochodzić od Boga.

- Niewątpliwie - mruknął. - Mojego drugiego syna ochrzczono imieniem Ryszard? - zapytał lekceważąco.

Księżna zadziwiła się.

- Po cóż pytasz, skoro przekazano ci te wieści?

Rajmund zignorował zapytanie Eleonory i niezwłocznie przeszedł do spraw, które go interesowały.

- Jakże w ogóle komuś mógł przyjść do głowy podobny pomysł? - dociekał. - Czystym szaleństwem było dawać imię po wuju, który nie miał poważania ani dla ludzi, ani dla ich życia. To był zwykły rozbójnik! - stwierdził z chłodnym wejrzeniem. - Ani mąż, ani król, choć przyznać uczciwie muszę, iż był bardzo pomysłowy. Czyż to nie on głosił bez żenady, że sprzedałby nawet Londyn, gdyby tylko znalazł

nabywcę? Czy policzyłaś kiedykolwiek, pani, ileż on razy był w kraju, którym władał? Nawet nie znał języka królestwa, które przypadło mu po śmierci ojca!

Natychmiast w całe ciało Eleonory Akwitańskiej jak gdyby wstąpiło życie demona.

- Zamilcz! - ryknęła, rzucając z wściekłością ciasto na talerz. Mózg pulsował jej tętniącą krwią. Tego już było za wiele. - A ty masz poważanie do kogokolwiek, obłudniku jeden? Co ty wyrabiałeś, hrabio, w klasztorze obok swojego zamku w Saint-Gilles?

- Księżno, to... błędy młodości - zadrwił Rajmund i przetarł palcem ciemne brwi.

- Doprawdy? To czemu stale je popełniasz, skoro młodość twa już przeminęła?

Szlachcic przewrócił oczyma, ale nie czuł się w obowiązku, aby udzielić rozsierdzonej księżnej odpowiedzi na to pytanie.

- Nie twoją sprawą jest rozliczanie mojego syna ani kogokolwiek z mojej rodziny! - wrzała, patrząc kątem oka na rękojeść miecza Ardalais'go. - Zabraniam ci tak mówić! Nie jesteś godzien wypowiadać jego imienia! - Po czym natychmiast zwróciła się ostro do Guya: - Siadaj! Dam sobie sama radę! Jak i do tej pory dawałam!

Cyniczny uśmieszek przebiegł po hrabiowskiej twarzy. Rycerz usiadł. Nie było mu dane rozprawić się z hrabią, który co rusz drażnił księżną, podobnie jak to czynił z kapłanami z kościoła w Saint-Gilles. Jej nienawistne, pełne wściekłości spojrzenie skrzyżowało się z drwiącym, całkowicie lekceważącym wzrokiem hrabiego. Wytrwałość i nieokiełznany temperament zetknęły się z butą i demoniczną przebiegłością. Dwie potęgi tej epoki ścięły się ze sobą jak dwoje dzikich zwierząt walczących na śmierć i życie. Tylko wytrwalsze i bardziej zapiekłe, by przetrwać, wygra ten pojedynek i odniesie miazdzące zwycięstwo. Tylko silniejszego owieje gloria estymy. Jakby piorun oświetlił salę jadalną, a po chwili zgasł równie szybko, jak się pojawił, rozsypując wokół iskry chwilowego błysku. Eleonora

zapanowała nad sobą, wzburzenie opadło niczym światło dogaszającej się pochodni. Zadała pełne goryczy pytanie:

- Dlaczego nie byłeś na pogrzebie swej żony?

Nie udało jej się zaskoczyć hrabiego.

- Pilne obowiązki i właśnie moich wasali nie pozwoliły mi opuścić Tuluzy. - Rajmund nie miał wyrzutów sumienia; nigdy ich nie miewał.

- Powzięłem taki zamiar, ale niestety nie udało mi się na czas zorganizować wyprawy, żeby pożegnać Joannę.

- Łżesz, hrabio... Oby Bóg wymierzył ci karę, na jaką zasługujesz - powiedziała Eleonora z nadzieją w głosie. A nuż jej życzenie wkrótce się ziści? - Gdybyś tylko zechciał...

- Pani, do czego zmierzasz? - Wzruszył ramionami. - Nie chcesz wierzyć, trudno... Nie zamierzam cię przekonywać.

- I nie przekonasz.

- Zatem daremny to trud i nie mam odwagi go podejmować - podsumował Rajmund i zajął się maczaniem kawałków chleba w kielichu z korzennym winem.

Eleonora odwróciła głowę w stronę kominka i palących się dużych drew. Popadła w zadumę. Powinna była posłuchać Amarii. Czy ta rozmowa przyniosła jej ulgę? Zdecydowanie nie. Pozostawiła niesmak i bardziej jeszcze zaogniła rany, które nie potrafią się już zabliznić i które z całą pewnością nie dadzą o sobie zapomnieć. Stara kobieta poczuła się znów wyczerpaną. Czy dobrze zrobiła, wydając Joannę za tego parszywego psa? By otrzymać hrabstwo Tuluzy z pewnością uczyniłaby to raz jeszcze. Co do tego nie mogło być najmniejszej wątpliwości. Najważniejsza jest dynastia i jej ziemie. Tylko ród jest w stanie przetrwać wszelkie burze i wojny. Tylko dobra trzymane silną ręką mają szansę, by następne pokolenia odziedziczyły je w stanie niezmiennym. Nie ma nic ważniejszego ponad to. Zupełnie nic. W tej kwestii niezmiennie stała na stanowisku, że powzięła właściwą decyzję. Uczyniłaby to raz jeszcze. Tu nie było miejsca na wahania. Zewsząd otaczała ją nieprzenikniona chmura, przez którą przedostawał się promień światła. Światłem tym była mlekiem

i miodem płynąca Tuluza, tolerancyjna, różnorodna i przepyszna, którą pewnego dnia obejmie we władanie jej wnuk. I jeno to się dla niej liczyło. Cała reszta nie miała znaczenia.

Eleonorze zaschło w gardle, odwróciła głowę i skinęła na służbę. Młody chłopak chyłkiem podskoczył do księżnej, a w chwilę potem nalał jej odrobinę wina.

- Baronie! - zawołała, lecz nim się spostrzegła, gospodarz był przy niej niczym warujący, lojalny pies. Chciała już jechać do córki, męczył ją przedłużający się postój. - Sprawdź, czy wszystko gotowe do drogi. Rozmowa ta znacznie się przedłużyła. Czas na nas najwyższy. Biskupie... - Teraz zwróciła się do Eliasza, dając znak oczyma, że nadeszła pora, aby opuścić gościnny zamek Belerniey. Podniosła kielich do ust i upiła trochę wina.

Baron bez najmniejszej zwłoki jako pierwszy wybiegł z donżona wprost na zamkowy dziedziniec, żeby osobiście doglądnać ostatnich przygotowań do podróży i jak zwykle nakrzyczeć na opieszłą służbę. Biegał w tę i z powrotem, pełen inicjatywy, przejęty do żywego. Nerwowo poganiał parobków. Miał baczne oko i sprawował nadzór nad wszystkim. Pragnął uzyskać pewność, że o niczym nie zapomniano i niczego nie przeoczono. Na powrót zrobił się rejwach i tłok na dziedzińcu. Wrzało jak w pszczelim ulu.

Duchowni przy pomocy służących odsuwali ciężkie krzesła i kolejno dostojnie opuszczali salę jadalną. Władca Tuluzy, widząc, że stara kobieta będzie się zbierać do wyjścia, bez wahania zagaił:

- Księżno, mam do ciebie prośbę.

Eleonora obrzuciła hrabiego spojrzeniem pełnym ironii i zaśmiała się teraz z kolei ona. Nie zraziło to bynajmniej Rajmunda.

- I myślisz, że ja spełnię twą prośbę, hrabio? - spytała szczerze rozbawiona. - A czemuż miałabym to uczynić? - Nie przestawała się śmiać. - Zabawnyś albo zupełnie głupi.

„Nie musisz odpowiadać - pomyślała. - Wszyscy wszak wiedzą, żeś głupcem”.

- Bo jesteś, księżno, złą kobietą, która na swym dworze wychowywała bastardy własnego męża.

- A cóż to ma wspólnego z twoją prośbą? - odpowiedziała zjadliwie.

- Wyobraź sobie, pani, że bardzo dużo. - Wstał energicznie i przysiadł się bliżej niej, zajmując jedno z wolnych krzeseł. - Jeden z twoich najemników dzisiejszej nocy o mały włos pozbawiłby dłoni małą dziewczkę, która, moim zdaniem, nie zasłużyła na tak srogą karę, jaką zamyslił wykonać na niej twój człek. To był akt okrucieństwa. Cóż ty, pani, masz za odważnych żołnierzy? - zapytał z fasadowym zainteresowaniem. - Jeden usiłuje okaleczyć dziecko. Drugi dobywa miecza przy stole. Ciekaw bardzo jestem, jak zachowaliby się oni na polu bitwy naprzeciw prawdziwego wojownika. Pewnie zgoła odmiennie?

De Ardalais rzucił hrabiemu wściekłe spojrzenie, ale nie mógł się odezwać. Księżna zapytała bez specjalnej ciekawości:

- O kimże ty mówisz?

- Człowiek ten zowie się Hugo Carpine - odparł Rajmund i spoglądając na Guya, dodał: - A drugi siedzi obok.

Eleonora już wiedziała, kogo szlachcic miał na myśli. Skupiła się na młodszym.

- Ach, ten... To narwany młokos. Jeszcze nie dorósł należycie do służby, poza tym to jeno najemnik, jeden z wielu. A cóż on uczynił, że tak niekorzystne wrażenie wywarł na tobie, hrabio?

- Otóż tłumaczę ci, pani. Chciał odciąć dłonie małej dziewczce, tymczasem ona nie zasłużyła na taki los.

- Od kiedy to, hrabio, tak się przejmujesz nędzarkami? - zapytała, mrużąc oczy ze złościwością. - Skoro księżniczkami nie potrafisz!

Hrabia wyjaśnił z uprzejmością, na jaką tylko było go stać.

- Od zawsze, gdy widzę niesprawiedliwość obok siebie.

- Doprawdy?! - Wyniośle, z niedowierzaniem uniosła brwi. - Nie zaobserwowałam nigdy u ciebie wrażliwości na ludzką krzywdę.

Na twarzy władcy Tuluzy pojawił się cyniczny uśmiech. Stęknął jak obolały wół i puścił mimo uszu uwagę Eleonory.

- Dlaczego zatem pozbawiłeś, jak to mówisz, sprawiedliwości moją córkę, a swą małżonkę?

- Nie pozbawiłem, księżno - odpowiedział serdecznie znudzony. Jego oblicze przybrało wyraz zniechęcenia. - Dałem jej jedynie to, na co zasługiwała, a że zasługiwała na tyle, ile jej podarowałem, to już, pani, nie twoja sprawa. Dopełniłem obietnicy i teraz jestem wolnym człowiekiem. Twój wnuk, jeżeli mnie przeżyje, będzie władał hrabstwem. - Podniósł się i sięgnął po kielich z winem. Napił się, po czym z grubsza przetarł brodę i dodał: - Nie obawiaj się, masz moje słowo.

Na krwawiący bok Chrystusa! Jakże irytowały ją jego zapewnienia, którymi szafował na prawo i lewo. Diabelny wiarołomca! Eleonora oddychała głęboko i patrzyła na niego pociemniałymi oczyma. Pokręciła głową.

- Twoje słowo? - prychnęła, rzucając hrabiemu spojrzenie pełne pogardy. - A jakąż ono ma moc?

Władca Tuluzy pozostawił jej drwinę bez odpowiedzi.

- Nie obawiam się - odrzekła twardo. - Jestem o tym przekonana, gdyż nie masz żadnego innego dziedzica poza moim wnukiem.

- Zatem wróćmy, pani, do mojej prośby.

- A dlaczego mamy w ogóle o niej rozmawiać?

- Bo mimo wszystko wierzę w twą szlachetność, księżno.

- Tego ci nie zabronię. A cóż uczyniła ta dziewczka, że wzbudziła gniew u mojego najemnika? - zapytała Eleonora, krzywiąc się na samą myśl, że mogłaby spełnić jakąkolwiek prośbę hrabiego Tuluzy jeszcze w swoim życiu.

- To małe dziecko, ale... chciała ukraść mu pieniądze. Była głodna, jak twierdzi. Patrząc na nią, to rzeczywiście musiała być bardzo wygłodniała.

Księżna, unosząc brwi, rozłożyła ręce ze zdziwienia.

- Wobec tego nie miał racji mój człowiek, że chciał wykonać tę karę?

- Nie, ponieważ to dziecko było złaknione i nauczone jedynie kradzieży, by zaspokoić męczący głód. Ty, pani, nie wiesz, co to znaczy nie mieć pożywienia.

- Podobnie jak i ty, hrabio - odparła uszczypliwie Eleonora.

- Nie przeczę, jednakże to dziecko jest za małe, by zostać ukarane w ten sposób. Moja prośba brzmi następująco. Proszę, pani, zaopiekuj się nią, weź ją na służbę do siebie. Może ci się przydać. Jesteś w stanie się nią zaopiekować.

- Istotnie, jestem - przyznała otwarcie. - Masz rację, hrabio. Ale pytanie brzmi: czy ja tego chcę?

- Okaż, pani, swą wielkoduszność i litościwość, o których krążą opowieści i których można się spodziewać po córce hojnych księząt akwitańskich - zagadnął podstępnie Rajmund, mając cichą nadzieję, że pochlebstwami zdoła nakłonić Eleonorę do podjęcia się opieki nad sierotą.

Księżna była bystra i w mig przejrzała sprytnie jego zdaniem zamysły.

- Nie mów mi o łaskawości i mych przodkach, bo to w twoich zdradzieckich ustach brzmi jak zniewaga! - syknęła. - Nigdy im ani mnie nie dorównasz.

- Ależ nie zamierzam z nimi, księżno, rywalizować, na jakimkolwiek polu - odparł grzecznie władca Tuluzy.

- A czy tu nie ma opieki? Na zamku? - zapytała Eleonora, rozglądając się wokół. - Nie ma nikogo, kto przejąłby nad nią pieczę? Dziwna ta twoja prośba.

- Jak dotąd nikt się nią nie zajął, toteż nie przypuszczam, że mogłoby coś się w tym względzie zmienić. Mało prawdopodobne.

Eleonora patrzyła przed siebie. Myślała. Czy jest w stanie zgodzić się i zabrać z sobą niczyje dziecko dlatego, że on ją o to prosi? Odwróciła twarz ku brzydkiej baronowej i przyjrzała się jej badawczo.

- Baronowo, o jaką dziewczynkę chodzi? - spytała ostro. - Dlaczego nie ma tu żadnej opieki, jeno wykrada moim żołnierzom pieniądze? Dzisiejszej nocy miała szczęście, ale następnej może się już ono od niej niespodzianie odwrócić. Wszak dwa razy Bóg nie daje tej samej łaski.

Na wysuszonym licu małżonki barona de Belerniey pojawiły się nagle czerwone zakola.

- Nie wiem, pani... - zaczęła, jękając się - o jakie dziecko chodzi...

Rajmund podniósł się. Odsunął ciężkie, rzeźbione krzesło i odszedł od stołu. Po dłuższej chwili powrócił z wymizerowaną, drobniutką dziewczynką. Dziecko było umyte, przebrane w nową suknię przepasaną na wąskich bioderkach grubym, plecionym sznurem. Wierzchnim odzieniem była brunatna peleryna podbita futrem z kotów i z dużym kapturem. Czarne włosy związane miała jasną opaską. Były one miękkie, długie i proste jak ostrze miecza. To dobra Gerberga zadbała o nią, a nie dziewczęta, którym hrabia zapłacił.

Dziewczynka stała przy swoim wybawcy ze schyloną głową. Nie śmiała podnieść oczu. Była speszona i zawstydzona. Tyle rzeczy wydarzyło się w ostatnich godzinach, że nie mogła wszystkiego jeszcze ogarnąć. Nadal przestraszona, mimo obecności Rajmunda, stała z drżącymi kolanami.

- Ach... To ta przybłęda?

Kto jeszcze pozostał w sali, ten spojrział na dziecko.

- No tak, teraz sobie przypominam. - Baronowa wpatrywała się nie bez jadu w czystą dziewczynkę. - Nikt nie wie, skąd się wzięła. Parę razy ją raptem widziałam - mówiła pośpiesznie, chcąc się wytłumaczyć. - Zamierzałam ją przysposobić do służby, ale za każdym razem uciekała do lasu. Już od dłuższego czasu jej nie widziałam, ani nikt ze służby. Łazi chyba po nocach jak jaki dziki zwierz. Nie wiem, skąd pochodzi ani gdzie są jej rodzice...

- Baronowo, jak widzę, to nie takie małe dziecko, mogłaś zatem bardziej się postarać - upomniała surowo księżna. - Pomoc na pewno

miałabyś nieocenioną, a i ona nie musiałaby okradać ludzi. Widocznie nie miała do tej pory właściwego przykładu – podsumowała.

Baronowa de Belerniey na powrót zaczęła dłużyć w resztkach kapłona, jakby w nich usiłowała znaleźć sensowne usprawiedliwienie dla swego braku uczuć.

– Księżno, jaka ostatecznie jest twoja decyzja? Zajmiesz się nią? – zapytał ponownie Rajmund. – Jeżeli tutaj zostanie, nie będzie miała żadnego życia. Skoro dotąd się nią nie zainteresowano, jej sytuacja może wrócić do tej, jaka była poprzednio. Z pewnością marnie skończy, i to zapewne nie z powodu odcięcia dłoni.

Eleonora zadumała się przez moment, po czym odpowiedziała nieprzychylnie:

– Nie mogę wyjść z podziwu dla twojej troski o bezdomną dziewczkę. Ogromnie żałuję zaś, że w żadnym stopniu nie przejmowałaś się moją córką.

– Pani, po cóż te nieustające słowa skargi? Nie zwróci to życia twojej córce – powiedział z naciskiem. – Jej już nie ma!

Akwitanka wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Należy jedynie żałować, że ty pozostałaś!

Rajmund był niewzruszony. Zignorował jadovitą uwagę księżnej. Eleonora uważnie mierzyła wzrokiem dziewczynkę. Chciała przyjrzeć się jej twarzyczce, której dotąd nie mogła ujrzeć. Mała nadal stała z pochyloną głową, ponieważ nie miała odwagi zadzierać jej do góry.

– Podnieś głowę, dziecko – odezwała się twardo księżna.

Dziewczynka drgnęła, jakby nie rozumiała, dlatego też nie wykonała polecenia starej kobiety. Rajmund delikatnie dotknął jej dłoni, nachylił się i coś szepnął na ucho. Nikt z obecnych nie mógł usłyszeć, co szlachcic przekazał małej nędzarce. Na efekt zgromadzeni nie musieli długo czekać. Dziewczynka ledwo widocznie, nadal czując się niepewnie, objęła ufny spojrzeniem hrabiego, a następnie zwróciła wątlą twarzyczkę ku Eleonorze. Kobieta zatopiła w niej zaciekawione spojrzenie i dyskretnie się uśmiechnęła. Przyjrzała się jej uważnie. Z miejsca dostrzegła wielkie sińce na szyi.

Dziecko ujrzało w niej kogoś, kogo pamiętało z przeszłości, jednakże nie do końca zdawało sobie sprawę, w jakiej sytuacji mogło ją spotkać. Zapomniała o dzieciństwie, bo czyż kiedykolwiek je miała? Było ono jak sen i nie wiedziała już na pewno, co nim właśnie było, a co prawdą.

- Nie bój się, podejdź do mnie... - zagadnęła księżna, chcąc dodać dziewczynce otuchy. - Bliżej... Chodź, no chodź.

Dziewuszka zbliżyła się na odległość kilku kroków od księżnej. Rajmund powrócił na swoje miejsce.

- Jak cię zowią?

Dwunastoletnia sierota zastanowiła się przez chwilę i niemrawo uchyliła drobne usteczka. Ledwo wydukała swoje imię.

- Głośniej - poprosiła Akwitanka.

Dziecko spróbowało raz jeszcze.

- Ria.

- A cóż to za imię!?! - zdumiała się księżna i po chwili rzekła: - Nie bój się mnie, nie skrzywdzę cię. Jesteś bardzo ładna.

Rajmund zdołał zauważyć cienką nić sympatii, jaką księżna obdarzyła dziewczynkę. Dziecko najwyraźniej spodobało się Eleonorze. Jej smągła twarzyczka była wprawdzie ładna, choć wymizerowana i bardzo drobna. Jedynie wielkie, czarne oczy były intrygujące i wyglądały z tej twarzy jak małe wilczki z leśnej nory podczas nieobecności mamy.

- Dlaczego ty, hrabio, nie odeślesz jej do siebie? Służące mogłyby się nią zająć.

- To nie jest możliwe w mojej sytuacji - wyjaśnił. - Nie czas po temu. Wyruszam w daleką podróż i nie wiem jeszcze, kiedy zdołam powrócić.

- A dokądże się wybierasz?

- Na Cypr - odrzekł niechętnie, ścisząc głos.

Nie zamierzał wdawać się w szczegóły swojej wyprawy i pragnął uniknąć dalszych pytań. Wolał w obecnej sytuacji nie wyjawiać powodu, dla którego wyrusza na odległą wyspę. Nie chciał, aby

księżna dowiedziała się już teraz, iż jedzie on po swoją kolejną żonę, córkę Izaaka Komnenosa, króla Cypru²⁵. Następną wybranką na hrabiowską małżonkę miała bowiem zostać ciemnooka Beatrice Komnena²⁶, o wschodniej urodzie. Szybko więc spróbował wrócić do poprzedniego tematu, marszcząc czoło:

- Księżno, jaką zatem decyzję podjęłaś?

Eleonora nie spuszczała wzroku z Rii, dziewczynka z kolei spoglądała to z przestraczeniem i zaciekawieniem na możną panią ubraną z wyszukany przepychem, to znów z dziecięcą ufnością na hrabiego. Eleonora uderzała majestatycznym blaskiem pełnym godności i elegancji. Była dla małego dziecka jak oślepiające słońce na bezchmurnym niebie. Pomimo że ją raziło, nie mogła na dobre oderwać swych czarnych oczu od wielkiej księżnej, która była dla niej uosobieniem największego bogactwa na ziemi.

- Gdzie twoi rodzice? - zapytała kobieta po chwili.

- Nie wiem - odparła cicho dziewczynka, ponownie spuszczając wzrok ku kamiennym płytom w podłodze, posypanym obficie suszonymi ziołami, które wydzielały przyjemną woń.

Eleonora westchnęła i odwróciła głowę w stronę żony barona de Belerniey.

- Skoro nie potrafisz, baronowo, a sądzę, że nie chcesz, zająć się tą sierotą, to jestem zmuszona zabrać ją ze sobą. Jeżeli nie mnie, to może mej córce albo mym wnuczkom się przyda. Bóg i czas pokażą, jaka będzie jej życiowa droga. - Wypiła do końca wino, które jej jeszcze pozostało w kielichu, i rozkazała: - Zabierzcie ją do powozu kapelana Rogera²⁷.

Stojąca nieopodal służka wzięła szybko Rię za rękę i skierowała się z powierzonym jej dzieckiem do wyjścia z komnaty. Dziewczynka zatrzymała się raptownie. Obróciła głowę. Objęła łagodnym spojrzeniem szlachcica. Ten elegancki, jakże przystojny mężczyzna spodobał się małej nędzarce. Poczowała się przy nim bezpiecznie. Tak jak dziecko czuje się przy ojcu, który troszczy się o swoją córkę z czułością i miłością. Ria nie pamiętała własnego, dlatego też lgnęła

do Rajmunda bardziej, niż powinna była, słuchając tego, co mówił jej wewnętrzny głos. Tenże szalbierczy głos, który poprzedniej nocy zawiódł ją całkowicie i omal nie przyczynił się do jej przedwczesnej śmierci. Teraz ten sam głos znowuż mówił jej to, czego nie powinna była słuchać, a jednak poddawała mu się, pełna nadziei i oczekiwania na coś dobrego, co może stanie się w końcu jej skromnym udziałem. Pragnęła pożegnać hrabiego i raz jeszcze podziękować za wybawienie i jedzenie. Ostatni raz zdobyła się na odwagę i zerknęła na swojego wybawiciela słodkimi, wdzięcznymi oczyma, usiłując zapamiętać każdy szczegół jego twarzy i postaci. Pragnęła, aby na zawsze pozostał w jej pamięci, wrył się w nią i nigdy z niej nie zniknął. Aby nigdy nie zapomniała jego potężnej męskiej sylwetki, wyćwiczonej aż nadto w turniejach.

Szukała wzrokiem jego, jak jej się błędnie wydawało, ciepłego spojrzenia, Rajmund jednak odwrócił się. Już nie patrzył. Jego wzrok spoczął na pieczonym mięsie. Złapał w dłoń resztę leżącej przed nim na półmisku gęsi. Oderwał kawał skóry, którą rzucił psom pod stół, i z rozkoszą zanurzył zdrowe nadal zęby w miękkim mięsie. Był wyraźnie zadowolony, że znalazł opiekę dla tego dziecka i sam nie musiał się o nią dłużej kłopotać. Wystarczyła mu świadomość, że uratował małą złodziejkę i pomógł zadbać o jej dalsze życie. I w tym punkcie hrabiowska prawość się kończyła. Nie można było spodziewać się po władcy Tuluzy niczego więcej. To, co wydawało się z pozoru oczywistym, takowym wcale nie było. Noc nie zawsze jest czarnym i mętnym bezkresem spowijającym ciasno ziemię. Rajmund był uczuciowym i serdecznym człowiekiem, kiedy miał w tym interes i kiedy miał ochotę czynić dobro. Trzeba wszak przyznać, że to ostatnie zdarzało mu się wyjątkowo rzadko, ale kiedy już nastąpiło, ogarniała go wręcz nieopanowana żądza niesienia pomocy innym i okazywania, jakże wspaniałym jest panem i rycerzem. Był zakochanym w sobie i pysznym, a jednocześnie nieprzewidywalnym mężczyzną. Skutkiem tego drażnił nieustannie swoich wasali i sąsiadujących z jego ziemiami książąt, nawet samego króla, Filipa II

Augusta. Był on jego kuzynem, albowiem matka Rajmunda, Konstancja²⁸, była siostrą Ludwika VII, zatem ciotką obecnego władcy Francji. Filip z czasem przywykł do nieobliczalnych postępów Rajmunda. De Saint-Gilles zawsze pragnął wygrywać. Był człowiekiem, który wyjątkowo źle znosił porażki, a jeszcze gorzej narzucanie mu przez kogoś swej woli.

- Pani, dziękuję ci, że wyraziłaś zgodę...

- Nie ty będziesz mi dziękować. - Eleonora poczuła się zdegustowana. - Nie uczyniłam tego, aby mieć jakikolwiek dług wdzięczności u hrabiego Tuluzy. Nie oczekuj niemożliwego, bo to się nie zdarza. Miejmy nadzieję, że twoje dni zostały już policzone przez Boga - odparła zjadliwie. - I że szykuje dla ciebie miejsce na najniższym padole piekła.

- Nie czas mi umierać i obawiam się, że nawet w piekle nie znajdą dla mnie miejsca - odrzekł wesoło Rajmund. - Nie sprawię ci niespodzianki, na którą tak się, pani, szykujesz.

- A to byłaby szkoda - skwitowała z nietajonym żalem.

- Pani, nowe życie zaczynam. Jestem szczęśliwy i mam wielkie plany na przyszłość.

Eleonora nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Doprawdy? Jesteś szczęśliwy? Raptem niecałe trzy miesiące po śmierci żony i syna?

„Bezwstydnym niegodziwiec” - pomyślała z odrazą.

Zatruta strzała, wystrzelona przez Akwitanę w kierunku szlachcica, bynajmniej go nie dotknęła.

- Czy mam udawać żalobę, której nie odczuwam?

- Przynajmniej mógłbyś spróbować - odparła sucho.

- I po cóż? - zapytał, po czym otwarcie oświadczył: - Zaiste, jestem szczęśliwy. Ty, księżno, już po dwóch miesiącach od rozwodu z królem Ludwikiem poślubiłaś Henryka, wówczas jeszcze hrabiego andegaweńskiego!

Eleonora była zniesmaczona.

- Cóż za nietrafne porównanie! - odrzekła. - Rozwód to nie to samo co śmierć najbliższych ci osób.

- No, jak dla kogo, pani. To nie moja wina, że moje szczęście związane jest z twoim nieszczęściem.

- Nie pochlebiaj sobie, hrabio.

Eleonora uznała rozmowę za zakończoną.

Tymczasem do sali jadalnej wbiegł baron w otoczeniu giermków. Z szacunkiem zgięty wpół uprzejmie poinformował starą kobietę, że wszystko zostało przygotowane do drogi i cały orszak czeka jedynie na księżną Akwitanii. Baron de Belerniey zatroszczył się o stosowne i dostatnie zaopatrzenie dla księżnej i całej jej wielkiej kawalkady w różnorakie zasoby, które miały wystarczyć aż do samej kastylijskiej Palencji. Jego życzeniem było, aby Eleonora dobrze zapamiętała, że on jako pan na Belerniey wywiązał się ze swej powinności wobec potężnej pani w sposób niepozostawiający najmniejszych wątpliwości co do jego przykładnych i wzorowych manier.

W istocie rzeczy, jeżeli chodziło o gościnę, baron stanął na wysokości zadania. Nie można byłoby mu zarzucić najmniejszego uchybienia.

Eleonora podniosła się. Rajmund spojrzął z byka na wysoką, dumną postać najpotężniejszej niewiasty w Europie. Mimo upływającego czasu zachowała ona godną, królewską sylwetkę. Ta kobieta zachwycała go, a jednocześnie była mu solą w oku, ale wszak wiedział i nie mógł zaprzeczyć, że to prawdziwa księżna z krwi i kości. Prawdziwa królowa. Prawdziwa kobieta. Była jego godnym przeciwnikiem i nie ustępowała mu jako mężczyźnie bystrością umysłu i lekkością trafnych wypowiedzi, którymi umiała go niemile zaskoczyć. Jej nabyte umiejętności z dziedziny dialektyki, którą opanowała do perfekcji podczas pierwszych lat pobytu w Paryżu, na Île de la Cité, do którego przybyła jako młodziutka, pełna akwitańskiego temperamentu piętnastoletnia władczyni, były godne zachwytu i prawdziwego podziwu. Jej chłonny, inteligentny umysł poszukiwał niezbędnego pożywienia dla prężnych, lotnych myśli, a ówczesny

filozoficzny Paryż z Abelardem²⁹ na czele zdawał się zaspokajać na każdym kroku jej ciągły głód wiedzy i wrodzoną wrażliwość na najnowsze zdobycze nauki. W ślad za paryskimi studentami i niesfornym Piotrem Abelardem niezmiennie uważała, iż bez oręża dialektycznej argumentacji, który ceniony był wyżej aniżeli wszystkie nauki filozoficzne, nawet mędrzec nie może się okazać ani dzielnym, ani ciętym, ani bystrym w rozumowaniu, ponieważ rzeczą mędrca jest dobrze rozprawiać i argumentować w przedłożonych zagadnieniach, a także celnie odpowiadać na pytania, które to właściwości ma niewątpliwie człowiek obyty z dialektyką, jako że zajmuje ona mniej więcej miejsce logiki.

Była doskonale wykształcona, umiała czytać i pisać w trzech językach, wychowana na wytrawnych łacińskich dziełach Owidiusza³⁰ i pieśniach celtyckiego Bledhriego³¹ oraz Cercamona³². Im więcej wiedzy posiadała i im więcej umiejętności zdobywała, tym groźniejsza stawała się zarówno dla króla, swego małżonka, jak i jego doradców, lojalnego Sugera³³ oraz surowego, wymęczonego postami Bernarda z Clairvaux³⁴, który z całą pewnością nie pałał sympatią do swojej wyzwolonej ponad miarę królowej. Jego zdaniem pyszna małżonka Ludwika obrażała Boga niestosownie drogimi, modnymi sukniami, obciążonymi w nadmiarze złotem, wyszukanymi klejnotami, oraz bezwstydnie wymalowaną twarzą. Zarzucał dbającym o siebie kobietom, że to żadna uroda, kiedy rano się ją nakłada, a wieczorem zdejmuje.

Lecz ona niezmienna uważała, iż uroda jest więcej warta aniżeli list polecający, że to przywilej natury, władza królewska bez siły wojskowej, a nawet zło ubrane w kość słoniową. Eleonora, podobnie jak i jej dziad Wilhelm, lubowała się w drażnieniu duchownych, nie przejmowała się bowiem ich moralizatorskimi wywodami. Często miała dość Kościoła i uparcie to okazywała, szokując Franków swobodą zachowania i myśli, pozbawionych sztucznej pobożności i fałszywej skromności. W końcu wychowała się na tolerancyjnym, wyzwolonym i pełnym słodkiej, nęcącej aury dworze akwitańskim, na którym

szanowano męstwo w boju i romansowe przygody, gdzie wzniosła kultura rycerska i erotyczny klimat miłosnych pieśni opiewających zalety i urodę niedostępnych dam były codziennym rytuałem, podkreślającym jedynie subtelność i zmysłowe uroki południowego życia.

Rajmund szczerze podziwiał jej talenty, pomimo sprzecznych interesów, jakie ich zawsze łączyły. Wiedział, że to wyjątkowa i niespotykana mądra kobieta, której w europejskim świecie żadna inna nie dorównywała, zarówno pod względem intelektu i bogactw, jak i niegdyś oszałamiającej urody, którą odziedziczyła po uwodzicielskiej babce Amauberge de l'Isle Bouchard³⁵, będącej wieloletnią kochanką jej dziada Wilhelma. Wszystkie córki były jedynie słabą kopią fascynującej Eleonory, ona zaś była dla nich niedościgłym wzorem. Rajmund wiedział od początku, że poślubiając córkę władców Anglii Joannę, realizuje jedynie marzenie o zdobyciu większych bogactw, ale nie o miłości i satysfakcjonującym wspólnym życiu. Pomimo uroczej twarzy i ładnej figury, niezrujnowanej wieloma ciężarami, Joanna nie była małżonką, o jakiej marzył. W łóżu swym niż prawdziwą córę Plantagenetów wolał bardziej ciepłokrwiste kobiety, nawet służące. Zawarł umowę z Eleonorą i, o dziwo, wywiązał się z niej, co było dla niego ogromnym wyzwaniem. Od hrabiego Tuluzy nie można było oczekiwać niczego więcej.

*

A maria pomogła księżnej zdjąć ciężki płaszcz.

- Gdzie jest Guy de Ardalais? - zapytała Akwitanka, gdy tylko usadowiła się wygodnie w wozie.

Służąca zgrabnie ułożyła miękkie poduszki za plecami Eleonory.

- Zabierz jedną i połóż mi pod stopami - rzekła ze zniecierpliwieniem.

Orszak wyruszył z zamku. Zjeżdżał z okazałego wzniesienia, kierując się na południe, w stronę gór. Trudna droga była przed nimi.

Wzdłuż gościńca raz za razem napotykali niewielkie grupki mężczyzn i kobiet, odzianych, jak na tę porę roku przystało, grubo i szaro. Niektórzy z nich dźwigali na plecach tobołki wypełnione jedzeniem i szmatami, które mogły im się przydać podczas wędrówki. Ludzie owi, młodzi i starcy, wspierali się na długich kijach. Kroczyli powoli w kierunku odwrotnym do tego, w którym podążał książęcy orszak. Wracali do domów, chcieli bowiem zdążyć przed zimą. Z zaciekawieniem podnosili głowy i wychylali je spod wełnianych kapturów, chcąc lepiej przyjrzeć się przepychowi, który ich mijał.

Wśród nich szedł stary mężczyzna, mocno przygarbiony, któremu wędrówkę znacznie ułatwiał dobrze ociosany drąg. Człowiek ten nie miał lewego oka, dlatego też większą część głowy zakrywał grubym, wełnianym kapturem. Hugo Carpine jechał z innymi na czele orszaku. Wkrótce zaczął się przybliżać do jednookiego pielgrzyma.

- Niech was Bóg błogosławi! - pozdrowił serdecznie stary człowiek.

Jako że młody najemnik nie miał jednak w zwyczaju odpowiadać na żadne pozdrowienia, które pochodziły od uboższych od niego, parsknął ordynarnie:

- Starcze, nie potrzebuję dobrego słowa, i to z ust garbusa! - Odchylił do tyłu hełm i wzdrygnął się. Rzucił przez ramię z wysokości grzbietu wierzchowca: - Nie pokazuj się ludziom na oczy, bo straszysz sterczącym garbem!

Kompani wybuchli gromkim śmiechem. Oszołomiony pielgrzym zniecka przystanął. Odrzucił kaptur zaropiałą dłonią i niczym rozbłysk chmur rozdartych przez wiatry łypnął na żołdaka zdrowym okiem. Przyjrzał mu się badawczo. Na pooranej starością i chorobą twarzy miał niezliczoną liczbę strupów.

- Jakie licho cię tu przywiodło? - zadrwił bezceremonialnie Carpine. Nie odczuwał żadnego zażenowania, że w tak plugawy

sposób odnosi się do biednego człowieka. - Zakryj paskudną gębę, nędzarzu!

Schorowany starzec nie pozostał mu dłużny.

- Mnie лихо tutaj przywiodło, a ciebie już wkrótce stąd zabierze!
- odkrzyknął złowieszczo.

Carpine zaśmiał się w głos, a jego towarzysze ochoczo mu zawtórowali.

- Zejdź mi z drogi, szpetny garbusie, bo jak nie, to moje żelazo zetnie twój garb.

Ominął starca, którym wstrząsnął zimny dreszcz, a koń, na którym jechał Carpine, chlasnął jednookiego człowieka długim ogonem. Pielgrzym chyłkiem nasunął kaptur na łysą głowę i poszedł w swoją stronę. Nie patrzył więcej na śmiejących się żołnierzy, ale w uszach pobrzmiwały mu nieustannie plugawe słowa Carpine'a. Hugo wraz z towarzyszącymi mu na przedzie łucznikami wjechali w gęsty cień lasu. Jeszcze przez długi czas straszliwie żartowali ze starego człowieka i wyśmiewali jego posturę. Jednakże w sercu Carpine'a jednooki starzec zdołał zasiać ziarno niepokoju.

*

- Pani, jak się czujecie? - spytała zatroskana służka. - Wszystko w porządku?

- Amario, zostaw mnie teraz w spokoju.

Eleonora wyczekiwała Guya. Musiała z nim pilnie porozmawiać o nocnych wyczynach jego podwładnego. Tym razem nie będzie miłą i pobłażliwą. Wszakże ostrzegła. Nie przejechali jeszcze granicy, a stale jakieś sprawy wymykały się spod kontroli i wywoływały jej uzasadniony niepokój. Koniecznie należy położyć temu kres.

Tymczasem de Ardalais począł zbliżać się do powozu Eleonory. Czynił to wyjątkowo niechętnie. Podjeżdżał z widocznym ociąganiem, ponieważ był w podłym nastroju. Kiedy tylko nastał świt, był gotowy

do drogi. Wyszedł z komnaty i natychmiast doniesiono mu o nocnym incydencie z udziałem jego najbardziej niepokornego żołdaka. Sapał ciężko poirytowany, ponieważ zdał sobie sprawę, że oto nadszedł kolejny dzień, w którym znowuż będzie zmuszony użerać się z nieposłusznym żołnierzem. Z pewnością wyczyny Hugona dojdą uszu Eleonory i znów zaczną się jej pretensje. Po cóż wieczna z nim walka? Koniecznie musi ukrócić niesubordynację najmłodszego z najemników! Dość tego! Z tej to właśnie przyczyny Guy był rozdrażniony od najwcześniejszych godzin porannych. Wezbrała w nim złość. Czuł wściekłość. Nigdzie nie mógł znaleźć Carpine'a, jak gdyby ten celowo się przed nim schował. Nim usiadł do stołu, zdążył nawrzeszczeć na leniwych stajennych i paru obiboków z oddziału łuczników, którym ciężko się było podnieść z posłania. Tego dnia nie miał ochoty na wczesne posilanie się, wobec czego siedział w sali jadalnej niczym za karę i wyczekiwał rozkazu do dalszego wymarszu. Był gotowy do drogi, w stanie wielkiego wzburzenia i buntu. Myślał o skalnych ścianach, śniegach i śliskich, trudno przejezdnych szlakach w górach. Zastanawiał się, którędy najlepiej będzie im się przemieszczać, aby nie wydarzyło się żadne nieszczęście. Rozwagał najlepszy, ale jednocześnie najkrótszy przejazd przez Pireneje. Pogoda nie będzie ich rozpieszczać, to pewne. Zbliżała się zima.

Ach ten arcybiskup! Jakby go rozum opuścił! Czyżby zapomniał, że nie przyjechali tu na wypoczynek i ucztowanie, ale na kilkugodzinny raptem nocny postój? Kiedy księżna zeszła na dół, Guy był przeświadczony, że niebawem będzie mógł skrzyknąć rycerzy, ich giermków, pacholków, a ona oraz podróżujące z nią duchowieństwo bez zwłoki wsiądą do wozów. Na Boga! Tak się jednakże nie stało. Eleonora zasiedziała się przy biesiadnym stole wraz z hrabią Rajmundem, jakby i ona wymazała z pamięci cel wizyty na zamku barona de Belerniey.

Teraz księżna wyraziła życzenie rozmowy z nim i rycerz nie mógł oczekiwać, iż rozmowa owa będzie przyjemną. Zerkał obojętnie zmęczonymi oczyma na przechodzących obok jego konia pielgrzymów.

Kiwał im głową, czasem ręką, na powitanie. Oni odpowiadali mu tym samym, z imieniem Boga Ojca na ustach.

De Ardalais był ponadto niewyspany, pomimo przyzwoitej komnaty, w której umieściła go służba barona. Źle spał i śniły mu się koszmary. W pewnym momencie przebudził się zły zimnym potem i raptownie usiadł na łożu. Co dokładnie mu się śniło, nie pamiętał, ale kiedy się obudził, czuł się bardziej zmęczonym niż przed położeniem się spać, jak gdyby całą noc nie zmrużył oka. Odczuwał niepokój i zatracił uczucie beztroskiej przyjemności. Bezustannie powracał myślami do ponurych kazań duchownych z kościoła Notre-Dame-la-Grande w Poitiers, do którego wstępował, kiedy znajdował się w jego pobliżu i miał wystarczająco dużo czasu, aby w skupieniu oddać się w jego murach modlitwie. Niepokojąco brzmiące kazania, pod wpływem których ludzie truchleli i bali się nadchodzącego tysiąc dwusetnego roku, rozbrzmiewały w większości majestatycznych, prawdziwie boskich przybytków, do których to budowy Eleonora przyłożyła swą szczodłą dłoń. Hojność jej w tym względzie była powszechnie znana i doceniana.

De Ardalais niezmiennie od lat podziwiał wysublimowany gust budowniczych i ich wyważone rozwiązania konstrukcyjne, które pozwoliły na budowę jego ulubionej katedry, a które sprawiały, że wierni nie mogli oderwać oczu od jej monumentalnego piękna tak wewnątrz, jak i na zewnątrz. Ogrom ornamentyki i rzeźb szokował prostych ludzi, ale również hrabiów, baronów i kasztelanów, którzy musieli uczciwie przyznać budowniczym, że wykonali doskonałą pracę. Fasada kościoła, nacechowana artyzmem, została ozdobiona kunsztowną, nader efektowną dekoracją rzeźbiarską, której użyto także do wykonania trzech misternej roboty portali wejściowych. Nad pokrywającymi je zgrabnymi łukami widoczna była osobliwa płaskorzeźba uświetniona wzniosłymi scenami z Ewangelii i wieńczącym je harmonijnym fryzem. Ponad wypośrodkowanym, bogato rzeźbionym portalem widniało wielkie, masywne okno. Zostało ono udekorowane posągowym łukiem z kilkoma fryzami. Po jego

bokach zmyślnie rozmieszczono na dwóch piętrach upiększone arkady i podparto je niewielkimi, wykonanymi z dużą precyzją zdobnymi kolumnami. W ich środku znajdowały się finezyjne posągi: w pozycji stojącej w górnych arkadach i w siedzącej poniżej. Strojne wieże przykryto charakterystycznymi hełmami w kształcie szyszki sosnowej. Tego typu kościelne wieże de Ardalais często widywał w Akwitanii, w hrabstwie Poitou i Andegawenii, a kilka podobnych udało mu się dojrzeć nawet w Bretanii i Normandii.

W kościołach tych na ziemiach podległych Filipowi Augustowi, jak i na ziemiach, na których władztwo sprawowało najmniej obiecujące z dzieci Eleonory, bezrozumny król angielski, zadufani w sobie duchowni bynajmniej nie próżnowali, bo jakżeby mogli? Mieli misję, którą należało wszak wypełnić. A czasu nie pozostało za wiele, toteż starali się za wszelką cenę odwieść ludzi od pławienia się w bezceństwach i szatańskim upodleniu, które wiodły ich prostą drogą ku piekłu, nie uświadamiając sobie jednocześnie we własnym faryzeuszowskim umyśle, iż sami zapamiętali nią kroczą. Pragnęli wskazać zniewolonemu od wieków ludowi, którego niewola była beznadziejną, ponieważ sami nie wiedzieli już nawet, iż są niewolnikami, że jeno ufność w Bogu jest w stanie wyzwolić ich z grzechu. Lecz któż ich samych z niego wyzwoli? Katolicki Kościół niczym wygłodzony lew pchany żądzą żeru pochwycał w paszczę, wlekł, szarpał przelekkie baranki oniemiałe z trwogi, aby następnie wydawać z krwawej paszczy straszny ryk, który to ryk zakłamani moralisci ubarwiali dodatkowo grzmiącymi słowy mającymi wywołać w dwójnasób większy niepokój oraz zedrzeć poddanym łuskę z oczu, albowiem jedynie poprzez szczerą wiarę, która powinna być nacechowana prawdziwą, a nie udawaną pobożnością, będą mogli w pełni cieszyć się łaską Pańską. Mimo wszystko stale powtarzające się kasandryczne przemowy wiarołomnych hipokrytów, które przepowiadały zbliżający się nieuchronnie koniec świata, przerażały ludzi i wpędzały ich w uzasadnione wzburzenie.

De Ardalais miał świadomość, że słuchanie samych przerażających wizji, dotyczących tego, co ma niebawem nastąpić, napawa go lękiem i obawą, aczkolwiek za wszelką cenę usiłował myśleć trzeźwo i realistycznie. Ale jakże to uczynić, kiedy podstępni mistyfikatory, biegli w sztuce demagogicznego omamiania, potrafili zbić każdy argument, który przeciwstawiał się ich tezie o nieubłaganym końcu świata?

Kiedy snując takie rozważania i czując ciężar ugniatający jego umysł, podjeżdżał do powozu księżnej, usłyszał zniecka głośny trzepot skrzydeł, niemalże nad głową. Momentalnie poderwał ją ku górze i rozejrzał się wokół. Ze zdziwieniem ujrzał trzy wielkie białozory, o szeroko rozpostartych, długich i ostro zakończonych skrzydłach. Łypnął okiem na pozostałych, czy również na nie zareagowali, ale nie spostrzegł, aby ktokolwiek zerkał na niebo. Skąd one nagle się tutaj wzięły? Odniósł wrażenie, jakby Clovis podniósł głowę, ale nie... On jeno pokręcił nią i znów patrzył przed siebie. Najwidoczniej bolała go szyja po złym ułożeniu się na pościeli w nocy. Ogromne brązowe ptaszyska, niektóre o łupkowo-szarym grzbiecie, latały nisko nad orszakiem. Zdecydowanie za nisko. Na policzku jednego z nich zdołał zauważyć ciemny wąs. Ich szyje i ogony były krótkie, a spód ciała upstrzony plamami. Kręciły się w kółko, odlatywały, przez co dowódca mógł przyjrzeć się ich doskonałej sylwetce, ale szybko powracały, jakby szukały czegoś lub kogoś pośrodku jadącego orszaku. Guy przestraszył się nie na żarty, natychmiast bowiem uświadomił sobie, co ludzie gadali o tych ptakach, zbytnio obniżających loty. Były one wszelako złą wróżbą. Kiedy tylko zobaczy się białozora, niekwestionowany symbol Akwitanii, to szczęśliwca, który go dojrzał, czeka długie życie, ale kiedy ich liczba jest większa, to wtedy na tego, który je pierwsze zobaczył, spadnie nieoczekiwane nieszczęście. De Ardalais czym prędzej skojarzył latające nisko białozory z kazaniami o rychłym końcu świata. Zaczął już podejrzewać, że na pewno on był pierwszym, który je zauważył i kiedy tylko nadejdzie tysiąc dwusetny rok, on umrze

jako jeden z pierwszych, ponieważ do końca roku tysiąc sto dziewięćdziesiątego dziewiątego nie pozostało dużo czasu.

Guy niebacznie zatopił się w kolejnych rozważaniach, jak gdyby wyparł z pamięci, iż księżna go oczekuje. Czyżby to była prawda? Jego duma nagle się ugięła. Nie chciał umierać. Jeszcze nie teraz. To nie był odpowiedni czas, aby żegnać się z życiem. Nie tak wyobrażał sobie swój koniec. Zamierzał dokonać wielu bohaterskich czynów, albowiem żądny był wyprawy do Ziemi Świętej. Płonął chęcią chwalebego uczestnictwa w wyzwaniu Jerozolimy. Pragnął przyczynić rodzinie wielkiego honoru poprzez udział w tak szczytnym przedsięwzięciu, pragnął pomnażać rodzinny majątek. Marzył o niezliczonych bogactwach, skrzyniach pełnych złota i kosztownych tkaninach, jakie przypadną mu tam w udziale, o uzyskaniu odkupienia wszystkich grzechów, jakich dopuścił się w ciągu swojego życia. Miał szczery zamiar zabijać niewiernych, rąbać muzułmańskie ciała ku boskiej chwale kawałek po kawałku. Spochmurniał. Czyżby koniec świata miał nastąpić? Ale jeżeli nie, to dlaczego białozory latają nad orszakiem tak nisko? Nie dawało mu to spokoju, nie potrafił znaleźć uzasadnienia dla ich obecności.

Otrząsnął się jednakże z tych zgubnych myśli, które siłą, a czasem bez udziału jego woli, mu się narzucały, podobnie jak to czyniły miejskie ladacznice. Cmoknął na konia. Wszak Eleonora czekała. Białozory nadal beztrąsko szybowwały, zataczając apokaliptyczne kręgi.

Dotarłszy do księżnej, rycerz skłonił się i pozostał milczący. Akwitanka spojrzała na niego karcąco.

- Nareszcie! - rzekła żarliwie. - No i cóż znowu uczynił twój podwładny? - zapytała, wiedząc rzecz jasna doskonale, co ów nawyrabiał.

De Ardalais nie odezwał się, a księżna śledziła dowódcę spod rzęs.

- Dowiedziałam się kilku rzeczy, które mi się nie podobają - zaczęła, nie odwracając od niego oczu. - Albo coś z tym zrobisz, albo ja bliżej się przyjrzę temu młodemu człowiekowi i porozmawiam o nim z moim synem.

Twarz Guya była ziemista i straciła swój zwykły urok. Był wściekły na Hugona. Znowuż ma kłopot i znowuż musi się kajać przed Eleonorą.

- Nie wiem, jak mógłbym go wytłumaczyć... - odrzekł naprędce z cierniem w krtani.

- Ja też nie wiem, ale powiem ci, mój wierny de Ardalais, że brak mi siły i wszelako ochoty, aby wysłuchiwać tłumaczeń.

Guy poprawił się w siodle i wyprostował plecy. Czyli nie mylił się. Znowuż musi posypywać sobie głowę popiołem.

- Pani, zapewniam was, pomówię z nim - zobowiązał się, natchniony koniecznością poprawy. - To był ostatni raz, kiedy odważył się samowolnie podjąć decyzję.

- Który to ostatni raz? - dociekała księżna. - Jadąc do Belerniey, wyraźnie ci zaznaczyłam, że nie życzę sobie podobnych przypadków i nie chcę żadnych niespodzianek. A tu słyszę o czymś tak zaskakującym. Dlaczego ciebie nie powiadomił, że ktoś chciał mu ukraść pieniądze? - spytała surowo.

- Otóż nie wiem, pani. Nie odpowiem wam na to pytanie, bo niestety sam nie wiem - odparł de Ardalais, niechętnie okazując chwilową bezradność. Przesunął dłonią po bladym czole, odsuwając jasne włosy, i wyjaśnił: - O wszystkim dowiedziałem się o świcie. Kiedy wstałem, doniesiono mi, co Hugo zamierzał uczynić - rzekł z wyschniętym gardłem.

- Ach tak? - westchnęła Eleonora. - Dlaczegoż zatem ja dowiedziałam się o tym tak późno?

- Nie chciałem wam zepsuć, pani, przyjemności spożywania śniadania u barona.

- A to dobre! - sapnęła księżna. - Nie myślałam o tym w ten sposób. - Przewróciła oczyma i potrząsnęła niedbale ręką ze złotym pierścieniem z cennym szafirem, który błysnął niczym błyskawica. - Za to ktoś inny nie miał z tym najmniejszego problemu.

De Ardalais ugryzł się w język. Przełknąwszy ślinę, poczuł smak krwi.

„Ależ ja jestem głupi” – pomyślał trzeźwo ze smutną twarzą i oczyma wbitymi w ziemię.

– Porozmawiam z nim – obiecał, popuszczając wodze, dzięki czemu wierzchowiec mógł podrzucić łbem. – Ani podobna sytuacja, ani żadna inna już się nie powtórzy. Przyrzekam, pani.

Guy pochylił głowę i zerknął w głąb powozu księżnej. Arcybiskup, zmęczony tłustym porannym poczęstunkiem, zapadł w głęboki sen. Usnął z urzekającym półuśmiechem na ustach. Chrapał za dwoje. Jego dobrze skrojone z kosztownej tkaniny biskupie odzienie, z lekka poplamione tłuszczem, unosiło się miarowo na piersi, aby następnie nieśpiesznie opadać. Oddech miał regularny, spokojny. Dowódca oddziału uśmiechnął się kwaśno pod nosem. Raczej nie jedzenie, ale nadmiar wypitego wina podziałał usypiająco na duchownego i sprawił niezawodnie, iż Elias z Malemort usnął niczym małe niewinne dziecko, które usypia na piersi swej rodzicielki.

– Guy, posłuchaj mnie uważnie – zapowiedziała po krótkim namyśle. – Nie interesuje mnie, jak rozwiążesz ten problem, ale z kolei ja ci obiecuję, że jeżeli jeszcze raz coś podobnego będzie miało miejsce, to ty stracisz to, co dla ciebie wartościowe.

Dowódca zbrojnych poczuł się niezręcznie. Owiał go chłód, pojawił się cień niepokoju. Wydał z siebie niezrozumiały dźwięk, ale księżna nie poprzestała na tym, co powiedziała.

– Nie możesz być dłużej moim dowódcą, jeżeli nie potrafisz utrzymać w karbach swoich ludzi – określiła rzeczowo. – Skoro nie potrafisz zapobiec ich wybrykom, to znaczy, że nie powinieneś przewodzić oddziałowi eskortujących mnie zbrojnych. – Eleonora patrzyła na niego ze śmiertelną powagą. – Albo ich przypilnujesz tak, jak na to zasługują, albo utracisz wszystko to, co do tej pory zdobyłeś ciężką i wierną służbą na rzecz mojego syna. – Obrzuciła go karcącym spojrzeniem i nie mogła się powstrzymać, by nie dodać: – Strata byłaby niepowetowana, szczerze ci powiem. Czy wyraziłam się jasno? – spytała twardo.

- Tak, pani - odpowiedział de Ardalais, przełykając zakrwawioną ślinę. Słowa Akwitanki brzmiały mu w uszach, wywarły ogromne wrażenie. Jego twarz jakby zdrętwiała. Wargi zrobiły się zimne i sztywne. Dokończył wolno, cały w napięciu: - I, jak już powiedziałem, to był ostatni raz.

Czuł się przytłoczony zarzutami księżnej. Jednakże jako prawy rycerz postępujący zgodnie z rycerskim kodeksem honorowo wziął na swoje barki całą odpowiedzialność za ostatnie wydarzenia.

- Jest jeszcze coś. Chciałam cię powiadomić, że w powozie wraz z moim wiernym Rogerem jedzie ta dziewczynka, którą twój najemnik zamierzał skrzywdzić. Proszę cię - rzekła z wolna, przekonana w głębi ducha o dobrych intencjach dowódcy - dopilnuj, aby twój podwładny nie zbliżał się do niej i nie próbował wymierzyć kary na własną rękę. Powierzam ci ją, jest bowiem pod moją opieką - zaakcentowała. - Pamiętaj... No dobrze, wracaj do służby - zakończyła Eleonora i bez zwłoki przesunęła wełnianą zasłonę.

De Ardalais spojrział w niebo. Nie zauważył fruujących nad nimi białozorów. Odfrunęły.

Eleonora była rozczarowana zachowaniem Guya i nie chciała prowadzić dłużej tej rozmowy. Miała nadzieję, że tym razem dowódca weźmie sobie poważnie do serca wszelkie poczynione mu wyrzuty i przestrogi. Zatem na przyszłość dopilnuje obowiązków, które zostały mu powierzone. Była przeświadczona o dobrych intencjach dowódcy i jego chęci dalszego służenia zarówno Janowi, jak i jej, ale nie mogła dopuścić do tak ewidentnych błędów, do jakich on wszelako przyczynił się już dwukrotnie.

Amaria zamknęła oczy, chciała się przespać. Wozy turkotały jednak niemiłosiernie po nierównościach, a do tego odpoczynek uniemożliwiało chrapanie arcybiskupa. Służąca kręciła się na wszystkie strony i nie mogła znaleźć sobie wygodnego siedziska. Eleonora nie zważała ani na chrapanie, ani na nerwowe stękanie Amarii. Niebawem zapadła w sen.

W oddali jak okiem sięgnąć górskie wierzchołki, które dotychczas zasnuwały grube pierścienie chmur, pobłyskiwały śnieżną bielą, uwypuklając ostre zręby niedostępnych skalnych szczytów, surowych i stromych. Przed orszakiem rozpościerały się spadziste zbocza masywnych wzniesień, gęsto zalesionych iglakami. Sosny nie były wysokie ani ogromniaste, ale sprawiały posępne wrażenie, przez co nadawały one okolicy nieprzyjazną scenerię. Tu i ówdzie spomiędzy drzew wyglądały małe chaty.

Wjechali do boru gęsto podszytego bezlistną gęstwiną, gdzie rosły drzewa o potężnych pniach, a cierniste rozłogi krzewów zazdrośnie oplatały nieprzebyte chaszczki. Cienisty gąszcz gałęzi z chrzęstem ocierał się o przejeżdżające wozy. Jechali drożyną, która spokojnie, niezauważenie pięła się ku górze, coraz wyżej i wyżej. Chowała się w zagęszczeniu niejednorodnie uformowanych chmur, które wicher zrywał z nieba. Podjeżdżając wyżej, napotykali wądoły, które przecinały ścieżkę, a po których staczały się kamienie. Wozy ciągnięte były przez silne woły, a niektóre przez konie. Straż tylna pilnowała tych z dobytkiem i jedzeniem. Wokół były zdradliwe nierówności i prawie niezauważalne rozpadliny. Rycerze ze zdwojoną uwagą pilnowali wozu, w którym jechała dostojna matka króla. Wystarczyła chwila nieuwagi, a mógł on stoczyć się w przepaść.

- Hugo, dlaczego mnie nie powiadomiłeś, że chciano cię okraść? - usiłował się wywiedzieć Guy, marszcząc czoło i wpatrując się w najemnika płomiennym wzrokiem.

Carpine zareagował z typową dla siebie zawziętością.

- Nie wiedziałem, że miałem ci się spowiadać.

- Dość! - zjeżył się głównodowodzący książęcym orszakiem.

W de Ardalais'm począł się wzbierać gniew, który ten jednakże starał się teraz pohamować. Skutek tychże prób bywał wszelako różny. Był on dobrym człowiekiem, prawym rycerzem, dla którego honor był wartością najwyższą, a życie w zgodzie z zasadami niezbędnym warunkiem, aby było ono prawe i szlachetne. Uważał, że każdy ma prawo popełnić błąd. Niemniej jednak z każdego błędu

należy wyciągnąć naukę i starać się go nie powielać. Potarł dłonią skórę głowy. Swędziała go, tłuste pasma jasnych włosów zwisały mu w beładzie nad czołem.

- Cóż ty sobie wyobrażasz!?! - warknął oskarżycielsko. - Przestrzegałem cię. Jeżeli tobie twoja głowa nie jest miła, to bądź uprzejmy pomyśleć o mojej, hmm?

- Szybciej słońce zajdzie na wschodzie, aniżeli obejdziesz mnie twoja lub czyjakolwiek inna głowa! - rzucił się Hugo w swej haniebnej lekkomyślności. - Ja dbam o własne interesy. Tego nauczył mnie król Jan. I powiem ci, że zamierzam tego przestrzegać. Złodziejka, nieważne, ile miała lat, ale chciała mnie okraść, więc należało jej odrąbać łapy. - Sapnął ze złością i podniósł ku Guyowi silne spojrzenie i zakurzoną brodę. - Gdyby ten zdradziecki hrabia nie stanął na mej drodze, już dawno by ich nie miała. - Westchnął z żalem. - Przez niego nie wymierzyłem jej kary i powiem ci, że bardzo tego żałuję.

- Naprawdę takiś zawzięty? Taki skory do karania nędzarzy?

- A dlaczegoż mam nie być? - zdumiał się łucznik. - To była parszywa złodziejka. Kto się o mnie zatroszczy, jak nie ja sam? Chciano odebrać moją własność!

- Bodajby grom w ciebie walnął! - huknął de Ardalais z płonącym w oku ognikiem. - Nie powinienem był cię zabierać...

Hugo nie rozumiał. Był głupi, pyskаты i nie znał w niczym umiaru, który wszelako bywa największą cnotą.

- Bo chciałem odrąbać złodziejce ręce? - zapytał z ironią, a brzydkie, wyłupiaste oczy stały się jeszcze bardziej wypukłe. Pokiwał głową, jakby użalał się nad dowódcą. - Dlatego masz wątpliwości? Król Jan mnie wybrał - rzekł zapalczywie, spluwając na ziemię.

- Nie! - zareagował gwałtownie de Ardalais. - Mylisz się, głupcze, to ja zbierałem żołnierzy za przyzwoleniem najjaśniejszego pana.

- Aha... - Carpine wzruszył ramionami, jego wiedza w tej materii była bowiem zgoła odmienna. - Zatem wybrałeś najlepszych, bo przecież wiesz... jestem najbieglejszy w tym rzemiośle. - Uśmiechnął się hardo, ukazując dwa wybite zęby w dolnej szczęce.

- Przez ciebie moja dotychczasowa służba stoi pod znakiem zapytania. Księżna każe odebrać mi majątek i stracę wszystko to, o co zabiegałem przez ostatnie lata - mówił jakby do siebie, kręcąc z niezadowoleniem głową. - Jeżeli nie umiem cię powstrzymać od nierozważnych działań, skończy się to dla mnie bardzo źle.

Carpine nie poczuwał się do winy i nadal nie rozumiał zarzutów dowódcy. Nie zastanawiał się nad tym, co mówi. Klepał dużo, bez ładu, był głuchy na wszystkie rady, które nieraz były mądre, ale on, będąc głupcem, nie mógł ich wziąć sobie do serca.

- Zrozumiesz wszystko, kiedy rozkażę cię wychłostać! - rzucił Guy, podnosząc dumnie głowę.

W tym momencie targnięty niepokojem Hugo łypnął wodnistym okiem na rycerza. Słowo „chłosta” na każdego działało jak kubeł zimnej wody, jednakże na młodym żołdaku dość szybko ona wysychała. Ów kierował się przeświadczeniem, że z każdej sytuacji, która mogłaby nie być dla niego pomyślną, wybawi go niezawodnie fakt, iż był ulubionym najemnikiem samego króla angielskiego. Świadomość tego, jakkolwiek było to w rzeczywistości wysrane z palca, sprawiała, że pozwalał sobie na zachowania, które nie miały prawa się zdarzać. On jednakże odważnie igrał z losem i z Guyem de Ardalais'm.

- Nie tak miała wyglądać moja wyprawa do Kastylii - odparł chrapliwie strażnik Eleonory. - Mam plany i nie mogę tego wszystkiego zaprzepaścić, bo ty nie słuchasz mądrzejszych od siebie.

- Ha! To, że jesteś starszy, nie znaczy, że mądrzejszy! - prychnął Hugo.

- Jak widzę, Bóg ci poskąpił rozumu. - De Ardalais z niesmakiem pokiwał głową. - I czegoż jeszcze?

Trudno mu było zachować obojętny wyraz twarzy. Zamyślił się na chwilę, ale Carpine rychło wtargnął w jego rozmyślenia porywistymi słowami:

- Guy, ostatnie tygodnie pozostały do końca świata... Muszę posmakować życia, bo niedużo nam go pozostało...

- Na święte ognie ołtarzy! - przerwał mu gniewnie de Ardalais. - Nie wypełniając rozkazów i odcinając ręce żebracze?

Hugo przechylił w bok brzydką głowę z wyłupiastymi oczyma. Nie wysiłał się na uprzejmość.

- A choćby nawet, to co?

- Zamilcz, głupcze! - rzucił starszy z mężczyzn. Zły humor nadal go nie odstępował.

Carpine sapnął i odezwał się tonem żarliwym i poważnym.

- W niebie nie będę mieć na to żadnej okazji.

- Już się tam szykujesz? - spytał de Ardalais z przekąsem.

- Nie tylko ja, ale my wszyscy - odparł z przejęciem najemnik. - Wkrótce nastąpi koniec świata. Zastępy aniołów już trąbią.

Guy ze zmarszczonymi brwiami i niemiłym uczuciem obserwował mówiącego żołnierza. Słowa najemnika z miejsca przykuły jego uwagę. Na twarzy poczuł zimny pot.

- Nie słyszałeś?

- Nie - mruknął przez zęby.

- Widocznie źle słuchasz - odpowiedział kpiąco Carpine, rzucając mu dziwnie znaczące spojrzenie. - Wszyscy pomrzemy jednego dnia. Zanim wyruszyliśmy, poszedłem do kościoła. Spokój był, jakby morowa cisza zapanowała. Nikt się nie ważył odezwać - opowiadał z takim zapałem, jak gdyby przeniósł się w tym momencie do Bożego przybytku. - Każdy wsłuchiwał się w kazanie. Ludzie poczęli się trząść, kobiety zapłakały. Mówię ci - przekonywał z pasją - niewiele czasu nam pozostało. A ty będziesz tu się nade mną wytrząsał i narzekał, że małej dziewczce łapska chciałem odciąć?

- Przestań z tym końcem świata - sapnął de Ardalais. - To tylko takie głupie gadanie. - Machnął ręką.

Skierował z nagłą spojrzenie na strome zapadlisko z prawej strony, a potem na drogę, która zaczynała się robić krętą, ale szeroką.

- Nie chcesz wierzyć, to nie wierz. - Hugo wykrzywił się. - Twoja sprawa, zobaczymy, co powiesz, jak ci przyjdzie umierać z innymi.

Dowódca niedowierzająco spojrział na najemnika. Przez głowę przebiegła mu niepokojąca myśl: „Czyżby to jednak miała być prawda?”.

- Dobrze, dobrze... Zanim wszyscy pomrzemy, to spróbujmy jeszcze przejechać kawałek - rzucił rozdrażniony de Ardalais i wydał rozkaz: - Ruszaj! Szybko!

Guy nakazał przejechać Carpine'owi na przód orszaku. Za chwilę miał się z nim zrównać. Dowódca, choć wszystkie te wieści budziły w nim swego rodzaju niepokój, wzdragał się, aby przyjmować za prawdę to, w co większość już uwierzyła, niczym tępe bydło dając się omamić aroganckim sługom Bożym. Nie wziął tego za dobrą monetę. Dlaczego ludzie o tym gadają? Dlaczego zawierają tak łatwo? Że też wszyscy musieli powariować! Pełna pychy kościelna miernota potrafiła niezdrowo zmaćć spokój duszy i sumienia, niczym rozhukane bałwany fal wywołane sztormem, które, nie mogąc znaleźć nigdzie ujścia, z dzikim szczekaniem uderzają o przybrzeżne skały. Potrafili jako niedościgli mistrzowie drewna i kamienia dokonać całkowitej odmiany powierzonego im budulca. Wszakże byli genialnymi faryzeuszami! Doskonałymi przeniewiercami! Czyż ktokolwiek odważyłby się zaprzeczyć, że byli w posiadaniu niezaprzeczalnego, godnego pozazdroszczenia daru wymowy? Do tego te latające białozory pomiędzy nieba i ziemi ogromem...

Teraz znów już sam powątpiewać począł w swój zdrowy rozsądek, którym dotychczas się chlubił. Jedyne, co mu pozostało, to szczerą nadzieją, że nie wydarzy się nic złego i kolejny, nowy rok rozpocznie się tak, jak tyle poza nim i oby przed nim. „To tylko takie bajdurzenie... tylko pustosłowie, byle ludzi nastraszyć i tyle z tego będzie” - powtarzał sobie w duchu. Ale czy w to wierzył? Wszak nikt inny, jeno Bóg na świecie stworzył naprzód strach, a strach jest oczekiwaniem zła... W każdym razie usiłował nie myśleć o katastrofie, którą z pasją wyszcze kiwały wilki w jagnięcej skórze.

Co pewien czas omijali wielkie kanciaste głazy, które tkwiły tutaj od niepamiętnych czasów, choć nikt nie wiedział, dlaczego znajdowały

się akurat w tym miejscu i kto je tu umieścił. Było to tajemnicą i tak pozostało na wieki. Przeszkadzały one podczas manewrowania ciężkimi, obładowanymi wozami kierującymi się do Kastylii i Leónu, ale z drugiej strony były one doskonałym schronieniem przed srogimi wiatrami, brzemieniami w deszcz i grad chmurami, nieprzyjemnymi mroźnymi podmuchami – szczególnie dla utrudzonych żmudną wyprawą pielgrzymów zmierzających szlakiem św. Jakuba³⁶ do Santiago de Compostela lub też w stronę przeciwną.

Gdy orszak znalazł się wysoko w górach, pośród głuszy i skalnych rozpadlin z bezlistnymi kaliszczami, dzikie kozice, spłoszone hałasem nadjeżdżających wozów, poczęły zbiegać pędem w dół po urwiskach. Gdzieniedzie jelen z dostojnym porożem sadził skok w popłochu, trwożnie dołączając do stada, które rwało naprzód. Grunt był wilgotny. Ziemia mocno pachniała. Ostry chłód wisiał w powietrzu. W oddali dało się słyszeć łoskot szumiących fal rwącego potoku. Drożyny wijące się pomiędzy skalnymi ścianami wypatrywały jeno nadciągających wozów, by je przewrotnie wciągnąć w zabójcze zasadzki. Robiło się niebezpiecznie.

Na szczęście orszakowi przewodził Guy de Ardalais. Dowódca o mężnym sercu i wielkiej odwadze. Wielokrotnie przemierzał te górskie ostępy i znał każdy zakręt, każdy leśny zaułek zagubiony pomiędzy górkami przełęczami. Jeno on mógł bezpiecznie przeprowadzić przez góry książe orszak. Ludzie mogli być spokojni. Mieli pełne zaufanie do doświadczonego rycerza, dlatego lęk nie osłabiał ich serc. Tym, czego ludzie obawiali się najmocniej, był nieubłagany nadciągający koniec świata – który miał w niedługim czasie nastąpić. To było dla nich bardziej realne aniżeli stoczenie się w leśną czeluść.

Guy sprawdzał sznury na ostatnim wozie, który był wypchany beczkami wypełnionymi winem i wodą. Niektóre z nich poluzowały się, poganiał więc żołnierzy, by lepiej nasunęli supły i mocniej związali w miejscach, w których widoczne były obluzowania.

Naraz powietrze przeciął dziecięcy pisk, jakby lodowaty świst ostrego miecza lub jak gdyby w rozległym hallu opustoszałego zamczyska rozległo się raptowne zderzenie dwóch lanc, którego dźwięk odbił się głuchym echem od kamiennych ścian. Ostry i przeraźliwy. Piskliwy wrzask zmroził żołnierzy przy ostatnim wozie. Włos zjeżył im się na głowie. Głos uwiązł w krtani. Migiem wyprostowali się, stając na baczność. Zaskoczeni, zaczęli się z uwagą rozglądać. Nasłuchiwali, z której to strony dobiegło owo nieznane larum.

Krew napłynęła gorąco do policzków Guya, przez co momentalnie struchlał i cofnął się o krok. Niebieskie oczy raptownie pociemniały, a twarz poszarzała. W jednej chwili zaczęło mu się kręcić w głowie, jak po wypiciu za dużej ilości wina. Pierwszą myślą, jaka go naszała, był przestach o dziewczynkę. Serce dudniło mu jak mocne uderzenia młotem. Z miejsca skojarzył ów krzyk z osobą małej sieroty, która jechała w powozie wraz z duchownym Rogerem. Ta mała, której Hugo Carpine chciał odciąć dłonie. Na rany Chrystusa! De Ardalais wystraszył się nie na żarty. Straci wszystko, bezpowrotnie straci cały majątek! Wszak Eleonora przykazała mu, by miał na nią oko. Był za tę małą odpowiedzialny.

„Chyba Carpine nie uczynił niczego nierozważnego?” – sztywniał na samą myśl.

Podobnie jak wędrowiec, gdy w ciernistym gąszczu niespodzianie nadepnie węża mocną stopą i poblady z lęku poczyną uciekać przed gadem, który z wściekłością podnosi łeb i nadyma śliski grzbiet, tak dowódca pozostawił żołnierzy, zbrojnych parobków i bez zastanowienia, niczym błysk rozświetlonej w słońcu purpury, wskoczył na wierzchowca. Na złamanie karku, szaleńczo, co koń wyskoczy pędził w kierunku, skąd doszedł go wrzask. Strzała zapewne nie dosięgłaby szybciej wroga niż de Ardalais doskoczył na miejsce, z którego dobiegał krzyk dziecka. Podejrzewał najgorsze i drętwiał z przerażenia na samą myśl. Serce biło mu jak oszalałe. Kiedy tylko

znalazł się u kresu gonitwy, zauważył dziewczynkę leżącą na ziemi. Płakała wniebogłosy i zakrywała twarz rękoma.

„Żyje!” – odetchnął z ulgą. Kamień ciężki niczym głaz spadł mu z serca. „O, dobry Boże! Żyje!”

Szczerze się uradował. Dziecko żyło, mimo że nadal nie wiedział, co się stało, a jego radość mogła być zgoła przedwczesną, ponieważ dziewczynka żałośliwie łkała i nie odrywała dłoni od twarzyczki. Niemniej jednak poczuł ulgę, która była ogromna. Wszak dziewczynka żyła i nie miała odciętych rąk, a to było rzeczą najważniejszą. Przetarł czoło, na którym perliły się krople potu. Przy dziecku, na ziemi, obok jej nóg, leżały nieruchomo nieduże martwe zwierzęta. Zamierzał do niej podejść i wypytać o wszystko, gdy wtem spostrzegł, że część jego podwładnych z tyłu drogi przywiązywała konie do drzew, a część dopiero z nich zsiadała.

- Co się tu dzieje, do diabła?! – wrzasnął Guy. – Co wy wyrabiacie, osły?! – Rozejrzał się gwałtownie wokół. Kipiąc gniewem, zeskoczył z ogiera i rzucił się w kierunku rycerzy i najemników. – Uszy wam odcięło?! – zakrzyknął do stojących naprzeciwko niego i gapiących się jak cielaki zbrojnych. – Pytam was!

Pierwszy ruszył do przodu Clovis de Guemtredes. Za nim stało jeszcze z ośmiu, ale ci nie postąpili ani kroku naprzód.

- Gadaj! – rzucił się do niego dowódca, machając rękoma, jak gdyby przymierzał się do bicia. – Bo nie ręczę za siebie!

- Hugo powinien ci to wyjaśnić – rzucił krótko rycerz, wskazując ręką młodego najemnika, który siedział pod drzewem, a którego w pierwszej chwili de Ardalais w ferworze nie zdołał zauważyć. – Sami usłyszeliśmy krzyk i czym prędzej zawróciliśmy. – Wyciągnął rękę przed siebie. – Zastaliśmy dokładnie to, co i ty teraz. Żadnych żołnierzy tutaj nie było, jeno Carpine. Ledwo zdążyliśmy zsiąść z koni i ty się wtem zjawiłeś. Jakże mogłem wywieść się czegokolwiek?

- Gdzie w takim razie podziali się żołnierze eskortujący wóz?

Clovis wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

- Może pojechali dalej? – bąknął.

De Ardalais wytrzeszczył oczy. Jego powieki rozwarły się szeroko, po czym w połowie przymknęły się.

- Do diabła! - mruknął do siebie, po czym zlecił przyjacielowi: - Idź, sprawdź, czemu ona płacze.

Począł mierzyć rozszerzonym spojrzeniem cały teren wokół. Początkowa radość raptownie ustąpiła miejsca refleksji, która niczym błyskawica prująca nieboskłon nasunęła mu gorzką i przerażającą myśl. Natychmiast ogarnęło go zwątpienie. Wszak Eleonora słowa, które do niego wyrzekła po wyjeździe z Belerniey, niebaczenie przekuje w czyn. Nie okaże łaski, bo czyż można okazać łaskę komuś, kto nie docenia dobrego gestu i łamie złożoną obietnicę? Niezawodnie czekają go reperkusje. Jakże mógłby im zapobiec? Jakże mógłby uniknąć jej gniewu? Nie ma niczego na swą obronę... Do kogóż mógłby się odwołać? Zmarszczył mocno brwi i prychnął pod nosem, zaklął niczym najgorszy wszetecznik. Zawiesił rozwścieczony wzrok na Hugonie.

- Co się tu dzieje?! - ryknął, patrząc z wściekłością na Carpine'a. Gniew rozniecił płomień w jego duszy. - Gadaj albo każę cię wreszcie wychłostać!

Clovis podszedł do płaczącej Rii. Przyklęknął przy dziewczynce i przyjrzał się jej z uwagą. Spostrzegł strugę krwi, która jednolitym strumieniem sączyła się pomiędzy jej palcami, którymi zakrywała twarz i szyję. Ostrożnie próbował odciągnąć jej dłonie. W międzyczasie odsuwał nogą martwe zwierzęta. To były niewyrośnięte wilczki. Żołdak naliczył ich razem siedem sztuk. Dziewczynka nie chciała ustąpić, ale Clovis delikatnie ją tłumaczył, że chce jej jedynie pomóc.

- Nie skrzywdzę cię - zapewniał łagodnie. - Nie bój się mnie. No, nie płacz... - nakłaniał. - Nie płacz już... Pokaż. Skąd się ta krew wzięła?

Dziewczynka nie przestawała łkać. Nie potrafiła się uspokoić. Sztywno trzymała rączki przy twarzyczce i nie podnosiła się z ziemi. Była nieprzytomna z lęku.

- Mówię... nie płacz - powtórzył ze spokojem. - Ostrożnie, pomogę ci.

W końcu dała się przekonać. Nieśmiało, powoli odsunęła zakrwawione ręce i odgarnęła kosmyki z twarzy. Clovis, dzielny wojownik, nie reagował na krew, bo wszak przelał jej setki, jeżeli nie tysiące saganów, gdyby tak dokładnie zliczyć wszystkich zabitych lub jeno okaleczonych. Nie chciał przestraszyć dziecka, dlatego delikatnie dotknął policzka dziewczynki. Uśmiechnął się do siebie, ponieważ rana była płytka, jedynie dużo krwi, strachu i niepotrzebnego płaczu. Była ona podłużna, biegła wzdłuż całej dolnej części policzka, bardziej na wysokości szczęki, która ledwo co schodziła do połowy szyi. Clovis z miejsca zdał sobie sprawę, że mała miała bardzo dużo szczęścia. Rana powinna się szybko zagoić i nie powinien po niej pozostać nawet ślad. Obrócił głowę w stronę dowódcy.

- Guy, chodź tutaj! - krzyknął. - Trzeba opatrzyć dziewczynkę!

- Co? - De Ardalais stęknął i rzucił Hugonowi krótki rozkaz: - Nie ruszaj się! - Bez zastanowienia podbiegł do przyjaciela i dziecka. Zdenerwowany przyjrzał się pobieżnie pochlipującej dziewczynce.

„Znów ją urządził, diabeł jeden!” - pomyślał naprędce, mrużąc jasne oczy, po czym warknął rozwścieczony:

- Do diaska! Gdzie duchowny Roger?

- Nie wiem - odpowiedział pospiesznie Clovis. - No ale gdzieś tu musi być, wszakże w jego wozie siedziało dziecko.

- Zatem gdzież on jest?! - warczał dowódca i przesuwiał nerwowo oczyma po najbliższych drzewach. - Diabli go porwali czy inne lichy?

W najwyższym niepokoju zaczęli rozglądać się za osobistym duchownym księżnej. Zaglądali w bezlistne krzaki, patrzyli za pniami drzew, nawet zadzierali głowy do góry, jak gdyby pokładali nadzieję w tym, że mnich niczym sowa siedzi skulony pomiędzy gałęziami.

- Ojczy Rogerze! - zawołał głośno Clovis. - Gdzie jesteś?!

- Ojczy! - Zbrojni poczęli szukać kapelana Eleonory, rozbiegli się pomiędzy drzewami, nawoływali. - Ojczy!

Guy z dwoma żołdakami ostrożnie nachylili się nad urwiskiem.

„Dobry Boże, chyba tam nie wpadł? – przebiegło de Ardalais’mu przez myśl. – Jeszcze by tego brakowało! Dopelnienie całkowitego nieszczęścia, jakie się za mną diabelsko wlecze”.

Wytrzeszczali oczy, ale nie zdołali niczego dostrzec na dnie przepaści. Wtem jeden z gaskońskich najemników zawołał:

- Sprawdzaliście w wozie?

De Ardalais uderzył się w czoło. Jakże mogli być takimi głupcami i to pominąć! Migiem podbiegli do stojącego przy rozłożystym drzewie wozu. Jeden z młodszych zbrojnych wsunął naprędce głowę do niego.

- Jest! - krzyknął do pozostałych. - Jest! Tutaj siedzi!

De Ardalais dobiegł do wozu. Duchowny Roger na widok kipiącej gniewem twarzy dowódcy przeżegnał się. Był biały niczym najwyższe szczyty Pirenejów podczas zimy.

- Jak to siedzi? - zdziwił się Clovis, który podążał za dowódcą. - I nie dał znaku życia? A gdzie woźnica?

- Dlaczego, ojcze, siedzicie tutaj?! - ryknął Guy ze złością. Był nadto zdenerwowany, aby przestrzegać w tym momencie dobrych manier, na które zresztą przerażony mnich zapewne nie zwróciłby większej uwagi. - Cóż się stało?

- Sam Lucyfer... tak mnie - zaczął się jąkać - wystraszył, że... że nie mogłem się... stąd ruszyć - wyjaśnił drżącym ze strachu głosem, jakby czuł czarci oddech na karku. - Jak gdyby mnie przywiązał sznurem do siedzenia.

Ojciec Roger wcisnął się tak mocno w róg wozu, że niejeden miałby poważną trudność, żeby go stamtąd wydobyć.

- Lucyfera tu na pewno nie ma - wyjaśnił rzeczowo dowódca.

- Nie jestem tego taki pewien - bąknął duchowny, ściskając dłonie i rozglądając się ostrożnie. Raz za razem żegnał się w popłochu.

- Wystarczy, że my jesteśmy - oznajmił de Ardalais do trzęsącego się powiernika Eleonory. - Ojcze, dziecko ma ranę. Czemu jej nie pilnowaliście?

- Ja... Ja chciałem... - Ojciec Roger z twarzą skurczoną z niepokoju usiłował się wytłumaczyć, ale Guy nie zamierzał słuchać bełkotu wystraszonego mnicha.

- Gdzie są żołnierze? Gdzie woźnica?

- Ach tak... - wysapał, jakby mówienie w dalszym ciągu sprawiało mu trudność. - Ria chciała zobaczyć... Mówiła coś o wilczej norze - stękał nadal drżący. - Poprosiłem ich, aby ruszyli przodem, a... my poczekamy w tym miejscu na... na...

- Na Boga! - jęknął de Ardalais. - Ojcze, na co?

- Na resztę orszaku - dokończył słabo.

Guy wypuścił powietrze ustami i przewrócił w rozpaczycy oczyma.

„Czemu duchownych Bóg wybiórczo obdarza rozsądkiem?” - zapytał samego siebie, a następnie mruknął:

- Na wszystko muszę mieć baczenie... Na wszystko... - Po czym zapytał szybko: - Macie, ojcze, jakieś szmaty? Należy dziecko niezwłocznie opatrzyć.

Dwóch najemników przyprowadziło równie rozdygotaną co duchowny dziewczynkę. Ria nieśmiało, w dalszym ciągu pochlipując, niemniej jednak zdecydowanie słabiej, wgramoliła się na powrót do wozu.

- Proszę się nią zaopiekować! - rozkazał osobisty strażnik Eleonory.

Kapelan wyciągnął drżące ręce ku okaleczonej dziewczynce i przyciągnął ją do siebie. Utulił płaczącą Rię, nie stając się jednakże spokojniejszym. Z trudem wystękał:

- Będę potrzebował...

- Tak? - De Ardalais usiłował uspokoić wewnętrzne wrzenie i skłonić duchownego do pośpiechu. - Na litość boską! Ojcze, nie ma czasu.

- Wody.

Guy rozszerzył oczy i z niedowierzaniem popatrzył na mnicha. Przełknął ślinę i wciągnął nozdrzami leśne powietrze.

- A skąd ja ją teraz wezmę? - wykrzyknął ze zniecierpliwieniem. - Musicie sobie, ojczy, jakoś poradzić bez wody. Beczki są na tyłach orszaku, nie będziemy na nie czekać, bo czarna noc nas tutaj zastanie.

De Ardalais żywił szczerą nadzieję, że tym razem ojciec Roger właściwie zajmie się dziewczynką, a sam postanowił rozprawić się z winnym tego nieszczęsnego zdarzenia. Obecnie miał na głowie zdecydowanie ważniejszą sprawę niż zajmowanie się przestraszonym księdzem i szukanie mu wody.

Roger, nim przystąpił do opatrywania ran, gładził przez chwilę czarne, zmierzwiłone włosy dygoczącego dziecka. Dowódca raz jeszcze rzucił spojrzenie na dziewczynkę. Chciał się upewnić, że jest już bezpieczna. Uznał, że tym razem wszystko będzie w najlepszym porządku. Skierował wzrok na duchownego, który uciekał spojrzeniem od Guya. Dowódca odstąpił od wozu i bez zwłoki podszedł zamaszystym krokiem do Carpine'a. Szamotał się w potrzasku gwałtownych uczuć. Z wykrzywioną wściekłością twarzą krzyknął ponownie:

- Pytam! - wyszczerzył obnażone zęby niczym wilk i piana wystąpiła mu na usta. - Cóż się to stało? Nie zmuszaj mnie do użycia siły! - syknął ze wzdrganiem i rozdrażnieniem.

Hugo, młody i krnąbrny najemnik wygodnie rozsiadł pod grubym pniem drzewa, zajęty był wyciąganiem leśnych paprochów z rękawicy i nitowanych długich rękawów kolczugi.

- Drugi raz poniosłem porażkę...

- Miej na uwadze, że ja nie rzucam słów na wiatr - burknął dowódca ze zjadliwą pogardą na obliczu.

Hugo nie przejął się pogroźką. Mało czym się przejmował, z wyjątkiem nadchodzącego końca świata. To jeno pętało jego myśli niczym sznur końskie pęciny. Rozdziawił twarz w zimnym uśmiechu.

- Miałem jechać na przód, więc podążyłem, jakżeś mi rozkazał. Kiedy dojeżdżałem do tego miejsca, z daleka zobaczyłem jakieś pacholę - opowiadał. - Byłem ciekaw, co tu robi jakaś przybłęda, sama

w tych stronach. Nikogo wokół nie było. Stałem za drzewem. Zaraz dostrzegłem też wóz. Patrząc, a ta mała sterczy przed tą jamą... o, tą, widzisz?

Guy mimowolnie odwrócił głowę i spojrzał w kierunku wyciągniętej ręki Carpine'a.

- Co dalej?

- A dalej to podjechałem, ciekawość mnie przywiodła i... patrząc... i widzę! Wiesz co?

- Co?! - wrzasnął Guy.

Carpine celowo przeciągał opowieść. Sprawdzał wytrzymałość rycerza, nie biorąc pod uwagę, że w pewnym momencie mógłby srogo zapłacić za swoją arogancję, którą bezrozumnie chełpił się jak każdy głupiec.

- Że pacholę stoi przed wilczą norą. Zdziwiłem się, ale też byłem ciekawy, czy w środku są wilki. Nie cierpię tych diabłów jak...

- Przecież ty wszystkich nie cierpisz! - parsknął dowódca książęcego oddziału. - Pośpiesz się, bo zaczynam tracić cierpliwość.

- To pacholę odwróciło głowę i... poznałem moją złodziejkę! Ha! Bóg nie pozwolił, by uniknęła kary i tylko dzięki niemu znów ją spotkałem. Każda wina musi zostać odkupiona karą! - wyniośle dopowiedział młody żołdak. - Bóg jest sprawiedliwy! Nim nastanie koniec świata, wszystkie winy muszą zostać odkupione! I ja tego z boską pomocą dopilnuję!

- Niewątpliwie - sapnął de Ardalais. - Cóż jej uczyniłeś?

- Najpierw chciałem zabić te bestie - wyznał, zdało się jakoby z pokorą. - Udało mi się wyciągnąć jednego. Usiłował gryźć, diabeł jeden. Spore było i ładnie złamałem mu kark. Słysząc było chrzęst. - Stęknął z rozkoszą. - Uwielbiam ten dźwięk.

De Ardalais ponownie pożałował, że wstawił się za Hugonem u króla.

„Boże, czemuś mnie nie przestrzegł? - zapytywał w duchu. - Na swoje nieszczęście wziąłem go ze sobą...”

- Potem przyszła kolej na następne i tak naliczyłem siedem sztuk - ciągnął dalej niczym niezakłopotany Carpine. - Przynajmniej będzie w tych lasach o siedem mniej. Dziwne, że one takie małe. - Zastanawiał się, jakby to było w tym momencie najważniejszym, co mogłoby go kłopotać. - Powinny być już duże.

- Cóż jej uczyniłeś?

- Wpierw postanowiłem zająć się nimi, a ją zostawiłem sobie na koniec - odpowiedział spokojnie młodzian, unosząc ociężałe powieki i dotykając przez chwilę zakurzonej tuniki, która luźno okrywała kolczugę. Był niezmiernie z siebie zadowolony. Strzepnął z kolczugi ostatnie brudy i podniósł się z ziemi. Spojrzał na dowódcę zuchwałym wzrokiem brzydkich i wyłupiastych oczu.

- Gadaj szybko, co! - odburknął de Ardalais i wlepił w niego rozsrożone wejrzenie. Przyglądał mu się w sposób niewróżący niczego dobrego. Szybkie myśli przebiegały mu przez głowę i sam już nie wiedział, które z nich były najważniejsze, a którym mógłby pozwolić spokojnie odpłynąć.

- Powiedziałem i każdy to usłyszał: nie odpuszczę złodziejce. I tak też się stało. - Twarda arogancja w spojrzeniu Hugona sprawiła, że rycerz zakipiał gniewem. - Wyciągnąłem nóż i chciałem jej podciąć gardło... Wszyscy święci i Bóg wybaczyliby mi...

Rozgorączkowanie odebrało początkowo Guyowi mowę. Ale wnet ją odzyskał i wykrzyknął:

- Ty parszywy kundlu! Oni może tak, ale na pewno nie ja! - Jego oczy zabłysły barwą wzburzonego morza, albowiem porwała go wściekłość i pełne wstrętu oburzenie. Zacisnął pięść na rękojęści. Jeszcze chwila, a gotów byłby wymierzyć cios. Z obrzydzeniem patrzył na łachudrowatą gębę Carpine'a. Płonęła w nim żądza. Żądza wymierzenia sprawiedliwości.

- Myślałem, że jesteś moim przyjacielem - rzekł Hugo pojednawczo.

Ponura złośliwość w spojrzeniu dowódcy sprawiła, że Carpine momentalnie się zaczerwienił.

- Ja? Powiadam ci, głupcze, że jestem przyjacielem jeno tych, którzy wypełniają moje rozkazy i miłują przede wszystkim ład i porządek, zatem ty do ich grona nie możesz należeć.

„To ja jestem większym głupcem, że wziąłem go z sobą - pomyślał, przygryzając wargi. - Cóż za przekleństwo!”

Najemnik oderwał swój powolny umysł od wyznania rycerza i prawił dalej.

- Dziewka zdołała odskoczyć, więc ledwo co po złodziejskiej gębie ciachnąłem. Nie udało mi się - westchnął, żałując, że nie dane mu było dopełnić krwawego dzieła. - Nadal żyje, ale jeszcze ją dorwę i przestanie oddychać. - Odwrócił raptownie głowę w stronę wozu, do którego wsiadła Ria, i rozdarł się wniebogłosy: - Obiecuję ci to, parszywa złodziejko! - Miał nadzieję, że usłyszała. - Bój się mnie!

- Zamknij gębę! - warknął Guy z buzującą złością, przymrużając oczy. - Przysięgam na Boga, spotka cię kara i to nie Bóg będzie tym, który ci ją wymierzy. - Po czym, nałożywszy rękawice, podniósł rękę w stronę Clovisa i zakrzyknął: - Siadaj na wóz, będziesz powozić! - Następnie machnął co żywo do zbrojnych. - Na koń wszyscy! Jedziemy dalej!

Oddział wraz z wozem natychmiast ruszył z miejsca. De Ardalais poprosił duchownego Rogera, by ten powstrzymał się przed zdawaniem relacji księżnej. Chciał sprawę załatwić po swojemu. Miał nadzieję, że tym razem upora się z nękającym go od dawna kłopotem.

Ciężkimi krokami zbliżała się wieczorna pora, kiedy książęcy orszak wjechał na wyjątkowo niebezpieczny gościniec - wąski przesmyk pomiędzy nieprzystępną skalną ścianą porośniętą ostrymi konarami a zdradzieckim urwiskiem. Było wąsko i ślisko, a czeluść, przy której się poruszali, była zwodnicza. Brak należytej rozwagi każdego mógł drogo kosztować, ponieważ w tym miejscu groził on śmiercią. Niejedni tu życie tracili. Przeprawa tą drogą zagrażała bezpieczeństwu księżnej, za które Guy odpowiadał głową, ale jednocześnie trasą tą jeździł wielokrotnie, zatem postanowił, że i tym razem jej nie zmieni. Polegał na swoim instynkcie i doświadczeniu,

które dotąd go nie zawiodły i tylko dzięki nim wielokrotnie umykał czyhającej na niego śmierci.

Wiedział wszak, że wszyscy muszą przejechać bezpiecznie, dlatego jako przewidujący rycerz i doświadczony dowódca zalecił dwóm najemnikom, żeby przebyli to kłopotliwe miejsce i upewnili się, że nic na nim nie zalega i można bez obaw dalej podróżować. Należało zachować szczególną przytomność umysłu i nauczyć się panowania nad wierzchowcem. Spłoszony koń mógł w każdej chwili stracić grunt pod nogami i wpaść wraz z jadącym na nim jeźdźcem w osuwisko. Nikomu się nie śpieszyło, żeby przedwcześnie stanąć u wrót Królestwa Niebieskiego. Zwiadowcy, trzymając w dłoniach pochodnie, wkroczyli na przesmyk. Pokonali go bez najmniejszych przeszkód. W ślad za nimi ruszyli rycerze i pierwsze w kolejności wozy, a następnie ten najcenniejszy, który wiozł księżną Akwitanii. Wszystkie przetoczyły się powoli, z należytą uwagą i ostrożnością, gdyż miejsca było niewiele więcej aniżeli na szerokość wozu. Później przejechali kolejni rycerze. Za nimi ruszyli żołdacy oraz łucznicy i pozostałe wozy, obładowane meblami, żywnością, winem, wodą, podarkami dla królewskiej rodziny i mieszkańców Palencji. Wszystkie spokojnie, z najwyższą ostrożnością i bezpiecznie przetoczyły się pomiędzy masywną ścianą a szerokim wądołem. De Ardalais rozkazał Carpine'owi trzymać straż na tyłach orszaku. Żołdak, chcąc nie chcąc, posłuchał dowódcy, ale był z tego powodu mocno poirytowany.

- Clovis, jedźcie! - zakrzyknął dowódca do przyjaciela, kiedy ten postanowił zaczekać. - Dogonimy was!

De Guemtredes zawahał się. Zmierzył Hugona ponurym spojrzeniem. Nie był do końca przekonany, ale ostatecznie skinął dowódcy głową. Uczynił zgodnie z rozkazem. Ruszył przed siebie. Orszak zamykali trębacze, sokolnicy, służba z psami i zbrojni parobkowie. Na początku przełazu pozostali jeno dowódca z hardym najemnikiem. Guy chciał zyskać pewność, że znajdujący się przed nimi ludzie i wozy przejadą na tyle drogi, że nie będą widzieć niczego, co dzieje się na ich tyłach. Niebawem na przełęcz wkroczyły ogiery

dowódcy i Hugona. Z wolna i z rozmysłem de Ardalais poruszał się po zdradliwej drodze. Nie śpieszył się i rozglądał się z uwagą. Chciał zyskać na czasie. Za nim jechał niepokorny Hugo. Dowodzący oddziałem odwrócił się za siebie. Młodzian trzymał się dość blisko. Wtem de Ardalais wstrzymał konia. Jadący tuż za nim żołdak równie gwałtownie zatrzymał swojego.

- Cóż ty wyprawiasz? - zapytał ze zdziwieniem Hugo. Lekki niepokój owiał jego twarz. - Czemu stajesz?

- Bo musimy porozmawiać - odrzekł de Ardalais.

- Teraz? Nie możesz poczekać, aż przejedziemy?

- Nie - odpowiedział twardo. - Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Aleś wybrał sobie miejsce na rozmowy! - parsknął młody żołnierz. - Powiedz mi prędko, czego tym razem chcesz.

Dowódca popuścił cugle.

- Nie powinienes być ranić tego dziecka. Nie przestrzegasz zasad, nie masz szacunku dla mnie ani dla pozostałych.

- W kółko o tym samym pleciesz - sapnął zniecierpliwiony najemnik. - Jeżeli to wszystko, co masz mi do powiedzenia, to jedźmy dalej. Patrz - wskazał ręką - orszaku nie widać... Ciemno się robi.

De Ardalais podrapał się po policzku i głowie, wszystko go swędziało. Niezmienionym tonem głosu wyjaśnił:

- I dobrze, zaraz dojedziemy do klasztoru. Tam się prześpimy.

- Wobec tego rusz się! - syknął żołdak w zamęcie sprzecznych myśli. - Stajesz mi na drodze.

- A co ty tak się miotasz jak ryba w sieci? Pojedziemy, kiedy ja o tym zdecyduję. Powtórzę raz jeszcze: przez ciebie mogę stracić wszystko.

- I cóż z tego? - zadrwił Carpine.

- Przebóg! Nie dopuszczę do tego!

- Możemy to omówić w klasztorze? - Hugo stawał się coraz bardziej poirytowany. - Jedźmy!

- Psujesz mi krew. - Guy spojrzał na niego badawczo. - Upominałem cię, ale ty w dalszym ciągu nie słuchasz moich rozkazów.

Carpine rozejrzał się wkoło i nic na to nie odpowiedział. Konie podrzucały łbami, dotykały się chrapami i cicho rżały. Dowódca dodał:

- Postępujesz, jak ci się podoba i za każdym razem coraz gorzej. - Spojrzał ostro, a rozbłyśnięciem oczu napotkały butne wejrzenie wyłupiastych oczu żołdaka. - Jak mi Bóg miłościw, nie będę tolerował twoich wybryków - rzekł dobitnie, co zabrzmiało jak przestroga, ale nią nie było.

- Usiłuję jeno dbać o własne interesy - odpowiedział najemnik głosem, którego łagodny ton nie współgrał z jego parszywym zachowaniem. - Nie pozwolę, aby mną pogardzano tylko dlatego, że dopijam wino, które zostaje na dnie dzbana i zbieram drobne monety.

- Mylisz się, jeżeli sądzisz, że potrafią mnie zmylić twoje słowa.

- Czyż nie zasługuję, jak de Guemtredes, na twoje zaufanie? - zapytał z bezwstydną chępliwością.

- Na imię Chrystusa! - wybuchnął prześmiewczo Guy. Nie miał złudzeń co do prawdziwej natury młodego człowieka i jego nieodpowiedzialnego zachowania. - Sam nie wiesz, co mówisz. Poznałem cię i jakby piorun uderzył w ziemię przede mną.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - warknął najemnik, czerwieniejąc z wściekłości na twarzy.

- Wszystkie problemy, jakie mam od wyjazdu z Poitiers, są spowodowane jeno przez twoje niedbalstwo i brak pokory.

- Tak uważasz?

- W rzeczy samej - odparł de Ardalais. - Dlatego księżna ma stale do mnie pretensje.

Duma Guya cierpiała. Honor prawego rycerza, zaprawionego w boju i doświadczonego wojownika został ostatnio wielokrotnie naruszony. Odczuwał rodzaj upokorzenia. Nie mógł zdzierżyć, że nikczemny żołdak niezmiennie podważa słuszność jego rozkazów. Król Jan zaufał właśnie jemu, powierzając mu bezpieczeństwo swojej matki, a był to zaszczyt najwyższy. Niewielu miało szczęście go dostąpić. De Ardalais nie mógł oczekiwać większego wyróżnienia i to od samego Plantageneta. Wszelako i księżna chciała go mieć w swojej obstawie.

Biorąc pod uwagę, że lojalny Mercadier³⁷ nie mógł wyruszyć do Palencji ze względu na obowiązki, jakie Eleonora powierzyła mu w Akwitanii, księżnej potrzebny był godny zaufania rycerz, na którym mogłaby w pełni i bez zastrzeżeń polegać. Przez szaleństwa Hugona cała służba, którą sumiennie pełnił, mogła lada moment zostać pogrzebana. Wszak nie mógł na to pozwolić. Nie mógł pozwolić, aby Hugo na każdym kroku stawiał mu opór i występował przeciw. Nie mógł pozwolić, aby król odebrał mu majątek i nie wypłacił należnej sumy. Przez tego nieokrzesanego żołdaka całe jego życie mogło zawisnąć na włosku, który pewnego dnia mógłby się niepostrzeżenie zerwać, ponieważ Eleonora miała na wszystko i wszystkich przemożny wpływ. To była potężna dama. Jedno jej słowo mogło zniszczyć życie Guya i bezpowrotnie odmienić los jego oraz jego rodziny. Carpine natomiast miał dużo okazji po temu, aby skorygować postępowanie, ale w swej nieuzasadnionej pysze nie zechciał żadnej z nich należycie wykorzystać.

- Nie wzięłeś pod uwagę, że może wytyka ci brak umiejętności?

Guya rozpalili płomień wewnętrznego rozwścieczenia, a jego ogniki podgrzały cudny błękit jego źrenic. Twarz przybrała wyraz ponurej zaciętości. Wypuścił niezauważenie wodze i przyłożył dłoń do skórzanego pasa. Z jednej jego strony tkwił ostry sztylet. Dotknął rękojeści.

Gdzieś w pobliżu zaskrzeczała wrona, poderwała się i odleciała na dalsze drzewo.

- Jedźmy! - Najemnik ścisnął w jednej rękawicy pochodnię, a w drugiej wodze.

Guy potrząsnął głową. Był wzburzony, rozgorączkowany.

- Nie, jeszcze nie. Nie skończyłem z tobą.

Hugo nie mógł dojrzeć ani napiętej twarzy, ani niebezpiecznie groźnego błysku w oku dowódcy. Niczego nie mógł dojrzeć. Wierny rycerz Jana i Eleonory był zwinny i szybki. Naprędce rozejrzał się. Wokół panowała cisza. Była ona nabożna jak podczas uroczystych świąt kościelnych w katedrze w Poitiers.

- Posłuchaj, Guy, jakie to wszystko ma znaczenie, skoro i tak za kilka tygodni nastąpi koniec świata? - odezwał się ponownie Carpine, unosząc do góry brwi i wykrzywiając paskudną gębę. - I ja, i ty, wszyscy zdechniemy, jesteśmy jeno biednymi grzesznikami.

Pochodnie rozświetlały płomieniami mrok nocy. Las był groźny, ponury i o tej porze wydawał jedynie nocne szmery. Lekki wiatr sprawiał, że nagie drzewa poruszały gałęziami. Gwiazdy świeciły wysoko. Zimne i nieczułe, drwiły z nich swą obojętnością. Hugo nie spostrzegł, że dowódca sięga po coś, co miał przypięte z prawej strony pasa. Nie mógł przewidzieć jego ruchu, brakowało mu bowiem doświadczenia.

Jak przyczajony kot, ze strony którego nikt nie spodziewa się ataku, dowódca oddziału niespodziewanie wydobył wąski sztylet. Odrzucił zniechęcającą pochodnię i jedną dłonią zręcznie pochwycił uzdę konia żołnierza, aby bardziej go do siebie przyciągnąć, po czym okręcił się z ostrością skoku żmii. Lśniąca stal, odbijając wrogie promienie księżyca, błysnęła w mroku niczym mrugnięcie powiek. Hugo został zaskoczony przez starszego mężczyznę. De Ardalais zajadłe wbił ostry sztylet w hardą pierś najemnika, który znajdował się tuż obok niego.

- Twój koniec świata właśnie nastąpił! - wykrzyknął z od dawna tłumioną furią, która nareszcie znalazła ujście.

Wszystko odbyło się w okamgnieniu. Dowódca z rozemocjonowanym wzrokiem, pełen energii i rzutkości wcisnął sztylet mocniej i głębiej. Przebił zniszczony kaftan, wśliznął się pomiędzy duże oczka kolczugi, kolejny kaftan, aż otarł się o żebra i trafił w samo serce. Narzędzie weszło w ciało żołdaka niczym w miękką słoninę. Twarz Hugona zamarła, znieruchomiała. Pochodnia wysunęła mu się z ręki. Oczy stanęły w słup. Były obrzydliwe, puste i wyłupiaste. Z ust pociekła strużka krwi. Nie żył. Wstrętne dusza opuściła wstrętne ciało, ku boskiej radości. Trup zaczął się bezwolnie przechylać na koniu.

Pełen ikry dowódca o zwinnym, dobrze zbudowanym ciele błyskawicznie zeskoczył z wierzchowca. Przyskoczył do ogiera Carpine'a. Ściągnął bezwładnie przechylone ciało najemnika z łęku i zrzucił je na ziemię. Jak urzeczony nie odrywał oczu od martwej twarzy żołdaka. Jego serce wezbrało jakimś dziwnym, radosnym uczuciem. Następnie Guy, bez pośpiechu napinając mięśnie uda, zaczął przepychać trupa nogą na skraj urwiska. Kiedy dopchał go na brzeg, rzekł z pełną satysfakcją w głosie:

- Teraz niech się diabeł z tobą męczy! - I pchnął po raz już ostatni Carpine'a z pasją, z dzikim entuzjazmem, prosto w ziejącą czernią przepaść. Należycie wypełnił swój obowiązek. Dopiero po znacznym upływie czasu nastąpił głuchy huk uderzającego o ziemię ludzkiego ciała. De Ardalais nie mógł tego usłyszeć. Nachylił się ostrożnie nad urwiskiem, ale jedyne, co mógł dojrzeć w nieprzeniknionych ciemnościach, to kilkanaście błyszczących ślepi patrzących z dołu w jego stronę. Wyglądały one jak maleńkie, migoczące świetliki. Wiedział, co teraz nastąpi.

ROK PAŃSKI 1200

Nastał rok tysiąc dwusetny. Przyszły kolejne dni, tygodnie i świat, jak trwał dotąd, tak trwał nadal. Nie wydarzyło się nic strasznego, co mogłoby ludzi szczególnie uwrażliwić lub srodze zaniepokoić, przywykli oni bowiem do chorób i zaraz.

Nim nadszedł tysiąc dwusetny rok, dzieci Boże zdołały się przyzwyczaić do potwornej myśli, że wkrótce ich żywot zostanie zakończony, gwałtownie i boleśnie. Katoliccy stręczyciele, te farbowane lisy bez krzty honoru i przyzwoitości, oszalały na punkcie wypominania ludzkim masom grzechów i złego prowadzenia się. Ich słowa były trucizną, która wtłaczała się do ludzkich umysłów, by następnie przeistoczyć je w rumowisko. Kaznodzieje dążyli do wskazania zabłąkanemu, upadłemu człowiekowi właściwej drogi ku boskiej, jedynej świętości. Za wszystkie złe uczynki miała spotkać bezbożników surowa i zapowiadana od dawna kara. Przedstawiano im demoniczne opowieści o rychłej śmierci, o kipiącym gniewem Sądzie Ostatecznym, przed którym wszyscy z opuszczoną głową będą musieli wnet stanąć, co stale słuchaczom wmawiano. Dlaczego zatem sami księża nie drżeli z trwogi, mając na karku więcej przewin, więcej grzechów aniżeli cały pozostały ród Adama?

Rok tysiąc dwusetny miał położyć kres wszystkiemu i wszystkim. Pogłoski o nieubłaganym końcu świata zdały się jednakże być mocno przesadzone i to za sprawą przesiąkniętych pychą i parenetyczną wizją rozwiązłych dostojników kościelnych. Kiedy nadszedł ów

straszny czas, kiedy to zgodnie z apokaliptycznymi zapowiedziami miernych duchownych świat miał ulec zagładzie, a wściekły za wszystko Bóg z cieknącą po brodzie pianą nienawiści chciał rzekomo zlikwidować cały rodzaj ludzki za jego rozpustę, stała się rzecz nieoczekiwana! Świat nie uległ ani zagładzie, ani nie zmienił się choćby o jotę. Jedyne, co nastąpiło, to głębokie rozczarowanie i zniechęcenie tłumów do sztuczek, którymi Kościół, niczym cuchnąca rajfurka, zonglował na targowym placu. Bez skazy i zmyzy boskie przewodnictwo krwiożerczej ubojni sumień natrafiło wnet na opór tych owiec, które nie były głupie i zdołały w porę dostrzec spadający na ich łby topór. Wierni, których Kościół chciał dręczyć do ostatka, nie siedzieli już tak cicho w boskich przybytkach jak niegdyś, lecz głośno rozprawiali pomiędzy sobą, śmiali się, a duchowni, jeżeli chcieli przekazać tłuszczy umoralniające – ich zdaniem – pouczenia i okazać się głośniejszymi od nich samych, musieli zdzierać gardła.

Orszak Eleonory przekroczył granicę łączącą Nawarrę z Kastylią i wjechał na ziemie Alfonsa, ósmego z rodu kastylijskich władców; dumnych, wyniosłych i walecznych, pełnych ognistego zapału i niekończących się marzeń o potędze własnego królestwa.

Eleonora wychyliła głowę i wciągnęła w płuca powietrze chłodne i wietrzne. Mocno ją ono orzeźwiło. Krajobraz, pomimo zimowej aury, przyciągał wzrok książęcej świty.

Teren Kastylii był w dużej mierze rolniczy, dlatego też podczas pokoju, kiedy nadszedł właściwy po temu czas, a nie przeszkodziła nieszczęsna zaraza, chłopci z zacięciem uprawiali zboże i karczowali kolejne połacie lasów, aby uczynić ziemię żyzną i przynoszącą upragnione plony.

Kierowano się w stronę Palencii. W oddali zarysowały się dwa wyjątkowo charakterystyczne wzniesienia, w obrębie których wybudowano miasto. Wzgórza nie były wysokie, łagodnie opadające stoki przechodziły w pustynną równinę. Kiedy odebrano Maurom tę ziemię, miasto rozciągające się nad rzeką Carrion stało się jedną z kilku królewskich siedzib. Alfonso lubił swoje castillo³⁸

umiejscowione wysoko, w głębi miasta, ale nie darzył tej akurat siedziby królewskiej tak dziecięcą wręcz miłością jak innych swoich warowni: w Toledo czy Burgos, które ponad wszystkie pozostałe uwielbiała jego małżonka Leonor³⁹.

W znacznej odległości przed olbrzymimi bramami Palencji na starą księżną oczekiwała z całą należną jej pompą królowa wraz z królem Kastylii, arcybiskupem don Martínem II Lópezem de Pisuerga⁴⁰ oraz najważniejszymi grandami królestwa.

- Nareszcie! - szepnęła Eleonora.

W czasie przywitania radość widoczna była na twarzach zarówno przyjezdnych, jak i witających serdecznie gości. Młoda Leonor na widok matki rozpląkała się ze wzruszenia. Nie widziała jej tyle lat, że nie potrafiła ukryć łez, mimo iż na co dzień nie była osobą skłoną do okazywania publicznie swych uczuć. Teraz jednakże błędnie założyła, że jedynie stara królowa dostrzegła tę egzaltację, na którą nie pozwalała sobie przy tego rodzaju oficjalnych wystąpieniach.

- Ukryj łzy, moja córko - upomniała ją Eleonora Akwitańska. - Zapomniałaś? Królowa nie płacze!

Leonor natychmiast je starła. Nawet śmierć małego infanta nie mogła sprawić, że kastylijska władczyni zalewała się łzami. Była chłodna i wyniosła. Jej pewność siebie była nierzadko wręcz odpychająca. Dawno temu utraciła miłość króla i z tej przyczyny przestała go pociągać. Z pełnym dostojeństwem znosiła zarówno smutki, jak i radości. Nie ulegała przyziemnym troskom ani tym bardziej wszelkiego typu uniesieniom. Czasem pod względem siły charakteru przypominała swą matkę, ale nie mogła dorównać jej w zapalczywości w dążeniu do raz upatrzonego celu ani w śmiałości czy płomiennej pasji w działaniu, pomimo tego, iż niejednokrotnie usiłowała się z nią utożsamiać. Eleonora Akwitańska była jedna, jedyna na świecie i nikt nie mógł z nią konkurować na jakimkolwiek polu. Wszelkie tego typu starania okazywały się próżne i prowadziły do poznania smutnej prawdy o sobie samym. Królowa Kastylii nie przypuszczała, że kiedy przed jej oczyma stanie ukochana matka,

dozna tak silnego afektu. Była szczerze uradowana, a Alfonso, jej mąż, powitał z właściwym sobie respektem matkę żony, osławioną królową i księżną, o której trąbiła cała Europa. Wnuczka Amauberge'a była żywą legendą jeszcze za swojego długiego życia. Każdy to wiedział i nikt nie śmiał podważać tegoż faktu. Najstarsza z europejskich władczyń przybyła do królestwa Kastylii i, biorąc pod uwagę korzyści, jakie stara księżna mogła przynieść kastylijskiemu rodowi, należało zagwarantować jej taki pobyt, na jaki w pełni zasługiwała.

Alfonso, wysoki, zarozumiały mężczyzna o lśniących, ciemnych włosach, skłonił się nisko i zaproponował, by obie kobiety, młoda i stara, wspólnie odbyły resztę podróży do castillo w głębi miasta. Król wyglądał imponująco, kiedy tak jechał na białym jak śnieg rumaku tuż obok. Oto władca o pięknej sylwetce i silnych ramionach. Królewska głowa osadzona była na mocnej, szerokiej szyi. Lekko wystająca ku przodowi szczeka zarośnięta była ciemną brodą. Zimny wiatr rozwiewał jego długie włosy i smagał pociągłą twarz. Prawdziwie przystojny mężczyzna z Południa, na którego widok omdlewały kobiety. Prawdziwy Kastylijczyk. Prawdziwy król. Badawcze spojrzenie ciemnych oczu męża zawsze przyprawiało Leonor o żywsze bicie serca. Będąc żoną króla Kastylii, nigdy nie potrafiła poskromić zazdrości o niego.

- Mój zięciu, szlachetny Alfonso, widzę, że pięknie jest w twoim królestwie - zauważyła z uznaniem Eleonora.

Akwitanka sprawiła Alfonsowi nie lada przyjemność. Był zadowolony ze słów księżnej. Lubił pochlebstwa i był na nie łąsy jak pies na kości. Tym jednym zdaniem zyskała w jego oczach więcej poważania aniżeli Leonor podczas całego ich małżeństwa. Cieszył się, że teściowa zwróciła uwagę na widoczny już dobrobyt. Zamierzał pokazać jej więcej wszelkich udogodnień, jakie ostatnimi czasy poczynił w Kastylii. Zawdzięczał rozwój swojego królestwa mądrym, szczegółowo przemyślanym reformom i zachowanemu jeszcze wewnętrznemu pokojowi. Mimo że był niecierpliwy, rzutki i od

przeciągającego się pokoju wolał szaleństwo oraz podniecający zapach krwawych wojen, to jednak potrafił się zmusić do powściągliwości i podążać za rozumnymi radami królewskich doradców. Oni mieli na względzie jedynie dobro Kastylii i chęć ustrzeżenia jej przed kolejnymi, wyniszczającymi ją walkami.

- Pani, moja Kastylia dużo zawdzięcza doradcy finansowemu, wiernemu Jehudzie⁴¹. Dzięki jego inicjatywom i rozsądnym zaleceniom powstały nowe zakłady, szereg warsztatów, a także fabryka papieru, z której jestem bardzo dumny. Dobrze miewał pomysły, ten mój Jehuda.

- Westchnął przeciągle. - Piękne, zdrowe konie wywodzą się z mojej stadniny królewskiej. To on zachęcił mnie do jej rozbudowy.

- Ten twój Jehuda to Żyd? - zainteresowała się księżna.

- Owszem - wyjaśnił naprędce don Martin de Pisuerga. - To był Żyd.

Król Kastylii grzecznie pouczył biskupa:

- Arcybiskupie, nie do was było skierowane pytanie.

- Był? Cóż zatem? - pytała dalej Eleonora. - Nie poznam twego roztropnego doradcy?

- Żałuję ogromnie, ale nie ma go już pośród żywych - smutnie odpowiedział Alfonso.

Don Martin nie okazał takiego smutku, jaki pojawił się na twarzy władcy. On sam osobiście był bardzo rad, że Żyda, którego nie znosił, nie ma już nigdzie, a tym bardziej w Kastylii. Biskup cieszył się w duchu, że żydowski doradca nie będzie mu więcej zagrażał ani wpływał na Alfonsa, by realizować interesy własne i swoich współwyznawców. Don Martin chciał jako jedyny z najbliższego otoczenia króla wywierać znaczący wpływ na władcę i pragnął, aby król polegał wyłącznie na jego radach i opiniach, które wszak były rozsądniejsze aniżeli Jehudy - dlatego też spalał się w zazdrości i nie mógł pogodzić się z faktem, iż Alfonso pozwalał sobie na beztrudne odsuwanie go na bok. Ów Żyd, póki żył i sprytnie kręcił się przy królu, podsuwając mu do podpisu szereg królewskich aktów, zdecydowanie utrudniał biskupowi oddziaływanie na młodego Kastyljczyka.

Leonor zacisnęła zęby ze złości. Ojciec kochanki⁴² jej męża! Królowa Kastylii nienawidziła Żydów równie mocno jak nałożnicy, przez którą straciła miłość małżonka.

Błękitnooki Guy de Ardalais jadący z drugiej strony na wierzchowcu nie odstępował wozu księżnej. Trzymał się tuż obok, ponieważ kobieta chciała mieć go blisko siebie. Oboje sprawę Hugo Carpine'a odsunęli na dalszy plan. Księżna wyraziła szczerą aprobatę dla wydarzeń, które rozegrały się nad leśną przepaścią. Obiecała, że sprawę tę przedstawi królowi Janowi w jak najkorzystniejszym dla dowódcy świetle. De Ardalais mógł być pewien, że Eleonora dotrzyma danego słowa. Takie jej postępowanie było chwalebne i dzięki niemu kobieta zdobywała sojuszników, którzy trwali przy niej na dobre i złe, bowiem umiała utrzymać przy sobie wiernych jej ludzi.

Powozy – w otoczeniu rycerzy, żołnierzy, giermków, służby księżnej i towarzyszących jej dostojników kościelnych, wraz ze znamienitą kastylijską świtą królewskiej pary – wtoczyły się do miasta. Z oddali dały się słyszeć potężne, spiżowe głosy miejskich dzwonów, które z niebotyczną siłą górowały ponad ogólnym hałasem, stukotem końskich kopyt i rzeniem wierzchowców. Chrześcijańska Palencia, podobnie jak i cała Kastylia Alfonsa, posiadała kościołów bez liku i mogła się nimi szczycić, kiedy tylko możni tego świata ją odwiedzali. Dźwięk spiżowych kolosów był wszechobecny. Rozchodził się wszem wobec. Wdzierał się do każdego domu, wślizgiwał się do każdej piwnicy, wpychał się do każdego perystylu.

Wszędzie powiewały wymyślne dekoracje, które Kastylijki szykowały od tygodni. Było głośno, gwarno i wesoło. Ulice zasypano suszonymi kwiatami i różnymi różnobarwnymi chustami. Wyglądały one jak przesadnie wysztafirowane wzorzystymi ornamentami mozaiki w muzułmańskim pałacu kalifa z Seville. Pstrokate kolory migotały w oczach. Jaśniały i mieniły się blaskiem w ogromie ich odcieni. Pomimo zimowej pory jakby zdecydowanie cieplej zrobiło się w obrębie miejskich murów. Dworacy na rozkaz króla, gdzie tylko

mogli, powtykali wielobarwne chorągwie oraz proporce symbolizujące zarówno Palencję, jak i Kastylię.

- Czemuż tu tak ciasno? Dom stoi przy domu, wręcz się dotykają, uliczki takie ciemne, schody ciasne - odezwała się matka. - U nas nie ma aż takiej ciasnoty.

Każda dzielnica, podobnie jak to miało miejsce w Toledo, była również tutaj otoczona murami i wieżami. Księżna z nieukrywanym zainteresowaniem wyciągała głowę i chętnie rozglądała się na całej trasie przejazdu. Uśmiechała się do witających ją ściśniętych tłumów. Czasem pomachała dłonią. Nie zamierzała ukrywać, że pochlebia jej, z jak szczerym przyjęciem spotyka się w Palencji.

- Tak są zbudowane nasze miasta - odrzekła córka.

- Znasz je wszystkie? - zapytała matka.

Leonor zaprzeczyła ruchem głowy. Księżna ściągnęła brwi i zrobiła kwaśną minę.

- Źle czynisz, moja córko!

De Ardalais z prawdziwą przyjemnością podziwiał budynki mieszkalne w kolorze piaskowym, wieże wartownicze i kamienne jasne mury osłaniające bogate rezydencje kastylijskich baronów. Ilekroć znalazł się w Palencji, odnosił wrażenie, jak gdyby był tu po raz pierwszy.

W pobliżu jednej z wąskich uliczek, do której przylegał dwupiętrowy dom, ustawił się mężczyzna w średnim wieku z małym chłopcem. Chciał dopchać się jak najbliżej, by mieć najlepszy widok na zdumiewający orszak. Wziął synka na ramiona, żeby i on mógł dojrzeć wspaniałych gości oraz samego kipiącego energią władcę Kastylii jadącego na pięknym królewskim rumaku. Chłopczyk piszczał z radości, widząc kierujących się ku nim strojnych trębaczy, dworzan i rycerzy na wierzchowcach w zdobnej, połyskującej w zimowym słońcu uprzęży. Szczęśliwy rzemieślnik, jeden z kilku tysięcy Żydów, których król zgodził się sprowadzić z Francji do Kastylii zgodnie z wydanym przez siebie edyktem, pragnął osobiście podziękować panu tych ziem. Tutaj, w Palencji, otworzył warsztat i wykonywał

godną pozazdrosczenia biżuterię dla miejscowych piękności, żon i nałożnic wytwornych grandów. Tutaj odżył po ciężkich doświadczeniach i prześladowaniach, jakie zgotowali mu Frankowie – tam, na francuskiej ziemi, utracił żonę i dorobek całego życia. Dzięki kastylijskiemu edyktowi mógł wraz z synem rozpocząć nowe życie – otrzymał drugą szansę. Dlatego usiłował wykorzystać tę jedyną nadarżającą się okazję i podziękować samemu królowi za jego dobroć i wsparcie okazane Żydom. Miał nadzieję, że uda mu się krzyknąć w stronę władcy jego nowej ojczyzny słowa podziękowania.

Król wraz ze świtą nadjeżdżał, nieśpiesznie i spokojnie. Miał po obu stronach niezliczone rzesze mieszkańców, do których niestrudzenie się uśmiechał. Kiwał z zadowoleniem głową. Ludność Palencji nie zawiodła go, albowiem tłumnie przybyła powitać potężnego gościa kastylijskiego króla. Żyd, mimo że od władcy dzieliła go znaczna odległość, odważył się i zakrzyknął głośno:

- Miłościwy królu! Panie... Panie...

Alfonso nie usłyszał. Jakże mógłby w natłoku wszystkich radośnie rozbrzmiewających głosów, które wybuchwały wokół niego niczym prawdziwa burza? Ale jeden z rycerzy jadący przy królewskim boku zauważył Żyda z chłopcem na ramionach. Rzemieślnik nie ustępował, w dalszym ciągu usiłował przebić się bliżej. Machał rękoma, ale wszyscy inni także machali i równie głośno krzyczeli, pozdrawiając królewską rodzinę. Parli niczym nieokiełznana chmara szarańczy. Każdy chciał stanąć w pierwszym szeregu i rozpychał się na boki łokciami. Każdy chciał przyjrzeć się dostojnym gościom, którym nawet z oczu kapąło złoto. Ludzie nacierali coraz mocniej i mocniej. Byli jak woda szybko wzbierająca w rzece pod wpływem nagłej ulewy. Niemożliwy do opanowania prąd w wartko płynącym potoku. Mężczyzna próbował bezustannie. Orszak przemieszczał się powoli. Rycerz widział nieudolne próby mężczyzny, by zwrócić na siebie królewską uwagę. Kiedy Żyd z synem wysunął się zdecydowanie naprzód, władca Kastylii był tuż, tuż – dosłownie na wyciągnięcie dłoni.

- Najjaśniejszy panie! - zakrzyknął ponownie.

Alfonso nie usłyszał. Rycerz króla - czując przy tym zarówno niedowierzanie, jak i złość - rozpoznał w mężczyźnie żydowskiego rzemieślnika, który nie chciał obniżyć mu ceny za spinkę dla matki. Alazar de la Cruz, jako chrześcijański rycerz, nie znosił Żydów, nie lubił ich nieprzystępnych, pyszałkowatych min. Nie lubił ich panoszenia się w mieście, ich interesów i ochrony, jaką otrzymali od kastylijskiego króla. Wiedział, kto tak naprawdę stoi za podpisanym przez Alfonsa edyktem, nakazującym sprowadzenie Żydów z Francji do jego ojczyzny. Alazar błyskawicznie zerknął w stronę władcy. Chciał zdobyć pewność, że Alfonso nie patrzy w tę stronę. Wstrzymał konia. Zmrużył zawzięte oczy i nagle z całej siły uderzył mężczyznę w twarz obutą nogą.

- To nie miejsce dla obrzezanych psów! - warknął przez zaciśnięte zęby. - Wynoś się stąd albo wbiję kopię w twe żydowskie serce! - Wzniósł oczy ku niebu i wymamrotał: - Niech Bóg broni świętą Kastylię przed obrzezańcami!

Jak sądził, Bóg zapewne z ukontentowaniem obserwowałby, gdyby wbijał żydowskiemu psu lancę po same zebra.

Człowiek mający chłopca na ramionach zachwiał się, ale nie mógł się przewrócić, ponieważ miał za sobą falujący tłum ludzi, który wciąż na niego napierał. Nie zdążył jednakże utrzymać podskakującego mu na barkach synka i dziecko nieopatrznie upadło na ziemię, tuż pod stopy ojca. Mały chłopiec uderzył główką o leżący kamień. Żydowski rzemieślnik wydał z siebie okrzyk przerażenia, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wszak każdy z Kastylijczyków mieszkających w Palencji wpatrywał się jedynie w uroczysty pochód i chciał dojrzeć więcej aniżeli sąsiad stojący obok. Ojciec nachylił się nad synkiem. Dotknął jego główki, jak gdyby usiłował ją podnieść. Spanikowany zauważył, że na palcach ma krew chłopca. Synek nie ruszał się.

Rycerz de la Cruz, w pełni usatysfakcjonowany, odjechał z radosną miną na twarzy.

- *iVete al diablo!*⁴³ - mruknął pod nosem. Czuł, że spełnił swoją powinność. Powinność chrześcijańskiego rycerza wobec obrzezańca.

Pochód sunął dalej. Pełen życia prosty lud w dalszym ciągu wylegał gromadnie na obsypane ulice i wypełniał każdą dziurę Palencji. Roztętniony jazgot nie pozwalał usłyszeć nikogo nawet z bliska, a co dopiero z daleka. Każdy chciał oprócz króla powitać również matkę ich królowej Leonor, ukochanej władczyni Kastylijczyków, która jawiła się im jako prawa i religijna królowa, dbająca o podległy jej lud i miłująca Boga ponad wszystko. Najpierw Boga, potem Alfonsa. Tymczasem orszak przejechał całą główną ulicę Palencji i skierował się ku wyższej części miasta. Ludzie zaczęli się powoli rozchodzić, tłumy przerzedziły się. Mieszkańcy zobaczyli, co chcieli, i poczęli wracać do swoich zwykłych spraw, domostw, do życia, które nie było tak barwne i bogate jak to, które zobaczyli przed chwilą. Nikt nie zwracał uwagi na leżącego małego chłopczyka i płaczącego przy nim ojca. Nie chcieli zwracać uwagi, albowiem rodowici mieszkańcy Palencji nie lubili Żydów.

Rzemieślnik nie wiedział, co począć. Nie potrafił ukryć, że był głęboko wstrząśnięty. Błagał rozchodzących się ludzi o pomoc, ale nikt nie okazywał zainteresowania losem jego i jego synka. Wszak byli oni obrzeźcami. Byli tymi, którzy dopomogli w ukrzyżowaniu syna Pana Wszelkiego Stworzenia.

*

Ucztom, zabawom i szalonym turniejom nie było końca. Alfonso ochoczo brał w nich udział, popisując się sprężystym i walecznym ciałem. Był wyśmienitym jeźdźcem i rozumiał każdy ruch swojego białego rumaka. Ilekroć dochodziło do sytuacji niebezpiecznych, Leonor chwyciła się z niepokoju za serce, król natomiast wszystkie je zupełnie bagatelizował. Ulubioną rozrywką kastylijskich możnych i dostojników kościelnych, którzy wyczekiwali

jej z wypiekami na twarzy, siedząc na trybunach, były walki byków. Krwawe, okrutne, nieludzkie, ale wśród aplauzów i wiwatów wzbudzały ekscytację i trzymały w pobudzającym napięciu. W tej niebezpiecznej zabawie mogli uczestniczyć jedynie najznamienitsi spośród grandów.

Ogromny smutek odmalował się na arcybiskupiej twarzy don Martina de Pisuerga, ponieważ nie mógł on wziąć udziału w tej rycerskiej rozrywce, która przyciągała tłumy. Od kiedy biskup Tarragony uległ wypadkowi podczas jednej z walk, duchowieństwo miało zakaz brania w nich udziału⁴⁴.

Gdy tylko słońce wschodziło, całe miasto drżało z podniecenia i nerwowego wyczekiwania na zbliżające się kolejne, nowe jak co dnia rozrywki, przyjemne uciechy oraz wykwintne niespodzianki, jakie fundował im król Kastylii. Popołudniami rozdawano ludziom jedzenie, skwaśniałe wino i niezjedzony przez służbę zamkową oraz przybyłą księżącą świętą chleb. Czasem rzucano garść monet. Przyjezdnych było w bród, a dzięki ich żarłoczności i nieugaszonemu pragnieniu wlewania w siebie nieograniczonych ilości kastylijskiego wina kolorowe tawerny nęcące zapachami pękały w szwach czy za dnia, czy w nocy.

Świat z okazji przyjazdu Eleonory jakby zatrzymał się w miejscu. Wirował, tańczył i śpiewał do późnych godzin nocnych, by następnie już o świcie szykować się na kolejny upojny dzień. Młody król, władczy i junacki, zamierzał olśnić swoją teściową. Pragnął pokazać jej całe bogactwo kastylijskiej ziemi i wrodzoną gościnność jej mieszkańców. Zamierzał wprowadzić starą królową w zachwyt i wykazać, że nie tylko ona ma się czym chlubić, ale i on również. Wielkie własności ziemskie, warownie z grubymi murami, doskonale ufortyfikowane, klasztory, z których był dumny, nie są mniejsze, a już z pewnością nie uboższe od tych, które piętrzą się na terenie jej dziedzicznej Akwitanii czy w hrabstwie Poitou. Mimo że to właśnie swemu nieudanemu synowi Janowi, który był najmniej tego wart, Eleonora przepisała swe rozległe rodowe posiadłości, to jednakże nadal

zachowała w nich pełnię niekwestionowanej przez nikogo władzy. Alfonso szczerze podziwiał matkę swojej żony i starał się okazywać jej na każdym kroku swój podziw. Księżna szczerze odwzajemniała tę sympatię. Kastyljczyk był urzeczony jej mądrością i zdolnością przewidywania. Szanował Eleonorę za dalekowzroczność i zapobiegliwość w rządzeniu.

Wyraził pełne dla niej uznanie, kiedy stara kobieta obwarowała przekazanie swoich dziedzicznych ziem Janowi przemyślnymi i roztroprnymi warunkami. Dzięki tej faryzejskiej, ale jakże trafnej decyzji przestała się obawiać, że zachłanny i bezduszny syn zechce w pewnym dogodnym dla niego momencie zdradziecko wyzuć ją z całego majątku. Przenikliwy umysł Eleonory nigdy jej nie zawiódł. Nie chciała, aby kolejnym księciem Akwitanii był najmłodszy syn. Uciekła się do diabolicznego, ale jednocześnie pełnego inwencji wybiegu, z których ogólnie słynęła. Wyjaśniła przebiegle, iż ukochanemu Ryszardowi książęcy i hrabiowski tytuł przekazała jedynie dożywotnio. A skoro jej ulubieńca nie ma już pośród żywych, tytuł diuka musi powrócić do niej. Nie miała najmniejszych oporów. Rozkazała chwiejnemu emocjonalnie Janowi złożyć przysięgę wierności, która była wartością najwyższą, oraz zrzec się praw do ziem, które do jej śmierci będą tylko jej niepodważalną własnością. Błyskotliwa władczyni uchroniła tym sposobem cenne posiadłości. Nie pozwoliła, by przedwcześnie dostały się w niepowołane ręce, które i tak nie umiały niczego utrzymać na dłużej. Wnuczka nieulekłego Wilhelma zbyt dobrze znała swojego niechcianego syna i wszystkie jego przykre wady, by powierzać mu za swego życia prywatne włości, których strzegła tak zazdrośnie i którymi nie chciała się z nikim dzielić. To wszystko należało jeno do niej!

Alfonso zamierzał uprzyjemnić teściowej pobyt w swoim castillo, jak tylko potrafił, i pragnął, żeby i jego lud odczuwał szczerze zadowolenie z wizyty matki Leonor. Nie obawiał się, że kobieta będzie zawiedziona bądź rozczarowana. Rozsadzała go pycha i niezawodna pewność siebie. Czasem zachowywał się dziecinnie jak mały chłopiec,

któremu wszystko się należy i któremu nikt nie ma prawa się sprzeciwić.

Tego wieczoru wyprawiono w głównym hallu zamku huczną, inną od poprzednich wieczerę, która składała się z większej niż zazwyczaj liczby dań, lecz nie mniej wykwintnych i smakowitych. Podawano na złotych talerzach najdoskonalsze potrawy, przeznaczone jedynie dla królewskiego i książęcego podniebienia, jakże delikatnego, aczkolwiek wyrafinowanego. Stół dla władców ustawiono pod ścianą na drewnianym podwyższeniu. Poniżej estrady, w przepisowej odległości, rozmieszczono mniejsze ławy dla duchowieństwa, możnych dworzan i kastylijskich grandów, którzy mogli być dumni z zaproszenia ich przez parę królewską.

Wnętrze zamku ustrojono z istic monarszym przepychem. W hallu castillo kamienne podłogi przykryte zostały wełnianymi kobiercami zakupionymi u muzułmańskich kupców z południa półwyspu, a ściany zasłonięte kwiecistymi gobelinami cudnej roboty, które królowa Leonor kazała sprowadzić z Akwitanii. Błyskały dumną purpurą i rażącym w oczy złotem. Wielka sala oświetlona była niezliczoną liczbą świec i pochodni, a kobierce posypano pachnącymi ziołami, które napełniały powietrze charakterystycznym aromatem.

W pewnym momencie, czego nikt z gości nie mógł się spodziewać, wpuszczono do hallu bezlik gołębi z połączanymi pierścieniami na szyjach. Łoskoczący trzepot skrzydeł, a następnie gruchanie pod sklepieniem zamkowym czyniły miłym dla ucha odgłos, który urzekająco wtapiał się w dźwięki pobrzmiewających wkoło nut. Dworscy muzycy, którzy przybyli z sąsiedniej Aragonii, delikatnie dobywali słodkich dźwięków, nie zagłuszając w żaden sposób ożywionych rozmów przy stołach. Czarowne brzmienia wydobywane przy pomocy lutni, fletów i harf unosiły się nad stołami, na których aż ćmiło od sreber, w złocie rzeźbionych nadzwyczajną sztuką, pomiędzy dymiącymi potrawami i mieszały się z przyjemną wonią ziół. Muzykujący poeci z wielką pieczołowitością odtwarzali patetyczne pieśni, moralizujące i dziękczynne.

Leonor wraz z matką rozsmakowane były od dzieciństwa w fantastycznych utworach wielbiących wyniosłe, piękne damy i oddanych im kochanków, którzy byli w stanie oddać za nie życie z uśmiechem na ustach. Dworskie pieśni opowiadające o rozkoszach pełnych namiętności i żarliwych uczuciach dwojga oszalałych z miłości ludzi przepełnione były nieskazitelną rycerskością i obyczajnością, którą charakteryzowali się najszlachetniejsi spośród ludzi. Ich prawdomówność i nieskalana wierność ideałom była w większości przypadków słusznie nagradzana. Wieczną miłością i upojnym spełnieniem. Najwyższą wartością zaś była dumna rycerska cnota. Ów nieodzowny atrybut prawdziwej męskości w połączeniu z delikatnym kwiatem kobiecej skromności tworzył gotowe, chwytające za serca malowidła wykonane nader sugestywnie w barwnych opowieściach, wyśpiewywanych i głoszonych na królewskich dworach, przyjaznych nadwornym oraz wędrownym minstrelom.

Obie kobiety, matka z córką, z lekkim uśmiechem wsłuchiwały się w utwory Girauta de Borneila⁴⁵, Guirauta de Calanso⁴⁶ czy zachwyconego życiem na możliwym kastylijskim dworze Raimona de Miravala⁴⁷. Chodzący z głową w chmurach, zawsze rozmarzony i nieprzyzwoicie zerkający w stronę żony Alfonsa Peire Vidal⁴⁸ deklamował wyjątkowe wiersze. Zachwycał zebranych melodyjnym głosem, który to głos nabierał szczególnie specyficznej intonacji, kiedy mowa była o piękności damie odzianej w suknię z czerwonego, błyszczącego jedwabiu, haftowaną złotą nicią i obszytą srebrnymi tasiemkami. Nietrudno było odgadnąć, o kimże była mowa.

Król również lubił te rozrywki i chętnie im przyklaskiwał. Z uwagą wsłuchiwał się w miłosne historie i wykrzywił się niezadowolony, kiedy pieśniarz z ekspresyjnym wyrazem twarzy – raz z pełnym podniecenia wyczekiwaniem, to znów z bolesnym smutkiem – przedstawiał kochanków, jak wtuleni w siebie rozprawiali o łączącym ich wielkim uczuciu, które nie miało szans na szczęśliwe zakończenie.

Alfonso rozkazał służbie donieść zimnego, mocno słodzonego soku z cytryny. Napój, który stał przed nim, był już za ciepły i nie nadawał

się do picia.

- Dość, Peire, wystarczy mi twoich smutków. Trzeba weselić się życiem! Zaśpiewaj nam coś wesołego albo zejdz mi z oczu! - krzyknął zniecierpliwiony król. - Nie siedzimy tu po to, żeby biadolić i płakać. To się zrobiło nużące!

Śpiewający poeta zdziwił się i z niepokojem spojrzął na króla. Królowa nieśmiało zerknęła na owego średniego wzrostu muzyka. Podobał się jej. Ale nie mogła o nim myśleć inaczej jak tylko o słudze, który stworzone przez siebie utwory przeznaczał głównie dla niej. Kiedy je wygłaszał, patrzył prosto w szare, smutne oczy królowej. Alfonso był spostrzegawczy. Dawno zdołał zauważyć tę delikatną nić sympatii, jaka zdawała się łączyć jego żonę i dworskiego śpiewaka, który mógł sobie pozwolić jedynie na platoniczną miłość do swej pani. Była ona dla niego nieosiągalna jak chmura na kastylijskim niebie.

Król zdecydował. Podniósł rękę i dał znać, by ów odszedł. Następnie powoli przechylił się w stronę Leonor. Rzucił jej opryskliwie do ucha:

- Nie patrz na niego w ten sposób! Dość wstydu!

- A ty, mężu, nie przynosiłeś mi wstydu? - starała się bronić królewska żona.

Alfonso udał, że nie słyszy. Zgrzytnął zębami i chwycił w dłoń szklany puchar wypełniony złotym napojem. Zamoczył w nim swoje pełne usta.

- Pani, zechcesz spróbować czegoś innego? - spytał nagle Eleonorę. - Już od kilku dobrych lat piję ten sok. Oprócz wina oczywiście.

Stara matka ochoczo przytaknęła.

- Z największą przyjemnością.

Sługa co rychlej przygotował sok, który przed chwilą podał swojemu panu. Zgrabnie wręczył Akwitance równie piękny kielich. Księżna bez zwłoki spróbowała.

- Dobrze. - Mlasnęła z uznaniem. - Słodkie i kwaśne. - Po czym, zwracając się do sługi, rzekła: - Zadbaj, by mój kucharz otrzymał

przepis.

Służący posłusznie skinął głową.

- Nauczyłem się to pijać dawno temu, w... Toledo - rzekł melancholijnie Alfonso.

Sok cytrynowy był ulubionym napojem jego ukochanej Racheli, zatem i dla niego stał się jednym z najprzedniejszych trunków. Kiedy jeszcze królewska nałożnica żyła, popołudniami, w skwarne dni, leżąc nad leniwie płynącą rzeką lub przy fontannie z cicho szemrzącą wodą w cieniu gęsto obsadzonych w La Galianie cyprysów i drzew piniowych, rozkoszowali się oboje jego rześkim, a jednocześnie cierpkim smakiem.

- Żal jeno, że nie umiałeś w porę przestać! - syknęła Leonor, zwracając się w stronę męża.

Nie myślała o soku, ale o kochance swojego męża. Matka nie usłyszała jej.

- Leonor, zamilcz! - odburknął nieprzyjemnie Kastyljczyk.

Król lekceważył uwagi żony, które do niego kierowała. Nie odpowiadał jej, jedynie warczał jak rozdrażniony pies, kiedy wypominała mu to, co go niezmiennie bolało. Od dawna nie liczył się z jej uczuciami. Stała mu się obojętną jako kobieta, jako żona, ale nie jako królowa Kastylii. Jego serce należało bezpowrotnie do ciemnowłosej Racheli. Nawet po przedwczesnej śmierci kochanki, do której bez wątpienia Leonor przyłożyła rękę, nie mógł przestać myśleć o kobiecie, dla której całkowicie zatracił się w miłosnym szaleństwie. Przeżył z nią najpiękniejsze lata w La Galianie, niedaleko ukochanego Toledo. Ogromnie cierpiał z żalu, że nigdy już nie będzie mu dane pochwycić w ramiona wiotkiego, pachnącego pomarańczami i wonnymi olejkami ciała Racheli, całować do utraty tchu jej jedwabście miękkiej i delikatnej niczym najdroższy alabaster skóry. Tylko przy niej z jurnego rumaka stawał się wytrawnym ogierem. Nigdy już nie będzie mu dane zaznać płomiennego oddania Racheli. Nie zobaczy jej czarnych niczym najciemniejsza noc oczu rozpalonych namiętnością, która pochłaniała ich całkowicie, bez pytań, bez

warunków. Nie ujrzy jej rozkochanego spojrzenia, w którym widział siebie jako władcę nad władcami. Po nieoczekiwanej śmierci kochanki stał się jeszcze bardziej niecierpliwym i impulsywnym.

Jednakże teraz, kiedy przyjechała Eleonora Akwitańska, porzucił na ten czas krewki temperament i zadbał o gościa tak, jak został tego nauczony.

- Toledo jest twoim ulubionym miejscem? - zagadnęła Akwitanka.
- Często o nim wspominasz.

- Zaiste, pani... to moje szczególnie ukochane miejsce w Kastylii - wyznał król. - Mam do tego miasta ogromny sentyment.

Leonor zamknęła oczy. Poczowała bolący ucisk w piersiach, serce waliło i nie mogło przestać. Nie chciała tego słuchać, choć wciąż na nowo była zmuszana.

- Słyszałam... biskup de Pisuerga wspominał, że zgodnie z waszą kastylijską legendą w czwartym dniu stworzenia Bóg właśnie nad tym miastem zawiesił słońce. Dlatego jest ono starsze od innych miejsc na świecie.

- Księżno, nie będę ukrywał, że jestem pod wrażeniem. - Alfonso uśmiechnął się i potrząsnął ciemną brodą z wyrazem wielkiego ukontentowania. Wzniósł toast na cześć wielkiej władczyni.

Obecni jak jeden mąż podnieśli się z krzeseł i z szacunkiem unieśli dłonie z kielichami ku górze.

Leonor siedziała markotna i wielce przygnębiona.

„Dlaczego o mnie tak nie dba?” - pomyślała zasepiona. Aczkolwiek znała odpowiedź, ułuda była jej jednak droższą aniżeli boląca prawda. Zawsze miała nadzieję - o, naiwności! - że uczucia męża nagle się odmienią.

Po chwili, chcąc sprawić księżnej kolejną przyjemność, król zapytał uprzejmie:

- Pani, może masz ochotę na ostrygi?

Eleonora nie potrafiła ukryć zachwyty. Władca Kastylii potrafił być ujmującym gospodarzem.

- Mój drogi Alfonso, skąd wiesz, że je lubię?

Kastylijczyk w odpowiedzi uśmiechnął się tak, jak to zawsze czynił, kiedy żyła jego ukochana Rachelą.

*

Ria wyszła na zewnątrz i stanęła na olbrzymim kwadratowym dziedzińcu. Rozglądała się z ogromnym zaciekawieniem. Jej pięknym oczom ukazały się podłużne stoły, na których umieszczono dzbany z winem i wielkie misy, a w nich jedzenie dla miejscowych.

Mimo zimna ludzi na placu zamkowym nie brakowało. Królewska służba na rozkaz Alfonsa ustawiła w kilku miejscach, nieopodal stołów, wielkie naczynia z węglem. Nie dostarczały one spodziewanego ciepła przybyłym na dziedziniec mieszkańcom Palencji. Jednakże ci nie zwracali uwagi na przenikliwy chłód, skoro każdy mógł najeść się i napić do syta. Na darmowe pożywienie, zdecydowanie za mocno doprawione, po to, by zabić zapach psującego się jada, nikt nie śmiał narzekać. Ludzie łapali w dłonie tyle, ile im się mieściło, i pożerali ze smakiem. Część z nich wkładała szybko jedzenie do przyniesionych ze sobą worków.

Ria pragnęła z bliska przyjrzeć się zwyczajnym mieszkańcom Palencji. Ona również była zwykłą dziewczynką, tyle że przygarniętą przez dobrą panią. Nie była zmęczona ostatnimi wydarzeniami. Była najszcześniejszą z dziewczynek, albowiem przybyła do radosnej Kastylii. Eleonora była dla niej łaskawa i przekazała ją na służbę infantce, czternastoletniej Urrace⁴⁹. Ria miała świeże suknie, czyste włosy i przyjemny miękki płaszcz z dużym kapturem. Była najedzona i nie pracowała ciężko. Nie musiała się już niczego obawiać ani uciekać przed ludźmi jak spłoszony dziki zwierzak. Życie było dla niej łaskawe.

Niebawem, zbierając się w sobie, podeszła do pierwszego z kilkunastu rozstawionych stołów. Z dziecięcym zaciekawieniem przyglądała się ludziom w kolorowych strojach, mówiącym, jakby

seplenili, głośno i melodyjnie, kobietom o czarnych, lśniących oczach i oliwkowej cerze. Przekrzykiwały się wzajemnie i wrywały sobie co ładniejsze kawałki mięsa. Dziewczynka była podekscytowana tłumem, jego żarliwością i pijaną wesołością. Całą sobą chłonęła dźwięki i zapachy. Dopóki nie dotarła z orszakiem Eleonory do Kastylii króla Alfonsa, nigdy nie widziała tak dużych zgromadzeń ludzkich. Przypatrując się rodowitym mieszkańcom Kastylii, niepewnie sięgnęła po niewielką pajdę chleba. Wzięła ją do rąk i bez pośpiechu podniosła do ust. Wtem usłyszała za uchem piskliwie brzmiący głos.

- *iDéjalo!*⁵⁰

Czym prędzej odwróciła głowę. Nie była pewna, czy to do niej skierowane były te słowa.

- Wynoś się! - krzyknęła energiczna Kastylijka, która w pierwszej chwili pomyślała, iż dziewczynka nie rozumie jej języka. Dawała ręką znaki, by ta odłożyła chleb na swoje miejsce.

Ria ze zdumienia rozwarła szerzej oczy i utkwiała je nieruchomo w kobiecej twarzy, która nie była dla niej miłą, a zaciętą i nieprzyjemną. Wszak nie uczyniła niczego złego, nie robiła niczego innego od pozostałych osób kręcących się zwawo wokół stołów na dziedzińcu zamkowym. Każdy brał to, co akurat było pod ręką, i nie oglądał się na drugich, myśląc jeno o sobie. Kiedy zaspokoił głód, pakował, co mógł, i wracał do swojego domostwa zadowolony, że ma co dzieciom dać jeść i że dzięki królewskiej hojności poczynił zapasy na najbliższe dni.

- Nie wyglądasz na głodną. Nie zabieraj nam chleba! - huknęła ponownie gruba kobieta. - Widziałam, skąd wysłaś!

Ria poczuła się skonsternowana, z rozchyłonymi ustami nerwowo zamrugała rzęsami. Przestraszyła się. Nie zastanawiając się, bez zwłoki wykonała polecenie Kastylijki. Posłusznie odłożyła chleb na ławę, z której go wzięła. Drżące ręce schowała za siebie. Odwróciła się. Nie chcąc narażać się na obelgi, szybkim krokiem skierowała się w stronę wejściowej bramy do zamku. Chciała uciec jak najdalej. Znowuż została zmuszona do ucieczki przed ludźmi.

- Jak cię tu jeszcze raz zobaczę, to ci kości porachuję! - krzyknęła za odchodzącą szybko dziewczynką kobieta, aż jej podbródek zadrżał. Jednakże zawzięta mieszkanka Palencji nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. - Wynocha mi stąd! - wrzasnęła.

- Cóż się tak drzesz, kobieto? - odezwał się znienacka mocny męski głos. - Dla wszystkich starczy. Nie bój się. Mało masz żarcia? - dopytywał. - Braknie ci?

Teraz z kolei kastylijska kobieta musiała zareagować na bezczelny zarzut mężczyzny, który stanął blisko niej. Podniosła w górę głowę, ponieważ był on wysokim człowiekiem. Kastylijczycy, którzy przybyli na zamkowy dziedziniec, zajmowali się swoimi porcjami i nie zamierzali się wyklócać, nikt bowiem nie chciał trwonić czasu - każdy pragnął wykorzystać go najlepiej, jak tylko mógł; każdy pragnął skorzystać ze sposobności, jaką mieszkańcom Palencji podarował król z okazji przyjazdu Eleonory Akwitańskiej. Niewiasta zerknęła na jasnowłosego mężczyznę, spojrzała uważnie w jego niebieskie oczy i wysyczała z zawiścią:

- A jakże, braknie! - Tupnęła nogą. - Ta mała wyszła stamtąd. - Odwróciła głowę w kierunku zamkowej bramy. - Nie wyglądała na głodną.

- Przeszkadza ci, że chciała wziąć jeno kawałek? - dopytywał się z naciskiem. - Ty będziesz o tym decydować?

- To wszystko jest dla nas, dla mieszkańców - nie ustępowała kobiecina, wysuwając obfitą pierś do przodu i opierając pulchne dłonie na szerokich biodrach, które były oznaką płodności. - Niech nam jadła nie zabiera! - wykrzyknęła żywo, rozłożywszy ręce.

De Ardalais przeleciał po niej oczyma, na krótki moment zatrzymał wzrok na wielkich piersiach. Wykrzywił twarz.

- Prawdę mówiąc - zauważył z ironicznym uśmiechem - ty również nie wyglądasz na głodną, a jednak jesteś tu, żresz i drzesz mordę... - Oparł stopę na ławie stojącej przy podłużnym stole i z politowaniem spoglądał na pyskącą kobietę.

- O co ci chodzi, człowieku? - warknęła z gorzką desperacją. - Będziesz nam wyliczał królewskie dary? - Spuściła głowę i nie patrząc więcej na rycerza, wyciągnęła zza pasa wełniany worek. Zaczęła pakować do niego wszystko to, na co natknęły się jej zawistne oczy.

Guy machnął na nią ręką. Było bezcelowym klócić się z Kastylijką, która mocniejsza była w pysku od niejednego z jego żołnierzy. Spojrzał w stronę, w którą poszła dziewczynka. Nie było jej widać. Zdołała się już schować w zamkowych murach, a brama zamknęła się za jej szczupłą postacią. Dowódca przez krótką chwilę zastanawiał się nad czymś, po czym sięgnął po ów kawałek chleba, który Ria odłożyła, i skierował kroki ku żołnierzom, którzy opierali się o mury przy wjazdowych wrotach. Śpiewali w głos sprośne piosnki: to gaskońskie, to znów kastylijskie. Zaczął pić dobre, słodkie wino. Szybko wlewało się do gardła, szybciej, aniżeli tego pragnął. Panowała ogólna wesołość i ostre pijaństwo, przez nikogo niezakłócanie. Wkrótce i on nie powstrzymywał się od nucenia. Im więcej pił, tym większej nabierał ochoty na śpiew. Z mętym wzrokiem rozprawiali i śmiali się do rozpuku, każdy zgoła z czego innego. Mieli mocno w czubie, bowiem kastylijskie wino, rozgrzewając krew i ciało, szybko dawało odczuć zgubną siłę, która niechybnie porażała umysł. Wielu z nich zdążyło się poprzewracać i spało w chłodzie, brudzie, zalegając kąty dziedzińca.

Tymczasem do Guya podeszła uśmiechnięta niewiasta. Spodobał się jej ten jasnowłosy mężczyzna o niebieskich oczach i miłej twarzy, który był całkowitym przeciwieństwem czarnowłosych zbrojnych króla Alfonsa. Miała rozwiane, ciemne jak kastylijska ziemia włosy, przykryte najcieńszym welonem, jakiego on nie widział jeszcze u kobiet, zakrywającym połowę jej oblicza. Było ono tajemnicze. Rozsiewała wokół ekscytujący zapach, jakiego dotąd nie poznał. Była powabna, intrygowała go.

- Pragniesz lepiej posmakować Kastylii? - rzekła melodyjnym tonem, zalotnie, ale z pewnością. Nieokreślona radość drżała w jej głosie.

Otarła się lubieżnie o de Ardalais'go. Żyłki delikatnie drgały na jej gładkiej szyi, okrytej pomimo zimowej pory cieniutką tkaniną.

Rycerz przyjrzał się niewieście na tyle, na ile mógł, choć musiał szczerze przyznać, że sformułowanie jakiegoś konkretnego wniosku sprawiło mu nie lada trudność. Zdawała się być piękną kobietą, jak prawie każda młoda Kastylijka. A on lubił kobiety z tych stron. Pociągały go i wprawiały w gorące podniecenie, któremu pragnął się poddać. Były one pełne temperamentu i wigoru, bardziej namiętne aniżeli te, które znał z rodzinnych stron.

- Jak masz na imię?

- A jak chcesz?

De Ardalais oblizał wąskie usta i przymrużył oczy. Kusila go. Wabiła niczym biblijna Tamar⁵¹. Pomimo mętnego z powodu mocnego wina wzroku zdołał zwrócić uwagę na ponętnie ukształtowane piersi, które niecierpliwie falowały pod jasną tkaniną, a od których nie potrafił oderwać oczu. Nie musiał na nią patrzeć, aby zrozumieć, cóż miała na myśli. Siły go opuściły. Nie zastanawiał się wcale, kiedy pociągnęła go miękko za rękaw kolczugi. Zamroczony poszedł za nią. Tej nocy nareszcie rozładował drzemiące w nim od tygodni napięcie. Całym sercem kochał tę krainę.

*

Eleonora odpoczywała w pełnym tego słowa znaczeniu. Czuła się odprężona i częściej się uśmiechała. Nie myślała o troskach, o Janie, o niepokornym wnuku Arturze⁵² ani o jego awanturniczej matce Konstancji⁵³, której od początku nie tolerowała. Prawdą wszelako było, iż za żadną ze swoich synowych nie przepadała. Odsunęła od siebie problemy, na które w obecnej sytuacji, przebywając tak daleko od własnych posiadłości, nie miała najmniejszego wpływu. Zbierała cenne siły i delektowała się każdą chwilą spędzoną w obecności córki i jej rodziny. Radowała się

z pobytu na dworze szlacheckiego zięcia. Czuła fizyczną przyjemność przebywania w atmosferze nastrojowej, świeżej, sprzyjającej muzyki i poezji kastylijskiego zamku. Chłoneła całą sobą melodyjnie brzmiące nuty, które wywoływały mimowolne drżenie ciała, a dreszcz ten rozchodził się po same koniuszki palców. Eleonora pamiętała je z czasów, kiedy jako młodzianka dziewczyna mieszkała w akwitańskim pałacu L'Ombrière lub później - na własnych bogatych dworach w Oksfordzie, Clarendon, Winchester, bądź tych, które darzone były przez nią największym sentymentem: w Angers i wypieszczonym do granic możliwości w Poitiers.

Pomimo upływu lat, pomimo surowej niewoli, w jakiej przyszło jej żyć przez piętnaście lat, udało się księżnej zachować w pamięci te krystalicznie rozbrzmiewające tony, które sprawiały, że błogostanem napełniało się jej nieugięte, waleczne serce. Na dworach, na których Eleonora sprawowała nieograniczone władztwo nad wiernymi wasalami i zakochanymi w niej nadwornymi poetami, w tym jakże czarującym i nadobnym otoczeniu również nie mogło zabraknąć subtelnych, wręcz zawoalowanych pokus, błogich uczt duchowych, porywających serca pieśni i radosnych rozmów o dwornej poezji, a także modnych strojach i drogich kosztownościach. W powietrzu unosiła się nieprzerwanie tajemnicza aura utajonej miłości, jak rześki powiew letniego poranka, wymownych spojrzeń i dyskretnych szeptów. Każdy pochylał nisko głowę i rozplątywał się w pochwałach nad niezrównaną wspaniałością jej umysłu, klasyczną urodą dojrzałej królowej, a także odziedziczonym po dziadku Wilhelmie umiłowaniem literatury oraz wybornym stylem. A wszystko to odbywało się w takt subtelnych dźwięków wioli oraz cytary, które były miłe i czarowne dla kobiecych uszu.

Urokliwa zmysłowość panująca nieprzerwanie na dworach, na których władzę dzierżyła Akwitanka, tudzież na dworze kastylijskim była do siebie niezwykle zbliżona, jak słusznie zauważyła Eleonora w prywatnej rozmowie z córką. Z tej to przyczyny stara księżna tak doskonale się tutaj czuła.

*

Pierwszy minister królewski Pedro Manrique de Lara⁵⁴, w służbowym stroju i z błyszczącym w świetle świec złotym łańcuchu z herbem Kastyllii na piersiach, powstał od stołu. Pożegnał się z królem, przyjął od niego ostatnie wskazówki i pewnym krokiem podszedł do młodej królowej. Skłonił się jej głęboko.

Leonor od niechcienia, wręcz niezauważenie, skinęła głową i natychmiast ją odwróciła, nie zaszczycając spojrzeniem królewskiego doradcy. Minister poczuł ukłucie prosto w serce. Szybko odszedł, urażony zachowaniem władczyni.

Alfonso zdołał zauważyć zachowanie żony i w tej samej chwili nachmurzył się. Zwrócił na nią twarde spojrzenie i gwałtownie nachylił się ku niej. Szepnął jej do ucha coś, czego nikt nie usłyszał, ale po twarzy Leonor, która ponownie przybrała niespokojny wyraz, można się było domyślić, że zapewne nie było to coś, co pragnęłaby usłyszeć. Poczula się zmieszana i straciła zwykłą pewność siebie, przez co nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy.

- Mój wierny de Lara! - krzyknął Alfonso i sprężystym ruchem podniósł rękę. - Podejdź do nas! Królowa nie zdążyła się z tobą pożegnać!

Oczy królewskiej małżonki pociemniały, jak gdyby pograżyły się w nagłym mroku, utraciły swój dotychczasowy blask. Spłonęła rumieńcem i nie było to efektem wypitego wina, a zażenowanie, w jakie wpędził ją mąż, sprawiło, że zaniemówiła.

- Pani, nie pożegnałaś jeszcze naszego ministra! - powiedział Alfonso na tyle głośno, że reszta siedzących przy stołach dobrze go usłyszała.

Została potraktowana przez męża jak krnąbrna służąca, która nie wykonała właściwie powierzonego jej zadania. Zebrani z zainteresowaniem i skrytymi uśmieszkami spojrzeli na królową. Pedro de Lara nie miał ochoty zbliżyć się do niej, jednakże król nie

pozostawił mu wyboru. Minister musiał spełnić życzenie władcy. Z niejakim zakłopotaniem zawrócił i ponownie stanął przed królową Kastylii. Bez emocji spojrział w jej ponurą, ładną twarz, ale zamarłą postać, która bardziej przypominała kamienny posąg aniżeli żywą kobietę. Ukłonił się jak poprzednio, uniżenie i z pełnym szacunkiem, należnym jego władczyni, aż szeroka broda odchyliła się daleko od piersi. Zapadło krępujące milczenie. Kiedy zaczęło się ono nieelegancko przedłużać, królewscy goście siedzący przy stołach poniżej estrady poczęli chrząkać i bezgłośnie szeptać. Alfonso, rozdrażniony zachowaniem małżonki, tupnął ze złością w podłogę i zakaszał, czym przyczynił się w końcu do przebudzenia Leonor. Bezdźwięczny kobiecy głos wydobył się niedbale z jej gardła.

- Życzę dobrej podróży - rzekła sucho, w próżnię, ledwie otwierając usta. Jej szare nieruchome oczy patrzyły przed siebie ponad głową doradcy.

Minister raz jeszcze skłonił się nisko. Kiedy przeszedł dalej, zawstydzona królowa szepnęła do męża:

- Żebyś nigdy nie ważył mi się zwracać uwagi w ten sposób!

- Żebyś nigdy nie ważyła się zachowywać tak jak teraz! W przeciwnym wypadku odeślę cię do Tahull - ostrzegł król surowo, jednakże na tyle cicho, żeby nikt z obecnych nie mógł tego usłyszeć.

Nie wierząc własnym uszom, spytała nagle spłoszona:

- Tahull?

- Dobrze usłyszałaś! - Zmarszczył się srogo. - Urodzisz mi jeszcze kilku synów, a potem zamknę cię tam... - Nie mógł się powstrzymać, aby tego nie wypowiedzieć. - W San Clemente. Klnę się na Boga, niecna kobieto, i będę więził tak długo, jak Henryk twoją matkę.

Leonor nie odezwała się. Poprzednie barwy, które pulsowały na jej ładnej twarzy, zniknęły i teraz królewskie oblicze dosięgła martwa bladość. Zamknęła powieki. Poczowała, jakby krępowano szorstkim sznurem jej dłoń, a wkrótce potem przywiązywano jej ciężki kamień u szyi. Ciężar jest ogromny. Dusi się. Nie ma siły go udźwignąć. Nie może swobodnie oddychać. Przyprawiają ją nad Carrion. Kiedy

staje nad jej brzegiem, ukochany Alfonso bez namysłu, bez wyrzutów sumienia, bez litości wpycha ją siłą w głęboką toń zimnej rzeki. Śmieje się okrutnie, kiedy ona usiłuje się ratować. Nadaremnie. Woda szybko przykrywa jej królewskie ciało. Jest lodowata, przez co wyczuwa ostatnimi zmysłami setki bolesnych ostrzy wbijających się w ciało. Nie może zaczerpnąć powietrza. Kostnieje, nie może się poruszać. Brakuje jej sił. Opada coraz niżej. Niżej. Otwiera usta, a woda bezlitośnie wdziera się w nią. Wypełnia ją całą. Tonie. Wokół ciemność, nicość. Umiera.

- Ileż to było lat? - Król nie przestawał dręczyć żony.

Gnębienie królowej sprawiało mu ogromną przyjemność i nie zamierzał się jej pozbawiać. Pastwił się nad nią jak nad bezbronnym lisem, którego chce się zaszczuć, by patrzeć potem na jego cierpienie i powolną śmierć.

Leonor ocknęła się z letargu. Wystraszona, szybko rozejrzała się wokół. Każdy bawił się, pił, jadł. Nikt niczego nie słyszał, nikt na nią nie patrzył, nikt nie zauważył jej udręki.

- Co? - wymamrotała, łapiąc naprędce powietrze.

Alfonso zapytał ponownie, jakby od niechcienia:

- Ileż to lat więził ojciec twą matkę?

Kobieta wydusiła z trudem:

- Nie pamiętam...

- Doprawdy?! - spytał beztróska, a usta wykrzywił mu zuchwały uśmiezek. Sięgnął po drozdy marynowane w winie. - Widzisz, a ja dobrze pamiętam, w przeciwieństwie do ciebie. - Zmrużył ironicznie oczy. - Uważaj zatem, bo możesz podzielić los swojej matki.

Królowa Kastylii wyszepnęła:

- Skoro pamiętasz, ile to było lat, to po cóż pytasz?

Alfonso przekrzywił z zadowoleniem smagłą twarz, włosy opadły mu na policzki. Ręką odgarnął jeden z loków i odparł niedbale:

- Bo taki mam kaprys!

Leonor poprosiła:

- Alfonso, błagam... nie dręcz mnie...

- Nie? - zapytał nie bez odcienia gorzkiego szyderstwa. - A czemuż nie, skoro sprawia mi to przyjemność? Chcesz mi i ją odebrać?

Córka Henryka Plantageneta czuła boleść, która jej od dawna nie odstępowała, a mąż z dziką rozkoszą dostarczał jej kolejnych zgryzot.

Doradca serdecznie pożegnał Eleonorę. Stara kobieta uśmiechnęła się z pełnym dostojeństwem i powiedziała kilka zdawkowych słów, które jednakże w jej ustach zabrzmiały niezwykle przyjacielsko. De Lara był szczęśliwy, widząc, jak matka królowej Kastylii traktuje pierwszego doradcę królestwa. Był zaszczycony, że go wyróżniła, zadawała ciekawe pytania i chętnie rozmawiała podczas wspólnych wieczornych posiłków. Następnego dnia o świcie minister wyruszał do Toledo. Miał za zadanie dopilnować niecierpiących zwłoki spraw, które zlecił mu Alfonso. Sam król nie mógł jeszcze opuścić Palencji. Chciał do samego końca towarzyszyć Eleonorze i dokończyć rozpoczęte rozmowy, które miały dla ich kastylijskiego domu ogromne znaczenie.

Kolacja zbliżała się ku końcowi. Nadszedł zatem czas na kolejną porcję rozmów z Eleonorą Akwitańską. Młoda królowa spojrzała na Alfonsa, ale król był zajęty pogawędką z jej matką i arcybiskupem Bordeaux. Poza nimi nie zauważał nikogo.

- Czas na nas. - Leonor starała się być uprzejma. - Musimy omówić jeszcze kilka spraw odnośnie Urraki.

- Wiem, co należy czynić - mruknął. - Pamięć mam dobrą.

Władca bez specjalnego pośpiechu, po dłuższej chwili - chcąc unaocznić w ten sposób żonie, iż to wszakże on podejmuje decyzję o końcu wieczery - podziękował przybyłym gościom za obecność podczas dzisiejszego wieczoru i życzył wszystkim dobrej nocy.

Eleonora przeszła do prywatnych komnat, które zostały jej przydzielone na czas gościny w Palencji. Amaria pomogła jej zdjąć z pleców płaszcz. Z największą pieczołowitością ułożyła go na odległych skrzyniach i wygładziła. Potem przystąpiła do rozpalania wszystkich świec, jakie znajdowały się w pomieszczeniu, oraz tych,

które doniesiono po południu. Najwyższe świeczniki postawiła przy podwyższeniu, na którym zazwyczaj przesiadywała matka królowej Kastylii. Potem przeszła do sali obok, gdzie znajdowało się łoże księżnej i jej własne pościeło. Eleonora nie chciała mieć przy sobie służącej podczas rozmowy.

Stara królowa weszła ostrożnie na estradę. Znajdowała się ona przy wąskim oknie. Światło księżycowe szklistymi refleksami spływało przez nie na fotel, w którym zasiadła. Nocna poświata połyskiwała na jasnym zawoju starej kobiety. Służące napaliły w kominku i było dość przyjemnie, jednakże jej ciało, od wielu już lat niemłode, potrzebowało znacznie więcej ciepła. Okryła się futrem z gronostajów i zatopiła wzrok w iskrzących się płomieniach. Przymknęła zielone oczy, jakby światło ognia za bardzo ją raziło. Wieczorami często czuła piasek pod powiekami, dlatego też mrugała i mrużyła oczy, nie zdając sobie nawet sprawy, jak często to czyni. Westchnęła głęboko. Odczuwała zmęczenie, które było przyjemne. Akwitanka przygotowała się do rozmów. Nie były one dla niej łatwe, szczególnie kiedy brała w nich udział Leonor.

Niebawem do komnaty wkroczył żwawym, pewnym krokiem Alfonso, a za nim jego wysoka, ładna żona. Król, rozejrzawszy się wokół, natychmiast przysiadł na znajdującym się blisko estrady fotelu. Wyciągnął nogi przed siebie i przyjrzał się uważnie starej kobiecie. Nie zaproponował królowej Kastylii, by i ona zajęła miejsce obok niego.

- Jeżeli jesteś zmęczona, pani, możemy tę rozmowę przełożyć - odezwał się po chwili, pocierając dłońmi o kolana. - Wszak mamy czas.

- Nie, nie. Nie ma takiej potrzeby - odparła natychmiast Eleonora. - Nie jestem zmęczona na tyle, żeby nie móc omawiać ważnych tak dla mnie, jak i dla was spraw. Poza tym nie mogę siedzieć w Palencii nie wiadomo jak długo. Czas mi wkrótce wyruszać.

- Matko, na pewno nie jesteś zmęczona? - z prawdziwą troską zapytała córka. - Może powinnaś się położyć?

- Czyż nie powiedziałam przed chwilą, że nie jestem? - twardo zareagowała kobieta. - Posłuchajcie... chciałabym jeszcze porozmawiać z infantkami.

„Choć i tak wiem, że już nie ma po temu potrzeby” - pomyślała, w zastanowieniu obejmując spojrzeniem małżonków.

Leonor zmieszała się, króla natomiast prośba teściowej w żaden sposób nie poruszyła. Pragnął, by stara księżna każdego dnia otrzymywała wszystko to, o co tylko poprosi. Służbie wydano szczegółowe dyspozycje. W taki oto sposób objawiała się nienaganna gościnność króla Kastylii.

- Ale w jakimż to celu, matko? - zainteresowała się żywo córka. - Wszakże rozmawiałaś z nimi.

- Zabraniasz mi rozmów z wnuczkami?

- Nie, nie... Jeno jestem ciekawa, o co jeszcze chciałabyś je zapytać.

- Dowiesz się w swoim czasie - odpowiedziała stanowczo Eleonora i zwróciła się do króla: - Alfonso, masz coś przeciwko temu?

- Ależ oczywiście, że nie, pani - zapewnił. - Po to tu przyjechałaś, by zabrać jedną z nich. Skoro musisz jeszcze prowadzić z nimi rozmowy, jestem jak najbardziej za tym.

Leonor gniewnie zmarszczyła jasne brwi. Była zdumiona. Z wyrzutem i żalem spojrzała na męża. Dziwiło ją, że tak posłusznie przytakuje jej matce we wszystkim, co ta tylko powie. Od pierwszego dnia zachowywał się wobec niej nieomal jak służący. Czy powód, dla którego stara matka przybyła w odwiedziny, aż tak bardzo zawrócił mu w głowie? Leonor oczywiście była z tej wizyty szczęśliwa i dumna, ale spokojnie podchodziła do tematu zaślubin. Jej wrodzone opanowanie i chłód w obejściu nie pozwalały na przedwczesne przeżywanie radości, dopóki sprawa nie zostanie całkowicie zakończona zgodnie z planem. Nie podzielała nadmiernego entuzjazmu męża. Teraz była bardzo zaskoczona decyzją matki, skoro podjęto wstępne ustalenia i właściwa infantka została wybrana. Filip August chce widzieć na tronie jej córkę jako żonę swojego syna,

następcy tronu Ludwika⁵⁵, i tak się z woli Boga i jej matki stanie. Po cóż te kolejne rozmowy i wytrącanie jej córek z normalnego rytmu dnia?

- Powiedz mi, matko, dlaczego ty tak uparcie dążysz do tego małżeństwa? - spytała natarczywie. - Ty czy jednakże Jan?

- Leonor, a cóż to za pytanie? - oburzył się Alfonso. Natychmiast poderwał się z fotela i podszedł do stojącej przy kominku żony. Potrzebował stanąć przy niej, jakby poprzez bliższy kontakt mógł dokładniej wytłumaczyć jej, jak niestosowne było jej zachowanie.

- Chcę wiedzieć... - nalegała młoda królowa. Była uparta jak ojciec i nie przyjmowała odmowy.

- Wszak rozmawiamy o tym od tygodni - zniecierpliwił się król. - Wszystko, co powinno było, zostało powiedziane.

- Czyżby? - zakpiła Leonor. - Ja jeno pragnę dowiedzieć się, dlaczego moja matka tak uparcie dąży do tego małżeństwa! Alfonso, chyba mam po temu prawo? Dotyczy to wszakże moich córek! - Ton jej głosu był zdecydowany. Zazwyczaj obojętnie podchodząca do spraw państwowych, tym razem wykazywała nadzwyczajne zainteresowanie, szczególnie losem średniej córki.

- Naszych córek! - poprawił ostro władca.

Eleonora ponownie przymrużyła oczy, nie dlatego, że znowuż ją piekły, ale żeby wyraźniej przyjrzeć się córce. Rzeczywiście zauważyła teraz w jej twarzy zdecydowanie więcej podobieństwa do Henryka, co jakoś wcześniej jej umykało.

- Nie traktuj mnie jak małej dziewczynki! - odezwała się Leonor z zaciętością w głosie, którą król znał bardzo dobrze i za którą w ogóle nie przepadał. - Jestem dorosłą kobietą, królową i matką.

- Leonor, nie zaczynaj się zachowywać jak twój ojciec - upomniała stara kobieta. - Dotąd byłaś opanowana, nieomal jak skała, której nic nie poruszy. Cóż się stało teraz?

- Nic, matko... To ty tak koniecznie domagasz się tego małżeństwa, czy może bardziej Jan dla swoich własnych celów?

Alfonso był zszokowany podejściem małżonki. Uparła się w kwestii, która nie miała obecnie żadnego znaczenia. Infantka została wybrana, a skoro Eleonora potrzebuje jeszcze rozmów, to niech je ma. Nie zaszkodzi to w niczym nikomu. Najważniejsze było jedno: on, Alfonso, król Kastylii, zostanie w przyszłości zięciem króla Francji, dlatego też ze wszech miar tryskał zadowoleniem, widocznym dobrze w jego oczach. Był zadufanym w sobie władcą i duma rozsadzała go, od kiedy Eleonora wyjawiała im prawdziwy powód swojego przyjazdu.

- Nie rozumiem cię, moja córko - rzekła taktownie Eleonora. - Nie chcesz, by jedna z infantek zasiadła na francuskim tronie? Każdy tego pragnie.

- To nie ma nic do rzeczy - oznajmiła Leonor. - Chcę, abyś wyjawiała nam prawdę.

- Córko, wiesz, jak cierpiałam po śmierci Ryszarda - wyznała z bolesnym smutkiem matka królowej Kastylii, kładąc nacisk na każde wypowiedane przez siebie słowo. - Boleść rozerwała mi serce na strzępy!

Leonor przewróciła oczyma i ściągnęła usta w brzydkim grymasie, który bynajmniej nie przysparzał jej urody. Wzdrygnęła się na wspomnienia matki o zmarłym na wiosnę ubiegłego roku królu Anglii.

- Zaiste, wiem... Wielki Boże! To akurat wszyscy wiedzą... Ale wiem również i to, że masz jeszcze dwoje dzieci, które żyją i kochają cię, a ty wciąż mówisz jeno o Ryszardzie - atakowała, z goryczą i tłumioną od dawna zazdrością, jak gdyby wszystkie te męczące ją uczucia pragnęła tu i teraz bezzwłocznie z siebie wyrzucić. - Nie był on jedynym twym dzieckiem. Miałaś ich wiele. Powiedz, matko... czy też tak szaleńczo rozpaczałaś po stracie każdego z nich? - spytała, nie odrywając od księżnej spojrzenia.

Król pokręcił się przy żonie, zajrzał do kominka, dorzucił od niechcienia parę drew do buchającego ognia, a następnie z powrotem zajął swoje miejsce na fotelu. Starał się być grzeczny, ale

jednocześnie ciskał oczyma gromy w kierunku żony. Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

Zapanowała niepokojąca cisza. Eleonora poczuła się boleśnie ugodzona ostrą wypowiedzią córki i jej brakiem delikatności w wyrażaniu uczuć. Nie odezwała się, jeno spojrzała ze smutkiem na Alfonsa.

- Zostawmy to, Leonor, nie pora rozmawiać o twym bracie - powiedział król, spoglądając w stronę okna, przez które przeciskał się księżycowy odbłysek. - Mamy inne sprawy do omówienia.

- Pewnego razu Ryszard wspomniał mi mimochodem o możliwości połączenia węzłem małżeństwa waszej córki z synem Filipa - odezwała się pokojowo stara kobieta. - Nie zwróciłam na to wówczas żadnej uwagi i, szczerze mówiąc, nie zainteresowałam się tą sprawą. Kiedy jednakże wszystko się zmieniło i twój brat Jan zasiadł na angielskim tronie...

- Nawet nie byłaś na ceremonii jego koronacji w dniu Wniebowstąpienia! - przerwała niegrzecznie młoda królowa. - Ty! Matka nowego króla! - Ton jej głosu był napastliwy. - Ciekawa jestem, czemu. Kiedy Ryszard był koronowany, nie odstępowałam go ani na krok, a był to wszak dorosły mężczyzna.

Akwitanka skierowała z nagłą wzrok na przeciwległą ścianę. Cofnęła się myślą do chwili najuroczystszej, uważanej za rodzaj sakramentu; niektórzy bowiem porównywali ją do sakry biskupiej. Przeniosła się na krótką chwilę do westminsterskiej katedry i ożywiła w pamięci widok swojego ulubieńca w koszuli szeroko otwartej na piersiach i w krótkich spodniach; na nogi włożono mu haftowane złotem sandały. Arcybiskup Baldwin z Canterbury⁵⁶ namaścił głowę, pierś, ramiona Ryszarda, co zapewniać miało niezbędną władcom siłę, mądrość oraz sławę. Potem narzucono mu na głowę lnianą zasłonę, która symbolizowała nieskalaność intencji, jakie winny niezmiennie go ożywiać. Westchnęła i przeniosła spojrzenie na kastylijską małżonkę.

- Ciekawość nie zawsze jest wskazana, moja córko, ale dobrze... powiem ci, jeżeli sobie tego życzysz. Nie pojawiłam się

w Westminsterze, ponieważ... uznałam, że Jan nie był tego wart.

Alfonso ukradkiem spojrzął na teściową. Doskonale wiedział, że Eleonora nie odczuwa macierzyńskiej miłości do swojego najmłodszego dziecka.

Królowa Kastylii parsknęła głośnym śmiechem.

- Uspokój się wreszcie, Leonor! - huknął król. - Nie po raz pierwszy przynosisz mi dzisiaj wstyd! Skąd u ciebie takie zachowanie? - spytał z poirytowaniem.

Młoda kobieta po raz kolejny poczuła się zażenowana uczynionym jej przez Alfonsa wyrzutem. Z kolei matka wzdrygnęła się i postanowiła z miejsca zareagować we właściwy sobie sposób.

- To jedna z tych wad, które Leonor odziedziczyła po swym ojcu! - podkreśliła wyniośle. To nie było żadną nowością dla króla, bowiem władca Kastylii siłą rzeczy zdołał poznać tę piętę achillesową⁵⁷ małżonki.

Leonor ze smutkiem spojrzała na matkę, ta jednak twardo zapowiedziała:

- Jeżeli nadal będziesz mi przerywać, skończymy na dziś rozmowę i nie będziesz w nich więcej uczestniczyć.

Pani Kastylijczyków, skarcona ostro przez księżną, która spoglądała nań posepnie, spuściła głowę i zaczęła bezmyślnie chodzić po komnacie. Postanowiła póki co nie wtrącać się do rozmowy matki i męża.

- Pani, dokończ, proszę - odezwał się uprzejmie król, pochylając się łagodnie do przodu.

Akwitanka podziękowała królowi za jego życzliwość i zrozumienie. Ułożyła ręce na oparciu, a następnie, nabierając w płuca powietrza, rzekła:

- Filip stanowi poważne zagrożenie dla dziedzictwa Plantagenetów. - Jej głos był opanowany, mocny, ale zarazem dźwięczny. - Nie mogę pozwolić, aby zaczął atakować nasze zamki i ziemie, a co gorsza aby to, co budowałam razem z Henrykiem, uległo zniszczeniu - mówiła z naciskiem i dobitnie. - Nigdy na to nie

pozwolę! - Zacisnęła starcze ręce. - Zrobię wszystko, co jeno w mojej... co w ludzkiej mocy, aby zapobiec grabieży naszych posiadłości!

W ustach Eleonory słowa te brzmiały przekonywająco. Mówiła z typowym dla siebie zapalem i zaangażowaniem. Z rozmachem dawała wyraz wrodzonej determinacji. Jak zawsze, kiedy mówiła o dziedzictwie i ziemskich zdobyczach. Wówczas blask bijący z jej zielonych oczu był najgorętszy.

Precyzyjność wypowiedzi i głębokie przeświadczenie o słuszności poczynań nie mogły przejść bez echa. Alfonso słuchał i zapamiętywał każdą jej wypowiedź. Przeczesując wolno palcami brodę, patrzył na teściową ze zrozumieniem i nieukrywanym szacunkiem, albowiem miał przed sobą najpotężniejszą kobietę Europy.

- Należy za wszelką cenę zachować królestwo. To jest jedynym celem naszego istnienia. - Wciągnęła nozdrzami powietrze. - Do tego właśnie powołał nas Bóg. Kiedy żył Ryszard, wiedziałam, że wszystko będzie dobrze i nie muszę się niczym kłopotać - wyjaśniała, przywołując w pamięci obraz ulubieńca. - Mój syn był dokładnie taki sam jak mój dziad, ojciec i wuj Rajmund⁵⁸. - Oczy błyszczały jej płomiennym blaskiem, wszak wspomniani byli dla niej uosobieniem męskości i brawury i cechy te bez dwóch zdań odziedziczył uwielbiany syn. - Prawdziwy mężczyzna, nieugięty wojownik!

Tutaj zatrzymała się na chwilę, ponownie wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się ukradkiem. Przypomniła sobie nieudaną wyprawę do Jerozolimy i czas wspólnie spędzony z wujem, przystojnym Rajmundem, w jego feerycznym pałacu w Antiochii, który oszałamiał ją równie mocno jak pałace w Bizancjum. Brat ojca - choć znajdowali się i tacy, którzy ośmielali się twierdzić, że przyrodni, ponieważ istniało poważne podejrzenie, że był on synem Amauberge, a nie Filipy - otaczał ją czułą troską i nad wyraz afektowaną opieką niczym najdelikatniejszy kwiat. Świadomie, jak tylko mógł, rozpieszczał ją i adorował, nie bacząc, że takim bezpośrednim zachowaniem sprawia przykrość swojej żonie Konstancji⁵⁹, królowej Antiochii. Eleonora bez

sprzeciwu, z ogromną przyjemnością poddawała się przesadnemu hołubieniu, do cna oczarowana luksusem, w którym przyszło jej natenczas przebywać. Wszakże niebywale dworny mężczyzna, któremu szalenie się podobała, pochlebiał jej na każdym kroku. Pozwalała, aby wuj uprzedzał jej życzenia, obchodził się z nią delikatnie, rozpieszczał niczym zakochany mąż ubóstwianą żonę i zaspokajał potrzeby. Czy wszystkie? W każdym razie Rajmund stał się źródłem wielu nieporozumień, kłótni i ogłupiającej zazdrości jej pierwszego męża.

„Ach, jakże to było dawno...” – pomyślała ze smutkiem o czasach, które minęły bezpowrotnie, a które były jakże cudowne, jakże rozkoszne... Jej oczy rozmarzyły się, ale opanowała się szybko, jak zawsze, kiedy była taka potrzeba i mowa o rodowych dobrach. Swobodnie powróciła do przerwane go wątku.

- Dlatego też Ryszard... O, tak... On wiedział, jak należy postępować z Kapetyngiem – obwieściła. - Znał jego przebiegłe sztuczki i chorobliwą żądzę przejęcia kawałek po kawałku naszych ziem. Filipowi od zawsze marzyła się Normandia. - Pokręciła głową z niezadowoleniem i goryczą. - Kiedy jako mały chłopiec przyglądał się z daleka solidnym murom warowni w Gisors, szepnął do swojego nauczyciela: „Żałuję, że nie są one ze złota i wszelkich kosztowności”. Nauczyciel zapytał niezwłocznie: „A czemuż miałyby być, mój panie?”. On w odpowiedzi udzielił zuchwałego wyjaśnienia: „Wówczas zamek ten byłby jeszcze cenniejszy, kiedy znajdzie się w moim posiadaniu”.

Alfonso pokiwał głową. Trudno jednakże było stwierdzić, czy pochwalał hardą ambicję młodego Filipa Augusta, czy też biadał nad jego arogancją i zuchwalstwem, które w pełni rozwinęły się w dorosłym życiu, dając niejednokrotnie o sobie znać.

- Skąd wiesz o tym, pani? – spytał zaciekawiony.

Eleonora odpowiedziała bez wahania:

- Od moich szpiegów.

Królowa Kastylii rozchyliła usta, nie była specjalnie zdziwiona otwartym wyznaniem matki. Alfonso odchylił się na krześle

i z uśmiechem na twarzy uderzył się lekko w udo, po czym wyznał bez żenady:

- Nie chciałbym, pani, mieć cię za wroga.

Eleonora potrząsnęła głową i oświadczyła pewnym głosem:

- Ty nigdy nim nie zostaniesz, mój szlachetny zięciu.

Jego czarne oczy błysnęły nieskromnie. Był próżny i pewny siebie, śmiały i nieustraszony, a zawadiacki duch rycerski nigdy go nie opuszczał. Każdy to wiedział, szczególnie jego żona. Z ukontentowaniem pochylił głowę w kierunku księżnej. Królowa Kastylii z melancholią spojrzała na męża, natomiast on nie czuł potrzeby, żeby patrzeć na małżonkę. Jej w ogóle mogłoby tu nie być.

- Mój syn na odległość wyczuwał niegodne zamiary Filipa - snuła wątek Eleonora Akwitańska. - Mogłam być spokojna, ponieważ jeno mój Ryszard umiał powstrzymać Filipa przed jego niezdrowymi zakusami.

„Filip tak bardzo pragnie naszych posiadłości, jak... ja pragnęłam... Tuluzy” - przebiegło jej niespodzianie przez myśl.

- Był jego groźnym, ale, co trzeba przyznać, godnym przeciwnikiem. Ale od kiedy spadło na nas to... to nieszczęście i mój - westchnęła z bólem - ukochany syn tak nieoczekiwanie odszedł, nie mogę pozbyć się lęku, że pewnego dnia... to wszystko... co... co stworzyłam wspólnie z Henrykiem, rozpadnie się na drobne kawałki. - Eleonora z rozpaczą ukryła twarz w dłoniach.

Córka, przechylając głowę, uważnie przyjrzała się matce.

„Dlaczegoż on jeden zabrał nam całą jej miłość? - zapytywała samą siebie. - Czyż nie zasłużyliśmy sobie na podobną?”

- Nie możemy na to pozwolić! - gwałtownie zareagował na słowa księżnej Alfonso.

- Jan jest nieudacznikiem. Ma płytki umysł - żaliła się matka. - Brak mu sprytu i wrodzonych umiejętności Ryszarda - przedkładała, unosząc brwi. - Jakże ma być dobrym królem, jeżeli jest mu ciężko wytrwać chociażby w jednym postanowieniu, a wszakże cały nasz porządek społeczny opiera się właśnie na danym słowie i przysiędze...

- Spojrzała szybko na Alfonsa, chcąc się upewnić, że król rozumie wszystkie obawy, które buzują jej w sercu.

Zięć pokiwał z pełną akceptacją, a Eleonora podsumowała:

- Szaleńcza zmienność usposobienia Jana jest jego nieszczęściem, podobnie jak była Henryka.

Władca Kastylii chciał zyskać pewność:

- Czyli nie chodzi jeno o to, że chcesz, pani, połączyć naszą rodzinę, swoją wnuczkę z rodziną pierwszego męża?

Kobieta spojrzała wymownie na mądrego zięcia.

- Nie, Alfonso - wyjaśniła niezwłocznie. - Ale uczciwie muszę przyznać, iż małżeństwo to jest ważnym krokiem i jest potrzebne, aby nareszcie zapanował pokój. Mam nadzieję, że rozumiesz?

Król momentalnie przytaknął matce Leonor.

- Tym samym chcę zabezpieczenia wszystkich naszych posiadłości - dowodziła zapamiętale. - Pragnę, by dzieło całego mojego życia i Henryka nie poszło na marne. W tym celu potrzebny jest właśnie pokój.

- Pani, masz całkowitą rację - odparł pospiesznie król.

- Dziękuję, mój szlachetny Alfonso.

Król Kastylii uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Dlatego też poczyniłam pewne gesty w celu zapewnienia spokoju i bezpieczeństwa, a przede wszystkim zabezpieczenia własnych ziem przed głupotą i nieroztropnością Jana. Udałam się w czerwcu do Tours i złożyłam Filipowi hołd jako suwerenowi wszystkich moich kontynentalnych majątków. - Westchnęła. - Ucałowałam dłoń mężczyzny, który mógłby wszakże być synem moim i Ludwika. - Jej usta wykrzywił nieznaczący uśmiech. Bardziej grymas niż uśmiech.

„Życie potrafi płatać figle... A gdyby to Filip był moim synem?” - zadała sobie w duchu pytanie.

Czyż mogła przypuszczać, że kiedykolwiek będzie starała się zadbać o własne kontynentalne posiadłości nie inaczej jak poprzez złożenie hołdu silnemu i bezkompromisowemu władcy, synowi słabego,

pobożnego ojca, który nie umiał poskromić pierwszej, najbardziej śmiałej i niezależnej z trzech żon? Bo czyż Konstancja Kastylijska⁶⁰ i Adela z Blois⁶¹, uznawana za bezpośrednią potomkinię Karola Wielkiego⁶², mogły równać się z najpiękniejszą i najpotężniejszą z kobiet, na którą zwrócone były oczy całego świata?

Mogła z czystym sumieniem powiedzieć sobie, że zrobiła wszystko, co było w jej ludzkiej mocy, aby zachować królestwo; wszystko aż do poświęcenia miłości własnej, jakiego wymagało spotkanie z władcą Francji w Tours.

Alfonso słusznie zauważył:

- Pani, działałaś w imię dobra Plantagenetów. Postąpiłaś niezwykle zręcznie - stwierdził z całą stanowczością. - Wykonałaś dobry ruch, jak wytrawny gracz na szachownicy - rzekł z nieukrywanym podziwem. - Filip na pewno zdaje sobie sprawę z tego, że poprzez ów formalny gest pozbawiłaś go, pani, wszelkich podstaw do wystąpienia przeciwko waszym ziemiom.

- O, nie wątpię. Oboje mamy w tym własne cele, nie daliśmy się zwieść pozorom. On jest ambitny, ale i ja nigdy nie byłam pozbawiona ambicji. Dzieli nas całe kłębowisko intryg i pragnień - odparła ożywiona wewnętrznym płomieniem. - Muszę ratować to wszystko, co jeszcze mogę. Potem będzie za późno.

- Dzięki twemu postępowaniu, pani, królestwo pozostaje niepodzielne.

Księżna nie mogła się z tym nie zgodzić.

- W rzeczy samej. Staram się to czynić, ale z drugiej strony mój wnuk Artur, syn Gotfryda⁶³, ten niepokorny młodzieniec, przyprawia mnie o nieznośny ból głowy.

- Znam to przykre uczucie, pani - wyznał Alfonso, stękając. - Bardzo dobrze.

- Zatem i w tej sprawie mam twoje zrozumienie?

Spojrzenie bystrych oczu kastylijskiego króla jednoznacznie upewniło Eleonorę, iż Alfonso jest po jej stronie i zawsze będzie ją

wspierał w dobrze przemyślanych politycznie i strategicznie decyzjach.

- Otóż domaga się mój wnuk tego, czego i tak nie dostanie, a jednak jątrzy i jątrzy. Wiem, kto nim kieruje. - Prychnęła z niechęcią na myśl o synowej. - Konstancja! O tak... Ona widzi dla swojego syna Maine, Andegawenię, a nawet Normandię. - Z goryczą niczym piołun kiwała głową. - Bretanię Artur już ma, ale nie, za mało jej jeszcze! Zamyśla nawet, by jej syn został hrabią Poitou i księciem Akwitanii.

- Cóż chcesz, matko? Konstancja dba o swojego syna, jak ty dbałaś o Ryszarda - wtrąciła zniecierpliwiona Leonor, wzruszając ramionami. - Nie rozumiem twojego niezadowolenia, wszak zachowuje się, jak na matkę przystało.

Królowa Kastylii nie wykazywała zrozumienia dla postawy księżnej. A czasem nawet zastanawiała się, czy w ogóle jest w stanie pojąć pobudki, którymi kierowała się stara matka, wiele bowiem z nich budziło jej poważne wątpliwości. Jednakże nie miałyby odwagi wyznać rodzicielce swoich myśli.

- Niedoczekanie jej. To sprytna żmija i muszę na nią uważać. Ale ja jestem sprytniejsza - oznajmiła chytrze Eleonora, pocierając wewnętrzną częścią dłoni oczy. - Udało mi się znaleźć wielu sojuszników, nie tylko wśród wiernej mi szlachty i baronów, teraz i mieszczaństwo jest po mojej stronie. Dostało tak wiele cennych przywilejów, że nie sądzę, aby dopuścili się zdrady i mnie opuścili. - Gdy to mówiła, jej głos był pewny i kategoryczny. - Nadałam przywileje komunalne w Poitiers, Oléron, Saintes i La Rochelle. - Nabrała powietrza.

- No, no... Zapewne nigdy nie zapomną o twej łaskawości, pani - stwierdził uprzejmie król. - Będą ci wdzięczni, wszakże zyskali niemało.

- Nie uczyniłam tego, by okazywali mi wdzięczność - odparła poważnie, była bowiem mądra i nie miała skrupułów. - Ja nie mam złudzeń. Wszystko kosztuje. Potrzebuję ich wsparcia i pomocy, gdyby nagle okazało się, że należy wystawić siły zbrojne i poprzeć słuszną

sprawę. Usiadź, Leonor – zwróciła się nagle do córki. – Poczynasz mnie drażnić. Krążysz po komnacie jak wrona nad padliną – syknęła z niecierpliwością.

Król z wyraźną kpina spojrział na żonę. Leonor posłusznie, mimo wcześniejszych sprzeciwów wobec matki, usiadła w pobliżu męża. Poprawiła suknię i długi welon. Upewniła się, czy diadem jest nadal na właściwym miejscu. Jedyne, co jej jeszcze pozostało, to rodzenie synów, póki czas na to zezwoli, dbanie o dzieci i siebie.

– Mam nadzieję, że Jan docenia twoje wysiłki – powiedział Alfonso. Eleonora uśmiechnęła się smutno i odpowiedziała nie bez ironii:

– Mój drogi zięciu, jakiś ty jeszcze młody.

Król poczuł się nieswojo. Założył nogę na nogę i zahustął nią.

– Czy to wada, że nie jestem jeszcze stary?

– Ależ nie, Alfonso – odrzekła naprędce Eleonora, uśmiechając się serdecznie do zięcia. – Ale życia nie znasz równie dobrze jak ja. To przychodzi z wiekiem, a czasem jeszcze później. Wdzięczności to ja mogę się szybciej spodziewać od młynarza w Soulac lub duchownego w ulubionym opactwie Ryszarda, La Sauve Majeure.

– Rozumiem, pani, ale czy nie jesteś zanadto niesprawiedliwa dla Jana? – rzekł po namyśle władca.

Alfonso starał się być delikatny. Z kurtuazją usiłował dobierać odpowiednie słowa. Pomimo swej porywczosci wiedział on doskonale, kiedy stosować dyplomację.

– Znam swojego syna lepiej niż ktokolwiek inny i dlatego właśnie, jeno z tego powodu, zaraz po pogrzebie Ryszarda wyruszyłam w podróż.

– Pani, cóż za nieustraszoną siłę woli posiadasz! – wykrzyknął król, po czym zwrócił się do żony. – Nieprawdaż, Leonor? Musisz się jeszcze wiele nauczyć od matki, ponieważ jej nauki i życiowe doświadczenie to prawdziwy skarb. Nieoceniony skarb – dodał z szacunkiem.

Królowa Kastylii rozpaczliwie usiłowała zachować spokojną twarz i powstrzymać nadciągającą ulewę łez, która pchała się jej do oczu. Walczyła ze sobą i z nimi. Wygrała. Patrząc w podłogę, wiedziała, że

mąż i matka nie spuszczają z niej oczu. Oboje w milczeniu czekali na odpowiedź. Leonor bez pośpiechu odpowiedziała półgębkiem, nie mając żadnych wątpliwości w tym względzie.

- O tak... Matka jest jak żelazo, którego nikt ani nic nie jest w stanie nawet zadrasnąć...

- To prawda, moja córko - potwierdziła Akwitanka, nie zdejmując uważnego spojrzenia z naburmuszonej córki. - Zająłam się sprawami królestwa w nadziei, że Jan nie zmarnotrawi dzieła mojego życia i życia Henryka. Los podarował mi tak wiele, ale i nie oszczędzał mnie. - Spojrzała na wprost, ponad ich głowami, ale po krótkiej chwili skierowała wzrok na oboje i rzekła z dumą, której nigdy się nie pozbyła, albowiem była kuta na cztery nogi: - Byłam sprytna i umiejętnie potrafiłam wyciągać wnioski z wszystkich lekcji, jakimi los mnie obdarzył. A dał mi ich tyle, że inny człowiek nie doświadczy takiej liczby przez całe życie. Dlatego teraz muszę skutecznie działać, by dzieło to nie obróciło się wniwecz.

- Matko - odezwała się córka, stając w obronie jedyne żyjącego brata - ale Jan pisał do mnie, że chce, że tego pragnie, abyś do końca życia była panią wszystkich ziem i posiadłości, a także utrzymał wszystkie twoje uprawnienia jako królowej Anglii. Nie powinnaś zatem narzekać na niego. Nie jest taki zły, jak go nam przedstawiasz.

Eleonora z lekkim zrezygnowaniem skierowała wzrok na kolorowe kobierce ścielące się poniżej estrady, potem wolno przesunęła go na malowidła ozdabiające ściany jej tymczasowej komnaty, która zapewniała starej kobiecie wszelkie możliwe wygody.

„Niewątpliwie Leonor i Jan, gdyby nie byli rodzeństwem, tworzyliby udane małżeństwo” - przemknęło jej raptownie przez głowę.

Spojrzała na młodą kobietę i chłodno odpowiedziała:

- Córko, on nie był i nie jest dobrym synem. Jest najgorszym z moich dzieci, nie posiada talentów, które mieli twoi pozostali bracia. Nie może pochwalić się nawet tymi zdolnościami, które dla Ryszarda były czymś całkowicie naturalnym.

- Jakżeby inaczej, wszak Ryszardowi nikt z pozostałych twoich dzieci nie mógłby dorównać - mruknęła królowa Kastylii. - Stale to powtarzasz, więc nie obawiaj się, matko, nie zapomnimy.

- Leonor, skoro zadałaś pytanie, to pozwól księżnej dokończyć! - syknął Alfonso.

Żona z rozgoryczeniem przełknęła kolejną uwagę króla.

- Masz rację, córko, nie powinniście - odparła nieprzyjemnie Akwitanka. - Twój brat Jan, nim został królem, nawet na mszy świętej nie mógł się pohamować, aby nie okryć wstydem rodu Plantagenetów. - Spojrzała na zdębiałego Alfonsa i czym prędzej wyjaśniła. - Znudzony świąteczną ceremonią miał czelność dwukrotnie krzyknąć na biskupa Hugona z Lincolnu⁶⁴, aby ten skrócił ją znacząco. Dobrze, że biskup potrafił zachować zimną krew i poprosił Jana, aby ten opuścił świątynię.

- Jan zapewne musiał się wielce zdziwić. - Alfonso nie krył złośliwego uśmiešku, po czym wtrącił bez wahania: - Moim zdaniem nie był to rozważny postępek. Wiemy, że Filip pragnął uczynić królem Anglii twojego, pani, wnuka Artura, zatem dla księcia, który stara się o tron, wszelkie możliwe wsparcie jest niezbędne i mam tu na myśli wsparcie Kościoła.

- W istocie rzeczy, mój mądry zięciu, masz rację - pochwaliła Akwitanka. - No cóż... Dlatego jest on tak wielkim głupcem i z tej oto przyczyny nigdy nie oddam Janowi Akwitanii ani Poitou do samodzielnych rządów - rzekła z wyższością i naciskiem. - Nie oddałam ich Ludwikowi po rozwodzie, bo prawo stało po mojej stronie. Nie oddałam ich Henrykowi, kiedy przez długie lata więził mnie i ustawicznie się tego domagał.

Eleonora obrzuciła zięcia i córkę hardym wejrzeniem, które komunikowało, że kobieta je posiadająca odznacza się siłą, niezłomnym sercem oraz niezwykłym hartem ducha. Oboje byli poważni i słuchali z uwagą, mimo że córka nie potrafiła pozbyć się kostycznego wyrazu twarzy.

- To jest moje dziedzictwo i zostanie ze mną do końca moich dni! - zapewniła gorączkowo, z podniesionym czołem. - Byłam królową Franków, byłam królową Anglii, ale od dziecka byłam, jestem i umrę jako księżna Akwitanii, Gaskonii i hrabina Poitou. - Z entuzjazmem, który władcy Akwitanii posiadali w swych gorących, jakże nieugiętych sercach, uzupełniła: - W obliczu Boga przysięgam, tego nikt, nigdy mi nie odbierze, a ja nie zrzeknę się swoich tytułów. Choćby za cenę życia!

Zapanowała pełna napięcia cisza; rozniosła się po komnacie i gruchnęła o posadzki. Alfonso spoglądał na wyniosłą księżnę, która nie ulękła się nigdy nikogo. Ta stara kobieta niezmiennie go fascynowała. Leonor patrzyła na pełną godności matkę, dla której dziedziczne posiadłości były ważniejszymi aniżeli własne dzieci.

- Matko, bezustannie narzekasz na Jana, ale to nie twój jedyny problem.

Zaciekawiła Eleonorę. Stara kobieta spojrzała bacznie na córkę i spytała:

- Cóż masz na myśli?

- A chociażby heretyków, którzy panoszą się na całym waszym południu. Tym się powinnaś zająć!

Matka poprawiła futra, ponieważ obsunęły się z jednego ramienia, i machnęła ręką.

- Ach, to... - odparła z niejakim lekceważeniem. - Oni nie są groźni!

Leonor podniosła głos, a zabrzmiał on jak zgrzyt przesuwanego po kamiennej podłodze drewnianego mebla.

- Nie są groźni? - Wzdrygnęła się. - Wszak to heretycy! - Nie potrafiła się opanować. - Obrażają Pana naszego! Szlakują świętą wiarę! Podstępnie ją niszczą! - rzekła z zacięciem i ohydnie parsknęła. - Niewierne psy, jak muzułmanie i Żydzi! Parszywe szczury!

Król zeszywniał i wparł się w fotel.

- Dość, Leonor! - wybuchnął ze złością. - Dzięki tym Żydom moja Kastylia rozwija się i jest bogata! Jeno dzięki nim! - dodał z naciskiem.

Królowa Kastylii nie zastanawiała się długo nad odpowiedzią. Syknęła z nienawiścią, która pełnokrwistą purpurą zafalowała na jej licu. Kiedy mowa była o niewiernych, jej umysł kipiał niczym sagan z wrzącą wodą. Rachel, przez którą królowa przestała dobrze sypiać, była ową niewierną, która wpierw czarami omotała jej męża, a potem zdradziecko go jej ukradła. W mózgu Leonor kłębiły się najgorsze obelgi z papieskich pism i kazań duchownych przeciw niewiernym.

- Obrzezańcy, mój Alfonso, to nieczyste stworzenia, które diabeł upodobał sobie za boskim przyzwoleniem!

Akwitanka uniosła w zdumieniu brwi, albowiem nie podejrzewała córki o tak zacięty fanatyzm religijny.

- Zamilcz wreszcie! - ryknął władca i poderwał się gwałtownie. Stanął mocno na nogach i wysuwając ku niej palec prawej dłoni, rozkazał z głuchą, ponurą wściekłością: - Zabraniam ci tak mówić!

- Czyż nie są oni wytworem piekieł, mój mężu?

Kastylijczyk do tego stopnia stracił panowanie nad sobą, że zacisnął rękę w pięść. Jego przenikliwie ostry wzrok przewiercał na wskroś królewską małżonkę. Miał ochotę ją uderzyć, ale kiedy zobaczył, że Leonor odchyliła głowę i podniosła mimowolnie rękę w obronie, odzyskał panowanie nad sobą. Z pewnością obecność księżnej Akwitanii w znaczącym stopniu powstrzymała władcę przed atakiem na żonę.

Oczy Leonor zwilgotniały, ale nie chciała okazać, jak bardzo zabolą ją zachowanie męża. Zawsze bolało ją, kiedy Alfonso nie miał poszanowania dla jej uczuć ani nie brał ich pod rozwagę. Od kiedy zapalał ślepą miłością do Racheli, tracąc tym samym - w mniemaniu Leonor - resztki zdrowego rozsądku, był bardzo uczulony na jakiegokolwiek wzmianki o Żydach, których, za namową Jehudy, zgodził się sprowadzić do Kastylii. Byli pobratymcami jego nałożnicy, tym samym i jemu nie mogli być oni obojętni. Alfonso opuścił rękę wzdłuż uda i spojrzał pogardliwie na małżonkę. Usiadł.

- Córko moja, wiem, że jesteś bardzo pobożna, ale heretycy ci nie krzywdzą nikogo. Książęta akwitańscy zawsze byli tolerancyjni i, jak

słyszę, zapomniałaś o tym - upomniała królową Kastylii. - Na moje ziemie mogą przybywać wszyscy - oznajmiła mądrze, jak zawsze w zgodzie z życiowym realizmem. - Póki panuje spokój i przestrzega się prawa, mnie nic nie przeszkadza.

Leonor głęboko odetchnęła, po czym wydeła kształtne usta. Złożyła smukłe palce i przyłożyła je do piersi, które falowały w rytm bicia serca.

- Pozwolę sobie przypomnieć ci, moja córko, iż ojciec twój zawsze tolerował heretyków oraz Żydów. Nie czuł do nich wstrętu. - Westchnęła przeciągle. - Nawet ten mój nieudany pierwszy mąż sprzyjał Żydom. - Wykrzywiła usta w zimnym uśmiechu.

- Ja, matko - rzekła córka Henryka z rwącym kurczem serca - nie mam zamiaru w tejże materii wykazywać się tak nieroztropną wielkodusznością jak mój ojciec bądź twój pierwszy mąż.

- Oni nie kradną, nie zabijają - wykazywała stara kobieta. - Poza tym więcej ich przebywa na ziemiach Tuluzy niż na moich; tam, zdaje się, jest im lepiej. Znajdują bardziej podatny grunt na krzewienie swojej wiary. Owi ludzie głoszą jedynie nauki, co prawda mogą one budzić wątpliwości, ale jakże wspaniałe stanowią temat do debat. - Przerwała, ponieważ w tym momencie przypomniała sobie jeden z zatargów, które wykopały przepaść pomiędzy nią a Rzymem. - Kiedy Ryszard przebywał jeszcze w niewoli, kazałam mojemu pisarzowi Piotrowi z Blois⁶⁵ przesłać do papieża list - odpaliła hardo. - Określiłam w nim, w jakich warunkach pozwolę, aby herezja rozpanoszyła się na dobre!

Zdumienie będące rozplómieniem oburzeniem sprawiło, że Leonor szeroko rozłożyła ręce, po czym przeżegnała się z trwogą. Wiara, ta prawdziwa, jedyna, była dla niej tym, czym dla innych powietrze.

- Pani, toż dopiero papież miał twardy orzech do zgryzienia! - Władca Kastylii zaśmiał się szczerze i wyciągając nogi przed siebie, klasnął rozbawiony w dłonie. - Chciałbym widzieć minę Celestyna⁶⁶!

Nie przestawał się śmiać. Sprawiał wrażenie pełnego radości, entuzjastycznie rozpromienionego chłopca, który ucieszył się, że ktoś, kto na to zasłużył, dostał prztyczka w nos.

Eleonora odparła z widocznym zadowoleniem:

- Ja również byłam jej ciekawa. Szczególnie gdy podpisywałam listy do niego słowami: „z Bożego gniewu królowa”. Celestyn zawsze mnie drażnił jak latająca mucha, której nie możesz zabić.

Alfonso, w przeciwieństwie do żony, był wniebowzięty. Młoda królowa sprawiała natomiast w tym momencie wrażenie zimnej ryby. Jej złowrogi i przytłaczający wzrok przejmował lodowatym chłodem. Gdyby tylko mogła, zmroziłaby samym oddechem męża i matkę. Groźnie zapowiedziała:

- Klnę się na Boga, gdyby ci heretycy kiedykolwiek znaleźli się na ziemi kastylijskiej, z miejsca wiedziałabym, co z nimi zrobić... Z każdym jednym... Nie mogliby panoszyć się i rozgłaszać obraźliwej nieprawdy! - Ścisnęła dłonie. - Nie pozwoliłabym na to! Nigdy!

Akwitanka pokręciła z niesmakiem głową. W tym momencie Leonor znowuż przypominała bardziej zawziętego i mściwego Jana aniżeli wybuchowego Henryka.

- Nigdy to bardzo długo, moja córko... - powiedziała posępnie.

- Leonor, to ja decyduję, kto może mieszkać w moim królestwie, i tylko ja! - odparł już pełen powagi król. - Ty nie masz nic do powiedzenia w tej materii i nie pozwolę, żebyś miała.

Tym razem nie uśmiechał się. Jego wcześniejsza radość ustąpiła miejsca nasilającej się niechęci do żony. Leonor umiejętnie potrafiła odstręczać od siebie Alfonsa. Matka nie stanęła w obronie córki ani przedtem, ani teraz. Młoda królowa z przerażeniem, ze swą wszystko pochłaniającą ponurością patrzyła na tych dwoje.

- Dobrze... zajmijmy się ważniejszą sprawą! - zaczęła teściowa króla Kastylii. - Wasza infantka, a moja wnuczka musi stanowić rękojmię pokoju. Musicie ją poświęcić, żeby zapanowało nareszcie przymierze pomiędzy królestwami - podsumowała. - Taka jest rola kobiet i takie jest przeznaczenie waszej córki. Jan i Filip August są co

do tego całkowicie zgodni i pragną tego równie mocno jak ja. Jeżeli będzie panował pokój, to miejmy nadzieję, że dzieło moje i Henryka przetrwa.

- Niewątpliwie - przytaknął Alfonso. - Ktoś mi kiedyś powiedział, że szczypta pokoju warta jest więcej aniżeli garść zwycięstwa!

- Bez wątpienia są to święte słowa - przyznała natychmiast Eleonora. - Jesteś mądrym władcą.

Kastylijczyk poczuł się dumny, a pewność siebie, na której brak nigdy nie mógł narzekać, przyoblekła go teraz niczym ciężka rycerska zbroja. Słowa księżnej mu pochlebiały. Jak zresztą wszystkie, które padały z ust Eleonory podczas jej pobytu w Palencji.

- Któż to rzekł? - zapytała grzecznie Leonor.

„Wiesz kto, więc po cóż pytasz?” - pomyślał w duchu i zerkając dyskretnie na Eleonorę, odpowiedział otwarcie:

- Ktoś bardzo drogi mojemu sercu!

Buntowniczo spojrział w posmutniałe oczy małżonki, której stan ducha był nie do pozazdroszczenia. Zatem wszystko zostało omówione. Król gotów był natychmiast wydać rozkaz sprowadzenia infantek do komnaty teściowej, zgodnie z jej życzeniem. Uśmiechał się i zacierał ręce z radości. Wątpiwości, jakie na początku rozmowy miała Leonor, zostały ostatecznie rozwiane. Pozostała jeno sprawa ostatniej rozmowy dziewczynek z surową babką, o którą ta poprosiła.

- Alfonso, masz ochotę na wino z Belerniey?

- Pani, zawsze.

- Amario, podaj nam wina! - krzyknęła księżna w stronę komnaty sypialnej.

Król smakował czerwone, przyprawione korzeniami wino z zimnych podziemi Belerniey, a matka infantek milczała. Układała sobie wszystko w głowie. Jej dziecko miało być gwarantem pokoju pomiędzy Anglią i Francją. Zdawała sobie sprawę, że stara księżna tak czy siak przeprowadzi swą wolę, ponieważ w tym celu, przemierzając wielkie połacie księstw i królestw, przybyła do Palencji. Pamiętała, że sama jako dziewięcioletnia dziewczynka została

oderwana od rodziny i znalazła się w obcym jej środowisku, sama, pośród zupełnie jej obcych ludzi – i jakże szybko musiała przystosować się do nowej roli, jaka została jej siłą narzucona. To było jej przeznaczenie. A teraz to samo przeznaczenie nakazuje jej odesłać jedną ze swoich córek daleko od granic królestwa Kastylii, w którym wychowywała się, rosła i rozwijała. Ich najstarsza córka, jasnowłosa jak matka, dwudziestoletnia Berenguela⁶⁷ poślubiła króla Leonu⁶⁸, ale było to sąsiadujące z nimi królestwo, które znajdowało się tuż obok, dlatego też mogła ona odwiedzać rodziców, tak jak to uczyniła choćby teraz, na czas odwiedzin księżnej Akwitanii. Natomiast Francja była odległa i nie było możliwości, aby Leonor mogła jeszcze kiedyś ujrzeć młodszą latorośl, swą ukochaną Urrakę. Takie było życie jej i córek, które rodziła w męce, a cała jej egzystencja była jeno strasznym zadaniem, jakie narzucone zostało jej w przeszłości przez Boga i rodziców. Uczucie to tak głęboko i silnie zaskorupiło się w jej sercu, iż nie była ona w stanie w pełni go sobie uświadomić. Czuła się jakby przygnieciona zwalistą skałą, pod której to brzemieniem stopniowo dobiegało końca poczucie znoju, które wypływało z nadmiaru tego przykrego przeżycia.

- Na dziś wystarczy. Chcę odpocząć – oświadczyła Eleonora. – Każ, Alfonso, przysłać do mnie infantki jutro koło południa. Śniadanie zjem u siebie.

- Jak sobie życzysz, pani – odparł zadowolony i odstawił puchar na stół. Rześko opuścił komnatę.

Skarcona wielokrotnie Leonor wyszła tuż po nim. Matka nie chciała z nią dłużej rozmawiać dzisiejszego wieczoru.

*

W przestronnej komnacie, która służyła Urrace do spania, Ria sprzątała rozrzucone suknie czternastoletniej infantki. Postawiła na krześle przy kominku misę z wodą, którą zażyczyła sobie

przyszła narzeczona Ludwika Francuskiego, a następnie zajęła się układaniem drogich ubrań i klejnotów.

Infantka, urocza dziewczynka o szarych, ładnych oczach jak jej matka, ale o nadętej, pyzatej buzi, była zadufana w sobie, butna i pewna siebie jak jej oboje rodzice. Pyskata, niezależna i wielce humorzasta jak na swój młody wiek. Chciała zawsze decydować o sobie i buntowała się przeciw narzucaniu jej cudzej woli, była bowiem ślepo przeświadczona o swojej wyższości i nadzwyczajnym przeznaczeniu, jakie stanie się jej udziałem. Leonor utwierdzała infantkę w dziecięcej skłonności do kaprysów i nie zdawała sobie sprawy z krzywdy, jaką jej wyrządza, kiedy rozpieszcza ulubioną córkę bardziej aniżeli pozostałe dzieci, którym stawiała wysokie wymagania. Natomiast Urraka była świadoma, że jeżeli tylko tupnie nogą i zmarszczy nosek, każdy jej rozkaz zostanie w mig spełniony, bo wszak z racji królewskiego urodzenia miała bezsporne prawo, żeby wydawać polecenia, a służba musiała się jej podporządkowywać, aby sprawić przyjemność kapryśnej córce Alfonsa i zaspokoić jej wrodzoną próżność. Jeżeli nie, matka srogo ukarze nieszczęśnika.

Teraz dziewczynka stała nadąsana i tępo patrzyła na suknie, które układała na łożu nowa służąca przywieziona przez babkę.

- Czekaj! - krzyknęła niespodziewanie i podbiegła do łoża. - Zostaw, jak jest... Chyba tę założę... Albo nie... Ach... którą tu wybrać? - zapytywała samą siebie, drapiąc się po nosie. - Którą?

Ria nie chciała przeszkadzać. Odsunęła się od łoża i stanęła w oddaleniu, aby jej pani mogła w spokoju zastanowić się nad wyborem najbardziej właściwej.

- No i którą tu wybrać? - jęczała infantka, przewracając niecierpliwie oczyma.

Była niezdecydowana i coraz bardziej rozdrażniona, ponieważ nie potrafiła dokonać właściwego wyboru, a czas naglił. Odczuwała presję czasu i własne nerwy.

- Może tę? - odezwała się nieśmiało nowa służąca. - Jest taka piękna, i ten złoty pasek wokół bioder i na rękawach. - Ria podeszła

i nieśmiało, z drzeniem pogładziła dłonią delikatne hafty, złote tasiemki i miękką tkaninę. Była zachwycona pięknem, finezyjnym wykonaniem cudnej sukni kastylijskiej infantki.

Poczuła ucisk w brzuchu. Jakże niepojętym w jej umyśle szczęściem Bóg obdarzył wnuczki Eleonory. Wszakże kochał On równo wszystkie dzieci na świecie, ale szczęście rozdzielał po macoszemu. Gdybyż tak choć raz mogła założyć taką wyjątkową suknię, to nie zdjęłaby jej do końca życia. Oczy Rii lśniły jak dwa wielkie klejnoty na diademie Urraki.

Tymczasem średnia córka Alfonsa ze złością spojrzała na młodszą dziewczynkę. Zmarszczyła niewysokie czoło, aż całe pokryło się delikatnymi zmarszczkami. Było jej nie w smak, że ktoś odważył się przeszkodzić jej w namyślaniu się nad tak ważną czynnością jak wybór odpowiedniej sukni na ostateczne spotkanie z babką. Pomimo młodego wieku rozumiała zaistniałą sytuację. Wiedziała, że wkrótce musi wyjechać daleko, do nowej ojczyzny, żeby poślubić młodego następcę tronu. Była onieśmielona mającymi się niedługo odbyć zaślubinami, ale jednocześnie podniecona. Pomimo nieprzewidywalnych nastrojów tryskała radością, choć odczuwała też związany z oczekiwaniem niepokój. Czuła się wyróżnioną, że to po nią babka przyjechała z dalekiej Francji, aby osadzić ją na królewskim tronie.

- Czy ja pytałam cię o zdanie?! - wykrzyknęła zniecierpliwiona i wskazała palcem róg komnaty. - Odejdź i nie odzywaj się!

Ria ostrożnie przesunęła się w ciemny kąt. Nie chciała niepokoić swojej pani.

Ta zastanawiała się dalej i głośno mówiła do siebie. Była osobą rozgrymaszoną, nieczułą, o niestabilnym emocjonalnie charakterze.

Tymczasem do komnaty weszła Leonor. Dziewczynka na widok władczyni Kastylii bez zwłoki do niej podbiegła. Delikatnie dotknęła kształtnymi na wzór warg matki ustami królewskiej dłoni. Kobieta nachyliła się i z czułością ucałowała oba jej zaróżowione policzki.

- Moja Urrako, nie jesteś jeszcze ubrana? - delikatnie zapytała.

Księżniczka zawstydziała się. Powinna być już gotową do opuszczenia apartamentu.

- Jeszcze nie...

- Coś ty tyle czasu robiła od rana? - spytała z wyrzutem, który jednakże spływał z królewskich ust wyjątkowo miękko. - Musisz się pospieszyć... Blanka⁶⁹ już od dawna jest przygotowana.

- Blanka nie musi się wcale szykować - odgryzła się dziewczynka. Była zazdrosna i uważała, że to na niej powinna skupiać się uwaga wszystkich, a tym bardziej sławnej księżnej z Akwitanii. - To wszak mnie babka chce się jeszcze przyjrzeć! Nie jej!

- Ale matka moja, Urrako, poprosiła, by i ona stawiała się w jej komnacie - wyjaśniła ciepło, patrząc z miłością na córkę. - Sama nie wiem, po cóż. Kaprys starej kobiety - szepnęła do siebie.

Infantka, jak zawsze chcąc się okazać godną matczynej miłości i nie zaświadczać, że to ona jest winną niepotrzebnej zwłoki, odrzekła raptownie:

- Bo ta dziewczka od babki jest taka leniwa... - Wskazała palcem czarnowłosą służącą. - Nie przygotowała mi wcześniej sukien, nie uczesała mnie... Jest okropna, matko!

Królowa usiadła na skrzyni. Przyjrzała się nowej służącej, którą księżna Akwitanii przywiozła do Palencji. Wbiła w nią uporczywe spojrzenie.

- Podejź tu! - rozkazała zimno. Jej głos zabrzmiał nieprzychylnie.

Ria momentalnie poczuła chłód na całym drobnym ciele. Posłusznie wyszła z kąta i nisko skłoniła się królowej Kastylii. Nie podniosła głowy. Nie śmiała oderwać wzroku od wielokolorowych dywanów, które pokrywały kamienne podłogi w komnacie infantki.

- Powinnaś być szybszą i sprawniejszą - rzekła królowa oschle. - Estefania przez miesiąc przygotowywała cię, abys należycie służyła infantce Urrace. Moja córka zasługuje na odpowiednią służbę i jak najlepsze traktowanie. Wszakże to przyszła królowa Francji.

Ciało dziewczynki zaczęło mimowolnie drżeć i zesłało. Miała serce w gardle. Za każdym razem, kiedy ktoś ją ganił, a ona nie

rozumiała, cóż złego uczyniła, ogarniał ją silny lęk.

- Jeżeli nadal będziesz się ościagać, zostaniesz odesłana do pomocy kucharkom - przestrzegła Leonor, mierząc ją ostrym wzrokiem. - Nie będzie wtedy żadnych wygód. Pracę będziesz mieć zdecydowanie cięższą. - Wbiła w nią natarczywe spojrzenie. - Rozumiesz, co mówię?

Ria nieśmiało przytaknęła, bała się, była przestraszona.

Urraka natomiast z zadowoleniem na twarzy obserwowała sierotę. Uśmiechała się, jak na parszywca przystało. Znowuż udało jej się omotać matkę. Królowa skupiła się na służącej.

- Szybko uczesz infantce włosy! - rozkazała Rii, a następnie miłym głosem zwróciła się do córki: - Którą suknię wybrałaś, moja słodka panno?

- Hmm... - Dziewczyna zamyśliła się na moment, ale wszak wiedziała, jaką da odpowiedź. - Zastanawiałam się, matko, którą z nich wybrać, bo wszystkie są równie zachwycające.

Leonor wprawnym okiem przebiegła po rozłożonych na łożu odświętnych sukniach. Oceniała ich kolor i wygląd. Suknia nie mogła być zanadto strojna, ale też nie mogła być zbyt surowa w swej skromności. Czternastoletnia infantka z wyrazem pysznej dumy wskazała palcem jedną z nich i powiedziała przymilnie:

- Ta ciemniejsza, ze złotym pasem będzie odpowiednia. Ta najbardziej mi się podoba - wyznała i zerknęła niepewnie na Leonor. Żywiła w duchu nadzieję, że królowa tę wskaże jako najwłaściwszą na wizytę u babki. - A tobie, matko?

Leonor pomyślała przez chwilę w skupieniu. Porównywała trzy, które najbardziej przypadły jej do gustu. Wprawione w fachu ręce od dawna szyły brokaty i zdobiły jedwabie, dziergały, lamowały, używając jedynych w swoim rodzaju wzorów do haftowania. Pod wymagającym okiem dwórek królowej wykańczały drogie suknie dla infantek, aby końcowy efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Leonor nie szczędziła na ten cel pieniędzy, a po ukończeniu powierzonego kobietom zadania musiała uczciwie przyznać, że sprawiły się one naprawdę mistrzowsko.

- Bardzo dobrze, moje dziecko - odpowiedziała z wyrazem szczerego ukontentowania na ładnym licu. - Ta rzeczywiście jest piękna i będziesz w niej wyglądać wspaniale, jak na kastylijską infantkę i następczynię francuskiego tronu przystało. - Podeszła do dziewczynki i dodała: - Dobrze masz oko, córko. - Po czym łagodnie objęła dłońmi jej pyzată twarz i ucałowała ją w czoło. - Twoja babka na pewno podzieli nasze zdanie.

Tymczasem Leonor opuściła pomieszczenia córki. Urraka, nie zwlekając, z miejsca odezwała się do młodziutkiej służki:

- Zapamiętaj sobie, co powiedziała królowa Kastylii!

- Poprawię się - odpowiedziała cicho i grzecznie trzynastoletnia dziewczynka, pochylając nisko głowę. - Będę szybsza.

Teraz przyszedł czas, aby zająć się długimi, prostymi włosami infantki. Ria ujęła je w dłonie i zaczęła dokładnie, aczkolwiek bardzo delikatnie czesać. Wtem do komnaty wbiegła prześliczna, rozpromieniona dziewczynka. Była dwa lata młodsza od swojej siostry, Urraki. Jej roześmiane, figlarne oczy tryskały radością i biła z nich chęć zabawy.

- Blanko, zaraz pójdziemy - sapnęła czternastoletnia dziewczynka, obrzucając niechętnym spojrzeniem młodszą siostrę. - Jestem prawie gotowa. Jak wyglądam?

- Ładnie - odparła tamta szczerze. - A ja? - dopytywała się z dziecinnym zaciekawieniem. - A ja? Jak ja wyglądam, Urrako? - Ulubiona infantka króla z uśmiechem wyciągnęła ręce na boki i zakręciła się wkoło, a luźno opadające włosy oplotły jej szczupłe ramiona, po czym zakręciły się wokół drobnej szyi.

Jej urzekający widok sprawiał, że starsza siostra nie potrafiła wyzbyć się o nią zazdrości, albowiem w całym królestwie Kastylii nie było ładniejszej i bardziej zachwycającej dziewczynki. Urraca miała tę przykrą świadomość, że choćby chodziła ze świecą w dłoni, nie udałoby jej się znaleźć słodsze dziecko. Dlatego też w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że uczyniłaby wszystko, byleby pozbyć się siostry. Dzięki babce i Bogu nie będzie zmuszona więcej jej oglądać.

- Nie wiem! - burknęła nieprzyjemnie, patrząc nań z zawiścią. - To ja mam się podobać babce. Nie ty! - Oczy jej poszarzały, jak gdyby niebo zakryły nagle burzowe chmury i zasłoniły słońce na długi czas. - Ty w ogóle nie powinnaś tam iść - syknęła przez zaciśnięte zęby z głuchym pomrukiem.

Blanka posmutniała, ale wnet się rozpogodziła, ponieważ taką była jej natura. Radosną i wdzięczną.

Ria nabrała odwagi i delikatnie uśmiechnęła się do niej, a śliczna infantka bez wahania odwzajemniła jej się tym samym, spozierając na nią pogodnym spojrzeniem.

*

Eleonora z niecierpliwością oczekiwała dziewcząt. Zajmowała to samo miejsce co poprzedniego wieczoru. Siedziała na estradzie ze złożonymi na kolanach rękoma. Długie palce księżnej zdobiły liczne pierścienie wysadzone kamieniami, ale jeden wyróżniał się szczególnie. Złoty z cennym szafirem.

Infantki spokojnie wkroczyły do komnaty babki. Pierwsza przed obliczem księżnej stanęła Urraka. Ukłoniła się, pełna dziecięcej dumy i kastylijskiej rodowej zadziorności. Pozostała na swoim miejscu, ale Blanka, niewiele myśląc, podbiegła rezolutnie do babki. Z szacunkiem ucałowała jej starczą dłoń. Kiedy podniosła głowę, uśmiechnęła się tak serdecznie, że starej kobiecie po raz kolejny drgnęło serce. W jej radosnych zielonych oczach ujrzała siebie, kiedy była mniej więcej w wieku Blanki.

Podczas pobytu na kastylijskim dworze ogromną przyjemność sprawiało Eleonorze obserwowanie najmłodszej z dziewcząt. Blanka cechowała się wrodzoną spontanicznością, ale i uległością. Była miłym, rozkosznie żywiołowym dzieckiem. Jednocześnie można nią było mądrze pokierować i wskazać jej właściwą drogę, którą powinna kroczyć przez resztę życia. Eleonora nie mogła oderwać oczu od tej

dziewczynki i z przyjemnością ulegała fascynacji, w jaką wprawiała ją śliczna córka Alfonsa. Wszak wnuczka wyglądała niemal identycznie jak ona sama, kiedy poślubiła młodego Ludwika, syna Ludwika Grubego⁷⁰, aby potem podążać z nowo poślubionym małżonkiem do zimnego pałacu na Île de la Cité, jakże odmiennego od jej rodzimych pałaców w Bordeaux i Poitiers. Ładne, lekko kręcone kasztanowe włosy swobodnie opadały na plecy dziewczynki, a iskrzące blaskiem zielone oczy o migdałowym kształcie przyciągały wzrok. Było w nich coś niepojętego i tajemniczego. Coś, co budziło trwogę, ale jednocześnie wzniewało zainteresowanie. Jak morze i góry. Jak pirenejskie śniegi w zimie i dysząca upałem akwitańska ziemia latem. Można się w nich było zanurzyć jak w lazurowym morzu o zachodzie słońca, kiedy żółto-czerwona poświata otulała namiętne morskie wody i strzegła ich zazdrośnie niczym miękkiej jedwab kobiece ciało. Nie sposób było obojętnie przejść obok najmłodszej infantki. Nie sposób było nie patrzeć w tę cudną kastylijską twarzyczkę.

Księżna musiała wybrać tę, na widok której doznawała drżenia. Serce impulsywnie łomotało w piersiach, a rozum wykrzykiwał: „Ona, ona! Jenon ona!”. Eleonora w zamyśleniu ostatni raz spojrzała na obie. W skupieniu, ze zmarszczonymi brwiami, porównywała je. Różnica była porażająca. Czy zastanawiała się, którą ostatecznie powinna wybrać? Nie! Nie było wszelako takiej potrzeby. Co więcej, czyż ślepiec szóstym zmysłem nie wskazałby właściwej? Rozum od dawna podpowiadał księżnej, która z nich będzie doskonałą królową i wspaniałą władczynią Francji, jednakże w pełni świadomie nie chciała wcześniej stwierdzać tego definitywnie. Była bowiem pewna, iż rozczaruje zarówno starszą z dziewcząt, która w żaden sposób nie zdołała zaskarbić sobie sympatii babki, jak i jej rodziców, sprawiając im wszystkim przykrość. Wszak oni od początku założyli, że to starsza opuści rodzinny dwór i pod opiekuńczymi skrzydłami Eleonory Akwitańskiej uda się naprzeciw swojemu przeznaczeniu. Ale księżna decyzję już powzięła. Była ona nieodwołalna i nic nie mogło jej zmienić.

Późnym popołudniem matka królowej Kastylii zjadła lekki posiłek w towarzystwie arcybiskupa, odpoczęła, po czym spotkała się z córką i zięciem. Musiała przekazać im decyzję, którą podjęła, a która różniła się od wcześniejszych ustaleń, jakie poczynili rodzice infantek.

Oniemiała Leonor potoczyła po komnacie zrozpaczonymi oczyma. Pomimo bezsilności, jaką odczuwała w obecności księżnej, zawrzała gniewem.

- Matko! - podniosła zdumiona głos, potrząsając głową. - Dlaczegoż to?!

- Zabieram ze sobą Blanę. Decyzja zapadła - zimno oznajmiła Eleonora. - Arcybiskup zgodził się ze mną. Ona jest odpowiednią kandydatką na żonę następcy francuskiego tronu.

- Blanę?! Boże broń! - Matka infantek nie ustępowała. Stała z twarzą zakłopotaną i poruszoną do żywego. - Wszakże to jeszcze zupełne dziecko.

Alfonso popijał wino z Belerniey i mimochodem słuchał żony. On również powziął decyzję. Wcześniej myślał o starszej córce, ale skoro Eleonora uznała, że to młodsza powinna z nią wyjechać, nie widział najmniejszych przeszkód. Księżna miała całkowite poparcie swojego zięcia.

- Czyż już zapomniałaś, ile ty sama miałaś lat, kiedy przybyłaś do królestwa Kastylii? - zagadnął niespodziewanie. - Byłaś młodszą.

Leonor szarpnęła się:

- Dlatego uważam, że dla niej to zdecydowanie za wcześnie.

Król mówił dalej:

- Blanka ma dwanaście lat. Jest nieomal dorosła i zdatna do małżeństwa.

Eleonora kiwnęła z uśmiechem.

- W każdym razie jest to wystarczający wiek, kiedy dziewczynki poślubiają mężczyzn.

Władca Kastylii w dalszym ciągu sącył wino barona i z zadowoleniem podrzucał dłonią ciemną brodę. Leonor nie rezygnowała.

- Matko, wszak wybraliśmy Urrakę! - prawiała rozczarowanym tonem. - Ona byłaby lepszą królową Francji!

- Urraka? To ty ją wybrałaś, nie my! - poprawił małżonkę król. Odgarnął prawą dłonią ciemne niczym ziemia włosy i podrapał się po uchu, a następnie, nie wiedząc, co z nią zrobić, ułożył ją niedbale na biodrze. - Dlaczego akurat ona miałaby być lepszą władczynią? Skąd możesz to wiedzieć?

- Ale ty się zgodziłeś ze mną! - odrzekła Leonor, nie odpowiadając mężowi na zadane pytanie.

- Jednakże teraz moje zdanie jest odmienne - odparł z rozdrażnieniem. - Mam jako król po temu prawo, dlatego podzielałam przekonanie twojej matki - odparł sucho. - To Blanka opuści Kastylię, nie Urraka!

Eleonora skinęła mu głową w podzięce za zrozumienie. On zawsze trzymał stronę teściowej.

- Co do Urraki, to będziemy musieli coś z nią zrobić! - przebąknął.

Zmarszczył czoło. Urraka też tak często robiła. Byli pod tym względem do siebie podobni. Usiłował myśleć. Całkiem szybko i zniemacka wpadła mu do głowy pewna myśl. Może jeszcze nie do końca gotowa, ale jej załączek.

„Portugalia? - rozważał. - Czemuż by nie?”

- Zaiste, mam pewien zamysł. Niedokładny jeszcze, ale sądzę, że moi doradcy zgodzą się ze mną.

Leonor najwyraźniej była zaciekawiona.

- Doprawdy? - spytała. - A jakież to?

- Powiedziałem: zamysł pewien - wyjaśnił Alfonso głosem chłodnym i niechętnym. - Nic konkretnego.

Królowa zagryzła wargi ze zdenerwowania, ale starała się tłumaczyć mężowi i matce:

- Urraka jest gotowa, żeby opuścić dwór. Przygotowałam ją, dlatego wie, co ją może czekać na obcym dworze, na Północy. Natomiast Blanka jest głupiutką dziewczynką, przedkłada zabawę nad naukę. Ona niczego nie zrozumie - prawiała nerwowo Leonor.

Akwitanka z politowaniem pokręciła głową.

- Moja droga córko, masz całkowicie błędne rozeznanie - odparła z dostojną godnością i czym prędzej wyjaśniła: - Blanka jest zdecydowanie mądrzejsza od Urraki, a przy tym urodą przewyższa obie wasze starsze córki, nawet ciebie, moja Leonor. Doskonale zdaje sobie sprawę, dlaczego będzie musiała opuścić ojcowski dwór. Zapewniam cię. Spójrz w jej cudne oczy, a Bóg bez zwłoki ześle ci zrozumienie. I wtenczas, moja córko, zgodzisz się ze starą matką, która wszak posiada więcej aniżeli ty życiowego doświadczenia.

Królowa Kastylii kiwała z niezadowoleniem głową na wszystkie strony. Była głęboko rozczarowana decyzją matki. Na dodatek jej mąż znowuż popierał Eleonorę, a nie ją, swoją małżonkę. Nie była przekonana co do racji starej kobiety. Niezmiennie uważała, że to Urraka powinna zostać następną królową Francji.

- Nie rozumiem! - mówiła z prawdziwym żalem, jakby do siebie. - Staram się, ale naprawdę nie mogę pojąć, skąd wziął się pomysł, żeby to Blanka z tobą wyjechała. - Chmurność otępiła ją zupełnie.

- A dlaczegoż nie? - spytała księżna. - Moja znajomość życia i związany z nią bagaż doświadczeń podpowiada mi, że to właśnie Blanka powinna pewnego dnia zasiąść na tronie obok wnuka mojego pierwszego męża.

- Nie bierzesz, matko, pod rozwagę, że tym razem możesz się... - zawahała się, ale zebrała się w sobie i dokończyła wypowiedź: - ... mylić?

Król zaczął wzdychać i kręcić głową. Leonor stale wywoływała jego gniew.

- Znam się na ludziach, w przeciwieństwie do ciebie, moja córko - odparła ostro. Miała już dość biadolenia Leonor, której marudzenie i jęki zaczynały ją z wolna nudzić. - W końcu ile ja mam lat! Będzie doskonałą władczynią, jestem o tym przekonana. - Kiwnęła ręką w stronę Amarii.

Służąca niezwłocznie podeszła do swojej pani, a księżna poleciła jej donieść wina, które Alfonso podczas wizyt u teściowej pochłaniał

w dużych ilościach. – Dość tych przekomarzań. Ani ja ciebie, ani ty mnie nie przekonasz.

– Matko, ja chcę jedynie zrozumieć! – prosiła królowa. Podeszła do księżnej sprężystym krokiem i pochwyciwszy jej dłoń, usiłowała ją ucałować. – Dlaczegoż akurat Blanka?

Eleonora wyrwała się jej i bez skrpułów wytoczyła argument:

– Jeżeli cię to uspokoi, to przyjmij za wyjaśnienie, że Urraka to imię trudne do wymówienia dla jej przyszłych poddanych. Blanka natomiast to delikatne, ładnie brzmiące imię Blanche. Wystarczy ci takie wyjaśnienie?

Leonor ze zdumieniem przypatrywała się matce. Nieugiętej, pełnej inicjatywy i narzucającej niezmiennie swoje zdanie księżnej, która niestrudzenie i bezwzględnie gotowa była bronić swoich racji. Była w tym nieprzejednana i bezkompromisowa.

Córka z wolna zaczęła poddawać się matce, albowiem nie wiedziała, co powinna jeszcze powiedzieć, aby uzyskać taką odpowiedź, jakiej w głębi duszy pragnęła.

Alfonso natomiast radośnie klasnął w dłonie, a następnie oparł je na udach. Był szczerze uradowany. Wszak Blanka była jego ulubienicą. Kochał jej piękne oczy, wesołość i radość życia. Przypominała podobno jego matkę, zarówno z wyglądu, jak i z usposobienia. Kiedy arcybiskup Toledo Gonzalo Pérez⁷¹ ujrzał kastylijską infantkę po raz pierwszy, od razu zwrócił uwagę na jej migdałowe oczęta i delikatną buzię. Pomyślał wówczas o matce Alfonsa, Blance z Nawarry⁷². Dlatego król dał tej córce imię po swojej rodzicielce. Ona również była wesoła i pogodna, rzadko kiedy poddawała się melancholii i złym myślom, które potrafią rujnować umysł.

Gonzalo, nim został arcybiskupem, w miarę możliwości zabierał dziesięcioletniego Alfonsa do Sorii, w której ten przyszedł na świat. Podczas wizyt często wstępowali do ulubionego kościoła Blanki, starego San Juan de Duero, który wraz z przylegającym do niego niewielkim klasztorem rozciągał się wzdłuż brzegów wartkiej rzeki

Duero. Alfonso uwielbiał biegać pomiędzy zacienionymi krążgankami, gdzie panował przyjemny chłód pozwalający swobodnie zaczerpnąć powietrza i dający uczucie wytchnienia po upalnym kastylijskim słońcu. Nie zwracał uwagi na rozprawiających szeptem duchownych, którzy z dobrodusznymi minami pozwalali Alfonsowi na zabawy w klasztornych murach, był on bowiem od siedmiu lat władcą Kastylii, a co się z tym wiązało, każdy z mnichów miał na tyle oleju w głowie, aby mu się nie sprzeciwić. Potem podczas wspólnych posiłków w przestronnym refektarzu lub spacerów w wypielegnowanym ogrodzie przy radosnym szczebiocie ptaków słuchał z uwagą rozmów Gonzalo Péreza z zakonnikami. Były one rozważne, dlatego z wyczuciem, bez nacisku, który mógłby spłoszyć młodego króla, radzono, aby ten porzucił chwilowo zabawy i przysłuchiwał się im. Dzięki takiemu postępowaniu wiele się w tamtejszym czasie nauczył. A że był mądrym i wyjątkowo bystrym chłopcem, dlatego też został mądrym i szlachetnym władcą Kastylii.

- Bardzo dobrze! - krzyknął uradowany. - Wszystko zatem zostało załatwione. - Skierował wzrok na zachmurzoną małżonkę, którą opanowała dzika niechęć. Już sam jej widok spowodował, że król, chcąc nie chcąc, został zmuszony wykrzywić usta w poprzeczną kreskę, która go na ten czas oszpeciła. - Leonor, każ szykować Blanę do wyjazdu!

Królowa Kastylii wzruszyła ramionami. Ogromny żal ścisnął jej serce - nadal była szczerze zawiedziona.

Król z miejsca zauważył jej reakcję i dlatego wezwał Leonor w gwałtownych słowach:

- Natychmiast! Nie każ mi powtarzać ponownie!

Po wydaniu żonie rozkazu odwrócił od niej głowę i spojrzał z wdzięcznością na teściową. Odczuwał satysfakcję i zacierał ręce z radości, jak wówczas, kiedy dobija się udanego targu. Bo czyż tak się nie stało? Był szalenie wdzięczny Eleonorze Akwitańskiej. Nie mógł pozbyć się uczucia, które nakazywało mu sądzić, iż Bóg wziął go pod swoją wyjątkową opiekę. Był o tym święcie przekonany.

Natomiast Leonor była blada i przybita, jak gdyby odebrała przed chwilą jakieś tragiczne wieści. Zaciśnęła cudownie kształtne usta i przyglądała się mężowi w milczeniu. Było to milczenie wymowne, które potrafiło drażnić mocniej aniżeli nerwowe występowanie z protestem.

- Księżno, pozostała nam jeszcze sprawa posagu.

Eleonora czekała na to pytanie. Bez wahania odpowiedziała z radością:

- Nie będziesz zawiedziony, mój szlachetny zięciu.

- Z pewnością - odparł podekscytowany. - Jestem bowiem, pani, przekonany, że i w tej sprawie należycie zadbałaś o wnuczkę.

Księżna zaczęła wymieniać.

- Jan swojej siostrzenicy sprezentuje w posagu lenna w Issoudun, Graçay i Berry. Są to bogate ziemie w rolniczej krainie, poprzecinane w poprzek rzekami Cher i Indre. Blanka otrzyma również posiadłości w Chauvingy. Leżą one w niedużej odległości na wschód od mojego pałacu w Poitiers. Tymi ziemiami do czasu, aż młodzi małżonkowie skonsumują małżeństwo, będzie zarządzał Filip.

Uśmiech nie schodził ze smagłej twarzy Alfonsa.

- Filip August dołączy do posagu synowej normandzką część Vexin i Évreux wraz z przylegającymi do niego ziemiami. Od kiedy tylko sięgam pamięcią, posiadłości te były kością niezgody pomiędzy Filipem a moim Ryszardem.

Kastylijczyk był władcą, który potrafił odpowiednio ocenić dobra przypadające córce po ślubie oraz docenić szczodroblivość ofiarodawców. Tymczasem Leonor przyłożyła dłoń do policzka i milcząca, posępna wpatrywała się w jakiś punkt na stole. Nikt nie zwracał uwagi na pogrążoną w smutku matkę następczyni francuskiego tronu, kiedy ta stała bez ruchu, z rozchyłonymi ustami.

Kiedy Eleonora skończyła wyliczanie, król postanowił zadać jeszcze jedno pytanie. Był tym wszystkim bardziej zainteresowany aniżeli jego żona. Ją te rozmowy zupełnie przestały obchodzić, nie

było w nich bowiem mowy o Urrace, ale o – głupiutkiej zdaniem matki – Blance, która nagle miała teraz niebo pod stopami.

- Cóż nasza słodka infantka – w tym momencie spojrzął ze złośliwą uciechą na chmurną jak noc żonę – dostanie od przyszłego męża?

Akwitanka patrzyła na córkę z bolesnym wyrzutem.

- Zostało uzgodnione, że przypadną jej w udziale trzy kasztelanie: Lens, Bapaume i Hesdin.

- *¡Asunto concluido!*⁷³ – wykrzyknął z euforią.

Sprawa została zakończona po myśli Eleonory Akwitańskiej i króla Kastylii. Alfonso uklonił się teściowej i po chwili opuścił komnatę. Miał dużo pracy i musiał przejrzeć dokumenty, które pozostawił mu wierny de Lara. Dotyczyły one jego najbardziej zawadiackiego, zbuntowanego barona de Castro⁷⁴, który od dawna nadwyreżał cierpliwość władcy i narażał się na jego ogromny gniew, a który był cichym sojusznikiem królewskiej małżonki.

W chwili kiedy kobiety zostały same, żona Alfonsa szepnęła żałośliwie:

- Urraka będzie zrozpaczona. – Wyznała to w taki sposób, jak gdyby miała za chwilę wybuchnąć płaczem z powodu tego, iż to, na co się szykowała wraz z Urraką, bezpowrotnie przeminęło. Zakładała, że jest rzeczą niemożliwą, aby matka była w stanie zmienić zdanie. Była zmieszana i nie wiedziała już, co mogłaby prócz tego dopowiedzieć, wobec czego rzuciła jeszcze tylko zdawkowo: – Cieszyła się na ten wyjazd. Była dumna, że to ona zostanie królową.

- Moja córko, posłuchaj mnie uważnie – twardo odezwała się stara kobieta i patrząc w zgaszone oczy kastylijskiej władczyni, bezlitośnie oświadczyła: – Nie zmienię decyzji jeno dlatego, żeby Urraka poczuła się lepiej. Nie ona zasiądzie na francuskim tronie. – Odetchnęła głęboko. – Zostało to postanowione!

Leonor podeszła do okna wychodzącego na południową stronę miasta. Spojrzała beznamiętnie na gęste zabudowania i odległy kościół San Francisco, który porażał wiernych boską potęgą. Przyjrzała się wieżom i smukłym kościelnym dzwonnicom, które

wznosiły się tryumfalnie ponad Palencią. Wkrótce poczęły bić dzwony. Ich dźwięk nieprzyjemnie dudnił w uszach królowej Kastylii. Czuła boleść i gorzkie zasepienie. Było jej żal średniej córki, bo jeno ona szczerze ją kochała.

Stara księżna odezwała się:

- Moje dziecko... nie zawsze jest tak, jak byśmy sobie tego życzyły. To podstawowa zasada i dziwię się, że jeszcze nie zdołałaś tego pojąć. Nie nam, kobietom, rozporządzać swoim życiem. - Patrzyła krytycznym wzrokiem na ostatnią żyjącą córkę. - Musimy przyjmować to, co Bóg nam zsyła, i godnie znosić przeciwności losu. Musimy rodzić dzieci, wychowywać je i żyć w małżeństwach, w których rzadko zaznajemy miłości. Wiemy, jakie jest nasze przeznaczenie i do czego zostałyśmy stworzone. Jesteś królową.

- Wiem - smutno przyznała Leonor. Nie była szczęśliwą kobietą, albowiem nie była szczęśliwą żoną.

- Zatem wiesz, że twoje życie zostało przesądzone już w dniu twoich narodzin, podobnie jak mojej wnuczki, a twojej córki. Nieważne, czy to dobre, czy złe, ale dokładnie taki sam los czeka wszystkie twoje dzieci i nie możesz temu przeszkodzić. Jedyne, co możemy uczynić, to sprawić, by odesłanie córki ku temu samemu przeznaczeniu, które znasz równie dobrze jak ja, nie odbywało się pośród płaczu i rezygnacji.

Eleonora badawczo przyjrzała się twarzy córki. Robiła to od czasu pojawienia się w Palencii. Oblicze Leonor było zbolące. Kobieta wyglądała na starszą, aniżeli była w rzeczywistości. Dopiero teraz Akwitanka zauważyła nieładne sińce pod oczami córki. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi.

- Moja córko, obserwuję cię nie od dziś. Od dłuższego czasu widzę, że coś cię trapi i nie chodzi teraz jeno o to, że wybrałam Blankę. Prawda?

- Zaiste... matko - ozwała się przyciszonym głosem - masz rację...

Kilka łez pojawiło się na bladych, wyrazistych policzkach młodej kobiety. Natychmiast je starła. Królowe nie płaczą! Leonor dobrze

zapamiętała te matczyne słowa wypowiedziane, kiedy opuszczała rodzinne strony, aby spełnić swoje przeznaczenie na kastylijskim dworze. Matka nie omieszkała jej ich przypomnieć, kiedy spotkały się przed bramami Palencji. Przez krótką chwilę królowa Kastylii milczała, ale w końcu zebrała się w sobie i zdobyła się na odwagę. Spoglądając na Eleonorę, z cierpieniem w głosie wyrzuciła z siebie:

- Utraciłam... miłość Alfonsa... Nie pragnie mnie jak niegdyś... Stał się zimny i obcy... To wszystko przez tę Żydówkę... Wszystko przez tę niewierną... Ty nic nie wiesz... ale...

- Wiem, moja Leonor! - odpowiedziała Akwitanka. - Wiem wszystko.

*

Guy de Ardalais od dobrej godziny z nieporuszoną miną czyścił konia. Wymienił garść słomy na nową i szorował jego boki, potem brzuch. W dalszej kolejności zajął się końską grzywą, podając ogierowi co chwila ulubione smakołyki, które kładł na otwartej dłoni, a rumak chętnie je chwycił wilgotnymi chrapami. Przemawiał do wierzchowca przyjaźnie, jakby coś mu tłumaczył. Zgodnie z planem o świcie mieli wyruszać w drogę powrotną. Guy polecił dokonanie przeglądu kół w wozach oraz zwierząt. Potrzebował ponadto utwierdzić się w przekonaniu, że każdy z jego zbrojnych, z książęcego oddziału, jest sprawny i zdrowy, gdyż każdy z nich bez wyjątku porządnie w Palencji hulał. Żołnierze byli zmęczeni nieustannym żłopaniem kastylijskiego wina przez dwa miesiące, podobnie jak i rycerze, ale każdy z nich zdawał sobie jednocześnie w przepitej głowie sprawę, że pewnego dnia nastąpi koniec szalonych zabaw, obżarstwa i tęgiego pijaństwa. Póki jeszcze mogli, wlewali w gardziele, ile się dało, choćby mieli paść trupem.

Guy natomiast zapragnął raz jeszcze ujrzeć kobietę, z którą spędzał ostatnie noce. Choć była zwykłą ulicznicą, polubił ją - była

ulicznicą o niezwyklej urodzie. Wiedziony poządliwością, zamierzał ją odszukać, nie miał bowiem okazji pożegnać się z nią.

Kiedy skończył przeglądać podkute kopyta, podszedł do niego przyjaciel, z którym dzielił smutki i radości żołnierskiego życia. Ów zapytał:

- Którędy będziemy teraz jechać?

- Clovis, a którądy jechaliśmy do Palencii? - odpowiedział pytaniem na pytanie dowódca.

- No, chodzi mi o to, że może teraz zechcesz jechać okrężną drogą?

- A niby czemu mamy nadkładać drogi? - zadziwił się de Ardalais.

- Księżna chce spędzić święta w Bordeaux, a potem wrócić do Fontevraud. Droga, którą poprzednio przebyliśmy, jest tą najkrótszą. W górach zajedziemy tym razem do opactwa Roncevalles. Augustianie go prowadzą. Tam odpoczniemy dzień i wyruszymy dalej. - Gładząc koński zad, nachylił się nad jednym z kolan. - Uzgodniłem to z księżną.

- Myślałem sobie, że będziemy stawać w opactwie u benedyktynów w St. Martin de Canigou.

De Ardalais wyprostował się szybko.

- A skąd ten pomysł? - zapytał ze zdziwieniem i zwrócił ku kompanowi niebieskie oczy. - Znam je, ale ono... - Potarł palcem czoło. - Opactwo pod Canigou jest zupełnie z drugiej strony. Musielibyśmy wjechać do Aragonii, przejechać Barcelonę. Zupełnie nam nie po drodze.

- Znasz je? - spytał de Guemtredes z iskrzącym zainteresowaniem.

Guy nie przerywał pracy. W dalszym ciągu zajmował się wierzchowcem. Clovis podał mu siodło. Dowódca starannie je założył, a następnie zaczął przywiązywać do końskiego grzbietu.

- Owszem - przyznał. - Jest niezwykle skromne i schowane w głębokiej dolinie górskiej. Drogi prowadzące do niego są bardzo niebezpieczne, dlatego uważam, że lepiej się tam z orszakiem nie zapuszczać. - Machnął ręką i dodał: - Kiepski pomysł, Clovis. Panują

tam okropne warunki życia. Latem mnisi muszą odbywać wielogodzinne marsze, aby dotrzeć do najbliższych ziem uprawnych w pobliżu Casteil. Ciężko im się żyje.

- Wiesz, ale słyszałem, że oni mają relikwię Świętego Gauderyka⁷⁵
- odrzekł. Czuł ogromną potrzebę ujrzenia jej, a może nawet dotknięcia.

- A co ciebie to tak interesuje? - dopytywał de Ardalais.

- Chciałbym pomodlić się przy niej - odpowiedział Clovis w swej katolickiej żarliwości. - Podobno szczęście przynosi. Słyszałem...

- Jak widzę, dużo rzeczy słyszysz, ale nic z tego nie wynika - roześmiał się dowódca.

- Dowiedziałem się, że ich opat bardzo chciał uzyskać te relikwie, a że nie mógł ich zdobyć po dobroci, więc wpadł na pewien pomysł...

- Jakież to?

- Wynajął rzezimieszków, którzy wykradli szczątki Świętego Gauderyka z kościoła Świętego Saturnina⁷⁶.

- Tego w Tuluzie?

- Nie inaczej - potwierdził rycerz i pogładził łagodnie końskie chrapy. - W przeciwnym wypadku nie byłoby najmniejszych szans, aby klasztor mógł się nimi szczycić.

- Czyli lepiej ukraść? - zadrwił de Ardalais, zanosząc się śmiechem. - Wtedy można się tym chlubić? Ciekawie się robi.

De Guentredes obruszył się. Czyż cel nie uświęca środków? Nie widział niczego złego w zachowaniu kapłana, ponieważ sam postąpiłby podobnie, byleby mieć coś ważnego - coś, czym można się chwalić przed resztą świata. A że zdobyte inaczej niż w zwykły sposób, cóż to szkodzi? I komu?

- No co?

- Ho, ho, Clovis, to Bóg na pewno nie ześle ci szczęścia, jeżeli miałbyś zamiar modlić się przy kradzionej relikwii.

Przyjaciel ściągnął brwi i zastanowił się.

- A może jednak? - mruknął do siebie.

- My na pewno nie będziemy tamtędy jechać. I powiem ci, to jest właśnie to twoje szczęście. - Guy zaśmiał się szczerze. - Zajmij się lepiej tamtymi. - Dowódca wskazał głową zalegających pod ścianą stajni kilkunastu żołnierzy. - Bo coś ciężko ich widzę siedzących na koniach. Pospadają, opijusy. Resztę trzeba odnaleźć.

- Tamci to bawią się z dziewczkami - odparł Clovis od niechcienia. - Długa droga przed nimi, więc muszą nabrać sił.

Guy pogłaskał najpierw konia po smukłej szyi, a następnie z całej siły klepnął w ramię de Guemtredesa. Odparł z uśmiechem:

- W ten sposób to oni się ich pozbędą...

Pomyślał o sobie, ponieważ miał nadzieję na odbierające świadomość pożegnanie z namiętą Kastylijką, która skrapiała ciało nieznanym mu pachnidłem.

*

Królowa Kastylii w otoczeniu świty stała na zamkowym dziedzińcu z Berenguelą i Urraką. Miała poważną minę; nie płakała. Natomiast Urraka, czując na sobie wiele mówiące spojrzenie matki, z zaciętym wyrazem twarzy i spod zmarszczonych gniewnie brwi obserwowała wóz, w którym zasiadły jej babka i siostra. Żona Alfonsa czuła wstyd, że nie wykazała się siłą, uzbrojoną w szaleńczą odwagę, która popchnęłaby ją do zdecydowanego sprzeciwu, czy to słowem, czy gestem, wobec decyzji matki. Tej matki, która podczas swojego pobytu w Palencii ani razu nie stanęła po stronie córki. Ale z drugiej strony czyż te usiłowania nie były z góry skazane na niepowodzenie? Czyż nie były one daremne? Wszak wszystkie żarliwe, niemal namiętne tłumaczenia Leonor księżna zbywała jednym ruchem dłoni, ku dzikiej radości zięcia. Córka Eleonory Akwitańskiej nie była nieugiętą, nie posiadała pogańskiej natury wojownika, jaką od dziecka wykazywała się jej matka.

Król zdążył się już pożegnać i pognął do swoich prywatnych komnat. Zamierzał popracować nad nowymi rozwiązaniami odnośnie budowy kolejnej warowni, jakie przedłożyła mu komuna żydowska z Ávili. Nosił się z zamiarem opuszczenia wieczorem Palencji i powrotu do castillo w Toledo. Czekala tam na niego rada królewska, z rozważnym Pedrem Manrique de Lara na czele. Leonor natomiast miała pojechać z dziećmi do starego zamku w Burgos, w którym zazwyczaj przebywała i w którym ze łzami w oczach bezustannie oczekiwała męża.

Eleonora siedziała w wozie wraz z wybraną wnuczką i arcybiskupem Eliaszem, który zdało się jakoby przytył podczas pobytu w Kastylii. Księżna pomachała dostojnie dłonią i orszak powoli ruszył z miejsca.

- Poczekajcie! - krzyknęła niespodziewanie średnia infantka. - Chcę jeszcze uściskać moją kochaną siostrę! - Czternastoletnia dziewczynka podciągnęła suknię do kolan i nie pytając matki o pozwolenie, pędem rzuciła się do pierwszego wozu, który wnet się zatrzymał.

- Urrako, wstrzymujesz nas! - rzekła z wyrzutem Eleonora, kiedy Kastylijka podbiegła do wozu. - Miałaś wystarczająco dużo czasu na pożegnanie.

„Co też ta dziewczyna znów wymyśla!” - pomyślała Akwitanka, z niezadowoleniem kręcąc głową, chciała już bowiem wyjechać z Palencji i jak najszybciej znaleźć się w Bordeaux.

- Wiem, wiem... Wybacz, babko, ale coś jeszcze szepnę mojej siostrze - rzekła przymilnie, choć żywiła do Eleonory wielką urazę, że to nie ją wybrała. - Chyba już nigdy się nie zobaczymy.

- Byleby szybko! - odpowiedziała nieczule księżna, nie miała ona bowiem sympatii dla średniej córki kastylijskiego króla.

Następczyni francuskiego tronu ze wzruszeniem wysiadła z wozu. Ogarnęła ją prawdziwa radość, że siostra okazuje jej miłość i oddanie, ponieważ Blanka kierowała się ufnością i naiwnością. Bo czyż mogło być inaczej? Urraka zbliżyła się i zarzuciła jej ręce na szyję. Rzekłbyś,

że czyni to w porywie rozrzewnienia. Objęła młodszą dziewczynkę tak mocno, że Blanka początkowo nie mogła tchu złapać. Nie wyczuła jednak kamiennego serca Urraki, nie zauważyła zapiekłego wyrazu jej twarzy ani zimna, które nieprzyjemnie od niej wionęło. Nie usłyszała, jak szcękają jej zęby. Siostra z udawaną miłością przytulała Blanę do siebie, jak nigdy dotąd, po czym podniosła jedną rękę i ze spokojem odchyliła kasztanowe włosy ulubionej córki króla. Przysunęła usta do drobnego ucha siostry. Chciała mieć pewność, że dwunastoletnia infantka dobrze ją usłyszy. Jenó ona. I nikt poza nią.

- Blanko, mam szczerą nadzieję... - Wstrzymała się i silnie uścisnęła młodszą siostrzyczkę, nie dając jej możliwości uwolnienia się z nieszczerých objęć. - Mam nadzieję, że będziesz cierpieć - szepnęła jej z kłującą serce nienawiścią, która posepnie wisiała w jej szarych oczach. - I... umrzesz podczas porodu. - Odsunęła twarz i patrząc w słodkie lico Blanki nieruchomymi oczyma, od których z siłą topora odbijała się cała zazdrość i brak siostrzanej miłości, wycedziła przez zęby: - Życzę ci tego z całego serca! - Po czym prędko oderwała ręce od narzeczonej Ludwika i głośno krzyknęła ze zjadliwą radością: - Pamiętaj o tym, moja kochana siostro!

Pragnęła, by wszyscy ją usłyszeli.

Blanka oniemiała. Nieświadomie rozchyliła karminowe usteczka. Jej drobne ciało skostniało w okamgnieniu, a zielone oczy, jakby zamroczone, nie potrafiły oderwać się od czternastoletniej Kastyliji.

Zawistna Urraka co sił w nogach pobiegła na powrót do matki, a królowa, wysuwając ręce, objęła ją tkliwie. Siostra już się nie odwróciła, albowiem spełniła swój zamiar. Nie widziała wstrząśniętej twarzy młodszej dziewczynki, na której policzki zaczęły kapać pierwsze łzy.

Księżna dała znak dowódcy, że są nareszcie gotowi do odjazdu. Babka była zaciekawiona i kiedy oszołomiona infantka, z zamętem w młodziutkiej głowie, ciężko usiadła obok niej, z miejsca zapytała:

- Dziecko, czemuś tak pobladła? - dociekała. Dziewczynka szybko oddychała i mrugała powiekami. - Cóż ci szepnęła siostra?

- Życzyła mi... szczęścia - ledwo wydukała.

Akwitanka nie dowierzała, ponieważ podczas pobytu w Palencji zdołała poznać podłą naturę średniej wnuczki i dostrzec jej niegodne kastylijskiej infantki zachowanie. Usiłowała dojrzeć twarz Blanki, ale wnuczka odwróciła sztywno głowę, którą wypełniło nieznane jej gorąco. W pośpiechu zakryła policzki włosami. Czuła dojmujący ucisk w brzuchu, który nie łagodniał, a jeno szarpał wewnętrznosci.

- To wszystko? - spytała, zdumiona unosząc brwi. Zachowanie Blanki wszakże przeczyło jej słowom.

- Pocałowała mnie - odrzekła co rychlej ze ściśniętym gardłem.

Słone łzy zalały śliczną, młodziutką twarz Kastylijki, która od tej chwili zaczynała uczyć się prawdziwego życia, w którym występują ludzie dobrzy i ludzie źli. W którym panuje pokój i miłość, ale towarzyszą im dzika zazdrość i okrutna wojna. W którym szatan depcze Bogu po piętach.

- Pamiętaj, moja piękna Blanko - odezwała się księżna, przed którą nie można było niczego ukryć. - Akwitańczycy mają w zwyczaju nienawidzić łotrów, a w twoich żyłach wszelako płynie gorąca akwitańska krew, jesteś bowiem prawdziwą krwią z mojej krwi. - Dotknęła z czułą troskliwością jej miękkich włosów i przeniosła wzrok na błyszczący naszyjnik migoczący na dziewczęcej szyi. Był on ozdobiony żółtymi topazami. - Kamienie, które nosisz, moja wnuczko, uchronią cię przed podłością i przyczynią ci odwagi. Zatem bądź silna, wytrwała i nieugięta. Zawsze!

Orszak Eleonory Akwitańskiej opuścił gościnną Palencję.

*

Hrabina de Peyres stanęła przy niewielkim otworze okiennym. Spróbowała wyrzeć na zewnątrz, ale z tej pozycji niewiele było widać. Próbowała objąć wzrokiem wszystko to, co znajdowało się poniżej olbrzymiego zamku, jakby wtopionego w białe skały, ale

niestety, mimo wysiłków, jakie z mozołem czyniła, za wiele nie była w stanie dojrzeć. To małe okienko zdecydowanie ograniczało jej pole widzenia, ale nie poddawała się. Stała na palcach, wyginała się jak kotka, ale i to nie pomagało. Chciała nabrać w płuca świeżego powietrza. Rześkiego i chłodnego o tej porze dnia. Świt nastał dawno temu, ale ona nadal nie wyszła z sypialni. Po chwili zakręciło się jej w głowie, poczuła się źle i postanowiła wrócić do łóżka. Wgramoliła się pod ciepłe kapy i futra, nakryła się po sam czubek nosa. Niebawem odczuła błogie ciepło. Zrobiło jej się przyjemnie. Trzydziestoczteroletnia Bertille wyciągnęła długie nogi i zaczęła rozmyślać.

Wczorajszego popołudnia dowiedziała się od nadwornego lekarza, że znajduje się w stanie odmiennym. Przeczuywała pewne zmiany, jakie poczynaly zachodzić w jej ciele, ale były one tak nieznaczające, że nie zwracała sobie nimi głowy. Wiadomość, którą medyk przekazał jej z widoczną radością na starej twarzy, w pewnym sensie spłoszyła ją, choć nie zaskoczyła, a już na pewno w pierwszej chwili nie uradowała. Nie przypuszczała bowiem, że Bóg w swojej nieodgadnionej łaskawości pobłogosławi kolejny raz jej małżeństwo poczęciem dziecka, że sprawi, iż Bertille po raz kolejny będzie w stanie błogosławionym.

Ona może się nie uradowała, ale jej mąż zdecydowanie tak. Hrabia tak bardzo ucieszył się z tej nowiny, że aby dać upust swojej wielkiej radości, postanowił pojechać na polowanie i z miejsca wyprawić ucztę. Był najszczęśliwszym z ludzi, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi. Wprost szalał ze szczęścia, kiedy ich nadworny medyk przekazał mu owe doskonałe wieści. Aurelien de Peyres uściskał starca, a następnie uszczęśliwiony rzucił się pędem do żony. Bez pytania wpadł do jej komnaty i jak oszalały, bez zbędnych słów, porwał małżonkę w objęcia. Mocno ścisnął wąską jeszcze talię Bertille, aż kobieta pisnęła. Z trudem uwolniła się z jego ciasnych objęć, w których czuła się zakleszczona, i z niepokojem spojrzała w jego uradowaną twarz. Aurelien był tak wniebowzięty, iż nie

spozstrzegł, że żona nie wykazuje choćby minimalnego entuzjazmu. Jego radość pochłaniała ich za dwoje. Niedawno przekroczył pięćdziesiąty siódmy rok życia, ale nadal zaskakiwał zręcznością i energią. Młodszych od siebie kompanów potrafił setnie zawstydzić sprawnością w turniejach i szaleńczą pogonią za dziką zwierzyną, a wieczorem zadziwiającą ilością wypijanego wina. Następnego ranka wstawał wcześniej i rześko zabierał się za zwykłe obowiązki. Poddani lubili go, żołdacy stojący przy hrabiowskim boku zdobywali się na większą jeszcze odwagę niż normalnie. Jego dobroduszny, życzliwy charakter nie pozwalał mu mieć wrogów.

Bertille leżała i bezmyślnie wpatrywała się w kamienny sufit. Zaiste, jest w stanie błogosławionym. Spodziewa się dziecka. Ostatnie zdrowe maleństwo powiła niemal siedemnaście lat temu. Jej ciało wydaje jedynie złe owoce, zawczasu wydała i nie daje takich jak należy możliwości, by owoc ów dojrzał i w stosownym momencie opuścił jej łono. Pogodziła się ze swym przeznaczeniem, ze złym losem. Przestała walczyć, przestała się nad sobą uzalać. Stała się kobietą twardą i nieprzystępną. Była zupełnym przeciwieństwem męża. A teraz to złe fatum jak gdyby chciało odmienić swe nieczne oblicze i na powrót wtłacza w nią nadzieję na macierzyństwo. Czyżby to były jeno złudne nadzieje losu, który zamierza pokazać jej smakowity kąsek na srebrnej tacy, a po chwili, kiedy już poczuła jego nęcący zapach, nikczemnie odebrać jej go sprzed nosa?

Kobieta uważnie przyglądała się sklepieniu ponad głową i nie zastanawiając się nad tym, co robi, liczyła wybrzuszenia widoczne na kamiennym stropie. Znudzona tą czynnością skierowała wzrok na stolik, na którym leżały szyszki pinii, jako symbol wiecznej płodności i nieśmiertelności. Nagle, zupełnie zniecka, przypomniała sobie słowa starej piastunki, która zawsze powtarzała, że gdy prawa pierś jest większa od lewej, wówczas narodzi się syn. Strwożona szybko dotknęła dłonią piersi. Jedna z nich rzeczywiście była większa od drugiej. Nieznacznie, ale była.

Wtem usłyszała ciche pukanie. Dźwięk właściwie przypominał bardziej skrobanie w drewniane drzwi aniżeli pukanie.

- Matko, jesteś? - odezwał się dziewczęcy głosik. Stukot ponowił się, ale hrabina nie chciała teraz nikogo widzieć. Odczuwała zmęczenie i nie zamierzała wdawać się w pogawędkę.

- Odejdź! - odskrzyknęła, marszcząc w złości czoło.

- Matko, chcę z tobą porozmawiać!

- Odejdź! - powtórzyła ostro Bertille, sapiąc pod nosem. - Jestem zajęta! Wezwę cię później!

Dźwięk ustał. Młoda dziewczyna odeszła z ociąganiem. Słychać było jedynie zanikający odgłos butów na kamiennej posadzce.

Nie widziała matki od dawna, już nawet nie pamiętała, jak dawno miało to miejsce, kiedy zamieniła z nią zaledwie parę słów. Nigdy nie mogła na nią natrafić, a do komnaty ta jej nie wpuszczała.

Bertille westchnęła z ulgą. Nie lubiła Ermessendy i starała się trzymać ją na odległość. Nie miała ochoty na żadne odwiedziny, a tym bardziej - swojej córki. Z nikim nie chciała teraz przebywać i wysłuchiwać, jakie to szczęście, że Bóg ponownie pobłogosławił jej związek z Aureliem. Musiała ułożyć sobie w głowie plan działania na najbliższe miesiące. Aby to zrobić, musiała być sama.

Ponownie dotknęła piersi. Z zapartym tchem wyczuła, że piersią większą była ta po prawej stronie. Poczowała olbrzymią ulgę i roześmiała się głośno. Wszelako jawiła się nadzieja! Teraz jednakże musiała być przede wszystkim niezmiernie ostrożna i nadzwyczaj o siebie dbać. Nie mogła pozwolić sobie na konne przejażdżki, nocne wysiadywanie przy stole i ucztowanie do białego świtu. Czyniła tak poprzednimi razy, ale, ku rozpaczy jej samej i Aureliena, spotykało ją to samo niezmiennie nieszczęście. Teraz postanowiła, że będzie rozsądną i z Bożą pomocą postara się ze wszystkich sił zapobiec niefortunnemu poronieniu. Jej głównym zadaniem jest urodzenie syna, ale najważniejszym wszelako jest, aby chłopiec był żywy, a w następnej kolejności - tryskał zdrowiem. Do porodu musi być silna i zdrowa. Nie

może pozwolić sobie na żadne słabości. Musi odrzucić precz wszelkie niepokoje i nerwy.

Aby tak mogło się stać, przede wszystkim musi pozbyć się córki, a najlepszym po temu sposobem jest jak najszybsze wydanie jej za męża. Najlepiej za wicehrabiego Béziers, Albi i Carcassonne Rajmunda Rogera Trencavela⁷⁷. Zięc byłby z niego znakomity. Pan na rozległych włościach, wywodzący się z potężnego, starego rodu. Wasal króla aragońskiego⁷⁸. Wkrótce zostanie pasowany na rycerza. Dumny młodzian, który mógłby zapewnić ich córce dobre życie, a im samym jako jej rodzicom przydać niebagatelnego znaczenia. Cóż to byłby za los, jakże zaszczytny, jakże wspaniały! Boga obraziłoby się, gdyby myślano o lepszym.

Trzeba jedynie kuć żelazo, póki gorące. Pieczę nad chłopcem dzierzył póki co hrabia Bertrand de Saissac⁷⁹ wespół z Rajmundem Rogerem de Foix⁸⁰, dumnym i przesadnie hardym panem z gór. Obaj byli dobrymi przyjaciółmi jej męża, za którymi ona jednakże nie przepadała. Ale pomijając tę niedogodność, sprawa przedstawiała się w nader jasnych kolorach. Nie powinno być najmniejszych przeszkód, żeby rozpocząć przedślubne negocjacje. Po prawdzie Aurelien wspominał o tej możliwości już parokrotnie. Zdecydowanie miał rację, córkę mieli bowiem dorodną, zdrową - z pewnością urodziłaby ona wicehrabiemu wielu męskich potomków.

W kwestii tej Bertille musiała uczciwie przyznać, że byłoby to dobre rozwiązanie. Najlepsze wszak z możliwych. Zarówno dla nich, jak i zapewne dla samej ich córki. A co najważniejsze, nareszcie pozbyłaby się jej ze swojego otoczenia.

*

Zasuwy zachręściły, odrzwia zgrzytnęły, aż dreszcz nieprzyjemny przebiegł po ciele. Strażnicy rozwarli bramy. Na szerokim dziedzińcu rozległ się tętent nadjeżdżających koni, a za chwilę zza

zakrętu wyłonili się goście. Hrabia Aurelien oczekiwał przyjezdnych, którzy bez spóźnienia zjawili się na jego zaproszenie do zamku Peyres. Stukot końskich kopyt ustał. Trzech mężczyzn zgrabnie zeskoczyło z wierzchowców.

- Jakże miło was widzieć, moi przyjaciele! - krzyknął do nich z oddali rozradowany.

Oddali lejce stojącym w pobliżu stajennym i z uśmiechem na twarzach zważowo podszli do oczekującego ich hrabiego. Kiedy się zbliżyli, podali sobie dłonie, a Aurelien serdecznie uściskał każdego z osobna. Najmłodszy z mężczyzn elegancko powitał Aureliena i z pełnym szacunkiem ukłonił się starszemu człowiekowi. De Peyres z zadowoleniem pokiwał głową. Podobał mu się ów młody Rajmund Roger Trencavel wywodzący się ze szlacheckiej langwedockiej rodziny Trencavelów. - Gładkie czoło, delikatnie podkreślony podbródek, szare oczy i karnację odziedziczył po matce, Azalais z Tuluzy⁸¹, z rodu de Saint - Gilles. Przypominał wuja, hrabiego Tuluzy Rajmunda VI, ale jeno z wyglądu, albowiem nie posiadał jego dominującej osobowości.

- Ucieszyłem się, kiedy twój służący dostarczył mi wiadomość. Miałem cię wcześniej odwiedzić, ale wiesz, jak to jest... - zaczął się tłumaczyć pan na Foix. - Wieczne obowiązki.

- Ha, ha! Już ja wiem, co za obowiązki przeszkadzają ci zajrzeć do nas... Wiem, wiem... - Hrabia de Peyres roześmiał się. - Nie po drodze ci do nas, bo musisz konia na wschód kierować, nieprawdaż?

De Saissac zawtórował mu z pełnym zrozumieniem całej sytuacji.

- Czemuż akurat na wschód? - zapytał hrabia przekornie.

W odpowiedzi mężczyźni wybuchli głośnym śmiechem, nie dopuszczając Rajmunda Rogera de Foix do głosu.

Możny szlachcic z gór udał zdziwienie, ale zupełnie niepotrzebnie, albowiem każdy w okolicy, tej bliższej i dalszej, poznał przyczynę jego nieustających wypadów do położonej wysoko w górach żółto-brązowej fortecy Cabinet. Także przyjaciele zdołali poznać sekret hrabiego, który mężczyzna starał się ukryć. Bo któż mógłby zachować w ścisłej tajemnicy płomienny romans z najbardziej

pożądaną kobietą w Langwedocji⁸²? Próba jego ukrywania miała się z celem, mimo że de Foix, związany przysięgą z Etiennette, obiecał, że nie będzie publicznie rozprawiać o sprawach sercowych łączących go z wybitnej urody zamężną niewiastą.

- Przyznam ci się, Aurelien, że droga do twojego zamku to nie lada wyzwanie i to dla każdego, kto zechce cię odwiedzić. Ciągnie się pod górę tak długo, że końca nie widać - odparł wesoło Rajmund Roger.

Była to prawda - podejście było strome, a ścieżka wykuta tak sprytnie, że wiała się bez przerwy krótkimi skrętami.

- Porządna warownia - stwierdził z uznaniem de Foix. - Nikt się do niej nie wdrze. Mądrze postąpił twój dziad, że na tej skale kazał postawić kamienne mury.

Hrabia nie byłby sobą, gdyby nie ucieszył się z pochwały. Miał świadomość, że przodek wraz z budowniczymi włożyli ogromny, a wręcz nadludzki wysiłek, aby warowny zamek wybudować w miejscu trudnym i nieprzystępnym, szczepionym ze skałą jak orle gniazdo. Jak matka z dzieckiem w łonie. Budowa tegoż pochłonęła życie setki ludzi, którzy po gwałtownej śmierci stali się raz jeszcze przydatni hrabiemu, gdyż ich mięsem delektowały się hrabiowskie psy, a nawet wygłodniałe wilki i lisy. Warownia wyglądała, jakby wyrosła wprost ze skał. Była jej nieodłączną częścią. Od zachodniej strony zamek złączony był z nieomal pionową skalną ścianą, z której w licznych zagłębieniach wyrastały kolczaste krzewy. Każdy, kto znalazł się po tej stronie rodzinnej warowni Peyres i nie był wystarczająco uważny, mógł być pewien jednego - że spadnie w wyciągnięte ramiona czekającej na niego bestii. Na imię jej było śmierć. A jeżeli jakimś cudem przeżyłby, ku boskiej uciechu, mógł być pewien następnej rzeczy - że zostanie pożarty przez złaknione zwierzęta. Dlatego też hrabia szczyił się posiadaniem zamku niedostępnego dla wrogów, który nieomal wisiał nad przepaścią.

- Sporo się zmieniłeś od czasu, kiedym cię widział ostatnim razem.
- De Peyres zwrócił się do młodzieńca, który tkwił na baczność przy

swych towarzyszach. Przeleciał uważnym spojrzeniem po sylwetce chłopaka. - Zmężniałeś i wyższy się robisz. Pięknie rośniesz, wkrótce będzie z ciebie kawał porządnego rycerza - rzekł miło do młodzieńca, wywodzącego się ze starożytnego rodu możnych szlacheckich. - Niebawem, jeżeli Bóg pozwoli, będziemy walczyć ramie w ramie.

Młody Trencavel był dostojnie ubrany w kaftan z drogiej wielbłądziej wełny oraz w ciemny, czarny płaszcz sukienny z odpowiednim do niego kapturem narzuconym na ramiona. Prezentował się elegancko. Znać było, że posażny z niego młodzieniec. Przy tym był niebywale przystojny.

- Panowie, zapraszam!

De Peyres ruszył naprzód, a goście podążyli za nim. Udali się przez wąskie przejście do lewego skrzydła zamku. Nim dotarli po krętych schodach do komnaty hrabiego, w której przyjmował on zazwyczaj przyjezdnych, musieli przebyć zawiłą gmatwaninę kamiennych korytarzy, wąskich, zawiłych schodów i przestronnych halli.

- No, Aurelien, tyle przejść... istny labirynt. Otwarcie ci powiem: można zablądzić. Wyobraźnię stary de Peyres to miał. No i znalazł dobrych budowniczych - skomentował zziąjany Bertrand, po czym, nie czekając zaproszenia, usiadł zaraz na najbliższym krześle, które dojrzał w komnacie. - Bezpieczne schronienie - sapnął i podniósł dłoń do twarzy. Odgarniając gęstą grzywę, przetarł spocone czoło. - Zmęczyłem się.

- Bo starszy już - zaśmiał się Rajmund Roger de Foix.

Pozostali mężczyźni zawtórowali mu, z wyjątkiem tego, który stał się obiektem żartów. De Saissac w końcu mógł spokojnie odetchnąć. Odpiął miecz, który ułożył obok siebie, i rzekł:

- Ostatnio inną drogą mnie tu wprowadzałeś. Chyba nie masz w tym jakiegoś ukrytego celu, co? - spytał na wpół złośliwie. - Że za każdym razem idziemy innymi schodami i korytarzami?

- Tego to ci nie zdradzę, mój przyjacielu - odpowiedział wesoło gospodarz. Wskazał gościom krzesła i fotele przy palącym się

kominku. Wysunął dłoń i jął nią wodzić po brunatnym kaftanie. – No, siadajcie, siadajcie, panowie. Ogrzejdzie się.

Sam przysiadł przy stole. Potem oparł o niego łokcie. Nim przeszedł do sedna, zagadnął hrabiego de Foix.

– Jakże się miewa twoja niezależna siostra, urocza Esclarmonde⁸³? Skoro została wdową, to powinienes znaleźć jej godnego męża pośród langwedockich szlachciców. Czy może innych masz na uwadze? Gaskońskich, a może aragońskich?

De Foix złapał się za czerep, jak gdyby chciał zasugerować, że siostra przyprawia go o zawrót głowy.

– Oświadczyła, że chce zostać dobrą chrześcijanką.

– Doprawdy? – zdziwił się Aurelien, jednakże owo pierwsze zdumienie nabrało rychło charakteru zaciekawienia. – No i cóż ty na to?

Nie widział Esclarmonde od długiego czasu. Zawsze wydawała mu się dojrzała ponad swój wiek i równie niezależna jak panowie langwedoccy. Prawdziwa córa gór, z rodu de Foix: odważna, z poczuciem własnej godności, której nie sposób było narzucić swojej woli, jeżeli ona tego nie chciała.

– Ano nic. Prowadzi dysputy z czarno odzianymi kaznodziejami i ani myśli o mężu czy rodzinnych obowiązkach. Zupełnie straciła dla nich głowę. Wiecznie z nimi przesiaduje. Filipę i dzieci zaczyna przeciągać na swoją stronę.

– I cóż z tego? – zachnął się Bertrand. – Znam tych czarno odzianych duchownych, których Rzym zowie heretykami. Zaiste, ich poglądy różnią się od nauk katolickich łotrów, są rzeczywiście odmienne, ale... – Zamilkł na moment i powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół. – Trza uczciwie przyznać, że są one ciekawe i zaprawdę mądre. Żeby ich słuchać, należy mieć otwarty umysł, a nie... – Roześmiał się głośno, niczym spadający na ziemię nagły grad. – A nie barani łeb, ha, ha, ha!

– W rzeczy samej, takimi są – zgodził się de Peyres. Wysunął ku przyjacielom głowę i jednocześnie ręce, które zataił

z ukontentowaniem. – Prawdą jest nie od dziś, moi panowie, o czym owi kaznodzieje rozgłaszają na prawo i lewo, a co my również wiemy, i to z własnego doświadczenia, że biskupie urzędy ściśle są związane z życiem doczesnym, a Kościół od dawna nie odznacza się wybitną żarliwością. – Chytry uśmiech rozświetlił jego twarz. – Jeżeli w ogóle w tych sprawach kiedykolwiek okrywał się chwałą.

Bertrand uśmiechnął się, bowiem Aurelien tak dobrze wyraził jego myśli, że on sam nie ubrałby ich tak trafnie w słowa.

– Dlatego jego służalcze kundle mają pustkę w głowach – pośpieszył z wyjaśnieniami Rajmund Roger de Foix.

– Mylisz się, Rajmundzie. – De Saissac uznał, że przyjaciel popełnił błąd.

– Jakże to? – spytał ze zdumieniem szlachcic, robiąc jednocześnie kwaśną minę.

– Nie pustkę... To nieprzerwane myślenie o złocie zatyka im wszystkie szpary – poprawił niezwłocznie Bertrand.

Żywiłowy entuzjazm ogarnął przyjaciół.

– Popieram – dorzucił szybko Aurelien, tym samym dając przyjaciółom do zrozumienia, że dzieli z nimi poglądy. – To zaś, co prawią nasi czarno odziani mnisi o papieżu i jego pacholkach, przypada mi do serca. Wprawiają mnie oni w zadowolenie. – Pokiwał z uznaniem głową. – Ogromne.

– I o Kościele, który nie powinien istnieć, a który sieje spustoszenie w ludzkich umysłach szybciej aniżeli najgorsza zaraza – oznajmił Bertrand, któremu złość przebiegła po twarzy niczym zgęszczona chmura rozpędzona wiatrem. – Jest ono niczym ruja i porubstwo – wycedził przez zęby.

– W tym względzie podzielamy zdanie naszych kaznodziejów, czy tam... – hrabia de Foix zaśmiał się – heretyków. Jakież to ma znaczenie, jak się oni nazywają? Uważam, panowie, że całe to kacerskie gadanie w ogóle nie jest szkodliwe – oświadczył z przekonaniem.

Śmiech przebiegł wśród obecnych.

- No wiesz, jak dla kogo... - wtrącił rozbawiony Aurelien. - Dla nas z pewnością nie. Bo i niby czemu miałyby być?

Młody Trencavel przyglądał się hrabiom. Nie zamierzał póki co zabierać głosu. Jego myśli koncentrowały się wokół zasadniczego powodu, dla którego przybyli do Aureliena de Peyresa.

- Jednakże dla papieskich łgarzy, którzy tak w snach, jak i na jawie marzą jeno o złotym cielcu, przemowy innowierczych kaznodziei nie są powodem do radości - stwierdził de Saissac. - Muszą czuć się poważnie zagrożeni, albowiem prawda ta dźga ich żądłem faktów, garbuje skórę i wydlubuje im ślepią. I powiem wam, że słusznie. Bo po cóż im one potrzebne, jeżeli nie chcą jej dostrzec?

- Ha, ha, ha! Zaiste. Wszak to zadufani w sobie ślepcy. Obłeśni i wszeteczni - potwierdził Aurelien. - Ale, panowie, jeżeli chodzi o kobiety, to ja niczego złego nie widzę w tym, żeby one sobie czasem gadały z mnichami. Może będą bardziej potulne. - Przebiegł po mężczyznach szybkim spojrzeniem. - Krzywdy im nie robią - uznał.

- Z tego gadania wieczery mi nie przygotowują! - parsknął Bertrand.

- Ty zawsze jesteś głodny! - odezwał się gospodarz. - Ludzie ci są zwykłymi kaznodziejami, ubogimi i spokojnymi. Wszyscy wkoło prawią, że żyją niczym apostołowie - podkreślił. - I kobiety mogą się wiele nauczyć.

- O, widzę, że darzysz ich sympatią! - naigrywał się de Saissac i naraz zaśmiał się głupio. - Czy aby nie z wzajemnością?

- A czemuż by nie? A ty?

- Mnie oni nie przeszkadzają - skwitował poważnie Bertrand, drapiąc się po brodzie. - Mnie nikt nie przeszkadza, dopóki nie wchodzi mi w drogę. W przeciwnym wypadku... - Zerknął chytrze na leżący tuż przy nim miecz, a potem, przeniósłszy wzrok na hrabiów, rzekł z powagą, która domagała się szacunku dla jego słów: - Dam mu do posmakowania moje żelazo, a zapewniam was... nie będzie ono obleczone miodem...

- O tak, ha, ha, ha... zapewne - odrzekł pospiesznie de Foix. - I tego się trzymajmy, panowie.

Aurelien wyraził przekonanie:

- Wszak wszyscy wiemy, że wiara katolickich łotrów polega jedynie na ustawicznym dążeniu do zdobycia kolejnej sakwy wypchanej po brzegi złotem. Kto da więcej, ten szybciej dostąpi zbawienia. Któż z nich szczerze modli się i czyni dobrze? Raczej nieujarzmionemu koniowi można zaufać, niż ich niechlujnej mowie. Czyż mówię nieprawdę, moi panowie?

Właściciel zamku wypowiadał się rozsądnie. Hrabiowie de Saissac i de Foix z aprobatą pokiwali głowami. Przyznawali Aurelienowi rację, bowiem złych lub pospolitych ludzi najprędzej można pozyskać darami, natomiast szlachetnych szlachetnością. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Bertrand odkaszlnął i podniósł ręce do góry, jakby zamierzał przystąpić do wygłaszania kazania, ale wnet je opuścił i sformułował przekonanie:

- A ja wam powiem, przyjaciele, że moim zdaniem nie ma sensu wdawać się z kościelnymi mistyfikаторami, którzy dają fałszywe świadectwo i depczą ludziom po twarzach, w płomienne dyskusje na temat wiary, kto lepiej i zacniej czyni, albowiem prowadzi to donikąd.

- Skrzywił się niewyraźnie i dorzucił: - Wiadomo, kto jest dobry, a kto zły, wszelako lisich pysków tymże łotrom nie zatkacie. Niech oni sobie wszyscy łby pourywają - mruknął na koniec, spuszcżając oczy. - Ja tam mam swoje sprawy.

- Bertrand, jak my wszyscy - wtrącił de Foix. - Jedynie rozmawiamy.

De Saissac podniósł głowę i klepnął szlachcica w kolano.

- Wiem, mój przyjacielu. Nasze brzuchate kundle...

- I leniwe - wtrącił de Foix, zanim Bertrand zdążył dopowiedzieć.

- I leniwe, których fanatyzm i niepomiarowana nietolerancja są ciasne niczym cela klasztorna, z prawdziwą nienawiścią patrzą na heretyków. Przeszkadza im, że wygłaszają po miastach i zamkowych dziedzińcach kazania i tak wielu kręci się ich na naszych ziemiach.

A najgorsze jest dla nich, panowie... - Tu hrabia Bertrand podniósł palec na wysokości oczu i spojrział porozumiewawczo na towarzyszy. - I tego najbardziej nie mogą przeboleć...

Aurelien wszedł mu w słowo:

- No czegoż to? - zapytał wiedziony ciekawością. - Czegoż nie mogą przeboleć?

- Mianowicie, że kaznodzieje ci znajdują posłuch pośród langwedockich chłopów, kupców, mieszczan i również wśród... nas!

I znów komnata zatrzęsa się od śmiechu zebranych w niej szlachciców. Ich rechot był zaraźliwy, ale Trencavel nie miał powodów do radości. Nerwy i oczekiwanie ścisnęły mu żołądek. Czuł, że posiłek, który zdążył spożyć, nim wyjechał z hrabiami z zamku Comtal, odbija mu się bezustannie. Było mu niedobrze.

- Nie mówicie, panowie, ani słowa o Bogu - przebąknął nieśmiało.

- Z tej prostej przyczyny, iż jest on bardzo daleko - odpowiedział Aurelien, kładąc ciężko dłoń na siedzącym przy jego boku młodzieńcu.

- Ci dwulicowi oszuści są wściekli niczym odtrącona kobieta - zawyrokował z nagłą de Foix. - A wiecie, panowie, cóż to oznacza?

De Saissac roześmiał się od ucha do ucha i z miejsca wypalił:

- Nie ma gorszego piekła na ziemi aniżeli wzgardzona kobieta. - Po chwili wyznał, szczerze się krzywiąc: - A tej niewiasty nikt nie chciałby uwieść. Wolałbym już spotkanie z samym diabłem.

- O, i tutaj masz całkowitą słuszość - poparł go Aurelien, pociągając nosem. Odwiedziny przyjaciół radośnie go nastroiły i nastrój ten nie ustępował. - Panowie, a gdybyśmy wrzucili katolickie psy do jednego wora wraz z diabłem... - Zerknął na nich z entuzjazmem w oczach i spytał: - Jak myślicie, komu przypadłyby laury victorii?

Hrabiów nie trzeba było zachęcać do udzielenia odpowiedzi. Każdy ją znał. Głęboki, jakby gardłowy śmiech wycisnął hrabiemu de Foix z ust słowa:

- Wszak szatan byłby zwycięzcą!

- Wszak prawda musi zwyciężyć! - dopowiedział Bertrand. - W całym życiu szanuj prawdę tak, by twoje słowa były bardziej wiarygodne od przyrzeczeń innych.

Aurelien nie omieszkał wreszcie wspomnieć o zasadniczej sprawie, która ich wszystkich jednakowo dotyczyła.

- Uważajcie, papież⁸⁴ czym prędzej zabiera się za tych ubogich mnichów. Przed nim próbowano, ale sukcesów na tymże polu nie odniesiono, bowiem ludność Langwedocji jest głucha na papieskie i biskupie nakazy, otwarcie wspierając heretyków.

- No cóż - rzekł de Saissac z lekceważeniem - dla Innocentego to istna stajnia Augiasza⁸⁵, a wiadomym jest, że heretyckie kazania obrzucają Kościół błotem i oblepiają go łajnem. Ha, ha, ha, ha! I to niezwykle szczelnie, ha, ha, ha, tak, że nie znajdziesz żadnej dziury!

- I tym samym odbierają autorytet Innocentemu - nadmienił gospodarz.

- Boi się, że spadnie z piedestału. - De Foix wybuchnął potężnym śmiechem, aż się zakrztusił. - A huk ten, moi panowie, niewątpliwie usłyszelibyśmy w naszych zamkach.

Aurelien uderzył dłonią w stół, zaś Bertrand, podśmiewując się, odchylił się na krześle. Hrabia z gór zawsze potrafił dobrze wycelować i trafić w samo sedno. Podobnie jak jednym śmiertelnym ciosem umiał rozprawić się z niemiłym mu duchownym, który nadto pozwalał sobie, aby ograniczać jego wolność myśli i zachowań.

- I smród też zapewne doszedłby naszych nozdrzy - podsumował de Saissac z odrazą.

De Peyres zawahał się, ale po chwili zasugerował:

- Stajnia Augiasza? A może wieża Babel? - Parsknął. - Panowie, w naszej tolerancyjnej Langwedocji istnieje mieszanka kulturowa, jako że wszyscy żyją obok siebie, a każdy wyznaje, co mu się żywnie podoba. I oby tak pozostało... - Następnie podzielił się z przyjaciółmi spostrzeżeniem: - Panowie, musimy uważać, ponieważ Innocenty to twarda sztuka. Uważa się nieomal za równego Bogu, dlatego też

oślepia swą potęgą, a blask ten poraża me oczy, dlatego nie jest on dla mnie przyjemnym.

Bertrand kręcił się nerwowo, jakby siedział na rozżarzonej krześle. Od razu gruchnął:

- Ho, ho... to powinien czym prędzej zmienić wygórowane mniemanie o sobie. Pamiętajcie, moi panowie, z nagromadzonych chmur powstaje gradu i wichru potęga, zaś z błyskawicy iskry wytwarzają głośny grom. - Oczy tryskały mu ogniem. - Także od mężów zbyt wielkich rozpoczyna się grodu upadek, jako że nie raz lud przez swą głupotę obwiązał się pętami zniewolenia i nałożył sobie jarzmo na garb, a knebel wcisnął w gębę. Następny myślący w swej wydumanej pysze i głupocie, której korzenie leżą bardzo, ale to bardzo głęboko - tu Aurelien i Rajmund Roger zanieśli się śmiechem - że będzie nami rządził i decydował w naszym imieniu, kto może, a kto nie może przebywać na naszych ziemiach... - Zacisnął groźnie pięść. - Niedoczekanie! Szybciej cisnę mu w twarz żelazem, aniżeli pozwolę, aby on wydawał takowe decyzje! To my i tylko my podejmujemy decyzję! Nasza Langwedocja i sami sobie poradzimy!

Złapał oddech, przymknął oczy i po chwili, z lekka uspokojony, wpatrzył się w swoje obuwie. Nie odrywając od nich oczu, dodał z ironią:

- Panowie, należy sobie przede wszystkim zadać pytanie, czy my chcielibyśmy zająć się tym, co boli papieską dupę!

Hrabiowie nie mogli się powstrzymać od salwy rubasznego śmiechu.

- Niech go boli i nie przestaje! - rechotali wspólnie. - A najlepiej niech mu wrzód na tej jego świątobliwej dupie wyrośnie. Wtedy nim się zajmie, a nie naszą Langwedocją i naszymi ludźmi!

De Foix nie przestawał się śmiać. Złośliwe przymówki wprawiały go w uzasadniony błogostan. Wstał i podszedł do kominka. Wyciągnął ręce i pocierał nimi nad wesoło trzaskającym ogniem. Ciepło wnet go ogarnęło i powrócił na swoje miejsce.

Aurelien de Peyres nie omieszkał zadać gościom przebiegłego pytania:

- Panowie, moi przyjaciele, a czy wyświęcona dupa papieska jest bardziej miła Bogu niż nasze?

- Ha, ha, ha, a któż mówi, że jest? - De Saissac poderwał się raptownie z krzesła i gotowy ciąć mieczem nie tylko powietrze, wybuchnął: - Niech tu stanie przede mną i powie mi to w twarz, a ja mogę przysiąc na matkę, która dała mi życie, choć niech mnie Bóg broni, żebym przysięgał na ojca, jako że kobieta jest kobietą, iż zrobię mu z dupy siekaną sarninę, ha, ha, ha!

- Ubolewam, mój drogi de Saissac - wtrącił de Foix z szyderstwem - że sumienie nakazuje ci postępować w sposób, który nie podoba się Innocentemu...

Bertrand z zadowoleniem machnął ręką.

- Jako i nam wszystkim...

Kiedy wreszcie przestali się naśmiewać i natrząsać, hrabia de Peyres oświadczył z dumą:

- No, mądry z ciebie człowiek, de Saissac. Dobrze, że z nami trzymasz.

Rozweselony Bertrand złapał się za brodę, zaczął się nią bawić i podążał za swoimi myślami.

„Ach, na Boga, te nasze langwedockie doliny pełne cyprysów, winnej latorośli i niskopiennych sosen z szerokimi koronami. Jakże tu nie być szczęśliwym? Zarośnięte wąwozy i ukryte jaskinie, łagodne wzgórza i obrośnięte zielenią góry. Gdzież może być piękniej? Nadmorskie porty, do których przybijają statki z towarami z różnych stron świata, i ten rozkosznie przyjemny wietrzyk nawiewający od morza. Jakże nie mieć otwartych ramion?”

Z chwilowej zadumy wyrwał go przyjaciel - zdało się, jakoby wielki pan z gór wkroczył w jego rozmyślenia ciężkimi butami.

- Do diabła z Innocentym! - klapnął de Foix i założywszy ręce za głowę, wyciągnął się, wysuwając przed siebie nogi.

- A jakże, nie mylisz się, Rajmundzie! - podchwycił hrabia de Saissac. - Do diabła z nim! Do grot najgłębszych niech idzie gadzina, nadęta bez miar pychą. Powinien on się zająć swoimi sprawami, jako my to czynimy. - Jego oczy uśmiechały się szczerze. - A ma ich według mojej wiedzy całkiem niemało. - Wskazał dłonią na wschód i rzekł: - Niech uważnie zerka na saraceńską Jerozolimę.

W komnacie rozległy się burzliwe oklaski, ponieważ Bertrand mówił prawdę i to, co mówił, trafiało im do serc. Twarze szlachciców promieniały błogim podnieceniem, albowiem w słowach, które wypowiedział de Saissac, brzmiał gniew prawdziwego rycerza na zadufanego w sobie chucpiarskiego papieża, którego narcystyczna arogancja diabelsko ich drażniła.

- Dalibóg! Niech kieruje wzrok na wschód, nie na zachód - zaintonował kochanek nadobnej Etiennette. - Jesteśmy bardzo tolerancyjni i dlatego wszyscy dobrze się u nas czują. Mamy okazałe miasta, nasz handel kwitnie, kupcy ściągają do nas ze wszystkich stron. A dlaczego? - zapytał przyjaciół.

Aurelien i Bertrand już otwierali usta, ale de Foix, nie czekając na ich opinie, niezwłocznie sam udzielił odpowiedzi:

- Bo każdy chce żyć i bogacić się w naszej Langwedocji - wykrzyknął uradowany. - Panowie, mamy wszystko. Mocne wino, oliwę, wełnę, różnorakie skóry, wszystko, czego tylko dusza zapagnie. I piękne kobiety również...

- Jakżeby inaczej - przyznał ochoczo Aurelien. - Mamy wszystko. - I natychmiast dorzucił: - Langwedocja jest naszą chlubą, bogata i niezależna jak żadna inna kraina. To nasza ziemia. Nasze dziedzictwo. Nie papieża i jego wiernopoddańczych psów obrośniętych złotym tłuszczem. Dlatego ledwo się ruszają, a biegać już nie mogą.

- Zaiste. Bo niektórzy z nich są naszymi psami, które trzymamy na krótkiej smyczy, aby się nie urwały - nadmienił de Foix. - I nie karmimy tak szczerze.

Ostre prześmiewchy hrabiów poczynają już drażnić młodego Rajmunda Rogera Trencavela. Zmarszczył gniewnie brwi i świdrował wzrokiem twarze hardych szlachciców. Przemknęła mu przez głowę pewna, jakże trafna, myśl:

„Tak się tu puszy ta cała trójca, a przecież rozległa Tuluza nie do nich należy, a do mojego wuja, Rajmunda de Saint-Gilles. Mój ród i ziemie z Béziers, Albi i Carcassonne podlegają Królestwu Aragonii od czterdziestu dziewięciu lat. Czemuż oni myślą o sobie jak o niezależnych władcach? Wszakże mają pana ponad sobą”.

- Ma chrapkę na nasze ziemie, ale... - Aurelien zastanowił się, bo chciał wygłosić coś mądrego.

- Ale nie pozwolimy, żeby wsadzał nos tam, gdzie nie powinien - dokończył za gospodarza Bertrand.

- Bo może jeszcze mu kto go przyciąć. - De Foix roześmiał się i pogładził długą brodę z taką delikatnością, jakby gładził piersi kochanki. - A wtedy nie będzie już czuł tej swojej wyświęconej papieskiej dupy!

Lubili wyśmiewać papieża, szydzić z niego i drwić sobie z niego, jak również z jego zdegenerowanych psów, oblegających langwedockie biskupstwa z łapczywością i nieprzyzwoitością. To była jedna z ulubionych rozrywek możnych panów z Południa, obok ciągłego nękania prałatów w ich kościołach. Wystarczyło tylko pokazać katolickim chciwcom choćby jedną złotą monetę, a rychło tracili rozum i stawali się bezwolnymi wobec żądań langwedockich szlachciców. Hrabiowie gardzili nimi i pluli na nich. Duchowni z Południa nie byli bowiem lepsi od zwykłych najemników, którzy służyli temu, kto więcej zapłaci. Satysfakcja, z jaką szlachcice powtarzali obelgi, niezawodnie świadczyła o ich wojowniczym roznamiętnieniu i chęci powstrzymania krwiożerczej bestii z Rzymu.

Po chwili de Saissac klasnął głośno w dłonie i uniósł ręce ponad głowę, gdyż przypomniał sobie coś niezwykle zabawnego. Znowuż począł chichotać.

- Hrabio, jesteś dziś w doskonałym humorze - zauważył Aurelien.
- To dobrze. Lubię, kiedy nie siedzisz jak skwaśniałe jabłko. Mów, mów... cóż cię teraz tak rozbawiło?

Bertrand nie przestawał się śmiać.

- Przypominacie sobie, przyjaciele, jak to zadziałałem w Alet? - Panowie skinęli głowami z szerokimi uśmiechami na twarzach. - Chcieliśmy mieć opata, który byłby naszym popiecznikiem... - zaczął opowiadać opiekun Trencavela.

Hrabiowie rozbawili się na dobre. Młody Rajmund Roger Trencavel nie podzielał ich wesołości. Słuchał jednym uchem, patrzył w okno i pozwalał, by myśli swobodnie buszowały mu po głowie.

- Wykopałem trupa poprzedniego opata - rzekł de Saissac z hultajską miną - i zaciągnąłem go do kościoła. Posadziłem na ołtarzu... Musiałem przytrzymać, bo kiwał się na wszystkie strony, biedaczysko. - Mężczyźni w komnacie Aureliena pokładali się ze śmiechu. - Wydałem mnichom rozkaz: Uważnie go wysłuchajcie! Ha, ha, ha! Mnisi posikali się z przerażenia.

- Skąd wiesz?

Bertrand wykrztusił bez wahania:

- Sprawdziłem.

De Foix rżał. Trzymał się za brzuch i omal nie spadł z krzesła. W ostatniej chwili przytrzymał się poręczy.

- Twoje pomysły są niezawodne, de Saissac.

- Zaiste - zgodził się z opinią Bertrand. - Dlatego jestem waszym przyjacielem.

Kiedy się wreszcie uspokoili, Aurelien zagadnął:

- Dobrze, już dobrze. Zostawmy lepiej sprawy religii klerykom, a my zajmijmy się życiem i to doczesnym, tu i teraz. Podać wina! - krzyknął głośno Aurelien do stojącego przy wejściowych drzwiach sługi. - Rusz się!

Służący z miejsca uczynił zadość żądaniu hrabiego. Na stole postawił kielichy, które wnet zostały napełnione ulubionym przez przyjaciół trunkiem.

- No już myślałem, że się nie doczekam. - Bertrand złapał podany mu kielich i jednym haustem wypił jego zawartość. Mocnym ruchem dłoni otarł usta, brodę i wąsy. - Ależ byłem spragniony. - Zerknął na hrabiowskiego służącego, którego twarz była pokryta sińcami, i rzekł do gospodarza: - Widzę ślady twojego gniewu. To wszak niepodobne do ciebie.

- Dobry masz wzrok, mój przyjacielu - odrzekł Aurelien.

Goście przestali dowcipkować. Przystąpili do konkretnej rozmowy, dla której przede wszystkim zjechali do zamku Peyres. Przyjemnie słodkie wino rozgrzewało atmosferę podczas rozmów. Nie były one burzliwe. Młody Trencavel nareszcie doczekał się. Wszelkie sporne kwestie, które mogły budzić wątpliwości obu zainteresowanych stron, zostały rozpatrzone odpowiednio wcześniej, przeto w dniu dzisiejszym zaakceptowano jedynie wcześniejsze ustalenia i zgodnie potwierdzono umowę małżeńską, której wszakże wszyscy oczekiwali. Młody narzeczony skromnie zabierał głos, pozwalając, by w jego imieniu wypowiadali się głównie hrabiowie de Saissac i de Foix. Aurelien nie był skąpy. Ermessenda była wielką miłością swojego ojca i chciał on zapewnić jej dobre i godne życie, na jakie zasługiwała jako córka hrabiego de Peyresa. Dla niej byłby w stanie oddać ostatni kawałek urodzajnej gleby i tym samym popaść w ruinę. (Bertille natomiast nie była taka skora do rozdawania).

Mężczyźni podali sobie dłonie na znak zgodnie zawartej umowy. Rody Trencavelów i de Peyresów zostaną połączone. Hrabia był uszczęśliwiony, a Rajmund Roger Trencavel nieco speszony, ale ostatecznie również zadowolony z przebiegu rozmów. Bądź co bądź dotyczyły one jego przyszłości, która na ten moment przedstawiała się w jasnych barwach, niezwykle nęcąco. Hrabiowie de Saissac i de Foix wielokrotnie podkreślali niebagatelną wagę tego małżeństwa, byli bowiem szczerze przekonani o tym, że to dobry ruch. Niewątpliwie wszystkim wyjdzie ono na dobre i będzie owocne dla zamieszkujących tę krainę szlachciców.

Król Aragonii Piotr bez sprzeciwów wyraził zgodę na małżeństwo Rajmunda Rogera Trencavela i Ermessendy de Peyres. Służyło ono i jego osobistym interesom w Langwedocji jako suwerenowi rodziny Trencavel. Hrabia Aurelien rozkazał przywołać służącą córki, Agnes.

- Wypijmy za udane rozmowy! - wykrzyknął.

Najwyraźniej nie potrafił opanować radości, która wypełniała go niczym wino kielich. Uczynił wszak wszystko, co było najlepsze dla ukochanej Ermessendy.

- Oczywiście, panowie, wypijmy. Jest za co - odparł de Saissac. - Nasz młodzieniec dostanie piękną żonę i równie piękny kawał posiadłości. Brawo, Rajmundzie! - zawołał równie mocno ukontentowany, co gospodarz. - Brawo! - Wstał i podszedł do młodego Trencavela. Serdecznie poklepał go po ramieniu, po czym, przyglądając mu się bacznie, spytał przyjacielsko: - Cieszysz się, chłopcze?

- Jakżebym mógł się nie cieszyć? - odpowiedział nieco zawstydzony młodzieniec, spuszczać oczy i zerkając w pośpiechu na posadzkę. - To dla mnie i dla mojego rodu ogromny zaszczyt.

Bertrand radował się niezmiernie z zawartego kontraktu. Opiekował się Rajmundem Rogerem po śmierci jego ojca Rogera II Trencavela⁸⁶ i zajął się chłopcem tak dobrze, jak swoim legalnym synem. Troszczył się o niego jak prawdziwy, osobisty strażnik. Z kolei hrabia de Foix, jako regent małoletniego Trencavela, dbał o dziedzictwo podopiecznego. Obaj waleczni szlachcice dla dobra dziedzica pozostawali w pełnej zgodzie z aragońskim królem jako suwerenem ziem rodu Trencavelów.

Tymczasem w komnacie zjawiała się Agnes. Hrabia bezzwłocznie kazał jej wyszykować i przyprowadzić siedemnastoletnią córkę, obecnie narzeczoną wicehrabiego Béziers, Albi i Carcassonne. Pulchna, energiczna służąca z lekko zadartym ku górze zgrabnym noskiem zdążyła wymownie spojrzeć na młodziutkiego narzeczonego swojej pani. Spodobał się jej. Miał miłą powierzchowność i łagodne szare, duże oczy. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Przez chwilę patrzyli

tylko na siebie. Zdało się, jakby uśmiechnęli się do siebie. Delikatnie, jakby zalotnie, ale wszakże niewinnie. Oboje byli sobie ciekawi. Agnes westchnęła niezauważalnie i z niejakim ociąganiem opuściła komnatę. Pobiegła schodami do prawego skrzydła zamku, do apartamentów młodziutkiej hrabianki.

- Rajmundzie, czas najwyższy, abyś przyjrzał się przyszłej małżonce - rzekł Aurelien z dumą w głosie. Był szczerze przekonany, że jego dobra córka wywrze na wicehrabim nietuzinkowe wrażenie.

- Dziękuję, panie - odrzekł spłoszony Trencavel. - Miałem już przyjemność ją widzieć.

- Kiedyż to było! - zaśmiał się de Saissac, machając ręką. - Tak dawno, że sam nie pamiętam dokładnie. Wtedy to było dziecko, a teraz? - Hrabia z błyskiem w oku cmoknął w palce. - Teraz to panna niczym pączek róży, doskonała dla ciebie, mój drogi Rajmundzie. Będziecie tworzyć udane małżeństwo.

- Bylebyście szybko przypieczętowali je potomstwem - dodał ubawiony Rajmund Roger de Foix.

Mężczyźni nie przestawali rechotać i stukać się kielichami, ale młody Rajmund Roger nie przyłączył się do tego obcesowego zachowania obu hrabiów i przyszłego teścia. Na jego policzku pojawił się słaby rumieniec, który zaczął stopniowo rozlewać się po twarzy młodzieńca. Miał piętnaście lat, a hrabianka, która miała zostać jego żoną, była o dwa lata starsza. Trencavelowi wystarczyło zamknięcie sprawy małżeństwa i uzgodnienie niezbędnych szczegółów. W tym momencie najchętniej opuściłby już zamek Peyres. Narzeczoną w swoim czasie widział, nie chciał zawstydząć ani jej, ani siebie. Na wszystko przyjdzie pora, jak mawiała jego zmarła matka Azalais de Burlats z rodu hrabiów de Saint-Gilles.

Niedługo potem do komnaty Aureliena weszła młodziutka dziewczyna. Skromnie ukłoniła się gościom, jak przystało na hrabiowską córę, i z delikatnym uśmiechem spojrzała na zakochanego w niej po uszy ojca. Nie była nadto urodziwa, ale miała smukłą sylwetkę, szczupłą kibić i urocze, błękitne jak niebo nad Langwedocją

w letni poranek oczy. Śmiało patrzyła przed siebie. Nie była zawstydzona, jak jej przyszły mąż. Jasne, popielate włosy lekkimi puklami opadały na wąskie ramiona. Niewielki diadem, który ozdabiał jej drobną głowę, był przystrojony jedynie trzema kosztownymi kamieniami, które hrabia kazał sprowadzić dla córki z północnych terenów Trypolisu. Aksamitna, jasna suknia delikatnie podkreślała jej sylwetkę.

Po chwili dziewczyna skierowała zaciekawiony wzrok na Rajmunda Rogera Trencavela. Chłopak spłoszył się jeszcze bardziej niż podczas omawiania spraw związanych z małżeństwem. Przywitał się z córką Aureliena i ponownie zajął miejsce przy stole, obok prawnego jeszcze opiekuna. Nie patrzył więcej na Ermessendę.

Późnym popołudniem trzej jeźdźcy, wyjechawszy z zamku Aureliena, wracali do swych posiadłości. Stromy zjazd z zamku Peyres uniemożliwiał im swobodną pogawędkę, na którą każdy z nich miał wszakże ochotę. Ścieżka była wąska i musieli pilnować koni, uważnie trzymać się w siodłach i patrzeć na wyboje, połamane gałęzie, których nie brakowało na zwodniczej drodze. Kiedy z niej zjechali, znaleźli się na równym terenie pomiędzy bezlistnymi niskopiennymi krzakami. Konie szły stępa, podkowy głucho uderzały o wilgotną ścieżkę, a w powietrzu unosił się chłód.

Trencavel nareszcie mógł odetchnąć i poczuć się swobodnie, bez obawy, że ze strony Aureliena padną niewygodne pytania, z którymi, wbrew swej woli, będzie musiał się zmierzyć. Narzucił na głowę kaptur i popadł w zamyślenie.

- Wszystko przebiegło zgodnie z planem, nieprawdaż? - spytał wesoło Bertrand de Saissac i obrócił twarz w stronę przyjaciela. - Hrabia to poczciwy człowiek. Zawsze można na nim polegać, to zacna rodzina.

- Nie inaczej - przyznał de Foix i zwrócił się do wstydliwego młodzieńca, którego raptownie wyrwał z zamyślenia. - Dobrze trafiłeś, chłopcze. De Peyres nie da cię skrzywdzić, jeżeli i ty - rzekł z łagodną przestrogą - nie skrzywdzisz jego córki. Będzie zawsze stał po twej

stronie i jeżeli nie wystąpisz przeciwko niemu, będziesz mógł liczyć na jego pomoc. Pamiętaj, wiem bowiem, co mówię.

- A czyż oni dobrze nie trafili? - zauważył Trencavel. - Ich córka jako moja żona zostanie panią wielkich ziem. - Po chwili, nie mogąc dłużej dusić tego w sobie, wyrzekł: - Chciałbym... ale nie wiem - zaczął z pełnym znużenia smutkiem - czy mogę wam coś wyznać...

Twarz miał bladą, a szare oczy zrobiły się większymi, aniżeli były w rzeczywistości. Mężczyźni spojrzeli po sobie. Nie zabrzmiało to obiecująco. De Saissac skrzywił się, ale wnet przybrał poważną minę i z uwagą przyjrzał się podopiecznemu.

- Skoro chcesz, uczyn to - odpowiedział sucho.

Młodzian był onieśmielony i skonsternowany, nie chciał sprawiać przykrości dobrotliwym opiekunom. Jego serce podpowiadało mu coś zgoła odmiennego od tego, co hrabiowie de Saissac i de Foix pragnęliby słyszeć. Panowie obmyślili, a następnie wespół z Aurelieniem de Peyresem opracowali udany plan, niezwykle interesujący i intratny dla wszystkich jego wykonawców. Wyłamywanie się w obecnej chwili, kiedy najdrobniejsze szczegóły zostały precyzyjnie dopracowane, nie było dobrym strategicznie posunięciem i z pewnością nie mógł oczekiwać ze strony swych opiekunów aplauzu.

- O cóż chodzi? - zapytał hrabia de Foix z dużą dozą porywczego niepokoju, albowiem w żadnym wypadku nie grzeszył on cierpliwością. - No, mówże, chłopcze!

Młody Rajmund patrzył na opiekunów, w rozterce wodząc dłonią po oczach. Zastanawiał się, jakich słów mógłby użyć, aby wyznaniem nie wyprowadzić ich z równowagi i nie napytać sobie biedy. Wahał się.

- Mówże wreszcie! - ponaglił nerwowo de Saissac. Twarz mu spochmurniała. - Mów!

Młodzieniec zebrał wszystkie zapasy odwagi i wreszcie to wyznał. Przyszło mu to z większym trudem, aniżeli przypuszczał. - Ona mi się nie podoba - rzekł, wyrzucając z siebie szybkie słowa. Ton jego głosu

był żałościwy, wszelako treść tego, co mówił, zgodna z prawdą. - Zupełnie inaczej wyglądała, kiedy widziałem ją ostatnim razem.

Przerwał i czekał, a słowa jego wsiąkały w nich jak woda w grząski piasek. Panowie de Saissac i de Foix osłupieli, wstrzymali gwałtownie konie. Te stanęły. Zerknęli porozumiewawczo na siebie, po czym z niedowierzaniem spojrzeli na młodzieńca z otwartymi ustami. On również zatrzymał wierzchowca i spozierał na nich oczyma wiernego psa, który czuł poniewczasie, że zawiódł opiekuna i przyczynił mu trosk.

De Foix, nie spuszczać oczu z młodego wicehrabiego, zareagował ostro:

- Na zakrwawione stopy Chrystusa! Cóż ty wygadujesz?! - wybuchnął z błyszczącymi oczyma i pochwycił podopiecznego za ramię. - Kiedyż to było?! I ona, i ty zmieniliście się. Wtedy byliście jeszcze dziećmi, a teraz jesteście gotowi do małżeństwa - rzekł rozdrażniony, unosząc prawy kąt ust i tym samym ukazując ogromne, mocne zęby.

Trencavel nie odpowiadał, zamknięty w sobie popadł w milczenie. Hrabiowie okazywali mu swoje zaskoczenie, ale i niezadowolenie.

- Doprawdy?! - Bertrand odzyskał głos i parsknął pogardliwie. - Nie spodobała ci się?! - Chwycił się za głowę, jakby usiłował coś z niej wysupłać, a potem machnął nerwowo ręką w powietrzu i spytał szorstko: - A czemuż to? Nic z tego nie rozumiem! - Po czym zwrócił się z pytaniem do przyjaciela: - A ty, Rajmundzie?

De Foix raptownie zaprzeczył ruchem głowy. Przyjaciele de Foix i de Saissac byli święcie przekonani, że dziewczyna wywarła na młodym chłopcu wielkie wrażenie. A teraz okazuje się coś zgoła odmiennego - coś, czego nie zdołali przewidzieć. Dotąd młodzieniec nie zdradził się ani jednym słowem, że ma niejaki wątpliwości co do wyboru przyszłej żony. Z drugiej zaś strony nie miał przecież możliwości, aby wypowiedzieć się na temat jej urody i widocznych zalet, które dla każdego były wszak oczywistymi. Dopiero teraz nadarzyła się po temu sposobność. Młodzian z miejsca wykorzystał tę

okazję i uczciwie wyznał starszym mężczyznom prawdziwe odczucia względem Ermessendy. Nie były one jej przychylne, co ich samych wprawiło w konsternację.

- A cóż miałem powiedzieć? - z prawdziwą przykrością rzekł młodzieniec, wzruszając ramionami. - Nie wiem... Nie podoba mi się. - Wydał z siebie ciężkie westchnienie i dodał posępnie: - Jakoś inaczej ją sobie wyobrażałem.

Był przybity i nie potrafił wytłumaczyć tego tak jasno, by hrabiowie pojęli, o co mu naprawdę chodzi.

- Coś mnie od niej odpycha - mruknął i zamilkł.

Zapanowała męcząca, przedłużająca się cisza. Gorące myśli buzowały w hrabiowskich głowach.

- Spójrzmy na to z innej strony - rzekł po namyśle de Foix, przeczesując palcami brodę. - Czy żona musi się podobać? - Skrzywił się i mrugnął okiem. - One nie są od podobania, jeno od rodzenia naszych dzieci. Musimy mieć godnych siebie następców i prawowitych dziedziców.

Bertrand migiem podchwycił myśl przyjaciela.

- Miłość to puste słowo - stwierdził. - Żona dziś jest, a jutro i tak zapewne umrze podczas porodu, no najwyżej w połogu, i weźmie się następną, ha, ha, ha. Zatem moim zdaniem nie ma tu żadnego problemu. Twoje wątpliwości wnet uleczy dobre wino.

Wicehrabia szeroko otworzył oczy. Był naiwnym, pełnym wzniosłych ideałów młodym mężczyzną. Konie zarżały, podrzucały łbami, a grzywa zakrywała im oczy.

- Rajmundzie, nie przejmuj się, jeżeli Ermessenda ci się nie podoba - de Saissac dał wyraz swoim poglądom. - Pokładaj w Bogu nadzieję, że niedługo ona umrze, a dzięki temu będziesz mógł wziąć sobie inną niewiastę.

- Z całą pewnością Bertrand ma rację - zgodził się hrabia z gór. - To doskonałe rozwiązanie. - Pokiwał głową. - I chyba najbardziej pewne.

„Czy oni mówią poważnie, czy nadal żartują, jak na zamku?” – zastanawiał się Trencavel. Młodzian pokręcił głową i rozejrzał się wkoło. Robiło się coraz chłodniej, nie tylko na jego sercu.

- Jedźmy! – zdecydował de Saissac, ściskając w dłoniach wodze.

Ruszyli przed siebie, konie jechały stępa.

- Kobiet jest pełno, i u nas w Langwedocji, i w Aragonii czy Katalonii, że nie wspomnę już o dalszych terenach. Jednakże... – De Saissac wstrzymał głos i splunął na ziemię gęstą ślinę, którą miętosił od dłuższego czasu w ustach. – Tutaj, w tym konkretnym wypadku, zawarliśmy umowę. – Zerknął ponuro i twardo na Rajmunda Rogera. – Nie możesz jej zerwać. Już za późno – przestrzegł. – To nie wchodzi w rachubę, mój drogi.

- Doprawdy? – Młodzian wytrzeszczył oczy i ze świadomą przekorą poinformował mężczyznę: – Mój wuj Rajmund stale zrywa wszelkie umowy, jakie wcześniej zawiera. Nic sobie z tego nie robi i śmieje się w twarz wszystkim naokoło. A wy i tak nie możecie go jawnie zlekceważyć.

- Rajmundzie, nie będziemy teraz rozprawiać o naszych zależnościach od hrabiego Tuluzy – rzekł dyplomatycznie Rajmund de Foix.

- Dlaczegoż nie? – Trencavel szarpnął się, jak gdyby nabrał nagle wigoru i odwagi. – To mój wuj.

Hrabia z gór odrzekł z wyszukany spokojem, nie chcąc jednak umniejszyć jego rodowemu honorowi, który dla młodzieńca był sprawą najwyższej wagi:

- Nie twoją jest jeszcze rzeczą zabierać głos w tej materii. Dlatego właśnie nie byłoby wskazane, abyś poszedł w ślady wuja, dla którego umowa znaczy niewiele więcej niżli przygodnie napotkana kochanka – wyjaśnił sucho. – Jego jedyną mocną stroną jest przede wszystkim łamanie wszelkich zobowiązań, jakie bierze na swoje barki.

- Zaiste, *pacta sunt servanda*⁸⁷! – wykrzyknął de Saissac. – Święta zasada! Dlatego, jeżeli chcesz być darzony szacunkiem, to przede wszystkim musisz zachowywać się w sposób zgodny z regułami

i wzbudzający respekt jako wicehrabia Béziers i Carcassonne. Podobnego zachowania wymaga od ciebie Piotr Aragoński. Poza tym, cóż ty, chłopcze, za problemy stwarzasz? - dodał, zdziwiony potrząsając głową. - Mało to ładnych panien będziesz mieć na dworze? Raz-dwa weźmiesz którąś z nich do łóża i nie będziesz musiał patrzeć na Ermessendę, skoro tak ci jest niemiłą.

De Foix taktownie potwierdził wypowiedzi przyjaciela i zerkał na pełnego powagi, jadącego w skupieniu młodzieńca.

- W tej kwestii mogę ci z czystym sumieniem polecić - ciągnął nieprzerwanie Bertrand - sprawuj się jak twój wuj, ale jeno w tej kwestii, ha, ha... W żadnej innej. On wie, jak postępować z żonami, a jeszcze lepiej, jak postępować z kochankami. Wszak i twoja matka, Azalais, znalazła miłość w ramionach nie kogo innego jak samego króla Aragonii Alfonsa⁸⁸, który stracił dla niej głowę. - Uśmiechnął się jowialnie, rozciągając usta niczym lis. - Gorące i namiętne macie serca!

Hrabiowie mrugnęli do siebie. Nie mieli umiaru w żartach, szczególnie jeżeli chodziło o pazernych duchownych, papieża i pełnokrwiste kobiety z Południa.

- Ale to dobrze, chłopcze, bardzo dobrze...

Młodzieniec poczuł się dotknięty. Słowa hrabiego de Saissac zabolowały go do żywego.

- Nie podoba mi się to, co mówisz, panie! - burknął, wstrząsając głową. - Nie drwij z mojej rodziny. Ja jestem inny. Czyż tego nie dostrzegasz? - spytał z niejakim żalem w głosie, ale odpowiedziało mu milczenie mężczyzn. - Poza tym hrabia Tuluzy to mój wuj, nie ojciec. Nie muszę i nie będę brał z niego przykładu. Nie jest godny, by go naśladować.

- Tym lepiej dla ciebie, ale nie możesz, chłopcze, zaprzeczyć. Ta sama wszelako płynie w was krew.

Trencavel z powagą w głosie przyznał:

- Owszem, nie mogę temu zaprzeczyć, ale wierz mi, hrabio, życzyłbym sobie bardzo...

De Foix zaczerpnął tchu i wesoło wszedł mu w słowo:

- O tak, my wszyscy jesteśmy inni, ale na widok ładnej buzi gwałtowne ciepło ogarnia nasze lędźwie i krew szybciej pulsuje! Poznasz to uczucie, zapewniam cię. Młodyś jeszcze i głupiś, życia nie znasz. Słuchaj nas, a dobrze na tym wyjdiesz.

Trencavel wbił oczy w ziemię. Zdarzało mu się szybciej oddychać na widok kobiety. Odczuwał wówczas radosne ożywienie. Dziś krew zapulsowała, a jej ciepło gwałtownie wtargnęło do młodzieńczego serca, kiedy ujrzał gładką buzię Agnes i jej słodki uśmiech. Szczerze spodobała mu się służąca narzeczonej.

- Hrabia wie, co mówi. - Bertrand roześmiał się ponownie. - Dlatego też to jemu swoje względy ofiarowała Etiennette de Pennautier, czyż nie?

- A co ci do tego? - zagadnął sztywno tamten. - Też chciałbyś, co?

- Ja tam mam wszystko, co mi potrzebne do szczęścia - odparł niewzruszony de Saissac. - A ty uważaj, żeby jej mąż głowy ci nie rozplątał. Podobno zazdrosny jest co niemiara.

- Podobnie jak i ja - dumnie zauważył de Foix. Na jego twarzy znać było teraz, że poczuł się obrażony i wyzwany. - Moje żelazo ostrzejsze.

- Takiś pewien? - De Saissac uśmiechnął się sarkastycznie. - Jego z kolei na pewno nie tępe.

- Czyż nie wiesz, że w jednej chwili potrafię posłać do nieba lub piekła księdza albo oblec zamek?

- A jakże! - zauważył Bertrand z jadowitym uśmieszkiem. - Jesteś niegodziwcem.

- Tak to teraz nazywasz? - De Foix zaśmiał się, podciągając rękę do ucha.

Bertrand zwrócił uwagę na pewną drobnostkę, która hrabiemu z gór zapewne umknęła.

- Rajmundzie, Etiennette nie jest twoją żoną i nie masz do niej żadnych praw.

De Foix zastanowił się przez chwilę.

- Słusznie prawisz. Jeszcze nie, ale któż wie, co przyszłość nam przyniesie?

- A nie boisz się, że nasz hrabia Tuluzy będzie miał również chętkę na hrabinę Etiennette? - zagadnął znienacka de Saissac. - On żadnej wszak nie przepuszcza - zapowiedział złowieszczo.

- Nasz hrabia nie może sobie pozwolić, abyśmy występowali przeciw niemu - oznajmił oschle de Foix, przekrzywiając głowę i przymrużając złośliwie harde oczy. - Jest na to za słaby i nie lubi problemów. Nie jest aż takim głupcem i zdaje sobie sprawę, że nie opłaca mu się walka z nami.

Mężczyźni, jadąc obok siebie, pokleпали się wzajemnie po plecach i wymownie do siebie mrugnęli. Doskonale się rozumieli i nie musieli nawet rozmawiać, żeby jeden znał myśli drugiego. Byli prawdziwymi przyjaciółmi.

Trencavel spodziewał się w głębi ducha innych efektów tejże rozmowy; teraz jednak nie miał innego wyjścia, jak spuścić głowę i zgodzić się potulnie na warunki, które zostały zaakceptowane przez trzech hrabiów. Tego wymagał honor. Tego wymagała rodowa przyzwoitość, pozbawiona żarłocznej ambicji i nieprzystojnej zachłanności. To prawda, był młody i mocno jeszcze niedoświadczony, ale nie należał do ludzi, którzy za nic mają dane słowo i potrafią je bezmyślnie łamać dla własnej wygody i kaprysu. Nie zamierzał przypominać pod tym względem brata matki, który szastał obietnicami i gładkimi słówkami na prawo i lewo, a potem wnet o nich zapominał. Wszak nie mógł dopuścić, aby sądzono, że jest człowiekiem niesłownym i że zamierza podążać w ślad za hrabią Tuluzy i powielać błędy krewnego, którego nikczemne po kroćset serce było z żelaza, zimne i nieprzystępne, a obłuda, arogancka próżność i nieprzyzwoitość stanowiły cechy, które niezmiennie definiowały postępowanie najpotężniejszego człowieka w Langwedocji. Trencavel ze swoimi wziosłymi celami i pragnieniami wysoko cenił rodowy honor i dumę, dlatego też czuł się w obowiązku dochować raz danego przyrzeczenia, choćby miał być z tego powodu nieszczęśliwy

i wyrzucać sobie nietrafność podjętej decyzji. Obowiązywała go lojalność względem hrabiów de Saissac i de Foix oraz szeroko rozumiana wierność zasadom, które rzecz jasna musiały być moralne i cechować się rycerskością.

- Podejrzewam, wicehrabio, iż zerkałeś nie na tę, na którą powinieneś - zagadnął niespodziewanie de Saissac, mrużąc z rozbawieniem oczy, które na wskroś przeszywały siostrzeńca hrabiego Tuluzy.

- Nie rozumiem... - młodzian zmieszał się.

- A ja myślę, że doskonale rozumiesz. Ta służka Ermessendy wpadła ci w oko, czyż nie? Jak jej było? Matyllda?

- Agnes! - odpowiedział pośpiesznie Trencavel.

Na dźwięk niewieściego imienia obaj szlachcice jednocześnie ryknęli głośnym śmiechem. Młody Rajmund speszył się i natychmiast oblał się rumieńcem. Na szczęście nikt tego nie zauważył. Wyśmiano go, a on na dodatek dał im po temu pretekst. Był zły. Nie na nich - na siebie. Zaiste, był młody i głupi.

- No proszę! - wykrzyknął Rajmund Roger de Foix i mrugnął szelmowsko do przyjaciela. - Zatem to Agnes ci się spodobała? Służąca zamiast swojej pani. Oj, chłopcze, musisz trafniej dokonywać wyborów. Przynajmniej na początku drogi życiowej - wesoło oznajmił hrabia, nie zważając wszak na to, że obaj srodze zawstydzili młodzieńca. - Weź w takim razie Agnes do łóża zgodnie z namiętym pragnieniem, a Ermessendę odwiedzaj jeno tyle, byś syna z nią spłodził. Potem odsuń ją od siebie, zamknij w klasztorze, rób, co chcesz, ale pamiętaj i to również, że jeżeli Ermessenda poczuje się skrzywdzona, Aurelien ci tego nie wybaczy. A nie byłoby dobrze wojować z hrabią de Peyresem...

- Nie byłoby dobrze mieć go za wroga - dokończył de Saissac. - Mamy na względzie jeno twoje dobro.

Zrobiło się ciemno. Wkrótce dotarli do zagajnika, gdzie kręte drożyny leśne wiją się pośród gęsto występujących niewysokich drzew. Znajdowały się tu rozstaje dróg. Jedna z nich, której początek

znaczył stary cyprys, biegła wzdłuż rzeczki i prowadziła prosto do Carcassonne, a druga w stronę zamku Foix.

- Nie jedziesz do Cabinet? - zapytał przyjaciela de Saissac z drwiącym uśmieszkiem.

- Dobrej nocy - odparł hrabia de Foix i machnął dłonią na pożegnanie.

Bertrand z młodym wicehrabią udali się w kierunku Carcassonne w dolinie rzeki Aude, które od stu trzydziestu trzech lat znajdowało się w posiadaniu Trencavelów. Pierwsze ślady osadnictwa w rejonie Carcassonne datowano na trzy tysiące pięćsetny rok przed naszą erą. Około osiemsetnego roku przed naszą erą wzgórze Carsac było ważnym ośrodkiem handlu. Carcassonne stało się istotnym punktem strategicznym, gdy Rzymianie ufortyfikowali wierzchołek wzgórza, około stu lat przed naszą erą, a w następnej kolejności obrali je za stolicę kolonii Julia Carsaco. W późniejszych latach nazwa została zmieniona na Carcasum. Główna część północnych wałów obronnych pochodziła z tamtych czasów. Dalszych umocnień dokonali Wizygoci.

Mężczyźni jechali do rodowej siedziby rodziny Trencavel. Był to masywnie ufortyfikowany zamek Comtal jako solidna masa ciosanej jasnobrązowej bryły niczym kosztowny grobowiec będący przykładem fortuny zamienionej w kamień, który w słonecznych blaskach późnego popołudnia przybierał barwy liliowe przechodzące delikatnie w odcień wrzosu, a czasem orzecha. Imponująca warownia zbudowana została przez pradziada⁸⁹ młodzieńca w zachodniej części nieporowatego obrzeża, w najwyższym punkcie miasta. Comtal dumnie wznosił się ponad starym miastem jak stojący na dwóch tylnych łapach ryczący niedźwiedź. Był otoczony pierścieniem grubych murów uwieńczonych blankami, włącznie z wieżami strażniczymi, w których umieszczono lojalnych Trencavelowi żołnierzy. Ich zadaniem było pilnowanie miasta i trąbienie na wypadek zbliżania się wroga. Carcassonne zabezpieczały ufortyfikowane przedmieścia znajdujące się na zewnątrz miejskich murów, Bourg, oraz wysunięte na południe, Castellar.

Rajmund Roger de Foix spiął ostrogami końskie boki i miękko cmoknął na białego rumaka. Skierował go na lewo. Tym razem udał się prosto do swojej żony Filipy⁹⁰. Potrzebował syna, a to było jedynym, czego zamężna Etiennette nie mogła mu ofiarować.

*

Orszak starej księżnej dotarł do Bordeaux. Eleonora zamierzała spędzić w mieście parę dni. Kochała Akwitanię i żywiła nadzieję, że wnuczka, którą wybrała na następną królową Francji, pokocha księstwo tą samą niekończącą się nigdy namiętnością. Księżna pałała chęcią ukazania Blance piękna i dobrobytu, jaki panował na jej dziedzicznych ziemiach.

Akwitania, słodka jak nektar dzięki swoim winnicom, była prawdziwym darem fortuny. Godnym pozazdrosczenia zniewalającym i bogatym jak jej księżna. Swą niezwykłość zawdzięczała ogromnym połaciom lasów, niezmiernym, pastwiskom i nieograniczonemu dostępowi do oceanu, który obfitował ponad miarę w ryby i skorupiaki. Bajonna wyspecjalizowała się w połowie wielorybów. Rozwijające się pomyślnie porty morskie w Bordeaux i La Rochelle umożliwiały kupcom handel cennymi towarami. Aromatyczne wino z dorodnych winnic, dojrzałe owoce i nieoceniona sól były tym, z czego Akwitania słynęła od dawien dawna. Maurowie, Żydzi trudniący się kupiectwem mieli pełne ręce roboty. Wykorzystywali możliwości, jakie dawało im księstwo. Z wigorem i nieustępującym zapałem handlowali doskonałymi wyrobami ze szkła, aromatycznymi wschodnimi przyprawami i drogimi sukniami. Książęta Akwitanii żyli w znacznie większym przepychu niż król francuski.

Akwitania była otwarta, podobnie jak i jej księżna, na wszelkie nowości. Eleonorę charakteryzowała wyrozumiałość i tolerancja, dlatego też na jej ziemiach żyli i pracowali liczni cudzoziemcy. Księstwo sprzyjało im i ich nie prześladowało. Akwitania znana była

z tego, że obowiązywało w niej nadal prawo rzymskie, nieodsuwające kobiet od dziedziczenia. Podobnie mocną pozycję miały kobiety w sąsiadującej na wschodzie z Akwitanią Langwedocji, gdzie istniał cząstkowy system dziedziczenia, dzięki któremu każde dziecko otrzymywało równą część spadku.

Eleonora nosiła się z zamiarem spędzenia Świąt Wielkiej Nocy w rodzinnym pałacu L'Ombrière, zapewne już po raz ostatni w życiu. Tego ranka, po świątecznym nabożeństwie, wyszły obie z wnuczką wraz z otaczającymi je biskupami, kasztelanami, rycerzami i wierną służbą z wielkiej katedry Saint-André, w południowo-zachodniej części Bordeaux. To w niej, pełnej złocień i bogactw, sześćdziesiąt trzy lata temu arcybiskup Geoffroi de Lauroux⁹¹, wraz ze stojącymi po jego bokach dwoma innymi arcybiskupami, a także w towarzystwie opata Sugera, połączył węzłem małżeńskim piętnastoletnią dziedziczkę Akwitanii Eleonorę i jej pierwszego męża, siedemnastoletniego, gorliwie wypełniającego nakazy wiary Ludwika. Tylko wskutek nieszczęśliwego wypadku to właśnie ów pokorny, pozbawiony ikry Ludwik, mający stać się w przyszłości wysoko postawionym dostojnikiem kościelnym, do czego od dziecka był starannie przygotowywany, został nieopatrznie następcą tronu, a nie jego starszy wojowniczy brat Filip⁹². Na głowę księcia, z którego los okrutnie zakpił, nałożono koronę diuków Akwitanii – drogocenny skarb, wraz z którym nadeszły dlań czasy będące złą eutymii. Trzeba by ust Diogenesa z Synopy⁹³ i pamięci Seneki⁹⁴, aby opisać bogactwo oraz wyrafinowany splendor towarzyszący królewskim zaślubinom.

Eleonora, słuchając świątecznego kazania, mimo wszystko przypominała sobie te odległe chwile. Spoglądała w kapiące zdobieniami ściany katedry i ścisnęła dłonie. Czuła intensywny zapach kadzideł, którymi cały boski dobytek był przesiąknięty. Targały nią sprzeczne uczucia. Małżeństwo, które jej odgórnie narzucono, było potrzebne, ale nie było to małżeństwo, którego ona pragnęła i które uczyniłoby ją szczęśliwą kobietą. Nie mogła wszak zaznać szczęścia

przy boku mężczyzny będącego całkowitym przeciwieństwem jej wyobrażeń o idealnym małżonku, wspaniałym rycerzu i walecznym królu, pod względem zarówno wyglądu, jak i charakteru. Ludwik nie był jak nieustraszeni i hardzi mężczyźni pochodzący z jej rodzimej Akwitanii. Dobrze pamiętała swojego nabożnego małżonka i ten przestraszony wzrok, którym co rusz ogarniał niepospolicie okazałe wnętrze akwitańskiej katedry stanowiącej jaskrawy kontrast w zestawieniu z niemal wszystkimi kościołami z Północy. Od czasu do czasu Ludwikowi udawało się zebrać odrobinę odwagi i wówczas nieśmiało zerkał na młodziutką żonę. Jej zniewalający wygląd wprowadzał go jednakże w stan całkowitej konsternacji, z którego, pomimo usilnych prób, nie potrafił się wyzwolić. Ów niezdarny siedemnastoletni syn Ludwika VI, mistrza w doprowadzaniu do powszechnej zgody, wyglądał przy dobrze rozwiniętej żonie, o szlachetnej postawie, jak nieopierzony kurczak, którego potwornie wystraszone. Ludwik Młodszy, którego serce bezlitośnie przeszła strzała Kupidyna⁹⁵, z miejsca zakochał się w ślicznej zielonookiej dziewczynie, której bujne kasztanowe włosy ozdabiał drogi diadem, prezent od babki Amauberge z okazji ślubu, a całą imponującą postać spowijała szkarłatna suknia z bogato wyhaftowanymi złotymi wzorami i przesadnie długimi rękawami. Jednakże człowiek ów, którego przeznaczono Eleonorze na małżonka, zarówno wyglądem, jak i zachowaniem przypominał bardziej pobożnego mnicha aniżeli męża zachwycającej i dynamicznej kobiety, przed którą świat cały z wszystkimi jego dobrodziejstwami stał otworem.

Księżna była znudzona przedłużającym się kazaniem arcybiskupa Eliasza, ale wytrzymała i teraz zadowolona dobrze spełnionym wobec Boga obowiązkiem schodziła uważnie po kamiennych schodach. Kiedy tylko ukazała się w kościelnym portalu, na który sływały złocistożółte snopy kwietniowego słońca, za nią biskupi, hrabiowie, kasztelanowie i rycerze, z ust przybyłego tłumu rozległ się głośny okrzyk radości i uznania. Zebrał się ów tłum wokół katedry w ogromnej liczbie. Czekali na nią. Jak zawsze ludzie witali ją serdecznie. Była ich

kwietniową królową, uwielbianą księżną i dobrodziejką. Była wspaniałą panią tychże ziem.

Kwiecień zapowiadał się w tym roku wyjątkowo ładny. Łagodne powietrze napełniało nadzieją i otuchą. Drzewa i krzewy wzbierające intensywnymi sokami zaczynały rodzić listki, a rozkwitające nieśpiesznie kwiatowe pączki przyciągały oczy tysiącem barw i dodawały im zarazem wiosennej urody. Serca rosły, a umysł głupiał. Można było wyczuć w powietrzu tę niewidzialną lekkość i powab słodczy, która charakteryzuje akwitańską wiosnę. Cudną, upojną i bogatą, która nakazywała ludziom uśmiechać się i czerpać rozkosz pełnymi garściami. Był to miesiąc, w którym stara kobieta siedemdziesiąt osiem lat wcześniej przyszła na świat.

Słońce stało dziś wysoko na niebie. Było ciepło i przyjemnie. Nad ranem lało jak z cebra, bo kwietniowe ulewy spadały znienacka, z łoskotem jak garście grochu w przerwach pomiędzy strugami słońca również spadającymi na ziemię.

Księżna podała Blance woreczek wypełniony srebrnymi monetami. Kazala wnuczce rozdać pieniądze według własnego uznania, ale wskazała jej, że powinna zwrócić szczególną uwagę na najbardziej potrzebujących.

- Blanko, musisz nauczyć się odróżniać, komu dajesz, a komu odbierasz. Nauka ta przyda ci się, kiedy zostaniesz królową.

- Wiem, babciu, matka też o tym wspominała - odrzekła dziewczynka.

- To dobrze, że rozmawiała z tobą o takich sprawach.

- Nie, nie - zaprzeczyła od razu. - Nie ze mną, ale z Berenguelą i Urraką. Ja jeno przysłuchiwałam się, kiedy one nie widziały - wyznała ze szczerego serca.

Dwunastoletnia dziewczynka rozejrzała się z uwagą. Stała spokojnie, z lekko rozchylonymi usteczkami. Wiosenne słońce, ta jakże cudowna masa rozpalona na błękicie niebios, złociło jej lekko falowane włosy, uwydatniając intensywnie kasztanowy kolor opadających na plecy pukli. Objęła wzrokiem tych wszystkich, którzy

stali najbliżej. Ludzie wyciągali dłonie, krzyczeli, pozdrawiali. Niektórzy, nie bacząc na to, kogo mają przed sobą, ostro domagali się jałmużny, jak gdyby było to coś, co im się bezwarunkowo należy.

Blanka nie była nieśmiała. Sięgnęła po pieniądze do woreczka i podniosła głowę. Chciała wręczyć pierwszej osobie jałmużnę. Zwróciła uwagę na jedną z kobiet. Zatrzymała na niej wzrok. Była to już niemłoda, bardzo szczupła nędzarka, która miała głowę owiniętą żółtą, poszarpaną chustą. Jej chuda, jakby wyryta z drewna twarz była nijaka. Głębokie zmarszczki przecinały czoło w poprzek. Patrzyła wyczekująco na infantkę, jej oczy jak gdyby wyzierały z oczodołów.

- Proszę, to dla ciebie! - rzekła grzecznie do kobiety, która jedną rękę trzymała wyprostowaną ku infantce, a drugą przytrzymywała małe, wierzgające dziecko.

- Nie, nie... tej kobiecie nie można dawać pieniędzy - krzyknął ktoś, rozpychając się ramionami i usiłując dopchać się przed oblicze narzeczonej królewskiego następcy tronu. - To ladacznic! Mnie dajcie, proszę - błagał namolnie. - Mnie!

- Wracaj, skąd przyszłaś, dziwko! - poderwały się gniewne kobiece głosy, które także donośnym tonem domagały się jałmużny. - Wracaj do portu!

Chciano przegnać kobietę z małym dzieckiem na rękę sprzed oblicza Blanki.

Kastylijka patrzyła z uniesionymi brwiami. Momentalnie cofnęła dłoń, ale nie odrywała wzroku od kobiety w żółtej chuście. Stała i patrzyła, a tłum ludzi coraz głośniej i natarczywiej domagał się monet, którymi infantka miała wypełnioną sakiewkę.

- Księżniczko, dajcie pieniądze... Jestem głodna... - błagała kobieta w żółtej chuście. - Mam chore dziecko... Ludzie! - zawołała, obracając się częściowo ciałem do grzmiących. - Miejcie umiłowanie nade mną i moimi biednymi dziećmi.

Tłum jednak nie przestawał pomstować i odgrażać się. Otaczający ją kipieli gniewem z zawiści.

- Co? Głodna? Wyjdiesz na ulicę, to wnet zarobisz. Przeklęta grzesznica!

- Odsuń się z tym bastardec! Pod domem Bożym, ladacznica jedna! Oby Bóg zesłał na nią i jej potomstwo chorobę! - Głosy stawały się żarliwsze, głośniejsze, nienawistne. - Precz! Precz! - Nienawiść zasnuwała im oczy.

- Stoisz tu na obrazę boską! - zawołały z wciekłością ubogie niewiasty, które nie mogły dopchać się do kastylijskiej infantki. Rozpychając się rękoma, torowały sobie przejście, miały nadzieję, że skrzeczącym krzykiem, niemiłym dla ucha, niebawem zwrócą na siebie jej uwagę. - Obyś zdechła, ty przeklęta!

Eleonora nie słyszała wrzasków i obelżywych przekleństw. Była bardzo zajęta. W towarzystwie Guya de Ardalais'go rozdawała monety po drugiej stronie kościelnych schodów. Było tam dużo schorzałych, okulałych, zniedołężniałych i cierpiących. Podawała im srebrniaki, a oni całowali jej dłonie i dziękowali za hojność, której im nie szczędziła. Pragnęła w ten oto sposób należycie wykorzystać jeden z ostatnich dni w Bordeaux, jaki jej jeszcze pozostał.

Blanka zawahała się, ale nie odeszła dalej. Ponownie wyciągnęła drobną dziewczęcą dłoń i wręczyła kobiecie z dzieckiem kilka monet. Do Kastyljki zbliżył się wysoki, smukły mężczyzna, którego wysłał de Ardalais. Miał strzec dziewczynki przed miejską hołotą i w razie potrzeby służyć pomocą. Niczym dobry duch stanął za plecami Blanki i pochylił się ku niej.

- Infantko, potrzebujesz pomocy? - odezwał się znienacka głosem pewnym i wyraźnym. - Ich słowa są zuchwałe. Zaraz rozgonię tych natrętnych ludzi. - Po czym mruknął do siebie: - To zły świat, w którym jeno zła, cuchnąca hołota potrafi przeżyć.

- Nie, nie trzeba! - odrzekła szybko, unosząc głowę i spoglądając spokojnie w jego miłą twarz. Niespłoszona rozlegającym się wkoło jazgotem i rozbrzmiewającymi świdrującymi okrzykami, rzekła: - Rozumiem twą troskę, Robercie, ale nie podzielam obaw. Dziękuję, sama sobie poradzę.

Dziecko nędzarki nerwowo wierciło się w matczynych ramionach. Kobieta, pilnując wierzgającego się synka i uważając, aby dziecko nie ześlizgnęło się nieszczęśliwie na ziemię, w efekcie nie zdołała utrzymać w dłoni pieniędzy i nagle, ku jej głębokiej rozpacz, srebrniaki wypadły z jej ręki.

Dźwięk upadających na ziemię monet gwałtownie poderwał najbliższe osoby. W jednej chwili rozległ się grzmiący krzyk i pospólstwo rzuciło się na nie. Skoczyli, jak gdyby mieli w tej chwili przypuścić atak. Z zawiścią szarpali się pomiędzy sobą, rozdierali szmaty, jakie mieli na sobie, i ze wszystkich sił starali się wyrwać sobie pieniądze niczym wygłodniałe psy walczące o skrawek mięsa. Popychali się, stękali i wzajemnie przeklinali. Obrzucali się groźbami. Każdy starał się być szybszy i zebrać jak najwięcej.

Blanka tym razem nieco się przestraszyła. Niepokój niezawodnie sprawił, iż serce zadygotało, ale wzięła głęboki oddech i skutecznie zapanowała nad swoimi dziecięcymi słabościami. Nie uciekła. Nie skuliła się w sobie. Nie szukała schronienia u boku rycerza, ale pozostała na miejscu. Była wyprostowana, dumna, odważna. Nie chciała, aby obawa i niezdecydowanie stanęły jej na przeszkodzie. Uznała bowiem, iż gdyby okazała w tym momencie słabość i przestraszyła tym, którzy w przyszłości będą jej poddanymi, wówczas staliby się jeszcze bardziej zuchwałymi i jakże mieliby okazywać szacunek władczyni, która nie potrafi stawić czoła problemom swojego ludu, jeno zestrachana chowa się za żelazem wojowników? Pomimo że w środku dziecięcymi siłami tłumiła lęk, na zewnątrz zachowywała rodową pewność siebie. Pewność siebie, której cenne źródło biło w ziemi akwitańskiej i kastylijskiej. Ponownie włożyła rączkę do woreczka i ponownie podała kobiecie srebrniaki. Starła się w miarę możliwości dokładnie wcisnąć je w drżącą dłoń ladacznicy.

- Nie! Nie! - rozdarł się chudy mężczyzna. - Co czynisz, księżniczko?! Nie dawaj jej pieniędzy! - Odwrócił ku kobiecie z dzieckiem brudną twarz. - To jeno cuchnąca dziwka! - ryknął. - Precz stąd!

Kobieta w żółtej chuście starała się schować otrzymaną od Blanki jałmużnę, ale póki co trzymała ją w zaciśniętej dłoni.

Krzyczący włóczęga był rozczarowany, ponieważ nie udało mu się zebrać żadnej monety z tych rozrzuconych na ziemi. Byli zwinniejsi od niego. Ku bezgranicznemu zdziwieniu Blanki człowiek ten rzucił się przed nią na kolana, szukając jej dłoni, by móc ją ucałować. Dziewczynka mimowolnie cofnęła się o krok. Nie chciała jednak wprowadzić rozgoryczonego człowieka w jeszcze większe rozżalenie, dlatego dała mu dwa srebrniaki.

- Spokojnie, rozdram wam tyle, ile mam! -usiłowała przemówić do otaczających ją ludzi, rozdając w międzyczasie zawartość woreczka, ale jej dziewczęcy głosik był za słaby, aby móc się wybić ponad hałaśliwy terkot i jazgot.

- Nie dawaj ich ladacznicom! - wydobywały się niezadowolone głosy wśród najuboższych z Bordeaux. - Daj je nam!

Tymczasem tamten mężczyzna, otrzymawszy to, czego pragnął, w mig poderwał się z klęczek. Podskoczył znienacka do kobiety z dzieckiem i uderzył ją silnie w rękę, mając nadzieję, iż upuści ona nieopatrznie na ziemię otrzymaną od infantki jałmużnę. Udało się. Wściekły zamysł, który w jednej chwili narodził się w głowie zawistnego biedaka, powiódł się znakomicie. Miejska ladacznica nie zdołała utrzymać jałmużny. Monety po raz kolejny wypadły z jej dłoni.

Blanka z goryczą zwiesiła głowę. Była niepokieszona. Pomyślała, że pomimo iż ona zdobyła się na śmiałość i przyszła z pomocą nędzarce, to efekt tegoż okazał się odwrotnym od zamierzonego.

- Proszę, nie zabierajcie mi ich... Muszę dzieci nakarmić... Oddajcie mi... Proszę, ludzie, oddajcie - błagała kobieta z rozpaczą w głosie, który w chwilę potem załamał się i nieszczęsna gruchnęła płaczem. - Moje dzieci nie mają co jeść... Miejcie zlitowanie! - jęczała głośno. - Moje biedne dzieci... - zawodziła płaczkliwie do nieba.

Obszarpaniec, który bezlitośnie uderzył w rękę kobietę w żółtej chuście, wytrącając jej z dłoni srebrniaki, odkrzyknął mściwie:

- Nie będziemy dziwce niczego oddawać! - Jego lisie, szelmowskie oczy ze wstrętem obrzuciły ją spojrzeniem.

Brudna hołota ponownie rzuciła się na ziemię, jak wygłodniałe zwierzęta wyrywając sobie monety i przyciskając je mocno do siebie, a nawet wkładając je sobie do brudnych gęb, żeby nikt nie zdołał im już ich odebrać.

Po chwili znów nie było pieniędzy. Nadal wykrzykiwano złe słowa i jednocześnie zebrano o więcej jałmużny. Pospólstwo w pewnym momencie zaczęło podejrzewać, że księżniczka nie ma zamiaru obdzielić ich cennymi monetami. Blanka była szczerze rozzalona. Wszakże chciała pomóc każdemu jednemu człowiekowi, którego los potraktował po macoszemu. Prawda była jednak taka, że do tej pory niewielu ludzi zdołała obdarować.

Stojąc bezradnie, zwróciła się z żalnym pytaniem do strzegącego ją rycerza:

- Jakże mam rozdać jałmużnę od babci?

- Infantko - rzekł uprzejmie, nachylając się do jej drobnej twarzyczki, albowiem gdyby tego nie uczynił, nie byłaby w stanie w ogólnym zamęcie zrozumieć choćby jednego wypowiedzianego przez niego słowa - idź dalej, rozdasz potem... Ludzie ci są jak nienażarte wilki!

- Dlatego właśnie muszę im pomóc. Bóg nakazuje pomagać biednym; nie bogatym, ale nędzarzom - oznajmiła dumnie. - Oni nie mają niczego, a my mamy wszystko.

Roberta zadziwiła jej głęboka pobożność. Z większą uwagą niż dotychczas przypatrzył się Blance. W tak młodym wieku infantka zdawała sobie sprawę, komu powinno się udzielać pomocy i w jaki sposób należy okazywać miłosierdzie, albowiem rozdzielanie jałmużny nie było jedynie przywilejem zarezerwowanym dla osób dorosłych, które dzięki swojej władzy i wielkości czyniły dobro i sprawiedliwość w myśl boskich dyrektyw.

Kobieta w żółtej chuście głośno lamentowała. Płakała w głoś, a małe dziecko, które trzymała, zawodziło razem z nią. Stała tu przez

całe nabożeństwo, a teraz ludzie nie pozwalali jej, by otrzymała jałmużnę. Jej zbolący głos wyrażał jedynie smutek i żalność nędznej, godnej pożałowania doli, w jakiej przyszło jej żyć, rodzić i chować nieszczęsne bastardy.

Kastylijka pozwoliła rycerzowi oddalić się na krótką chwilę, a sama, zebrawszy się w sobie, szybko zaczęła rozdzielać to, co jej jeszcze pozostało w sakiewce. Nie patrzyła na ladacznicę z dzieckiem na ręku. Unikała jej zrozpaczonego, wzbudzającego współczucie wzroku. Nie chciała widzieć wielkich jak grochy łez zalewających jej chudą, wyniszczoną ciężkim życiem twarz.

Ludzie garnęli się, wykrzykiwali do ślicznej dziewczynki, ale nie każda wyciągnięta w stronę możnej Kastylijki dłoń miała możliwość otrzymać to, czego pragnęła. Tymczasem Blanka opróżniła woreczek. Nie było w niej ani jednej monety, która mogłaby ocalić nędzarza od głodu.

Obejrzała się za siebie i ruchem dłoni przywołała Roberta de Paret. Odwróciła się plecami do pospólstwa, któremu przed chwilą hojnie rozdała jałmużnę. Spojrzała na rycerza, a następnie skierowała wzrok na swoją drobną dłoń, na której tkwił złoty pierścień. Był to podarek z okazji ubiegłorocznych Świąt Bożego Narodzenia. Otrzymała go od siostry. Niepostrzeżenie zsunęła go z palca. W dalszym ciągu było hałaśliwie i gwarno, aż uszy bolały niczym w brzęczącym głośno ulu. De Paret ponownie nachylił się do księżniczki, żeby móc usłyszeć, co do niego mówi.

- Widzisz tę kobietę w żółtej chuście?

Rycerz skierował głowę w bok. Zerknął na nędzarke, po czym zaciekawiony przeniósł wzrok na Blankę.

- Daj jej ten oto pierścień - powiedziała zdecydowanym tonem, podając mu siostrzany podarunek.

De Paret wytrzeszczył oczy i z wolna podciągnął brwi do góry.

- Infantko, cóż czynisz? - spytał szczerze zdziwiony. - To niepotrzebne.

- Dopilnuj, aby nikt inny nie zauważył - poleciła twardo Blanka. Nie dopuszczała odmowy. - Odejdź z nią kawałek, żeby ludzie niczego nie widzieli, i daj jej to. Spraw się dobrze, a należycie wynagrodzę twój trud. Obiecuję, nie będziesz żałował.

Robert nie ustępował.

- Wszakże to złoto.

Spojrzał w zielone, bystre oczy Kastyljki. Wyczytał w nich płynącą z serca dobroć, ale i pewność siebie, która nakazywała mu wypełnić rozkaz.

- Zaiste - potwierdziła dziewczynka, trzymając w dłoni złoty pierścień. Uśmiechnęła się lekko.

Była z siebie dumna, ponieważ zdobyła się na ten, jej skromnym zdaniem, akt odwagi, jakim było pozbycie się świątecznego prezentu od Urraki. Stał się on dla niej przekleństwem, a to za sprawą słów, które okrutnie wypowiedziała do niej starsza siostra podczas pożegnania na dziedzińcu w Palencji.

Czyż w swojej dziecięcej, nieskalanej główce mogła choć przez chwilę przeczuwać, iż przekazując w dobrej wierze znienawidzony pierścień, obarczy kobietę nieszczęściem?

De Paret wziął od Blanki klejnot, ale w dalszym ciągu usiłował przekonać ją do zmiany zdania. Niemniej jednak w głębi duszy domyślał się, że nie będzie mu dane odnieść na tym polu chwalebного sukcesu. Dziewczynka była uparta i przeświadczona o słuszności swojego postanowienia. Nie zanosilo się na to, iż zmieni powziętą decyzję.

- Dlatego proszę cię, abys oddał ten pierścień kobiecie w żółtej chuście - dobitnie zaznaczyła wnuczka Eleonory. Była nieustępliwa i nieugięta jak jej babka. - Dobrze uczynki znajdują uznanie w oczach Boga i są więcej warte aniżeli moje złoto, którego mi nie brakuje. Dlatego chcę i mogę się nim podzielić. - Nabrała powietrza w dziecięce piersi. - Taka jest moja wola - rzekła zdecydowanie.

To były mocne słowa jak na dwunastoletnią infantkę, która mimo wszystko była jeszcze dzieckiem, nawet jeśli wszyscy wkoło wymagali

od niej bycia dorosłą kobietą. Robert, wzięwszy pierścień, obracał go w palcach. Przyglądał mu się uważnie. Ładny był, ale nie wyjątkowy, w rękach trzymał już piękniejsze.

Blanka patrzyła na niego spod parawanu długich, ciemnych rzęs, które sięgały brwi.

- Pierścień ten nie przedstawia dla mnie żadnej wartości - wyjaśniła szybko, a źrenice jej przybrały na moment barwę przygaszonej zieleni.

Rycerz spróbował po raz ostatni.

- Czy księżna wie o tym, infantko?

Blanka spojrzała na niego łagodnymi migdałowymi oczętami, które były w stanie skruszyć najtwardsze kopie.

- Księżna wie wszystko - odezwała się słodkim dziewczęcym głosem. - Idź już...

*

Mercadier, prawdziwy pies wojny, wałęsał się po mieście. Łaził bez celu po uliczkach Bordeaux i bezmyślnie wszczynał kłótnie z miejscowymi. Miał ochotę zajrzeć jeszcze do jednej z tawern, dlatego też nieśpieszno mu było do kwatery. Brakło mu pieniędzy, ale żywił nadzieję, że spotka kogoś znajomego z orszaku księżnej, kto wspomógł go w ciężkiej chwili. Był pijany, ale wesoły. Nie mógł wyjechać razem z Eleonorą do Kastylii, ponieważ księżna zleciła mu pilne obowiązki w Akwitanii. Został konstabłem. Miała do niego zaufanie, dlatego on, chcąc zasłużyć sobie na jej wdzięczność, był lojalny i szczerze jej oddany, podobnie jak wcześniej jej synowi Ryszardowi. Miejsce najemnika na czas wyprawy do Palencji zajął dowódca Guy de Ardalais. Jednakże teraz Mercadier miał eskortować Eleonorę i Blankę do Fontevraud, w związku z tym następnego dnia powinien być wypoczęty i mieć jasny umysł.

Zrobiło się dość późno, ale Marx nie uznał, że nadszedł czas nocnego spoczynku. Postanowił, wbrew rozsądkowi, że spróbuje szczęścia i zajdzie do niewielkiej gospody, którą upatrzył sobie dawno temu. Znajdowała się ona przy końcu niewielkiego placu de la Bourse. Było tam miło, ciepło, podawano dobre wina, a co najważniejsze, kręciły się w karczmie tanie miejscowe ladacznice, zawsze chętne i przymilne, które za jedną monetę spełniały męskie marzenia i przenosiły ich do dostępnego jedynie zmysłom raju.

Były konstabl zamaszycie otworzył drzwi i wparował do środka. Rozejrzał się mglistymi oczyma. Jego uwagę z miejsca przykuł wysoki, jasnowłosy mężczyzna. Siedział na ławie z kubkiem w ręku, a obok niego stała młoda dziewczyna. Byli zajęci rozmową. Mercadier z widoczną radością na twarzy wykrzyknął:

- De Ardalais! Mój przyjacielu!

Guy na dźwięk swojego nazwiska natychmiast odwrócił się w stronę krzyczącego.

- A czemuż ty się jeszcze pałętasz? - zapytał, wzdychając, kiedy w ledwo trzymającym się na nogach człowieku rozpoznał Mercadiera.

Był on umorusany, jakby się w błocie wytarzał, a broda i włosy posklejały się od wina, jak gdyby wylano na niego sagan słodkiego trunku.

Najemnik zlekceważył jego słowa i odparował:

- To samo pytanie mogę zadać i tobie.

Guy wybuchnął śmiechem.

- Słuszna uwaga - odrzekł. - Tylko że ja zamierzałem niebawem wychodzić.

- Ale póki co jeszcze siedzisz... Jest wieczór, ciepło... Jedyne, czego chcę, to wiesz... Nie czujesz w powietrzu tego... no wiesz...?

- Jedyne, co czuję, Marx, to wyziewy z twojej gęby! - Guy zaniósł się śmiechem. - Tak... tobie zawsze się chce... Pamiętasz? Jutro wyruszamy!

Najemnik zmarłego króla Ryszarda, rozkładając ręce, wykrzyknął co żywo:

- To dopiero jutro. A teraz mamy jeszcze dziś!

Guy przekrzywił głowę i z miejsca wypalił z przekonaniem:

- Brakło ci solidów, nieprawdaż?

Mercadier oparł ręce na pasie, który opinał jego ciemny kaftan, i szczerze się roześmiał. Usiłował stać prosto, mimo że co rusz tracił równowagę. Nie uszło to bacznej uwadze Guya.

- Ty to masz nosa... Zawsze mnie rozumiałeś!

- Wiesz, do tego akurat nie trzeba go specjalnie posiadać - odparł de Ardalais, łypiąc na niego wesoło okiem. Wyciągnął z kieszeni mały woreczek i rzucił go na stół. Przyjemnie zabrzęczało.

Marx nie potrzebował specjalnego zaproszenia. Chciwie złapał w dłoń sakwę. Podrzucił ją z uśmiechem do góry, po czym ucałował namiętnie, jak gdyby całował piękną niewiastę lub niedrogą ladacznicę. Oblizął wargi i rozanielony nagłym szczęściem obrócił się w stronę karczmarza.

- Wina dawaj mi tu! - krzyknął doń, siadając. - Byle szybko! Spragniony jestem okrutnie!

- Mercadier, nie zapominaj jeno, kto już kilka razy podrzucił ci takie worki - zaznaczył Guy, mrużąc ironicznie niebieskie oczy.

- O, nie... Ja nie zapominam - rzekł z całą przytomnością zapitego umysłu. Podniósł do góry rękę, a następnie opuścił ją na pierś, jakby zamierzał przysiąc. - Mogę się spóźnić, ale nie zapominam, mój drogi de Ardalais! Czyżbym cię zawiódł kiedy?

- No dobrze, już dobrze. Na mnie czas - oznajmił rycerz, nie mając szczególnej ochoty na rozmowy z pijanym, tym bardziej że noc zapowiadała mu się nader ciekawie i apetycznie. - Nie wydaj wszystkiego i ocal resztki rozumu, ha, ha, ha - mówiąc to, zdawał sobie sprawę, iż to jedynie pobożne życzenie, bowiem nie było takiej siły na niebie ani w piekle, aby Mercadier zdołał powstrzymać się przed dalszym piciem i smakowaniem wyblakłych wdzięków akwitańskich dziwek.

De Ardalais opuścił tawernę wraz z młodą dziewczyną.

Marx nie poprzestał na jednym kubku. Czuł niekończące się pragnienie i nareszcie posiadał odpowiednie środki, by je zaspokajać.

- Wiesz, kim jestem? - zwrócił się zaczepnie do karczmarza. - Wiesz?

- Panie, wiem - odpowiedział właściciel oberży. - Każdy to wie.

- To i dobrze, jeżeli wiesz... I nie zapomnij, kto tu jest gościem u ciebie! - zamruczał pod nosem najwierniejszy z najemników Ryszarda. Oparł ciężką głowę na dłoni i rozejrzał się wokół siebie.

W tawernie poza nim zostały jeszcze trzy osoby. Nieopodal siedział niechlujnie ubrany człowiek. Nie mniej pijany od Mercadiera. Był namolny i marudny. Od dobrych kilku chwil szarpał się z dwiema kobietami. Ladacznice te najwyraźniej nie miały - w przeciwieństwie do swojego towarzysza - ochoty na miłosne uniesienia. Dawny druh Ryszarda przyjrzał się im. Zwrócił uwagę na jedną z nich. Była starsza, ładniejsza i miała jasne, kręcone włosy. Nie mógł dojrzeć, czy są długie, czy nie, ponieważ zakrywała je żółtą, zniszczoną chustą.

- Puść mnie... już dziś nie chcę - powiedziała otwarcie, patrząc spod rzęs na napastującego ją mężczyznę. - Przyjdź jutro.

- Skoro płacę, to masz tu być, dopóki mam ochotę siedzieć - gadał całkiem niewyraźnie. - Jeśli nie ty, to ta druga...

Kiedy zwolnił uścisk, młodsza z kobiet szybko odskoczyła. Pobiegnęła do kąta.

Z kolei ladacznica w żółtej chuście postanowiła opuścić tawernę. Jednakże pijany towarzysz w ostatniej chwili zmienił zdanie. Gdy usiłowała pospiesznie przejść obok niego, ten pochwycił ją niespodzianie za rękę i gwałtownie pociągnął. Kobieta syknęła, ponieważ sprawił jej ból. On nie zważał na to i dalej z pijackim uporem przyciągał ją do siebie. Kobieta z nienawiścią w oku gorączkowo mu się opierała.

- Zostaw mnie! - Broniła się zawzięcie przed jego natarczywymi łapskami. - Powiedziałam, na dziś koniec. Muszę dzieciom dać jeść.

- Niech zdechną. - Zarżał ze śliną ściekającą mu z zalanego pyska. - Będziesz mieć więcej czasu dla mnie!

Kobieta walczyła, ale mężczyzna, pomimo ogromnej ilości wypitego wina, nadal dysponował wystarczającą siłą dla przeprowadzenia swojej woli wbrew ladacznicy.

- Po co dziwce bastardy? - syczał.

Kiedy podeszła do niego druga z kobiet, żeby pomóc starszej uwolnić się od tyrana, najemnik roześmiał się od ucha do ucha.

- Nie wiem, czy dwom dam radę! - gruchnął.

Mercadier przypatrywał się temu ze zmrużonymi oczami. Nie reagował. Nie działo się nic, co mogłoby go skłonić do opuszczenia zajętego miejsca. Tu było mu dobrze, a całości wyśmienitego nastroju dopeśniało wino, stale uzupełniane przez właściciela. Powieki robiły mu się cięższe, on wszak nie mógł pozwolić im opaść, zagorzalszych bowiem miewał przeciwników. Cały czas usiłował je podnosić.

Tymczasem podczas zaciętej szamotaniny kobiecie w żółtej chuście z wewnętrznej części sukni wyleciało nagle coś, co wydało ognisty błysk i potoczyło się z brzękiem po podłodze. Wszyscy momentalnie skierowali wzrok na ów przedmiot. Przez krótką chwilę ze zdumieniem wpatrywali się w niego.

Pijany mężczyzna poderwał się raptownie. Usiłował się przyjrzeć.

- Co to jest?! - zapytał donośnym głosem. - Coś ty, dziwko, ukradła?!

Wszyscy zdążyli zauważyć, że przedmiotem tym był pierścień. Duży, złoty pierścień leżał na klepisku i roztaczał wokół blask. Migotał soczyście w świetle tłących się pochodni. Był to ten sam pierścień, który ladacznica otrzymała z rąk rycerza Roberta de Paret.

Kobieta, której wymsknęła się cenna rzecz, co sił w nogach podbiegła do niej. Żołnierz również rzucił się po pierścień, ale dziwka była zwinniejsza. Zachłannie złapała go w swoje ręce i przycisnęła mocno do piersi. Wystraszyła się nielicho.

- Oddaj to, suko! - wykrzyknął. - Ukradłaś! Zaraz to zgłoszę!

- Nie... nie ukradłam! - tłumaczyła się. - Dostałam. - Głos jej się zacinał i zaczęła połykać w pośpiechu pierwsze łzy strachu. - To jałmużna!

Ladacznicą starała się wyjaśnić wszystko, ale zupełnie nieporadnie, z drżącym głosem. Była przerażona i obsesyjnie ścisnęła darowany jej klejnot. Chciała uciec stąd jak najdalej, ale najemnik wciąż zagradzał jej drogę do wyjścia. Wymachiwał wojowniczo rękoma, próbując odebrać jej to, co było jej własnością.

- Jałmużna? - ryknął pijacko. - A od kogo taka droga jałmużna? Ty kłamliwa złodziejko! - Żołdak usiłował wyrwać drogi przedmiot z rąk kobiety, ale ona nie poddawała się. - Dawaj ten pierścień! Dawaj go!

Ileokroć przybliżał się do niej z wyciągniętymi rękoma, zgrabnie odskakiwała w bok.

Mercadier wreszcie powstał. Poprawił kaftan na kolczudze i wolnym, aczkolwiek chwiejnym krokiem zbliżył się do miejsca, w którym awanturował się żołnierz.

- Zostaw ją! Na pewno od kogoś go dostała - wtrącił się. - Dopóki nie zostanie jej udowodniona kradzież, ten pierścień należy do niej.

Handryczący się mężczyzna podniósł zapijaczony łeb i odwrócił się do Mercadiera.

- A ty kim jesteś? - zainteresował się, wlepiając w niego pijany wzrok.

- A ty? - odpowiedział pytaniem nie mniej uchłany najemnik Eleonory.

- Jestem żołnierzem z oddziału Brandina⁹⁶! - odrzekł mocno poirytowany.

Zaufany Eleonory spojrzał wrogo na najemnika i odparł z wyższością w głosie:

- A ja jestem Marx Mercadier, dowódca oddziału najemników i konstabl Akwitanii na czas nieobecności księżnej Eleonory.

Kobieta w żółtej chuście płakała i tak mocno ścisnęła dłonie z pierścieniem, że zrobiły się sine. Druga stała bez słowa. Obie były mocno złęcznione.

- Ta ladacznicą na pewno ukradła komuś taki drogi przedmiot - rzekł z wrogością żołnierz. - Nie może go mieć! Nie pozwolę!

Zaufany księżnej Akwitanii spojrział na płaczącą ladacznicę i raz jeszcze zaznaczył:

- Powiedziałem: może i będzie go posiadać, chyba że okaże się, iż faktycznie poza nierzędem trudni się też złodziejstwem.

- Nie wtrącaj się! - wykrzyknął człowiek Brandina. - Wynoś się, bo muchy przyciągasz! To cię nie dotyczy.

- Mylisz się! - odrzekł rozdrażniony Mercadier. - Teraz ta sprawa już mnie dotyczy.

Pijanemu najemnikowi w mgnieniu oka żyły naprężyły się na szyi. W oczach pojawiło się dzikie i gorączkowe skrzenie. Bez namysłu przyskoczył do Mercadiera. W napadzie szalonego gniewu walnął go pięścią w twarz. Były kompan Ryszarda zatoczył się na ławę, a oczy wybałuszył tak, że omal mu nie wyszły. Zdziwienie Mercadiera sięgnęło gwiazd. Poczuł ogromny ból nosa, a po chwili obficie zaczęła się z niego sączyć krew.

Ladacznice wykorzystały tę nadarżającą się okazję do ucieczki i nie oglądając się za siebie, co prędzej czmychnęły.

- Wyjdźcie na zewnątrz, proszę, nie w mojej tawernie! - błagał karczmarz. - Panowie, nie tutaj!

Mercadier uniósł byczą głowę. Zacisnął zęby z bólu i wypluł krwawy skrzep. Otrząsnął się, jakby zimny dreszcz przeszedł jego silne ciało. Łypnął z wściekłością na człowieka Brandina i naparł na niego niczym dzika bestia. Zwarli się z sobą, jakby tworzyli jedność. Potoczyli się ku drzwiom. Oparli się o nie, szamocząc się niemiłosiernie, po czym wyłamali je z hukiem. Wypadli na zewnątrz. Przewrócili się, a następnie, zerwawszy się jak oparzeni, na przemian okładali się pięściami. Ciosy były silne i bolesne. Skakali do siebie jak dwa wściekłe psy z pianą na pysku. Mercadier był silniejszy i wyższy. Raz-dwa położył na ziemi pijanego najemnika, który najwyraźniej po kilku siermiężnych uderzeniach, jakie wymierzył najwaleczniejszemu i najbardziej krwawemu z najemników króla Ryszarda I, stracił wszystkie siły.

Były konstabl Eleonory odsunął się i zmęczony oparł się o ścianę tawerny. Schylając się, usiłował złapać oddech. Przychodziło mu to wszelako z niejakim trudem. Z nosa nieprzerwanie leciała krew. Głowę miał pochyloną.

Wtem człowiek od Brandina dźwignął się nieoczekiwanie. Skoczył na równe nogi. Dopadł do Marxa niczym ranny zwierz, który stawia wszystko na jedną kartę, aby podjąć ostatnią próbę. By powalić przeciwnika i odnieść zwycięstwo. Wydobył sztylet i śmignął nim w powietrzu. Migocące ostrze z rozmachem wcisnął w szyję Mercadiera. Błyskawicznie przecięło ono jego krtań.

Mężczyzna instynktownie złapał się za szyję i przycisnął dłonią ranę. Była ona głęboka, a krew tryskała niczym fontanna na księżącym dziedzińcu. Wierny najemnik Ryszarda i Eleonory osunął się bez czucia wzdłuż ściany. Ręka, którą w pierwszej chwili przytrzymał ranę, opadła bezwładnie. Oczy zaszyły mu mgłą. Słabł. Zabrakło tchu. Życie uszło z niego tak szybko, jak i on odbierał je innym. Bez wahania, bez litości, po bestialsku.

*

Blanka cichutko wsunęła się do komnaty. Sala była monumentalna. Przy jednej ze ścian naprzeciw wejścia umieszczony był równie wielki kominek z potężnym rzeźbionym gzymsem, a przy nim dwa szerokie fotele obite jasnym jedwabiem i obłożone poduszkami, ustawione na podłużnym purpurowym kobiercu. Po lewej stronie kominka mieścił się długi stół. Świeczniki były rozstawione wzdłuż całej ściany naprzeciw kominka. Oświeślały one olbrzymią, pustą komnatę księżnej.

Pałac L'Ombrière był potężną twierdzą. Górował nad Bordeaux i nad brzegami Garonny. Jego wspaniałe, masywne donżon o grubych murach, zwany Arbalesteyre, był bezpiecznym schronieniem książąt akwitańskich. Za dnia infantka wraz ze swoimi młodymi dwórkami

przemierzała niezliczone halle i korytarze. Bawiły się w przestronnych apartamentach. Z dziecięcą radością i z zachwytem przebiegały kolejne opuszczone komnaty niczym wdzięczne wielobarwne motyle przelatujące ponad kwiatami, zaledwie je muskając. Były radosne i nic nie mogło zakłócić ich wesołości. Potem zmęczone wracały na porośnięte drzewami dziedzińce, które przodkowie Eleonory kazali wyłożyć wschodnimi, wzorzystymi mozaikami. W świetle południowego słońca przeciskającego się poprzez smukłe cyprysy i drzewka oliwkowe błyszcząły owe posadzki jak niezwykle dywany obszyte bizantyjskimi klejnotami, aby radować księżęce oczy. Dziewczynki dla odpoczynku siadywały w krużgankach, które ciasno okalały wewnętrzne dziedzińce rodzinnej posiadłości księżnej Akwitanii. Śmiały się i paplały wesoło jedna przez drugą. Stąd, poprzez fantazyjne arkady, mogły swobodnie obserwować pracę ogrodników i zerkać na równie radosne świergoczące ptaki, które fruwały ponad najwyższymi czubkami rosnących tutaj drzew.

Infantka stała i cierpliwie czekała. Amaria oznajmiła księżnej przybycie wnuczki.

- Blanko, podejdź do mnie - odezwała się księżno miło, ale z naciskiem.

Naciągnęła na siebie jedwabną, haftowaną kape. Było jej chłodno.

- Babciu, jak sobie życzysz - odpowiedziała dziewczynka i bez zwłoki przysiadła przy kominku.

- Chcę z tobą porozmawiać. - Eleonora wskazała wnuczce miejsce obok siebie, ale dziewczynka wolała pozostać na dywanie, u stóp księżnej. To był ich ostatni wspólny wieczór w Bordeaux.

Infantka nie czekała, zaczęła pierwsza.

- Babciu, to prawda, że walczyłaś w Ziemi Świętej? - zapytała z najwyższym zainteresowaniem. - Biłaś niewiernych?

Eleonora uśmiechnęła się. Pogładziła po głowie bystrą wnuczkę.

- Blanko, to prawda, byłam tam, ale ich nie biłam. Patrzyłam na ogrom nieszczęścia, jakie sprowadziliśmy i jakie stało się naszym

udziałem. Ale nie walczyłam. Od tego są mężczyźni, nie kobiety. My walczymy innymi metodami - wyjaśniła spokojnie. - Choć nie powiem, że słabszymi, ale jednakże wyraźnie innymi.

- Ojciec mówił, że byłaś odważna. Nie bałaś się jechać.

- W istocie, postanowiłam pojechać razem z moim pierwszym mężem Ludwikiem. Było bardzo ciężko. I nie jestem przekonana, czy gdybym miała raz jeszcze to powtórzyć, to czy udałabym się w tę podróż... Było strasznie. Ludzie nagminnie chorowali i umierali. Choroby nie oszczędzały nikogo. Upał był nie do wytrzymania; muchy, robaki, których wcześniej nie widziałam. Nie wszystko układało się według planów. Zasadzki stawiane przez wrogów były często nie do przewidzenia. Potem, po walkach, niezliczone rzesze zabitych żołnierzy i ciężko okaleczonych. Rozpacz chwytła za serca.

Dziewczynka z zaciekawienia rozwarła migdałowe oczy. Brwi, niczym malowane uniesione łuki, podciągnęła wyżej. Słuchała z przejęciem.

- Nie jest to wyprawa dla kobiet, ale przyznam ci się uczciwie, Blanko, że byłam i jestem dumna z tej podróży. To było ważne doświadczenie w moim życiu.

- A Bizancjum, babciu?

- Cóż z Bizancjum?

Na twarzy infantki pojawił się ledwo zauważalny uśmiezek.

- Jakże wygląda? Czy takie złote, jak opowiadają?

Eleonora przebiegła wzrokiem po komnacie i usiłowała znaleźć odpowiednie słowa, by opisać potęgę i przepych najbardziej okazałego miejsca, jakie widziała w swoim życiu. Krótko mówiąc, pragnęła określić niepowtarzalne bogactwo, wyrafinowany splendor i zbytkowość Bizancjum nazywanego po prostu miastem, a które to „miasto” na zawsze zapisało się w jej pamięci wystawnością życia. Przerosło ono dwukrotnie sążnisty obszar wewnętrzny murów niczym zwinnie wąż wyłazący stopniowo ze starej skóry. Jego przepastne umocnienia i doskonałe strategicznie położenie umożliwiły mu wielokrotnie przetrwanie oblężeń Arabów, Awarów, Bułgarów czy

zaciekłych Persów. Kiszkowata zatoka Złoty Róg, w której znajdował się port bizantyjskich okrętów, oddzielała jej główną część od Galaty, położonej na północnym brzegu Złotego Rogu. Kupcy z Amalfi, Pizy bądź z Wenecji zamieszkiwali obwarowane dzielnice wespół z przybyszami z innych krajów. Liczba ludności miasta była prawie dziesięciokrotnie większa aniżeli Paryża - co w połączeniu z imponującymi rozmiarami czyniło je bez wątpienia źródłem zachwytu nawet dla najpodlejszego uczestnika wyprawy do Ziemi Świętej, który nigdy nie miał postawić stopy za jego bramami. Zasobne w sławę, a jeszcze bardziej w bogactwa, miało kształt trójkątnego zagła, z dwóch stron otoczonego morzem. Od strony lądu bok miasta przegrodzony był wieżami i podwójnym murem, który ciągnął się prawie dwie mile od morza po pałac Blachernae. W obrębie murów znajdowały się niezliczone ogrody, zapierające dech w piersiach bujnością roślin, jakich świat nie widział, oraz pola uprawne, które dostarczały mieszkańcom zboża i warzywa. Pod murami zaś przechodził podziemny kanał zapewniający obfitość świeżej wody. Konstantynopol górował we wszystkim, odurzał pięknem i przewyższał inne miasta darami fortuny, ale również skalą grzechu - zdarzały się tu mordy, rabunki, jak też inne ohydne zbrodnie, popełniane przez tych, którzy kochali ze wszech miar ciemność i plugastwo.

- Blanko, to, co mnie na początku zachwycało, to mnóstwo łaźni, niezliczona ich liczba, i możliwość korzystania z wody, kiedy jeno nasza i moje damy dworu ochota. Cudowne uczucie. - Uśmiechnęła się na wspomnienie wschodnich luksusów. - Woda leciała i leciała. Gdybym mogła, w ogóle nie wychodziłabym z kąpieli.

Infantka roześmiała się, ukazując śliczne dołeczki w miękkich policzkach.

- Doprawdy? - Potrząsnęła zabawnie głową, ale nie zburzyło to jej ładnie ułożonych włosów. - Jak to leciała?

Infantka obserwowała Akwitanę z wypiekami na twarzy. Chciała zadawać jak najwięcej pytań. Babka jawiła się jej jako nierzeczywista postać, która wszystko w swoim życiu widziała, wszystkiego

skosztowała i wszystkiego doświadczyła. Jej życiowa mądrość i światowość przytłaczały ją, ale jednocześnie elektryzowały i rozpały do czerwoności.

- Z rurek wylatywała woda - wyjaśniła babka. - Do miasta doprowadzano ją dzięki zbudowanemu dawno temu akweduktowi - dorzuciła.

Kastylika otworzyła usta, chcąc zadać kolejne pytanie, ale Eleonora momentalnie ją uprzedziła.

- Blanko, proszę, już wystarczy. Nie jestem budowniczym, żeby znać odpowiedzi na twoje pytania. Miałam tam znacznie ciekawsze zajęcia - dodała zagadkowo. - Cesarz Komnenus⁹⁷ i jego pierwsza młodziutka żona, która miała na imię Berta, ale jako żona cesarza nosiła imię Irena⁹⁸, miała mniej więcej tyle samo lat co i ja, podarowali nam na czas wizyty pałac Blachernae. - Zachowała w pamięci najważniejsze detale. - Od zewnątrz był niesłychanie czarowny, wewnątrz zaś przewyższało wszystko, o czym mogę opowiedzieć. Mury były ze złota i w różnych kolorach, posadzki wyłożone wielobarwnymi mozaikami. Z jego tarasów rozciągał się cudowny widok na zielone pola, kwitnące gaje i rozległy Konstantynopol, a także na morze. Miało się wrażenie, jakby rozprzestrzeniało się ono tuż pod naszymi stopami. - Wciągnęła powietrze i powoli wypuściła je ustami. - Pałac był wyjątkowy i powiem ci, że zastanawiałam się, czy to subtelność wykonania dawała mu więcej piękna, czy może niebywała kosztowność materiałów sprawiała, że to całe piękno przyćmiewała jeszcze jego wartość.

- Był piękniejszy od tegoż? - Dziewczynka rozejrzała się pospiesznie zadziwiona, że może być coś bardziej wspaniałego od pałacu, w którym obecnie się z babką znajdowały.

- Bez wątpienia, Blanko. A przede wszystkim nieporównanie większy. Odurzał nadzwyczajnym splendorem, bowiem ociekał złotem. Można się było pogubić w gąszczu setek sal audiencyjnych, krużganków, nieziemskich sypialni, zdobionych kaplic.

Wnuczka słuchała z zapartym tchem, nieomal zapominając o oddechu.

- Wszędzie była nieskończona liczba kosztownych ozdób, fresków, kryształów, gobelinów, marmurowych rzeźb, jakich dotąd nie miałam okazji widzieć, aż oczy bolały od patrzenia. - Przełknęła i ciągnęła dalej. - Przechowywano w nim łupy z Bagdadu, Mosulu i całego dawnego Imperium Rzymskiego. Na terenach pałacowych mieściły się zachwycające ogrody i trudny do obejścia park, a w nim można było spotkać mnóstwo zwierzyny łownej. Jednakże nasi rycerze mieli zakaz polowań ze względu na przysięgę, którą złożyli przed wyruszeniem do Ziemi Świętej.

Zwiedzałam również miasto. Boczne uliczki były cuchnące, ponure i ciemne. - Wzdrygnęła się. - Ale główny trakt w Konstantynopolu stanowiła wspaniałość, która dotychczas nie była znana europejskim stolicom. - Twarz księżnej oświetlił płomień dostojności. - Od pałacu cesarza biegła szeroka, długa ulica z wielkimi arkadami, która łączyła fora i place targowe, a która ozdobiona była wysokimi posągami i mnóstwem fontann. Wzdłuż niej wznosiły się kopuły i wieże setek kościołów, a te z kolei kryły w sobie święte relikwie. Wychodziłam ze swoimi dwórkami jeno za dnia, dla bezpieczeństwa.

- A jakże, babciu, jeszcze mógłby cię kto porwać!

Eleonora wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Może i tak, ale tego już się nie dowiemy, moja Blanko.

Babka umiejętnie potrafiła przykuć uwagę dwunastoletniej infantki.

- Bizantyjskie bazyliki były dla mnie i moich panien prawdziwym rajem na ziemi. Kupowałam pachnidła, rzeźbioną kość słoniową, klejnoty wielkie jak twoje piękne oczy - dodała kwieście, odświeżając w pamięci odległe wspomnienia. - Szkło z Hebronu, brokat z Bagdadu, dywany z Persji i najdelikatniejszy egipski len. Tkaniny były tak niezrównane, że doprawdy trudno było dokonać wyboru. - Uśmiechnęła się delikatnie, jakby miała teraz do siebie

pretensje o tę drapieżną żądzę posiadania. – Pragnęłam kupować dosłownie wszystko, nie mogłam się powstrzymać.

Infantka z trudnością powściągała chęć dowiedzenia się większej ilości szczegółów z pobytu babki w Bizancjum.

– Cóż jeszcze kupowałaś?

– Nie pamiętam, moje dziecko. Tego wszystkiego było przesadnie dużo. – Westchnęła, unosząc dłonie, jakby zamierzała pokazać bezmiar bizantyjskiego zbytku. – Nie sposób było spamiętać.

Blanka nie zamierzała zadowolić się jeno krótkimi, zbywającymi ją odpowiedziami Eleonory.

– Babciu, opowiadaj, proszę. Cóż jeszcze widziałaś?

– Byliśmy zapraszani na uczyty do pałacu Boukounion, w którym rezydował cesarz z cesarżową. Posiadał on ogromną liczbę komnat, sypialni, a złoto kapało ze ścian niczym woda z fontanny. Przepych chrześcijański i muzułmański stapiały się w jedno, aż doprawdy dech zapierało w piersi. Był to budynek zdecydowanie bardziej luksusowy, bardziej olśniewający aniżeli apartamenty pałacu Blachernae, w którym nas goszczono.

– Jeszcze bardziej?! – Dziewczynka oniemiała z wrażenia. Zatrzepotała długimi aż do brwi rzęsami i pisnęła podekscytowana: – Wszak to niemożliwe!

Zachwyty kastylijskiej infantki i jej rozdziawiona z ciekawości buzia rozbawiały Eleonorę. Roześmiała się tak, jak śmieją się ludzie, widząc wierzgającego na łące żrebaka.

– Bezsprzecznie, moja Blanko – potwierdziła. – Taki właśnie był. Kosztowałam potraw, których wcześniej nie znałam, ale byłam ciekawa ich smaku. Ludwik i jego rycerze mieli wiecznie kwaśne miny. Im prawie nic nie smakowało, a do tego byli ciągle zdziwieni, że Bizantyjczycy zakrywają nos, kiedy z nimi rozmawiają...

– Czemuż to?

– Odstępował ich smród ciał i oddechu spowodowanego ostrym zapachem czosnku, który rycerze mieli w zwyczaju żuć, aby zapobiegać chorobom – wyjaśniła. – Byli zirytowani, kiedy wymagano

od nich, aby leżeli rzymskim zwyczajem na sofach. Wykrzywiali się, kiedy cesarska służba raczyła ich wymyślnymi daniami i wschodnimi przysmakami, w których nie zdołali rozróżnić misternie dobranych składników; poza tym jak diabła bali się otrucia.

- Jakże to tak? Ja bym wszystko jadła - oznajmiło śmiało wnuczka. Babka cały czas bezwiednie podsyciała jej zainteresowanie Bizancjum.
- Ojciec mój zawsze mówi, że nie można pogardzać gościnią.

- Ma rację, moje dziecko, jest mądrym człowiekiem - odrzekła i dodała wesoło: - Nie smakował im też schłodzony mocno sorbet, który popijali w szklanych kielichach. Wcześniej nie mieli czegoś tak wyrafinowanego w dłoniach i kilka kielichów potłukło się przez ich nieuwagę.

Dziewczynka zachichotała. Wyobraziła sobie, jak wysokie szklane kielichy wysuwają się nieopatrznie z rycerskich rąk i z głośnym trzaskiem rozbijają się na kamiennych posadzkach, rozpadając się na drobne kawałeczki.

- Podczas uczt niezmiennie towarzyszyły nam subtelne dźwięki, które łagodnie pieściły uszy, a które stawały w szranki z pluskiem zaprawionej wonnościami wody w marmurowych fontannach oraz śpiewem ptaków na sztucznych drzewach obsypanych, jak i wszystko w cesarskich pałacach... - uśmiechnęła się delikatnie - złotem.

- Kiedy dorosnę, to pojedę do Bizancjum i Ziemi Świętej - poinformowała księżną uroczystym tonem Blanka, po czym uzupełniła z uroczym uniesieniem: - Chcę się bić z niewiernymi!

- Dziecko drogie, nie musisz nigdzie jechać. - Eleonora studziła płomienny zapal dziewczynki.

- Chcę być taką wspaniałą królową jak ty, babciu.

- Zatem wystarczy, jeżeli będziesz dobra dla podległego ci ludu.

Infantka zdumiała się.

- Jeno tyle?

Eleonora zareagowała uśmiechem. Cieszyły ją pytania tego niewinnego jeszcze dziecka.

- Ależ nie. Musisz być sprawiedliwa zawsze, dla każdego człowieka, bez wyjątku. Nie oceniaj ludzi po ich majątnościach, bo możesz potem żałować - przestrzegła stara kobieta. - Ci, co mają najwięcej, będą ci najwięcej szkodzić.

- Cóż zatem powinnam czynić?

- Kieruj się rozumem i chłodną oceną, ale nie zapominaj o sercu. Umysł podpowie ci, co należy czynić, kiedy serce nie będzie potrafiło. Zapamiętaj to dobrze - rzekła z udawaną surowością. - Porywy serca potrafią okazać się mylne i zwodnicze, a ty, moje dziecko, czyń jeno dobro, wówczas nie będziesz mieć zmartwień i nie doświadczysz lęku. A to jest, zapewniam cię, lepsze aniżeli klejnoty z kielichów i wszystkie dachówki z klasztornych dachów.

Dziewczynka spojrzała z obawą na babkę i szepnęła niepewnie:

- Nie wiem, czy potrafię.

- Potrafisz! - Akwitanka energicznie utwierdziła młodziutką infantkę w przekonaniu. - Dobre nauki uczynią cię dobrą królową. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jesteś stworzona do bycia wielką władczynią, wielką panią królestwa, ale jednocześnie na twoich barkach spoczną wielkie obowiązki. Wywodzisz się ze wspaniałej rodziny, z wielkimi tradycjami, zarówno od strony matki, jak i ojca, ale... - Tutaj Eleonora potrzebowała się na chwilę zatrzymać. Była osłabiona, oczy znowuż ją mocno piekły i zaschło jej w gardle. - Blanko, proszę, podaj mi wina. Stoi na stole.

Dziewczynka posłusznie wstała i podała kobiecie to, o co ta prosiła, ponieważ szczerze troszczyła się o starą babkę. Księżna potarła oczy i odetchnęła swobodnie, po czym wzięła kilka głębokich łyków ze szklanego kielicha. Kiedy przełknęła ostatni, powróciła do przerwanej rozmowy.

- Twoje pochodzenie zmusza cię do zajmowania określonego miejsca w tym świecie i do czynów zgoła odmiennych od postępowania reszty ludzi.

- To znaczy? - zainteresowała się Blanka.

- Że musisz podążać za losem, który został ci przeznaczony, od kiedy się urodziłaś. Jeżeli będziesz kierować się zgubnymi emocjami, dawać im upust, niczego nie osiągniesz, a nawet wszystko utracisz - wyjaśniała dwunastoletniej dziewczynce. - Twoim, Blanko, przeznaczeniem jest rządzić wspólnie z Ludwikiem, twoim przyszłym małżonkiem. Jesteś jeszcze młodą dziewczyną, ale musisz być wytrwałą, silną i nieugiętą kobietą, jaką ja zawsze byłam!

- Czy dam radę? - dociekała.

- Oj, Blanko, jestem tego pewna! Jesteś moją wnuczką... Prawdziwą krwią z mojej krwi. - Księżna mimowolnie podniosła rękę, a jej oczy z ukontentowaniem i niezmaconym spokojem spoczęły na ślicznej buzi infantki. - Musisz umieć cieszyć się życiem, kiedy czas na to pozwoli, i jak najmniej się zamartwiać, bo wtedy gorycz zatruje twój umysł, a ciągłe smutki i żal sprawią nieuchronnie, że zatracisz właściwy osąd. Nie ulegaj słabościom, nie poddawaj im się, bo są one marne i fałszywe...

- Babciu, nie smucę się - rzekła zdecydowanie wnuczka, przerywając księżnej w pół słowa. Dziewczynka starała się nie pamiętać przykrości, jaką tuż przed opuszczeniem Palencji sprawiła jej starsza siostra.

Akwitanka tkliwie pogładziła koniuszkami palców policzki dziewczynki. Były gładkie jak jedwab i rozpalone.

- Blanko - toczyła dalej opowieść - byłam jedyną dziedziczką Akwitanii, Gaskonii, Poitou i wielu innych hrabstw. Nie ma potrzeby, by je wszystkie wymieniać. Jest ich za dużo - stwierdziła. - Moja matka⁹⁹ wraz z bratem Wilhelmem Aigretem¹⁰⁰ zmarli, kiedy miałam siedem lat. Zostałam z ojcem, młodszą siostrą Aelith i moją piękną babką Amauberge. Jesteś do niej bardzo podobna. O mnie też tak mówiono. - Uśmiechnęła się na wspomnienie przeszłości. - Może i tak... może byłam, ale to stare dzieje. Gdybyśmy miały więcej czasu, opowiedziałabym ci o niej i o moim dziadku. Związani byli wielką miłością, ale nie małżeństwem. Dziadek tak szaleńczo pokochał żonę

Aymerica de la Rochefoucauld, wicehrabiego Châtellerauld¹⁰¹, że nie zawahał się i...

- I? - przerwała kastylijska infantka. - I cóż? - Napięcie malujące się na twarzyczce dziewczynki było zniewalające. Wyraźnie bardzo się przejęła.

- Dziadek porwał ją - odpowiedziała tajemniczo.

- Doprawdy?! - Blanka podrzuciła rękoma w górę i zapiszczała z wrażenia.

Amaria, która krzątała się w najdalszej części komnaty, odwróciła się zaciekawiona. Księżna uśmiechnęła się rozbawiona. Opowieści te były dla wnuczki fascynujące.

- Opowiedz, babciu - poprosiła z rozbajającym westchnieniem dziewczynka. Nie mogła powstrzymać entuzjazmu. - To musi być bardzo ciekawe.

- Blanko, może innym razem - odparła. - Nie mamy całej nocy, a najdalej w południe należy wyruszyć. Musisz podążać za swoim przeznaczeniem. Tak chce los i Bóg.

Infantka zmarkotniała. Chciała poznać starą historię związku swych przodków. Księżna Akwitanii, widząc minę swojej wnuczki, która tak bardzo była głodna rodowych opowieści, zmieniła raptem zdanie. Było to zachowanie jak na Eleonorę niezwykle, ponieważ ona zdania nie zmieniała.

- No dobrze, Blanko - zgodziła się. - To cóż chciałabyś wiedzieć?

Dziewczynka aż podskoczyła z radości, albowiem nie potrafiła udawać. Urzekający uśmiech rozświetlił całą jej buzię, a dwa słodkie dołeczki ukazały się na jej aksamitnych policzkach. Nie trzeba było jej dwa razy zachęcać do zadawania pytań. Spoglądając figlarnie na księżnę, spytała co tchu:

- Jakże to się stało, że ją porwał?

Eleonora cofnęła się w przeszłość i zagłębiła się w zakamarkach swojej pamięci. Próbowwała odszukać w nich resztki wspomnień, aby sprawić wnuczce przyjemność. Przeciągnęła smukłym palcem wskazującym po rękawie, odczekała chwilę i zaczęła opowiadać.

- Kiedy mój dziadek Wilhelm IX wrócił z wyprawy przeciwko niewiernym...

Blanka nie powstrzymała się przed kolejnymi pytaniami.

- On również bił się w Ziemi Świętej? - dociekała. - Też walczył z niewiernymi?

Babce nie przeszkadzało, że infantka często natrętnie jej przerywa i zaskakuje nowymi pytaniami, choć kiedy to samo robiła Leonor, stara kobieta zazwyczaj nerwowo zwracała na to uwagę. Mając przed sobą tę szczebioczącą radośnie dziewczynkę, dla której serce starej kobiety biło nad wyraz silnie, nie odczuwała potrzeby ciągłego upominania.

- Zaiste, Blanko, lecz i ta wyprawa nie została zwieńczona sukcesem. Po powrocie dziadek postanowił odwiedzić swojego wasala Aymerica de la Rochefoucauld, wicehrabiego Châtellerault. I tam...

- I tam zobaczył twoją babcię? - z narastającą euforią w głosie wtrąciła mała Kastylijka.

Eleonora pocziwie przytaknęła.

- I cóż było dalej?

- Mój dziadek był szalony i nieugięty w swoim zuchwalstwie, jak każdy z akwitańskich książąt. Przybył raz jeszcze na ziemię wicehrabiego, ale już pod jego nieobecność. Babcia chętnie dała się porwać, jak sama mi po latach wyznała. - Akwitanka uśmiechnęła się na widok urokliwych, szeroko rozwartych oczu i ust wnuczki. - Od pierwszego wejrzenia zakochała się w dziadku. Ja pewnie uczyniłabym to samo... - szepnęła, a oczy jej pobłądziły gdzieś w oddali.

Westchnęła, a za nią momentalnie to samo zrobiła uszczęśliwiona Blanka.

- Dziadek był odważny, nieustraszony. Wysoki i pewny siebie, szeroki w ramionach - opowiadała interesująco. - Ciemne włosy, zawsze rozwiane, i szelmowski uśmiech na szlachetnej, opalonej twarzy. Zwracał powszechną uwagę, a niejedna niewiasta wzdychała do niego. Każda dałaby się porwać, gdyby jeno nasza go taka chęć.

- Och... - Delikatne drzenie drobnej twarzyczki i wzięcie głębokiego oddechu świadczyły o bezkresnej radości Kastyljki. Była urzeczona opowieściami księżnej. - Pamiętasz go jeszcze, babciu?

- Miałam pięć lat, kiedy nagle, po krótkiej chorobie, zmarł. Wszystkiego dowiedziałam się znacznie później, kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku.

Rozanielona dziewczynka pytała dalej:

- No i cóż było jeszcze?

- Kiedy po owym porwaniu wrócili z posiadłości męża babci, dziadek umieścił ją w pałacu w Poitiers. Nie zamierzał jej ukrywać, albowiem chwalił się nią na potęgę. Mieszkała w wieży Maubergeonne i dlatego nazywana była również La Maubergeonne, a nawet La Dangerousa, choć tego określenia moja babka nie lubiła.

- Ojej! - sapnęła dziewczynka. - To znaczy Niebezpieczna...

Księżna przytaknęła lekkim ruchem głowy.

- Dziadek układał godne podziwu wiersze, dla niej również. Wielbił ją, ona zaś w pełni odwzajemniała jego miłość. Był dumny jak paw, gdy wygrywał dla niej turnieje. Rozkazał, aby na jego tarczy turniejowej wymalowano wizerunek Amauberge. Nie rozstawał się ani z tarczą, ani z babką - mówiła. - To była wyjątkowo piękna niewiasta, jedna z najurodziwszych, jakie widziałam w życiu.

Opowieść ta przypadła infantce niezmiernie do serca. Mimochodem zerknęła na wielki złoty pierścień z cennym szafirem, który księżna nosiła na serdecznym palcu. Spodobał się on dziewczynce. Nawet na starczej dłoni wyglądał spektakularnie. Eleonora dostrzegła zainteresowanie wnuczki, opowiadała dalej:

- Jego druga żona, moja babcia Filipa z Tuluzy, nie mogła znieść zdrady i upokorzenia. Nie potrafiła darować dziadkowi, że umieścił kochankę w jej prywatnych apartamentach. Nikt nie chciał pomóc Filipie, zatem opuszczona i upokorzona, ze złamanym sercem udała się do klasztoru Fontevraud. Była w nim już pierwsza żona dziadka, Ermengarda Andegaweńska¹⁰², z którą rozwiązał małżeństwo.

Rozemocjonowana Blanka spytała naprędce:

- Do tego klasztoru, do którego my jutro jedziemy? Poznały się?
- Blanko, poczekaj - poprosiła łagodnie. - Nie zadawaj tylu pytań naraz.

Zielone oczy kastylijskiej infantki wyglądały w blasku palącego się kominka jak dwa przywiezione z Bagdadu szmaragdy. Intensywność ich koloru była niczym nieodkryta głębia oceanu.

- Do tego samego - potwierdziła babka. - W rzeczy samej obie żony dziadka poznały się i wyobraź sobie, że nawet się polubiły...

- Doprawdy? - Infantka, mrugając oczami, popadła w zdziwienie.

- Nie inaczej, moja wnuczko. Ermengarda, kobieta wykształcona i o dużej urodzie, również czyniła wszystko, co było w jej mocy, by Amauberge została usunięta z pałacu w Poitiers. Przez wiele lat dotkliwie utrudniała dziadkowi życie. W wyniku jej działań papieski legat ostro go napominał i kazał mu niezwłocznie odesłać babcię do prawowitego męża, wicehrabiego...

Blanka wykrzyknęła znienacka:

- Nie zgodził się, prawda?

Eleonora delikatnie uchyliła usta, albowiem nie potrafiła ukryć zdumienia.

- Skąd wiesz?

- Tak sobie jeno pomyślałam - odparła rozbijając dziewczynka.

- Masz rację, moje dziecko, nie zgodził się, bowiem poczynił sobie hardo. Prowadził jeno takie działania, które uważał za stosowne i dla niego właściwe. Był uparty i zakochany. Pewnego razu powiedział legatowi, który był łysym człowiekiem - zaczęła opowiadać księżna, a jej twarz rozbłysła w szerokim uśmiechu, ponieważ historia była szalenie zabawną - że prędzej mu włosy odrosną na łysej głowie, niżli on oddali od siebie kobietę, która przesłoniła mu świat i którą pokochał całym sercem.

Obie zaczęły się śmiać. Blanko, czarująca i radosna jak ptaszek na wiosnę, klasnęła w dłonie i odrzuciła ze śmiechem głowę do tyłu. Przypominała ojca, króla Kastylii. On również klaskał w dłonie, kiedy był rozbawiony i w dobrym humorze.

- Dziadek zawsze sprzeciwiał się duchownym, zawsze buntował się przeciw ich zaleceniom - rzekła po krótkim namyśle, spoglądając na złoty pierścień z szafirem. - Lekceważył ich wolę, przydzielając biskupstwa w swoich domenach ludziom dozgownie mu wiernym. Doszło do tego, że trzymał stronę antypapieża Anakleta¹⁰³ przeciwko Innocentemu II¹⁰⁴.

Blanka zdumiała się ogromnie i przytknęła dłoń do otwartych karminowych usteczek. Wkrótce potem zapytała:

- A ty, babciu, kiedy się urodziłaś?

- Oj, dziecko... to było tak dawno, kiedy przyszłam na świat. - Zaśmiała się i kontynuowała opowieść. - Mój dziadek wysoko cenił hodowlę koni i dbał, aby łączyć ze sobą jeno najlepsze wierzchowce. Starannie je dobierał. Rodziły się wówczas najwyższej jakości rumaki. Piękne, szybkie niczym wiatr na morzu. Według niego ta sama zasada dotyczyła również ludzi. Uznał, że Aénor, córka jego ukochanej Amauberge i wicehrabiego Aymarica, będzie najlepszą żoną dla jego syna, a mojego ojca Wilhelma, dziesiątego z rodu książąt akwitańskich.

Emocje nie pozwalały Blance usiedzieć spokojnie, wstrzymała oddech.

- I cóż się stało? - wtrąciła.

Akwitanka patrzyła na zastygłą z przejęcia twarz wnuczki.

- Urodziłam się ja - odpowiedziała spokojnie. - Byłam wytrzymała fizycznie, silna i nieugięta. Od mojego ojca i jego mądrych doradców uczyłam się władania księstwem, a także, jak odróżnić sprawnego psa, sokoła czy konia od złego i nieprzydatnego. - Spojrzała bacznie na wnuczkę i dodała: - To bardzo cenna nauka.

- Lubiałaś, babciu, jeździć konno?

- Cóż to za pytanie, moje dziecko?! - Roześmiała się. - Uwielbiałam, szczególnie z moim ojcem.

Infantka ponownie klasnęła w dłonie.

- To tak jak ja, babciu! - wykrzyknęła frenetycznie słodkim głosem. - Zawsze z ojcem wyruszaliśmy i jeździliśmy nie wiadomo

dokąd, przed siebie. Jakby nas kto gonił.

- Teraz, Blanko, będziesz mogła jeździć konno ze swoim mężem, Ludwikiem. On kocha konie, darzy je szaleńczą wręcz miłością.

Dziewczynka podsumowała rezolutnie:

- Wszakże ja też!

- To już macie i tę rzecz wspólną. - Księżna pokiwała z zadowoleniem. - Wokół Paryża jest wiele lasów i łąk, przy pobliskich zamkach w Fontainebleau i Melun. Szczególnie pięknie jest przy Étampes. Lubiłam to miejsce. Tereny te stwarzają doskonałe warunki do konnej jazdy i polowań.

Infantka zamyślała wreszcie zapytać o Ludwika, pomimo iż wcześniej nie wykazywała żadnego zainteresowania przyszłym małżonkiem. Kiedy babka parokrotnie podczas podróży do Bordeaux zaczynała o nim wspominać, dziewczynka wymigiwała się od rozmowy. Teraz jednakże powzięła ów zamysł i zapytała nieśmiało:

- Babciu, jaki jest Ludwik?

- Nareszcie pytasz o niego, dziecko. To dobrze.

Księżna wysunęła rękę w stronę wnuczki. Dziewczynka włożyła swoją drobną rączkę w dłoń starej babki.

- Moje dziecko - zaczęła Akwitanka - Ludwik jest bardzo spokojnym chłopcem. Smukły, ma miłą twarz, co prawda bladą, ale jest grzeczny i cichy. Urodził się rok wcześniej od ciebie. Ma bardzo jasne włosy, po matce Izabeli z Hainaut¹⁰⁵. Nie zaznał matczynej miłości, królowa bowiem zmarła, kiedy Ludwik miał trzy lata.

- Dlaczego? - zainteresowała się Kastylijka.

Eleonora odpowiedziała na to pytanie z wyczuciem.

- Królowa wydała na świat bliźnięta, dwóch chłopczyków. Widocznie zachorowała po porodzie i nie udało jej się uratować.

- A dzieci?

- One w trzy dni po niej zamknęły oczy. Zdołano je jeszcze ochrzcić.

Infantkę ogarnęło drętwe milczenie. Posmutniała znienacka. Babka nieopatrznie przywołała słowa Urraki, które Blanko chciała raz

na zawsze zapomnieć.

Eleonora zauważyła nagłą zmianę w twarzy wnuczki, a w migdałowych oczach dostrzegła przepelniający ją smutek.

- Cóż się stało, moje dziecko? - zapytała z troską.

Blanka raptownie wysunęła rękę z dłoni babki i z rozzaleniem zwiesiła głowę. Złowrogi cień padł na jej serce. Po chwili jednakże podniosła głowę, a oczy powędrowały od sufitu ku subtelnym, bladym malowidłom na przeciwległych ścianach, po czym zatrzymały się na jedwabnych draperiach. Powoli, jakby czekając, aż myśli nałożą się na siebie równomiernie, przesunęła je na babkę. Niepewnie, z drzeniem w głosie, poważniej aniżeli dotychczas, z głębi zamyślenia wyrzuciła słowa, które ją przerażały:

- Babciu, a... jeżeli ja... Jeżeli umrę podczas porodu?

Księżna po raz pierwszy spostrzegła gorączkowy niepokój w jej oczach. Nie odpowiedziała od razu, potrzebowała chwili, aby się zastanowić. Skąd w tej małej ślicznej główce wzięły się te straszne troski? Postanowiła bezzwłocznie podnieść na duchu następczynię tronu i odwrócić jej posępne myśli od spraw, na które ani ona, ani żadna królowa, choćby najpotężniejsza, nie miała wpływu, albowiem tak był świat urządzony. Stara księżna momentalnie pochwyciła drobną piąstkę infantki i z czułością, na jaką pozwalała sobie ostatnimi czasy wyjątkowo rzadko, przysunęła ją do siebie.

- Blanko... - Poglądziła pieszczotliwie małą dłoń, a potem podniosła ją do ust i pocałowała. W zielonych oczach dziewczynki dostrzegła nerwowe oczekiwanie na odpowiedź, która mogła ją albo pokrzepić, albo pogrążyć w ciężkim smutku. - Nie umrzesz - zapewniła solennie, z uczuciem, jakby miała wpływ na to, co się wydarzy w przyszłości.

Dziewczynka łaknęła tych słów. Była ich głodna i to właśnie pragnęła usłyszeć z ust swojej nieujarzmionej przez nikogo babki. Nikt na świecie nie byłby teraz w stanie sprawić, aby kastylijska infantka oderwała oczy od starej kobiety.

- Oby Bóg chronił mnie podczas tych ciężkich chwil.

- Jesteś moją wnuczką i wszystko na to wskazuje, że jesteś silna i wytrwała, tak jak ja - mówiła wolno i przekonująco, ale z pasją. Nieklamana pewność Akwitanki oddziaływała na Blankę z wielką mocą, która potrafiłaby stłumić wszelkie obawy, złe przeczucia i dręczące dziewczynkę niepokoje. - To w zupełności wystarczy. Bóg nie ma tu nic do rzeczy, moje dziecko. - Ponownie ucałowała drobną rączkę infantki. - Urodzisz dużo dzieci i będziesz zdrowa - przyrzekła gorąco, jakby doskonale znała przyszłość wnuczki. - Tak jak ja. Patrz na mnie. - Pochyliła się w przód i przemówiła z serdecznością, a źrenice Blanki mimowolnie rozszerzyły się. - Urodziłam dziesięcioro dzieci. - Księżna z pełną świadomością nie wyjawiała, że była brzemienną jedenaście razy. Wyprostowała się w fotelu i wypięła do przodu pierś. - I nadal żyję - dodała z uśmiechem, a następnie po macierzyńsku pogładziła kasztanowe włosy dziewczynki.

Eleonora za wszelką cenę usiłowała odgonić ponure myśli wnuczki. Próbowwała ją pocieszyć i udało się. Księżna umiejętnie odeгнаła demony, które osaczyły kształtną główkę kastylijskiej infantki. Blanka uwierzyła babce, ponieważ pokładała w niej głęboką ufność. Jej pociemniałe przed chwilą zielone oczy ocienione długimi rzęsami ponownie rozbłysły. Teraz, w pełni uspokojona, domagała się dalszych opowieści babki. Rwała się do tego, aby czerpać wiedzę z jej bogatego doświadczenia. Księżna natomiast wyłuskiwała ze swojego barwnego życia jak z otwartej muszli najładniejsze perły i rozkładała je przed poruszoną do żywego młodzieńską Kastylijką.

- Mój ojciec wyruszył na pielgrzymkę do Santiago de Compostella. Chciał tym samym przygotować się do zawarcia drugiego małżeństwa z córką swojego wasala, wicehrabiego Limoges¹⁰⁶, które od dawna planował. - Spuściła oczy na kolana. - Nikt nie wie, co się potem stało, ale nieoczekiwanie w Wielki Piątek rozchorował się i zmarł, w sile wieku. Zgodnie z jego ustnym testamentem poślubiłam następcę tronu Franków, nikt nie pytał mnie o zdanie.

- Mnie również - wtrąciła rozsądnie infantka.

Akwitanka uważnie spjrzała w mądre oczy wnuczki. Nie dostrzegła w nich gniewu ani rozczarowania.

- Takie jest nasze przeznaczenie - wyjaśniła rzeczowo. - W młodym wieku musimy podążać za racją stanu i wypełniać wolę naszych rodziców. Jesteś w wieku, kiedy dziewczęta wychodzą za mąż i są pozbawione możliwości decydowania o własnym życiu. Chciałabym, żebyś to rozumiała.

Dziewczynka w najwyższym stopniu rozumiała swoje przeznaczenie, podobnie jak Eleonora swoje, kiedy wyruszała z nowo poślubionym małżonkiem do Paryża, do zimnego i pozbawionego wygód pałacu na Île de la Cité.

- Hrabia Tuluzy, a także Andegawenii mieli nieprzepartą ochotę na akwitańskie dziedzictwo, ale poprzez małżeństwo, którego domagał się ojciec, moje ziemie mogły pozostać bezpieczne. I stało się. - Podniosła ręce, wzruszając ramionami. - Zostałam królową Franków, żoną człowieka, który nie potrafił zapewnić mi szczęścia. Podobno mnie kochał, ale w dziwny sposób to okazywał.

Eleonora skrzywiła się nagle, jakby skosztowała surowej cytryny, kwaśnej i ciętej jak rozdrażniona osa. Przypomniała sobie bowiem, jak wielką udrękę stanowiła dla niej próba pogodzenia jej i Ludwika przez Eugeniusza III¹⁰⁷ podczas ich pobytu w papieskiej rezydencji w Tusculum.

- Obrzydł mi zupełnie podczas wyprawy do Ziemi Świętej. Ograniczał mnie, nie pozwalał czynić rzeczy, które mnie sprawiały ogromną przyjemność. - Cierpki grymas, jaki miała na twarzy, nie chciał z niej zejść. - Nie lubił przepychu, bogactw i był zazdrosny o brata mojego ojca.

- O twojego wuja? - zadziwiła się Blanka. - Jakże to możliwe?

- Moje dziecko, Ludwik zdawał sobie sprawę, że przy Rajmundzie z Poitiers, który od ciągłych postów i niekończących się modlitw wolał miecz w dłoni, pełny żołądek i piękną muzykę, wypadał nadzwyczaj miernie. Przy moim wuju, który był równie przystojnym mężczyzną jak mój dziadek i ojciec, wyglądał on tak żałośliwie i tak blado, że nieomal

rozpływał się w powietrzu. – Dotknęła palcami zawoju, ponieważ miała wrażenie, jakby kosmyk siwych włosów wysunął się spod niego, i powiedziała: – Ciężko mu było się przyznać, iż na żadnym polu nie jest w stanie dorównać ani jemu, ani mnie.

Księżna nie znosiła ograniczeń oraz ludzi, którzy nie byli w stanie sprostać jej wymaganiom.

Szambelan Wilhelm de Rones bez uprzedzenia wszedł do komnaty. Nie pozwolił, żeby służba powiadomiła księżną. Sprawa była poważna. Energicznym, pewnym krokiem zbliżył się do kominka, przy którym siedziała Eleonora.

– Pani, mam złą wiadomość – rzekł z miejsca, kiedy tylko stanął przed obliczem starej kobiety.

Księżna podniosła wzrok.

– Mów! – rozkazała.

Szambelan przerzucił oczyma na infantkę i z powrotem na Eleonorę. Kobieta w lot pojęła.

– Blanko, idź do siebie – nakazała księżna Akwitanii. – Tutaj już nic po tobie.

Dziewczynka z szacunkiem pocałowała dłoń babki, ukloniła się nisko szambelanowi i zgodnie z poleceniem opuściła komnatę.

– Mów! – ponowiła rozkaz.

– Mercadier nie żyje...

– Co?! – krzyknęła znienacka. Popatrzyła na niego z przytłumionym zaskoczeniem, w którym zmieszało się niedowierzanie i oburzenie. – Jak to... nie żyje? – Zadrzała zmrożona. – Wszak rozmawiałam z nim podczas wieczerzy! – Eleonora była tak bardzo zdumiona, że szybko podniosła się z fotela. – Był całkiem zdrów!

Zrzuciła z siebie jedwabną kapę i wpatrzyła się groźnie w pomarszczoną twarz Wilhelma.

– Pani, ale nie żyje – odparł równym głosem.

Ta wiadomość była dla niej czymś zupełnie nieoczekiwanym, czymś zupełnie nie z tej ziemi.

– Cóż się stało?

Szambelan wyjąkał:

- Pobił się z... innym najemnikiem... Ten go zabił.

Eleonora otworzyła usta. Zszokowała ją ta wiadomość. Nie wierzyła własnym uszom.

- Mercadiera? - dopytywała, jakby wcześniej nie dosłyszała. - Jesteś pewien?

Szambelan bezradnie rozłożył ręce i zwiesił głowę. Nie wiedział, w którą stronę mógłby spojrzeć. Bo i sytuacja była nie do pojęcia. Człowiek, który rąbał i podrzynał gardła tysiącom ludzi, nie potrafił umknąć przeznaczeniu. Ono go dziś dopadło i bezwzględnie się z nim obeszło.

- Zaiste, pani.

Eleonora stała bez ruchu. Oniemiała, z szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w mężczyznę.

- O Boże drogi... jego?! - nie ustępowała. - Wszakże był silny niczym niedźwiedź!

- Pani, usiądźcie... - De Rones ujął ją pod łokieć i pomógł usiąść.

Amaria podbiegła i okryła książęce nogi kapą.

- Dajcie mi wina - szepnęła Akwitanka, przykładając dłoń do piersi, ponieważ poczuła osłabienie, które zaczęło ją gwałtownie toczyć od wewnątrz.

- Wino podać księżnej! - wrzasnął de Rones do stojącego nieopodal sługi.

- Ja to zrobię - prędko odpowiedziała służka. Wiedziała, że księżna lubiła szalonego najemnika Ryszarda. Przeczowała, że wiadomość o jego śmierci może być bolesną dla starej kobiety. Podała Eleonorze kielich z czerwonym napojem.

Księżna upiła nieco i ciężko przechyliła się na oparcie krzesła. Zapatrzyła się żarliwie w tańczące płomienie ognia w kominku. Podobnie patrzyła kiedyś na bizantyjskie wdzięczne tancerki na dworze cesarzowej Ireny... Wszyscy wokół niej umierają, a ona nadal żyje. Jak długo jeszcze musi znosić ciężar życia? Jak wiele trosk Bóg jej przeznaczył, nim pozwoli stanąć przed swoim obliczem? Eleonora

pobłogosławi dzień, kiedy nadejdzie właściwy czas, aby nareszcie odpocząć i pozwolić innym podjąć obowiązki, z którymi ona była zmuszona borykać się przez całe życie. Jej głębokie zamyślenie przerwało pytanie szambelana:

- Pani... - zaczął z troską w głosie - pozwolicie mi zadać wam pytanie?

Podniosła niemrawo głowę i zwróciła twarz ku Wilhelmowi. Patrzyła na niego nierozumiejącymi oczyma.

- Pani, czy Mercadier wart jest waszego smutku?

Eleonora ocknęła się. Momentalnie powróciła z bizantyjskiego Boukouion do akwitańskiego pałacu L'ombrière.

- Cóż masz na myśli, Wilhelmie?

De Ronés pokrótce wyjaśnił.

- To był jeno najemnik. Trzeba było mu płacić za wszystko, a on panoszył się, jak gdyby był samym baronem!

Eleonora wydała z siebie odgłos ponurego westchnienia.

- Mój drogi Wilhelmie, Mercadier był lojalnym druhem Ryszarda, walczył nieustraszenie u jego boku. Nie zapominaj o tym i nie umniejszaj jego ważności.

De Ronés spuścił głowę.

- Ja również mogłam na nim polegać - argumentowała. - Nawet ten mój nierozważny Jan. Poza tym wszystko kosztuje. Ryszard wynagradzał go stosownie do jego zasług, podobnie i ja czyniałam. Czy tobie nie płacę za wierną mi służbę?

Szambelan zmieszał się i poczuł się nieswojo. Bruzdy na jego starczej twarzy nieco obwisły. Podniósł oczy na zimny, kamienny sufit ponad nim, a następnie spróbował wyjaśnić.

- Nie to miałem na myśli.

- A cóż innego? Mówże jaśniej. - Eleonora ze zniecierpliwienia wzruszyła ramionami. - Nie mam teraz głowy, żeby się zastanawiać! To nie jest gra w szachy.

- Że to był zwykły awanturnik i łotr - rzekł bez wahania. - Przecież nie uszanował woli syna waszego.

Eleonora przerwała mocno zaintrygowana.

- W jakiejż to sprawie?

- Król Ryszard darował życie Piotrowi Basille'owi, mimo że to przez niego musiał się pożegnać z tym światem, a Mercadier, nie bacząc na królewski rozkaz, samowolnie wymierzył mu karę.

Eleonora odetchnęła z wyraźną ulgą. Sądziła, że de Rones jest w posiadaniu jakichś wiadomości, o których ona nie ma pojęcia.

- Wilhelmie, w tejże materii byłam zgodna z Mercadierem. Basille zasłużył sobie na to, by zostać żywcem obdartym ze skóry i powieszonym. Zabił mojego ukochanego syna. To był dla Mercadiera wystarczający powód.

Wilhelm przełknął poniżenie, którego doznał przez swoją nietrafną uwagę. Księżna pochwałała niegodne czyny królewskiego najemnika. Cóż więcej mógłby powiedzieć? Dokończyła:

- Basille musiał ponieść należytą karę i taka też go spotkała - rzekła z zimnym niczym stal spojrzeniem, które wymierzyła w starą twarz sługi. - Stosownie wynagrodziłam Mercadiera za jego trud.

Szambelan był kolejnym wiernym sługą księżnej Akwitanii. Nie okazał niezadowolenia po tym, co wyznała mu księżna. Wszakże nie miałyby na tyle śmiałości ani odwagi. Miał zupełnie odmienne zdanie na temat mściwego najemnika, ale nie należał do osób, które bezmyślnie będą się spierać w kwestii, która ich wszelako nie dotyczy. Wiedział, że to nie spodobałoby się Eleonorze. Nie uważał za słuszne narażać się na jej gniew i utratę łask, którymi szczerze go obdarzała. Nie był głupcem.

- Zatem nie żyje?

Eleonora stale zadawała pytania, na które otrzymała niezmiennie tę samą odpowiedź. Była wzburzona. W tym momencie zapomniała o piekących ją oczach. Odchyliła się bezsilnie w fotelu. Mercadier, pomimo że był człowiekiem, który za pieniądze każdemu opryszkowi był w stanie złamać kark jedną ręką, sam teraz leżał martwy.

„Trafił swój na swego” - pomyślała z ubolewaniem. Wierny druh jej uwielbianego syna teraz sam zginął. Zaledwie rok po śmierci

Ryszarda.

De Rones przeszedł do kolejnych wiadomości, które udało mu się naprędce zebrać.

- Moja pani. Wszystko sprawdziłem. Zabił go żołnierz z grupy najemników Brandina i...

- Mówże dalej!

- Brandin jest również najemnikiem waszego syna, króla Jana.

Eleonorę owiało niespodziane gorąco. Siedziała nieruchomo z oczyma wpatrzonymi gdzieś daleko. Zastanawiała się. Myśli przelatowały przez głowę w zastraszającym tempie, galopowały, nie przystawały ani na chwilę, nie pozwalały złapać wytchnienia, nie była w stanie za nimi nadążyć. Analizowała sytuację. Ten nieszczęsny Jan! Kiedyż on zmądrzeje? I czy w ogóle jest w stanie tego dokonać?

- Złapaliście zabójcę?

- Zaiste - odparł de Rones. - I pojмалиśmy kobietę, która ma związek z tą całą bójką.

- Skąd ta pewność?

- Bójka rozpoczęła się w tawernie - wyjaśnił. - Karczmarz wszystko nam wyjawiał. Był świadkiem.

- Dobrze, zajmij się tym - nakazała stanowczo Eleonora. - Złeć, co potrzeba. Życzę sobie, aby wymierzona została taka kara, jaka należy się zabójcom moich wiernych sług. Kobietę zaś wypytaj i jeżeli uznasz, że zasłużyła, wychłostaj ją i wyrzuć poza mury Bordeaux, chyba że... jej wina jest poważniejsza. Wtedy wiesz, co czynić. Bądź sprawiedliwy i pamiętaj, że polegam na tobie oraz na twoim trafnym do tej pory osądzie.

De Rones skłonił się unizenie, nieomal dotykając ręką podłogi.

Następnego dnia w południe nad Bordeaux przeszedł rześisty deszcz. Kiedy ustał, chmury, niby ciężkie zasłony wlokące się leniwie nad ziemią, zaczęły się rozdzielać i odpływać w nieznanym kierunku. Eleonora z Blanką szykowały się do wyjazdu z dziedzińca pałacu L'ombrière. Księżna zasiadła wygodnie w wozie, a Blanka, zamieniwszy parę słów z dwórkami, raz jeszcze zawiesiła spojrzenie na przedniej

ścianie akwitańskiego pałacu. Przymknęła oczy, ponieważ raziły ją promienie słoneczne.

W międzyczasie z bocznej bramy wyszło dwóch żołnierzy. Ciągnęli oni za sobą zakutą w kajdany dziewczynę. Kobieta w żółtej chuście na głowie. Kierowali się ku wejściu, które prowadziło do podziemi pałacu.

Pełna lęku kobieta rozglądała się wokół. Z przerażenia rozplakała się, nie rozumiała bowiem, czemu ją pojmano. Nie popełniła wszak żadnego wykroczenia ani nikogo nie skrzywdziła w taki sposób, aby zostać potraktowaną tak nieczule.

Zbrojni gwałtownie potrząsali łańcuchami.

Tymczasem Blanka zatrzymała się przed wozem, w którym miała odbyć następną część podróży ku swojemu przeznaczeniu. Coś jej nagle mignęło i szybko odwróciła głowę w stronę zbliżających się żołnierzy. Nie byli daleko, dlatego też w prowadzonej przez nich kobiecie z miejsca rozpoznała ową nędzarkę sprzed katedry. Serce Blanki zabiło mocniej. Znieruchomiała ze zdumienia. Wpatrywała się jak zaczarowana w idącą zakutą w łańcuchy ładacznice w poszarpanej sukni. Oczy pojmanej wyrażały zgryzotę i szalejący niepokój, a łzy spływały po ziemistej, zbolącej twarzy.

- Blanko, wsiadaj wreszcie!

- Babciu, dokąd prowadzą tę kobietę? - zapytała szybko.

Księżna wyjrzała z wozu, aby sprawdzić, o kim mówi wnuczka.

- A dlaczego cię to ciekawi, moja Blanko? Wsiadaj - rzekła zniecierpliwiona. - Musimy ruszać.

Młoda Kastylijka zaczęła się wyraźnie ociągać.

- Proszę, babciu... - nalegała. Usiłowała się dowiedzieć, z jakiego powodu ta kobieta została pojmana.

- Moja piękna wnuczko, na świecie toczą się sprawy, którymi małe dziewczynki, mimo że niedługo staną się następczyniami tronu, nie mogą się zajmować. Od tego są inni - oznajmiła babcia. - Masz przed sobą długą podróż i musisz skupić się na ważnych sprawach, a nie na poddanej, która widocznie zasłużyła na kajdany, skoro je jej nałożono.

- Cóż ona takiego złego uczyniła? - Infantka nie rezygnowała i wysunęła zastrzeżenia: - To jeno, jak widzę, biedna niewiasta.

- Blanko, tego nie możesz wiedzieć. Każda wina musi zostać okupiona karą. Na tym polega sprawiedliwość. - Usłyszała w odpowiedzi pouczenia babki. - Nie męcz mnie dłużej niestosownymi pytaniami.

To powiedziawszy, Eleonora w przelocie zerknęła na niebo.

- Blanko, spójrz! - wykrzyknęła, unosząc rękę ku górze.

Dziewczynka bezwiednie zwróciła spojrzenie w kierunku wskazanym jej przez Akwitankę. Na błękitnym, oczyszczonym przez ulewny deszcz niebie mieniła się blaskiem soczystych barw tęcza.

- Patrz, Blanko, czyż to nie jest piękne? - Po czym wyjaśniła, jak przystało na mądrą niewiastę: - Czytałam dawnymi czasy, że to obraz części słońca lub kawałka księżyca zanurzonego w gęstej chmurze i widzialnego na peryferiach łuku niczym w zwierciadle.

Księżna schowała głowę do środka i ponownie rozsiadła się wygodnie. Dziewczynka odwróciła wzrok od cudu natury, albowiem zajmowały ją poważniejsze sprawy. Nie spuszczała z oczu prowadzonej przez żołnierzy ładacznicę.

Wkrótce kobieta również zauważyła kastylijską księżniczkę. Spojrzenia obu nagle się skrzyżowały - jedno głęboko zadziwione, a drugie dogłębnie przerażone. Trwało to tylko chwilę, krótką chwilę. Kobieta połykała napływające bezustannie łzy. Paniczny strach, który wypełniał ją od wewnątrz, potęgował drżenie ciała.

Infantka drgnęła, otworzyła usta, chciała coś jeszcze powiedzieć, chciała pomóc, chciała... Ale... ostatecznie odwróciła wzrok. Była posłuszna Eleonorze we wszystkim. Była krwią z jej krwi. Zaniechała dalszych prób i nie pomogła nędzarce, której kazała podarować złoty pierścień, a którą właśnie z jego powodu spotkało teraz nieszczęście. Wsiadła do wozu i zajęła miejsce przy babce.

Sprzedajna kobieta z boleścią, która kęsała jej serce, zatrzymała się. Usiłowała spod zalewających jej oczu łez patrzeć na znikający za bramami pałacowego dziedzińca wóz, w którym wraz z Blanką

opuszczał ją bez litości ostatni promyk nadziei, a który wiódł infantkę ku jej szczęśliwemu przeznaczeniu.

Straż nieubłaganie pociągnęła ladacznicę do zamkowych lochów. Wystraszona kobieta zaprzestała stawiać opór. Wkroczyła w ziejącą chłodem ciemność i wiedziała w tym momencie, że jej życie się dokonało. Z rozpaczą odmalowującą się na jej obliczu poddała się okrutnemu przeznaczeniu, które na nią czekało, a które sprowadziła na nią bezwiednie wnuczka Eleonory Akwitańskiej.

*

Orszak wiozący następczynię francuskiego tronu i Eleonorę Akwitańską wjechał na tereny kolejnych dziedzicznych ziem starej księżnej, na ziemie hrabstwa Poitou. Zatrzymano się na noc w rodowym pałacu książąt akwitańskich, w Poitiers. To w nim w roku tysiąc sto sześćdziesiątym ósmym stworzyła Eleonora swój azyl i swe miejsce na ziemi. Był on dla niej rajem, niczym biblijny Eden stworzony przez Boga. Po omal szesnastu latach wybuchowego małżeństwa z Henrykiem Akwitanką uznała, iż czas, który jej jeszcze pozostał, musi w pełni wykorzystać tylko i wyłącznie dla siebie. Kiedy poślubiła tego wybranego przez siebie mężczyznę, nie była już niewinną dziewczyną, którą można kierować i narzucać wolę, jak myśleli w swej próżnej głupocie otaczający ją mężczyźni z Północy, była bowiem doświadczoną w rządach i strategicznie podejmowanych decyzjach kobietą, ukształtowaną politycznie i niezależną, co zawsze dla jej dwóch małżonków stanowiło ciężar.

Dla każdego była kuszącym kąskiem. Mężczyzna, którego sama wybrała i poślubiła, musiał przede wszystkim uchronić jej posiadłości przed wrogami. Nie należała do kobiet, które przesadnie przejmują się zdradą męża. Nie to było najważniejsze. Z pewnością nie dla niej. Wiedziała ona doskonale, jak nieopanowany temperament posiadał jej drugi mąż, na co wskazywały jej ciągle cięższe. Osobiście znała

bastardów Plantageneta i niektóre jego nałożnice, jak chociażby Alais¹⁰⁸, która - o nieszczęście! - była narzeczoną ich syna Ryszarda. Henryk, chcąc posiąść młodziutką narzeczoną ulubieńca Eleonory, która była jednocześnie córką pierwszego męża Eleonory, odtrącił poprzednią kochankę Rosamundę¹⁰⁹, po czym bezwstydnie zaczął się nurzać w bagnie rozpusty z francuską księżniczką. Duma Ryszarda nie pozwalała mu pojąć za żonę kochanki ojca, gdyż mawiał, iż to wbrew naturze, by mężczyzna poślubiał nałożnicę własnego ojca i to taką, która urodziła mu dzieci. Eleonora zaś umiejętnie okazywała nieszczęsnej dziewczynie, przyrodniej siostrze Filipa Augusta, szczerą pogardę.

Akwitanka była bezpłodną, kiedy odnawiała dwór w Poitiers z postanowieniem, że nie będzie już wiodła wspólnego życia z Henrykiem. Ostatnie dziecko urodziła w Oksfordzie, w czasie Świąt Bożego Narodzenia tysiąc sto sześćdziesiątego szóstego roku, mając czterdzieści cztery lata. Pozbawiona przez naturę płodności nie mogła obdarzać męża kolejnymi synami i córkami, których od niej potrzebował, żeby zawierać intratne sojusze i marzyć o opanowaniu Europy wzdłuż i wszerz przez swoją dynastię - dynastię Plantagenetów. Matylda, jego matka, zaszczepiła w nim tę ryzykowną myśl, a on pielęgnował ją niczym ogrodnik, który z ogromną pieczołowitością troszczy się o rzadkie okazy w książęcych ogrodach. Eleonora postanowiła, że resztę pozostałego jej życia spędzi w Poitiers jako wielka dama, krzewicielka dworskiej miłości, niebagatelnej elegancji i wysublimowanego gustu. Bogata, potężna, nieugięta władczyni swoich dziedzicznych ziem. Znów zdecydowała i punkt po punkcie zrealizowała wytyczony wcześniej zamiar.

W pałacu, który znajdował się w obrębie miejskich murów rozrastającego się sprawnie Poitiers, Eleonora zadbała o wszelkie możliwe wygody dla siebie, swoich dzieci oraz potomstwa obu mężów, które przebywało pod jej opieką. Rozkazała burzyć stare sale i stawiać nowe, budować więcej kominków, powiększać komnaty, prywatne apartamenty oraz wstawiać szyby w oknach. Nie chciała już

ogłądać brudu koni, psów i sokołów, smrodu żołnierzy i ich tłustych dziwek. Tamten świat pozostawiła za sobą. W rodowej siedzibie zapragnęła stworzyć namiastkę wschodniego luksusu, jakiego doświadczyła podczas wyprawy z pierwszym mężem do Ziemi Świętej, w Antiochii i Bizancjum.

Mała Kastylijka, zgodnie z obietnicą złożoną jej przez babkę, mogła spędzić noc w apartamentach wieży Maubergeonne, w których sypiała praprababka małej infantki, uwodzicielska i jedyna dama serca Wilhelma IX, w którym niepodzielnie panowała do jego śmierci. Dziewczynka była wniebowzięta. Komnaty obok zajęła Eleonora.

Wieczorem księżna poleciła Amarii przywołać do siebie infantkę. Dziewczynka zostawiła młode dwórki, które były jej towarzyszkami zabaw, i udała się do Eleonory. Wspólnie zjadły późną wieczerzę. Arcybiskup Elias de Malemort planował zjeść wieczorny posiłek razem z księżną, ale Akwitanka wolała towarzystwo samej wnuczki.

- Babciu, nie zdążyłaś dokończyć mi opowieści.

Eleonora przypomniała sobie.

„Zaiste, szambelan de Rones przerwał nam rozmowę w pałacu L'ombrière”.

- Na czym to skończyłam, moje dziecko?

Dziewczynka pomyślała chwilę i bez zająknięcia odpowiedziała:

- Mówiłaś, babciu, o swoim pierwszym mężu.

Amaria przywołała dziewczęta służebne, które zajęły się sprzątnięciem po wieczerzy. Rozпалиły więcej świec. Eleonora lubiła światło i jasne komnaty. Wstała od stołu obłożonego haftowanym obrusem z lnianego płótna i usiadła w fotelu w pobliżu kominka. Lubiła siadać blisko niego i wpatrywać się w iskrzące języki ognia, które szalały pomiędzy drewnianymi kłodzinami jak małe wilczki skore do zabawy zaraz po opuszczeniu nory. Poprosiła o dwie poduszki, które Amaria ułożyła za jej plecami. Teraz była gotowa do rozmowy.

- Blanko, nie dałam Ludwikowi synów, jeno dwie córki. Zawsze mi się wydawało, że bał się mnie. Był jakby przelęknięty - oznajmiła, choć w głębi duszy rozumiała jego zachowanie. - Patrzył na mnie

z uwielbieniem, ale równocześnie w jego oczach widziałam przestrah. Nie był mężczyzną, jakiego pragnęłam. Nie miał w sobie siły, której potrzebowałam u męża.

- Rozwiodłaś się z nim - odezwała się Blanka, chciwa dokładnych wiadomości. - Matka mówiła.

Eleonora pogładziła jej falowane, kasztanowe włosy. Były miękkie i gęste. Potem dotknęła delikatnej skóry na jej drobnej twarzyczce. W oczach dziecka babka dostrzegła tę mądrość, którą zauważyła po raz pierwszy w Palencji. Kształtny nosek córki Alfonsa zdobiło kilka piegów.

- Jesteś taka piękna! W rzeczy samej... nie chciałam tkwić w małżeństwie, w którym nie mogłam oddychać. Dusiałam się w nim.

- Dlaczegoż? - zapytała infantka z typową dziecięcą naiwnością, która dodawała jej uroku.

- Ono mnie unieszczęśliwiało. Miałam wtedy trzydzieści lat.

Blanka wydukała z przejęciem:

- Babciu, byłaś już stara.

- Jeszcze nie tak bardzo - odparła Eleonora, rozbawiona rzeczowym osądem Blanki. - Pragnęłam żyć i cieszyć się wszystkim. Natomiast przy takim mężu, jakim okazał się Ludwik, życie nie oferowało mi niczego dobrego. Sama zatem zdecydowałam, kto zostanie moim następnym mężem. Wybrałam.

- Był nim mój dziadek Henryk! - wykrzyknęła pełna zadowolenia infantka. - Ojciec mojej matki!

Księżna z łatwością podtrzymywała zainteresowanie dziewczynki.

- Owszem, Blanko, to był już twój dziadek - odrzekła z serdecznym uśmiechem, spoglądając z czułością w śliczną twarzyczkę córki króla Kastylii. - Prowadziłam rozmowy na temat mojego nowego małżeństwa z jego ojcem Gotfrydem z Andegawenii¹¹⁰. Zawarłam umowę z pięknym hrabią, jak o nim mawiano. Jego syn Henryk wywiązał się z niej i został moim drugim mężem. Podobała mi się jego drapieżna ambicja i apetyt na nowe ziemie, uważał on bowiem, że dla księcia, który ma głowę i pięść, świat cały jest za mały. Jakby zakradał się do

mojego umysłu i czytał w moich myślach, ponieważ ja sądziłam podobnie i nadal tak uważam. - Kobieta nachyliła się w stronę wnuczki i zniżając głos, rzekła półszepem: - Był jedenaście lat młodszy i byłam z nim spokrewniona w stopniu większym aniżeli z Ludwikiem, ale znaleźli się duchowni, którzy rozwiązali tę niedogodność.

Blanka słuchała z zachwytem. Migdałowe oczy infantki, w miarę zagłębiania się przez Eleonorę w opowieść, jaśniały coraz bardziej, jak drzewka oliwkowe w południowym, pełnym słońcu.

- Babciu, potrafisz wszystkiemu zaradzić - szepnęła z najwyższym uznaniem, głęboko wzdychając.

- Myślę, że tak, moja wnuczko - odparła bez wahania księżna Akwitanii. - Moja druga teściowa, cesarzowa Matylda, jak ją tytułował zawsze twój dziadek, choć wówczas już cesarzową nie była, również poślubiła jedenaście lat młodszego od siebie mężczyznę.

- Czyli było tak samo jak u ciebie, babciu - skonstatowała infantka.

Eleonora miała w tej materii odmienne zdanie. Nachmurzyła się. Nie znosiła swoich teściowych, ani pierwszej, Adelajdy de Maurienne¹¹¹, ani tym bardziej drugiej, jeszcze gorszej, despotycznej, wściubiającej we wszystko ciekawski nos, Matyldy Angielskiej¹¹². Gorzka, ale jakże trafna myśl przebiegła jej z nagłą przez głowę.

„Nie znosiłam Matyldy, która tak uwielbiała Henryka i była o mnie zazdrosna, a przecież sama uwielbiałam ponad wszystko na świecie mojego Ryszarda i byłam szaleńczo zazdrosna o jego żonę, spokojną Berenguelę z Nawarry¹¹³. Odsunęłam tę dziewczynę niemal od wszystkiego. Czyż jednak nie stałam się podobna do mojej świekry?”

Powiedziała jednakże coś innego od tego, o czym pomyślała:

- Nie tak samo, Blanko. Ja nigdy nie stałam się tak zgorzkniała jak Matylda. Ale jeżeli masz na myśli różnicę lat, to tak. Było tak samo.

- Jak wyglądał dziadek? - dopytywała się dziewczynka. - Tak jak mój ojciec?

- Nieco inaczej, moje dziecko. W każdym razie dużo poważniej, jak na swoje dziewiętnaście lat, które miał, kiedy go poślubiałam. Miał gęstą, rudo-blond czuprynę, którą ścinał bardzo krótko. Dłuższe włosy kołtuniły mu się pod hełmem, a dlatego, że zawsze, o każdej porze dnia i nocy, gotów był do walki.

Blanka uśmiechnęła się.

- Miał twardy zarost i był szybki jak białozór. - Księżna przewróciła oczyma i sapnęła. - Jeżeli ktokolwiek mu się sprzeciwił albo nie wykonał należycie rozkazu, wpadał w tak straszną złość, że szare oczy zachodziły mu krwią. - Wzdrygnęła się na wspomnienie dzikich ataków szалу męża, które zawsze ją irytowały. - Zachowywał się jak dziecko, kiedy rozrywał na sobie kaftan, gryzł słomę z siennika, drżący rzucał się na ziemię. Napinał ciało w łuk i tarzał się po niej, wszystko tłukł, rozwalał. Szalał niczym zraniony niedźwiedź i krzyczał wniebogłosy...

Blanka oniemiała i postawiła oczy w śłup.

- Doprawdy? - spytała z niedowierzaniem, rozszerzając do granic możliwości swe zielone źrenice. - Cóż wtedy czyniłaś, babciu?

- Zupełnie nic - odparła Eleonora, wzruszając sztywno ramionami i jednocześnie spytała, nie oczekując odpowiedzi: - A cóż mogłam zrobić? Nie zwracałam na niego uwagi i pozwalałam mu się wykrzyczeć. W końcu się uspokajał.

Infantce zdrętwiały nogi, gdyż siedziała na dywanie, przy fotelu babki. Wstała i usiadła na krześle.

- Jego ataki stały się tak słynne, że opowiadano o tym po obu stronach kanału La Manche. - Eleonora skrzywiła się w lekkim uśmiechu. - Przywykłam do nich, choć, nie ukrywam, było to nużące - przyznała. - Jednakże, Blanko, był to człowiek, który był w stanie zapewnić mnie i moim rozległym posiadłościom bezpieczeństwo. Tego właśnie potrzebowałam i przede wszystkim tym kierowałam się przy wyborze drugiego małżonka.

- Babciu, jesteś taka śmiała! - głos dziewczynki omal ochrypl z przejęcia. Jej iście naturalny, niczym niewymuszony zachwyty był

rozzewniający. - Nikt nie może ci się przeciwstawić! - Podparła dłonią drobny podbródek i nie spuszczała wzroku z Eleonory.

- Niestety - westchnęła Akwitanka - twój dziadek nie zdobył dla mnie hrabstwa Tuluzy, jak i poprzedni, ale problem ten został właściwie już rozwiązany. Tworzyliśmy zgodne małżeństwo, jeżeli można być w ogóle szczęśliwym z tak szalonym człowiekiem. - Sapnęła i zapatrzyła się w ogień. - Nigdy nie mógł chwili usiedzieć w spokoju. Nie wiadomo było, co wpadnie mu nagle do głowy. Siedział jeno wtedy, kiedy był w siodle, lub podczas spożywania posiłków. Był niezmordowany.

- Zatem doskonale się, babciu, dobraliście, bo ty również jesteś niezmordowana!

Księżna była przekonana, że podjęła słuszną decyzję i teraz odczuwała prawdziwie szczerą satysfakcję, że wybrała dla syna Filipa Augusta odpowiednią małżonkę. Spełniła swoją powinność, jak zawsze, i miała słusne powody, aby radować się dokonaniem jakże trafnej decyzji.

- Twój dziadek miał też pewną wadę i tę samą wadę posiada mąż twojej zmarłej ciotki Joanny, siostry twojej matki, Rajmund z Tuluzy...

- Jakaż to wada, babciu?

- Jest ona przywarą, która stanowi poważną ułomność i jest ciężkim utrapieniem dla wszystkich naokoło. To składanie obietnic, a potem ich bezmyślne łamanie, z powodu czego takim ludziom nie można ufać. Nigdy - przestrzegła. - Pamiętaj, moje dziecko, nigdy!

Blanka posłusznie kiwnęła głową. Wszak nie mogłaby postąpić inaczej.

- Nie bez znaczenia, Blanko, pozostawał dla mnie również fakt, iż twój dziadek był dobrze wykształcony. Znał łacinę i kilka języków obcych. Uważał, że... - świadomie zawiesiła głos - niewykształcony władca jest osłem w koronie.

Obie roześmiały się promiennie, a Blanka klasnęła w dłonie.

- Do dziś zgadzam się z jego opinią, bowiem nie ma nic gorszego nad niewykształconego głupca uciekającego od nauki, dzięki której

mógłby zdobyć nieograniczoną wiedzę. Takich ludzi najlepiej od razu się pozbywać – mruknęła pod nosem księżna. – Żałuję, że nie zawsze mamy taką możliwość.

Mówiąc to, myślała o jednym człowieku – o synu, którego wiara w przesady była aż nadto szkodliwa. Wszak nie mogła wyznać wnuczce, że jej wuj jest skończonym głupcem, który na przykład odmówił przyjęcia Komunii Świętej w wieku siedmiu lat lub podczas świąt Wielkiej Nocy nie chciał uświęconym zwyczajem władcy położyć na tacy przed biskupem Hugonem z Lincolnu dwunastu sztuk złota, gdyż, jak stwierdził, zamiast je oddawać, może zatrzymać dla siebie. Dokończyła:

- Dzięki Henrykowi mogłam zaspokoić moje ogromne zamiłowanie do poezji i literatury, a to było dla mnie równie ważne jak posiadanie władzy.

- Kochałaś... dziadka? – spytała Kastylijka z wahaniem.

- Na początku tak.

- A potem?

- Potem, moja wnuczko... – Eleonora przerwała na chwilę. Zawahała się, nie chciała rozmawiać z dziewczynką akurat o tym etapie drugiego małżeństwa. – Już w pierwszym roku naszego pożycia dało się zauważyć to, co w późniejszych latach spowodowało, że musieliśmy żyć osobno. Nie musisz wiedzieć wszystkiego. Na pewne sprawy jesteś mimo wszystko za młoda.

- Nie jestem, babciu! – gwałtownie zaprzeczyła dziewczynka. – Mam dwanaście lat.

- Nie sprzeciwiaj się, moja Blanko! – odparła stanowczo księżna i dodała łagodniej: – Jesteś bystra, ale zapewniam cię, na wszystko przyjdzie odpowiednia pora.

Infantka, pomimo upomnienia, nie zmarkotniała. Nie taka była jej wrodzona natura.

- Zostałaś królową Anglii! – oświadczyła z dumą dziewczynka. Jej policzki były zaróżowione. – Zostałaś po raz drugi królową!

- Zaiste, byłam również królową Anglików. Połączyliśmy nasze rozległe ziemie i rządziłyśmy wspólnie olbrzymimi terytoriami.

- Babciu, od Pirenejów aż do północnej granicy Anglii – szepnęła rozpromieniona infantka.

Uchyliła delikatnie karminowe usta i z zapartym tchem słuchała Eleonory, a stara babka z nieukrywaną radością opowiadała jej dalsze dzieje swojego barwnego życia.

- Miałam słuszość. Jesteś mądrą dziewczynką.

Blanka skromnie opuściła głowę. Cieszyła się w duchu z uznania babki. Pragnęła zasłużyć sobie na jej pochwały, ponieważ były one dla niej najważniejsze. W Kastylii ojciec często ją wychwalał. Porównywał do własnej matki. Zabierał ulubioną infantkę na konne przejażdżki i wtedy rozmawiali do woli. Śmiali się i żartowali. Byli sami, szczęśliwi, przez nikogo nie podsłuchiwani. Matka rzadko ją chwaliła. Bardziej faworyzowała Urrakę i Berenguele.

- Dziękuję, babciu. Dorzucę może kilka polan?

- Zawołaj sługę – poleciła Eleonora.

- Babciu, przecież potrafię sama to uczynić – odrzekła kwitnąca zdrowiem, energiczna dziewczynka. Radosny nastrój jej nie opuszczał.
- Nie zmęczone się – zapewniła babkę.

Podniosła się i szybko przeszła za kolumnę zdobioną krogulcami. Wzięła stamtąd ze stosu parę drewna, po czym wróciła do kominka i wrzuciła do niego polany. Płomienie wnet je objęły. Ogień gwałtownie skoczył ku górze i ostro zasyczał.

- Byłam niezależna i nie wykonywałam bezwiednie poleceń męża – prawiała księżna z energią. - Nie podporządkowywałam się jego rozkazom i to go drażniło, a przede wszystkim miałam własne zdanie w każdej sprawie. Byłam stanowcza i wymagająca, ale też czerpałam przyjemność z życia. Kiedy twój dziadek był w Anglii, ja rządziłam na kontynencie, kiedy z kolei ja przebywałam w Anglii i sprawowałam tam władzę, Henryk trzymał twardą ręką pyski niepokornych baronów w naszych kontynentalnych posiadłościach.

- Często się rozstawaliście? Tak jak moi rodzice?

Babka badawczo przyjrzała się Blance. Nie dostrzegła w jej oczach niczego niepokojącego. Czy dziewczynka mogła znać powody, które poróżniły jej rodziców?

- Władza wymaga wyrzeczeń i ciągłych podróży. Stale pokonywałam olbrzymie odległości: od Akwitanii, Poitou, Normandii, poprzez morze, aż do Anglii i z powrotem. Ani sztormy, ani ciężce w niczym mi nie przeszkadzały, a tuż po połogu byłam już gotowa do kolejnej drogi. - Spojrzała na dziewczynkę i przypomniała sobie, że Blanka źle znosi rozmowy o porodach, zatem nie nawiązywała już do tego wątku. - Nie można beczynnienie tkwić w jednym miejscu - ciągnęła. - Również i razem objeżdżaliśmy nasze wszystkie ziemie. Rozdawaliśmy nadania, budowaliśmy kościoły, opactwa, zatwierdzaliśmy przywileje i sprawowaliśmy sądy. Dzięki mnie twój dziadek stał się najpotężniejszym z władców - podsumowała z dumą i niezachwianą pewnością. - Poślubiając mnie, zyskał to, o czym marzył każdy możnowładca w Europie! To ja go wybrałam.

Po chwili z żalem w głosie dodała:

- Jednakże, jak się okazało, stał się również moim zaciekle wrogiem. Widzisz, moja droga wnuczko, los bywa przewrotny. Zdradzają nas zawsze ci, po których się tego nie spodziewamy.

- Masz rację, babciu - przyznała infantka nieco zasmucona.

- Dziecko, jesteś za młoda, by o tym wiedzieć.

Infantka nie odpowiedziała; unikała pytającego wzroku księżnej. Zaraz też powróciła do głównego wątku, mówiąc:

- Ojciec mi opowiadał, że dziadek cię uwięził. Jakże on mógł to uczynić?! - spytała gwałtownie.

- Blanko, nad tym nie musiałam się zastanawiać. Twój dziadek miał swoje powody.

Infantka zamrugnęła szybko powiekami.

- Jakież on mógł mieć, babciu?

- Takie, które na twoją młodziutką główkę są jeszcze za poważne, by je teraz omawiać.

Kastylijka nalegała ze swoim dziecięcym zapałem i wrodzoną ciekawością.

- Ależ ja zrozumieję!

Tym razem Eleonora nie ustąpiła dziewczynce. Nieugiętość charakteru w okamgnieniu powróciła. Czyż mogła wyznać w tej chwili prawdę ukochanej wnuczce? Czyż mogła jej opowiedzieć, jak to w przecudnej dekoracji dworu w Poitiers zbuntowała własnych synów przeciwko ojcu, wasali przeciwko seniorowi? Wszak obciążało ją wszystko, zarówno zeznania jeńców, jacy dostali się w ręce Henryka, którego nazywano królem Akwilonu, jak i radość, okazywana jej szczerze przez poddanych z Poitou. Bo czyż arcybiskup Rouen Rotrou z Warwick¹¹⁴ nie słał do niej listów? Bo czyż nie napominał w nich surowo, aby jako najrozumniejsza z niewiast, która miała odwagę odłączyć się od męża, nareszcie się opamiętała i miała na uwadze, że oddzielone od głowy członki do niczego już nie służą, że owoce tych samych wnętrzności, mianowicie pana króla i jej samej, ośmieliła się podburzyć przeciwko ich ojcu, przez co zasługuje na karę kościelną, że musi natychmiast się podporządkować małżonkowi, któremu winna jest posłuszeństwo?

- Blanko, nie męcz mnie... Byłam więziona przez piętnaście lat. Przenoszono mnie przez ten czas z zamku do zamku. Bywało naprawdę źle, sypiałam z moją Amarią w jednym łóżu. Nie posiadałam kosztowności, pięknych sukien, niczego. Ale jak widzisz, nie stępiło to mojej odwagi ani nie przytłumiło żywotnej energii, którą zawsze posiadałam. Stałam się jeszcze silniejsza, twardsza i bardziej nieustraszona. Ty musisz być taka sama, moje dziecko, bez względu na okoliczności. - Eleonora uśmiechnęła się dobrotliwie do dziewczynki i musnęła palcami jej czoło. - Płynie w nas ta sama krew! Nigdy o tym nie zapominaj. Nawet jeśli życie będzie rzucało ci pod nogi ciężkie kłody. Pamiętaj, jesteś krwią z mojej krwi, dlatego musisz być zawsze silna, wytrwała i nieugięta! - powtórzyła z naciskiem. - Zawsze!

- Będę pamiętać!

Wczesnym rankiem udały się do kościoła Notre-Dame-la-Grande. Tym razem Guy de Ardalais bez żadnych obaw, ze spokojem ducha uczestniczył w porannej mszy. Strach o nadciągający koniec świata uleciał bezpowrotnie jak wielkie białozory, które ujrzał nad swoją głową owego dnia w drodze do Kastylii. Rok tysiąc dwusetny trwał i nic nadzwyczajnego nie miało miejsca.

„Bogu niech będą dzięki!” – myślał całkowicie odprężony.

- Jak to dobrze, że ten koniec nie nastąpił – odezwał się do stojącego obok niego rycerza de Paret.

Robert z ciekawością zerknął na dowódcę.

„O czymże on mówi?” – przebiegło mu przez myśl.

Chór głośniej zaintonował ostatnie wersy. Dźwięki niczym stado rozświergotanych ptaków uleciały ku sklepieniom Notre-Dame-la-Grande.

- Koniec czego? – zapytał Robert, kiedy chór przycichł, a biskup Poitiers przystąpił do Eucharystii.

De Ardalais pokręcił głową. Dopiero teraz przyszło mu na myśl, że tłumaczenie wcześniejszych obaw mogłoby jedynie narazić go na śmieszność. Udał, że sprawa nie ma żadnego znaczenia.

Po południu posilono się w wielkiej pałacowej sali tronowej, którą przebudowano za czasów drugiego małżeństwa Eleonory, i wyruszono w dalszą drogę. Do Andegawenii.

Z każdym kolejnym dniem kastylijska infantka przybliżała się ku swemu przeznaczeniu.

Przejeżdżano przez gęste dębowe lasy i rozległe pola; na pastwiskach pasły się krowy i stada owiec. W nasłonecznionych dolinach chłopcy pracowali w pocie czoła dla wymagających książąt, hrabiów i baronów, aby pomnażać ich majątki. Słońce późno teraz zachodziło i wcześniej wschodziło, przygrzewało coraz bardziej, a noce przejaśniały i tchnęły balsamiczną wonią. Uprawy rosły w świetlistym blasku słonecznym. Ciepłe promienie łagodnie pieściły wzrastające złociste kłosa zbóż. Póki zaraza nie zbierała zniwa, można było myśleć o dobrych plonach i szykowaniu zapasów na ciężkie zimy. Zebrane

zboża magazynowano w drewnianych spichrzach, umiejscowionych w obrębie zamkowych lub miejskich murów. Przy zgiętych wpił mężczyznach pracowały ich kobiety: żony, córki i matki. Chłopki dla wygody podwijały wysoko wełniane suknie i okręcały włosy jasnymi zawojami. Małe dzieci biegały pomiędzy rodzicami i bawiły się, póki nie dorosły na tyle, żeby pomagać starszym w polu.

Nad wodami dumnie piętrzyły się młyny. Kiedy Eleonora była młodą królową, ich liczba była znikoma. Obecnie jednakże – była ona zdumiewająca. Dzięki energii wodnej młyny meły zarówno korę garbarską, gorczycę, konopie, jak i zboże. Pomagały warzyć piwo, a także wprawiały w ruch liczne tartaki.

Również i budownictwo przeżywało niepomierny rozkwit. Opat Suger, energiczny i dowcipny, najbliższy doradca pierwszego teścia i męża Akwitanki, podłożył podwaliny pod nowe rozwiązania w budowie kościołów, takie jak strzeliste wieże, zwieńczone ostrymi łukami, potężne kolumny wznoszące się wysoko ponad głowami zgromadzonych, wypukłe żebra i nieznany dotąd złożony system sklepień i ostrołuków. Zadziwił świat budowaną przez siebie z zapalem i pasją katedrą w Saint Denis, która odróżniała się w zasadniczy sposób od innych kościelnych budowli. Genialny administrator i zdolny budowniczy poprzez umiejętne posługiwanie się światłem i bogatą ornamentyką usiłował stworzyć w kościele takie piękno, jakiego wierni dotąd nie mogli ujrzyć. Pragnął, aby przeniosło ich ono bliżej Boga. Jego śmiała odwaga była wzorem do naśladowania. Kościoły stały się teraz jaśniejsze i zdecydowanie wyższe, z podkreśloną dodatkowo barwą. Wszędzie roztaczał blask szlachetny kruszec, połyskujący w świetle spływającym ze smukłych okien, w których barwne jak tęcza witraże przedstawiały rzeszom wiernych biblijne opowieści.

Blanka w rodzimej Kastylii nie spotykała takich budowli. Tak więc teraz zachłystywała się ich pięknem i strzelistością – wprost ku niebu. Czowała, że sama mogłaby ku niemu ulecieć. Podziwiała krajobrazy oraz prężnie rozrastające się miasta przy rzekach, zamkach, na

skrzyżowaniach dróg. Eleonora ze spokojem tłumaczyła i dawała jej pierwsze lekcje, które wnuczka z całego serca starała się zapamiętać.

- Jako królowa Francji będziesz objeżdżać wszystkie ziemie i patrzeć, jak się rozwijają - życzliwie objaśniała. - Będziesz fundować kościoły i obsypywać darowiznami opactwa...

Kastylijska infantka wychylała głowę z wozu i ogarniała wzrokiem wszystko to, co mijały po drodze. Eleonora wierzyła, że pomimo młodego wieku jej umysł jest tak samo chłonny, jakim był w podobnym okresie - jej samej.

*

Lotariusz od zawsze wiedział, że to miejsce jest mu przeznaczone. Wiedział, że pewnego dnia przyjdzie ten moment, kiedy on, Lotariusz dei Conti di Segni, zdobędzie tytuł Biskupa Kościoła Rzymskiego. Przeczucie nie omyliło go i nie zwiódło. Czekał cierpliwie chwili, kiedy będzie mu dane zasiąść na papieskim tronie i rozgościć się w komnatach Lateranu, byłej cesarskiej siedziby. *Transire suum pectus mundoque potiri!*¹¹⁵ Nauczył się żyć marzeniami i krok po kroku je realizował. Nauczył się czekać i był w tym niezrównanym mistrzem.

Matka, hrabina Claricia¹¹⁶, która wywodziła się z zamożnego rodu de Scotti, bezbłędnie umiała pokierować synem. Wpajała młodemu, rwącemu się do nauki Lotariuszowi, że jest powołany do wyższych celów, aniżeli jeno bycie hrabią. Poczucie własnej godności, żądza sławy, pochwał i uznania były wartościami, którymi matka karmiła swoje dziecko od urodzenia. Dzięki uporowi oraz niekwestionowanym talentom młody syn Trasimunda¹¹⁷ i Claricii zdobył doskonałe wykształcenie w Paryżu i Bolonii. Ambitna hrabina była dumna z osiągnięć Lotariusza. Dzięki wpływowej rodzinie matki mógł się on stopniowo piąć po szczeblach kariery, którą Claricia przewidziała dla niego we wczesnym dzieciństwie.

Lotariusz w pełni rozkoszował się należnym mu zwycięstwem, do którego był wszakże predysponowany. Marzenie jego życia spełniło się. Żądza została zaspokojona. Został Następcą Świętego Piotra! Odnosił wspaniały sukces w walce z resztą kardynałów ubiegających się o najwyższy tytuł doczesnego świata. Był on ukoronowaniem jego duchownej kariery, którą w znaczący sposób pomógł mu rozpocząć wuj, papież Klemens III¹¹⁸. Należał się ów tytuł Lotariuszowi bardziej niż komukolwiek innemu, był bowiem niepospolicie uzdolniony, posiadał cechy geniusza. Dei Conti di Segni był duchownym z wyobraźnią i polotem, pełnym buty i patosu. Bóg nie poskąpił mu drapieżnej pewności siebie, która miejscami przybierała postać chorobliwej manii wielkości. To niedościgniony egocentryk, zadufany w sobie arogant, którego żądza zaszczytów była nieskończona, a nienaturalnie wysokie mniemanie o sobie pozwoliło mu wspiąć się tak wysoko, jak tego wraz z matką zapragnął. Był człowiekiem, którego instynkt nie zawiódł, znalazł się bowiem we właściwym czasie na właściwym miejscu. Po śmierci Celestyna III został wybrany papieżem w pisemnym głosowaniu i teraz był panem nie tylko chrześcijańskiego świata. Władał całym światem.

Erudycyjny i obdarzony inteligencją, albowiem *sola ratio perfecta beatum facit*¹¹⁹. Błyskotliwy organizator i skrupulatny, przewidujący planista. Porywający światłymi reformami, którymi nareszcie zamierzał wyplenić zepsucie i bezbożność. Latami obserwował gnijące fundamenty Kościoła i wiedział, jak zapobiec ich całkowitej ruinie. Lotariusz był dogłębnie i fanatycznie przeświadczony o wielkiej, chwalebnej misji, jaka będzie jego udziałem w chrześcijańskim świecie. On jako jedyny oczyści Kościół z herezji. On jako jedyny oczyści Kościół z plagi grzechów, które ogarnęły rozbestwionych żądzą posiadania biskupów. Nareszcie! A grzechy ich były doprawdy ciężkie! Dokona koniecznej reformy, a grzeszników srodze ukaże. Nikt ani nic nie mogło mu zagrozić ani go powstrzymać. To on wyznaczał zasady i ustalał, co należy czynić, a czego należy jak najszybciej zaprzestać. Był potęgą i jednocześnie wyrocznią. Tylko on! Papież

Innocenty III! Radował się niepomieranie, iż teraz on jako jedyny z woli Pana Wszelkiego Stworzenia będzie piastował urząd najwyższego nauczyciela, który cieszy się niekwestionowanym autorytetem i zaufaniem, a przede wszystkim niepodważalnym posłuchem. Będzie stanowczo i bezkompromisowo rozstrzygał sprawę katolickiej wiary i nie mniej zdecydowanie podkreślał swoją autorytatywną władzę nad wszystkimi, albowiem tylko on był bezsprzecznie najlepszym. Myślał o wszystkim, co nadejdzie, o tym, jaki efekt przyniesie realizacja jego zamysłów.

„*Cupido dominandi cunctis affectibus flagrantior est*”¹²⁰ – rozmyślał pełen przepełniającego go na wskroś szczęścia, z dumą podrywającą jego serce ku niebiosom.

Królowie, cesarze i książęta będą zmuszeni padać przed nim na kolana. Bo kimże oni byli w obliczu najpotężniejszego duchownego na ziemi? Królami, cesarzami, książętami? On mógł jednym ruchem dłoni odebrać im tytuły i sprawić, że ich królestwa pogrążyłyby się w czeluściach niezmiernych ciemności. Idąc bowiem za przykładem Grzegorza VII¹²¹, mógł rozporządzać królami i składać z tronu cesarzy. Siedząc z pysznym uśmiechem na podłużnej twarzy, wiedział, że teraz będą zmuszeni chylić swoje uparte łby przed potęgą i mądrością jedyne go człowieka, który dzierży absolutną władzę nad światem. Przed nim! Przed papieżem Innocentym III! Wszak rzucił całemu światu w twarz oświadczenie: „Jesteśmy następcą Księcia Apostołów, ale nie jego namiestnikiem, nie namiestnikiem jakiegokolwiek człowieka czy apostoła, lecz namiestnikiem samego Chrystusa!”. Jego natura była ekspansywnym ogniem, systematycznie zmierzającym do tworzenia, powiewem ognistym, pełnym wigoru i żądy. Była siłą, która sama z siebie wprawiała się w ruch i zgodnie z boskimi siłami twórczymi doskonaliła i skupiała w oznaczonych okresach to, co sama z siebie tworzyła i co było zgodne ze źródłem, z którego ona pochodziła. Wszakże Arystoteles¹²² powiedział: Nie ma geniuszu bez ziarna szaleństwa.

Lotariusz przebudził się. Wstał wolno, żeby nie zakręciło mu się w głowie, i usiadł na łożu. Myślał. Miał w nocy sen, a teraz zapragnął go urzeczywistnić. To był dobry sen, a wizja, której doświadczył, miała wiele zalet.

Przywołał osobistych służących z papieskiej świty.

- Macie tu być, kiedy będę się budził - rzekł ostro do Antoniego i Marka, kiedy weszli oni do papieskiej sypialni.

Mężczyźni pospiesznie zajęli się przygotowaniem papieskich szat i obuwia, a w następnej kolejności polecili papieskiej kuchni dostarczenie posiłku dla ojca świętego.

- Czy moje strażę trzymają wartę za drzwiami? - mruknął Lotariusz. - Czy podobnie jak wy opuścili mnie?

- Ojcie święty, układaliśmy dla was dokumenty i księgi, których sprawdzenia sobie zażyczyliście.

- A, zaiste... Dobrze, dobrze...

Innocenty, gdy spożył lekkie śniadanie, zaszedł do bazyliki św. Jana¹²³, najstarszej w Rzymie, która była prawdziwym sezamem z nieocenionymi pod względem religijnych wartości katolickimi relikwiami. Umieszczone zostały tutaj same skarby, które potrafiłyby zaczarować każdego chrześcijanina i sprawić, że jego serce poczęłoby bić jak szalone, bo czyż ktokolwiek mógłby przejść obojętnie obok stołu z Ostatniej Wieczerzy, głowy św. Piotra¹²⁴ i św. Pawła¹²⁵, Krzyża Pańskiego z Golgoty, gwoździ, którymi przybity był Jezus, ciernia z korony cierniowej, tablic Mojżeszowych czy laski Aarona¹²⁶, który umiał naprawdę pięknie przemawiać i który towarzyszył Mojżeszowi¹²⁷ w zadaniu wyprowadzenia Izraelitów z niewoli egipskiej i wprowadzeniu ich do Ziemi Obiecanej?

Następnie Lotariusz przeszedł do prywatnej kaplicy, gdzie uklęknął przed ołtarzem, który lśnił w półcieniu. Świece płonęły tajemniczym blaskiem za upiękuszonymi filarami, których złocenia zdobywały przewagę nad światłem płomieni. Wysoko ponad jego głowę rzeźbione anioły z twarzami skierowanymi ku Królestwu Niebieskiemu unosiły się na sklepieniu na złotych skrzydłach.

Panująca cisza kłuła w uszy. Papież rozejrzał się po zdobnych ścianach, które zawsze przytłaczały go ogromem malowideł, a następnie zatrzymał wzrok na znajdujących się również w tym miejscu drogocennych dla każdego bez wyjątku katolika relikwiach. Znajdowały się tu między innymi pępowina i napletek Jezusa. Wiara najpotężniejszego z ludzi była silnie wpisana w wielowiekową tradycję przypisywania niezwykłych, wręcz boskich mocy rzeczom materialnym. Złożył ręce z przodu, przytknął je do ust i dumnie odetchnął. Teraz posiadał już wszystko, o czym można jeno marzyć i śnić. Czyż można byłoby żądać więcej? Zaiste, nie! W skupieniu oddał się kontemplacji.

Tymczasem drzwi kaplicy przestąpił niepozorny, mały człowieczek. Był przygarbiony, ale z jego oczu bił ciepły blask. Jego miła, szczerze dobrodusznna twarz i pocziwe wejrzenie łagodnych oczu silnie kontrastowały z brunatnym, skromnym odzieniem.

- O, jesteś już, mój Giovanni - zaczął Lotariusz, gdy ujrzał wchodzącego do kaplicy kanonika zdejmującego szybko kaptur z głowy. - To doskonale, mamy dużo pracy.

- Witajcie, ojcie święty - odpowiedział uniżenie i wyciągnął rękę, aby ucałować papieską dłoń.

Papież twardo zareagował, wylewając z siebie potok uzasadnionych jego zdaniem pretensji:

- Ileż razy prosiłem cię, byś nie zwracał się do mnie w ten sposób? To jest obowiązkiem innych, ale ciebie z niego zwolniłem. Ty jako jedyny możesz do mnie mówić Lotariuszu.

- Wiem, ale... - dukał kanonik, pochylając skromnie głowę.

Lotariusz przerwał, jak zawsze, kiedy coś szło nie po jego myśli.

- Jesteśmy przyjaciółmi, od kiedy sięgnę pamięcią, a ty stale się zapominasz - rzekł poważnie. - Jesteś moim drogim Giovannim - referował coś, co było kanonikowi doskonale znane. - Przebyliśmy wspólnie długą drogę od Paryża i Bolonii, a ona zaprowadziła nas do tego miejsca, w którym teraz jesteśmy. - Dotknął przyjacielsko jego wysuszonej dłoni i dorzucił: - Nie zmieniajmy niczego, co dotyczy naszej przyjaźni.

Kanonik, będący niezwykle skromnym człowiekiem, przytaknął, nie było bowiem rozważnym spierać się z papieżem.

Mając do wyboru, wolał on przebywać pośród ksiąg niż wśród ludzi. Mądre pisma nie drwiły z jego postury i nie naśmiewały się z nadzwyczajnej skromności. Lotariusz był jedynym, kto nigdy nie pozwolił sobie na szydzenie z kanonika, którego nieograniczona wiedza była dla wielu słusznym powodem do zazdrości. Bo jakże osobliwe właściwości zawiera w sobie wiedza! Kiedy już raz pochwyti umysł, uczepia się go tak, jak uparte porosty czepiają się skały. Innocenty, miast kpić, chętnie słuchał mądrych, wyważonych rad i słuszných wniosków. Bo czyż można było ignorować słowa Giovanniego, który prawił, iż fakt istnienia poszczególnych percepcji jest gwarancją prawdziwości wrażeń zmysłowych? Wszak widzenie i słyszenie jest tak samo realne jak doznawanie bólu. Z tegoż wyprowadzał jakże prosty wniosek, że o rzeczach niejawných trzeba rozumować na podstawie zjawisk. Zatem - konkludował - wszelkie myśli wywodzą się z wrażeń zmysłowych: przez przypadek, przez analogię, przez podobieństwo i przez połączenie - przy niewielkiej pomocy kontemplacji. Zarówno przywidzenia osób obłąkanych, jak i marzenia senne są zgoła rzeczywiste, posiadają bowiem siłę działania; a to, co nie istnieje, takiej siły wszelako nie posiada. Z wielką pasją i oddaniem zagłębiał się w pisma starożytných retorów, poetów i pisarzy. Jego zainteresowanie klasycznymi autorami szło w parze ze studiami nad gramatyką łacińską. Nauki te do głębi wryły mu się w duszę tak, że odczuwał ból istnienia, który wzmagał się wraz z poznaniem. Kochał i głęboko cenił filozofię, gdyż prawdziwa filozofia musiała być zgodna z prawdziwą religią i powinna jej służyć, albowiem bez związku z wiarą - wedle słów Augustyna¹²⁸ - traciła ona jakąkolwiek wartość.

- Jaką korzyść czerpiesz z filozofii? - pytał stale Lotariusz.

- To, że mogę sam ze sobą rozmawiać - odpowiadał niezmiennie Giovanni.

W swej zapobiegliwości i przy pomocy Lotariusza zgromadził imponujący zbiór, na który składały się pisma filozofii jońskiej. Szczególnym sentymentem darzył Teofrasta z Erezu¹²⁹ i Arystotelesa ze Stagiry, którego cenił za wszechstronność umysłu bardziej niżli Platona z Aten¹³⁰, który żalił się, że Arystoteles porzuca go jak źrebie porzuca matkę, która go zrodziła. Do ulubieńców mnicha należał również znany z siły charakteru doskonały retor Sokrates z Aten¹³¹ oraz rzymski filozof Lucius Annaeus Seneka. Chętnie oddawał się lekturze pism opracowanych przez starożytnych cyników, takich jak przebiegły w swej nieujarzmionej mądrości i trafności infernalnych wypowiedzi Diogenes z Synopy, oraz stoików, jak Kleantes z Assos¹³² czy Zenon z Kiton¹³³.

Lotariusz wraz z przyjacielem wkrótce opuścili bazylikę i wolnym krokiem skierowali się do rozległego ogrodu, przylegającego ciasno do papieskich budynków. Bezchmurne niebo zapowiadało słoneczną pogodę. Mężczyźni udali się do szczególnie lubianej przez papieża części ogrodu. Spacerowali wzdłuż alejki, która dla wzbogacenia tutejszego krajobrazu i ocienienia przed uporczywym słońcem została obsadzona piniami. Drzewa te ze swoimi szerokimi koronami tworzyły tutaj malowniczy, dobrze ukształtowany gaj, w którym papież lubił spędzać czas i prowadzić rozmowy. W tym miejscu odczuwał spokój. Odpoczywał i rozkoszował się bliskością natury. Tutaj mógł oddawać się głębokim przemyśleniom. Lotariusz był wyczulony na piękno przyrody, pasjami kochał ogrody i ukryte dróżki pośród soczystej, południowej roślinności. I ta cecha łączyła go z matką.

Przyjaciele usiedli pod drzewem na kamiennej ławce.

- Konstantyn¹³⁴ zapewne też na niej siadywał - zagaił Lotariusz.
- Pewnie tak - odparł kanonik. - W końcu mieszkała tutaj jego żona Flavia Maxima¹³⁵. To wszak do niej należał pałac.

Lotariusz machnął ręką.

- Ach, zwykła intrygantka, niewdzięczna córka i żona. Zasłużyła sobie na koniec, jaki ją spotkał. - Obrócił się pośpiesznie w stronę

przyjaciela i powiedział to, o czym zamyślał, od kiedy tylko się przebudził: - Giovanni, mam coś pilniejszego do omówienia.

- Lotariuszu, to ty zacząłeś mówić o cesarzu...

- Dobrze, dobrze... Giovanni, miałem dzisiejszej nocy sen...

Kanonik nagle roześmiał się, ale po chwili, skonfundowany, szybko się opanował. Zerknął kątem oka na przyjaciela i odczuł wstyd, że tak bardzo się zapomniał. Papież przyglądał się przyjacielowi z nieukrywanym zdziwieniem, ale i z czujnym zaciekawieniem.

- Cóż cię, mój drogi, tak rozbawiło? - zapytał.

- Wybacz, Lotariuszu, ale ja też miałem sen - odparł Giovanni. - Jak prawie każdy w nocy...

- Ach! - Innocenty znowuż machnął ręką i rzekł niedbale: - Zawsze się ciebie żarty trzymały.

- Z nas dwóch to ty masz większe poczucie humoru - stwierdził kanonik.

- Giovanni, koniec żartów... Posłuchaj. Znalazłem sposób, by ukrócić wybryki heretyków.

- Tych w Langwedocji?

Papież poczuł zniecierpliwienie.

- Przyjacielu, wszystkich heretyków.

Mnich zamierzał się usprawiedliwić, ale Lotariusz chciał jak najszybciej przejść do sedna.

- Podjąłem decyzję - rzekł pośpiesznie. - Wydam dekret. On powinien pomóc.

- Lotariuszu, wpierw powinienes naradzić się ze swoimi doradcami; ze zgromadzeniem kardynałów, nie ze mną - zauważył słusznie papieski przyjaciel.

- Owszem, masz rację - przyznał natychmiast papież. - Robię to w miarę często, ale nie dlatego, że uważam, iż warto z nimi rozmawiać. To tępe grubasy, oni wiedzą tyle samo, co ich służący. A przypuszczam, że nawet mniej. Cała ta armia głupców ma jedynie wykonywać moje polecenia i słuchać moich nakazów. Na więcej ich

nie stać. – Parsknął z pogardą, która przetoczyła się z wolna po jego szczupłym obliczu.

– Lotariuszu, sam byłeś kardynałem w kościele Świętego Sergiusza i Bakchusa – wspomniał. – Już zapomniałeś? Nie powinieneś tak mówić.

– Mogę wszystko, mój przyjacielu. – Papież dobitnie zaakcentował słowa. – Nie zapominaj, że dwa lata temu to ja oświadczyłem wszem wobec, iż zostałem postawiony nad domem Bożym, aby zarówno moje posługiwanie, jak i stanowisko górowały ponad wszystkim i wszystkimi. Kardynałowie, którzy zebrali się wówczas, dopełnili *proskynesis*¹³⁶ i całowali moje stopy. Wszak to ja jestem panem świata! Nikt inny!

Ojciec święty był bezkompromisowy w swym zarozumiałstwie, które konsekwentnie zerowało na jego mózgu, ograniczając zdolność trzeźwego myślenia. Wszak kiedy ktoś zadał mu pytanie: „Komu mam powierzyć syna?“, on bez wahania w głosie odrzekł: „Mnie. Bo gdybym wiedział, że jest ktoś, kto mnie przewyższa władzą, to sam chętnie czerpałbym u niego wiedzę, jakim to sposobem mógłbym go prześcignąć i zająć jego miejsce“. Lotariusz, w swojej niezłomnej gorliwości, kontynuował:

– To do mnie rzekł prorok: „Wywyższę cię ponad narody i królestwa“. To do mnie mówiono: „Tobie dam klucze do bram Królestwa Niebieskiego“. – Lotariusz wznosił wskazujący palec prawej ręki wysoko w powietrze i prawił niezmiennie, apodyktycznym tonem: – Pamiętaj, że sługa, którego postawiono nad całym domem, jest jedynym i prawdziwym namiestnikiem Chrystusa, następcą Piotra, pomazańcem Pana, Bogiem faraonów. Postawiono mnie pośrodku, pomiędzy Bogiem a ludźmi, jestem mniejszy od Boga, ale większy od każdego jednego człowieka na ziemi. Od każdego króla, cesarza i księcia. Jeno ode mnie zależy, kto i kiedy będzie rządził! To ja decyduję i ode mnie pochodzi władza królewska!

„Nie zawsze mów, co wiesz, ale zawsze wiedz, co mówisz“ – pomyślał w skrytości ducha papieski przyjaciel.

Kanonik dobrze znał Lotariusza. Wiedział, że przyjaciel, który dwa lata temu, w lutowy mroźny poranek, został w katedrze św. Piotra koronowany na papieża Innocentego III, posiada spore poczucie humoru, ale jest również despotycznym i wybuchowym człowiekiem, jeżeli cokolwiek idzie nie po jego myśli. W takich sytuacjach nie powstrzymywał się i pozwalał, by z jego ust wylewał się cały potok obraźliwych słów, które na długo zapadały w pamięć. Lotariusz zdecydowanie lubił pochlebców i osoby, które zgadzały się z nim bez zadawania zbędnych pytań. Jedynie siebie samego uznawał za nieomylnego, z którym nikt nie ma prawa się równać. Zaiste był bowiem ponad wszystkimi ludźmi na świecie.

- Pamiętam każde słowo wypowiedziane przez ciebie owego dnia - powiedział z poważną twarzą zakonnik, ścisząc głos. - Wbiło mi się w pamięć i przypuszczam, że już na zawsze.

- To bardzo dobrze, mój Giovanni, bardzo dobrze - odrzekł Lotariusz, kiwając głową. - Prawda ta, którą wówczas ogłosiłem światu, nie podlega dyskusji ani żadnym rozważaniom, prawdzie owej wszyscy ludzie na świecie mają podlegać. - Wskazał palcem na kanonika. - Nawet ty jako mój serdeczny przyjaciel.

Samowładczy Innocenty od zawsze uznawał reguły postępowania z dokumentu *Dictatus Papae* opracowanego w roku tysiąc siedemdziesiątym piątym przez Grzegorza VII, którego poglądy i czyny były dla niego wzorem wartym naśladowania. I na te same regule oparł swój punkt widzenia na temat świata oraz miejsca w tym świecie papieża i Kościoła. Lotariusz niezmiennie tym samym tonem wypowiadał papieskie bezwarunkowe prawdy.

- Każdy musi się wreszcie nauczyć jednego - dowodził z płomienną żarliwością. - To ja stoję ponad wszystkimi pragnieniami, ponad wszystkimi mężczyznami, kobietami i dziećmi na ziemi, a najważniejsze jest dobro Kościoła, którego jestem sługą i którego zawsze będę bronić.

Kanonik uznał, iż nadszedł najwyższy czas, aby zmienić temat.

- Jaka ma być treść owego dekretu? - spytał.

Papież wstał i zaczął przechadzać się wzdłuż ławki. Wymachiwał rękoma jak nadworny żongler i tłumaczył przyjacielowi powody, dla których już dawno powinien był wydać stosowny dokument. Giovanni siedział spokojnie i wodził oczyma za zuchwałym przyjacielem, który nie mógł usiedzieć w miejscu.

- Przede wszystkim muszę im wszystko odebrać - oznajmił papież.
- Dosłownie wszystko! Wtedy poczują się niepewnie. Stracą to, co ważne.

- Jesteś pewien, Lotariuszu, że oni przywiążą wagę do majątków? Do domów? Do ziemi?

Papież z miejsca odpowiedział pytaniem:

- A czy ty nie żałowałbyś majątku, domu, ziemi?

Kanonik uznał pytanie za pozbawione sensu. Nie był i nie będzie na miejscu przyjaciela heretyków ani tym bardziej krzewiciela heretyckiej religii.

- Ja niczego nie posiadam, Lotariuszu. - Wzruszył ramionami. - Pytasz niewłaściwą osobę.

- Oczywiście. Nie będą mieli gdzie się podziać. Cuchnące lisy w winnicy będą szukać schronienia - rzekł Lotariusz z zadowoleniem w głosie. - To ich dotknie i to mocno.

Był z siebie dumny. Zatarł ręce powolnym, węzowym ruchem, a oczy niebezpiecznie mu zaślniły.

- Czyż nie jestem pomysłowy i uzdolniony, mój przyjacielu? Czyż nie posiadam wyobraźni?

Giovanni nie od dziś miał świadomość, że papieski umysł cechuje niezwykła przenikliwość, ale i chełpliwa arogancja. Innocenty czuł się zwycięzcą, zawsze był samozwańczym triumfotorem.

- Lotariuszu, przede wszystkim widzę twoją zuchwałą pewność siebie. Czyż ona cię aby nie zaślepia?

Papież zaśmiał się posępnie. Patrzył prosto przed siebie, po czym z wolna, majestatycznie obrócił głowę, spoglądając przez ramię na przyjaciela. Jego ślepe przekonanie o własnej wielkości i potędze doprawdy budziło grozę. Wywierało ogromne wrażenie, a zarazem

było niebezpieczne jak burza na morzu. Blichtr władzy, która opromieniała go w równie dużym stopniu jak świece posąg Jezusa w prywatnej kaplicy w bazylice św. Jana, był dla papieża tym, czym skrawek nieba dla uwięzionego.

Zbliżył się do kanonika, usiadł obok i chwycił go za rękę. Spojrzał mu poważnie w oczy.

- Dobrze mnie znasz, nieprawdaż?

Giovanni kiwnął głową. Nie sposób było się nie zgodzić. Nagle mnich uczynił dłońmi gest, jakby strząsał coś z kolan, jakiś pyłek.

- Sądzę, że zawsze ktoś ich przygarnie - odparł sucho. - Panowie langwedoccy na przykład nie mają żadnych skrupułów w tym względzie. Wszyscy wiedzą, że szczerze popierają herezję i...

- Wiem, wiem o tym, Giovanni. - Lotariusz podniósł głos i znowu wstał. Rozwarł powieki z wyniosłym oburzeniem, aż białka ukazały się wokół źrenic. - Nie musisz mi przypominać o tych zdradzieckich psach. Nie przeszkadza im ta zmija, która wije się pomiędzy nimi jak nienasycona dziwka. Wsuwa im do gardła swój obmierzły język i w... - Papież powstrzymał się i nie dokończył zdania, ale Giovanni domyślił się, co tamten chciał powiedzieć.

- Sam widzisz, Lotariuszu.

- Co?! Co widzę?! - krzyknął, aż oczy mu pociemniały, a blask z nich bijący stał się zgoła niepokojący.

Giovanni ujrzał na twarzy przyjaciela znaną sobie minę. Usiłował uspokoić wrzącego gniewem Lotariusza, jednakże z wieloletniego doświadczenia wiedział, że nie będzie to łatwe zadanie.

- Lotariuszu, nie jestem twoim wrogiem, dlaczegóż zatem na mnie krzyczysz?

Papież skupiał myśli. Spojrzał na kanonika, który zamilkł, i przysiadł obok niego. Odezwał się oschle:

- Mój drogi przyjacielu, jesteś zbyt wrażliwy!

Giovanni nie czuł się specjalnie delikatnym. Postanowił przemilczeć uwagę Lotariusza. To nie był dobry moment na snucie spostrzeżeń dotyczących własnej osoby. Innocenty złożył obie dłonie

jak do modlitwy i przytknął je do czoła. Usiłował mówić o ton łagodniej.

- Nie przypominaj mi o tej parszywej szlachcie... Wtedy postaram się nie podnosić głosu. Muszę ich wszystkich za te podłe pyski twardo złapać i wgnieść w ziemię, żeby otrzeźwieli! - oświadczył.

- Nie jestem pewien, czy to pomoże - odrzekł spokojnie jak zawsze Giovanni. - Mogliby się podusić.

- Ja również to rozważałem - przyznał Lotariusz.

Kanonik kątem oka wychwycił, że papieskie kąciki ust podnoszą się ku górze w ledwo zauważalnym uśmiechu.

- Ale powiem ci, że to rozwiązałoby wszystkie kłopoty, w jakie mnie oni wpędzają - wyznał papież, wzdychając ku niebu.

Przyjemny wiaterek owiewał ich twarze, a fruujące wokół ptaki nic sobie nie robiły z planowanego dekretu i panoszących się na Południu heretyków, którzy Innocentego przyprawiali o mdłości.

- No dobrze, Lotariuszu. Cóż jeszcze ma zawierać twój dekret?

Pytanie przyjaciela na powrót ożywiło zadziornego Innocentego.

- Przede wszystkim zamyślam, by tym pochlebcom szatana odebrać ich dobra i oddać je w ręce katolików, naszych, prawdziwych - tłumaczył. - Ponadto sądzę, że dobrym rozwiązaniem będzie również, aby dzieci i reszta rodzin heretyków zostały całkowicie wyzute z tychże majątków.

Giovanni przekrzywił z zainteresowaniem głowę i zapytał:

- Czy to uczciwe odbierać dziedzictwo dzieciom, które mogą być wszak szczerze oddane Bogu i jego prawdziwej wierze i w żaden sposób nie podzielać poglądów swoich ojców? Nie uczynisz im krzywdy?

- Mocnymi słowami to ująłeś, Giovanni, ale pozwól, że coś ci wyjaśnię.

Kanonik uważnie przyjrzał się ojcu świętemu.

- Jeżeli masz wątpliwości co do chorej nogi, a chcesz ratować życie, odetnij ją lepiej.

- Czyżby?

Innocenty był poważny. Bez wahania w głosie odparł:

- W samej rzeczy.

Giovanni dociekał dalej:

- A co, Lotariuszu, z tymi, którzy sprzeciwia się wykonaniu twojego dekretu?

- Wychodzę z założenia, że ich ziemie również muszą zostać im odebrane! - oznajmił złowieszczo i podniósł dłoń nad głowę. Po chwili nie dłuższej aniżeli przełknięcie śliny opuścił czoło i syknął z rozdrażnieniem: - *Ferro et igni!*¹³⁷

Kanonik wszakże wiedział, że prawdziwym marzeniem Lotariusza jest, by krew bezbożników zalała słońce. Wciągnął szybko powietrze do płuc i zerknął na iglaste konary otaczających ich pinii. Na najbliższym z nich przysiadły dwa drobniutkie szaro-pomarańczowe ptaszki. Ćwierkały tak radośnie, jak gdyby wyznawały sobie wzajemne uwielbienie i zdeklarowały miłość po grób wedle rycerskich eposów.

Zakonnik stwierdził odważnie:

- Sądzę, że nazbyt surowe prawo zamýślasz narzucić niepokornej Langwedocji.

Lotariusz zamierzał dać cierpką odpowiedź, gdy z naprzeciwka spostrzegli obaj nadbiegającego w długiej szacie służącego. Widać było, że ma pilną sprawę i nie chciał zwlekać.

- I cóż tam nowego? - zapytał Lotariusz, kiedy zdyszany papieski sługa pojawił się bliżej.

Wierny poddany potrzebował chwili, aby złapać oddech.

- Ojciec... święty - sapał zmęczony Antoni. - Przybył...

Lotariusz z półuśmiechem na ustach oczekiwał, aż Antoniemu uda się wreszcie wydukać, któż taki przybył, że należało biec i niezwłocznie szukać go w ogrodach. Kanonik z kolei bez problemu domyślił się, któż to taki zjawił się w papieskim pałacu.

- Lotariuszu, a czy przypadkiem nie przełożony zakonu cysterskiego miał przybyć na dniach? Wzywałeś go pilnie, by stawił się przed tobą.

- Słusznie prawisz... wszakże to Arnold Amaury¹³⁸ miał przybyć! - wykrzyknął uradowany papież. - Masz rację!

Służący złapał w końcu oddech. Nareszcie mógł przekazać wieści, z którymi przybył.

- Zaiste, ojciec święty, razem z Piotrem z Castelna¹³⁹. Czekają na was w sali audiencyjnej.

- Doskonale! Mój drogi Giovanni, porozmawiajmy z nimi zatem. Zapewne mają dobre wieści, a ja niecierpliwie na nie czekam. Każ im się tu stawić - nakazał Antoniemu. - Zbyt ładnie jest w ogrodzie, by spędzać czas w murach. I przynieś nam wina... A i owoce jeszcze jakieś by się przydały. Nieprawdaż, mój przyjacielu? - Lotariusz z uśmiechem spojrzał w błękitne, bezchmurne niebo nad Lateranem, głęboko wciągnął powietrze.

Delikatny wietrzyk przynosił mocny zapach orzeźwiającej wiosny i odradzającego się szybko po zimie życia. Papież czuł się władcą świata.

*

Późnym wieczorem babka z wnuczką dotarły do Fontevraud w Andegawenii. Księżna była w pełni usatysfakcjonowana, albowiem znalazła się w miejscu, które darzyła głębokim sentymentem i które upodobała sobie na resztę życia. Z dumą oznajmiła infantce:

- Blanko, klasztor ten z rozkazu twojego dziadka stał się królewskim opactwem. Otrzymał z rąk moich, jak i Henryka bardzo dużo nadań i przywilejów. To dobre miejsce, żeby zatrzymać się w nim i doczekać końca swoich dni, jeśli Bóg pozwoli.

Jadąc do Fontevraud, Eleonora wyjaśniła Blance, że dalej z nią nie pojedzie. Stara księżna była bardzo wyczerpana podróżą i dłuższy wypoczynek był jej niezbędnym, aby podreperować nadwątlone siły. Infantka była bardzo rozżalona. W ciągu dnia starała się ze wszystkich sił zachowywać spokój, lecz gdy zapadała noc i nic nie

można było dostrzec, w jej duszy rodziły się tysiączne obawy. Żywiła nadzieję, że babka będzie towarzyszyć jej w drodze do Château¹⁴⁰ Gaillard w Les Andelys w Normandii, zbudowanego przez Ryszarda Plantageneta, który wydał na jego budowę niebagatelną sumę nieomal dwunastu tysięcy funtów andegaweńskich. Dziewczynka miała w ukochanej fortecy zmarłego wuja, ulubieńca księżnej, spędzić krótki czas przed poślubieniem syna Filipa Augusta. Jeżeli Eleonora zostanie w klasztorze, Kastylijka będzie musiała odbywać ostatnią część podróży pośród obcych jej biskupów.

Babka jednakże jak zawsze podjęła nieodwołalną decyzję i nie mogły jej zmienić żarliwe prośby młodziutkiej wnuczki, a tym bardziej jej łzy. Dziewczynka była ogromnie rozgoryczona. Eleonora poprowadziła dziewczynkę poprzez obszerny wirydarz umieszczony od południowej strony klasztoru. Po drodze minęły młodsze i starsze kobiety idące wolno, z lekko pochylonymi głowami. Pomimo zakonnych, skromnych strojów ich sylwetki wyglądały na dumne, a chód był stanowczy. Nie przypominały płochliwych zakonnice, ale pewne siebie białogłowy. Blanka zwolniła i przyjrzała im się z zainteresowaniem. Jedna z mniszek pod kapturem, który przesłaniał drobną twarz Blanki niczym woal bizantyjskiej cesarzówny, dojrzała dziewczęce oczy. Oczy te były duże i strapione. Zakonnica ledwo dostrzegalnie uśmiechnęła się do dziecka. Kastylijka delikatnie odwzajemniła uśmiech.

- Blanko, nie ociągaj się - odezwała się babka.

Potem obie weszły na galerię i udały się do refektarza. Kilka palących się na stole świec i wetkniętych w ściany pochodni nie mogło oświetlić całej sali. Pomieszczenie było ponure i nieprzyjazne, gdyż zimne, surowe mury refektarza nie dodawały nikomu otuchy. Blance mimowolnie napłynęły do oczu łzy. Czuła pod powiekami ich mokre krople, jednakże nie chciała płakać. Powstrzymywała się. Nie mogła pokazać babce, że martwi się i jest przestraszona. Choć w sercu wzbierała panika, ona starała się przeciwstawić ogarniającemu ją wzruszeniu. Musiała być silna, wytrwała i nieugięta,

tak jak Eleonora stale ją pouczała. Tylko że infantka była nadal jedynie dwunastoletnią dziewczynką i nie potrafiła zapanować nad rosnącą w niej obawą przed tym, co ma się niedługo wydarzyć. Wszystko było dobrze, póki miała księżnę u swego boku, ale skoro teraz ta zdecydowała się pozostać w Fontevraud, infantkę ogarnął prawdziwy lęk.

Siostry zakonne przygotowały dla nich skromną wieczerzę. Blanka z miejsca zwróciła uwagę, że potrawy znacznie różnią się od tych, do jakich była przyzwyczajona w kastylijskich zamkach. Nie odczuwała głodu, a to, co przyniosły siostry, nie zachęcało do skosztowania. Dziewczynka głowę miała zaprzątniętą sprawami ważniejszymi aniżeli posiłek.

Jedna z młodszych zakonnicek, siostra Wilhelmina, została poproszona przez matkę przełożoną, żeby dzisiejszego wieczoru usługiwała księżnej i kastylijskiej infantce. Młoda zakonnica, szurając butami po podłodze, z wawo przemieszczała się pomiędzy kuchnią klasztorną a refektarzem.

- Proszę cię, jedź ze mną, babciu - prawiła rozczulająco Blanka. - Nie będzie ci żal, jeżeli nie zobaczysz moich zaślubin? - próbowała przekonywać.

- Blanko, nie mogę jechać - niezmiennie wyjaśniała księżna. - Nie proś mnie. Musisz zacząć przyzwyczajać się do życia, które zostało ci przeznaczone, jak już ci wielokrotnie mówiłam.

Dziewczynka spuściła migdałowe oczy i rzewliwie wyznała:

- Chciałabym spędzić z tobą więcej czasu... - Patrzyła na leżący przed nią kawałek chleba i nie miała ochoty brać go do ust.

- Moja piękna wnuczko... to niemożliwe - powiedziała dobrotliwie. - Moje miejsce jest tu, w tym klasztorze. Jestem stara i bardzo zmęczona życiem. - Westchnęła ciężko. - Podróż nadwyreżyła moje siły i znacznie mnie osłabiła. A nie wiem, co jeszcze mnie czeka, zatem odpoczynek jest mi wskazany.

Blanka zacisnęła karminowe usteczka. Eleonora była nieugięta i tego samego oczekiwała od dwunastoletniej następczyni

francuskiego tronu.

- Doprawdy nie możesz tego dla mnie uczynić? - nalegała żałośliwie infantka. Jej spojrzenie było smutne i rozczulające. - Matka też rzadko robiła to, o co ją prosiłam, ale kiedy Urraka lub Berenguela poprosiły, natychmiast spełniała ich prośby. - Dziewczynka nie wytrzymała. Tego było zdecydowanie za dużo na jej młodziutką główkę. Rozplakała się. Zaczęła szlochać i pociągać drobnym noskiem, na którym widoczne były małe piegi. Dziecko nie mogło dłużej udawać. Pełne napięcia oczekiwanie na to, co ma nastąpić, męcząca podróż, a teraz przykre dla niej wieści spowodowały, że całkowicie opuściła ją odwaga, z której mała Kastylijka była dotąd taka dumna.

Księżna przypatrywała się jej. Pozwoliła wypłakać się Blance, jednakże łzy dziecka nie były w stanie poruszyć jej na tyle, aby zmieniła powziętą decyzję. Pozostanie w Fontevraud. Tak postanowiła. I zdania nie zmienia.

- Musisz się uspokoić - rzekła łagodnie - i pogodzić z moją decyzją. Choć, wierz mi, bardzo chciałabym... - Księżna poczuła kurcz serca. Był on dokuczliwy.

- Zatem nie zostawiaj mnie, babciu... Potrzebuję twojej pomocy... - wydusiła łkająca infantka i z pasją wyrzuciła przed siebie ręce w geście rozpacz. - Chcę dalej być z tobą.

- Blanko, proszę... przestań - powiedziała Eleonora z delikatną naganą. - Otrzyj łzy, bo szpecą twoją ładną twarzą. One nie są przyjacielem przyszłej królowej.

Infantka skuliła się pod brzmieniem jej głosu. Unikała pełnego wyrzutu spojrzenia księżnej. Z trudem, ale posłuchała, mimo że był to dla niej nie lada wysiłek. Ocierała naprędce łzy i starała się na siłę uspokoić. Była posłuszna. Akwitanka, zmrużywszy oczy, przez krótką chwilę patrzyła badawczo na córkę Alfonsa, po czym zwróciła jej uwagę:

- Królowe nie płaczą, moja Blanko.

Dziewczynka przestawała pochlipywać. Wyglądało na to, że robi wszystko, byleby się tylko uspokoić, zgodnie z żądaniem babki. Starła się o to z całego serca. Oczy jedynie pozostały zaczerwienione jako dowód niedawnego wzruszenia, jakiemu poddała się nierozważnie wnuczka Eleonory.

Tymczasem do refektarza weszła ponownie siostra Wilhelmina. Niosła na tacy pachnące ciasto. Zbliżała się do ławy i chciała je postawić przed Blanką. Już wcześniej zwróciła uwagę, że dziewczynka jest bardzo smutna. Pomyślała – choć rzecz jasna nie mogła znać przyczyn jej smutku – że słodkie, maślane ciasto może pomóc przezwyciężyć przygnębienie uroczej córce kastylijskiego króla i dziewczynka wkrótce się rozpogodzi.

Blanka nie zauważyła podchodzącej Wilhelminy. W ferworze buzujących w niej emocji energicznie rozłożyła ręce na boki. Ciasto, które niosła zakonnica, w jednej chwili znalazło się na podłodze.

- Na Boga! Cóż ja uczyniłam, wybac, babciu! - wykrzyknęła przestraszona infantka, patrząc z niepokojem na Eleonorę. - Wybacz...

Wilhelmina wstrzymała oddech. Z pośpiechem nachyliła się i zaczęła zbierać rozkruszone ciasto z kamiennych płyt podłogi. Bardziej niż Blanka wystraszyła się, albowiem bała się reakcji księżnej. Powinna była bardziej uważać. Infantka bez namysłu zsunęła się z siedzenia z zamiarem udzielenia pomocy Wilhelminie. Na krótką chwilę zapomniała o swoim smutku.

- Blanko, usiądź - nakazała księżna. - To nie jest praca dla ciebie.

- Ależ to ja ją, babciu, uderzyłam! - tłumaczyła dziewczynka.

- Siostra Wilhelmina nieopatrznie upuściła ciasto, zatem musi zrobić z tym teraz porządek.

Zakonnica uwijała się tak szybko, jak tylko mogła.

- Blanko, rozmawialiśmy o tym w Bordeaux - przypomniawszy dziecku. - Musisz być silną i nie ulegać niepotrzebnym emocjom. To, co teraz mi tu pokazałaś, szczerze ci powiem, zaniepokoiło mnie.

- Że chciałam pomóc siostrze zakonnej? - zapytała zdziwiona Kastylijka, rozszerzając źrenice.

- Oczywiście, że nie, głuptasie! - odparła stara kobieta z lekkim uśmiechem. - Mam na myśli twoje łyzy. Zupełnie niepotrzebne w tym momencie. - Bacznie się jej przypatrzyła, a Blanka dojrzała w jej mądrych oczach wszystko to, co czyniło kobietę dzielną i niepokorną władczynią. - To nie przystoi przyszłej królowej! Wyryj to sobie w sercu i pamięci. Królowe nie płaczą, nie możesz, moje dziecko, okazywać słabości, niedługo bowiem wszystkie oczy świata będą na ciebie zwrócone.

Dziewczynka skinęła głową i wykrztusiła niepewnie:

- Może jednakże byłoby lepiej, gdybyś to Urrakę wybrała, babciu, a nie mnie?

Nagle uświadomiła sobie, że palnęła coś zgoła niemądrego. Przestraszyła się swojego pytania, ale już je zadała. Nie mogła tego cofnąć, a księżna, ku jej zdumieniu, nie zareagowała wybuchem gniewu, którego wnuczka w pierwszej chwili się obawiała.

- Blanko, wystarczy! - Infantka drgnęła, ale wnet dostrzegła, że pomarszczone oblicze babki przybrało wyraz kojącej cierpliwości. - Wybrałam ciebie, ponieważ uważam, że to była właściwa decyzja i nic tego nie zmieni - wyjaśniła. - Jednakże, moja piękna wnuczko, musisz wziąć sobie do serca te ważne rady, o których już ci wspominałam. Przestrzegaj ich dla własnego dobra.

Księżna zamierzała jeszcze wspomnieć Blance o ważnej rzeczy, o której wcześniej nieopatrnie zapomniała. Uznała, że jest to konieczne i następczyni tronu to również powinna mieć na względzie w dorosłym życiu.

- Blanko, czuję się zobowiązana, aby dać ci jeszcze jedną radę. Otrzymałam ją od mojej drugiej teściowej, twojej prababki Matyldy.

- Słucham, babciu - odparła drżącym głosem dziewczynka i potarła brodę. - Postaram się wszystko zapamiętać.

- Powinnaś, moje dziecko. Jenemu od ciebie będzie zależało, jak w przyszłości wykorzystasz moje rady i pouczenia.

Wnuczka zamieniła się w słuch. Nie chciała przepuścić ani jednego słowa. Była bystra, a Eleonora miała szczerą nadzieję, że kastylijska infantka jako królowa Francji będzie postępować zgodnie z jej szczerymi i ze wszech miar mądrymi radami. Wówczas Opatrzność będzie dla niej łaskawą.

- Pamiętaj, kiedy zostaniesz wielką królową, ludzie będą domagać się od ciebie więcej, aniżeli na to zasługują - klarowała. - Będą żądać rzeczy, które będziesz mogła im dać. Jednakże prawdziwa mądrość, moje dziecko, polega na tym, aby umieć rozróżniać tych, którzy potrzebują, od tych, którzy jedynie chcą więcej.

Kastylijka patrzyła uważnie. Nie zrozumiała jednak sensu słów babki, mimo że usiłowała uchwycić ich znaczenie. Eleonora zauważyła to w jej oczach, dlatego też niezwłocznie wyjaśniła.

- Moja Blanko, temu, kto żąda, nie dawaj wszystkiego naraz. Daj mu jeno trochę. Rozumiesz?

Dziewczynka skinęła głową. W rzeczy samej - teraz rozumiała.

- By potem, za jakiś czas, znowuż dać trochę, ale nigdy wszystkiego w jednym czasie. Rozumiesz mnie dobrze?

Wnuczka ponownie kiwnęła głową.

- Jeżeli ludzie ci będą rozsądni, odczują z tego zadowolenie, jeżeli zaś okażą się pospolitymi głupcami, niewarto się nimi przejmować. - Złapała oddech. - Unikaj towarzystwa złych ludzi, albowiem w większości takimi oni są.

To było dla dziewczynki jasne.

- Prawdziwą rozkoszą dla królów jest władza, moja piękna Blanko, ale należy ją sprawować dopiero wtedy, gdy nauczy się słuchać. - Akwitanka westchnęła, wszak to uczucie rozpałało ją przez całe życie. - To płomień, który rozpali twoje ciało do czerwoności i nie zostanie ugaszony, dopóki sama nie zechcesz tego uczynić.

Dziewczynka rozszerzyła migdałowe oczy i nie spuszczała z księżnej wzroku. Potem skierowała go z wolna na swoją suknię. Położyła ręce na brzuchu, ale nie wyczuwała żadnego ognia, żadnego

palenia w środku; nie czuła nawet drobnych płomyków. Bała się, że coś robi źle albo po raz wtóry nie rozumie właściwie słów Eleonory.

- Panowanie rozpali krew w twoich żyłach, w twym sercu, w twojej głowie. Będzie w nich bulgotać. Będzie wrzeć. - Eleonorze aż lśniły oczy, kiedy mówiła o władzy, albowiem była ona straszliwą pokusą, a sama myśl o niej czymś najbardziej ponętnym. Rozkoszowała się swoją wielką namiętnością, nieobcą wszak ani kobietom, ani mężczyznom, która potrafiła przyćmić największe porywy serca, była ona bowiem wielką żądzą, nieokiełznanym zewem krwi, prawdziwym szaleństwem. - Wtedy naprawdę odczujesz, co to znaczy być królową. Wtedy dowiesz się, co to znaczy trzymać w rękach ogromną władzę nad ludźmi, nad ziemiami, bo to one są najważniejsze. To o nie ludzie toczą wojny i wzajemnie się zabijają. Ogromna władza daje jednocześnie nieograniczone możliwości, które obyś, moje dziecko, jak najlepiej wykorzystała.

- Babciu... - szepnęła zaniepokojona Blanka - ależ ja niczego nie czuję. Czy wszystko ze mną jest dobrze?

Księżna Akwitanii uśmiechnęła się z dobrocią i miłością. Skubnęła odrobinę chleba i wyjaśniła wnuczce:

- Głuptasku, teraz nie możesz niczego odczuwać. Kiedy będziesz starsza, zrozumiesz, cóż miałam na myśli.

- Doprawdy? - spytała cicho i spojrzała na piękny złoty pierścień z cennym szafirem, którego Eleonora nie zdejmowała. Przez chwilę zapatrzyła się na niego. Porzął ją swą urodą i zamkniętym w nim dostojeństwem. - A jeżeli dalej nie będzie mnie nic paliło?

- Moja Blanko, jesteś krwią z mojej krwi. Zapewniam cię, odczujesz ów płomień w swoim ciele, kiedy nadejdzie po temu właściwa pora - przekonywała. - Wówczas wspomnisz moje słowa. Czerp z nich pełnymi garściami życiową mądrość, abyś nigdy nie doradzała nikomu tego, co najprzyjemniejsze, jeno to, co najlepsze.

Wątpliwości odbijały się na ślicznej twarzączce dziewczynki, ponieważ nadal nie była do końca przekonana, ale słuchała Eleonory bez zastrzeżeń. Wszak księżna nie mogła się mylić w żadnej materii.

Blanka chciała i musiała wierzyć w każde wypowiedziane przez nią słowo. Skoro babka zapewniła ją, że tak się stanie, to tak się stanie. Musi jedynie cierpliwie poczekać do tego momentu.

W międzyczasie siostra Wilhelmina pozbierała wszystkie okruchy. Księżna przyglądała się zakonnicy w milczeniu.

Niebawem do refektarza weszła inna siostra zakonna. Blanka z miejsca spostrzegła, że to ta zakonnica, która uśmiechała się do niej w wirydarzu. Kobieta powoli zbliżyła się do Eleonory i ukloniła się. Babka podniosła wzrok na młodą mniszkę.

- Nie przeszkadzam, księżno?

- Kim jesteś? - zapytała z zaciekawieniem Eleonora, nie odpowiadając na postawione pytanie.

Zakonnica miała przyjemną, aczkolwiek bladą twarz, na której wielodniowe posty oraz nieprzespane noce odcisnęły piętno w sposób nieunikniony. Rzuciła okiem na kastylijską infantkę i w tym momencie na jej twarzy ponownie pojawił się ledwo dostrzegalny, subtelny uśmiech.

Blanka przyglądała się przybyłej dopiero co niewieście.

- Ach... teraz sobie przypominam - zaczęła po namyśle Akwitanka, wodząc wzrokiem po jej obliczu. - Jesteś córką kasztelana Cretesiena, czyż nie?

- To prawda, księżno - potwierdziła grzecznie ładna zakonnica. Mówiła powoli. - Wybaczcie moje wtargnięcie, ale chciałam wam osobiście, księżno, podziękować za łaskę, jaką okazaliście mnie i moim rodzicom.

- Minęło tyle lat... - odrzekła Eleonora z powściągliwą łaskawością. - Niczego specjalnego nie uczyniłam. Rozsądne prośby chętnie spełniam, o ile posiadam po temu odpowiednie możliwości.

Blanka przestała chwilowo myśleć o swoich troskach. Była ciekawa, co też takiego babka uczyniła dla rodziny kasztelana Cretesiena. Nie śmiała jednak przerywać rozmowy obu kobiet. Wołała siedzieć cicho i grzecznie się przysłuchiwać, wtrącać się bowiem nie wypadało. A nie zamierzała ponownie rozczarować Eleonory.

- Dzięki wam, księżno, jestem bardzo szczęśliwa i tylko dzięki waszemu wsparciu mogę żyć spokojnie w tym murach, które okazały się dla mnie oazą bezpieczeństwa. Prawdziwym rajem na ziemi.

- Drogie dziecko - odpowiedziała księżna młodej zakonnicy - rozumiem sytuacje, które popychają kobiety w ramiona namiętności, ale rozumiem też i te kobiety, które nie czują powołania do życia z mężczyzną. Chciałam ci pomóc, jak niegdyś pomogłam mojej siostrze Aelith, aby poślubiła mężczyznę¹⁴¹, którego pokochała jej serce, a który był mężem innej kobiety. Tobie z kolei zależało na czymś zgoła odmiennym...

Infantka łapczywie chwyciła każde ze słów wypowiedzianych przez Eleonorę.

- Zaiste, księżno... ja nie mogłam... nie chciałam... poślubić człowieka mi przeznaczonego... Nie mogłam...

- Dobrze się zatem złożyło, że znalazłaś się pod skrzydłami klasztoru, który jest tak drogi memu sercu - stwierdziła empatycznie stara kobieta.

Niewiasta niespodzianie uklękła przy księżnej i pochwyciła jej dłoń. Przyłgnęła młodymi ustami do starczej skóry. Tym pocałunkiem wyraziła wdzięczność i oddanie kobiecie, która uratowała ją od małżeństwa z człowiekiem darzonym przez nią szczerą nienawiścią. Tylko dzięki Eleonorze mogła zaszyć się w jedynym bezpiecznym miejscu na ziemi. Tylko tutaj mogła poświęcić się służbie Bogu. Służbie, do której miłością zapalała już we wczesnym dzieciństwie. Pokochała Boga i pragnęła być jego oblubienicą, tylko jemu pragnęła służyć, nie mężowi i jego nakazom.

- Dobrze, już dobrze, moje dziecko - powiedziała stara kobieta, gładząc jej głowę. - Bądź szczęśliwa w miejscu, które sobie wybrałaś.

Zakonnica spojrzała na Blankę. Uśmiechnęła się łagodnie i odeszła równie cicho, jak przybyła.

- Babciu... cóż...

Eleonora podniosła dłoń, tym samym stanowczo ucinając dalszą rozmowę. Przesunęła dłonią po oczach.

- Blanko, jestem zmęczona, na dziś wystarczy - rzekła słabym głosem. - Siostra Wilhelmina zaprowadzi cię do dormitorium. Jutro o świcie musisz wyruszać. Wyśpij się zatem.

Zakonnica zbliżyła się do stołu, z którego wzięła jedną świecę. Następnie podeszła do księżniczki.

- Infantko, chodźmy - rzekła miękko.

Dziewczynka podniosła się z niechęcią. Młodziutką twarz miała pogrążoną w smutku, a oczy spuszczone. Serce wezbrało goryczą. Migotliwe światło pochodni połyskiwało na jej klejnotach i sukni.

- Babciu, to nie będzie dobra noc - mruknęła minorowym tonem. Było jej żal rozstawać się z księżną.

Z serdecznością ucałowała dłoń babki, a Eleonora przyłożyła usta do gładkiego czoła wnuczki. Było ono rozpalone niczym akwitańska ziemia w połyskach słonecznej jasności, pełna balsamicznych woni.

- Spokojnej nocy, moje dziecko.

- Tobie również, babciu - odpowiedziała dziewczynka.

Mała Kastylijka potulnie ruszyła za Wilhelminą. Jak zawsze była posłuszną i z pokorą wypełniała polecenia babki. Eleonora pozostała na swoim miejscu. Oparła głowę na wewnętrznej części dłoni i patrzyła na Blankę dopóty, dopóki ta nie zniknęła jej z oczu za ciężkimi dębowymi drzwiami refektarza. Mniszka dziwnym trafem pozostawiła je niedomknięte. Księżna odniosła wrażenie, jakoby wnuczka dalej stała w progu, z obróconą ku niej twarzą, na której malują się zafrasowanie i przygnębienie. Drgające światło pochodni nierówno rzucało cienie na ściany i sufit. Nie, nikogo tam nie było.

- Dla mnie to również nie będzie dobra noc, Blanko - szepnęła do siebie Eleonora Akwitańska.

*

Dwaj cystersi przeszli przez labirynty drózek papieskiego ogrodu pełnego krzewów o intensywnie soczystej zieleni i pączkujących

kwiatach. Wiosenne soki roślin buzowały i tryskały, wydzielając wokół orzeźwiający bukiet zapachowy. Wesołe ćwierkanie ptaków wyzwało wewnętrzny spokój i napawało pogodą ducha. W tymże urokliwym miejscu każdy doznawał naturalnego wyciszenia i uspokojenia, albowiem niemożliwym było odczuwać inaczej. Sielankowy nastrój nie omijał nikogo. Mnisi dotarli do alejki znajdującej się w gaju piniowym. Wkrótce stanęli oni przed obliczem ojca świętego. Ich wełniane habity z czarnymi szkaplerzami były pobrudzone i mocno przepecone. Obaj przebyli długą drogę, by stanąć przed Innocentym III.

On dokładnie im się przyjrzał i lekceważąco pokręcił głową. Nie spodobał mu się zapach, jaki wyczuł od przybyłych gości. Ci zauważyli jego skrzywienie na twarzy, które nie mogło oznaczać niczego pochlebnego. Papież wyciągnął dłoń z ciężkimi pierścieniami na palcach. Cystersi podeszli i ucałowali ją z nabożnym szacunkiem. Twarze przybyszów były bezbarwne i równie pomarszczone jak ubrania, które nosili. Papież wziął kielich napełniony przez Antoniego winem i usiadł na ławce pod jedną z rozgałęzionych pinii, która osłaniała papieską głowę przed natarczywymi promieniami słonecznymi.

Giovanni przywitał się uprzejmie z przełożonym cystersów, wysokim Arnoldem Amaury, o złowieszczych, ciemnych oczach i postawnej sylwetce, a następnie z Piotrem z Castelnau, duchownym o spiczastym nosie i wyjątkowo szpetnej twarzy, który wywodził się z opactwa Fontfroide, po czym dyskretnie odsunął się na bok.

Papież powoli postawił na ławce obok siebie kielich i bez zbędnych wstępów, nie pytając przybyłych o podróż, nagle zapytał:

- I cóż nam powiecie? Jakże ma się rzecz na Południu?

Patrzył wnikliwie w twarze mnichów. Myślał, że zdoła wyczytać w nich coś rozsądnego, ale ich miny nie zdradzały niczego obiecującego. Głos jako pierwszy zabrał Arnold Amaury.

- Niezmiennie tak samo.

- Doprawdy? - zapytał Lotariusz, a jego podłużna twarz z nagłą przybrała wyraz rozczarowania. - Zatem nic nowego? - stęknął. - To

z czym wy do nas przybyliście?

- Ojcie święty, ogromnie żałujemy, że nie mamy takich wiadomości, jakie mogłyby was pocieszyć - rzekł pośpiesznie Amaury.

- A już mieliśmy nadzieję, że usłyszymy ciekawe wieści, które nas uspokoją.

- Ojcie święty - zaczął Piotr z Castelnau - ogromnie żałujemy...

Zniesmaczony Lotariusz podniósł raptownie rękę. Tym samym dał cystersowi z Fontroide do zrozumienia, by przestał mówić. Z osobistych pobudek nie lubił tego zakonnika i ciężko znosił jego obecność.

- Piotrze, wierz nam, my bardziej nad tym ubolewamy.

Nikt nie śmiał się odzywać. Papież spojrział na szerokie konary otaczających go drzew, jakby w nich poszukiwał natchnienia. Po długiej chwili zastanowienia dodał ironicznie:

- Kiedy was ujrzeliśmy, wasze zakurzone, pomięte habity, pierwszą myślą, jaka nas naszła, była pewność, że przybyliście w takim pośpiechu, ponieważ przywozicie nam dobre nowiny. Skoro tak nie jest, nie rozumiemy waszej pochopności w przekazaniu nam złych wiadomości.

- Ojcie święty, jako że nie są one pomyślne - rzekł skruszony Amaury - nie chcieliśmy zwlekać z powiadomieniem was.

- Sądzieliśmy, że zdołacie się uporać z problemem, który zaczyna rosnąć w tempie szybszym aniżeli wiosenna trawa w moim ogrodzie.

Zapanowało kłopotliwe milczenie, które zaczynało się nieprzyjemnie przeciągać.

- Jak widzę, wszystko zostawiacie na naszych barkach - orzekł ze smutkiem, przerywając ciszę. - No cóż, wygląda na to, że jeno my jesteśmy w stanie urwać łeb południowej hydrze. Wy jesteście na to za słabi - podsumował kwaśno. - A może udało wam się coś zrealizować? - spytał z tlącą się jeszcze niewielką nadzieją.

Utkwił w nich swe wąskie oczy w oczekiwaniu odpowiedzi. Arnold spojrział na Piotra, który słynął z dziarskości umysłu, ale ten jedynie łypnął okiem na starszego cystersa. Nie odezwał się. Ten zazwyczaj

pyskaty i wybuchowy Piotr z Castelnu przed surowym papieskim obliczem niespodziewanie tracił dotychczasową brawurę, a cięty język zastygał mu w bezruchu, stając się niczym kołek drewna.

- Ojciec święty... naszym celem jest zadowolenie was...

- Wy nie zadowalajcie nas! - rzucił się gniewnie Lotariusz. - Od tego to my mamy służbę!

Mnisi poczuli się zawstyżeni, a Giovanni zrobił wielkie oczy. Nie był pewien, czy nadaża za tokiem rozumowania przyjaciela, jednakże papież nie zwracał uwagi na ich głupie miny.

- Zajmijcie się problemem, jaki mamy w Langwedocji - mówił dalej Namiestnik Chrystusowy. - Tego od was jedynie żądamy. Czy to takie trudne?

Arnold tłumaczył:

- Łatwe to nie jest, Wasza Świątobliwość, ale staramy się usilnie cały czas to czynić...

Innocenty wyśmiał jego mało konkretne stwierdzenie.

- Ale efekty tego są żadne, jak sami nas informujecie - rzekł zirytowany.

- Ojciec święty, wierzcie nam, rozmawiamy z hrabiami i liczącymi się szlachcicami Południa.

Papież złapał się za głowę.

„Boże, dopomóż! Natchnij mnie siłą, która pomoże mi przetrwać!”

- pomodlił się szybko w duchu.

Mnisi zaczęli zdawać sobie sprawę, że ich audiencja nie wypada najlepiej.

- Doprawdy? - zadrwił Lotariusz. - I cóż dalej?

- I ciężko nam jest zdobyć ich zaufanie.

Oczy Innocentego wypełniły się litością - tak bardzo Arnold wraz Piotrem wydali mu się znękani zadaniem, jakie im zlecił.

Piotr z Castelnu zaczął nerwowo miętosić habit. Czynność ta zawsze go uspokajała, ale z kolei innych irytowała.

- Widocznie za mało się staracie albo czynicie to tak nieudolnie, tak żałośliwie, że sami wyrzucilibyśmy was z dziedzińca, gdybyśmy to

my na nim stali!

- Nie chcą nas słuchać - przedkładał przełożony cystersów. - Jeździmy i nakłaniamy, by pozbywali się heretyków ze swoich włości, by nie dawali im posłuchu, by...

- Nakłaniacie?! - zniecierpliwiony krzyknął Lotariusz. - Jeździcie?! - Wstał i podszedł do mnichów. Zaczął wymachiwać im ręką przed nosem i ścisnął pięść.

Piotr zauważywszy ten odruch papieża, skulił się w sobie. Z niemym lękiem i przestachem obserwował przez chwilę jego wzburzenie.

- I wy myślicie, że to pomoże? - Lotariusz sapał nerwowo. Zwątpił w ich rozeznanie. - Aż takimi tępakami jesteście, że myślicie w tych waszych wąskich mózdkach, że przyczyni się to do ujarznienia węża? Nakłanianie tych bezbożnych baranów? Tych rozwiązanych głupców?

- Cóż innego możemy uczynić, ojcze święty? - zapytał bezradnie Piotr z Castelnuovo, rozkładając ręce na boki. Mnich przemógł nareszcie wcześniejszą nieśmiałość, w jaką wprawiał go za każdym razem Innocenty.

„Boże miłosierny, miej zlitowanie nade mną!” - pomyślał papież. Z widocznym cierpieniem na twarzy zerknął na Giovanniego, jakby u niego poszukiwał teraz pomocy. Był zrozpaczony bezdennie głupim pytaniem duchownego. Ale przyjaciel szybko odwrócił głowę, nie chcąc natknąć się na krzyczące wręcz spojrzenie papieża. Zdołał zauważyć rosnące zdenerwowanie Lotariusza i najchętniej opuściłby to miejsce. Domyślał się, że jeżeli rozmowa w dalszym ciągu będzie przebiegać w podobnym tonie, to skończy się wyzwaniem przybyłych zakonników od ślepych ludzi i głupich psów, a następnie wyrzuceniem ich z Lateranu. Jednakże czyż mógł zaprzeczyć, że *ira furor brevis est*?

142

Lotariusz przysiadł z powrotem na ławce pod pinią. Wziął w ręce kielich i napił się wina. Kiedy przełknął, nabrał głęboko powietrza i rzekł powoli, jakby skreślał w myśli małe notatki.

- Piotrze... pozwól, że zadamy ci pytanie.

Zakonnik ucieszył się i z napięciem oczekiwał papieskich słów.

- Czy studnia w twoim opactwie w Fontfroide ma dno?

Piotr zdziwił się rodzajem postawionego pytania, niemniej jednak pośpieszył z radosną odpowiedzią:

- Oczywiście, ojcze święty.

Lotariusz wsunął opuszek palca do ust i oderwał kawałek naskórka. Wypluł go i skierował uważny wzrok na Piotra z Castelnau. Przyglądał mu się przez chwilę ze zmrużonymi oczyma.

- Zatem sam widzisz... - rzekł całkiem spokojnie, ale po chwili roześmiał się cierpko. - To w przeciwieństwie do twojej głupoty.

Cysters raptownie poczerwieniał. Chciał zapaść się pod ziemię, ale ona nie rozstąpiła się pod nim.

- *Manifesta non egent probatione*¹⁴³ - powiedział papież, w pełni świadomie nie zdejmując ciętego spojrzenia z szerokiej, szpetnej twarzy duchownego z Castelnau. - Przymknij oczy i pozwól, aby moje słowa przeniknęły do twojego umysłu.

Giovanni wraz z przełożonym cystersów usiłowali ukryć uśmiech.

Tymczasem papież postanowił dalej postępować już zdecydowanie bardziej dyplomatycznie. Udało mu się poskromić rozbudzone wcześniej nerwy i rzekł teraz z rozwagą:

- Musicie przede wszystkim zacząć te wasze żalosne rozmowy, które naszym zdaniem niewiele pożytku przyniosą, od samego hrabiego Tuluzy... Może faktycznie? - zastanawiał się głośno, podnosząc wysoko głowę, gdyż doszedł go słodki świergot ptaszków. - Może macie rację? W końcu jesteście tam, na miejscu.

Duchowni poczuli się zdecydowanie pewniej, kiedy papież zmienił dotychczasowy sposób wypowiedzi. Słuchali z uwagą, wręcz bojąc się oddychać. Giovanni był bardzo zaskoczony raptowną zmianą w tonie wypowiedzi Innocentego. Papież zauważył to zmieszane spojrzenie u przyjaciela i wyszczerzył żółtawe zęby w sztywnym uśmiechu.

„Ha, zaskoczyłem choć raz mojego Giovanniego!” - pomyślał. Poczul się rozbawiony, patrząc na przygarbionego kanonika.

- Mamy cały czas jeszcze cichą nadzieję, że ten nikczemny człowiek opamięta się i zechce zająć się oczyszczeniem swoich ziem z parszywego robactwa - sformułował zdanie Lotariusz.

- Ojciec święty, taki właśnie mamy plan - oświadczył Amaury. - Chcemy przeprowadzić rozmowę z hrabią i wspomnieć mu grzecznie o waszych łaskawych przeprosinach za ekskomunikę, jaką został słusznie obłożony przez papieża Celestyna.

Innocenty zaczął wzdychać.

- Drogi Amaury, źle mówisz! Nie „wspomnieć” - poprawił cystersa, który był w tym samym wieku co i on sam. - Ten człowiek nie pamięta niczego, co się zdążyło wydarzyć kilka chwil wcześniej. Musisz mu przypomnieć i to bardzo szczegółowo!

Arnold z przemyślaną rozważką pokiwał głową nad mądrymi uwagami papieża, które wziął sobie od razu do serca. Piotr z Castelnau starł dłonią pot z czoła. Widać było, że jest zmęczony i niewyspany. Giovanni, widząc nietęgą minę zakonnika z klasztoru Fontfroide, czym prędzej zwrócił się do papieża z prośbą:

- Może Antoni rozleje wino do kielichów? - zaproponował dobrotliwie. - Goście są zapewne spragnieni.

Lotariusz jakby nie zauważył, że sam popijał od jakiegoś czasu wyborne wino z zimnych piwnic Lateranu, kiedy jego mnisi stali i patrzyli na niego ze ściśniętymi gardłami. Liczyli, że ktoś poda im wreszcie coś do picia. Papież polecił Antoniemu przynieść i rozdać podróżnym kielichy z winem. Miał nadzieję, że napój pomoże im się orzeźwić i zaczną myśleć zdecydowanie szybciej. Pragnął, by dalsza rozmowa nabrała wreszcie właściwego kolorytu i odpowiedniego tempa.

- Poza tym, moi drodzy, tak sobie teraz myślimy...

Cystersi zastygli, odrywając od ust kielichy, z których łąpczywie pili wino. Słuchali biskupa Rzymu, nie chcąc, by jakiegokolwiek słowo umknęło ich uwadze lub, co gorsza, by papież dostrzegł u nich oznaki roztargnienia. Nie mogli sobie pozwolić na nieuwagę, a tym samym na wzbudzenie po raz kolejny gniewu ojca świętego. Nie byłoby to w ich

dobrze rozumianym interesie. Byli jak wierni i lojalni żołnierze na warcie, niestrudzenie stojący na baczność i patrzący tylko w jednym kierunku, który musiał być zawsze ten sam; jak psy warujące u stóp swego pana, gotowe na jedno jego sapnięcie poderwać się z ziemi. Obaj wpatrywali się w zamyśloną twarz Następcy Świętego Piotra.

- Stale rozważamy jedną rzecz - ciągnął Innocenty posępnie. - Słaliśmy wiele listów do tego zarozumiałego bezbożnika. Prosiliśmy... nawet nie tyle prosiliśmy, ile błagaliśmy, żądaliśmy, nawet rozkazywaliśmy, by nareszcie odważył się i podjął działania, które mu nakazywaliśmy. A on nic! Jest ślepym i ogłuchłym głupcem!

- O kimże teraz rozmawiamy, ojcie święty? - zadał ciche pytanie Piotr.

- *Quos Deus vult perdere, prius dementat*¹⁴⁴ - odpowiedział papież i ponownie wbił w mnicha pełne rozczarowania spojrzenie. - Widzę, że i wino niewiele pomaga.

Piotr skulił się pod papieskim głosem.

„Czy ten mnich postawił sobie za punkt honoru bycie głupcem aż do zakończenia swojego żywota?” - zapytał w duchu samego siebie Innocenty.

Amaury mlasnął i niecierpliwym ruchem trącił towarzysza. Ten spróbował się wytłumaczyć.

- Wybaczcie mą nieroztropność... - odparł zmartwiony, pocierając szeroką twarz.

Arnold syknął Piotrowi wprost do ucha:

- *Dum excusare credis, accusas*¹⁴⁵.

- Nazwalibyśmy to inaczej, ale na pewno nie nieroztropnością - podsumował Lotariusz, który uśmiechnął się sofistycznie, słysząc słowa przełożonego cystersów. - Ten głupi człowiek, o którym właśnie rozmawiamy, Piotrze, ma za nic nasze słowa, które kierujemy do niego od dawna. - Wpatrzył się w świńskie oczka duchownego z Castelnau.

- Tym bardziej jest to zastanawiające - zauważył Amaury. - Można szlachcic, zawsze dostojnie ubrany.

- Szczur, nawet dostojnie ubrany, zawsze szczurem pozostanie - odparł opryskliwie papież, po czym wzdrygnął się z nagłą i rzucił Piotrowi szybkie spojrzenie błyszczących oczu. - Grzech jest zawsze grzechem, bez względu na to, jakie włoży przybranie. - Następnie przesunął wzrok na wyższego z mężczyzn i oznajmił: - Hrabia nie odpisuje na nasze listy.

- Może ich nie rozumie. - Przełożony cystersów niefortunnie usiłował dokonać analizy zachowania władcy Tuluzy. - Hrabia nie słynie z bystrości umysłu.

Papież wzruszył szczupłymi ramionami.

- Na litość boską! Nasze listy pisane są do niego w takim stylu, że niedołączy umysłowo starzec nie miałby trudności w należywym ich zrozumieniu. Wszak prosimy go w nich słowami: „Pomyśl tylko, głupi człowieku, pomyśl!” - mówił prosto przed siebie, odgłosem podźwięku myśli. - Poza tym, nawet sekretarz hrabiego... - Papież zwrócił się pospiesznie do kanonika, bo zawsze zapominał jego imienia: - Jak on się zowie, Giovanni?

- Peire Cardenal¹⁴⁶ - odpowiedział niezwłocznie przyjaciel.

- O tak... właśnie... Jakiś były poeta i muzyk nadworny - prychnął Lotariusz. - Zapewne mierny, skoro pracuje dla hrabiego - rzucił z ironią. - Ten Rajmund miewa takie nedorzeczne pomysły. Cóż on ma w tej swojej głowie?

- Chyba nie za wiele - odezwał się Amaury, unosząc do góry krzaczaste brwi.

Giovanni był pełen podziwu dla odwagi cystersa. Znał doskonale papieża i potrafił odróżnić, kiedy ten zadaje pytanie, żeby uzyskać odpowiedź, a kiedy zadaje je samemu sobie, bez oczekiwania na jakąkolwiek eksplikację.

- Tak uważasz, Arnoldzie? - zapytał, przenosząc zaciekawiony wzrok na cystersa.

Przełożony zakonu cysterskiego rzucił okiem przed siebie i ostrożnie kiwnął głową. Kiedy zobaczył nietęgą minę kanonika, uznał, że musi powściągnąć chęć rzucania impulsywnych wypowiedzi,

niektóre z nich mogłyby bowiem zostać źle odebrane przez ojca świętego.

- My z kolei uważamy, że w ogóle nic w niej nie ma, jest tam zupełnie pusto. - Kwaśny uśmiech pojawił się na jego obliczu. - *Animus aeger semper errat!*¹⁴⁷ Już go nazywaliśmy istotą chorą psychicznie i fizycznie, i wiecie co?

Mnisi nie wiedzieli, czekali, aż papież ich oświeci. Lotariusz sprawdzał poziom ich rozumności i trzeźwości umysłu, ale po raz wtóry doznał rozczarowania. Wszak nie mogli oni się równać z jego niepospolicie nadzwyczajną zmyślnością; z nim, którego przebiegła inteligencja czyniła diabolicznym geniuszem na miarę szaleńca. Jako niepospolicie mądry człowiek wszystko, co czynił, czynił ze względu na siebie samego - albowiem w swym przepełnionym fanatyzmem umyśle uważał, że nikt inny nie jest tyle wart, co on sam, a największe profity, jakie mógłby uzyskać od innych ludzi, nigdy nie byłyby w stanie dorównać temu, co on sam mógłby uczynić dla siebie.

- Mój Boże, dlaczego otaczasz mnie ludźmi, którzy w głowach mają jedynie siano z zeszłorocznych zbiorów? - mruknął do siebie, wykrzywiając wąskie usta.

- Tenże głupiec nawet na to nie reaguje - oświadczył niebawem, wyraźnie pocierając ogolony policzek. - Wiemy na pewno: on nie myśli i nie chce pomyśleć! Zupełnie pozbawiony jest woli współpracy i chęci wyplenienia herezji, pomimo naszych stanowczych żądań. Zupełnie! Rozumiecie to? - Wyciągnął rękę i potrząsnął nią ku nim. - Jest jak skała, po której spływa woda, nie pozostawiając najmniejszego nawet śladu.

Arnold odkaszlnął i rzekł skromnie:

- Ojcie święty, każda skała ma swoje słabe miejsca i w najmniej oczekiwanej chwili może zacząć się kruszyć, albowiem *gutta cavat lapidemo*¹⁴⁸.

Papież podniósł głowę i uniósł brwi. Dopadły go różnorodne myśli i uczucia. Z uwagą przyjrzał się wysokiemu cystersowi, wbijając w niego spojrzenie bystrych oczu. Zaciekał go ten zupełnie

zwyczajny człowiek, który jednakże był głową wielkiego zakonu cystersów, kierując setkami opactw, a także tysiącami mnichów.

„No proszę... ten mnich może mi pomóc... Jeżeli dobrze się za niego wezmę, to może mi się przydać. Może i posiada jakiś talent, ale póki co głęboko go skrywa” – myślał Lotariusz, przeprowadzając na szybko chłodną kalkulację, czy Arnold może mu przynieść korzyści, jakich oczekiwaby w myśl papieskich planów, i czy byłyby one wymierne.

Innocenty potrafił szybko przeprowadzać szczegółowe rozważania. Miał do tego nieoceniony dar. Zapewne po sprytniej matce, Claricii Scotti. W końcu gdyby nie ona, nie byłby w miejscu, w którym nareszcie się znalazł.

- Uwolnił swoje serce od wiary – nadmienił Amaury, marszcząc krzaczaste brwi.

- Zatem ja uwolnię Południe od heretyckiego szczura! – ojciec święty warknął niczym wściekły pies. – Ostrożnie wobec niego. Patrzcie, czy tając w sercu ukryty gniew, nie pozdrawia was zdradzieckim obliczem i czy jego mowa nie wyszła z jego czarnej, istic bezbożnej duszy, bo wszak innej tenże głupiec nie może posiadać. Poza tym to niesłychany rozpustnik – rzekł po chwili i zwrócił się z kolejnym pytaniem do przyjaciela: – Giovanni, przypomnij, proszę, co też Diogenes prawił o rozpustnikach?

Kanonik, który pasjami i z niebывałą ambicją zaczytywał się w dziełach Diogenesa z Synopy, odparł niezwłocznie:

- Rozpustników porównywał do drzew figowych rosnących na pochyłościach: owoców ich człowiek nie kosztuje, zjadają je tylko kruki i sępy.

Arnold Amaury przestąpił z nogi na nogę i pochylił się, ponieważ zaswędziała go łydka. Wkrótce wyprostował się.

- „Rozpustnik goni tylko za przyjemnościami i od nikogo nie przyjmuje dobrej rady”¹⁴⁹. – Zaczerpnął powietrza i odkaslnął. – Poza tym to niebывale grzeszny człowiek – napomknął w odpowiedzi. – Namiętności skalają jego duszę i przez to stał się jako bydlę.

Giovanni spojrział na niego przelotnie i głosem, z którego przebijało się prostoduszne zrozumienie, odrzekł:

- Piotr Abelard, którego ogromnie cenię, głosił: *non est peccatum nisi contra conscientiam*¹⁵⁰.

Lotariusz natychmiast skierował na przyjaciela krytyczne spojrzenie. Nie spodobały mu się te wszelako niepokojąco ryzykowne słowa. Giovanni powiódł oczyma po czarnej ziemi, którą miał pod stopami, a papież pomiął milczeniem jego zgoła absurdalną wypowiedź, która jego zdaniem dotyczyła najpodlejszego z ludzi żyjących na tymże świecie, nad którym on dzierżył niepodzielną władzę, a który na przekór rozumowi wyrywał się z papieskich szponów. Słońce było coraz intensywniejsze i nawet konary pinii ledwo dawały sobie z nim radę. Pałace promienie z uporem, który i Lotariusza nigdy nie opuszczał, usiłowały przedzierać się poprzez iglaste gałęzie drzew.

- Mamy nadzieję, że wasze rozmowy w Langwedocji przyniosą upragniony skutek.

- Musimy próbować - odpowiedział Arnold z gorliwością w głosie, stawiając sobie za cel nakłonienie hrabiego Rajmunda na przejście na właściwą stronę, co w konsekwencji będzie oznaczać zdecydowane porzucenie przez niego heretyckich sympatii. W ten sposób cysters niewątpliwie zdołałby zaskarbić sobie nieocenioną wdzięczność Innocentego. - Nie mamy innego wyjścia.

- Na przebity bok Chrystusa! - nastroszył się papież. - A cóż ty gadasz?! - Strzelił szczupłymi palcami. - Wyjście już dawno znaleźliśmy i myślimy o nim od dnia naszej papieskiej koronacji. Jedyne i najbardziej pewne, ale póki co, nikt nie chce się podjąć realizacji naszego planu. - Westchnął z żalem, wszak za jednego heretyka, którego mógłby posłać do piekła, byłby zdolny spalić dziesięciu katolików, bo czyż Ojciec Niebieski z otwartymi ramionami nie przyjmie niewinnych do raju? Po chwili z nadzieją klarował: - Może już wkrótce, dzięki naszym modlitwom, Bóg natchnie konieczną mądrością tych, od których wymagamy aktywnego działania, i uznają

oni, że nasze plany dotyczące wyplenienia herezji są najlepszym i jedynie słusznym rozwiązaniem. Szybkim i skutecznym, żeby w porę zdusić południową zarazę. – Rzucił na mnichów diaboliczne wejrzenie wąskich oczu i rzekł powoli, z rozmysłem: – Albowiem *ab omni lege necessitas exempta est*¹⁵¹.

Giovanni wraz z mnichami stali, nie poruszając się, i z najwyższą uwagą słuchali jakże groźnych słów ojca świętego, który nie rzucał ich nigdy na wiatr.

– Te kacerskie myśli są niebezpieczne i niemoralne, zagrażają bowiem Kościołowi! Rozbijają jego jedność i szkodzą społeczeństwu! Atakują całe chrześcijaństwo! Są niczym trąd! – objaśniał z zapamiętaniem, które było doskonale znane Giovanniemu. – Owi przekłeci heretycy sprzeciwiają się świętym obrzędom, zachęcają do strasznych grzechów. – Złapał się za głowę. – Płoną chęcią spustoszenia świata, ale my do tego nie dopuścimy!

Giovanni jęknął z przerażenia. Lotariusz zdjął ręce z głowy i z wyrzutem spojrział na kanonika. Przerwał płynny potok słów, które wylewały się z papieskiego gardła niczym wino napełniające kosztowne kielichy.

– Kiedy ich wreszcie zniszczymy, wszystkich i każdego z osobna, ludzkość zostanie ocalona, a już na pewno nasza prawdziwa chrześcijańska wiara, jesteśmy bowiem gotowi stosować wszelkie środki, żeby zatamować wylęganie się tych żmii.

Papież ścisnął obie ręce tak mocno, jakby już dusił kilka z nich. Jego nienawiść do heretyków wyrażała się w swego rodzaju pragnieniu zawziętym i potężnym, aby wiodło im się źle. Przełknął urazę, a gniew w jego wnętrzu chował się dopóty, dopóki nie rozpałił się do białości i nie wybuchł z głębi serca, wstrząsając trzewiami, bowiem w jego duszy, która była nieprzeniknioną mrocznością, żarzyła się żądza mordy. Żądza wyróżnienia każdego jednego heretyka.

– Wszelkie! – dokończył lotem strzały.

Żaden z nich nie ośmieliłby się teraz odezwać, czekali na pozwolenie zabrania głosu.

W końcu Lotariusz zezwolił. Pierwszy przemówił przełożony cystersów. Wiedział, że stając z tyłu i – podobnie jak Piotr – tracąc w obecności Biskupa Kościoła Rzymskiego odwagę, nie przybliży się ani o jotę do wyznaczonego sobie wcześniej celu, o którego osiągnięciu w skrytości ducha od dawna marzył i który przyświecał wszystkim jego działaniom. W diabolicznym umyśle, który nie ustępował niegodziwością Innocentemu, zdawał sobie sprawę, iż podporządkowanie się i życie wedle wymagań innych uczyni jego życie niewolą, ale póki co nie spędzało mu to snu z powiek. Wszak dotarcie do celu wymaga poświęceń, a to dowodzi jednego. W pewnych okolicznościach trzeba samemu sobie zadać gwałt, żeby zrealizować odwieczne marzenie i przystać na coś, czego by się w innych warunkach nie uczyniło.

- Ojczy święty, czy macie może na myśli...

- Zaiste, mój Amaury, to dokładnie mamy na myśli – potwierdził tajemniczo. – Widzimy, że nie jesteś aż takim głupcem, za którego cię początkowo mieliśmy. No, z drugiej strony nie powinieneś być, skoro masz pod swoim zwierzchnictwem kilka setek klasztorów i olbrzymią rzeszę mnichów.

- Dziękuję, ojczy święty. – Skłonił się z prawie niedostrzegalnym lisim uśmieszkiem. Jego płomienne marzenia przepalały mu na wskroś duszę, która była podstępna i nieobliczalna. W jej najgłębszych ciemnościach połyskiwał jedynie niewielki płomycek dla nikogo niewidoczny. – Staram się, ku chwale Boga!

Nie zastanawiając się długo, podszedł szybko do Innocentego i pochwycił papieską dłoń. Złożył na niej pocałunek. Czuł, że papież go wyróżnił, a on wszakże zabiegał o tę łaskę. Odetchnął głęboko i dopiero teraz poczuł się odprężony i zadowolony.

Piotr z Castelnu, na którego światło słoneczne padało aż po brodę, z nieukrywaną zawiścią zerkał spod byka na przełożonego cystersów. Poczł ukłucie zazdrości i nie czuł w tym żadnego grzechu.

- Przede wszystkim, mój Amaury, powinieneś zasłużyć sobie na naszą wdzięczność, boska nadejdzie w stosownym czasie.

- Bez wątpienia, Wasza Świątobliwość - zgodził się pśpiesznie Arnold, mrużąc przewrotne, ciemne oczy.

Giovanni, jako bacny i spostrzegawczy obserwator, z miejsca zauważył niepokojąco zimny w ten upalny dzień błysk w oku Piotra. Nie przejął się tym jednak. Spokojny przyjaciel Lotariusza w każdym człowieku starał się bowiem dostrzec jedynie dobre strony i miłość do bliźniego. Swoją etykę społeczną opierał na przeświadczeniu o dobrej naturze istoty ludzkiej, ponieważ rozum nakazuje czynić dobrze, a każdy człowiek jako stworzenie rozumne, jeśli tylko będzie chciał, może chodzić drogą cnoty. Pomimo wielu zawodów, jakich doznawała jego nieuzasadniona wiara w człowieka, nadal popełniał te same błędy i nie potrafił wyciągać z nich należytych wniosków.

Innocenty powstał z ławki i przeszedł parę kroków. Postanowił wrócić do swoich komnat. Poczował głód, który dawał o sobie znać nieprzyjemnym burczeniem. Wysunął ręce do tyłu i usiłował rozprostować zasiedziałe, czterdziestoletnie kości. Po chwili nie dłuższej, niż trwa kilkanaście uderzeń temperamentnego serca, zawrócił i podszedł do mnichów. Stanął przed nimi ze złożonymi przed sobą rękoma i oznajmił:

- Wracajcie zatem czym prędzej do Langwedocji i zajmijcie się ujarzmianiem plugawego węża. Wbijajcie do głowy pozbawionej rozumu szlachcie, którą wolelibyśmy najchętniej usmażyć, że potępiamy herezję i rozkazujemy im, aby postępowali kategorycznie względem bluźnierców, którzy wszak gniją za życia - obwieścił żarliwie, aczkolwiek dostojnie.

„Choćbym miał sam zgnić za życia, nie pozwolę, by herezja zwyciężyła... Uwolnię chrześcijański świat od tych wszystkich pijawek wysysających z niego krew i życie...” - rozważał na szybko w myślach.

- Przytaczajcie solidne argumenty i popierajcie je należnymi dowodami - dokończył.

Papież zmierzył Piotra niechętnym spojrzeniem.

- Ciekawi jesteśmy, czy w ogóle powiedzie wam się to zadanie - rzucił z ironią - bo szczerze mówiąc, bardzo w to wątpimy.

Cystersi nie byli szczególnie zdumieni opinią Innocentego. Słuchali pokornie, bez sprzeciwu. Piotr żywił w duszy szczerą nadzieję, że papież zechce uczynić go w końcu legatem, ponieważ mieszkał w Langwedocji i najlepiej znał teren oraz ludzi tam mieszkających.

- Pamiętajcie zawsze przed snem i o świcie, kiedy się zbudzicie - zaznaczył srogo Innocenty - że herezję uznaliśmy za równoznaczną ze zbrodnią obrazy majestatu boskiego! Rozgłaszajcie tę wieść!

- Zapamiętamy - zapewnił Amaury.

- Obyście nas znów nie rozczarowali.

Amaury przyłożył rękę do serca i mając w myśli jakże prawdziwą sentencję łacińską „*adulationi foedum crimen servitutis*”¹⁵², rzekł z przejęciem:

- To niemożliwe, ojcze święty.

„Nie przechwalaj się dniem jutrzejszym, bo nie wiesz jeszcze, co się za nim kryje”¹⁵³ - pomyślał z drwiną Lotariusz i oświadczył, tocząc po mnichach wąskimi oczyma:

- Pamiętajcie, wedle słów Periandra z Koryntu¹⁵⁴, wysiłek może wszystko!

Piotr nie odzywał się, wiedział bowiem, że cokolwiek powie, papież nie będzie rad i z pewnością wytknie mu to, udzielając przy tym sarkastycznej przygany. Tylko przed Lotariuszem, tylko przed nim kolana miękły mu jak brzozowe gałązki, a kłótlivy zawsze język stawał się niepokojąco sztywny. Sam się temu dziwił.

- Chcielibyśmy was jeszcze powiadomić, że wkrótce odbędzie się egzekucja ośmiu zaciętych jak sam diabeł heretyków - poinformował na zakończenie audiencji. - Na szczęście zostali w porę schwytani. Usiłowali przedostać się zdradziecko na Południe. Żałosne robactwo! - Lotariusz wzdrygnął się. Zrobiło mu się zimno. Było gorąco, ale on na myśl o heretykach dostawał zimnych potów, albowiem brzydził się tego robactwa. - Wylęgają się nie wiadomo skąd. Diabeł trzyma ich mocno w szponach, bo nie chcą się go wyrzec, dlatego zostaną należycie ukarani - dodał, z cichym zadowoleniem zacierając ręce. -

A skoro tak, ich oblubieniec będzie im towarzyszył do samych bram piekła!

- Gdzie ma się ona odbyć? - spytał przełożony cystersów, udając zainteresowanie.

Papież, wzruszając ramionami, odpowiedział drwiącym pytaniem:

- No chyba nie sądzisz, że na Południu?

„I cóż, Amaury? Nie jesteś jednakże tak dobry, skoro z ciebie papież również zadrwił” - Piotr w duchu uśmiechnął się szyderczo. Poczł zadowolenie. Nareszcie!

Przybyli duchowni czekali na szczegóły.

- Miała się odbyć w Troyes, ale że wkrótce rozpocznie się tam jarmark, zatem na moje życzenie została przeniesiona do Tours. Znacie to miejsce?

- Owszem - podchwycił Arnold, ponieważ wielokrotnie przejeżdżał tamtejszym traktem. - Jakaż ich śmierć czeka?

- Jedynie słuszna i właściwa.

Giovanni bezwiednie zadrżał na myśl o ziemskich katuszach, jakie zostaną zadane bezbożnym zmiłom, nim skonają na tym świecie, aby następnie ich dusze przez wieczność cierpiały piekielne męki. Przeżegnał się szybko i niczym dobry duch ruszył w ślad za papieskim przyjacielem.

*

Blanka całą noc spała niespokojnie. Rzucala się we śnie, budziła się kilkakrotnie i piła przyniesiony jej przez Wilhelminę napój. Za każdym razem miała problemy z ponownym zaśnięciem. Denerwowała się i wtedy sen odchodził jak ustępująca o świcie noc. Bała się poranku. Modliła się do Najświętszej Panny Maryi, by noc trwała nieprzerwanie i nigdy się nie skończyła. Wiedziała jednak, że to tylko pobożne życzenie, które nie miało szans na spełnienie. Obawiała się

rozstania z Eleonorą i chciała odwlec tę chwilę najdłużej, jak tylko się da.

Kiedy mrok się przerzedził i nastał nieszczęsny świt, siostra Wilhelmina bezszelestnie weszła do celi. Łagodnie dotknęła wysuniętego znad sztywnego wełnianego koca ramienia infantki.

- Księżniczko, już czas - powiedziała najdelikatniej, jak tylko potrafiła. - Księżna czeka.

Blanka stęknęła ciężko. Nie odwracała się od ściany, nie chciała wstawać. Byłaby szczęśliwsza, gdyby mogła zostać tu, w klasztorze, razem z babką. Ale Eleonora i Bóg inaczej zaplanowali jej życie.

- Pomogę podczas ubierania - dopowiedziała grzecznie zakonnica.

- Nie trzeba - odparła apatycznie. - Mam służące.

Wilhelmina pomimo tego upierała się.

- Wiem, infantko, ale pragnę pomóc przyszłej królowej Francji.

Blanka włożyła zieloną suknię ze sznurem wielkich pereł na wąskich jeszcze dziecięcych bioderkach i szmaragdową opaskę na falujących włosach. Wschodzące słońce, które przenikało poprzez niewielkie okno, krzesło wspaniałe blaski z klejnotów, którymi obszyta była suknia infantki.

Wkrótce, w towarzystwie Wilhelminy, dwunastoletnia dziewczynka weszła do refektarza. Babka już tam była, czekała na wnuczkę. Przed nią leżał na talerzu kawałek chleba, ciasto i ser. To samo otrzymała na śniadanie kastylijska infantka. Dziewczynka usiadła na tym samym miejscu co poprzedniego wieczoru. Miała nieszczęśliwą minę i ściśnięty żołądek. Ostatnią rzeczą na świecie, na jaką miała ochotę, było śniadanie. Czuła się tak słabo, że ledwo przegryzała poranny posiłek, nie potrafiła cieszyć się dalszą podróżą.

Eleonora nie spuszczała z wnuczki oka. Patrzyła na nią zapewne po raz ostatni w życiu i pragnęła za wszelką cenę zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół z jej pięknej, niewinnej buzi. Patrzyła uporczywie na słodkie migdałowe oczka ocienione wachlarzem ciemnych rzęs, które sięgały brew, na miejsca, w których robiły się dołeczki w policzkach, kiedy dziecko mocno się uśmiechało. Pragnęła

zapamiętać wijące się, starannie ułożone włosy, które miały taki sam kolor jak włosy jej samej, nim pokryły się bielą. Zastanawiała się, na jakie życie skazała wnuczkę. Czy na takie samo jak wszystkie swoje córki? Czy ono również będzie pozbawione miłości? Czy ta piękna, niewinna dziewczynka będzie żyła z mężczyzną, który pewnego dnia opuści ją dla nałożnicy, a potem będzie zmuszona wychowywać jego bastardy?

Blanka natomiast nie miała odwagi podnieść wzroku. Bała się, panicznie się bała, że kiedy spojrzy w zielone, mądre oczy babki, cała jej pewność siebie nieodwołalnie runie i znów będzie płakać. Bała się rozczarować księżnę w dniu rozstania. Chciała zasłużyć sobie na jej pochwałę, zapewne ostatnią w życiu. Jedynym, o czym marzyła w tej chwili, było to, aby babka była z niej dumna. Zapamiętała wszystkie jej nauki, wzięła je sobie do serca. Nie płacze, bo królowe nie płaczą. Będzie silną, wytrwałą i nieugiętą kobietą. Będzie silną, wytrwałą i nieugiętą królową. Jak jej babcia. Zawsze! Nie mogła jednak pozostawić w pamięci Eleonory zapłakanej dziewczynki, która użalała się nad sobą. Królowe w ten sposób nie postępują. W ten sposób nie postępuje przyszła królowa Francji. Blanka marzyła, że kiedyś dorówna babce, a może nawet ją przewyższy. Ale teraz nie mogła płakać, nie mogła pociągać noskiem jak mała kwiląca dziewczynka. Była Blanką Kastylijską, wnuczką najpotężniejszej z kobiet, Eleonory, księżnej Akwitanii, hrabiny Poitou, królowej Franków i królowej Anglii. Nie mogła płakać, mimo iż serce podpowiadało rzecz zgoła odmienną, z hukiem roztrzaskując się na drobne kawałeczki jak szklany kielich Eleonory z pałacu L'ombrière.

Patrzyła na babkę zapewne po raz ostatni w życiu. Krew z krwi. Bądź silna, wytrwała i nieugięta. Zawsze!

- Podaj mi rękę - poprosiła księżna łagodnie.

Dziewczynka posłusznie wyciągnęła drobną dłoń.

Eleonora, nie zwlekając, wcisnęła w jej zagłębienie piękny, złoty pierścień z cennym szafirem.

- Oby Bóg zesłał ci całe szczęście tego świata... - szepnęła z czułością Blance do ucha i ucałowała jej miękkie policzki gorąco, jak nigdy żadnego ze swoich dzieci.

Księżna Akwitanii poleciła dowódcy, by teraz z kolei on czuwał nad jej cenną wnuczką i nie spuszczał jej z oka.

- Pilnuj jej. To prawdziwy skarb - przykazała surowo. - Nie ma niczego cenniejszego od niej.

Kastylijka ze ściśniętym sercem i cudnym pierścieniem w zaciśniętej dłoni opuszczała mury opactwa w Fontevraud, w którym królowe i księżniczki - odepchnięte, opuszczone, pozostawione same sobie - dopełniały ostatnich chwil życia. To w nim zmarła przed wieloma laty Bertrada de Montfort¹⁵⁵. Ukochana króla Franków Filipa I¹⁵⁶, dla której to kobiety, owładnięty miłosnym szaleństwem, odtrącił prawowitą żonę Bertę¹⁵⁷ (wbrew wszelkim zasadom postawił na swoim i poślubił pełną powabu żonę andegaweńskiego hrabiego Fulko IV¹⁵⁸, narażając się tym samym na papieski gniew i klątwę). Prababka drugiego męża Akwitanki Henryka II Plantageneta. Eleonora zajmowała jej celę.

Blanka wyjechała. Ze służbą, darami i bogactwami, biskupami Saintes, Poitiers¹⁵⁹ i arcybiskupem Bordeaux oraz rycerską eskortą pod dowództwem Guya de Ardalais'go.

Księżna szła wolno wirydarzem. Osamotniona, zboląła. Mijała milczące zakonnice poruszające się niemal bezgłośnie, z opuszczonymi głowami. Przemierzała długie klasztorne korytarze. Z ociąganiem weszła do surowej celi. Nakazała, by jej nie przeszkadzano, a nikt nie odważyłby się postąpić wbrew jej stanowczym życzeniom, nawet Amaria.

Usiadła ciężko na wąskim łożu. Oparła łokcie na kolanach i zatopiła starą, onegdaj najpiękniejszą pośród europejskich władczyń twarz w dłoniach. Jej wysuszonym, starczym ciałem siedemdziesięcioośmioletniej kobiety wstrząsnął nagle gwałtowny szloch. Opętańczy. Nieujarzmiony. Wybuchowy. Poddała mu się. Pozwoliła na to. Łzy niepohamowane, szaleńcze spływały po

pomarszczonej twarzy księżnej Akwitanii, byłej królowej dwóch królestw. Nie chciała się opanować. Nie chciała przestać. Pragnęła poczuć całym ciałem, które dawało niegdyś miłość i namiętą rozkosz, ten smutek, ten żal, ten ból. Pragnęła odczuć tę nieznośną udrękę, która ją teraz pochwyciła i przesywała na wskroś niczym białozór, który osacza, dopada i rozrywa bez litości swoją ofiarę z leśnych ostępów. Pragnęła wypłakać całą bolesć i miłość do tej małej, pięknej dziewczynki, która była najprawdziwszą, żywą kopią jej samej w młodości. Krew z krwi. Bądź silna, wytrwała i nieugięta. Zawsze!

*

Hrabia de Peyres kręcił się nerwowo pod drzwiami sypialni swojej żony. Miotał się jak złapany w sidła zając. Nie pozwalano mu wejść. Nikt nie chciał słuchać hrabiowskich próśb. Nie można!

- Wszak hrabia nie może przebywać w środku - przekrzykiwały się służące, jedna głośniejsza od drugiej. - To nie dla mężczyzn!

Agnes wraz z kilkoma dziewczętami przebiegały szybko halle olbrzymiego zamku Peyres. Zbiegały po wąskich schodach do zamkowej kuchni i z powrotem, dysząc, wracały do sypialni Bertille de Peyres. Zziajane, z wypiekami na twarzy wzniecały podmuch wiatru. Gryzący kurz unosił się ponad kamiennymi płytami.

Wszyscy wyczekiwali. Ale najbardziej niespokojnym był hrabia Aurelien. Zaciskał dłonie w nerwowym oczekiwaniu, drapał się po głowie i zakładał włosy za uszy. Wielki dreszcz udręki co rusz przelatował po męznym hrabiowskim ciele i ścisnął mu żołądek. Stale powtarzał te same czynności, ale nic nie pomagało ukoić zdenerwowania. Ermessenda podeszła do ojca. Z troską w głosie rzekła przymilnie:

- Ojczy, odpocznij. To jeszcze długo potrwa.

- Dlaczegoż to? - wyrwało się hrabiemu.

Dziewczyna zastanowiła się. Dlaczego? Cóż ma mu powiedzieć? Bo tak jest? Bo hrabina nie jest młodziutką dziewczyną? Bo kobiety długo rodzą dzieci? Bo to nie jest taką łatwą sprawą dać życie maleństwu? Bo to nie jest widok, na jaki mężczyźni powinni patrzeć? Nie można!

Agnes przebiegła obok jak zwinna sarna poprzez łąkę i skoczyła do komnaty, znikając za jej progiem. Lewe skrzydło drzwi pozostawiła omyłkowo uchylone. Hrabia, nie czekając na odpowiedź córki, z miejsca zauważył to przeoczenie i przyskoczył do nich. Z czerwoną z przejęcia twarzą zajrzał do środka. Stał tak jedynie przez krótką chwilę, póki nie zamknięto mu ich z pretensją w głosie przed nosem.

- Panie, tak nie można! Nie wolno! - wyjaśniały pośpiesznie służki.
- Hrabina potrzebuje spokoju.

Niczego nie widział, a co najgorsze, nie zdołał ujrzeć ukochanej Bertille.

- W czym ja przeszkadzam? Chcę jeno pomóc - odrzekł załamany. - Chcę być blisko mojej hrabiny.

- Nie można! - odpowiedział mu jednogłośnie chór kobiet, broniących dostępu do jego żony jak zwierzęca mama ochraniająca swoje ślepe maleństwa.

Stał w korytarzu zmartwiony, opierając się o ścianę. Nikt nie chciał go dopuścić do rodzącej Bertille.

Poród zaczął się o świcie, wówczas hrabina poczuła silne bóle. Służące, w tym dwie wprawione niemało w odbieraniu hrabiowskich porodów, zajęły się panią. Otoczyły ją opieką i fachowo zabrały się do pracy. Medyk na razie nie był potrzebny i na spokojnie obywano się bez jego asysty. Bertille całkowicie zawierzyła znajdującym się na rzeczy kobietom. Siebie i swoje nienarodzone dziecko. Syna!

„To musi być syn. Jeno syn! Nie zniosę córki... - rozpaczliwie myślała. - Boże, dopomóż mi... Dopomóż... Jeno ty możesz mnie uratować... Boże Wszechmogący...”

Ermessenda wiernie trwała przy ojcu, nalegała i nie dawała za wygraną.

„Moja Bertille, moja ukochana. Bądź dzielna! Jestem tu... tuż obok ciebie... Jestem...” – mówił Aurelien w myślach do pani swojego serca i życia.

– Ojczy, idź już. Idź. To naprawdę nie jest właściwe miejsce dla ciebie – tłumaczyła zatroskana. – Proszę. Kiedy nadejdzie pora, dam ci znać, co z matką... i z dzieckiem.

– Uczynisz tak? – zrezygnowany domagał się potwierdzenia. – Na pewno?

Hrabia nie był przekonany, czy córka spełni obietnicę. Uważał, że jego obowiązkiem jako męża jest trwać przy boku ubóstwianej żony. Ostatecznie dał się jednak namówić. Dziewczyna zawsze umiała przekonać go do swoich racji, a w tym wypadku rzeczywiście miała słuszość. Była zresztą kochającą córką, dobrą i posłuszną rodzicom. Teraz już także narzeczoną wicehrabiego Béziers, Carcassonne i Albi.

– Obiecuję – odpowiedziała łagodnie. – Idź.

Aurelien z sentymentem spojrział na jedyną córkę; kochał ją niepomierne. Działał na zwłokę, ale koniec końców posłuchał Ermessendy. Machnął na stojącego przy nim giermka i obaj odeszli.

Dziewczyna poczekała, aż ojciec zbliży się do krętych schodów i zacznie po nich schodzić, po czym cichutko zbliżyła się do drzwi sypialni. Otworzyła je ostrożnie, cichuteńko, bezszumnie. Niezauważona przez pomagające Bertille służące i akuszerki, weszła prawie na palcach do środka matczynej komnaty. Stała nieśmiało w progu, ponieważ nie chciała przeszkadzać pracującym służkom. Nie była tu od tygodni. Z matką rozmawiała krótko po wyjeździe Rajmunda Rogera Trencavela, kiedy ta zawołała ją do hallu, w którym odbywały się zazwyczaj uczyty.

W przestronnej sypialnianej komnacie było duszno i gorąco, ale kobiety orzekły, że tak być musi. One znały się na rzeczy i wiedziały, co należy czynić. Okna pozamykano, a para unosiła się pod sam kamienny sufit, płomień wesoło buzował w kominku. Ktoś co chwila dorzucał do niego drew, żeby woda w stojących i wiszących na hakach kotłach oraz w małych saganach była gorąca. Służba miała pełne ręce

roboty. Biegała w tę i we w tę. Noszono świeże prześcieradła, zabierano te spocone i zakrwawione. Kobiety tłoczyły się przy hrabinie i starały się jak najmniej zwracać uwagę na siebie, jednakże nie było to możliwe. Co chwila słychać było zawodzenie Bertille. Gotowano jej uspokajające zioła do picia, robiono przeciwbólowe okłady, podawano pieprz, używany do przyspieszenia porodu poprzez zmuszanie rodzącej do częstego kichania, modlono się o skrócenie mąk kobiety, ale nic nie potrafiło zmniejszyć jej bólu. Anna, osobista służka żony Aureliena, objęła w komnacie niepodzielne rządy, a akuszerki, które klęczały przy nogach hrabiny, szeptem rozprawiły pomiędzy sobą.

Rodząca ich nie słyszała, koncentrowała się na bólu, który z każdą minutą stawał się ostrzejszy. Był jak solidnie naostrzony sztylet wbijający się bez oporów w ciało, rozcinający skórę i mięśnie. Na zmianę sapała i jęczała, zawodziła, jakby była pierwszą kobietą mającą za chwilę wydać na świat dziecko. Bolał ją kręgosłup, a intensywny ból ścisnął gwałtownie ciało metalową obręczą, nie pozwalając jej złapać tchu. Była wyczerpana i bardzo zdenerwowana.

- Kiedyż to się skończy? - jęczała. Pot spływał z niej po każdym nawrocie bólów.

Tłuściutka Anna z oddaniem nachyliła się nad Bertille. Złapała szybko leżącą nieopodal jedwabną ściereczkę i przytknęła ją do czoła rodzącej. Perliły się na nim duże krople potu. Hrabina cierpiała i zagryzała sine wargi nieomal do krwi.

- Moja pani... jeszcze trochę... Jeszcze musicie się trochę pomęczyć, nim weźmiecie dziecko w ramiona.

- Moje dziecko... Mój syn! - wydała z siebie tłumione stęknienie. - Syn... Maryjo, Dziewico Przenajświętsza, o jakże boli... teraz tak okropnie...!

Anna zamoczyła ściereczkę w srebrnej misie z ziołami i bez zwłoki przyłożyła ją delikatnie do gładkiego czoła Bertille. Wykrzywiona twarz hrabiny wyrażała nasilającą się boleść.

- Maryjo najśłodsza... daj mi syna... Obdarz mnie tym jedynym, najdroższym synem - szeptała do siebie w przerwach pomiędzy skurczami. - Błagam... Panienko najmilejsza... Och!!!

Nieznosny ból wzmagał się, a Bertille wiała się na łożu.

- Krzyczcie, moja pani, krzyczcie - nagabywała Anna. - Ulżyjcie sobie. To pomaga....

Bertille rzucała głową na obłożonych jedwabiem poduszkach i mięła spoconymi dłońmi kosztowną pościel. Przekręcała się, usiłując znaleźć wygodną pozycję do leżenia, ale i to nie pomagało. Wtem podniosła głowę i przypadkiem zauważyła stojącą cichutko córkę. Ermessenda patrzyła z ubolewaniem na cierpiącą matkę. Pragnęła być blisko, pragnęła troszczyć się o nią.

- Cóż ona tu robi?! - wrzasnęła nagle hrabina. Ból rozrywał jej kręgosłup. Zawyla.

Kobiety podskoczyły wystraszone jej krzykiem i jednocześnie odwróciły się w stronę hrabiowskiej córki. Ermessenda stała nieruchomo. Całkowicie struchlała.

- Wynoś się stąd! - krzyczała w szale matka, kiedy ból nieznacznie zelżał. - Wynoś się!

Anna migiem podbiegła do oszołomionej dziewczyny i ująwszy ją pod rękę, usiłowała wyprowadzić z komnaty. Dziewczyna postawiła opór grubej służącej.

- Zostaw mnie! - syknęła i zwróciła się błagalnym tonem do hrabiny: - Matko, pozwól mi zostać. Chcę ci pomóc... Pozwól mi.

Bertille nie zamierzała słuchać prośb Ermessendy.

- Wynoś się stąd! - brzmiał nieczuły rozkaz posłany w stronę znieawidzonego dziecka.

Nie przestawała krzyczeć, dlatego kobiety, zaniepokojone stanem hrabiny, nie pozwoliły córce pozostać w komnacie. Ermessenda została siłą wypchnięta na zewnątrz. Hrabina zajęta była swoim cierpieniem i oczekiwaniem na syna. Nie zamierzała tolerować obecności córki.

Hrabianka stanęła w ciemnym korytarzu i patrzyła tępo na drzwi, które były dla niej zamknięte. Zawsze! Poczwała w sobie rosnący bunt.

- Za co mnie tak karzesz, matko?! Za co? Cóż ja ci uczyniłam, że mnie tak nienawidzisz?! - wyrzuciła z siebie. - Cóż ci złego uczyniłam?!

Odpowiedział jej przenikliwy krzyk Bertille.

Dziewczyna zmrużyła niebieskie oczy, które nie były już tak błękitne, tak pogodne, ale ciemne jak niebo przed zbliżającą się burzą. Zacisnęła drobne pięści. Wiedząc, że zupełnie zbytecznym jest stanie tutaj i słuchanie wrzasków rodzącej, zbiegła schodami na dół. Wzburzona wypadła na dziedziniec. Błyskawicznie przebiegła wzrokiem plac przed sobą.

- Siodłać mi konia - krzyknęła niemiło do stajennych. - Prędko!

Chłopcy siedzący przed stajnią żwawo się poderwali i migiem zabrali się do zajęcia, które zleciła im córka hrabiego de Peyresa.

Ta nieopodal stajni zauważyła tymczasem idącego służącego, który dzierżył w dłoniach jakieś ciężkie przedmioty.

- Ej, ty! Podejź tu szybko!

Chłopiec, który właśnie miał wchodzić do kuźni, odwrócił się na pięcie.

- Podejź do mnie! - powtórzyła ostro.

To do niego były skierowane rozkazujące słowa Ermessendy. Podeszedł prędko. Ukłonił się, oczekując od córki hrabiego poleceń.

- Idź do kuchni i każ szybko przygotować dla mnie dwa bochny chleba i kawał sarniny. Pospiesz się!

Służący odłożył narzędzia na ziemię i bez szemrania udał się, by spełnić żądanie. Zniknął za progiem jednego z donżonów, znajdujących się po lewej stronie zamku. Podążył w stronę, gdzie znajdowała się zamkowa kuchnia, magazyny i spiżarnia. Dziewczyna odsapnęła, jednakże w dalszym ciągu biła się z myślami, które ani na chwilę nie dawały jej wytchnienia i uspokojenia. Szamotała się w pętach gwałtownych emocji.

„Zatem dobrze... jeśli nie chcesz mnie kochać... nie kochaj. Nie zmuszę cię! Nie potrafię!”

Skierowała głowę na prawo, gdzie jej wzrok zatrzymał się na okutych, ciężkich drzwiach wejściowych do zamkowej kaplicy. Zamyślała wejść, ale... ostatecznie zmieniła zdanie. Uświadomiła sobie, że jest zbyt rozdrażniona, by powierzać Bogu szalejące w głowie myśli i drżące w niej uczucia. Innym razem może będzie miała większą chęć na modlitwę i rozmowę z zamkowym kapłanem. Dzisiejszy dzień nie był po temu najlepszym.

Nagle usłyszała wrzask. Był radosny, euforyczny i donośny, jakby tabun koni wtargnął ni stąd, ni zowąd. Rozniósł się głośnym echem po całym warownym zamku Peyres. Słysząc go było w każdym zakamarku i w każdej dziurze dziedzińca, na którym stała Ermessenda.

- Syn! Syn! Urodził się syn! Nasz hrabia doczekał się syna! - krzyczała jak oszalała tłusta Anna. - Radujmy się! Hrabina urodziła syna! Syn! - Rozanielona kobieta wbiegła na podwórzec, chcąc wszystkim wokół obwieścić radosną nowinę. Krzyczała głośno jak Bertille podczas porodu.

„Szczęśliwe dziecko...” - westchnęła ze smutkiem Ermessenda. W tej chwili, jakże szczęśliwej dla mieszkańców zamku Peyres, nie potrafiła wykrzesać z siebie odrobiny radości. Jej serce było niezmiernie rozżalone, dlatego nie poszła do matki.

Chłopcy stajenni przygotowali do drogi jej rumaka, który na widok hrabianki radośnie podrzucił wielkim łbem, a grzywa spadła mu na oczy. Dziewczyna dosiadła wierzchowca, odebrała wór z jedzeniem i podjechała do bramy.

Z miejsca przykuło to uwagę grubej służącej.

- Otwierać! - krzyknęła Ermessenda do strzegących wjazdu zbrojnych Aureliena de Peyresa.

Biegająca po dziedzińcu Anna zatrzymała się. Przestała wykrzykiwać radosną nowinę i z godną pożałowania ciekawością, która nigdy jej nie opuszczała, zerkała, jak córka Bertille znowu opuszcza ojcowski zamek i udaje się w nieznanym nikomu kierunku.

- Czy nasza pani wie, dokąd wyjechała jej córka? - zapytała Annę jej siostra, mała, równie gruba Maria, która właśnie wyszła na dziedziniec z naręczem zakrwawionej pościeli i brudnych szmat.

Anna pokręciła przecząco głową.

- Należy niezwłocznie powiadomić o tym hrabinę - oznajmiła Maria.

*

Wierzchowiec zjeżdżał ostrożnie. Ermessenda nie rozglądała się na boki, przytulona do wielkiego rumaka z przyciśniętymi do końskich boków nogami. Nie patrzyła za siebie, na szczyt góry, na którym pradziadek hrabianki postawił warowny zamek Peyres. Spokojnie dotarła do doliny, którą Bertille zawsze obserwowała z okien komnaty. Zimą więcej mogła dojrzeć, gdyż wówczas drzewa i krzewy pozbawione były roślinności. Teraz dolina dyszała ciemną, gęstą zielenią i roztaczała upojną woń.

Koń pognał. Umiejętnie wystrzegał się leśnych, zdradliwych przeszkód: niskopiennych drzew i krzaków - uważał na wystające ostre konary oraz przewrócone nadgniłe kłody drzewne. Omijał wysokie, szczupłe cyprysy i kłujące krzewiny. Ermessenda mogła czuć się pewnie w siodle ulubionego wierzchowca, na jego szerokim grzbiecie. Pędził niczym narowisty huragan przez pola i ustronne dróżki wypalone słońcem. Było upalnie, a słońce niemiłosiernie raziło w oczy.

Już starożytni Rzymianie, sadząc pierwsze winorośle, zdołali dostrzec potęgę langwedockich ziem i wspaniałe warunki dla dojrzewania winogron. Rozpalona ziemia gorzała, umęczona prażącym ją słońcem. Ono nie znało litości. Było jak Najlepszy Ojciec. W powietrzu unosił się intensywny zapach ziół, takich jak tymianek, rozmaryn i lawenda. Znad morza nawiewały ciepłe poddmuchy wiatru. Kierowały się od wapiennych, zalesionych gęsto wyżyn Corbières

dalej na północ, aż do głębokich, ciemnych lasów z Montagne Noire, trącąc po drodze rozciągające się na wschód płaskie tereny Minervois, masowo upstrzone drzewami z szerokimi, gęstymi koronami. Ich proste pnie od pewnej wysokości stawały się rozwidlone, a gałęzie wyrastające z górnej jego części wznosiły się pod kątem ostrym. Młode drzewka miały korę szarobrązową, która pokryta była w wielu miejscach rysami; u starszych natomiast była ona głęboko bruzdowata jak twarz starej kobiety utrudzonej życiem. Przyjemny wiatr podwiewał suknię Ermessendy. Buszował w jej długich włosach jak ptaszek w gęstych zaroślach. Nawiewał jej na twarz. Z nim też przestała walczyć. W dalszym ciągu, pomimo pogodnego dnia, odczuwała klucie serca, ale zdawała sobie po trosze sprawę, że matka już nigdy nie obdarzy jej miłością. Wszak powiła ukochane dziecko, syna, którego tak bardzo pragnęła i który był dla niej wszystkim, zanim jeszcze zdołał przyjść na świat. Ermessenda nie czuła zazdrości o to maleństwo. Jeny do matki miała żal.

„Cóż taki maluszek jest winny temu, że matka mnie nie chce... Że nigdy nie chciała?” – pomyślała ze smutkiem, który nie odstępował jej jak słońce langwedockiej krainy.

Koń zwolnił i jechał stępa. Pogładziła go z czułością po szyi. Z taką czułością, o jakiej marzyła, a której matka jej pozbawiła.

– Wiesz, jak bardzo cię lubię? – spytała cicho. Wierzchowiec poruszał uszami.

Niebawem dotarła do lasu, w którym rosły karłowate sosny. Odetchnęła pełną piersią. Była sama, pośród drzew, ptaków i leśnych zwierząt. Będąc daleko od zamku, mogła swobodnie oddychać, czuć się wolną, niczym nieskrępowaną, bez ciekawskiego spojrzenia ludzkich oczu. Nie musiała oglądać żalonych min dworzan, którzy współczuli jej losu niekochanego przez matkę dziecka. Nie cierpiała litości, choć nawet ojciec nie potrafił ukryć przed nią tego przykrego uczucia.

Skierowała konia na południe. Przy ujściu rzeki Aude znajdowały się ciemne jaskinie i wąwozy, do których nikt nie śmiał się zapuszczać.

Mieściło się tu od niedawna leprozorium. Ermessenda prostowała się i wyciągała szyję, chcąc dojrzeć miejsce, które stanowiło cel jej podróży.

Mnich, kiedy tylko usłyszał końskie rżenie, wyszedł z jaskini. Tymczasem córka Aureliena zbliżyła się i zatrzymała rumaka w bezpiecznej odległości.

- Witajcie - przywitała się miło, ale przyglądała mu się uważnie. Taksowała czujnym okiem całą jego sylwetkę. Był on odziany w brudny, zniszczony habit. Długa, siwa broda była mocno skołtuniona, ale oczy doświadczonego przez życie starca ufnie spoglądały na córkę hrabiego.

Zakonnik ukłonił się możnej pannie.

Ermessenda z wysokości końskiego grzbietu spojrzała w jego mętne oczy.

- Nadal jesteście zdrowi, mnichu? - zapytała z niepokojem.

- Bogu niech będą dzięki - odparł bez zastanowienia.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- Dajcie, ojcze, wody - poprosiła. - Mój koń jest spragniony. Tylko, proszę - przestrzegła mnicha, zniżając głos - ostrożnie, pamiętajcie!

Zeskoczyła z wierzchowca i zdjęła z jego grzbietu wypchany wór. Następnie, nie spuszczać oczu ze starca, postawiła go na ziemi. Odsunęła się. Zanim ogień strawił budowlę leprozorium, jedzenie zostawiała przed bramą. Kołatała jedynie do ich drzwi, dając tym samym znać, że przybyła. Jednakże teraz, kiedy ludzie schronili się tymczasowo w jaskini, chciała mieć pewność, że jadło trafi do nich, a nie do pysków dzikich zwierząt.

- Następnym razem postaram się przywieźć więcej - obiecała z mocą. - Nie zawsze mogę wziąć tyle, ile bym chciała.

Mnich był wzruszony dobrocią i szczodrością córki hrabiego de Peyresa.

- Dziękujemy, pani. Oby Bóg nigdy was nie opuścił, żywię dla was najwyższą cześć.

Ermessenda zaczęła machać ręką na znak, że podziękowania są zbyteczne.

- Bogu dziękujcie, nie mnie.

Mnich podniósł ciężki wór. Zanim skierował się ku jaskini, rzekł na odchodnym:

- Zaraz napoimy konia. Wody nam nie brakuje. Źródło bije nieopodal, a my korzystamy z niego, póki nam jeszcze nikt nie zabronił.

Wskazał ręką wewnątrz groty z gestem zaproszenia.

- Wejdziecie, pani, do środka? - zaproponował uprzejmie.

Ermessenda postawiła krok naprzód, ale natychmiast się zawahała. Zdawała sobie sprawę, że ten kawałek jaskini, który starzec miał na myśli, jest bezpieczny, nie było tam zagrożenia, ale mimo wszystko ogarniał ją strach. Był on silny. Czy słusznie? Dała znać ruchem głowy, że nie skorzysta z gościny. Zakonnik zaś był dostatecznie rozsądny, aby nie ponawiać zaproszenia.

- Poczekam tutaj - zapowiedziała, patrząc na niego otwarcie i uśmiechając się z pewnym zakłopotaniem. - Wkrótce muszę wracać. Kiedy przeniesiecie się w odpowiednie miejsce?

Mnich wzruszył chudymi ramionami, które były prawie tak cienkie jak gałęzie drzew; lada chwila, a mogły popękać.

- Jenó Bóg może to wiedzieć, pani. Po ostatnim pożarze trudno nam znaleźć właściwe. Ludzie boją się nas - wyjaśniał z przejęciem. Kiwał głową i prawił: - Musimy żyć w jaskini. Dobrze, że przynajmniej nie jest to zima.

- Czy mogę... bardziej wam pomóc?

- I tak robicie więcej, aniżeli moglibyście - odparł uprzejmie i odwrócił się. Zniknął w mroku groty.

Gorące promienie słoneczne przygrzewały jej dziewczęcą twarz. Przeszła bliżej wierzchowca, który stał w cieniu drzew i skubał trawę. Usiadła na kamieniu i rozejrzała się wokół siebie. Lubiała tutaj przyjeżdżać. Sprawiało jej przyjemność pomaganie ludziom, którzy już na nic nie mogli w swoim życiu liczyć. Zostali odtrąceni i traktowani

byli gorzej niż najgorsze robactwo, podobnie jak ona przez własną matkę. Rozumiała ich i pragnęła im pomagać na tyle, na ile mogła. Ermessenda była dobra i uczciwa. Hrabia wiedział o tym i kochał ją całym sercem. Hrabina też o tym wiedziała, ale nie mogła się przemóc, aby pokochać pierworodną.

Hrabianka poprzez gałęzie zwróciła twarz ku niebu. Było błękitne z kilkoma bielutkimi chmurkami, które szybko przetaczały się nad jej głową, jakby dokądś biegły. Przyjrzała się im, małym, kłębiastym chmurkom. Dokądże one tak pędzą? Ptaki świergotały i przysiadły na drobnych gałązkach drzew. Niektóre z nich zlatywały na ziemię i skubały maleńkimi dzióbkami źdźbła trawy. Jednakże niebawem, wystraszone obecnością hrabianki i jej konia, odlatywały pośpiesznie w niewiadomym kierunku.

„Jakież one są szczęśliwe – pomyślała, wzdychając – wszak nie muszą się niczym kłopotać!”

Cykady dawały o sobie znać głośno i natarczywie. Lubiła ich dokuczliwe brzęczenie, które dla niektórych, szczególnie dla ludzi z Północy, było nieznośnym. Powzięła decyzję. Tym razem przestanie się zamartwiać. Tylko czy uda jej się dotrzymać słowa? Nie zmieni swojego losu ani nie zmieni matczynych uczuć. Wstała i podeszła do gniadego rumaka. Był on prezentem od ojca z okazji jej siedemnastych urodzin. Koń radośnie uniósł łeb i chlasnął ogonem. Dobry był z niego przyjaciel.

- Czyż nie powinnam być radosna jak te ptaki? - szeptała do konia. - No powiedz mi, nie powinnam?

Wierzchowiec delikatnie trącił jej głowę, jakby ochoczo przytakiwał zadawanym pytaniom. Wyciągnęła do niego rękę, a on, obniżając piękny łeb, dotknął otwartą dłoń gorącymi chrapami. Z czułością pogłaskała jego okrągłe jedwabiste zakończenia dolnej części żuchwy, po czym oplotła końską szyję ramionami i tak trwała przez chwilę, zagłębiając się we własne myśli.

Wkrótce zostanie żoną, wicehrabiną Béziers, Albi i Carcassonne. Opuści ojcowski dwór i będzie miała własny. Urodzi dzieci, które

będzie kochać, niezależnie od tego, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka. Przynęła sobie, że każdą córkę będzie kochać płomienną miłością - każdą jedną, bez wyjątku. Młody wicehrabia wywarł na Ermessendzie ogromne wrażenie, spodobał się jej. Ona też poczuła, że wpadła przysłemu mężowi w oko. Był wprawdzie nieśmiały, ale i ona nie wyróżniała się szczególną odwagą. Z drżącym sercem, w błogim uniesieniu oczekiwała zaślubin, które według ustaleń miały się odbyć w rodzowym mieście Rajmunda Rogera Trencavela - w Carcassonne. Najpierw w ukwieconym na tę okoliczność kościele Saint Nazaire, gdzie biskup Carcassonne połączy ich nierozzerwalnym węzłem małżeńskim, a następnie, po przejściu pośród wesołych wiwatów i głośnych okrzyków radujących się mieszkańców, na zamku Comtal, gdzie będą suto i hucznie ucztować. A potem? Ermessenda poczuła żywsze bicie serca. A potem...

Wtem usłyszała nieznaczny szelest. Rumak gwałtownie podrzucił łbem i skierował go w stronę, skąd dobiegł ich szmer. Ermessenda oderwała od niego ręce i również popatrzyła w tym samym kierunku. Jej ciało zadrżało z niepewności. Szelest nasilał się i przestraszona hrabianka na powrót przyłgnęła szczupłym ciałem do gorącego ciała wierzchowca. Czują, że oblewa ją zimny dreszcz napięcia. Koń zarżał z trwogi i zaczął nerwowo przebierać w miejscu smukłymi nogami. Szuranie stawało się wyrazistsze, a ona czekała w popłochu, nie wiedząc, cóż stamtąd wyjdzie. W pierwszej chwili pomyślała, że schroni się w jaskini, ale myśl tę porzuciła tak szybko, jak się ona pojawiła. Nie, nie wejdzie tam - bała się tego bardziej aniżeli dzikiego zwierza.

- Odejdź! - krzyknęła ze strachem w głosie, czując silnie łomoczące w piersiach serce.

Po chwili dźwięk ustał. Ermessenda odetchnęła, nie mogła jednakże stracić czujności. Przytulona do gniadosza usilnie wpatrywała się w zielone krzaki. Kiedy niebawem zarośla na powrót zadrżały, Ermessenda znów szybko łapała powietrze.

Tymczasem... z zielonych krzaków nieśmiało wyłoniło się dziecko. Była to pięcioletnia dziewczuszka.

Córka Aureliena zaśmiała się głośno. Spokojnie łapiąc oddech, poklepała rumaka na znak, że niebezpieczeństwo minęło. Dziecko stanęło i bało się postąpić krok naprzód, wlepiło oczka w mozną pannę.

- Ach, ty mała! - krzyknęła hrabianka z wyraźną ulgą. - Ależ mnie wystraszyłaś! Czyli to ty jesteś tym dzikim zwierzęciem?

Dziewczynka nie poruszała się. Stała sztywno na drobnych nóżkach, nie spuszczać z Ermessendy oczu.

- Chodźże do mnie. - Wyciągnęła ręce w stronę dziecka, chcąc dodać mu tym samym odwagi. - Czemuż się tam chowałaś? Chodź... Nie bój się mnie!

Córka Aureliena, sądząc, że dziewczynka najwyraźniej jest przestraszona i to bardziej, niż ona sama była przed chwilą, podeszła do niej i pociągnęła delikatnie ku sobie. Podprowadziła do kamienia, na którym uprzednio odpoczywała. Usiadła na nim ponownie i wzięła małą na kolana.

- Gdzie twoi rodzice? Sama tak chodzisz po lesie? - wypytywała milczącą dziewczynkę, spoglądając na nią czule. - To niebezpieczne. Malutka jeszcze jesteś.

Zaczęła odgarniać z jej twarzy posklejane potem kosmyki włosów. Buzia była brudna, podobnie jak szare, wełniane odzienie dziewczynki. Ermessenda pośliniła rąbek swojej drogiej sukni i przetała nim umorusaną twarz dziecka. Usunęła z jej ciemnych włosów liczne listki i paprochy, które najwyraźniej się do niej przyczepiły, kiedy przedzierała się przez zarośla. Ucałowała dziewczynkę w nos, a potem w wyczyszczone policzki.

- Ładna jesteś - oznajmiła miło, przytulając ją serdecznie do siebie. - Powiesz mi, gdzie są twoi rodzice?

Stary mnich powoli wyszedł z jaskini, z trudem dźwigając w ręce duży ceber wypełniony po brzegi wodą. Gdy jego oczy ujrzały Ermessendę z dzieckiem na kolanach, stanął jak wryty. Młoda

dziewczyna zabawiała małą, która dotąd nie wypowiedziała ani jednego słowa. Drewniane naczynie raptownie wysunęło się starcowi z dłoni.

Hrabianka de Peyres na dźwięk upuszczonego cebra natychmiast odwróciła się w stronę jaskini. Zdumiona, zatrzymała na mnichu pytający wzrok, a on, skamieniały niczym żona Lota¹⁶⁰ zamieniona bezlitośnie w słup soli, patrzył na nią i na dziecko siedzące na jej kolanach. Był wstrząśnięty. Nie mógł wykrztusić z siebie słowa. Myśli nabrały rozpędu. Ermessenda zaś nie rozumiała, czemu on stoi bez ruchu, a z cebra wylewa się woda, przeznaczona dla jej wierzchowca. Po chwili odzyskał głos i z nagłą krzyknął ze zgrozą, która byłaby w stanie zmrozić najgorętszą krew:

- Pani!

Ermessenda nie zrozumiała.

„Dlaczego on krzyczy?”- przebiegło jej przez myśl.

- Cóż się stało? - spytała nieświadoma.

Przyglądała się staremu człowiekowi, który popadł w pełne napięcia milczenie. Potem w zwolnionym tempie przesunęła spojrzenie na dziecko. Ogarnęła wzrokiem małą, ale inaczej niż poprzednio. Patrzyła na dziewczynkę, ale ze zmienionym spojrzeniem. Przez umysł przetoczyła się szalona gonitwa myśli. Na przebity bok Chrystusa! Zrozumiała! Instynktownie poderwała się, zrzucając dziecko z kolan. Odkoczyła od niego jak rażona piorunem. Napełniło ją przerażenie, a twarz skurczyła się z niepokoju. Gniady rumak wstrząsnął grzywą, jakby i on odczuł zagrożenie, a małe, brązowożółte ptaszki, trzepocząc drobnymi skrzydełkami, odfrunęły na dalsze drzewa.

Dziewczynka dźwignęła się z kolan. Niczym błysnięcie szkarłatu pognęła z opuszczoną głową do jaskini, jak gdyby sokoły szarpały ją za zmierzwiene włosy.

Ermessendzie w jednej chwili zrobiło się ciemno przed oczyma, jakby zniemacka otulił ją czarny welon nocy, a jego cienie pilnowały, by nigdy już nie nastąpiła jasność. Jakaś tajemna siła wprawiała świat w wir, a ona spadała bez tchu w mroczną, niekończącą się otchłań.

Nie mogła się niczego uchwycić. Spadała. Głową naprzód. Szybciej, coraz szybciej.

„Święta Panienko, ratuj mnie! - krzyczała z rozpaczą w myślach. - Ratuj...”

Ciało Ermessendy zaczęło bezwiednie drżeć. Dygotała konwulsyjnie, a dreszcze w zastraszającym tempie stawały się intensywniejsze, nieomal bolesne. Oczy z przerażenia zmieniły barwę. Traciła oddech i jedyne, co teraz czuła, to osłabiające ją ciepło płynące od piersi ku głowie. Nie poruszyła się, bo jakaś omdlałość poraziła ją, czyniąc niezdolną do ruchu. Patrzyła struchlała, z wykrzywioną panicznym strachem twarzą, na starca. On zaś nie spuszczał swych zatrwożonych oczu z córki Aureliena de Peyresa.

- Cóż ja uczyniłam?! - wyszeptała zbielełymi ustami.

Zabrzmiało to tak samo głucho, jak dźwięczą łopaty ziemi rzucone na trumnę najdroższej osoby. Straszliwa igraszka Boga zaprowadziła ją do tego miejsca. Wszystkie czeluści duszy rozwarły się i z ogłuszającym brzmieniem ostrym jak szkło nakazały jej założyć koronę cierniową na skroń, która płonęła niczym rozpalony stos. Zatem po to jeno żyła?

*

Orszak pod wodzą Guya de Ardalais'go jechał w kierunku Tours. Kierowali się na północny wschód. Postanowiono zatrzymać się w Saint Germain sur Vienne. To miał być pierwszy postój po opuszczeniu Fontevraud. Rycerz Robert de Paret rozstał się tutaj z kastylijską infantką i orszakiem. W pobliżu miał rodową posiadłość i trzy niewielkie wsie. Na ten czas kończył służbę. Blanka podarowała mu ciężką sakiewkę i podziękowała serdecznie za służbę i pomoc w Bordeaux. Mimo że jej dobry zamiar nie do końca powiódł się tak, jak powinien był, Robertowi de Paret bez wątpienia należała się nagroda.

Pojono konie, woły i sprawdzano zabezpieczenia na wozach. Arcybiskup Bordeaux mocno już zgłodniał i koniecznie musiał się posilić, a towarzyszący Blance biskupi Saintes i Poitiers również nie pogardzili skromnym poczęstunkiem.

Infantka rozglądała się wokół z udawanym zaciekawieniem. Podeszły do niej Mincie¹⁶¹ i Ria. Pierwszą z dziewcząt Blanka przywiozła z sobą z Kastylji. Od kiedy infantka skończyła siedem lat, Amicie była jej pocieszycielką i doradczynią; królowna mogła na niej polegać i żalić się jej, kiedy nachodziły złe chwile, a sama nie potrafiła sobie z nimi poradzić. Drugą natomiast wyprosiła od babki. Blanka polubiła tę dziewczynkę, która była jeno rok od niej starszą. Miała kruczoczarne, proste włosy, zupełnie odmienne od kasztanowych i lekko kręconych włosów jej samej. Już pierwszego dnia poprosiła matkę, by to jej oddała służącą, która wraz z księżną Akwitanii przybyła do Palencii. Leonor nie wyraziła jednakże wówczas zgody, ponieważ uznała, że bardziej przyda się ona Urrace.

Blanka nie zamierzała dać za wygraną i zwróciła się z prośbą do Eleonory. Babka z czystą przyjemnością postanowiła odebrać Urrace służącą. Mimo płaczów i fałszywego zawodzenia, które były charakterystyczne dla starszej wnuczki, Eleonora nie dała się nabrać na jej zmanierowane zachowanie i podjęła decyzję: Ria będzie odtąd należeć do Blanki. Urraka głośno szlochała. Połykała łyzy, jakby jadła soczyste pomarańcze spod Toledo. Nawet matka nie była w stanie jej ukoić. Buńczuczna infantka nie mogła przeboleć utraty służącej, którą lubiła gnębić i poniewierać. Teraz nie miała kogo ciągnąć za włosy i bić po twarzy, gdy tylko dostawała napadów złego humoru lub gdy taka naszła ją ochota.

Ria natomiast była uszczęśliwiona, ogromnie bowiem polubiła infantkę Blankę i zawsze się do niej uśmiechała, a najmłodsza córka Alfonsa z serdecznością odwzajemniała uśmiech. Sierota nieomal na kolanach dziękowała księżnej, tak bardzo była jej wdzięczna, że stara kobieta ujęła się za nią i wybawiła od despotycznej kłamczuchy.

Eleonora wiedziała, że Blanka i Ria bardzo się lubią. Uznała, że niegodziwością byłoby je rozdzielać.

Obie dwórki szczebiotały wesoło, ale Blanka nie miała ochoty na żarty i zabawę. Nadal była ogromnie przygnębiona i rozżalona, że Eleonora pozostała w Fontevraud, a ona, pozbawiona jej obecności i czulej opieki, podążyła ku Normandii jedynie w obecności służby, rycerzy oraz kościelnych dostojników. Dobrze, że miała je obie: Mincie i Rię, ale braku babki nikt nie mógł wszelako zastąpić. Odeszła na bok. Dręczyły ją męczące myśli. Dwórki rozmawiały ze sobą i cieszyły się na dalszą drogę.

Tak były sobą zaaferowane, iż nie zdołały zauważyć mnicha, który nie wiadomo skąd się zjawił, jakby wyrósł spod ziemi. Stał obok nich. Był ubrany w czarny, zakurzony habit, przepasany długim rzemieniem. Głowę zakrywał mu kaptur.

- Witajcie - zaczął pierwszy.

Dziewczęta poderwały się zaskoczone. Jednocześnie odpowiedziały na przywitanie.

Oczy skryte pod czarnym kapturem nerwowo przebiegały spojrzeniem księżęcą świtę i teren wokół. Mężczyzna był wystraszony, co chwilę odwracał się z niepokojem za siebie.

- Dokąd orszak zmierza? - spytał.

- Do Normandii. - Mincie pierwsza wyzwoliła się z odrętwienia. - Jedzie z nami kastylijska infantka.

Ria nadal jeszcze odczuwała przemożny strach przed obcymi ludźmi, dlatego też nie miała odwagi, aby pierwsza zabierać głos. Stała za odważną Mincie.

Mnich był poważny, pytał dalej:

- Czy mogę jechać z wami? Ale nie mam pieniędzy i nie mam czym zapłacić za przejazd.

Dziewczęta nie wiedziały, co mu odpowiedzieć, dlatego niezwłocznie zawezwały dowódcę orszaku.

Guy kręcił się nieopodal wierzchowców i spierał się z Clovisem. Mieli zaraz ruszać w dalszą drogę, a nie wszystko zostało

przygotowane według jego poleceń. Kiedy dowódca zbliżył się, mnich wystraszonym wzrokiem przebiegł po jego mężnej, wysokiej sylwetce. Spoglądając pokornie w niebieskie oczy rycerza, teraz do niego skierował swą prośbę:

- Panie, czy możecie mnie zabrać w dalszą drogę? Nie mam pieniędzy - wyjaśnił ze skrucą. - Mogę jedynie pomodlić się za was.

Guy przyjrzał się człowiekowi, który na pierwszy rzut oka, pomimo wymizerowanej twarzy i spłoszonych oczu, które dowódca zdołał dojrzeć w głębi kaptura, sprawiał przyjemne wrażenie. Zastanowił się. Rozważania nie trwały jednakże długo, nie dostrzegł bowiem w jego skromnej postaci niczego podejrzanego. Zatem nie było przeciwwskazań, aby prosty duchowny wraz z nimi odbywał dalszą podróż. Bóg wiedział, że Guy de Ardalais był dobrym i uczynnym rycerzem, którego zachowanie było ściśle zakorzenione w rycerskich zasadach.

Dowódca uprzejmie odpowiedział:

- Jeżeli nie będzie wam przeszkadzało, że za towarzystwo będziecie mieć jedynie wino, to możecie jechać. A modlitwa zawsze mile widziana. - Podniósł rękę i pokazał wóz, w którym zakonnik mógł podróżować. Były tam beczki z winem i wodą.

- Niech Chrystus wynagrodzi waszą dobroć, panie.

Jasnowłosa mężczyzna kiwnął z zadowoleniem głową.

Duchowny czym prędzej odwrócił się i ruszył w stronę wozu wskazanego mu przez dowódcę. Dopiero wtedy Guy dostrzegł, że obie dłonie mnicha są pozawijane szmatami, które przesiąkły mocno krwią.

- Ojcze! - zawołał za nim de Ardalais.

Człowiek ten zatrzymał się. Wstrzymał oddech, ale nie odwrócił głowy. Serce mocniej zabiło mu w piersiach. Czekał.

- Ojcze, macie poranione ręce - powiadomił z troską Guy. - Potrzebujecie nowych szmat?

Zakonnik odetchnął. Uspokojony obrócił głowę w stronę dowódcy orszaku.

- Nie ma potrzeby - wymamrotał. - Wszystko jest dobrze, panie. Raz jeszcze dziękuję za okazaną dobroć. - Odszedł pośpiesznie. Wszedł do wozu, który wskazał mu de Ardalais, i tym samym zniknął ludziom z pola widzenia. Wówczas mógł głęboko wciągnąć powietrze do płuc i zaznać odrobiny ulgi. Rozejrzał się wokół siebie z umiarkowanym spokojem. Wszędzie były beczki.

Orszak przeprowił się przez rzekę Vienne. Poruszał się wzdłuż Loary. Szlak ten był często uczęszczany, dlatego też droga była dobra i przejezdna. Pozostawili za sobą Rigny-Ussé, następnie Rivarennnes i dojechali do Lignièeres-de-Touraine. W tutejszym klasztorze spędzili noc.

Blanka prawie nic nie jadła. Straciła apetyt. Jej towarzyszki zabaw i jednocześnie dwórki nie umiały rozpogodzić młodej infantki. Elias z Malemort przyglądał się wnuczce Eleonory z narastającym niepokojem. Sam nie miewał podobnych przypadłości. Podczas porannej strawy wielce zatroskany rzekł:

- Infantko, jeżeli nie będziesz jadła, opadniesz z sił i rozchorujesz się.

- Nie czuję głodu, arcybiskupie - szepnęła oswiale, raczej formując słowa ustami, niż je wypowiadając. - Czy mam jeść na siłę, aby was zadowolić? Moja głowa jest zaprzątnięta poważniejszymi sprawami aniżeli posiłek. - Po czym podniosła się i zdecydowanym krokiem opuściła refektarz.

Szorski głos infantki zatrwożył Eliasza.

De Ardalais odłożył niezjedzoną rybę i niezwłocznie ruszył w ślad za córką Alfonsa Kastylijskiego.

Dziewczynka udała się do niewielkiego kościółka. Kasztanowe włosy następczyni francuskiego tronu odbijały się od rozkwitającej zieleni klasztornej dziedzińca niczym jesienne liście na tle drzewa.

Księżna wydała jasny rozkaz. Miał strzec jej wnuczki jak oka w głowie, pilnować jak siebie samego. Wszak była najcenniejszym skarbem. Usiadł w tylnej ławie w bezpiecznej odległości, żeby nie

przeszkadzać infantce podczas porannej modlitwy. Potem jednakże zmienił zdanie. Wstał i ukrył się za jednym z filarów.

Czterech zakonników z głowami ukrytymi pod kapturami przemknęło obok niego jak cienie, czarne niewidzialne cienie. Nie spojrzeli na niego, nie chcieli zwracać uwagi swoją obecnością, która wszakże była jeno chwilową.

To był stary kościół. Kilka rzeźb było zniszczonych i miało oderwane nosy i uszy. Niektóre pozbawione były stóp i ramion. Blanka przyklękła na stopniu i złożyła ręce do modłów. Podniosła śliczną głowę i spojrziała na ołtarz. Przeżegnała się z szacunkiem i pokorą. Kilka łez spłynęło z migdałowych oczu. Nie rozglądała się, przysła tutaj, bo chciała być sama, chciała się pomodlić. Utkwiła smutny wzrok w płomieniu świec. Pragnęła powierzyć Pannie Maryi swój smutek i zgryzotę. Cichutko łkając, opowiedziała Jej o wszystkim, co przejmowało ją dogłębnym żalem, a po krótkiej chwili pomyślała znów o wszystkim, co ją czeka, i rozżaliła się nad sobą, gdyż to, co miało jeszcze nastąpić, było dla niej wielką niewiadomą, a z którą musiała poradzić sobie sama, pozbawiona mądrych rad i wyrozumiałego spojrzenia babki. Podniosła drobną dłoń i starła łzy z policzków. Powoli zaczęło jej się zdawać, że obejmuje ją błogi blask świec, który rozmywa wszystko, co znajduje się poza nią i resztą świata. Wyczuwała, że zbolełe rozstaniem serce przepełnione jest gorącym uwielbieniem i miłością ku Pannie Maryi, która w swej nieskończonej łaskawości mogłaby złagodzić ból, który odczuwała kastylijska infantka od wyjazdu z Fontevraud. Wydawało się jej, że chętnie pozostałaby w tym kościele, owianym boską ciszą i ponurym mrokiem, w którym nieliczne świece niczym gwiazdy jaśniały na ciemnym niebie, a słodki zapach kadzideł i ciepła woń topiącego się wosku owiewały ją miękko, otulając przeźroczystą szatą. Szeptala cicho, modliła się do Niej z płomienną nadzieją i miłością, jakie nosiła w młodziutkim sercu.

„Pamiętaj, o Najdobrotliwsza Panno Maryjo, że od wieków nie słyszano, aby kto uciekając się do Ciebie, Twej pomocy wzywając,

Ciebie o przyczynę prosząc, miał być od Ciebie opuszczony. Tą nadzieją ożywiona uciekam się do Ciebie, o Maryjo Panno nad Pannami i Matko Jezusa Chrystusa! Przystępuję do Ciebie, stoję przed Tobą, jako grzeszna córka drząc i wzdychając. O Pani świata! Racz nie gardzić moimi prośbami, o Matko Słowa Przedwiecznego! Racz wysłuchać mnie nędzną, która do Ciebie z tego padołu płaczu o pomoc wołam. Bądź mi pomocą we wszystkich moich potrzebach teraz i zawsze, a szczególnie w godzinę śmierci, o Łaskawa! o Litościwa! o Słodka Panno Maryjo. Amen”¹⁶².

Słuchała, czy jej odpowiada. Patrzyła na ubogi ołtarz, zegnała się i czekała. Wciągnęła powietrze i zatopiła się w myślach.

„Babcia była zmęczona, nie mogła ze mną jechać. Czemuż nie mogę tego pojąć? – analizowała całą niewinną duszą. – Czemuż? To bardzo stara kobieta. Tyle dobrego dla mnie uczyniła, tyle dobrych rzeczy mi powiedziała. Wybrała mnie. Nie Urrakę, ale mnie! – W jej oczach mignął tajemniczy błysk nie dłuższy aniżeli uderzenie młodziutkiego serca. A może to tylko światło świec odbiło się w nich? – Chce, abym była silna, wytrwała i nieugięta. Zawsze! Muszę taka być. Dla niej, dla siebie. Muszę i będę! Wszak jestem krwią z jej krwi... Nie mogę jej zawieść. Nie chcę tego. Babciu, będę taka, jaką chcesz mnie widzieć... Obiecuję i już nigdy nie będę płakać. Nigdy!”

Przeniknęło ją kojące ciepło i ogarnęła nowa tkliwość. Modlitwa uspokoiła Blankę. Dopiero teraz poczuła się zdecydowanie lepiej, zdecydowanie silniejszą i na nowo mocniejszą w dziewczęcych postanowieniach.

Guy de Ardalais stał za szeroką kolumną. Nie poruszał się. Nie chciał żadnym ruchem zdradzić swojej obecności, że jest tuż obok, że jej pilnuje i zgodnie z obietnicą złożoną Eleonorze Akwitańskiej nie traci z oczu. Niebieskooki mężczyzna nie przestawał patrzeć na kasztanowe włosy kastylijskiej infantki, które spływały falami po zielonej sukni.

Blanka powoli podniosła się z klęczek i nieśmiało rozejrzała się wokół. Jej twarz nie wyrażała już przejmującego smutku. Skierowała

się do wyjścia. Z większym spokojem, niż kiedy tutaj wchodziła, opuściła kościelne mury. Nabrała nowej energii i zapału. Powróciła chwilowo utracona witalność i zwykła pogoda ducha.

Udała się wprost do refektarza. Zgłodniała. Delikatny uśmiech rozjaśnił śliczną buzię, ukazując dwa słodkie dołeczki w miękkich policzkach.

Orszak wyjechał z kolejnego gościnnego klasztoru. Sunął dalej. Było spokojne, ciepłe popołudnie. Guy de Ardalais jechał obok wozu Blanki. Infantka siedziała razem z biskupami. Trzech dostojników nie przestawało rozprawiać, paplali jeden przez drugiego niczym targujące się kumoszki na targu. Dziewczynka miała wrażenie, jakby jechała ze swoimi dwórkami, a nie z rozmodlonymi biskupami. Nie interesowała się ich rozmową. Miała własne sprawy, które zajmowały jej młodziutką główkę. Rozmyślała o nowym życiu, o trzynastoletnim synu Filipa Augusta, o tym wszystkim, czego dowiedziała się od mądrej babki. Zamierzała wypytać biskupów o swojego teścia, bo o samym Ludwiku dowiedziała się już wszystkiego, co powinna była wiedzieć. Dostojnicy jednakże tak byli zajęci sobą i prowadzoną rozmową, że nie chciała im przeszkadzać. Odłożyła interesujące ją pytania na czas późniejszy.

Dowódca z samego rana wysłał dwóch zaufanych rycerzy na zwiady. Mieli oni ponadto zorientować się, czy w mieście, w kierunku którego zmierzał orszak, znajdą się odpowiednie miejsca na odpoczynek dla kastylijskiej księżniczki i arcybiskupa Bordeaux oraz biskupów. De Ardalais z daleka rozpoznał chorągwie, zatem nie czekając, wyjechał im naprzeciw.

- I cóż, Clovis? Wszystko w porządku? Mamy gdzie spać? - zasypał pytaniami przyjaciela.

- W istocie. W klasztorze - odparł naprędce de Guemtredes. - Ale nie jestem przekonany, czy wybraliśmy właściwe miejsce na dzisiejszy nocleg.

Drugi rycerz, który wyruszył wraz z Clovisem do Tours, kiwaniem głową potwierdził obawy przyjaciela Guya.

- Czemuż to?

- Guy, musisz podjąć decyzję wspólnie z biskupami. W mieście odbędzie się niezadługo egzekucja, a klasztor stoi obok placu, na którym ustawiony został stos.

- Egzekucja?

Rycerze w skupieniu skinęli głowami, czekali na dalsze rozkazy. Guy w pierwszej chwili zaniemówił, obrócił głowę w stronę orszaku i przede wszystkim pomyślał o Blance. Zbrojni zdjęli hełmy i zaczęli intensywnie drapać się po głowach.

- Swędzi jak diabelska dupa - mruknął rozdrażniony Clovis.

- A skąd ty wiesz, jak ona swędzi? - zaśmiał się drugi rycerz, ale również i on ponownie zanurzył palce w tłustej czuprynie.

De Guemtredes wskazał palcem swoją głowę i zwracając się obojętnie do towarzysza po swojej prawicy, wyjaśnił najprościej, jak to było możliwe.

- Tak jak moja głowa.

Młodszy roześmiał się głupio i głośno.

De Ardalais nie miał ochoty na śmiechy. Z krzywą miną przyglądał się ich groteskowemu żartom, nie dzieląc ich wesołości. Nie miał czasu, dlatego musiał szybko zbierać myśli. Był szczerze zaniepokojony wieściami, które mu oni przekazali.

- Cóż tam się dzieje?

Clovis wyciągnął rękę ze zmierzwionych włosów.

- Będą palić heretyków - oznajmił bez emocji. - Ludzi zebrało się co niemiara.

Nie to interesowało Guya. Nie przestawał zadawać pytań.

- Ilu ich mają?

De Guemtredes zdziwił się niemało.

- Czy ty myślisz, że ja tam stałem i liczyłem? - Pochylił się w przód i palnął: - Ciągnięto ich i przywiązywano do słupów. Nie to mi zleciłeś.

De Ardalais zapytał drugiego:

- A ty widziałeś, ilu ich było?

Rycerz zawahał się, ale wnet machnął ręką i coś tam mruknął niewyraźnie pod nosem. Też nie wiedział.

- Można to jakoś objechać?

- Wszak powiedziałem. - Clovis ponuro potrząsnął głową. - Klasztor jest obok miejsca straceń, a droga jest jedna.

- Do diabła! - zaperzył się Guy.

„I cóż teraz? Czy księżna pozwoliłoby, żeby jej wnuczka oglądała palenie heretyków?” - zastanawiał się w duchu.

- Guy, nie ma co się głowić - bąknął de Guemtredes. - Porozmawiaj z biskupami, nie masz wyboru. Niech podejmą decyzję. Czyż nie oni odpowiadają za infantkę?

Dowódca skierował głowę w kierunku Tours i wpatrzył się przed siebie. Zmrużył oczy, po czym zasłonił je dłonią przed słońcem. Głęboko wciągnął powietrze przez zęby.

„Palą już? - myślał. - Nie... Chyba jeszcze nie...”

Nie czuł niczego poza przyjemnym zapachem drzew z pobliskiego lasu i świeżą, rosnącą na łące trawą. Nie widać było żadnego dymu, który miałby unosić się ponad miastem i świadczyć o karze wymierzonej heretykom. Rozważał w duszy, ale zaraz jego myśli zaczęły krążyć w bezładzie.

- Clovis, księżna Akwitanii mnie powierzyła opiekę nad księżniczką - oznajmił. - Mam dbać o nią jak o własną głowę.

- Byleby cię ona tak nie swędziała jak nasze. - Młodszy rycerz prychnął śmiechem.

- Zamknij się, głupcze! - warknął de Guemtredes, obrzucając go surowym spojrzeniem. Następnie zwrócił się spokojnie do dowódcy: - Ciężko, Guy, ale znam cię. Z Bożą pomocą podejmiesz rozsądną decyzję. Jak zawsze. Ty wiesz, co czynić w ważnych sprawach.

W oku Clovisa de Ardalais zauważył jakby migoczący ognik tajemniczego zrozumienia, który przez krótki moment zdołał go zaniepokoić.

„Czyżby...? Nie... Byłem tam sam... Ja i przeklęty Carpine... Nie... To niemożliwe...” - roztrząsał w myślach.

Spojrzał prosto w twarz przyjaciela. Jego oczy były pogodne. Nie mógł niczego dojrzeć, jakby ów na tę chwilę nałożył maskę. Guy podjął decyzję.

- Masz rację, de Guentredes. Jadę do biskupów, a niech oni też czasem pomyślą o czymś innym aniżeli o jedzeniu i picu.

Clovis uśmiechnął się ze zrozumieniem. Myślał podobnie, ale nie uważał za stosowne, aby o tym rozprawiać, nie do niego bowiem należał osąd.

- Dobrze to ująłeś - przyznał z delikatnym uśmieszkiem, który błąkał się w kącikach ust, po czym spytał dowódcę: - Mamy jechać z tobą, czy tu zaczekać?

- Zostańcie! - Usłyszeli w odpowiedzi krótki rozkaz.

Tymczasem dowódca energicznie zawrócił wierzchowca. Kiedy podjechał do wozu, biskupi wraz z Eliaszem de Malemort w dalszym ciągu prowadzili ożywioną rozmowę. Guy jechał chwilę przy nim, wreszcie nachylił się i palcem uniósł wełnianą zasłonę.

- Arcybiskupie, wybaczcie - rzekł uprzejmie. - Muszę z wami pomówić.

Eliasz odchylił szeroko zasłonę i wysunął obnażoną głowę.

- O, de Ardalais... No, cóż tam nowego? Kiedy będziemy na miejscu?

- Arcybiskupie, nie wiem, czy dojeżdżamy do Tours, czy... zmieniamy miejsce nocnego spoczynku.

- Mówże jaśniej. Zabrakło miejsc w klasztorze?

Guy nie chciał otwarcie mówić o egzekucji, kiedy Blanka siedziała tuż obok arcybiskupa. Postanowił zatrzymać orszak i spokojnie, na osobności omówić sprawę z Eliaszem.

- Arcybiskupie, zatrzymajmy się na chwilę. Muszę z wami pilnie pomówić, zanim dojedziemy do Tours. Wolałbym nie rozmawiać w obecności infantki, jeżeli pozwolicie...

Eliasz nie uznał pomysłu de Ardalais'go za właściwy. Blanka usnęła i nie było potrzeby, aby wstrzymywać orszak.

- Infantka śpi - wyjaśnił krótko. - Cóż masz nam do powiedzenia?

To zdecydowanie przekonało Guya. Uspokoił się i swobodnie zaczął udzielać informacji. Kiedy skończył, poprosił uprzejmie o w miarę szybkie podjęcie decyzji, ponieważ w zaistniałej sytuacji nie wiedział, w którą stronę skierować orszak. Następnie wyjawiał własną opinię:

- Arcybiskupie, obawiam się, że oglądanie egzekucji heretyków nie jest wskazane dla tak młodej infantki. Księżna Eleonora wydała mi jasne rozkazy co do jej ochrony. Przypuszczam, że nie byłaby zadowolona, gdyby jej wnuczka była świadkiem palenia ludzi.

Eliasz nie miał podobnych zastrzeżeń. Pogląd jego i siedzących przy nim dwóch biskupów był jednoznaczny.

- De Ardalais, przede wszystkim to nie jest palenie ludzi, ale heretyków. A to poważna różnica. Nie widzimy niczego złego w tym, aby infantka od najmłodszych lat obserwowwała słuszne poczynania wobec wrogów ludu i zdrajców naszej świętej wiary.

Dowódca orszaku jechał równo z wozem, nie zabrał głosu po wypowiedzi arcybiskupa. Miał odmienne zdanie. Uważał, że heretycy też są ludźmi, aczkolwiek poganami, którzy bardzo grzeszą. Nie zastanawiał się nad formą przeznaczoną im kary, niemniej jednak sądził, iż ktoś, kto ma czelność znieważać wiarę, popełnia tym samym grzech przeciw Bogu, musi ponieść konsekwencje swojego strasznego czynu i należy wymierzyć mu karę zgodną z zasadami boskiej, jak i ziemskiej sprawiedliwości. Nie wnikał jednakże w te sprawy nadto głęboko, gdyż w żaden sposób go one nie dotyczyły. Podjeżdżając do Eliasza i biskupów, żywił naiwnie nadzieję, iż dostojnicy kościelni nie zechcą wjechać do Tours, albowiem nie będzie ich życzeniem, aby narażać dwunastoletnią dziewczynkę na przyglądanie się egzekucji, która bądź co bądź była z natury okrutną. Niemniej jednak był świadomy, iż oglądanie ludzkich mąk jest – poza piciem i łajdaczeniem się z dziewczkami – jedyną formą rozrywki dla dorosłych, a w przypadku tej konkretnej rodzicom bezustannie towarzyszą nawet małe dzieci. Jednakże Blanka Kastylijska nie była zwyczajnym dzieckiem.

Była przyszłą królową Francji. Była skarbem, cenniejszym aniżeli wszystko inne.

- To jest wasza ostateczna decyzja, arcybiskupie? - zapytał dla pewności.

- De Ardalais, szczerze mówiąc, niepokoją mnie twoje wątpliwości. Kieruj orszak tak, jak zostało to uprzednio zaplanowane - rozsądził. - Wjeżdżamy do miasta.

Z ostatnim zdaniem Eliasza de Malemort opuścił wełnianą zasłonę. Rozmowa została zakończona.

Chmury kurzu zaczęły wzbijać się nad drogami prowadzącymi do miasta. A potem z obłoków pyłu wyłoniły się pierwsze wozy orszaku, który powoli sunął w kierunku miejskich bram Tours. Ich celem był klasztor graniczący z centralnym placem, na którym odbywała się egzekucja. W pobliżu bram, przez które w pierwszej kolejności przejeżdżali de Ardalais z Clovisem, panoszyła się gromada trzech dziesiątek zbrojnych. Ich oblicza były groźne i nieprzystępne. Krzyczeli, wprowadzali zamęt, machali rękoma, mieczami i zaglądali do każdej dziury w murach, jakby chcieli wyszukać każdego ukrytego w ziemi robaka. Gryzący, cuchnący swąd, wielce drażniący, wciskał się wszystkim do nozdrzy. Wdzierał się natarczywie do oczu. Dym unosił się ponad miastem. Powietrze było ciężkie, szare i apatycznie wisało nad ziemią. Strażnicy miejscy byli wzburzeni, wzajemnie wyrzucali sobie niewagę.

Guy wstrzymał wierzchowca, Clovis uczynił to samo.

- Panowie, widzieliście heretyka? - zawołał jeden z żołnierzy, który pojawił się tak nagle, jakby wyrósł im spod końskich kopyt. - Uciekł nam jeden!

De Ardalais i Clovis ani poruszeni, ani zdziwieni zaprzeczyli obojętnym ruchem głowy.

- A skąd miałbym wiedzieć, że to heretyk? - zapytał de Guentredes. - Czym się on różni od innych?

Żołnierz rozdziawił gębę, ale od razu jął tłumaczyć, nie potrzebował wszelako specjalnej zachęty. Słowa spływały z jego warg

potoczyście.

De Ardalais odwrócił głowę, zerkając na orszak jadący za nimi. Nie słuchał strażnika, pragnął być pewnym, że wszystko przebiega zgodnie z ustalonym wcześniej planem i zaleceniami biskupów. Nie miał ochoty więcej oglądać niezadowolonej miny Eliasza de Malemort.

- Szukajcie! Nie lenić się! - rozlegały się wkoło męskie, zdenerwowane głosy. - Co rychlej... Wszędzie zaglądać! Wyciągnijcie go choćby z mysiej nory!

Obok wierzchowców de Ardalais'go i Guemtredesa przebiegł co sił w nogach gruby strażnik, jakby gonił go rozjuszony dzik. Wymachiwał w powietrzu żelazem i piłując nerwowo gębę, poganiał pozostałych. Guy naprędce powiedział do przyjaciela:

- Clovis, objadę jeszcze tyły. Chcę zyskać pewność, że wszystko jest dobrze zabezpieczone.

- Jedź - odparł Guemtredes, a następnie powrócił do kwestii zbiega. - Czyli jak on wygląda? - wypytywał. - Ten wasz heretyk?

Strażnik kurczowo zacisnął palce na rękojeści miecza i wypalił:

- Powiedziałem. Jak każdy heretyk.

Clovis zrobił poważną minę. Pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym wnet zmienił wyraz twarzy i roześmiał się z sarkazmem. Rozłożył ręce i wykrzyknął co żywo:

- Ach tak! No to teraz już wiem.

Żołnierz szeroko otworzył oczy.

- Z czego się śmiejecie, panie? - zapytał chrapliwie, potrząsając ponuro głową. - Mówię przecie: jak każdy heretyk.

De Guemtredes łypnął wesoło okiem na mężczyznę i na jego wzburzoną minę. Zagadnął z kpiną rozciągającą mu usta w półśmiech.

- W imię Boga! To chociaż powiedz mi, jak był ubrany ten wasz heretyk, kiedy go jeszcze więziliście.

- Miał na sobie czarną opończę z kapturem i skórzany pasek, jak oni wszyscy. Diabelskie nasienie - opowiadał z zacięciem tamten.

Wymachiwał rękoma i pokazywał na sobie, jakiego rodzaju ubranie miał uciekinier. – Przeklęty! Dziś dopiero spostrzegliśmy się.

Clovis wybuchł rubasznym śmiechem, skręcał się, stękał i uderzał się pięściami po udach.

– Dziś, przed egzekucją?

Odchylił się w siodle do tyłu i nie mógł się opanować, jakby delectował się oburzeniem strażnika.

– To jakże ich pilnowaliście?

Żołnierz rzucił okiem na rozbawionego mężczyznę i raptownie powstrzymał dotychczasową wylewność. Postanowił być od tej chwili bardziej powściągliwym, a mniej gadatliwym, ponieważ odniósł wrażenie, jakoby przybysz zakpił sobie z niego. Dał mu zatem w przyływie złości do zrozumienia, że poczuł się urażony, bowiem nieznamy ośmielił się podważać kompetencje strażników, którzy starają się wykonywać nie inaczej, jak tylko właściwie swoje obowiązki, pomimo że należy z ciężkim sercem przyznać, iż tutaj wyszło niezdarnie.

Clovis nie przestawał zanosić się śmiechem, co działało drażniąco na przejętego żołnierza. Chwiał się on na nogach ze zmęczenia, ale na dźwięk śmiechu rycerza wzbierała w nim wściekłość i zapominał o męczących go dolegliwościach.

– Ręczę za moich towarzyszy... – sapnął strażnik.

Guemtredes zaklął, z wolna potrząsnął głową i uderzył w dłonie.

– Niech twój język nie wyprzedza myśli – stęknął. – Ręcz za kogoś, a nieszczęście gotowe. – Po czym zmienił raptownie wyraz twarzy i zażartował na pół wbrew swej woli. – Gdybym to ja popełnił podobny błąd – nie mógłbym biegać, jak ty to czynisz.

– Czemuż to? – bąknął sztywno tamten.

– Mój dowódca oddzieliłby jednym jeno ciosem moją głowę od reszty ciała.

Żołnierz przyjrzał mu się uważnie. Musiał przyznać, że palił go wstyd; że wszystkich tych, których rozkazem było pilnowanie więźniów, musiał palić spóźniony wstyd. Prawdą było, że nie przyłożyli

się należycie do zleconego im zadania. Mimo wszystko nie rozumiał tego rodzaju żartów.

Wokół nich przybywało miejskich żołnierzy. Nerwowo szukano heretyka i krzyczano, zdzierając gardła. Ich głosy stawały się ochryple. Clovis zwrócił się do naburmuszonego mężczyzny z kolejnym pytaniem:

- Jeden wam uciekł czy było ich więcej?

- Dzięki Bogu jeden! - odparł szorstko żołnierz, poprawiając na sobie kolczugę. - Mieliśmy spalić ośmiu, ale skoro tego jednego diabeł uwolnił, to spali się siedmiu.

Rycerz wbił twarde spojrzenie w płaską twarz strażnika.

- To nie diabeł go uwolnił - zapewnił.

Strażnik wzdrygnął się.

„Cóż on plecie?” - przeleciała mu przez głowę szybka myśl. Zadrżał i zdumiony wpatrywał się w rycerza.

- A któż? Jeno diabeł mógł go wyciągnąć z katowskiego lochu tak sprytnie, że nikt go nie zauważył. - Strażnik przeżegnał się pośpiesznie. - Broń nas, Panie Boże, przed nim!

De Guemtredes ujął wodze, po czym klepnął wierzchowca lekko w bok. Koń ruszył stępą, podrzucając łbem ku górze. Oczy rycerza uśmiechały się drwiąco. Nachylił się i rzucił niedbale przez ramię:

- Szukajcie, a na pewno go kiedyś znajdziecie!

Wozy z orszaku infantki pojedynczo wjeżdżały do Tours. De Ardalais był na ich tyłach. Wydał najemnikom rozkazy co do ochrony kastylijskich bogactw, jakie wiozła z sobą w wielkich ilościach wnuczka Eleonory Akwitańskiej. Wkoło panowała wrzawa, hałas przybierał na sile, zewsząd słyhać było głośnie śmiechy, tupot obutych, ciężko biegających stóp.

Mnich siedzący w wozie z beczkami wyczuł nagle nieznanę dotąd zapachy. Różniły się one od tych, które do tej pory wdzierały się przez grube szpary w deskach. To nie były zapachy polnych traw, pszenicy bądź leśnej zieleni, które wdychał poprzez nie do niedawna. Wkoło cuchnęło i gryzło w gardła. Kłęby szarego dymu falami wznosiły się ku

niebu, ku Bogu, który jakże lubował się w widowiskach mających na celu katowanie grzeszników. Oczy łzawiły, ludzie charczeli i zanosili się kaszlem. Zaintrygował go rejwach, ogólne zamieszanie i krzyki ludności, które wzmagają się rosnącym napięciem. Były niczym przybierający na sile huragan. Silny i bezlitosny w swym szaleństwie. Jak gdyby powstał skutek rozrzedzania się powietrza pod działaniem słońca. Z ludzkich piersi wydobywały się zarówno odraza, lęk, jak i nieprzystojna radość i grzeszna przyjemność, która rozpałała zmysły. Strach ścisnął go nagle za gardło. Bez zastanowienia przytknął oczy do szpar w deskach i próbował dojrzeć cokolwiek. Wozy wolno i nieubłaganie zbliżały się do placu, na którym został umieszczony szeroki stos. Nagle zauważył! Dostrzegł coś, a następnie znieruchomiał. Niemiłosiernie zbladł, a w gardle straszliwie mu zaschło. Serce biło przyspieszonym pulsem. Zimny pot wystąpił na czoło i poczuł, jak ciało dygocze mu bezwiednie.

- To niemożliwe! - jęknął w panice. Wcisnął mocniej oczy w szpary, aż drzazgi poczęły mu się wbijać w czoło. Głos zamarł w krtani.

W oddali wysoki ogień rósł w potęgę niczym rozszalała burza na morzu. Płomienie potrajały się, pęczniały i hulały na miarę diabła w piekle pomiędzy słupami z przywiązanymi do nich ludźmi, a raczej ich trupami, jakby same, idąc za przykładem Innocentego III, pały dziką nienawidziścią do spalających się odszczepieńców jedynej boskiej wiary. Z każdą minutą hałas stawał się intensywniejszy, tętent końskich kopyt również.

Szaleńczy strach odebrał mu całkowicie zdolność myślenia. Nawet nie próbował się zastanawiać, jakim sposobem znalazł się z powrotem w mieście, z którego dobrzy ludzie pomogli mu w porę uciec. Nie było na to czasu. Musiał najszybciej, jak to tylko możliwe, wydostać się z wozu i skryć się choćby w mysiej norze. Nie pomyślał, żeby wydostać się z wozu tą samą drogą, którą do niego wszedł. To byłoby nieroztropne i zbyt niebezpieczne. Usiłował otworzyć przednie drzwiczki, które, dziwnym trafem, nie poddawały się jego szalonym

naciskom. Szarpał za rygiel, ale bezskutecznie. Zaczął walczyć z czasem, strachem i z... zamknięciem. Rozpacz, gęsta niczym wieczorna mgła, odbierała mu siły, przygłuszała i tamowała oddech.

„Uciekaj! Uciekaj! - dudniło mu w głowie jak młot uderzany rytmicznie w kuźni. - Uciekaj! Szybko!”

Guy wyprzedził pozostające w tyle wozy i podjechał do tego, w którym siedziała Blanka z biskupami. Powiadomił ich, że jeden z mających spłonąć heretyków uciekł i wszyscy w mieście rozpaczliwie szukają zbiega.

Infantka obudziła się i zaintrygowana miejskim tumultem wychylała co rusz głowę. Arcybiskup de Malemort, nie chcąc zwlekać, powiadomił ją w najdrobniejszych szczegółach o wydarzeniach, które mają aktualnie miejsce w Tours. Zauważyła stos, zauważyła płomień strzelający ku niebu, ku Najwyższemu Sędziemu, zauważyła egzekucję heretyków. Jej młode oczy zdołały ujrzeć wszystko, a nos wyczuł roznoszący się wokół obrzydliwy swąd.

Dziewczynka nie była przerażona. Jej wiara w Boga była równie silna i bezwarunkowa jak jej matki, królowej Kastylii. Infantka wiedziała na pewno, że heretycy to chodzące po ziemi diabły, podszywające się fałszywie pod ludzi, by podstępnie odzierać dobrych, wierzących mężczyzn, kobiety, dzieci z ich niewinnych dusz, które następnie wtrącano do piekła. Oni nie byli ludźmi. Szatan, ich ojciec, był ojcem kłamstw, który parszywie zatrzał ich umysły. Byli przeto zatwardziałymi heretykami, broniącymi się z maniackalnym uporem przed jedyną wiarą, która wypełnia po kres ludzki żywot, będąc dobrem samym w sobie. Jedyne zaś, czego pragną kacerze, to bezecne sprofanowanie jej. Pragną oni obedrzyć ją z boskiej świętości, jaką w sobie posiada. Przeżegnała się.

- Ogień ich oczyści, skoro nie chcieli zmyć szatańskiego brudu - szepnęła niesłyszalnie.

Eleonora wielokrotnie powtarzała, że jeżeli ktoś ma kajdany, to widocznie zasłużył na to, by mu je założono. Jeżeli te diabelskie strzepy wierzyły w Lucyfera miast w prawdziwego Boga, to znaczy, że

muszą umrzeć. Umrzeć w męczarniach. Syn Boży również umierał w męczarniach. Herezja to grzech śmiertelny. A jeżeli grzech, to musi nastąpić kara. A jeżeli została wymierzona kara, wnet za nią powinna nadejść śmierć. Dla Blanki wszystko było jasne.

- Powinniśmy byli przybyć wcześniej - z przykrością stwierdził biskup Poitiers. Jego głos wyrażał smutek i rozczarowanie.

Dostojnicy żalowali, że nie było im dane na spokojnie obejrzeć całości widowiska.

- Nie martwcie się. Heretycy jak szczury, zawsze się będą wylęgać, tego nigdy nie zabraknie. Bóg jest wielki i jedyny, dlatego nie pozwoli, by umknęły nam kolejne gorące pokazy. Jeszcze nie raz zobaczymy, jak skwierczą i się smażą - odparł Eliasz półzartem. - Zapewniam was. - Poruszył się na siedzeniu i zajął się układaniem długich sukien, udrapowanych aż po wielce duchowne stopy.

- Obyście mieli rację, arcybiskupie - odrzekł bez zawołania biskup Poitiers, po czym mruknął: - Głodnym mocno. Obyśmy jak najprędzej dojechali na miejsce. Marzą mi się...

Elias de Malemort nie pozwolił dokończyć biskupowi, gdyż sam odczuwał niemiłe łaskotanie w żołądku. Westchnął więc i wtrącił:

- Bóg i w tym względzie okazuje nam miłosierdzie - odparł i ułożył dłonie na brzuchu. - Jesteśmy już blisko.

Guy odjechał. Zrównał się z wozem, w którym zabrany po drodze mnich podejmował dramatyczne wysiłki wydostania się zeń na zewnątrz. Dowódca orszaku, nieświadomy, że w środku jest heretyk, którego zgodził się przewieźć do Normandii, jechał obok niego i rozważał słowa niezadowolonych biskupów. Był w posępnym nastroju. Może to zmęczenie dawało o sobie znać? Nie wiedział. Jedyne, czego obecnie pragnął, to położyć się spać i o niczym więcej nie myśleć. Od niechcienia spojrzął na wóz z winem i wodą i... zatrzymał na nim wzrok. Wtedy dotarło do niego...

„Na Boga! - straszna myśl przeszła go jak strzała wystrzelona prosto z kuszy. - Jakże mogłem to przeoczyć?!”

W tym samym momencie, w którym spojrzął na wóz, wyłamały się nagle z trzaskiem jego przednie drzwiczki. Mnich, nie zważając na oszołomionego woźnicę, z impetem, na jaki było go jeszcze stać, próbował wyskoczyć z pojazdu.

„Uciekaj! Uciekaj!” – myśli rozsadzały mu czaszkę.

Męski ostry głos wydobył się z gardła dowódcy:

- Stój! - wrzasnął, ile sił w płucach. - Cóż czynisz?! - Guy natychmiast zeskoczył z wierzchowca, usiłując powstrzymać mnicha.

Ów nie patrzył na boki. Nie słyszał niczego. Był jak uciekający spłoszony zajęc, którego wnet pochwycą myśliwskie psy. Czuł ich... morderczy oddech na plecach, a one jego paniczny strach i przerażenie. Nogi nieopatrznie zaplątały mu się w długi habit i... heretyk wleciał prosto pod okute żelazem koła wozu. Dowódca usłyszał chrobotliwy zgrzyt wywołujący dreszcze na całym ciele i głośny trzask niczym łamanie kości kołem.

Wystraszony woźnica gwałtownie ściągnął wodze. Guy podskoczył do konia ciągnącego wóz i złapał go za uzdę. Zwierzę nerwowo zarżało.

- Konie! - ryknął. - Zatrzymać konie!

Głowa mnicha była z jednej strony rozgnieciona, a na jego wychudzone ciało najechało tylne koło. Nie mógł się uratować. Nie miał na to najmniejszych szans.

Woźnica zsunął się z siedziska. Stanął na ziemi drżącymi nogami. Był oniemiały. Począł drapać się po głowie. Rycerze, zeskoczywszy z wierzchowców, najemnicy, służba, pachotkowie i kilku strażników miejskich nadbiegli w popłochu na miejsce wypadku. Jak gdyby nagła burza wstrząsnęła skłębioną ludzką gromadą.

- Co się stało? - Głosy wokół były ciekawskie; inne strwożone. - Co?

Ludzie usiłowali dojrzeć cokolwiek. Cisnęli się naprzód, popychali się wzajemnie, wyciągali szyje, rozwierali ze zdziwienia oczy. Zrobił się tłok. Zapanowało nerwowe poruszenie. Wykrzykiwano słowa, które w ogólnym hałasie można było uznać za bluźniercze.

Gdzieniegdzie słyszalne były strzępy modlitw, ale były one niewyraźne i niebawem zanikały pośród donośnie pobrzmiwających przekleństw, które wydobywały się ze zbieleńskich ust członków książęcego orszaku.

Pomimo zmiądzzonej głowy mnich został rozpoznany przez trzech strażników, którzy nareszcie mogli odetchnąć z ulgą.

- To ten! - zaczęli przekrzykiwać się jeden przez drugiego. - Ten!

- To on! To ten heretyk, który nam uciekł! - oznajmił doniośle strażnik, który rozmawiał z Clovisem de Guentredes. - Mamy go!

- Jakże on się tu znalazł? - padały gorączkowe pytania. - Gdzież się ukrywał?

Zrobił się tłok i szum o dużym natężeniu. Mieszkańcy, podekscytowani, rozgorączkowani niczym przyływ morski, zaczęli napływać ze wszech stron. Zaintrygowani wołaniem innych ochoczo odchodzili spod stosu. Ciągnęli w pobliże zatrzymanych wozów. Pośród miejskiej gawiedzi rozchodziły się żywiołowe głosy i prześmiechy. Mieszkańcy ze zdumienia rozdziawiali gęby.

- Kto? Kto to jest? - pytali jeden drugiego w podnieceniu i niepokoju. - Znacie go?

Padaly szybkie pytania i krótkie odpowiedzi.

- Doprawdy? Złapali heretyka? - dopytywali ci, którzy mieli odwagę nie wierzyć w boską sprawiedliwość. A była ona wszakże pewniejszą aniżeli śmierć.

Wskazywano palcami innowierczego trupa.

- To ten?

Co gorliwsi objaśniali przyczynę jego niespodziewanej śmierci.

- Na krwawiące stopy Chrystusa! - krzyczano z radości, euforycznie, namiętnie. - Bóg jest wielki!

Niektórych ogarniała dzika groza, dlatego też spoglądali z obrzydzeniem.

- Ależ wygląda okropnie!

- Nikt nie uniknie przeznaczonej mu kary! - Potakiwano z ukontentowaniem. - I dobrze!

Ludzie z wymalowanym na twarzach fanatyzmem utyskiwali na heretyka, mimo że leżał on martwy pod kołami z rozłupaną głową i nie mógł już nikogo skazić heretycką zarazą.

Wkrótce przybiegł przełożony strażników miasta Tours. Sapał z wyczerpania, łapał się za serce i z trudem oddychał. Potrzebował chwili, nim wrócił mu swobodny oddech. Potem przystąpił do pracy. Zaczął chodzić wkoło wozu, obszedł go parokrotnie, chcąc dokładnie przyjrzeć się miejscu wypadku i wyłamany drzwiczkom w wozie. Mruczał, skrobał się w zamyśleniu po głowie i kiwał nią. Potem przystanął. Snuł intensywne rozważania, aż musiał z tego wysiłku podrapać się po zmierzwionej brodzie. Jego twarz wyrażała skupienie. Nałożył ręce na piersi i dalej trwał w męczących go deliberacjach. Na ostatek dowodzący miejskimi strażnikami, wskazując wóz z winem i wodą, oświadczył triumfalnie:

- Ukrywał się w tymże oto wozie. - Wymówił to z dumą, bo wszak niewiele zajęło mu czasu dojście do prawdy. - Do kogo należy orszak?

De Ardalais zagryzł wargi. Poczuł zamęt w głowie.

- Jestem jego dowódcą - odrzekł z lekkim zdenerwowaniem, w którym nie brakło przesyconej zdumieniem uniżoności. - Jedzie z nami infantka kastylijska, narzeczona królewskiego syna, oraz dostojnicy kościelni, arcybiskup Bordeaux, a także biskupi Saintes i Poitiers.

Strażnik z uwagą spojrział na Guya de Ardalais'go. Wbił w niego zmęczone wejrzenie. Odnosiło się wrażenie, jakoby poczuł się zmieszany, uzyskawszy informacje o dostojnych podróżujących.

Pośród zebranego tłumu zapanował ogólny jazgot. Mieszkańcy Tours nie przestawali kłócić się pomiędzy sobą, pomstować i tłumaczyć sobie nawzajem, co się stało, pomimo tego, że akurat nie było ich na miejscu w chwili wypadku. Przeciskali się i ze wstrętem pokazywali sobie heretyka. Z niemym zaciekawieniem wytrzeszczali ślepią, wgapiając się w świętą infantki. Jakby zapomnieli, że jeszcze przed chwilą oglądali spalających się kacerzy.

- Panie, infantka i wielebni biskupi odjadą do klasztoru - oznajmił de Ardalais.

Tymczasem Blanka bez słowa opuściła wóz, nie powiadamiając duchownych o swoim zamiarze. Zakryła nos. Spalające się niedaleko ludzkie mięso roznosiło odór nie do wytrzymania, ale nie mogło spowodować, aby ona beczynn timer siedziała w wozie obok afektowanych biskupów. Wyteżonym wzrokiem wypatrywała de Ardalais'go. Wtem go dojrzała. Energicznie przyspieszyła kroku. Miejscy strażnicy prowadzili z nim rozmowę, ale gdy spostrzegli, że zbliża się do nich nadzwyczaj strojnie ubrana dziewczynka, zaprzestali dyskusji, albowiem w lot pojęli, iż to ona jest kastylijską infantką zmierzającą do Paryża.

Zapytała Guya wprost:

- Który z nich jest głównym strażnikiem?

Wskazał jej go palcem, ale nie wiedział, z jakim zamiarem nosi się Blanka. Dziewczynka obróciła się szczupłym ciałem w jego stronę, po czym postąpiła pięć kroków naprzód. Stała przed osobą odpowiedzialną za utrzymanie porządku i ładu w mieście. Sięgała mężczyźnie poniżej jego ramion. Wskazała ręką falujący, jazgoczący nieprzerwanie tłum.

- Chcę przemówić do tych oto ludzi! - rzekła rozkazująco.

Po twarzy de Ardalais'go przebiegł ledwo dostrzegalny uśmiezek, który wnet przeszedł w zadziwienie. Był pod ogromnym wrażeniem hartu ducha Blanki i jej nieustraszonego serca. Nie była zawstydzona ani spłoszona. Przeciwnie, wykazała się otwartością i odwagą. Jej twarz była śmiała, znała ich język.

Bądź silną, wytrwałą i nieugiętą. Zawsze! Krew z krwi!

Odsunęła rękę od nosa, mimo że duszący smród wdzierał się agresywnie do nozdrzy, a gryzący dym powodował natrętne mruganie powiek i łzawienie oczu. Nie mogła okazać słabości, tego w żadnym wypadku nie pochwaliby Eleonora Akwitańska. Dowódca strażników usiłował uciszyć tłum, ale próby te dały znikomy efekt. Infantka rozejrzała się szybko za siebie. Dostrzegła leżący nieopodal wielki

kamienny blok. Nie zwlekając, podniosła nieznacznie dół sukni i żwawo wstąpiła na kamień. Odwróciła się twarzą do miejskiej gawiedzi, po czym podniosła wysoko rękę do góry, ponad swoją głowę, tym samym dając tłuszczy znak, aby się uciszyła, ponieważ ona chce do niej przemówić.

Ludzie podeszli do dziewczynki. Otoczyli ją.

A ona, wyraźnie zaznaczając każde wypowiedane przez siebie słowo, przemówiła do ludzi dziecięcym, aczkolwiek silnym głosem, który nakazywał posłuch, a z którego przebijał mocny kastylijski akcent.

- Jestem Blanka, kastylijska infantka. Córka króla Kastylii Alfonsa i Leonor Angielskiej, wnuczka Eleonory Akwitańskiej i Henryka Plantageneta! - Rozejrzała się spokojnie wokół i prawiała dalej, a ludzie zastygli w milczeniu. - Słuchajcie, co powiem. Jestem następczynią tronu Francji i waszą przyszłą królową. - Zamrugła szybko powiekami i bez emocji wskazała ręką trupa, następnie zaś niewzruszenie ciągnęła. - Zabierzcie ciało heretyka spod kół i wrzucie je na stos. Jeżeli miał być spalony, powinno stać się zadość Bogu i prawu. Pochwalę mieszkańców pięknego miasta Tours przed samym królem Francji Filipem Augustem - zapewniła solennie i przyoblekła twarz w coś, co jawiło się jako delikatny uśmiech. Pośpiesznie przetarła oczy. - Będzie wam wdzięczny, że należycie przyjęliście jego przyszłą synową i zapewniliście jej i całej jej świcie bezpieczeństwo. Uczyńcie bezzwłocznie, co powiedziałam, taka jest bowiem moja wola!

Nie zająknęła się i nie wystraszyła, mówiąc do tłumu. Nikt nie potrafił oderwać oczu od młodziutkiej, pełnej niewinnego wdzięku Kastylijki, jej kasztanowych, gęstych włosów i kosztownej sukni. De Ardalais musiał uczciwie przyznać, że Blanka go zaskoczyła. Patrzył na nią z pełnym zdumienia uznaniem.

„Prawdziwa wnuczka Eleonory Akwitańskiej. Czy aby nie przerośnie babki?” - pomyślał z zaciekawieniem.

Dziewczynka stała wyprostowana, dumna. Nie ugięła się pod ciekawskim wzrokiem wpatrzonych w nią z zachwytem ludzi. Król Kastylii dbał, żeby, kiedy były po temu okazji, ulubiona córka pojawiała się przed ludźmi i przyzwyczajala się do publicznych wystąpień, dlatego też nie odczuwała ona teraz żadnego skrępowania, które mogłoby ją obezwładniać. Była przekonana, że nikt nie odważy się jej sprzeciwić, ponieważ nie chciano narażać się na królewski gniew, a mógł on być srogi. Wszakże chodziło o przyszłą królową Francji!

- Utrafiłaś, infantko, swą przemową w samo sedno - rzekł uprzejmie de Ardalais.

Blanka uniosła wzrok na eskortującego ją rycerza i napotkała serdeczne spojrzenie jego łagodnych niebieskich oczu. Podziękowała mu wdzięcznym uśmiechem, a on dojrzał dwa słodkie dołeczki w jej policzkach, które zostały muśnięte różową barwą.

- Kiedy zostanę królową Francji, na moich ziemiach nie będzie ani jednego heretyka.

- Infantko, to jeszcze potrwa, biorąc pod uwagę fakt, iż król Francji jest pełen sił witalnych i doskonałego zdrowia.

- Ja mam dużo czasu - odparła dwunastoletnia Kastylijka. - A ty, de Ardalais?

Przełożony strażników niezwłocznie nakazał usunięcie martwego mnicha spod kół wozu. Skłonił się z szacunkiem przed Blanką i odszedł z kilkoma swoimi ludźmi, którzy taszczyli po ziemi kacerskiego nieszczęśnika. Ten pozostawiał za sobą krwawy ślad heretyckiej nieustępliwości. Wkrótce z rozmachem wrzucono go do palącego się jeszcze stosu. Ludzie, którzy poszli za nimi, w chwilę potem zdzierali ze szczęścia gardła, obserwując, jak ósme heretyckie ciało spala się w oczyszczających go płomieniach.

Papież Innocenty, ten żywy filar i puklerz chrześcijańskiej Europy, jedyny strażnik chrześcijańskiej religii, zapowiedział: w Tours zostanie spalonych ośmiu heretyków. I dzieło papieskie dokonało się. Zostało spalonych ośmiu kacerzy - nie ludzi, ale niewiernych, którzy

miast wyrzec się złej wiary, woleli cierpieć katusze, zanim kara nie zatrze śladu innowierczych błędów. *Culpam poena premit comes!*¹⁶³ Zatem sprawiedliwości stało się zadość! Zatem Rzym ponownie odniósł zwycięstwo!

*

Ermessenda rzadko wychodziła z komnaty. Wstyd zmieszany z przerażeniem nie pozwalał jej opuszczać jedyne go bezpiecznego miejsca w ojcowskim zamku. Po ostatniej wizycie w jaskini, w której mieściło się tymczasowe leprozorium, zaniechała dalszych tam odwiedzin. Była struchlądała do tego stopnia, że każdego dnia obserwowała swe ciało z paraliżującą paniką. Przypuszczała, że choroba, w całej potworności, niedługo ją dopadnie, a ona wszelako nie była w stanie pogodzić się z losem, który zesłał jej w swej nieprzeniknionej łaskawości Bóg Ojciec. Z dojrzewającą każdego dnia trwogą dotykała skóry i gładziła ją. Wydawało jej się, że zaczynają pojawiać się na niej zmiany, które dowodziłyby jednego. Wówczas serce zamierało, a krew przestawała pulsować. Zaprzesła zadręczać rodzicielkę wizytami, albowiem nie mogła i nie chciała zaglądać do matczynej komnaty. Nie mogła zarazić malutkiego braciszka; nie mogła patrzeć na jej szczęście z powodu narodzin syna, następcy rodu; nie chciała oglądać więcej w jej oczach dojmującej niechęci, gdy napotykały one spojrzenie córki.

Ojciec natomiast kilkakrotnie zaglądał do Ermessendy, ale ona, uciekając się do kłamstw i wymówek, zbywała go tak szybko i nieładnie, jak to czyniła dotychczas Bertille w stosunku do pierworodnej. Nie mogła mu powiedzieć o nieszczęściu, które się jej przydarzyło, kiedy pojechała zawieźć pożywienie trędowatym, a które dopadło ją niespodzianie przy boskiej pomocy. Wszak z rozpaczyny pękłoby mu serce.

- A Rajmund? - roztrząsała bezustannie. - Co będzie z Rajmundem Rogerem? Nie powinnam go poślubiać... Cóż ja mam czynić?

Hrabianka radykalnie zmieniała swe dotychczasowe zwyczaje. Zaprzestała zjeżdżać na wierzchowcu do doliny, pomimo tego, że pasjami lubiła codzienne przejażdżki. Rozsądek nakazywał jej od owego dnia porzucić tę przyjemność. Nikt ani nic nie potrafiło jej rozweselić.

Nawet rozmowy z Agnes zmieniły dotychczasowy charakter, nie sprawiały jej przyjemności jak dotąd. Trzymała służącą z dala od siebie i kategorycznie zabroniła jej się zbliżyć. Agnes rozumiała zachowanie swej pani. Ona jako jedyna poznała jej potworną tajemnicę. Hrabianka od tej pory ubierała się sama, myła się sama, czesała się sama. Nie chciała skrzywdzić Agnes. Zaprzestała myśleć o przyszłości, nie mogła bowiem niczego oczekiwać. Świadomość, że miałyby niebawem zostać żoną wicehrabiego Carcassonne, przejmowała ją grozą. Jeszcze do niedawna jedynym, co czuła, była niepojęta radość i szczęście, ale uczucie to przeminęło, już nigdy nie powróci. To życie nie jest jej przeznaczone. To mrzonki niemające szans na spełnienie. Nadzieja odpłynęła, a świat zamknął przed nią podwoje. Straciła wszystko i nie mogła rozpocząć życia od nowa.

„Cóż mi pozostało? - biła się z szalejącymi w głowie myślami, które doprowadzały ją do obłędu. - Dlaczegoż nie zasługuję na szczęście?”

Jeno Bóg mógłby udzielić odpowiedzi. Lecz On milczał. Trwała w mroku dnia i nocy, a umysł nie potrafił odnaleźć drogi ku światłu. Czuła, że wypełnia ją pustka, że umiera za życia. Utraciła jakąkolwiek nadzieję. Przestała sypiać po nocach, jadła niewiele. Ktoś mógłby pomyśleć, że Ermessenda czyni wszystko, by z jej młodego, niewinnego ciała uszło życie, by uleciało szybko i bezboleśnie. Nie chciała żyć. Nie chciała tkwić w udręce niepewności. Nie chciała odczuwać bólu istnienia. Nie chciała widzieć guzów, nacieków, które będą cuchnąć, płatów odpadających z jej jakże jeszcze młodego ciała. Nie wyobrażała sobie, że będzie uciekać przed ludzkim wzrokiem, że

będzie chronić się w miejscach, do których dotąd jeździła, aby pomagać ludziom nazywanym za życia trupami, od których z obrzydzeniem odwraca się wzrok.

„Czyż ja za niedługo nie będę takim trupem?” – rozmyślała w panice, tracąc dech w tej okropnej rozterce duchowej.

Nie była w stanie przewyciężyć gwałtownego wybuchu uczuć. Chciała umrzeć. Teraz, natychmiast! Ale dlaczegoż nie mogła? Co powstrzymało Boga, aby ją zabrał do nieba? Czemu zwlekał? Na cóż On czekał? Zakryła dłońmi twarz i jęła zawodzić żałośliwie, przeraźliwie, głosem podobnym do wycia wilka, a lament ten odbijał się ponurym echem od ścian pociemniałej komnaty.

Agnes cichutko zapukała. Hrabianka momentalnie zamilkła, wiedziała, że to jej służąca. Miały umówiony sposób, w jaki panna służebna będzie stukać do drzwi komnaty. Ermessenda leżała w szerokim łóżu, a w sypialni było równie ciemno jak w duszy hrabianki. Smutna otchłań mroku, żalu i dojmującego strachu. Jedzenie, które służąca zostawiła rano, leżało nietknięte, mimo że zawitał już późny wieczór.

- Pani, moja najśłodsza, zaraz rozpalę...

- Nie, Agnes... nie świec mi trzeba...

Ojciec Ermessendy kazał sprowadzić córkę do hallu, w którym odbywała się uczta z okazji narodzin jej brata. Kolejna. Któraż to od chwili narodzin dziedzica?

- Hrabia pyta, czy zejdziecie, pani... na... - Rychło zamilkła. Miała świadomość, że córka hrabiego jest ostatnią osobą na zamku, która miałaby ochotę w obecnej chwili poświęcić się zabawie. - Jest muzyka, są pieśniarze - wyliczała, jednakże mało przekonywająco. - Wszyscy się weselą z okazji narodzin hrabiego de Peyresa.

Dziewczyna nie odwróciła głowy, nie poruszyła się. Wnet zapytała:

- Wierzysz w diabła?

Jej twarz przesłonięta była ponurym mrokiem.

- Pani moja...! - wykrzyknęła służąca, łapiąc się z przestraczem za pierś.

Ermessenda usiłowała stłumić wzruszenie, które zaczęło ją opanowywać. Nie odrywała dłoni od oczu. Poprzez palce przeciekały łzy.

- Ja go spotkałam... - Głos załamał się i uwiązł w gardle.

Agnes przeżegnała się szybko i podeszła do łoża. Córka Aureliena, usłyszawszy ją, wzdrygnęła się i bez oporów zganiła służącą.

- Odejdź!

Służka stanęła w pół kroku.

- Zapomniałaś? - spytała z ostrym wyrzutem, machając w powietrzu dłonią. - Nie wolno ci do mnie podchodzić!

Nie, Agnes nie zapomniała, ale musiała zabrać jedzenie, które zrobiło się nieświeże, dlatego od razu wyjaśniła:

- Pani, zabiorę to, czego nie zjedliście. - I natychmiast zapytała z troską: - Nie smakowało wam?

- Nie byłam głodna. Zostawię je przy drzwiach, wtenczas zabierzesz.

Agnes naprędce się odsunęła, nie odważyłaby się denerwować swojej pani. Stanęła w miejscu, które wyznaczyła jej uprzednio Ermessenda. Zawsze ma stać w tym jednym, wtedy mogą rozmawiać i w nim Agnes ma zostawiać dla niej posiłki.

- Pani, zejdzicie?

Ermessenda nadal leżała bez ruchu. Nie miała ochoty się podnosić. Za nic na świecie nie zesłaby do hallu na kolejną ucztę, którą wyprawiał ojciec. Aurelien całkowicie oszalał ze szczęścia, obsypując Bertille złotem, srebrem i wymyślnymi kosztownościami. Spełniał jej wszystkie zachcianki, był na każde skinienie żony, na każde jej zawołanie, na każde spojrzenie. Podporządkował teraz całe życie swojemu potomkowi i jego matce.

- Po cóż pytasz, Agnes? - spytała z pełnym zniecierpliwieniem oburzeniem i powoli obróciła głową. - Czyż nie znasz mojej odpowiedzi? Ona pozostaje wciąż niezmienną.

Służąca bolała nad swoją panią. Zrobiłaby wszystko, byleby hrabianka stała się taką, jaką pamiętała ją jeszcze sprzed niedawna.

Łzy bezustannie napływały do oczu Agnes, ale pomimo dobrych i szczerych chęci nie znalazła dotąd sposobu, żeby pomóc Ermessendzie. Nie wiedziała, jak mogłaby to uczynić. Kochała ją jak własną siostrę, której nie miała, i dlatego tak bardzo razem z nią cierpiała.

- Myślałam, że może...

- Zatem nie myśl... bo myślenie jest niebezpieczne. Rób jedynie to, o co cię proszę.

- Cóż mam przekazać hrabiemu?

- Co jeno chcesz. - Wzruszyła ramionami, zajęta pławieniem się w gorzkich myślach. - Idź już. Nie przynoś mi dziś jedzenia, nie będę niczego spożywała.

Agnes z ogromnym smutkiem opuściła sypialnię Ermessendy. Nie mogła pomóc swojej pani, choć pragnęła tego bardziej aniżeli szczęścia i zdrowia dla siebie samej. Jedynym, co mogła uczynić, było trwanie przy Ermessendzie, wspieranie jej i otaczanie miłością, póki ta na to pozwalała.

Hrabianka wtuliła zapłakaną twarz w poduszkę. Strach przed przyszłością i przeszywająca boleść nieprzerwanie wstrząsały jej młodym ciałem. W całej tej makabryczności, którą ze skurczem lęklivosti spostrzegła, nie uświadamiała sobie nawet jednej części tych męczarni, jakie przewidział dla niej Wszechmogący. Wokół panowała martwa cisza.

- Czyż tak wygląda piekło? - szepnęła w ponurą pustkę.

Ojciec Niebieski nie odpowiedział.

*

Bertille czuła się cudownie. Nareszcie! Karmiła swojego synka. Siedziała przy oknie w fotelu wyściełonym miękkimi futrami i tuliła do serca chłopczyka. Był drobnutkim, pachnącym dzieckiem. Kołyskę, zgodnie z życzeniem hrabiny de Peyres, ustawiono przy jej

łożu. Chłopiec nie dokuczał matce w nocy i Bertille wysypiała się, dzięki czemu mogła cieszyć się posiadaniem niespożytej energii. Hrabia stał się mniej ważny i musiał poczekać, aż żona na powrót będzie skłonna obdarzać go łaskami.

Mała Ermessenda niegdyś nie dawała matce takiego komfortu jak malutki dziedzic, dlatego też Bertille niezwłocznie oddała ją gromadzie nianiek. One stale chuchały na hrabiankę, strzegły ją jak żrenicy oka i miały w swej pieczy. Przez kilka pierwszych lat dziewczynka w nocy na okrągło płakała, dlatego Aurelien bardzo to przeżywał. Nieraz wpadał do komnaty malutkiej córeczki, krzyczał na zmęczone niańki, bił je, gdzie popadło, i nosił pierworodną na rękach, przytulał, obsypywał pocałunkami, z czułością tulił do snu. Wówczas dziecko się uspokajało. Bertille natomiast rzadko kiedy zaglądała do małej Ermessendy. Nie nosiła jej na rękach, nie tuliła, nie całowała, nie chciała otaczać troską, chciała zapomnieć, że dała życie córce.

Teraz nareszcie szczęśliwa, spełniona i całkowicie odprężona gładziła dłonią łysą (z kilkoma zaledwie kosmykami), zaróżowioną główkę dziecięcia i dotykała jego drobniutkiego noska. Malec ssał pierś matki tak silnie i łapczywie, jakby obawiał się, że zaraz mu ją odbiorą. Hrabina uśmiechała się. Chłopiec miał zamknięte oczka, ale jedną wysuniętą rączkę oparł na piersi matki i mimowolnie łaskotał jej gładką skórę. Nie przerywał jedzenia, a Bertille wsłuchiwała się w jego spokojny, miarowy oddech.

Gdy wkrótce po porodzie hrabiny przyprowadzono do zamku kobietę, która sama niedawno powiła dziecię i miała wystarczająco dużo mleka, aby karmić również małego dziedzica, Bertille bez zmruczenia oka wygnała ją precz. Za żadne skarby świata nie oddałaby chłopca w ręce mamki. Tak marzyła o zdrowym synku i marzenie jej życia spełniło się. Nareszcie! Była wdzięczna Bogu za łaskę, za wysłuchanie jej, za danie szansy na bycie prawdziwą matką. Łzy szczęścia kapały na dziecko. Nie czuła bólu, kiedy jego drobniutkie usteczka łapały z całej mocy jej sutek, jakby chciały go jej wyrwać. Kochała ten ból i długie siedemnaście lat na niego czekała. Nie

syczała, sprawiało jej to bowiem niebotyczną przyjemność. Bolesną – ale przyjemność. Miała wrażenie, że świat cały skłonił się ku niej i obdarzył ją niepojętym szczęściem, o jakim po wielu poronieniach nie śmiała już marzyć. Jednakże jej uczucia do pierworodnej nie uległy zmianie. Hrabina odliczała czas do zaślubin Ermessendy z wicehrabią Trencavelem.

Tymczasem do komnaty weszły kobiety służebne i zajęły się układaniem pościeli na łożu hrabiny. Potem poprawiły lniane pielesze potomka rodu de Peyres. Anna szykowała suknię dla Bertille, a Maria uzupełniała świece, wybierała knoty i wkładała nowe.

– Mario, czy hrabia już jadł? – spytała jedną ze służących ich pani.

Gruba, niska kobieta o tłustej twarzy, podnosząc do góry sukno pościelowe, odpowiedziała:

– Jakżeby nie? Wkrótce potem hrabia wyjechał na przejażdżkę.

Bertille spojrzała na dziecko. Chłopiec w dalszym ciągu ssał pierś matki. Kobieta uśmiechnęła się z największą czułością.

– Jakże ja ciebie kocham, mój malutki, mój jedyne – szepnęła, nachylając się nad jego pachnącą łysinką. Z rozrzewnieniem przyglądała się delikatnej, okrągłej buzi chłopczyka. Spytała Marię, nie odrywając oczu od swojej jedynej miłości: – Zdołałaś się już wywiedzieć, dokąd jeździła moja córka?

– Pani, wybaczenie... – przyznała zakłopotana. – Sądzę, że...

Sposób, w jaki służąca to powiedziała, zaintrygował Bertille na tyle, że oderwała na moment wzrok od dziecka.

– No mówże! – rozkazała.

Anna szybko spojrzała na siostrę.

„A skąd ona może coś wiedzieć?” – zdziwiła się.

Maria była przebiegła i odważnie wyznała:

– Na pewno coś wie jej służąca Agnes, one się nie rozstają. Hrabianka musiała jej zdradzać, dokąd wyjeżdża w tajemnicy.

Hrabina prychnęła.

– To pewne... ale nie zdążyłam jeszcze z nią porozmawiać. Myślałam, że ty szybciej dostarczysz mi od niej wiadomości.

Maria klepała dalej jak najęta. Anna udawała, że w dalszym ciągu tylko sprząta, ale w rzeczywistości przede wszystkim z palącym zainteresowaniem przysłuchiwała się siostrze.

- Nie udało mi się. Brałam ją na spytki, ale dziewczyna twardo obstaje przy swoim, że nie ma pojęcia...

- Łże! - przerwała służącej Bertille.

- Też tak sędzę, moja pani - zgodziła się Maria. - Na dodatek Agnes często rozmawiała z moją córką. I różne rzeczy jej opowiadała...

Bertille dotknęła malutki nosek dziecka. Spoglądając z rozrzewnieniem na chłopczyka, spytała:

- Jakież to na przykład? - Pocałowała główkę maleństwa.

Maria trwoźnie spojrzała na Bertille. Ogarnęła ją obawa, ale po chwili wymamlała:

- A, gadała o narzeczonym hrabianki Ermessendy... Takie głupoty plotła, że nie warto o tym wspominać.

Chłopczyk wysunął sutek z drobnych usteczek i westchnął tak głośno, że hrabina kolejny raz wpadła w czułościowość. Zakryła pierś i wstała. Z największą troską trzymała w ramionach dziedzica rodu. Spokojnym krokiem podeszła do kołyski wypełnionej najcieńszymi lnianymi tkaninami i mięciutkimi futerkami wiewiórek.

- Mario, mówże ciszej - poleciła. - Znam ciebie. Gdybyż to były jeno głupoty, nie mówiłabyś mi o tym teraz. Coś ci chodzi po głowie. Słucham zatem.

Ułożyła syna najdelikatniej, jak tylko potrafiła, patrząc uważnie, aby nie obudzić maleństwa. Spoglądała na niego z lekkim uczuciem żalu, chłopczyk bowiem usnął i nie mogła go obdarzać soczystymi pocałunkami.

Maria z grymasem na twarzy wciąż milczała. Widać było, że podczas tej krótkiej chwili zbiera myśli i układa sobie coś w głowie. Anna niezauważenie przysunęła się bliżej i bacznie nadstawiała ciekawskiego ucha. Potem Maria zaczęła po cichu:

- Agnes opowiadała mojej córce - zaczęła z zimną krwią i wyrachowaniem - że wicehrabia jej się spodobał... Tak bardzo, że

żywi szczerą nadzieję, iż Ermessenda nie podoła obowiązkom małżeńskim i...

Wyznanie to uczynione przez tłustą służącą sprawiło niezawodnie, iż Bertille w mgnieniu oka, niczym strzała, stanęła przed Marią w pozie, jakiej służące nie lubiły. Zazwyczaj wtedy hrabina biła je po twarzy i wymagała niemożliwego. Żona Aureliena przypatrywała się gadatliwej Marii jak sowa, która wyteża wzrok, chcąc pochwycić małego zająca. Zmarszczyła ponuro brwi, spoglądając to na służkę, to znów na jej siostrę, jakby wyzywała je, aby zaprzeczyły tym kłamliwym doniesieniom.

- I?

Maria przestraszyła się wagi słów, które częściowo już wydukała, a teraz musiała jeszcze dokończyć to, co zaczęła. Przez krótką chwilę toczyła wewnętrzną walkę. Podjęła wielce ryzykowną grę.

- Pani moja... Agnes plotła, że...

Bertille wzdrygnęła się i z nagłą tupnęła nogą, jednak nie z taką siłą, jak to czyniła zazwyczaj. Teraz wszelkim jej działaniom przyświecała jedyna myśl: syn. Nie śmiała obudzić dziecka. Jego spokojny sen był dla niej najważniejszy.

- Pani moja... Agnes przyznała się mojej córce, że... - Hrabina wyczekiwała z pulsującym żarem, który napełniał ją aż do mózgu. - ... że chętnie... zajęłaby miejsce hrabianki... jeżeli...

Bertille nie tego się spodziewała. Przez krótki moment poczuła niemoc. Uktwiła matowe, rozwarte oczy w twarzy Marii. Nie była gotowa na wieści, które zupełnie ją teraz oszołomiły i wstrząsnęły nią do głębi. A cóż, jeżeli młody Trencavel pozwoli się uwieść Agnes i odtrąci Ermessendę, a w konsekwencji zamknie ją w klasztorze, jak to mieli w zwyczaju mężczyźni znudzeni małżonkami lub też tacy, którzy, omotani czarami, oddali serce innej kobiecie? Jak mi Bóg miły, nie może to być! Wszystkie korzyści, na jakie liczyła Bertille, wynikające z połączenia obu rodów, zostałyby zaprzepaszczone! Wszystko nieuchronnie poszłoby na marne! Jeżeli Ermessenda nie da

szybko dziedzica Rajmundowi Rogerowi Trencavelowi, a on weźmie sobie do łóża Agnes, to...

- O Boże mój! - jęknęła z przerażeniem Bertille, uzmysławiając sobie, że wszelkie dalekosiężne plany zostałyby niechybnie zaprzepaszczone.

Maria odezwała się z miejsca:

- Zaiste, pani, moja Albertyna wszystko mi wyznała...

Tymczasem Bertille przeszła w pobliże okna. Ciężko opadła na fotel, w którym poprzednio karmiła dziedzica. Jej ręka obwisała z rezygnacją. Zaczęła wzdychać, jak gdyby serce z nagłą uciskał wielki ciężar, którego nie mogła się pozbyć. Twarz nabrała natychmiast nieładnych rumieńców.

„To nie może się stać... - Potrząsnęła nerwowo głową i przyłożyła dłoń do czoła. - Nie pozwolę na to! Nigdy!”

W tym momencie nieważnym się stało, dokąd jeździła samotnie Ermessenda. Problem był dużo poważniejszy, a jego źródło stanowiła przybłęda, będąca od wielu lat zaufaną służącą jej córki.

- Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz, Mario? - zapytała protekcyjnie, usiłując ściągnąć wodze swojemu gniewowi.

Służąca nie przewidziała tego pytania. Zaczęła się jąkać i spoglądała na Annę, jakby u niej poszukiwała pomocy i podpowiedzi, siostra wszak nie była w stanie jej pomóc, nie miała bowiem pojęcia o rozmowie, którą przeprowadziła Agnes z Albertyną.

- Pani... nie wiem... - wyznała bezdusznie Maria.

Bertille mierzyła ją surowym wzrokiem, a jej mrugające oczy spoczęły na twarzy służącej z wyrazem silnego wzburzenia, jakby już, w tej samej chwili, odczuwała niekorzystne skutki tychże fatalnych wiadomości. W jej spojrzeniu było coś, co udzielało się Marii jak niezaznana nigdy trwoga.

- Hrabino, mogę przywołać moją córkę - zadeklarowała z nagłą. - Ona wszystko opowie... Na pewno dokładniej, aniżeli ja to uczyniłam.

- Jest to w tej sytuacji zbyteczne - odpowiedziała Bertille głosem szorstkim jak szczekanie psa.

Wstała. Wolnym krokiem podeszła do kołyski. Malutki dziedzic de Peyres nadal spał. Okryła ponownie synka i dotknęła jego drobne ciało, jakby chciała się upewnić, że malec oddycha i jest bezpieczny. Na skrzyni w pobliżu kołyski leżał kawałek chleba, by dziecko długo żyło; cukier, by dziecko było słodkie i dobre; złoto, by dziecku zawsze zbywało na bogactwie i zaszczytach.

- Zostańcie z małym hrabią w komnacie. - Wyprostowała się i obróciła twarz ku służącym. - Niebawem wrócę. Pilnujcie go jak oka w głowie - poleciła bez ogródek z miną łaskawej pani. - Ja pierwsza wam je wydlubię, jeżeli włos z głowy spadnie mojemu synkowi - dodała.

Służące drgnęły i migiem podeszły do kołyski. Anna wołała nieokiełznaną burzę z piorunami aniżeli wybuch złości u żony Aureliena. Obie z siostrą nie zamierzały spuścić z oczu maleńkiego chłopczyka, który w zamku na szczycie góry był pępkiem świata.

*

Agnes zbiegała po schodach. Musiała być szybka, hrabina nie lubiła powolnych służących. Pędziła krętymi schodami, uważając, żeby nie upaść. Kazano jej zgłosić się do żony Aureliena, która oczekiwała jej w jednej z dolnych komnat w tej części zamku, która była bardzo rzadko używana. Co chwila pochylała się, ze ścian zwisały bowiem olbrzymie pajęczyny. Po kątach biegały z kolei dziesiątki myszy. Dzisiejszego dnia służka hrabianki była radosna, a miała ku temu powód. Głód na tyle dokuczył Ermessendzie, że sama poprosiła o chleb i wino. Nareszcie! Nic ponadto, jeno chleb i wino. Nawet jednak ta nieznaczna ilość pożywienia zdołała uradować Agnes i wtłoczyć w jej serce nadzieję. Cieszyła się, że jej pani zaczyna jeść. Powolutku, ale - na Boga! - był to wszelako dobry znak.

Tymczasem Agnes dotarła na miejsce. Ostrożnie przestąpiła próg komnaty i wdzięcznie dygnęła przed hrabiną de Peyres.

Bertille bez zbędnej zwłoki przystąpiła do omówienia niepokojącej ją kwestii.

- Nie miałam jeszcze okazji cię zapytać... - zaczęła, piłując ciętym wzrokiem młodziutką dziewczynę. - Cieszysz się, że twoja pani została zaręczona z wicehrabią Carcassonne?

Pytanie wydało się Agnes dziwne. Zdumiona przyjrzała się Bertille, jej poważnej i surowej twarzy, z której nie mogła niczego wyczytać.

„Czy po to zawołała mnie tutaj hrabina, żeby wypytywać o coś, co jej zupełnie nie interesuje? Skąd ta nagła zmiana?”

Bez zastanowienia odpowiedziała:

- Ależ oczywiście, hrabino. Ogromnie się cieszę.

Bertille nie dała się łatwo zwieść. Była sprytna, nieustępliwa i przebiegła. Czujnym wzrokiem badała służącą córki.

- Czy nie będzie ci żal opuszczać zamku Peyres - wypytywała - i przenosić się do siedziby męża Ermessendy? Inne życie będziesz tam wiodła, dojdzie więcej obowiązków. Jesteś na to gotowa?

„Czemuż miałabym nie być? Moje życie niewiele będzie się różniło od obecnego” - pomyślała bezwiednie Agnes.

- To dobrze - odparła szczerze. - Lubię pracować. Jestem wdzięczna, hrabino, że przygarnęliście mnie, ale moje miejsce jest przy hrabiance Ermessendzie. To moja pani, a moje życie jest z nią związane.

- Doprawdy?

Agnes przytaknęła. Nie wyobrażała sobie życia bez hrabianki i nie zamierzała nawet tego próbować.

- Owszem, pani. Kocham całym sercem waszą córkę i nie wyobrażam sobie, że mogłabym ją opuścić.

„Moje uczucia są zgoła odmienne” - pomyślała w jednej chwili Bertille i nie zwlekając, rzuciła:

- A cóż sądzisz o narzeczonym Ermessendy?

Agnes zdziwiła się już nie na żarty. Skąd te wszystkie pytania? Cóż one miały znaczyć? Do czego miały prowadzić?

- Pani, nie mnie to oceniać.

Bertille nalegała na szczerą rozmowę.

- Narzeczony hrabianki to wielki pan, możny i bardzo młody - odpowiedziała więc grzecznie Agnes. - Będą szczęśliwi.

Hrabina była coraz bliżej. Skradała się powoli jak lis, niezauważenie, z czujnością.

- Czy uważasz, że ma miłą powierzchowność? Czy wicehrabia może podobać się niewiastom?

Agnes spuściła wzrok. Dotknęła palcami szyi i jęła ją nerwowo pocierać. Cóż miała odpowiedzieć? Ma być szczerą? Czy lepiej skłamać? Cóż czynić?

- Istotnie, pani, może - odpowiedziała bez zająknięcia.

Hrabina zbliżyła się do służącej i ujęła w palce jej podbródek. Przysunęła twarz do jej pulchnego lica i trwała tak przez moment. Kiedy ta chwila przeminęła, zadała kolejne pytanie, nie odrywając od niej złych oczu.

- Czy tobie spodobał się narzeczony mojej córki?

Agnes splonęła rumieńcem, który schodził powoli z twarzy i obejmował szyję. Bertille zdołała to zauważyć. Służąca hrabianki przypomniawszy sobie twarz Rajmunda Rogera i jego łagodne, szare oczy. Przypomniawszy sobie jego wzrok, którym ją objął, i ten urywek chwili, kiedy patrzyli tylko na siebie. Zrobiło jej się gorąco.

- Zadałam ci pytanie - wycedziła hrabina z całą stanowczością, z którą każdy mieszkaniec zamku zdołał się zetknąć. - Odpowiedz na nie.

Służąca Ermessendy chciała odskoczyć jak spłoszony zwierzak, ale Bertille nie pozwoliła, wyczuła już bowiem jej płytki oddech. Widziała krople potu, które perliły się na dziewczęcej twarzy. Nieomal słyszała, jak młodziutkie serce wali pod suknią, głucho i niemiarowo, a wełniana tkanina na piersi podnosi się i opada. Żona Aureliena zabawiła się w łowczego. Pasjami lubiła to. Ten widok, kiedy zwierzę wije się i usiłuje walczyć o życie, przyprawiał ją o żywsze bicie serca. Wydało się, że w mroku komnaty hrabina napawa się bezradnością

służącej córki i śmieje się ze wszystkich łotrostw swojej nikczemnej przeszłości.

„Nie... teraz, moja Agnes, zostaniesz ze mną. Nie pozwolę ci odejść - myślała drapieźnie Bertille. - Prawie cię mam... Zaraz... zaraz wpadniesz w moje sidła...”

Agnes czuła, że nogi uginają się pod nią.

- Nie podoba mi się. Pani... jakże...?

- Jesteś tego pewna? - Utkwiła w niej perfidny wzrok. - To dlaczego zarumieniłaś się tak, jak rumieni się każda zakochana dziewczyna na myśl o ukochanym? Dlaczego masz trudności w odpowiadaniu na proste pytania, które nie powinny wywierać na tobie żadnego wrażenia?

Zwierzak został złapany. Agnes wpadła w sidła Bertille. Nie wiedziała, jak wybrnąć, co powiedzieć, aby żona Aureliena dała jej spokój i pozwoliła odejść. W jej oczach zapłonął niepokój.

- Pani, wierzcie mi - tłumaczyła z przejęciem. - Wicehrabia nie podoba mi się.

- To czemuś powiedziała, że może się podobać niewiastom?

Agnes nie otwierała ust. Bertille świdrowała ją wzrokiem, niechętnym i podejrzliwym. Widziała każdy nerw na jej twarzy, każde poruszenie mięśnia. Agnes usiłowała pochylić głowę, ale Bertille twardo trzymała w palcach jej podbródek. Pojawiły się pierwsze łzy. Łzy niemocy, upokorzenia, wstydu. Jej sekret wydał się, a Bertille dopięła celu. Hrabina uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Czy ty myślisz, głupia dziewczko, że odsuniesz Ermessendę od męża i sama wskoczysz do łóżka wicehrabiego?

Agnes wybałuszyła oczy. To, co powiedziała Bertille, było dla niej jak grom z jasnego nieba. Słowa hrabiny przeraziły służącą. Wyrzuciła ręce z rozpaczą.

- Co?! - wykrzyknęła do głębi zszokowana. Jej twarz przejęła groza. - Pani, cóż wy mówicie?!

Potok słów począł wylewać się z ust Bertille, jakby spalonych od gorączki.

- Nie pozwolę na to! Rajmund Roger Trencavel ożeni się z moją córką i to ja będę czerpać korzyści z tego małżeństwa, a nie ty, przybłędo. Nie pojedziesz do Carcassonne, nie będziesz służyć mojej córce... Nie pozwolę, abys zbliżyła się do narzeczonego Ermessendy... Ty podła, niewdzięczna suko!

Bertille puściła nagle podbródek dziewczyny i wolną ręką wymierzyła jej dotkliwy policzek. Agnes omal nie upadła.

W rozpaczy rzuciła się do nóg hrabiny. Objęła je rękoma i łkając, przylgnęła mocno do sukni. Hrabina nie mogła się poruszyć, albowiem służka córki hamowała jej ruchy, zaczęła się więc z nią szamotać, usiłując się wyrwać, ale Agnes trzymała ją mocno.

- Pani, przysięgam... nie podoba mi się wicehrabia. Nigdy nie miałam podobnych myśli. Pani, Kocham Ermessendę jak własną siostrę - zawodziła żałośnie. - Nigdy nie zrobiłabym niczego przeciwko niej...

Bertille poczerwieniała z wściekłości.

- Twoje słowa cuchną parszywym kłamstwem... - Z trudem uwolniła się z uścisku i kopnęła dziewczynę.

Agnes zwinęła się z bólu. Hrabina odsunęła się od leżącej na kamiennej podłodze dziewczyny. Chusta obwiązująca włosy służącej spadła, a one rozpadły się w całej swej długości na plecy dziewczyny i na podłogę.

- Nie wierzę ci... Łżesz, dziewczko! Jesteś kłamliwą suką... Zostaniesz ukarana... Nie będziesz wystawiać na pośmiewisko mojego rodu.

Agnes spazmatycznie zawodziła. Nie rozumiała, co się dzieje, co takiego się wydarzyło, że znienacka spadły na nią tak straszne oskarżenia. Dlaczego to? Na Boga! Dlaczego? Łkała, lamentowała, błagała o zlitowanie, choć niczego złego nikomu nie uczyniła.

Bertille nie zważała na płacz, był on jej zupełnie obojętny. Patrzyła spod byka na szlochającą dziewczynę.

- Dokąd moja córka jeździła w tajemnicy? - spytała nagle, wciągając powietrze.

Agnes powoli podniosła głowę. Starła łzy z zaczerwienionych oczu, ale nie przestawała pochlipywać.

- Pani... nie wiem. - Głos uwiązał jej w gardle. - Hrabianka nie zwierzała mi się.

Bertille podeszła i powtórnie kopnęła Agnes w brzuch. Brutalnie. Dziewczyna syknęła z bólu.

- Jeżeli nie powiesz mi, dokąd jeździła Ermessenda, każę... natychmiast wyrwać ci język - zapowiedziała bezdusznie żona Aureliena.

Agnes wpadła w panikę. Ogarnęła ją czarna rozpacz. Poczynała zdawać sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, w jakiej się znalazła. Dygotała i lamentowała. W akcie desperacji ponownie usiłowała złapać hrabinę za nogi, żeby przeproszać za winy, których wszakże nie popełniła. Bertille jednakże przewidziała ten odruch i zdołała się szybko odsunąć. Dziewczyna rozpaczliwie doczołgała się do niej, ale hrabina znów odskoczyła. Podeszła bliżej drzwi i głośno wykrzyknęła:

- Tomaszu, wejdź!

Ciężkie drzwi komnaty z dębowego drewna skrzypnęły. Uchyliły się szeroko i do środka wszedł wysoki, gruby mężczyzna w czarnym kaftanie. Stąpał ociężale, jakby miał problemy z chodzeniem. Ciemne, długie włosy pozlepiane w strągi zwisały mu z wielkiej głowy, a twarz z szeroko rozstawionymi oczyma najgorszego z najemników chodzących po ziemi mroziła krew w żyłach. Był niemową. Każdy na zamku wiedział, jakim potworem był ów człowiek. Jego odrażający widok sprawiał, że samo przebywanie w jego pobliżu przejmowało drżeniem. Nikt nie miał pojęcia, skąd się wziął i jak długo tutaj przebywał, jednakże był lojalnym sługą hrabiego i jego żony. Działał wtedy, kiedy dobre słowo zawodziło.

Agnes na jego widok zaczęła odchodzić od zmysłów. Odsunęła się w przestrichu od swojej dręczycielki i jej ślepo poddanego służącego.

- Pani, nie...! Błagam... Wszystko wam powiem... Błagam, pani moja - skamlała niczym bity pies, wyciągając ręce. - Nie róbcie mi krzywdy... Wszystko wam wyznam...

- Powiesz mi, dokąd jeździła moja córka? - zapytała oschle hrabina. - Jeżeli powiesz mi to, kłamliwa suko, będziesz żyć. Nie pozbawię cię życia - uspokajała, ale była to podstępna obietnica fałszywej hrabiny. - Nie lękaj się. - Wysiliła się na sztuczny uśmiech, który jednakże przyprawiał o dreszcze. - Nie jestem bynajmniej potworem jak Tomasz.

Mężczyzna stał nieporuszenie, jakby i uszy miał odcięte, ale wbrew pozorom wszystko słyszał, tylko na nic nie reagował. Był głuchy, kiedy należało, a szybki i sprawny, gdy tego od niego wymagano. Gdyby nie wielka sylwetka, można byłoby przeoczyć jego obecność w komnacie.

Przerażenie nie pozwoliło Agnes oddychać. Groza, będąca bezdenną otchłanią, przesłaniała wszystko niczym egipskie ciemności, które ogarniały grzeszną ziemię. Była jak drobny zwierzak w zębach drapieżnika, który nie zamierzał wypuścić z nich zdobyczy. Strach ścisnął jej wnętrzności i wykręcał je na wszystkie możliwe strony, powodując przy tym tępy ból. Nie mogła milczeć. Wiedziała, że aby przeżyć, aby wyjść cało z przeklętej komnaty, musi ujawnić prawdę. Chcąc pokazać, że jest wierną, że jest lojalną, wyznała to, czego żądała od niej Bertille de Peyres.

- Hrabianka... jeździła do... osady trędowatych.

Małżonka Aureliena nie wierzyła własnym uszom. Gorąca krew napłynęła jej do głowy, nieomal poczuła ją w ustach.

- Coś ty powiedziała?!

„To niemożliwe...” - pomyślała spanikowana.

- Coś ty powiedziała?! - wykrzyknęła ponownie i podeszła do Agnes.

Nachyliła się nad bezbronną dziewczyną, aby z całej mocy uderzyć ją w twarz. Służka Ermessendy przewróciła się na plecy, krew silnie pociekła z ust.

- Łżesz, suko...! Łżesz! - darła się, po czym kopnęła ją w bok.

Agnes, jęcząc, zwinęła się w kłębek. Bertille, niczym przyczajona wilczyca z gorejącymi oczyma wyczuwająca krew na odległość, obeszła

ją wokół. Znienacka uderzyła z drugiej strony.

- Za cóż, pani? - łkała tamta, nie spuszczać zalanych łzami oczu pod burzliwym spojrzeniem matki Ermessendy. - Za cóż?

Tomasz nie patrzył. Jego ponura twarz była bez wyrazu. Zupełnie martwa. Stał jak prawdziwie niemy, głuchy posąg z założonymi na piersiach rękoma. Czekał na rozkazy hrabiny.

- Pytam po raz ostatni - syknęła ze wzgardą. - Dokąd jeździła moja córka?

Zbolała twarz Agnes kurczyła się konwulsyjnie, usta poruszały się w pełnym przerażenia bełkocie.

- Pani, do... do... osady trędowatych... Przez litość pozwólcie mi odejść... Prawdę wam mówię... Przez litość... pozwólcie...

Bertille stała nad nią jak kat nad nieszczęsną ofiarą, której nie zdążył dobić. Jej twarz przybrała wyraz żalości. Była bezsilna wobec wieści przekazanych jej przez służącą. Nie mogła znieść sytuacji. Wydęła usta i zapytała z obrzydzeniem:

- Po cóż?

Dziewczyna szybko wyrzuciła z siebie:

- Wozila jedzenie.

Hrabina zimno spojrzała na służkę. Pochyliła się nad nią jeszcze niżej.

- Przysięgasz na swoje życie - z wolna wycedziła przez zęby - że Ermessenda właśnie tam się wyprawiała?

Agnes żałośnie kiwała głową. Leżała pobita na podłodze i trzymała się rękoma za brzuch. Czuła ból w całym ciele.

- Pani, błagam... wypuście mnie. - Jęcząc, złączyła dłonie i uniosła je do góry. - Błagam... Ja niczego złego nie uczyniłam...

Kobieta odczuwała pragnienie, aby zadać ostatnie pytanie, ale słowa nie potrafiły precyzyjnie przejść przez gardło. Bała się pytania, które musiała postawić, którego wyduszenia z siebie domagał się rozum. Wszakże chodziło o przyszłość i pozycję rodu de Peyres. Zaczęła się jąkać.

- Czy... Czy... Czy Ermessenda jest... Czy ona jest... chora?

Dziewczyna odsunęła z twarzy zmierzwione pasma włosów, starła krew z rozciętej wargi i wyszeptała cichutko jedno krótkie słowo:

- Zaiste...

Żona Aureliena nie usłyszała.

- Głośniej! - warknęła.

- Zaiste.

Bertille stała nieruchomo, a wszystkie jej nadzieje się rozwiewały. Ryknęła niczym krwawiąca niedźwiedzica z otwartą raną. Zatrząsa ją szatańska wściekłość. Skrzywiła usta i zmarszczyła twarz, aż ta stała się znienacka pofałdowana niczym twarz staruszki, tworząc tym samym widok zgoła nieprzyjemny. Targnęła się w konwulsyjnym wrzeniu i łapiąc się w szale za głowę, wpadła w furję, która niczym huragan przetoczyła się po mizantropijnej komnacie. Stała się niebezpieczna, kiedy dopadła dziewczynę, nic bowiem nie mogło jej już powstrzymać.

- Ty suko...! - wrzeszczała jak opętana przez samego diabła. - Ty zdradziecka suko!

Pastwiła się nad nią z zaciekłością, bez litości, bez serca, zaślepiona w nienawiści, dopóki starczyło jej sił. Ogarnął ją wstręt. Kopała służącą i tłukła w amoku, jakby całkowicie zapamiętała się w ferworze okrucieństwa. Agnes w największym udręczeniu usiłowała zasłaniać twarz przed uderzeniami hrabiny, ale z każdą chwilą słabła. Nie mogła dłużej się bronić, ciężkie sapanie zapierało dech w piersiach; z oczu płynęły łzy. Żona Aureliena przestała, kiedy wreszcie opadła z sił. Poprawiła na głowie przekrzywiony zawój. Z bezbarwnym spojrzeniem ochrypłym głosem wydała stojącemu dotąd nieruchomo służącemu rozkaz:

- Tomaszu... zabierz tę sukę i zrób z nią to, co należy...

Zapierająca dech groza odmalowała się na obliczu Agnes. Mimo przeszywającego ją bólu usiłowała krzyczeć poprzez krew ściekającą z twarzy.

- Wielki Boże! Nie! Błagam! - żebrała o zmiłowanie jak skazany na śmierć żebra o jeszcze jeden dzień życia. - Pani... obiecaliście...!

Obiecaliście!

Nikt nie mógł jej usłyszeć w tej najdalej wysuniętej i nieuczęszczanej części zamku. Nikt nie mógłby jej pomóc. Była sama, obarczona zarzutem najmroczniejszej niewdzięczności.

Bertille, zziajana i wyczerpana biciem, wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Obiecałam ci: nie pozbawię cię życia, zatem zgodnie z moim słowem nie mogę cię zabić. Ale to nie oznacza, że nie mogę zadać ci męki - oznajmiła z ołowianym sercem wyzbytym współczucia. - Nikomu nie zdradzisz tajemnicy Ermessendy, dlatego że... wyrwę ci język.

Agnes zawyła. Była zdruzgotana. Jej wrzask zmroziłby każdego, ale nie Bertille i jej służbę.

- Tomasz, zabieraj tę padlinę sprzed moich oczu, i to prędko! - rozkazała z ponurym pomrukiem.

Potężny oprawca doskoczył do Agnes i wymierzył jej potężny cios w twarz. Krew chlusnęła z nosa.

- Niech życie trzyma się kurczowo twego ciała, abyś mogła odczuwać cierpienie, które dojdzie do samych koniuszków palców! - syczała hrabina z nienawiścią. - Oby Bóg nie przebaczył ci twoich przewin. Oby cię przeklął i palił ogniem piekielnym!

Dziewczyna nie zdążyła krzyknąć, w tym samym bowiem momencie straciła przytomność.

Nikt nie zauważył, kiedy Tomasz schodził do podziemi, niczym kłodę drewna trzymając na ramieniu nieprzytomną Agnes. W pewnym momencie zdało mu się, że słyszy śmiechy dziewcząt służebnych, jednakże było to mylne wrażenie. Zdołał przejść do piwnicy niezauważony. W zamkowych lochach było wilgotno i ponuro. Nikt z własnej woli do nich nie zaglądał. Śmierć i wysysający resztki człowieczeństwa ból wyglądały tutaj oczodolami wszystkich umęczonych z każdego zakamarka, z każdej drobnej dziury - i z utęsknieniem wyczekiwały na kolejne ofiary. Rozmieszczone po rogach pochodnie dawały słabe, migoczące światło. Było ono

przyćmione, dzięki czemu nie można było dostrzec zaschniętej na ścianach krwi, a wałęsające się wszędzie szczury miały tu dobre żerowisko. Groza mroku, wilgoć, odór i cała ta podstępność sprawiały horrendalne wrażenie.

Tomasz, nie rozglądając się i nie szukając specjalnego miejsca, rzucił obojętnie dziewczynę na ziemię.

Po nagłym zetknięciu z klepiskiem, zaczęła ona z wolna odzyskiwać świadomość. Sługa hrabiny poszedł po ceber. Kiedy powrócił, jednym machnięciem wylał na Agnes cuchnącą wodę. Służąca momentalnie się poderwała. Chciwie łapała zimne powietrze przesiąknięte odorem śmierci, jak ryba wyrzucona gwałtownie na brzeg rzeki. Jeszcze tylko chwila, jeszcze tylko kilka ciężkich oddechów... Zaczęła się gehenna dziewczyny.

*

Kiedy Bertille opuściła swoją komnatę, siostry czuwały przy małym chłopcu. Jedynym dziecku, które hrabina de Peyres kochała bardziej niż kogokolwiek na świecie. Anna lekko poruszała kołyską.

Maria była rozczarowana rozmową z Bertille. Stała markotna nad dzieckiem i gapiała się oschle na jego drobne, różowe ciało. Jej naburmuszona mina mogłaby każdego wystraszyć i wpędzić w melancholię.

- Coś ty taka zła? - z flegmatycznym spokojem zapytała siostrę tłusta Anna.

Maria wykrzywiła twarz w taki sposób, że stała się jeszcze szpetniejszą. Zdenerwowało ją pytanie.

- Naprawdę myślałaś, że hrabina przyjmie z powrotem Albertynę na służbę? - dociekała Anna, która charakteryzowała się wyjątkową ciekawością, momentami będąc tak wścibską, że przyprawiało to o ból głowy.

Maria gwałtownie na nią naskoczyła:

- Głupia, a czemuż nie?! - sapnęła. - Albertyna gorsza od Agnes?!
Anna usiłowała uspokoić buchającą od emocji siostrę.

- Nie jest gorsza, ale zupełnie niezdarna. Hrabina nigdy jej nie zechce - przekonywała, choć zdawała sobie sprawę, że mówiąc to, sprawia siostrze przykrość. - Daremny trud.

- Nie pleć bzdur. Myślałam, że uda mi się ją nakłonić, kiedy opowiedziałam o Agnes.

Anna popadła w chwilową zadumę, jednak nerwowe burczenie Marii wyrwało ją z tego stanu. Popatrzyła na nią z zaciekawieniem i spytała stanowczym tonem:

- Dlaczego mówiłaś hrabinie te wszystkie podłe rzeczy o Agnes?

Maria zdecydowanym ruchem wzruszyła ramionami.

- A co? - zachnęła się z miną niewiniątka. - Chciałam, to mówiłam. Hrabina powinna poznać prawdę o swojej córce.

- To wyglądało na podstęp - mruknęła. - Powiem ci, że masz więcej odwagi ode mnie - wyjawiała z pewną zazdrością, tak jakby miała zamiar wyliczyć cechy siostry, aby w następnej kolejności zestawić je ze swoimi.

Synek Bertille westchnął. Anna natychmiast nachyliła się zatroskana nad chłopcem. Dziecko jedynie poruszyło malutką rączką i w dalszym ciągu słodko spało. Na jego twarzyczce pojawił się niewyraźny uśmiezek, który sprawił, iż służąca odetchnęła z ulgą. Uspokoila się.

- Cóż ty tak się przejmujesz cudzym dzieckiem? - zapytała z niesmakiem Maria. - Widzi mi się, że bardziej niż swoimi, kiedy jeszcze żyły.

Anna podniosła głowę znad kołyski dziecka. Poblądła, z przestrawieniem ją obserwować siostrę. Nie odpowiedziała na zarzut, w jej odczuciu był on bowiem wielce niesprawiedliwy.

- Oby Bóg - rzekła - do którego się modlisz, a który potrafił w swej mądrości i łaskawości zmiękczyć serce Pawła¹⁶⁴, zmiękczył również i twoje.

Gdy matka Albertyny otwierała po raz kolejny usta, aby zapewne powiedzieć coś głupiego i zbędnego, do komnaty zajrzała służąca, która zazwyczaj służyła pomocą kucharkom.

- Czego tu szukasz? - z miejsca rzuciła się do niej Maria, obserwując ją przebiegłymi oczyma niczym jadowita żmija.

- Nie ciebie - odpyskowała przybyła. Spojrzała na nią wyzywająco. Znała naturę grubej służącej Bertille i jej cięty język, którego ta nie umiała trzymać za krzywymi zębami. - Powściągnij swój język, bo ci go kiedyś ktoś utnie.

Matka Albertyny złapała się pulchnymi rękoma w pasie i kołysząc w przód i w tył tłustym ciałem, odparła wyniośle:

- Zatem czemuż tu łeb wsadzasz? Nic tu po tobie. Dla takich jak ty jeno kuchnia przeznaczona. - Odrzuciła do tyłu głowę i zaśmiała się do sklepienia, ale Anna z miejsca uderzyła ją w ramię.

- Cicho, głupia! - przywołała ją do porządku. - Dziecko jeszcze zbudzisz.

Maria przewróciła z rozdrażnienia oczyma i wysunęła spod sukni nogę do przodu, jakby zamierzała przystąpić do ataku i uderzyć na siostrę.

„I znowuż to dziecko - pomyślała z niechęcią. - Niedługo nie będziemy mogły oddychać, bo małemu powietrza będzie brakowało”.

- Widziałyście Agnes? - spytała przybyła służąca.

Siostry jednocześnie potrząsnęły głowami.

- Nie - odrzekła Anna. - Gdzieś ją widziałam, ale nie pamiętam... Nie ma jej w kuchni...? Może ubrania pierze hrabiance?

- Nie, nie... tam jej nie ma. Zdążyłam już obszukać pół zamku.

Anna zachowała pokorne milczenie, ale Maria znów wtrąciła niepotrzebnie:

- To zostało ci jeszcze drugie pół. - Wyszczrzyła w niemym uśmiechu krzywe zęby.

Służąca opuściła komnatę, zamykając za sobą ostrożnie drzwi.

Anna z gniewem przyjrzała się siostrze. Jakże zrobiła się ona nieprzyjemną. Wiecznie tylko narzeka, knuje i szczeka do każdego jak

pies, któremu ktoś niefortunnie na ogon nadepnął. Nikt nie miał wątpliwości, kim była owa osoba, przez którą siostra Anny zrobiła się grubiańską i przasną.

- I cóż się tak gapisz? - Maria cofnęła się i wymachiwała rękoma, mówiąc dalej: - Może i ty teraz pobiegiesz szukać tamtej przybłądy? - Pokazała ręką drzwi i zaburczała. - No leć, leć... szukaj...

Anna pokręciła głową z niezadowoleniem. Badawczo spojrzała zmrużonymi oczyma w nalaną tłuszczem twarz siostry.

- Żeby ci dziecko zostawić? - spytała z ironią. - Jeszcze mu krzywdę gotowaś uczynić.

Po chwili jednakże zainteresowanie wzięło górę i Anna, kierując ku siostrze zaciekawioną twarz, spytała:

- Naprawdę Agnes opowiadała Albertynie o narzeczonem Ermessendy?

Maria chciała coś powiedzieć, ale z miejsca ugryzła się w język. Plotki nie zawsze były wskazane. Nie widziała niczego złego w tym, że usiłowała swoją mułowatą córkę umieścić na służbie u Ermessendy i tym samym pozbyć się wieloletniej służącej hrabianki. Gdyby zamysł Marii powiódł się, o co ta modliła się w zamkowej kaplicy, sytuacja zarówno matki, jak i córki poprawiłaby się zdecydowanie. To było warte każdego wysiłku, a Anna nie musiała wszystkiego wiedzieć.

- A ty zawsze tak samo ciekawska! Zajmij się lepiej dzieckiem hrabiny, bo jeszcze... włos z łysej głowy mu wypadnie! - fuknęła złośliwie.

Jeżeli jakaś dusza kiedykolwiek zdołała poznać czyjąś duszę, to z pewnością Anna poznała duszę swojej siostry. Pogroziła jej palcem.

- A wtenczas obie za to zapłacimy - stwierdziła.

Maria odwróciła się na pięcie i naburmuszona machnęła ręką. Nie zauważyła, kiedy kawałek chleba ześlizgnął się ze skrzyni i upadł na podłogę.

*

De Peyres powrócił z odwiedzin u hrabiego de Foix. Nim oddał wierzchowca w ręce stajennym, krzyknął do przechodzącej służby, aby pospiesznie doniosła jedzenie do celi znajdującej się na tyłach zamkowej kaplicy. Poklepał konia po spoconej szyi i skierował kroki w tamtym kierunku. Wszedł do pomieszczenia.

Przebywali w nim dwaj kaznodzieje w czarnych szatach, którzy przybyli z daleka, z Północy, a którzy dzięki hrabiowskiej uprzejmości i jego osobistym przekonaniom uzyskali zgodę na zatrzymanie się w zamku Peyres tak długo, jak tego potrzebowali. Aurelien wydał dyspozycje, aby dostarczono do niewielkiej celi sienniki, stół, trzy krzesła i świece. Na nic więcej nie starczyło miejsca.

Niebawem wszedł służący. Zgodnie z rozkazem hrabiego przyniósł on chleb, trochę dziczyzny, kilka pieczonych ryb, surowe jarzyny, orzechy, skorupiaki, ser i wino. Dobrotliwy de Peyres domyślał się, że katarscy nauczyciele muszą być głodni nie licho, dlatego też niezwłocznie polecił przygotować posiłek, dzięki któremu mogliby się szybko pokrzepić i nabrać potrzebnych sił. Mnisi serdecznie dziękowali za okazaną im dobroć.

Teraz nadszedł czas na rozmowę, o którą prosili hrabiego od chwili przybycia do posiadłości Peyres. Dwóch chudych, bo wiecznie poszczących mężczyzn o pociągłych twarzach siedziało na jednym posłaniu. Na stole paliły się dwie świece. Przez brak światła w pomieszczeniu panował półmrok. Cienie padające na zabrudzone kamienne ściany czyniły salę bardziej przygnębiającą, niż była ona w rzeczywistości.

Mnisi siedzieli poważni i skupieni. Z uwagą przyglądali się służącemu i prostym czynnościom, które wykonywał. Sprawiali wrażenie przyjacielskich. Sługa strzepnął widoczny na stole kurz, a następnie rozłożył na nim jedzenie, talerze, kubki i wino. Zapalił jeszcze jedną świecę. Nalał swemu panu wina do pucharu i stanął z boku. Cekał na dalsze dyspozycje.

Mnisi szybko rzucili okiem na potrawy, po czym wymienili spojrzenie, które dla hrabiego niewiele znaczyło.

Aurelien niedbałym ruchem dłoni odprawił służącego i niezwłocznie zabrał głos.

- Proszę... zbliżcie się i częstujcie. - Uczynił ręką gest zapraszający do poczęstunku. - To wszystko dla was.

Duchowni bezszelestnie wstali i podeszli do stołu. Poruszali się cicho, jakby w ogóle ich tu nie było.

- Panie, jesteście dobrym człowiekiem, ale... - Jeden z nich, Gerard Pelatar, wskazał palcem mięso i ser. Otrząsnął się, jakby połknął coś gorzkiego.

- Cóż nie tak z tym jedzeniem? - zapytał żywo Aurelien i przyjrzał się potrawom. - Nie obawiajcie się. Moim gościom nie podałym niczego zepsutego... Częstujcie się. Trucizny również tu nie ma. Proszę, jedzcie - zachęcał. - Mój zamek to bezpieczne schronienie, zapewniam was.

Mnisi stali przed stołem. Hrabia zapewnił im wspaniałą gościnę, byli mu wdzięczni za dach nad głową. Nie chcieli urazić gospodarza, ale nie zamierzali kosztować tego, co wcześniej wskazał palcem Gerard. Koniec końców odezwał się wyższy z nich, Robert Dumernoy.

- Panie, dzięki za waszą łaskę, ale my nie jadamy mięsa.

- Nie? - Hrabia szczerze się zadziwił, po czym rzekł wolno: - Jeżeli chodzi o mięso... może zdolny byłbym was zrozumieć, choć ja osobiście nie mógłbym się wyzbyć przyjemności jego spożywania. - Uśmiechnął się przyjaźnie. - A ser i ryby? - Po czym dodał co rychlej, wskazując ręką: - Siadajcie tutaj, będzie nam się lepiej rozmawiało.

Dwójka kaznodziejów zajęła wskazane im przy stole miejsca obok Aureliena. Hrabia był rozmowny. Skrzyżował nogi i przekrzywił w bok głowę.

- Na naszych ziemiach możecie przebywać bez najmniejszych obaw - mówił. - Wszelki strach na ten czas możecie porzucić.

- Dziękujemy, panie - odrzekł uprzejmie Robert. - Zgoła to prawda, w Langwedocji czujemy się bezpieczni.

Hrabia zareagował natychmiast, przelotny uśmiezek przemknął mu po twarzy.

- A czemuż tak się czujecie?

Gerarda nie trzeba było namawiać, aby podzielił się płynącymi prosto z serca odczuciami.

- Każdy, z kim rozmawialiśmy, oferował nam swą gościnę. Jesteście szlachetni, panowie, uprzejmi. Dzięki wam możemy głosić słowo Pańskie. To dla nas bardzo wiele znaczy.

Robert wmieszał się do rozmowy.

- Wielu naszych wierzących zjawilo się w Langwedocji, gdyż dużo podróżowali, a droga zaprowadziła ich w końcu na wasze ziemie - wyłuszczał. - Zaczęli nauczać prawdziwej wiary, przekazując jej prawdy dalej. Ci, którzy zdołali już przejść na naszą religię, przyjęli duchowy chrzest i uczą kolejnych... a tamci następnych.

- Tutejsi szlachcice, ale również i zwykli mieszkańcy, cechują się wielką tolerancją. Jesteśmy łasi na wszelkie nowości, w tym religijne. - Tutaj Aurelien skinął głową w ich stronę. - A zatem opowiedzcie mi więcej, niż zdołałem dowiedzieć się do tej pory.

Gerard z Robertem wymienili ukradkowe spojrzenia. Głos zabrał Robert.

- Cóż dokładnie wiecie, panie, o naszej religii? - zapytał skromnie.

Aurelien podrapał się w zamyśleniu po brodzie, jakby potrzebował chwili na sformułowanie trafnej odpowiedzi.

- W sumie to niewiele, ale jestem jej ciekaw, jak zresztą każdy z nas. Co nieco słyszałem, moi przyjaciele również, ale będę szczery - wyznał uczciwie, z pewnym zakłopotaniem - nie jest to wiedza wystarczająca do poważnej z wami dyskusji. Wiem jeno, że to religia samego diabła... że to herezja.

Katarscy nauczyciele ciężko westchnęli. Hrabia zrozumiał, że nie zgadzali się z jego stwierdzeniem.

„Zapewne moja jest herezją dla nich” - pomyślał z drwiną.

- Moi przyjaciele uznali - mówił dalej - że ciekawie słucha się waszych wywodów, szczególnie tych o Kościele, kapłanach, o tym, że

nie chcecie podporządkować się Rzymowi i jego strażnikom, że nie będziecie im się kłaniać.

Dumernoy natychmiast odniósł się do stwierdzeń hrabiego i zręcznie odpowiedział:

- W rzeczy samej, panie, nie chcemy i nie możemy być ich sługusami, albowiem są oni zepsuci, pazerni, chciwi. Sprawiedliwość to cnota duszy, przyznająca każdemu to, co mu się według słuszności należy. Oni zaś są jak prześmierdłe padliny, których nawet wilki brzydzą się tykać.

Aurelien parsknął śmiechem, wpatrując się w rozemocjonowanego mnicha. Potarł mimochodem skórę szyi przy brodzie i odparł rozweselony:

- Zaiste! My, langwedoccy szlachcice rozumiemy to, mamy w tym względzie podobne odczucia.

- To znaczy, panie, że nasza prawdziwa wiara oczekuje was...

Aurelien podniósł dłoń, jakby pragnął zatrzymać w pół drogi owo oczekiwanie, i zwrócił się do Roberta:

- Ho, ho, kaznodziejo, nie tak prędko! Najpierw muszę was wysłuchać, by podjąć decyzję bez uszczerbku dla mojej rodziny.

- Cieszy to nas, panie. Wiedźcie, że z każdym rokiem wzrasta zainteresowanie naszą wiarą i coraz więcej przybywa jej wiernych, ku chwale Chrystusa, albowiem głosił on przypowieści zaczerpnięte wprost z życia, dzięki czemu opromieniał prawdę jasnością codzienności. - Mężczyzna westchnął z rozmodlonym wzrokiem. - Gdybyśmy nie poruszali się na piechotę, ale mieli konie, szybciej moglibyśmy doganiać diabła.

Hrabia potwierdził to uśmiechem. Nalał sobie wina, które kazał zakupić od przybywających z Bordeaux kupców, i podsunął gościom kubki.

- Zaczynamy zbierać obfite żniwo naszej prawdziwej wiary - oznajmił z zadowoleniem Robert Dumernoy. - Użyźniamy glebę, potem z troską siejemy ziarno, podlewamy z miłością i bezustannie go doglądamy. Ono na początku wyrasta powoli, niepewnie, ale potem

wybucha ku górze niczym złota pszenica w pełnym słońcu. – Mnich zwrócił zamglone szczęściem oczy ku sufitowi. – Plony radują nas niepomernie, szczególnie gdy są krociove.

Szlachcic zapytał z przekorą:

– Twierdzisz, że wasza jest prawdziwa, a moja nie?

Mnisi kiwnęli głowami na znak prawdziwości słów de Peyresa. Nie oburzyło to hrabiego.

– Odważnie prawicie. Proszę, jedzcie. – Podsunął im pod nos ryby, świeże jarzyny, skorupiaki, orzechy, ser i chleb.

Kaznodzieje byli głodni i spragnieni. Zaczęli nakładać sobie na talerze po kawałku chleba. Mięso i ser stanowczo od siebie odsunęli.

– Nie możemy skalać posiadanego Ducha Świętego, dlatego unikamy mięsa stworzeń, które mają krew, z wyjątkiem ryb – wyłuszczył Robert. – Jeżeli zjedlibyśmy mięso, choćby jeno odrobinę, będzie to traktowane jako wyrzeczenie się wiary, zatem ponownie będziemy musieli przejść inicjację i wyświęcenia.

– Ryba jest świeża – zaznaczył de Peyres, oblizując usta i pochylając się łagodnie do przodu. – Codziennie przywożą mi najlepsze sztuki. Moja żona lubi je jeść.

Podziękowali i dołożyli sobie po rybie. Odmówili modlitwy, po czym w milczeniu zaczęli się pożywiać. Hrabia, pocierając skroń, popijał wino.

– Dobrze, prawda? – zapytał mnichów.

Mając pełne usta, nie mogli odpowiedzieć, pokiwali jedynie głowami.

– Wino możecie pić? – zagadnął po chwili Aurelien. Nie dawał im możliwości spokojnego posilania się.

Ponownie kiwnęli potakująco głowami. Sięgnęli po orzechy.

Kiedy zjedli i popili, Gerard Pelatar zaczął przemawiać.

– Panie, nasza religia jest prosta w swych zasadach i łatwa do zrozumienia.

– A to zaraz się przekonamy, mnichu. Zatem słucham.

Gerard postanowił przedstawić rzecz w jak najbardziej przystępnej formie. Miał przed sobą wierzącego, który do tej pory błędził, żył w nieświadomości, który wierzył, że świat, w którym przyszło mu istnieć ze swoją rodziną, jest dziełem dobrego Boga. Należało niezwłocznie naprowadzić go na właściwą drogę. Kaznodzieje, którzy w oczach swoich wiernych byli prawowitymi następcami apostołów, którzy kontynuowali ich tradycje i przekonania, pragnęli wykazać Aurelienowi, jak bardzo się mylił. Jak wielkie popełniał błędy i z jak ciężkim brzemieniem zmuszony był żyć na tym doczesnym świecie - pełnym fałszu, obłudy i niesprawiedliwości.

- Panie, są dwie zasady, na których głównie opiera się nasza wiara.

Hrabia przysłuchiwał się uważnie, nie chciał uronić z wywodu ani słowa. Był zainteresowany i pragnął zrozumieć, żeby potem omawiać katarską filozofię z przyjaciółmi.

- Pierwsza to Dobro. Od zasady Dobra pochodzi to wszystko, co jest światłem i duchem. Z kolei drugą zasadą jest Zło. Ono jest wszechobecne i od niego pochodzi wszystko to, co jest na tym świecie niegodziwe, co jest ciemnością, miernością i nieczystą materią.

Robert patrzył na hrabiego i usiłował wyczytać z jego twarzy, czy ma chęć dalszego poznania prawdziwej wiary, bo ta, którą hrabia wyznawał, była złą i parszywą, głoszoną przez fałszywy Kościół, który wpajał ludziom jedynie szatańskie kłamstwa.

Aurelien uchwycił jego pytające spojrzenie.

- Na razie wszystko rozumiem - oznajmił. W dalszym ciągu wyteżał słuch.

- To dobrze. - Gerard ucieszył się. - Należy, panie, pojąć siłę i potęgę Zła, a także jego rolę w życiu każdego człowieka. Zło jest widoczne...

- Nie jest to żadną tajemnicą - wtrącił Aurelien. - Każdy je widzi, kto ma oczy.

- Nie tylko ten, kto ma oczy - odparł kaznodzieja i wyłożył swoje racje: - Ślepiec również potrafi je dostrzec, w tym celu oczy są zbędne.

Hrabia cmoknął, był w tym temacie odmiennego zdania. Poprosił jednak kaznodzieję o ciąg dalszy:

- Mówże.

- Panie, świat, w którym żyjecie, nie został stworzony, jak to wasi podli księża i zwodniczy Rzym głoszą kłamliwie od wieków, przez Boga, tego jedyne, dobrego. To nieprawda! To szalbiercze kłamstwo, którym jesteście karmieni od wieków. To nie on przyczynił się do powstania świata...

Hrabia uniósł brwi i nachmurzył czoło. Poprzeczna głęboka zmarszczka przebiegała przez całą jego szerokość. Oparł ręce na biodrach.

- Jakże to? - spytał zadziwiony. - A któż miałby to uczynić, jeśli nie On?

- Otóż to, panie, ten straszny świat został stworzony przez siły ciemności, siły obecnego na każdym kroku Zła, rozumiecie?

- Nie jestem jeszcze pewien... - stwierdził z wahaniem de Peyres.

- Ciężko mi to pojąć, mnichu.

Pelatar tłumaczył zawzięcie.

- Siły owe istnieją we wszystkich rzeczach, które są wam znane i którymi się zewsząd otaczacie.

- A dokładniej? - dopytywał szlachcic. Leniwie nalał sobie wino i zamienił się w słuch.

- Czyli świat, w którym nadal tkwicie, panie, jest rzeczywisty. To chaos. - Gerard był w swoim żywiole, kiedy mógł naprowadzić kolejną osobę na słuszną drogę. Prawdziwą drogę prawdy i jedyną drogę światła. - To ziemia i piekło razem wzięte. W tym rzeczywistym świecie dzieła zniszczenia dokonuje Szatan. Słaby, niezdarny budowniczy, któremu marzą się wielkie budowle i wzniosłe czyny, a jedynie wszystko niweczy i wykoślawia. - Wykrzywił twarz w ironicznym grymasie.

Katarski nauczyciel przemawiał i ważył poszczególne słowa. Usiłował oświecić i przekonać hrabiego do racji, które były słuszne i jedyne w swej prawdziwości.

- Szatan, demiurg tego świata, zasiada na firmamencie, skąd kieruje swoim parszywym dziełem. Toczy się tam wielka bitwa jego zawistnych mocy przeciw zwolennikom Boga. Dokładnie to samo, co na ziemi, jest na firmamencie, albowiem to, co na firmamencie, odzwierciedla się na ziemi.

Nie przestawał argumentować, co pozwalało mu wskazywać sedno ich wiary. Zamierzał uczynić zrozumiałym i jasnym swój język, który dotąd nie był skomplikowany ani dla panów, ani dla ubogich.

- Ziemia to brudne, ohydne więzienie dla dusz, które zbudowane zostały z miernego, nic niewartego materiału, nędznego...

- Przez kogo? - wszedł w słowo szlachcic.

Pelatar natychmiast wyjaśnił, usiłował bowiem unaocznić hrabiemu potworność i szkaradność ziemskiego padołu.

- Przez samego Lucyfera. Zatem, panie...

Hrabia nie odzywał się. Unosił brwi wysoko do granic możliwości i słuchał z zacięciem.

- Ów przemijający i opierający się na nicości świat zła cechuje wewnętrzna walka - objaśniał kaznodzieja. - Świat, w którym żyjecie wy i wasza rodzina, to czyn dokonany przez słabego, kulawego budowniczego. Wy, panie, i wasze ciało jesteście dziełem Lucyfera, tworem bezwzględnego Demona.

De Peyres usiłował wyobrazić sobie to wszystko, o czym opowiadał Gerard. Symbole, które przedstawiał, były wyraziste, jasno stały mu przed oczyma, ale nie trafiały do przekonania. Hrabia nie odnosił wrażenia, jakoby ciało jego ukochanej Bertille zostało stworzone przez samego Lucyfera. Ono było pachnące, gładkie i sprawiało mu niezmierną rozkosz. A Ermessenda? Była wszakże najrozkoszniejszą z dziewcząt. A mały hrabia? To anielskie dziecię miałoby być dziełem Szatana? Złego stwórcy?

- To niemożliwe - wyznał poważnie Aurelien, zaczesując palcami włosy do tyłu i za ucho. Na jego twarzy pojawiła się zadzierzysta chimera. Kręcił głową na prawo i lewo, ale i to nie pomogło mu zrozumieć.

- A jednak, panie - odparł spokojnie Gerard. - Domyślam się, że trudno wam to pojąć, a jednak jest to prawdą.

Aurelien odrzekł z werwą:

- Nigdy w to nie uwierzę.

- Jesteście dopiero na początku drogi ku prawdzie i naszej religii.

- Na razie nie jestem na żadnej drodze - sprostował energicznie de Peyres i pociągnął za swą brodę. Odchylił jej kraniec i puścił. - Siedzę tu i jedynie was słucham, bo ciekawi mnie wasza religia. Nie oczekujcie żadnego cudu.

Gerard z Robertem nie oczekiwali bynajmniej nagłego cudu, ale też nie odczuwali zniechęcenia, byli wszakże duchowymi kaznodziejami. Ich życie polegało na głoszeniu prawdy i wiary, nieskalanej kościelnym, wyświnionym kłamstwem. Byli prawdziwymi chrześcijanami, którzy nauczali jedynej prawdziwie świętej wiary.

- Mówcie dalej - polecił Aurelien i założył nogę na nogę.

- Natomiast Dobro jest Bogiem wszechogarniającego cię, panie, światła, który rządzi jak każdy prawy władca swoją ziemią, swoją domeną, tylko że w jego przypadku mówimy o władaniu domeną niewidzialną, duchową. - Pelatar rozkładał ręce, jakby chciał opisać tym samym bezkres otaczającego ich świata. Jego głos był jednostajny, jego ton ani nie podniósł się, ani nie zniżył choćby odrobinę. - Postrzegany zmysłami świat zawsze ma swój początek i swój kres, zatem mieści się tylko w danym czasie. Dlatego duchowy człowiek i jego dusza to dzieło słowa Bożego. - Wciągnął powietrze do płuc. - Wspaniałe dzieło. Jedyne i prawdziwe, dlatego jest koniecznym, aby zawsze, w każdym momencie życia, o tym pamiętać.

Aurelien mrugnął, tym samym dając oczyma znak, że postara się nie zapomnieć.

- Świat dobra to nowa ziemia i nowe niebo - rozwodził się katarski nauczyciel. - W nowych niebiosach i nowej ziemi zamieszka sprawiedliwość. Słońce nigdy nie zajdzie, a Księżyc nie zmaleje. Znajdzie się tam nowa Jerozolima, miasto ze złota, które będzie się cieszyć wolnością. W tym miejscu będzie drzewo życia i rzeka wody żywej oraz tron Boga Ojca, kamienie będą z szafiru, a grudki ziemi ze złota.

- Doprawdy? - De Peyres przekrzywił z uśmiechem głowę. Gerard Pelatar prawił bez znużenia.

- Nasza dusza jest wieczna, jest boska. Z kolei ciało jedynie chwilowe, nieboskie. Ono za jakiś czas zniknie, przeminie jak burza, która zawsze kiedyś się kończy.

Zapadła cisza przerywana jedynie skwierczeniem palących się świec. Aurelien musiał się napić, Pelatar również. Teraz głos zabrał Robert.

- Panie, wierzymy, że Jezus z Nazaretu, który jest naszym starszym bratem, przybył na ziemię w jednym celu...

Aurelien przetarł brodę wierzchem dłoni i odstawił puchar na stół. Zatopił w Dumernoyu wejrzenie bystrych oczu.

- Jako wysłannik jedynej prawdy oraz jako protektor naszego jedyne sakramentu, a mianowicie Chrztu Świętego. Nazywamy go consolamentum. On jest jedynym przejawem boskości na tym świecie. - W tym miejscu mnich uśmiechnął się łagodnie. - Żadnych innych nie uznajemy, bowiem są one puste i zbędne. To jeno wymysł złego Stwórcy. - Następnie dodał pokornie: - Ale nasza religia to również zakazy i nakazy. Są one szczególne po przyjęciu consolamentum.

Hrabia przypomniał sobie kilka ogólnych zasad.

- Słyszałem o tym... Obowiązuje was zakaz składania przysięg, zabijania, prostytucji, kłamania, przeklinania, kradzieży. Musicie ćwiczyć się w dzielności, znosząc głód, pragnienie, waśnie i prześladowania.

Nauczyciele duchowni nie zaprzeczyli. To, co mówił hrabia, było zgodne z prawdą, którą rozgłaszali.

- No i te wasze posty... - Aurelien przewrócił oczyma, niemalże poczuł ucisk w żołądku.

Dumernoy złożył ręce i rzekł:

- Trzy czterdziestodniowe posty wyznaczają nam cykl roczny, pierwszy, podobnie jak wasz Wielki Post, początek drugiego przypada na dzień po uroczystości Zesłania Ducha Świętego, natomiast trzeci rozpoczynamy około waszej uroczystości św. Marcina i trwa on do Bożego Narodzenia.

- Ach tak... - stęknął Aurelien, wzdrygając się na samą myśl.

- W dniach ścisłego postu, które przypadają na poniedziałki, środy i piątki, spożywamy jeno chleb i pijemy wodę.

- Musicie się bardzo często modlić - nadmienił hrabia i jął polerować sobie paznokcie.

- Zaiste, panie, macie rację. Nawet w nocy. Nie możemy zjeść najmniejszego posiłku bez uprzedniego odmówienia określonych modlitw.

Aurelien przypomniał sobie właśnie, iż ilość ich była zatrważająco duża. Czyż miały ochotę modlić się kilkaset razy w ciągu dnia?

- Ani w nieobecności innego współwyznawcy - kontynuował mnich. - Ci, którzy przyjmą chrzest, zobowiązani są do życia w absolutnej ascezie. Powściągliwość i surowa wstrzeźliwość - oświadczył z przejęciem. - Nasze życie jest proste, bardzo skromne, ponieważ dążymy do osobistego kontaktu z Bogiem. Ubóstwo jest celem samym w sobie. - Aurelien przytaknął. Dumernoy wyliczył kilka głównych zasad. - Nie podróżujemy samotnie, jak zapewne zauważyliście, hrabio, nie możemy również sypiać bez ubrań. Nowy Testament i apostołskie ewangelie, szczególnie jest nam bliska Ewangelia Świętego Jana, dyktują nam wszystko, czego potrzebujemy. Czasem korzystamy z ksiąg prorockich i Mądrości Salomona.

Hrabia wszedł mu w słowo:

- Ale to już Stary Testament, którego wy podobno, jak słyszałem, nie uznajecie...

- To prawda, jednakże, hrabio, w debatach i w pismach przeznaczonych dla naszych wyznawców stosujemy także fragmenty pisma Starego Testamentu oraz przekazy głoszące, czym jest zbawienie: Pytania Janowe i Wizję Izajasza. Poza tym niczego więcej nie pożądamy.

Aurelien podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

„A to musi być ciekawe, niczego nie pożądać - przeleciało mu przez myśl. - Ja wiecznie czegoś pożądam”.

- Potępiamy sakrament małżeństwa. Ci, którzy są zaangażowanymi wyznawcami, i ci, którzy przyjmą chrzest Ducha Świętego, wyrzekają się prokreacji. Na zawsze - dokończył surowo mnich.

Hrabia rozważał na chłodno sprawę w swoim umyśle.

„Czy ja dałbym radę odsunąć od siebie Bertille?” - zastanowił się. I znów pomyślał o jej ponętym ciele, pełnych piersiach i zniewalającym uśmiechu. Mięśnie twarzy naprężyły mu się mimowolnie.

- Są rzeczy na tym świecie cenne i takie, bez których nie można się obejść. - Skrzywił twarz w uśmiechu. - Na Boga, nie można i już! Zatem nie wyrażacie zgody na... na... no wiecie, na...

Gerard domyślił się, co kryje się za jękaniem hrabiego. Zerknął na towarzysza.

- Potępiamy prokreację - odpowiedział Robert. - Sprzeciwiamy się małżeństwu, gdyż przyczynia się ono do narodzin dziecka, które jako fragment świata materialnego jest z gruntu złe. Nic tego nie może zmienić. Rozumiecie, panie?

„Nie jestem pewien, ale...” - myślał bez przekonania hrabia.

Kaznodzieja, widząc niepewną minę Aureliena, domyślił się, że szlachcic nie pojmuje do końca ich zasad. Nie były one dla niego tak oczywistymi jak dla nich.

- Kiedy człowiek lub zwierzę rodzi - zaczął objaśniać najlepiej, jak tylko potrafił - to, chcąc nie chcąc, bierze udział w potwornym dziele szatana, ponieważ pomnaża nieograniczoną ilość nieszczęsnych istot,

które są, bez swojej woli, uwięzione w ciałach ludzkich lub zwierzęcych.

Hrabia westchnął tak ciężko, jakby posiadał dziesiątki owych nieszczęśników w sobie. Rozmowa była trudna, a słowa katarskich nauczycieli co rusz wprawiały go w konsternację. Wzdrygnął się na myśl o przypuszczalnych konsekwencjach swej zgody na przystanie do nich. Dumernoy nie zatrzymywał się, przedłożył kolejny argument, którym zamierzał przekonać Aureliena.

- Po śmierci dusza nie idzie na tamten świat, jak głosi wasz złośliwy, mściwy Kościół i...

Hrabia natychmiast przerwał mnichowi.

- A dokądże?

- Udaje się do innego ciała.

Aurelienowi myśl ta niezupełnie przypadła do gustu.

- Wiadomo czyjego? - zapytał nerwowo. Uzupełnił kielich winem i podniósł się. Za długo siedział i nogi zaczęły go boleć. Musiał je rozprostować; zrobił kilka kroków.

- O tym decydują zasługi życia doczesnego. Dusza ludzka może wcielić się również w zwierzęta, ale tylko w ciepłokrwiste.

Hrabia przełknął łyk. Robert spokojnie przekonywał:

- Zdajemy sobie sprawę, że nie każdy jest w stanie wieść życie takie jak my. Życie ascetyczne, nad wyraz surowe, dlatego nie każdy zwykły wierzący może stać się następcą apostołów. - Wychwycił wzrokiem zatroskaną minę de Peyresa. - Każdy człowiek musi samodzielnie podjąć decyzję, czy jest na ten krok gotowy i musi być pewien, że podoła rygorystycznym zasadom - nadmienił uspokajająco. - Koniecznym jest, aby kochać Boga w prawdzie, łagodności, pokorze, w miłosierdziu, w czystości i w innych przykładach cnót.

- Obawiam się, że nie poradziłbym sobie z takim życiem - oświadczył Aurelien. Umysł zaczął mu szybciej pracować. - To dla mnie byłoby za wiele.

Dumernoy, chcąc zmotywować Aureliena i wzbudzić jego większy zapał, wytaczał argumenty:

- Wystarczy jednakże być zwykłym wierzącym. Takich jest najwięcej, gdyż stanowią oni większość w stosunku do duchownych nauczycieli, jak my, którzy przyjęli Chrztost Ducha Świętego. W takim wypadku, będąc zwykłym wierzącym, należy jedynie zgadzać się z naszymi zakazami i nakazami oraz przestrzegać reguł naszej religii, które są dla nich przeznaczone. To jest bardzo proste.

- Doprawdy? - Hrabia stęknął i stanął w rozkroku. - No, jak dla kogo, mnichu.

- A także - dodał szybko Gerard - dawać świadectwo naszej wiary.

De Peyres pokiwał głową, dając tym samym wyraz swojej dezaprobaty.

- Wolę pozostać przy swojej wierze - odparł. - Jestem już stary i mam swoje przyzwyczajenia.

Kaznodzieja, nie rozumiejąc hrabiowskiej wymówki, rozłożył ręce i zwrócił uwagę, starając się dodać szlachcicowi niezbędnego animuszu:

- Panie, my jesteście starsi.

- Widocznie ja jestem za słaby na waszą religię. Nie będę wchodził pomiędzy lwa a jego strawę. - Aurelienowi błysnęły oczy. - To może zboleć. - Otworzył usta, bo chciał coś jeszcze dopowiedzieć, ale zamknął je bez słowa.

„Pokrętnie tłumaczenia” - pomyślał Gerard.

Robert nie zamierzał się poddać, nie zamierzał zaniechać przedkładania swoich racji, uzasadniał wytrwale dalej. Wszak swe przemówienia ulepszali z dnia na dzień.

- Jednakże dla Boga światła, prawdziwego, który nie zmusza ludzi do pokłonu przed innym człowiekiem, posiadającym najostrzejszy miecz, największe bogactwa, najrozleglejsze posiadłości, najpotężniejszą władzę doczesną, warto żyć w sposób, w jaki my żyjemy.

Aurelien przechylił z zaciekawieniem głowę. Słowa te były mu nadzwyczaj bliskie. Dla niego takim człowiekiem był Rajmund de Saint-Gilles, hrabia Tuluzy. Przed nim niechętnie zginał kark, a wręcz

przeciwnie – robił wszystko, żeby pokazać hrabiemu swą niezależność i butę.

Nalał wina duchownym.

– Jeżeli wierzący... zwykły wierzący – cierpliwie wywodził Robert – nie ma powołania do życia w ascezie, w jakiej my żyjemy, nie taką jest jego wola, wówczas będzie przechodził kolejne wcielenia. Jest to nieuniknione. – Ton głosu Dumernoya był pełen patosu i powagi. Pochylił się łagodnie do przodu, po czym wyprostował się i prawił dalej. Czynił to z taką nabożną powagą, że skłoniło to Aureliena do głębszych rozważań. – Będzie wracał na ten straszny świat, aż w pewnym, dogodnym dla niego, momencie wykaże gotowość do życia bez ułomności, bez wad. Kiedy to nareszcie nastąpi... – Robert zawiesił na moment głos, a Aurelien czekał w skupieniu – człowiek ten wraz ze swoją śmiercią osiągnie stan, w którym znajdował się anioł, nim odważył się zgrzeszyć i został haniebnie wypędzony z nieba. Wtedy nastąpi zbawienie, a człowiek stanie się świętym.

Dumernoy skończył mówić. Kaznodzieja podszedł do zasłuchanego gospodarza i przyłożył mu prawą dłoń do serca. Aurelien, zdziwiony, nie poruszył się. Robert czuł nerwowe bicie jego serca. Serce starca tak nie bije. To było zatrwożone i roztrzęsione. Duchowny, nie zwlekając, udzielił objaśnień.

– W tym oto miejscu, hrabio, znajduje się maleńki, niewidoczny Boży płomyk.

De Peyres przebiegł niespokojnym wzrokiem po licu mnicha. Słowa te wywarły na nim niezwykle wrażenie. Katarski nauczyciel, dostrzegłszy jego pełne napięcia, ale i oczekiwania spojrzenie, dokończył:

– On wyczekuje chwili, kiedy pozwolicie mu, panie, uwolnić się z szeregu wcieleń – wyjaśnił pogodnie. – Płomyk ten będzie tkwił w was tak długo, aż będziecie gotowi do życia w doskonałości.

*

Księżyc tej nocy skrył się za chmurami niczym wystraszony złoczyńca, którego zaczynają dopadać wyrzuty sumienia, dlatego jego światło nie mogło przedostać się przez okna papieskiej sypialni. Wiejący dotąd południowy wiatr uspokoił się zupełnie, natomiast z nagłą zerwał się porywisty wicher od zachodu. Chmury pędziły jakby w roznamiętnionym wzburzeniu, szybsze aniżeli sokoły. Nie paliły się żadne świece, wszystko pogasło. W ciemności nie mógł dojrzeć twarzy ani sylwetki. Mrużył oczy, jakby to mogło pomóc, ale nie potrafił odróżnić, czy jest to kobieta, czy mężczyzna. Nie mógł się poruszyć. Członki miał jakby przywiązane do łoża. Postać zbliżała się, lecz szło jej to jak po grudzie, ospale. Nie ma butów? Nie... ma buty, ale stąpa tak cicho.

„Czy na pewno do mnie? – myślał w popłochu Innocenty. – Czemuż tak się skrada?”

Usiłował się podnieść, ale nie potrafił uwolnić się z więzów przytrzymujących go w łożu. Szamotał się, ale na próżno.

„Nie mogę się ruszyć – myślał z rosnącym niepokojem, który chwycił go za gardło. – Któż mnie przywiązał?! Wielki Boże! Dlaczegoż?”

Szarpał się coraz bardziej, usiłował się wyplątać, ale nadaremnie. Tracił jedynie siły na bezowocne próby uwolnienia się. Zdało mu się, że już wyczuwa oddech zbliżającej się postaci, który był ciężki, sugerujący jej zmęczenie.

„To kusiciel! – myślał z gorączkową trwogą. – To diabelskie nasienie...”

Usiłował rozeznąć się w sytuacji, ale na niewiele się to zdało. Pragnął się przeżegnać, by odegnać złego ducha, ale nie mógł podnieść rąk. Obie były powiązane, a on jedynie podrzucał nerwowo głową. Podnosił ją na tyle, na ile pozwalały mu więzy, potrząsał nią, to znów bezwładnie opadał na poduszki. Obracał nią, usiłując dojrzeć śpiących poniżej jego łoża Antoniego i Marka. Wzywał ich, ale służący nie odpowiadali na papieskie nawoływania.

Wtem zrobiło się koszmarnie cicho. Nie słyszał już zbliżających się ostrożnych kroków. Zapanowała grobowa cisza. Jakby wszystko uleciało, a słyszalny był jedynie jego własny oddech, wystraszony i szybki, oraz strzępy myśli, które pojawiały się i zaraz znikwały, ustępując miejsca kolejnym, całkowicie z poprzednimi niezwiązanym.

Naraz, ni stąd, ni zowąd, poczuł na piersiach olbrzymi ciężar, jakby owa postać, której przez chwilę nie mógł dosłyszeć, skoczyła z rozbiegu na jego szczupłe ciało.

Lotariusz z trudem krzyknął. Wytrzeszczył oczy, zamrugał powiekami i w oszołomieniu dojrzał na sobie siedzącego okrakiem przyjaciela. Ów zgniatał mu żebra i odbierał oddech.

- Giovanni? - wydusił z siebie z niedowierzaniem, z ogromnym trudem łapiąc oddech. Każdy mięsień, każdy nerw zastygł i raptownie znieruchomiał. Czuł, że krew sączy się niespiesznie przez naprężone strachem żyły i pali koniuszki palców rąk i nóg silnym bólem. - Cóż czynisz?

Znienacka papież poczuł na krtani lodowatą stal. Przestraszył się, że jego życie mogłoby, nie daj Boże, dobiec końca. Kanonik przyłożył ostry sztylet do cienkiej szyi Lotariusza i dociskał go powoli, z zamiarem wydłużenia papieskiej męki. Błyszczące ostrze przecięło papieską skórę. Innocenty momentalnie poczuł rozcięcie i ból. Nie widział w ciemności krwi, ale wyczuwał jej zapach, jej gorącą i lepką słodycz, która sprawiała, że papieski umysł popadał w omdlenie. Przerażony przewracał oczyma i mrugał powiekami. Na jego obliczu odmalował się paniczny strach. Nie mógł się ruszyć, a ciężar kanonika był przytłaczający.

- Na Boga! - zawołał w panice. - Cóż chcesz mi uczynić?

Giovanni nie odpowiadał, a papież, w mroku sypialni, nie mógł niczego wyczytać z jego twarzy. Nie mógł dojrzeć posępnych, nabiegłych wściekłością oczu przyjaciela. Kanonik wyciągnął ku górze dłoń, ściskając w niej mocno lśniący sztylet.

- Ty? - wycharczał papież, ciężko oddychając. - Spodziewałbym się ataku z każdej strony, ale... ty? Ufałem ci jak własnej matce!

Giovanni nadal trzymał ponad głową Lotariusza błyszczącą stal. To obniżał ją, to znów unosił wysoko. Innocenty drżał bezwiednie. Jego czterdziestoletnie, suche ciało trzęsło się niczym ciemne chmury burzowego dnia, zwierające się po niebezpiecznym blasku błyskawicy.

- Żałosny człowiecze, chcesz mnie pozbawić życia? - wydusił z siebie ostatkiem sił. - Za cóż to?

Kanonik popatrzył niechętnie na przyjaciela. Zaciśnął mocniej pięść na rękojeści i nachylił się nad papieską głowę. Lotariusz, pokładając resztki nadziei w wieloletniej przyjaźni, jaka łączyła go z mnichem, wystękał z przerażeniem:

- Przebaczę ci twój grzech, ale wpierv odrzuć sztylet!

Giovanni nachylił się i przysuwając usta do papieskiego ucha, wyszeptał wolno:

- *Furor impius intus - fremet horridus ore cruento*¹⁶⁵, a przez nią moc żadna nie jest w stanie, mój kochany Lotariuszu, przewyciężyć ślepej nienawiści, którą nosisz w sobie od dawna. Jest ona niczym ciemna, mętna trucizna.

Innocenty czuł jego ciężki oddech tuż przy zdrętwiałej z nerwów twarzy. W ciemności głos kanonika brzmiał oziębłą grozą, niby przerywane wołanie o pomoc udręczonej duszy.

- Włłała się w ciebie i wyniszcza od środka, pożera wnętrności, wysysa krew z serca i ciężko okalecza twój szaleńczy umysł. - Podniósł lekko głowę i spojrzawszy na ledwo oddychającego papieża, dokończył z zimną obojętnością: - Nienawiść ta zawiedzie ciebie i tobie podobnych dalej, niż sam przypuszczasz. Muszę powstrzymać tę straceńczą żądzę, nim w porę się spostrzeżesz, że zaprowadziła cię tam, gdzie nie chciałbyś się znaleźć. Jeżeli miłujesz Pana, mój drogi Lotariuszu, miej w nienawiści wszelkie zło, którego zamysłasz się dopuścić, albowiem twoje czyny za życia odbiją się echem w wieczności... - Po czym zaczął opuszczać błyszczące ostrze na chudą szyję papieskiego przyjaciela.

- Neeeeee! Neeeeee!

Rozpaczliwy wrzask poderwał Innocentego na równe nogi. Wyskoczył z łoża niczym młodzian oblany wrzątkiem i stanął obok, otrzepując się nerwowo, jakby usiłował strząsnąć z siebie przyjaciela. Wybałuszył oczy. Przerażony rozejrzał się wokół siebie. Błyskawicznie zorientował się, że stoi w ciemności, a przy nim nie ma ani zdradzieckiego kanonika, ani sztyletu, którym ów zamierzał go zabić. Antoni wraz z Markiem również podskoczyli nie lada wystraszeni. Przecierali naprędce oczy.

- Wasza Świątobliwość, cóż się stało?! - zapytał z przejęciem Marek.

Papież z niedowierzaniem zerknął na jednego, potem na drugiego. Chyba po raz pierwszy szczerze ucieszył się z widoku swoich papieskich sług. Szybko przeciągnął prawą dłoń po czole, ścierając z niego pot, a następnie złapał się za chudą szyję. Dokładnie ją obmacał, sprawdzając, czy na pewno jest cała. Kiedy upewnił się, że wszystko z nią w porządku, głęboko odetchnął. Padł wyczerpany w fotelu. Chwilowo nie zamierzał zbliżyć się do łoża.

- Ach, to był jeno sen! - westchnął uradowany. - Bogu niech będą dzięki! Antoni, podaj mi wina. - zawołał. - Zaszło mi w gardle.

Służący, ziewając, doczłapał się do stołu, na którym stał kielich i dzban wina. Napełnił nim szklany kielich i niezwłocznie podał go papieżowi. Lotariusz zamoczył wyschnięte usta w wypełnionym po brzegi czerwonym napojem naczyniu. Dopiero teraz mógł odsapnąć po wrażeniach nocnego koszmaru, który przyprawił go o żywsze bicie serca. Służący stali tuż przy nim. Lotariusz obrócił głowę ku Antoniemu.

- Przyślij mi Giovanniego! - wydał niezwłoczny rozkaz.

Kiedy tylko Innocenty ujrzał zaspanego przyjaciela, pełen wzburzenia opowiedział mu swój sen.

Kanonik wysłuchał ze zrozumieniem, a następnie, pocierając z zastanowieniem policzek, z powściągliwą łaskawością odpowiedział:

- Lotariuszu, nie rozumiem...

- Czegóż? - przerwał prędko papież.

- Chcę ci to właśnie wyjaśnić, zatem pozwól mi... - odrzekł jak zawsze spokojnie. - Nie rozumiem, czemuż to ludzie wpadają w prawdziwą trwogę z powodu snów, a wszak nie troszczą się o to, co czynią na jawie. Dlaczego zatem robią wiele hałasu o to, co się im jawi we śnie?

*

Bertille pozostawiła małego hrabiego w sypialni pod czujnym okiem Anny. Zeszła na dziedziniec. Był letni poranek i ciepłe powietrze przyjemnie łaskotało twarz kobiety. Skierowała kroki na lewo, w stronę zamkowej kuchni, ale przystanąła, by się namyślić. Na wieczór została zaplanowana uczta, dlatego też hrabina de Peyres, dumna matka dziedzica rodu, zapragnęła wydać osobiście ostatnie zarządzenia w kuchni. Prawdziwym jednakże powodem, dla którego zeszła na dół, była nieprzeparta chęć zaczerpnięcia świeżego powietrza i zebrania rozbieganych jak kury na zamkowym dziedzińcu myśli.

Dotąd nie mogła otrząsnąć się z wieści, jakie otrzymała od Agnes. Jednakże nie dała się ponieść rozpacz. Jeszcze bardziej brzydziła się córką, jeszcze bardziej jej nienawidziła (o ile to w ogóle było możliwe). Nie chciała jej oglądać. Nie martwiła się bynajmniej jej stanem ani odczuciami. Pragnęła teraz przede wszystkim zabezpieczyć przed kontaktem z nią siebie, dziecko i męża. Bezustannie, gorączkowo, dniem i nocą głowiła się nad rozwiązaniem problemu. Coś świtało jej w głowie. Pomysł ten nie nabrał jeszcze ostatecznych kształtów, by móc go należycie zrealizować, niemniej jednak krok po kroku zbliżała się do rozwiązania kłopotu, który nieoczekiwanie spadł na jej ładną głowę. Musiała działać szybko, czas bowiem w tym wypadku nie był jej sprzymierzeńcem. Hrabia de Peyres w dalszym ciągu nie miał pojęcia, co dzieje się z jego jedyną córką. Bertille wszak nie powiedziała o niczym mężowi, nie chciała go bowiem

martwić, a córka stale wykręcała się złym samopoczuciem, powołując się na niedyspozycję. Gdyby Aurelien dowiedział się o wszystkim, cały swój czas poświęcałby córce, zaniedbując tym samym żonę i małego synka. Hrabina de Peyres nie mogła do tego dopuścić.

Zdawała sobie też sprawę, że w obecnej sytuacji nie może być mowy o ślubie ich córki z Rajmundem Rogerem Trencavelem. Bóg jeden wiedział, jak bardzo Bertille bolała nad utratą korzyści, jakie przyczyniłoby im małżeństwo Ermessendy, ale w zaistniałej sytuacji z oczywistych względów nie wchodziło ono w rachubę. Płomień zawodu i żalu spalał Bertille od wewnątrz i nic nie było w stanie go ugasić. Jej wyniosła duma cierpiała piekielne katusze. Ambicja została potwornie urażona. Było to szalenie dojmujące dla niej uczucie.

Bertille musiała również bezustannie pilnować, aby do czasu rozwiązania przez nią problemu pogłoski o chorobie hrabianki przedwcześnie nie dotarły do wicehrabiego, wówczas bowiem cała Langwedocja obróciłaby się z pogardą przeciwko nim, przeciw rodzinie de Peyres. A wszak miała syna! Pięknego, zdrowego chłopczyka. To on był najważniejszy. To jemu należało się wszystko. To on był dziedzicem i szczęściem rodziców!

- Dokładnie wszystko oporządźcie - zwróciła się stanowczo do niewiast przy wielkim kuchennym stole, odpowiedzialnych za przygotowanie wieczery. - Obrusy mają być te, które zostały ostatnio zakupione w Montpellier. Chcę je widzieć, więc ich nie poplamcie.

Kucharki i służące przytakiwały wszystkiemu, o czymkolwiek tylko wspomniała Bertille. Pilnowały się i starały się wszystko zapamiętać. Hrabina była wymagająca i karała za najdrobniejszą pomyłkę. Główna kucharka Sarta przetarła wilgotną szmatą ławę i rzuciła na nią wyciągnięte uprzednio z kosza surowe ryby i garść świeżej kolendry.

Bertille pokręciła się jeszcze chwilę bez celu. Męczyły ją zapachy gotowanych potraw. W międzyczasie jednak zaciekawiała się wykonywanymi przez jedną z młodych kobiet czynnościami. Zwróciła uwagę, iż wkłada ona do niewielkiego koszyka bochen chleba i dwa upieczone pstrągi. Przyszykowała również dzban wina i owoce.

- Cóż czynisz? - zapytała. - Dla kogóż to?

Służąca speszyła się i spuściła czoło, ale odpowiedziała zgodnie z prawdą:

- Pani, hrabia przykazał zanieść to kaznodziejom...

Bertille cofnęła się do wnętrza kuchni. Wolno podeszła do dziewczyny.

- Jakim kaznodziejom? - zdziwiła się, a głos jej zabrzmiał niczym szcęk żelaza.

Sarta z pewnym niepokojem spojrzała na młodą służącą.

Dziewczyna naprędce wyjaśniła, że hrabia udzielił gościny dwójce skromnych mnichów, którzy są bardzo pobożni i każdemu, kto zechce ich wysłuchać, opowiadają o swojej wierze. Głoszą, że lud wielkim głosem domaga się, wzywa, prosi, aby doprowadzić go do prawdziwego Boga, prawdziwych racji, prawdziwej wiary. Jest ów lud bowiem jak ziemia wysuszona brakiem deszczu, targana zarazami i wyniszczona wojnami. Spokojnie wyjaśniają reguły tej wiary i zachęcają do porzucenia Kościoła, będącego jeno cuchnącą norą wilków, do której podstępem zwabiane są niewinne owieczki.

Wtem służące usłyszały głośny trzask, aż im w uszach zaświstało. To Bertille uderzyła w twarz młodą pannę służebną.

- Zamilcz, na miłość boską, zelżywa dziewko!

Pracujące w kuchni kobiety, spuszczać z przestachu oczy, udały, że niczego nie zauważyły. Nie odważyłyby się wtrącać. W jednej chwili szybciej i zwinnie zajęły się szykowaniem wieczornych potraw i z nie lada gorliwością przystąpiły do pracy, byleby Bertille nie zawiesiła na nich zawistnego wzroku. Robota jak mało kiedy paliła im się w rękach. Sarta klęknięła i wydłubywała niedopalone kłoc drewna z pierwszego kominka. Jej pomocnica z pośpiechem, na jaki nigdy zazwyczaj nie było jej stać, zajęła się oczyszczaniem ryb i ich sowitym soleniem.

- Na imię boskie, cóż oni ci do tego pustego łba nakładli?! - huknęła hrabina przejętym głosem. - Wyrzekłaś się Boga, głupia ty?!
Wszakże to zdrada!

Służąca przytknęła dłoń do piekącego policzka i z przestrachu zaprzeczyła wszystkiemu.

- To bluźnierstwo opowiadać takie historie - krzyczała hrabina. - Chcesz przez całą wieczność smażyć się w piekle?

Dziewka ponownie zaprzeczyła. Pomyślała ze strachem, że to byłoby wielką męczarnią, gdyby miała się palić przez wieczystość.

Bertille złapała ją za czepek, zrzuciła go na ziemię i chwyciła za włosy. Tarmosiła, szarpała i biła niewinną dziewczkę.

- Jest jedna wiara, parszywa dziewczko! - wykrzykiwała, tupiąc przy tym wściekle nogą. Gorące słowa niczym iskry z buchającego kominka wyskakiwały jej z gardła. - Jedna, i żadna inna. Reszta to herezja! To rzecz bardzo nikczemna! Hańba i pogarda! Słyszycie? - Wszyscy ją usłyszeli, nawet myszy pochowały się w ciasnych dziurach. - Hańba! - grzmiała. - Jeszcze któraś z was ma podobne pomysły? - Obróciła się na pięcie i groźnym wzrokiem, który kłuł niemożebnie, przebiegła po zdjętych strachem dziewczętach.

Ich pobladłe twarze i skulone ciała były wymowniejsze aniżeli najsolenniejsze zapewnienia, dziewczęta nie były bowiem w stanie pokonać lęku przed wyduszeniem z siebie choćby słowa.

- Batem je wam wybiję z głupich łbów, a potem zakuję was w żelazo.

Żadna się nie odezwała. Wszystkie zajęte były pracą, która wszak była pilną, musiały bowiem jeszcze oporządzić dwie dziesiątki zwierząt: zajęcy, kurcząt, kaczek, i nadziać je na wyczyszczone o świcie ruszty. W wysokich kotłach, które we wnętrzu kominka zawieszane były na hakach i łańcuchach, gotował się od rana smakowity gulasz z wielkimi kawałkami tłustej baraniny doprawionymi aromatyczną i najszlachetniejszą z przypraw, szafranem.

- Jeżeli jeszcze raz usłyszę te bezeceństwa, wychłosczę każdą jedną do samej krwi! - huczała srodze. Jej głos był ostrzejszy aniżeli grzmoty na niebiosach. - Nie będzie w moim zamku żadnej herezji! Boże broń, abyście brały moje słowa za coś innego aniżeli za groźbę!

Niech Pan Bóg i wszyscy święci chronią mój dom przez kacerską zarazą!

Nie czekała na odpowiedź. Wszystkie znajdujące się w kuchni służące nigdy więcej nie zechcą spotkać się z katarskimi nauczycielami. Żadna nie będzie chciała słyszeć o potwornym Demiurgu, który stworzył tenże ziemski padół, ani o duszach, ani o Bogu światła, ani o niepotrzebnych kościelnych sakramentach, które niczego nie wnoszą w ludzki żywot, a jedynie umysł mącą. Nie pomyślała już o tym, żeby nie wierzyć w krzyż i nie całować go z szacunkiem i miłością. Już zawsze będą mówiły, że Jezus był człowiekiem z krwi i kości.

- Czemuż to mój mąż kazał przygotować im jeno rybę?

Dziewczyna, z palącym czerwienią policzkiem i potarganymi włosami, spoglądając na swoje stopy, wyjaśniła z drżącym z niepokoju głosem:

- Oni nie jadają mięsa.

- I bardzo dobrze, niech nie żrą. - Bertille prychnęła. - Szkoda mięsa na parszywych heretyków! Sami są cuchnącą padliną! - Po czym dodała z wściekłą drwiną w głosie: - A dlaczegoż to ryby jedzą?

- One przyplływają i odpływają - wyjaśniła dziewczyna.

- Jakże głupie te ich wyjaśnienia - mruknęła i ponownie krzyknęła do pracujących w kuchni kobiet: - Kazałabym im pełzać na brzuchu jak węzom przeklętym przez Boga, aż nastąpi na nich ciężki zwierz i zmiążdży wszystkie ich członki! - Wyciągnęła dłoń w kierunku kominka i z przejęciem wyszeptała: - Ognie piekielne to dla nich za mało.

Sarta nadal w popłochu sprzątała kominek. Kolana ją bolały, bo wszakże nie była młodą, a w pozycji tej tkwiła od dłuższego czasu. Nie miała jednakże odwagi wywlec się stamtąd dopóty, dopóki w kuchni przebywała Bertille. Nie wysunęła z niego nosa i nie miała zamiaru. Modliła się, nieważne do którego Boga, byleby tylko hrabina wreszcie wyszła i dała im spokojnie pracować - bez wrzasków, obelg i bicia.

- Oddaj mi ten kosz! - syknęła Bertille do służącej, którą uderzyła. Zajrzała do środka. Pomyślała chwilę, przebiegła oczyma po kuchni, jakby czegoś szukała, zawahała się i sapnęła do innej, stojącej przy drugim kominku, dziewczyny: - Daj mi kawałek mięsa. No rusz się... Szybko... Daj mi to! - Rzuciła się zdenerwowana do dziewczki. - Pośpiesz się!

Służka, napotkawszy groźny wzrok swojej pani, natychmiast spełniła polecenie.

*

Hrabina de Peyres postawiła na stole bulwiasty kosz z jedzeniem. Patrzyła z ciekawością na mnichów, którzy z łagodnymi spojrzeniami przyglądali się żonie Aureliena. Kobieta wywarła na nich dobre wrażenie. Z nią również chcieli porozmawiać i wyłożyć jej swoje racje.

- Czy to mój mąż zezwolił wam na pobyt w zamku? - zapytała bez ogródek, jak zawsze szczerze.

Kaznodzieje wyznali prawdę.

- Jeno dobry hrabia mógł to uczynić. - Dumernoy, przyznawszy to, złożył ręce na kolanach. - To czcigodny człowiek. Czy odwiedzi nas dziś?

- Nie - ucięła szybko. - Hrabia wyjechał.

Zapadła kłopotliwa, drętwa cisza, którą Bertille wnet przerwała. Chciała się upewnić, że ma do czynienia z prawdziwymi heretykami.

- Przyniosłam wam posiłek. Jeżeli zgłodnieliście, proszę. - Zaczęła wyciągać z kosza wszystko to, co przygotowała panna służebna.

Gdy wzięła w dłoń solidną porcję mięsa, zaczęła ją wolno wydobywać z kosza. Z pulsującym nienawiścią do heretyków sercem wpatrywała się w ich twarze. Twardo i przenikliwie. Dostrzegła to, czego się spodziewała. Mnisi nie byli zainteresowani upieczonym mięsem, dzięki przyprawom pełnym aromatów, ale chętnie pochwycili

w dłonie miękkiego chleba. Hrabina usiadła na miejscu, które poprzednio zajmował jej mąż. Dobyła z kosza dodatkowo jarzyny i wino. Przypatrywała im się w milczeniu, z lodowatą drwiną, kiedy oni, po odmówieniu modlitwy, poczęli się posilać. Gdy zaspokoił pierwszy głód, spytała bez skrępowania, z drwiącą wyniosłością:

- Dlaczegoż to nie jadacie mięsa?

Gerard Pelatar wytarł brodę rękawem i podjął się wyjaśnienia. Grzecznie odpowiedział żonie gospodarza:

- Ponieważ zabijanie zwierząt jest niedozwolone w naszej religii.

Bertille uniosła ładnie uformowane brwi ku górze, dając tym samym wyraz szczeremu zdumieniu. Dla niej zwierzęta oznaczały mięso. A żeby je zdobyć, należało je zabijać. To było proste.

- A to czemuż? - wywiadywała się, nie odwracając wzroku od Pelatara.

- Ponieważ mogą tam przebywać uwięzione dusze - odparł cierpliwie.

Bertille odchyliła w tył głowę i zaśmiała się, jak to zawsze robiła, kiedy Aurelien opowiadał jej żarty.

- Cóż takiego? - dygotała ze śmiechu. - Jakie dusze?

Mnisi drgnęli, słysząc ten ton. Nie podzielili jej wesołości, a prawdę mówiąc, źle przyjęli ten zgoła niekontrolowany wybuch.

- Nie chcę słuchać o żadnych duszach. To herezja! - wycodziła żywiłowo przez zęby. - Zabraniam wam! - rozkazała z nagłą gwałtownością.

Dumernoy potrząsnął ponuro głową i odpowiedział z odrobiną gniewnego zawstydzenia:

- Oby nasz Jezus Chrystus sprawił, by ten świat był inny, zgoła inny. Chciałbym, aby był inny, ale taki nie jest.

Hrabina mruknęła na wpół poważnie, na wpół z ironią.

- Dzięki Bogu świat ten należy do Pana naszego, który dzierży pieczę nad wszystkimi istotami.

- Pani - rzekł Gerard nie bez odcienia łagodnego szyderstwa - w swej łaskawości i szlachetności nie sprawicie, by świat, po którym

stapacie, stał się dobry, gdyż jest on zły i plugawy, stworzony przez boski twór, który zowie się Lucyferem. - Patrzył z uporem w jej nabrzmiałą złością i pogardą twarz. - Świat ten jest obmierzły i szkodliwy dla wszystkich na nim żyjących.

Tymczasem Bertille uświadomiła sobie, że jej jadowity ton, zaciekle gniewem twarz, chrapliwość głosu i sztywny chód - że wszystkie te rzeczy są oczywistymi znamionami nieustępującej nienawiści wobec innowierców. Pokręciła z niesmakiem głową, usta jej poruszały się, ale niczego nie wymawiały. Powstała, odrzuciła do tyłu długi tren sukni i zmierzyła kaznodzieję hardym wzrokiem. Spodziewane słowa wnet nadeszły.

- Czy prawdą jest, że jesteście heretykami?

Gerard pominął pytanie milczeniem i powiedział coś całkiem innego. Nie na temat tego, co pragnęła usłyszeć żona Aureliena. Przemówił, jakby - zdało się - ze złośliwą uciechą, gdyż jego słowa uderzały w twarz złowrogo stojącą przed nim postać. Był świadom, że naraża się na srogi gniew hrabiny i że każde jego słowo zaognia sztywne napięcie osoby przed nim.

- A czy wy, pani, jesteście chrześcijanką? - Opuściła go dotychczasowa pogoda ducha i popatrzył na Bertille z pełnym znużenia smutkiem.

Tego popołudnia obaj katarscy kaznodzieje opuścili mury zamku Peyres.

- Wściekle psy dostają twarde cięgi - mruknęła z żółcią na obliczu hrabina, kiedy przekazano jej, że zamkowe podwoje zostały zamknięte za katarskimi duchownymi.

*

Maria przystanąła, zapiąc ciężko. Złapała się za brzuch i zgięła się wpół. Zmęczyło ją wejście po schodach do donżona z prawej strony zamku, gdzie swoje apartamenty miała hrabianka. Była

zmęczona dniem wypełnionym wieloma obowiązkami i pragnęła odpocząć. Kiedy wreszcie trochę odsapnęła, zapukała grubymi palcami do komnaty Ermessendy. Odpowiedziała jej cisza. Tłusta służąca ponowiła pukanie.

- Pani?

Córka Aureliena z ociąganiem podeszła do wewnętrznych drzwi sypialni.

- Pani, hrabina was wzywa - oznajmiła sucho, nie mając pewności, czy Ermessenda ją słyszy.

Dziewczyna nie uwierzyła.

„To niemożliwe... Chce mnie widzieć?!”

- Matka? - zapytała nieprzekonana.

- Owszem - potwierdziła obojętnie służąca. - A któż by inny? Pośpieszcie się, pani - ponagliła Ermessendę. - Hrabina czeka w dolnej komnacie.

Córka Bertille oparła się o drzwi. Powątpiewanie ustępowało tak powoli, że jeno przemieniło jej niepewność, niepokój i wewnętrzną walkę w miękką omdlałość. Zaraz jednak poczuła w całym młodziutkim ciele przyjemny bezwład. Radość raptownie zakorzeniła się w niej i wypłynęła na twarz, a nadzieja, którą Ermessenda dawno porzuciła, na powrót wpychała się siłą do jej niewinnego serca. Delikatny uśmiech rozświetlił jej wyblakłe, nieomal szaro-błękitne lico. Nie mogła uwierzyć. Nareszcie!

„Czyżby to była prawda? - nie przestawała zadawać sobie radosnego pytania. - Chce mnie zobaczyć?” Oczy Ermessendy, wypełnione dotąd bezbrzeżną pustką, zaczynały nabierać żywszej barwy. Znów robiły się błękitne jak niebo nad Langwedocją w letni poranek. „Może jednak zechce mnie? Może to mały dziedzic sprawił, że chce mnie widzieć? Nareszcie!”

Dziewczyna wiedziała, o którą komnatę chodziło matce. Tę w dolnych partiach zamku. Uszczęśliwiona wybiegła z sypialni i nie oglądając się na tłustą Marię, która ze zdziwienia otworzyła usta, pokazując krzywe zęby, przemknęła obok niej niczym łania umykająca

przed myśliwskimi psami. Ermessenda tak bardzo pragnęła zobaczyć długo niewidzianą matkę, że na ten czas zapomniała o swoim wielkim nieszczęściu, o jego grozie, o wszystkim, nawet o Agnes. Powiedziano jej, że wierna dotąd służąca porzuciła z dnia na dzień służbę i uciekła z przygodnie poznanym parobkiem, dla którego całkowicie straciła rozum.

„Niewdzięczna dziewczucha!” - myślała Ermessenda, ogromnie żałując, że Agnes pozostawiła ją bez słowa wyjaśnienia w tak trudnym dla niej okresie.

Jednakże teraz ani Agnes, ani choroba, ani żadne inne sprawy nie kłopotowały hrabianki. Nie mogły. Podnosząc w dłoniach długą suknię, żeby móc szybciej zbiegać po schodach, pędziła jak szalona do ukochanej matki. Nareszcie! Jej radość nie miała granic. Biegła z rozwianym włosom, przyśpieszonym oddechem i rozanielonym wzrokiem. Wszystko jej opowie, wyżali się na niewdzięczną Agnes, podzieli się z nią swoim cierpieniem, a matka znajdzie sposób, żeby odwrócić nieszczęście, które nieopatrznie jej się przydarzyło.

Stanąła pod drzwiami komnaty. Nareszcie! Nie czuła zmęczenia, nie była zziębnięta. Przepełniała ją ufność i miłość do matki. Wyczuwała szalone bicie serca, które wyrывało się ku jedynej kobiecie, która stale ją odtrącała, a za którą tęskniła przez całe młodziutkie życie. Teraz nadszedł właściwy czas, aby ofiarować jej owo serce - na zawsze. Nareszcie!

Nieśmiało zapukała. Nie czekając na pozwolenie wejścia, wsunęła się do środka. Z gorączkową niecierpliwością przebiegła oczyma po komnacie. Przy płonącym kominku zauważyła grubego mężczyznę. Poznała go. To był Tomasz. Rozglądała się uważniej, ale nie mogła dojrzeć matki.

„A gdzie ona jest?” - myśli kłębiły się jej w głowie. Zaniepokoiła się na moment.

- Gdzie hrabina? - zapytała Tomasza, choć wszak zdawała sobie sprawę, że ten jej nie odpowie.

Mężczyzna miał ręce założone na piersiach; jego twarz jak zwykle była martwa, a oczy puste, bezbarwne. Czujnie przyglądał się córce Bertille jak wartownik na książęcym murze wypatrujący wrogich zwiadowców. Ruchem dłoni wskazał, by się zbliżyła. Spojrzała na niego z ustami rozchyłonymi z lekkiego zdenerwowania, a następnie z wiarą i pełną żalu powagą zapytała ponownie:

- Na miły Bóg, gdzie ona jest?

Mające się odbyć spotkanie z matką tak bardzo zaprzętało myśli dziewczyny, że pochłaniało całą jej uwagę. Skupiła się jedynie na oczekiwaniu, nie zwracała sobie głowy szczegółami, które powinny były ją zastanowić. Jakże mogła przewidzieć, co się wydarzy? Jakże mogła przypuszczać, skąd nadejdzie cios i któż go zada? Wszak Król Niebieski jej nie ostrzegł!

Dziewczyna podeszła do służącego. Spojrzała na niego ożywionymi, niebieskimi oczyma, które wciąż były ufne. Blask odbijający się od palących w kominku drew skakał po popielatej letniej sukni hrabianki.

Wtem Tomasz gwałtownie pochwycił w ramiona niespodziewającą się niczego Ermessendę i... pchnął ją znienacka, z całej mocy, w głąb rozbuchanego kominka. Rozległ się ogłuszający wrzask... W mgnieniu oka dziewczyna stanęła w płomieniach. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Objął ją ogień. Ogarnął całą jej smukłą postać. Rozlał się na niej niczym wino na ojcowskim stole.

Oszalała od cierpienia instynktownie wyskoczyła z wnętrza kominka. Jak rozwścieczone zwierzę - zranione, krwawiące, cierpiące - runęła przed siebie. Na oślep! Krwista, buchająca żagiew! Nie widząc nikogo ani niczego, czując jedynie płomień spalający jej żywe ciało, rozwarła w amoku drzwi komnaty i wypadła bez udziału woli na zewnątrz. Tomasz nie próbował jej zatrzymać. Palącymi się rękoma uderzała się po głowie, po włosach. Wrzeszczała. Czowała łopoczącą suknię, której dół ograniczał ruchy i nie pozwalał robić większych kroków. Obezwładniające przerażenie powodowało, że biegła po omacku, na pamięć. Traciła rozum. Poruszała się półświadomie.

Chciała być jak najdalej od Tomasza, od tej przeklętej komnaty. Resztki świadomości, jakie jeszcze posiadała, nakazywały jej kierować się w stronę dziedzińca. Byleby tylko wydostać się z pomieszczeń zamkowych. Płonąca, rycząca pochodnia biegnąca poprzez zamkowe halle i ciemne, długie korytarze. Cała w ogniu. Wyła z bólu i strachu. Czuła zapach smażonego mięsa. Krwista, buchająca żagiew!

Ermessenda wypadła na dziedziniec. W tej samej chwili rozległ się paniczny pisk pobladych kobiet.

Słudzy, wstrząśnięci widokiem palącej się hrabianki, natychmiast, bez namysłu, skoczyli do niej. Powalili ją na ziemię. Zaczęli zakrywać dziewczynę byle jakimi szmatami. Wylewali na nią cuchnące pomyje, byleby jeno ugasić płomień. Byleby jeno zagasić tę krwistą, buchającą żagiew. Kobiety, jedna przez drugą, pędem rzuciły się w kierunku studni, żeby napełniać wiadra. Zszokowane usiłowały szybko działać, ale ręce niemiłosiernie im dygotały, wobec czego nie mogły utrzymać wiader w dłoniach. Zapanował chaos, kotłowanina. Koszmarny krzyk hrabianki, pełen bólu, rozpacz i cierpienia, odbijał się echem. Był wszechobejmujący, porażający i wstrętny. Trwał nieprzerwanie. Mroził krew w żyłach. Otumaniał.

Lecz to był już koniec! Służba, pomimo najszczerzych chęci, nie mogła pomóc, ponieważ Ermessenda nie miała szans na przeżycie. Koniec nieszczęścia! Koniec mąk Tantal¹⁶⁶! Koniec smutnego życia niekochanego przez matkę dziecka. Nareszcie!

Mężczyźni z ogromnym smutkiem patrzyli na martwe ciało hrabianki. Kobiety z głośnym szlochem lamentowały i ocierały mokre policzki. Załamywały ręce nad niesprawiedliwość, jaka spotkała ubóstwianą przez Aureliana de Peyresa córkę. Pan Wszechmogący poprzez bezkres piekła obserwował śmierć niewinnego dziecka.

Bertille nieporuszona, rzekłbyś w prawdziwie świętym ukojeniu, stała w wąskim oknie, jak gdyby przyrosła do podłogi. Niezwruszonym, sfinksowym wzrokiem spoglądała na makabryczne sceny, które rozgrywały się poniżej, na zamkowym dziedzińcu.

- Nareszcie! - Zaczerpnęła oddech, doznając uczucia ulgi, jakby kamień spadł jej z serca. Odeszła od okna.

Nad ranem do zamku powrócił hrabia de Peyres. Zeskoczył z konia i pośpiesznie rzucił lejce stajennemu, który na widok swego pana wyprostował się, dotąd bowiem pogrążony w zadumie stał oparty o studnię. Kilku parobków wałęsało się po dziedzińcu. Ziewało i plotkowało na temat tajemniczej śmierci hrabianki, która wszystkimi jednako do głębi wstrząsnęła. Większa część służby nadal spała.

Szlachcic z miejsca skierował kroki w stronę lewego skrzydła. Kiedy zbliżał się do wejścia, żeby udać się do prywatnych komnat, drogę nieoczekiwanie zagroził mu kapelan zamkowy. Nie spał dzisiejszej nocy. W obliczu zaszłych wydarzeń nie mógłby zmrużyć wszak oka.

- Nie teraz, ojciec - rzucił szybko Aurelien. Jego oczy spoczęły nieruchomo na twarzy zakonnika. - Jestem zmęczony.

- Hrabio... zdarzyło się... - wyrzekł drżącym głosem, z prawdziwą troską i gnębieniem - nieszczęście...

Aurelien nachmurzył się. Otworzył usta, a oczy nagle zrobiły się większe, ręce opuścił wzdłuż tułowia. Czekał na ciąg dalszy. Kapelan, który całą noc przygotował się, żeby powiadomić hrabiego o nieszczęściu, stracił raptownie całą pewność siebie i nie wiedział, jakie słowa byłyby najwłaściwsze, aby za ich pomocą przekazać hrabiemu wiadomość o śmierci córki, albowiem wiedział, jak każdy, że Aurelien darzył Ermessendę wielką miłością. Drżenie wstrząsało jego ciałem. Z bólem patrzył w napiętą hrabiowską twarz. Dobrać słowa dla przekazania szlachcicowi...

- Hrabio... - wykrztusił - to straszne... - Nie mógł wymówić nic ponadto. Pochylił głowę ze smutkiem.

De Peyresa tchnęło pierwsze uczucie grozy.

„Moja Bertille?”

Z niecierpliwością krzyknął na kapelana i spytał:

- Czy hrabina...? - Złapał się za serce. Poczł silne ukłucie. - Czy coś złego stało się mojej żonie?

Kapelan szybko zaprzeczył ruchem głowy, ale nie podnosił jej.

Aurelien zawahał się, ale zebrał się w sobie.

- Boże drogi, mój syn? - zapytał z obawą. - Rzeczy straszne pozostaną strasznymi... Mówże wreszcie!

- Oni mają się dobrze, hrabio.

- Zatem?

Zakonnik odważył się i wyrzucił z siebie:

- Panie... hrabianka... Ona nie żyje. - Głos zamarł mu w gardle.

Zapanowała cisza. Aurelien ruszył do przodu i stanął tuż przed kapelanem. Stał tak przez dłuższą chwilę z zaciśniętymi ustami, walcząc w milczeniu z rozrastającą się do niebotycznych rozmiarów rozpaczą. Bezskutecznie usiłował wymówić imię córki. Po chwili, która wydała się wiecznością, zapytał wreszcie ochryplym z przejęcia tonem:

- Ermessenda...? - Usłyszał własny głos jak gdyby z oddali, jak gdyby nie należał on do niego. - Nie żyje?

Zakonnik nic nie odrzekł, jeno pochylił bardziej głowę. Czyż zatruta strzała mogła trafić ojca w serce w bardziej brutalny sposób? Hrabiemu zdało się, jakoby dziedziniec w jednej chwili wypełnił bezmierny, porażający mrok. Kapelan jawił się jako zamazany, bezkształtny cień. W owym mroku wydało się, że ziemia drży i trzęsie się pod stopami Aureliena.

Niczym śpieszący się wielki niedźwiedź ruszył przed siebie. Szarpnął ciężkie drzwi z ogromną siłą, aż rygiel wypadł z wrzeczadza. Z twarzą pobladłą pognał do głównej sali w kaplicy zamkowej. Wpadł jak oszalały do środka. Leżała tam martwa Ermessenda.

- Neeeeee! - zawołał Aurelien w rozdzierającej rozpacz, kiedy ujrzał zwłoki córki. - Na rany Boga... nieeeeeee!

Przed nim rozpościerała się olbrzymia i potworna scena, jakby wydostała się z samego dna piekieł, a stworzona została przez diabelskie moce. Martwa dziewczyna leżała na marach pomiędzy rzeźbionymi, beżowymi kolumnami. Wokół niej służba ustawiła świece. Niektóre już pogasły, inne nadal rzucały upiorny blask na ciało młodej hrabianki. Zapach kadzideł, których zadaniem było stłumienie

nieprzyjemnej, drażniącej nozdrza woni, roznosił się wokół Ermessendy, by następnie ulatywać ku sklepieniom. Panowała przerażająca, grobowa cisza... Cisza, która nieomal wyła w głos, domagając się prawdy.

Wkrótce za hrabią wszedł do kaplicy zamkowy kapelan. Zszokowany szlachcic stał oniemiały. Bezsilna żałość całkowicie go przytłoczyła. Z boleścią, nieprzytomnie patrzył na czarne, cuchnące ciało kochanego dziecka, jedynej córki, dla której gotów był świat burzyć. Otępiały, złamany cierpieniem pochylił się nagle w przód. Zachwiał się na nogach, jak gdyby zrobiło mu się słabo. Opadł na zimną posadzkę przy ciele zmarłego dziecka. Był najniezwyklejszym z wszystkich ludzi na świecie. Trzął się cały.

- Boże... dlaczegoż ona? - wykrztusił, łapiąc się drżącymi rękoma za głowę. - Dlaczegoż zabrałaś mi dziecko?

Twarz i oczy nabiegły mu krwią. Klęczał z rozwianym włosiem, wygasłym wzrokiem, w największej udręce rozpacz. Ból rozrywał duszę i ciało. Dogłębnie wstrząśnięty widokiem zmarłej córki, dyszał z wysiłku.

- Powiedz... - błagał szeptem - jakimże prawem? Powiedz...

Pan Stworzenia nie udzielił mu odpowiedzi, bo dlaczegoż miałby to uczynić? Wszak On zabiera, kogo chce i kiedy chce! W jednej chwili daje życie, aby w drugiej chwili bez namysłu je odebrać! Bezlitośnie! Nie musi tłumaczyć się przed śmiertelnikami, których traktuje wedle swego uznania jak niewolnych.

Aurelien podniósł się zmiażdżony cierpieniem i bez namysłu porwał w ramiona Ermessendę. Nie czuł jej ciężaru. Była lekka jak piórko. Nie czuł swądu. Pragnął jedynie przytulić do piersi kochane dziecko. Po raz ostatni w życiu. Zapłakał rzewnymi, przepełnionymi bólem łzami. Delikatnie całował jej szerniałą, odstraszącą twarz, która nie była już twarzą jego uwielbianej córki. Była wstrętą, odrażającą i zmienioną, ale hrabia nie widział jej brzydoty. On widział w niej nadal ładną dziewczynę. On widział jedynie ukochane dziecko, które Król Niebieski mu odebrał. Bezlitośnie!

- Dlaczego? - dopytywał się złamanym z żalości głosem, ścierając własne łzy z jej zimnych policzków. - Cóż ci złego uczyniłem, że tak mnie ukarałeś?

Na powrót poczuł w sercu dławiące ukłucie. Ból był jednostajny, jakby mu serce zgniatano. Na czoło wystąpił pot i zrobiło mu się duszno. Odłożył Ermessendę. Troskliwie, z czułością, jakby bojąc się, że sprawi jej ból. Spróbował złapać oddech, po czym odwrócił się i zniemacka pochwycił zaskoczonego duchownego za habit. Przycisnął go do stojącej najbliższej kolumny. Z wściekłością zacisnął pięści na wełnianej tkaninie.

- Cóż się tu, do diabła, stało?! - sapnął przez ściśnięte gardło.

Zamkowy kapelan z drgającymi kurczowo ramionami wlepił przestraszone spojrzenie w hiobową twarz szlachcica.

De Peyres, ściągając groźnie brwi, silnie przytłamsił zakonnika do filara.

- Mówże, mnichu!

Duchowny, nie zwlekając dłużej, wydukał lękliwie:

- Panie... nikt tego nie wie... Musiała stać blisko ognia, bo jakżeby inaczej... Płomień zajął suknię i... stało się... to nieszczęście...

Aurelien puścił trzęsącego się kapłana i pochwycił się nagle prawą dłonią za pierś. Nie mógł złapać tchu, zaczerpnąć powietrza, jakby się dusił. Startł pot z rozpalonego czoła. Stał w lekkim pochyleniu i spoglądał w udręczeniu na martwe ciało Ermessendy.

- Dlaczego nie ma tu hrabiny?

Kapelan wbił wzrok w posadzkę, pragnąc zyskać chwilę do namysłu, ale nie mając po temu śmiałości, z obawy, że hrabia rzuci się do niego z pięściami, skierował oczy na ciało hrabiowskiej córki, a następnie na wyczekującego odpowiedzi szlachcica. Czy prawda pomoże Aurelienowi?

- Nie wiem, panie - odparł, uciekając wzrokiem pod groźnym wejrzeniem hrabiego. - Ale jakakolwiek jest tego przyczyna, nie wróci to życia waszej córce.

De Peyres zmagał się z sobą, żeby nie wybuchnąć. Obejmując dłonią szeroką szczękę, patrzył ze strapieniem na mnicha. Jego czoło, ponure jak chmura burzowa, pod ciemnymi, rozwichrzonymi włosami stało się tak grobowe, że pomarszczyło się w głębokie bruzdy przypominające diademy. W jednej chwili stał się starym człowiekiem.

- Powiedz mi, mnichu - rzekł. - Dlaczego On to uczynił?

- Któż, mój panie?

- Twój Bóg.

Kapelan rozejrzał się z troską i utkwiał wzrok w krzyżu stojącym na ołtarzu pośród spalonych do połowy świec. Przymknął na krótką chwilę zmęczone powieki. Świętość tego miejsca wnet natchnęła go potrzebną siłą.

- On w swej nieskończonej miłości jest również waszym Bogiem, panie - odparł, składając obie dłonie.

- On nie jest już moim Bogiem.

- Panie - duchowny przeżegnał się w pośpiechu - ale co...

- Przestał nim być w chwili, kiedy przekroczyłem próg mojego zamku - odpowiedział hrabia, wycedzając bezduszne słowa pomiędzy zębami.

- Hrabio, to bluźnierstwo! - Zastygł w chwilowym milczeniu, po czym rzekł z przejęciem: - Nie wolno wam... Rozumiem... To nieszczęście odbiera wam...

Hrabia przetarł czoło. Nie zdejmując zboląłego wzroku z martwej córki, spytał ponownie, cicho, jakby nie chciał zbudzić śpiącego dziecka:

- Dlaczegoż On to uczynił?

- Panie mój, Bóg w swej nieskończonej dobroci...

Hrabia z oślepiającym ogniem w oku poderwał rękę. Odsłonił zęby, jak szykujący się do ataku zwierz. Kanonik przerwał w pół słowa i skulił się w sobie. Nie śmiał się odezwać. De Peyres odwrócił głowę od Ermessendy i spojrzał na duchownego z pogardą, jakiej ów nigdy wcześniej nie zdołał u niego zauważyć.

- Ten okrutny, pozbawiony litości Bóg zabrał mi to, co kochałem całym swym jestestwem. - Słowa z trudem wydobywały mu się z gardła.

Kapelan odczytał wyraz jego cierpiącej twarzy i upewnił się w duchu, że słowa wypowiedane przez Aureliena są podyktowane bólem po stracie córki. Bólem, który nie znajdzie ulgi ani pocieszenia.

- Ten oszalały nienawiścią Bóg odebrał mi moje dziecko, moją ukochaną córkę. - Usiłował wciągnąć głęboko powietrze, ale nie potrafił. Serce uderzało powoli, jak gdyby traciło wolę życia. - A ty, mnichu, masz czelność mówić mi o jego nieskończonej... - Chwytał ustami grobowe powietrze.

Kapelan dotknął palcami krzyża na piersi i począł szukać odpowiednich słów. Kiedy je odnalazł, wystękał:

- Panie... musicie odpocząć... To znękanie przemawia przez was...

De Peyres uniósł złowrogo powieki. Płonące oczy szklily mu buntem. Nie słuchał i nie zamierzał więcej słuchać katolickiego mnicha. Zamroczone cierpieniem szyderstwo cisnęło mu się wściekle na usta. Przycisnął dłoń do piersi, aby złagodzić pulsujący ból i wyrzekł z wolna:

- Jeżeli twój bezlitosny Bóg nie uratował od cierpień własnego Syna, ale patrzył na jego powolną śmierć, to pytam cię...

Kapelan zeszywniał pod ciężarem słów, które stały się heretyckim oskarżeniem wypowiedzianym w szale poruty.

- Czemuż miałby ratować moją niewinną córkę?

Twarz duchownego przybrała na poły druzgoczący, na poły niedowierzający wyraz. Rozdziawił usta i przytknął do nich dłoń. Po chwili ponownie uczynił znak krzyża.

- Panie, tyleż w was szaleństwa?

Hrabia nie odpowiedział. Rzucił umęczonym wzrokiem na córkę i obracał w myśli słowa kapelana. Wkrótce potem odparł słowami katarskich nauczycieli.

- Ziemia to brudne, ohydne więzienie dla dusz, które zbudowane zostały z miernego, nic niewartego materiału przez samego Lucyfera.

- Hrabio - zdumiał się mnich, żegnając się w pośpiechu - obrażacie Boga!

Aurelien spojrział poza niego, poza mary, na których spoczywało jego ukochane dziecko. Zatrzymał wzrok na krzyżu.

- Tego okrutnego, wyzbytego litości? - syknął, wykrzywiając okrutnie twarz. - Tego, który miłował swojego Syna tak bardzo, że pozwolił mu skonać w męczarniach?

Kapelan oniemiał. Jedyne, co zdołał uczynić, to wbić przerażone wejrzenie w udręczone oblicze ojca.

- Życzę sobie, abys pozostał przy mojej córce - powiedział hrabia, spoglądając z czułością na Ermessendę. - Zaraz powrócę... - A po chwili szepnął do siebie: - Męską jest rzeczą umierać...

Mając na uwadze nadszarpnięte ostatnimi czasy zdrowie hrabiego, duchowny usiłował go powstrzymać, ale de Peyres, nie zważając na przestrogi, wypadł z kaplicy niczym rozwścieczone zwierzę. Z trudem oddychając, wkroczył do stajni. Dusił się. Rozejrzał się za koniem Ermessendy. Szukał otumanionym, rozgorączkowanym wzrokiem najpiękniejszego gniadosza, którego podarował jej na urodziny. Ostatnie urodziny. Podszedł do śpiącego w najlepsze stajennego. Wy dobył miecz z pochwy i zdzielił go rękonością po głowie.

- Gdzie koń hrabianki?

Sługa krzyknął z przestachu jak zajęc w swej norze pochwycony w zęby przez łasicę. Machinalnie złapał się za głowę. Trzymając się jedną ręką za ranę, wskazał Aurelienowi miejsce, gdzie trzymano ogiera. Stał on w najdalszym kącie.

Hrabia od razu, w amoku, w opętańczej furii, skierował kroki do niego. Gniadosz Ermessendy, znany z niezwyklej łagodności, radośnie podrzucił na jego widok wielkim łbem. Machnął ogonem i wydał ciche gardłowe rzenie. De Peyres nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Zebrał resztki sił, jakie mu jeszcze pozostały, i bezlitośnie, brutalnie wbił miecz w ciało zwierzęcia.

- Moja nieszczęsna córka już cię nie potrzebuje... - wymamrotał z żalem i rosnącym bólem w piersiach. - Nikogo już nie potrzebuje...

Wierzchowiec przewrócił się. Wielkie oczy pięknego ogiera spoglądały na hrabiego dopóty, dopóki nie zgasły. Wtedy Aurelien zauważył dwie małe łzy, które spłynęły po brązowym pysku zwierzęcia. Odwrócił się do wyjścia. Z wysiłkiem, jakiego dotąd nie poznał, usiłował opuścić stajnię. Słabł coraz bardziej. Nie mogąc iść dalej, oparł się plecami o próg wejścia i bezwładnie opuścił rękę wzdłuż tułowia. Wypuścił z dłoni zakrwawione żelazo. Pochylił się, w tej pozycji łatwiej mu bowiem było złapać odrobinę potrzebnego powietrza. Pomiędzy nogami przebiegały mu kury.

Parobkowie, widząc, co się dzieje, szybko nadbiegli do słaniającego się na nogach szlachcica, ale ten, charcząc, odtrącił ich pomoc. Ból się nasilał. Był piekący, dławił go.

- Okrutny Boże... dlaczego mi to uczyniłeś?

Przyciskał dłoń do serca na tyle mocno, na ile jeszcze mógł, ale ono było już słabe. Czuł, jakby ból rozrywał mu je kawałek po kawałku. Ale gorszym cierpieniem była wszakże niewiedza, która silniej rozrywała mózg aniżeli ból schorowane serce.

- Przeklinam Cię po stokroć!

Aurelien de Peyres opadł ciężko i bezwładnie na ziemię. Jego serce przestało bić. Pękło z rozpacz.

ROK PAŃSKI 1204

Bezchmurne niebo niczym bezkresna, pozbawiona zagnieceń błękitna płachta rozpościerało się ponad langwedockimi wapiennymi szczytami, oliwkowymi gajami i dorodnymi winnicami. W powietrzu unosił się zapach lata i miłości. Pieszczące z czułością ciepło owiewało spracowanych chłopów o ogorzałych twarzach w gąszczu złotej pszenicy i uwijających się sprytnie kupców w nadmorskich portach, gładziło powabne kobiety Południa i zachęcało do wielkich czynów dumnych, niepokornych hrabiów. Przychylna, rosnąca w zamożność, aczkolwiek niepokorna Langwedocja stała się rajem objawionym dla handlu – zarówno tego lokalnego, jak i na większą skalę, dla gospodarek wiejskich, miejskich i komun starających się zdobywać przywileje sądowe, finansowe i wojskowe, a także dla kwitnącej, porywającej swą świeżością kultury, nauki, prawa rzymskiego i nowatorskiej medycyny. Dla zamieszkujących tę krainę wierność, która stanowiła cnotę najwyższą, była nigdy niegasnącą inspiracją do zawierania umów stanowiących źródło potęgi i władzy wielkich ludzi. Dzięki temu na Południu, słynnym z nieskrępowanych, liberalnych poglądów, rzadziej występowały akty przemocy dla poparcia żądnych swobód mieszkańców, aniżeli miewało to miejsce na Północy. Tolerancyjna, dumna Langwedocja była wyrozumiała dla wolnych jak fruujące pod niebiosami ptaki myśli, które nie mogły harmonijnie rozkwitać w środowisku mentalnej ograniczoności, pozbawionej wszelkich

rozumnych kryteriów, gdzie panowało bezwstydné ubóstwo ducha i ordynarna krótkowzroczność.

To tu jątrzyła się, ropiała otwarta rana odstępstwa od jedyne­go, święte­go Kościoła. Mianowani w tym roku przez biskupa Rzymu legaci podjęli się żmudnego dzieła nawrócenia i zbawienia innowierców – zbląka­nych duszyczek – i sprowadzenia ich do jedynej bezpiecznej przystani, jaką od wieków był w ich mniemaniu katolicki Kościół. Chcąc odwdzięczyć się za zaszczyt, jakiego dostąpili, nie ustawali w wysiłkach, aby dowieść ojcu świętemu, iż dokonał on trafne­go i słusznego wyboru. Podążali zatem papiescy wysłannicy drogami leśnymi, miejskimi traktami, wszędzie tam, gdzie tylko mogli napotkać wątpiących wierzących, którzy zaczęli skłaniać się ku śmiałym, niemiłym Kościołowi i papieżowi poglądom.

Dzisiejszego słonecznego popołudnia papiescy legaci przybyli do Servian, miasteczka należącego do rozległych włości Rajmunda Rogera Trencavela. Było ono oddalone na północny wschód od Béziers, położone w urokliwym miejscu, w sennej dolinie, pomiędzy rzekami Orb i Hérault. Żeby dotrzeć na debatę, legaci przemieszczali się pomiędzy piaszczystymi drózkami porośniętymi wysmukłymi cyprysami i rozgałęzionymi piniami.

Na dzisiejszy dyskurs ściągali tłumnie zarówno zwolennicy nowej religii, jak i zwolennicy katolickiej wiary, jednakże tych drugich było zdecydowanie mniej. Hrabiovska służba zapewniła wszystkim obecnym, przysłuchującym się, jak i czynnie biorącym udział w dyspucie wszelkie wygody i doskonałe warunki do swobodnej wymiany myśli, według życzeń hrabiego Trencavela, który nie miał zastrzeżeń do prowadzenia debat na jego ziemiach, a wręcz zachęcał do ich organizacji.

Dwóch odzianych w długie, czarne szaty przepasane cienkim skórzanym rzemieniem mężczyzn weszło na dziedziniec. Byli to Gwilbert de Castres¹⁶⁷ i Bernard de Simorre¹⁶⁸ wywodzący się ze szlacheckich rodzin, którzy postanowili żyć w zgodzie z własnym sumieniem i porzucić dotychczasowy, jałowy żywot. Dwaj kaznodzieje

nowej religii, którzy przeszli ze stanu zwykłych wierzących i teraz, żyjąc według zasad głoszonych przez apostołów Jezusa, nauczali, jak fałszywą i wielce szkodliwą dla ludzi jest katolicka wiara i jej pozbawione sensu, niebezpieczne dogmaty, które czynią więcej złego aniżeli dobrego.

Ludzi z każdą chwilą przybywało. Siadali, gdzie tylko znaleźli miejsce, lub wspinali się na murki i drzewa, gęsto obrastające dziedziniec zamku. Kilka osób będących zwolennikami nowej wiary, nie czekając na oficjalne rozpoczęcie rozmów, podeszło do Bernarda i Gwilberta. Chcieli ich powitać, poprosić o błogosławieństwo i okazać szacunek zarówno dla nowej wiary, jak i dla jej nauczycieli. Pokłonili się nisko, odmawiając modlitwę, a następnie poprosili:

- Dobry chrześcijanie, udzielcie nam błogosławieństwa Bożego i waszego. Módlcie się za nami do Boga. - Gwilbert de Castres kiwnął uprzejmie głową, odpowiadając twierdząco.

- Przyjmijcie błogosławieństwo Boże i nasze.

Zwykli wierzący po raz drugi skłonili się głęboko z zamiarem, jak poprzednio, ucałowania rąk. Poprosili o błogosławieństwo i otrzymali to, o co prosili. Przy trzecim pokłonie dodali:

- Módlcie się za nami do Boga, by uchronił nas od złej śmierci i poprowadził do szczęśliwego końca wraz z wiernymi chrześcijanami.

Katarski nauczyciel ponownie skinął głową i czyniąc aluzję do jedyne go sakramentu, który mógł ich dotyczyć, odparł:

- Módlmy się do Boga, oby pobłogosławił was, wyrwał wasze dusze złej śmierci i poprowadził was do szczęśliwego końca.

Wkrótce potem kaznodzieje przeszli w głąb dziedzińca i zajęli wskazane im przez zamkową służbę miejsca na ławie.

Niebawem pojawili się legaci w otoczeniu straży i służby. Jak zawsze w bogatych strojach z jakże pięknych i drogich tkanin, o barwie krwistej czerwieni rażącej zebranych w oczy. Przepych, w jakim uczęszczali oni na debaty, aby toczyć rozmowy z przeciwnikami, nie przyczyniał im chwały ani dobrego imienia. Wzmagął jeno w uczestnikach trudną do poskromienia pogardę

i nienawiść. Do papieskich legatów dołączył pokojowo nastawiony brat Raoul¹⁶⁹, który podobnie jak Piotr z Castelnau wywodził się z ukrytego przed światem, znajdującego się w dolinie pośród zalesionych, wapiennych wzgórz Corbières, opactwa Fontfroide. Jednakże jego charakter zdecydowanie bardziej niż Piotra predysponował go do tej zaszczytnej funkcji, jaką zlecił im papież Innocenty.

Zarówno ascetyczny wygląd katarskich nauczycieli, jak i ich poznane przez langwedockich mieszkańców surowe praktyki stanowiły rzucający się w oczy kontrast wobec sobiepańskiej, pełnej buty i tupetu, przywiązanej w nadmiarze do spraw doczesnych hierarchii Kościoła katolickiego. Duchowym poszukiwaczom z Langwedocji legaci jawili się jako rozpieszczeni hipokryci, niezdolni przemówić do duszy człowieka. Czasy domagały się nie feudalnego przepychu, lecz prawdziwych materialnych wyrzeczeń.

Obie strony spojrzały na siebie wrogo, bez szacunku, z arogancją i zawiścią. Jak przed stoczeniem pojedynku na śmierć i życie.

Niebawem Piotr z Castelnau podniósł do góry rękę, chcąc uciszyć zebrany tłum ludzi. Pomruk przebiegł wśród słuchaczy. Obaj nauczyciele w czarnych szatach zwrócili wzrok na papieskiego przedstawiciela.

- Przybyliśmy tu, do zamku Servian - odezwał się z wyższością - aby przedłożyć wam zalety życia w prawdziwej świętej wierze i katolickim posłuszeństwie, ponieważ jesteście boskimi owieczkami...

Ktoś siedzący w oddali roześmiał się głośno.

- Chyba szatańskimi owieczkami! - wrzasnął.

- Zamilcz, człowiecze - przerwał mu bez osłonek legat - i wysłuchaj do końca mych słów!

- Nie zamierzam słuchać kłamstw! - odkrzyknął twardo mężczyzna. - Oddajcie głos dobrym chrześcijanom. Oni wiedzą, jak mówić i przekonać ludzi do prawdziwej wiary.

Wkoło rozległy się głosy afirmujące, jedynie kilka niezadowolonych.

- Zbliż się! - rozkazał apodyktycznie Piotr. Był uparty, nie rezygnował.

Gdy ów podszedł zgodnie z żądaniem, katolicki przedstawiciel papieża zadał pytanie:

- Czemuż mamy się wzajemnie przekrzykiwać? - Po czym zagaił pogardliwie: - A po cóż przybyliście na dzisiejszą rozmowę?

Krzykliwy kupiec odpowiedział szczerze:

- Chcemy posłuchać o prawdziwej wierze.

Piotr wybuchnął szyderczym śmiechem, który nie przyczynił mu poklasku wśród słuchaczy, z wyjątkiem jego katolickich zwolenników.

Raoul z Amaurym spojrzeli na niego ze stropionym wyrazem twarzy. Piotr był odważny, wszędzie i przed każdym, jedynie przed papieskim obliczem tracił odwagę i zapominał języka w gębie.

- Dobrze mówisz, dlatego przybyliśmy do was - odparł z niezachwianą pewnością, a następnie, wskazując ręką siebie i pozostałą dwójkę legatów, dodał: - Jeno od nas usłyszycie o prawdziwej wierze, w której waszym obowiązkiem jest trwać bez względu na wszystko i umrzeć w niej, abyście mogli dostąpić boskiego zbawienia. Chcieliście wszakże dysputy?

Ludzie poczęli przytakiwać głowami.

- To ją będziecie mieć! - dokończył.

Kupiec lekceważąco wzruszył ramionami i odszedł. Oparł się o ławę, na której siedziały kobiety z dziećmi. Za plecami niewiast stali ich mężowie.

Teraz podniósł się Bernard. Momentalnie zapadła cisza. Matki szturchały krnąbrne dzieciaki, chcąc, żeby i one pobierały wartościową naukę. Każdy chciał posłuchać osoby, która swym żywotem sławiła zarówno życie, jak i święte zasady wyznawane przez Jezusowych apostołów, która w ich oczach była żyjącym świętym.

- Któż stworzył świat? - rzucił znienacka pytanie Bernard de Simorre i twardo spojrzął w dumne, zawistne oczy trójki legatów.

Arnold również powstał, poprawił na sobie uroczyste, drogie szaty, strzepując z nich kurz langwedockich drożyn, i jednym tchem,

z bezkrytycznym przeświadczeniem o słuszności swojej wypowiedzi, odpowiedział:

- Bóg stworzył świat.

Bernard wygiął usta z odrazą.

- Ależ to nieprawda! - rzucił żarliwie w odpowiedzi i powłóczył wzrokiem po obecnych. - Nie dawajcie temu wiary! - Po czym dodał ostro: - To w ten sposób katolicy księży was omamiają. - Zerkając kątem oka na legatów, nie omieszkał dopowiedzieć: - Cały świat został stworzony przez obrzydliwego Złego, nie przez dobrego Boga. Nikt inny, jak jeno sam diabeł urzeczywistnił swój szaleńczy plan, nadając mu kształt.

- Jeżeli wasza wiedza jest tak dogłębna - rzekł lodowato Amaury - to zapewne z łatwością odpowiecie na proste pytanie: Czemuż miałyby to uczynić?

- To nie wiecie? - spytał cynicznie de Simorre. - Wszakże to proste. - Wpatrując się ze śmiałym lekceważeniem w harde oczy przełożonego zakonu cystersów, odczekał krótką chwilę, zacierając dłonie, i wyjaśnił. - Ponieważ zżarła go zazdrość, że dobry Bóg, który jest bogiem światła, panuje nad światem niebiańskim.

Zapadła cisza jak makiem zasiał, nawet chłopskie dzieci wtulone w objęcia matek nie odważyły się odzywać i jej zakłócać. Jeżeli mruknęły, natychmiast dostawały kuksańca w bok. Zwolennicy katolickich księży również przestali burczeć, a przyczyna tego stanu rzeczy leżała w groźnych spojrzeniach sympatyków czarno odzianych mnichów.

Piotr, najbardziej wybuchowy i niepokorny, którego nawet Arnold Amaury nie potrafił poskromić i zmusić do uległości, wstrzymał oddech, po czym raptownie poderwał się jak ugryziony przez pszczołę.

- Na święty Grób Pański! - Zgrzytnął zębami i zbladł straszliwie. - Nie widzicie, że to niezgodne z prawdą? - zwrócił się z szorstkim oburzeniem do licznie zebranych. - Że ci heretycy plują wam w twarz i wprowadzają was w błąd? Herezją i boską obrazą jest twierdzenie, że Bóg, Pan nasz jedyny, nie stworzył ziemi - wszakże jest to zapisane

w Księdze Rodzaju, o początkach świata i człowieka! - ryknął z zawiścią do dobrych kaznodziei. - Będziecie w piekle się smażyć, a szatan o krwistych oczach, ognistych włosach i ostrych skrzydłach dopilnuje, aby ogień, który będzie was spalał, nigdy nie zagasł!

Katarski mnich zatonął oczyma w porywczym legacie, a następnie odparł zuchwale:

- „Jego usta pełne złości i kłamstwa, nawet zapomniał, jak żyć mądrze i dobrze”¹⁷⁰. - Po czym argumentował: - Piekło, o którym tak soczyście rozprawiacie i którego nam szczerze życzycie, jest tutaj - zatoczył ręką szeroko, pokazując dziedziniec i świat cały poza nim. - Na ziemi, nie w niewiadomym, szatańskim życiu po śmierci, które kłamliwy i fałszywy Kościół wam wmawia.

Piotr z Castelnau usiadł. Z gniewnym wzrokiem wbitym w zniechęconych katarów stękał i prychał, jakby przyszedł tu za karę, zmuszony do uczestnictwa w spotkaniu, które najchętniej opuściłby po obrzuceniu heretyków przekleństwami. Po chwili De Simorre, zwracając się do ogółu, ogłosił wszem wobec:

- Ludzie, posłuchajcie tego, co zamierzam wam powiedzieć!

- „Lepszy jest biedak kroczący prostą drogą niż głupiec z kłamstwem na ustach”¹⁷¹ - mruknął Piotr do Raoula.

- Bóg jest Duchem, jest Bogiem światła. - Cichy, triumfujący uśmiech zagościł na twarzy Bernarda de Simorre. - Jest on miłosierną, nieskazitelną i niepowtarzalną, czystą miłością. Przemijalność, nieprawość, grzech, zło nie mogą zatem pochodzić od jego boskości, dlatego też to, co tworzy, może być wyłącznie nieskazitelne, niepospolite, a więc - co jest oczywiste - tak samo doskonałe jak źródło.

Oczy wszystkich słuchaczy zwrócone były na mówiącego Bernarda, który hipnotyzował ich swoim wrodzonym spokojem i elokwencją zrozumiałą nawet dla prostych, nieumiejących pisać i czytać ludzi, jakby mnich roztaczał wokół swojej osoby niewidzialny blask. Jego donośnie brzmiący, a jednocześnie łagodny głos i dostojny

wygląd, pomimo skromnego ubioru, absorbował i niezauważenie zmuszał przejętą publiczność do posłuchu.

Legaci udawali, że również słuchają, ale w rzeczywistości jedynie poprawiali odzienie i wyczekiwali chwili, kiedy to oni będą mogli zabrać głos, aby położyć kłam heretyckiemu oszustwu.

De Simorre uzasadniał:

- Gdyby Bóg, który jest duchem, miał w swym nieskończonym planie stworzyć istotę niezwykłą, czystą, a więc doskonałą, ale z określonych powodów nie byłby w stanie tego dokonać, wówczas nie mógłby być nieskazitelny i niezmienny. Jeśliby jednakże mógł dokonać dzieła stworzenia istoty doskonałej, ale nie chciał tego uczynić z powodów nam nieznanych, wówczas również nie mógłby być nazywany niezmiennym i niedościgłym, a skutkiem tego i doskonałym. W tej sytuacji nie moglibyśmy go nazywać wieczną, sprawiedliwą i czystą miłością. Zatem jaki wniosek sam się nasuwa?

Nikt nie odpowiedział. Legaci również milczeli, jakby milczenie w ich mniemaniu także w tej sytuacji było złotem.

- Wniosek jest jeden - podsumował z powagą katarski kaznodzieja. - Bóg nie stworzył ziemskiego świata, po którym my wszyscy chodzimy.

Legaci natychmiast przestali poprawiać szaty. Zaczęli się burzyć i wstawać, wymachując w powietrzu rękoma. Raoul z Amaurym, którzy umieli trzymać nerwy na wodzy, w tej sytuacji, kiedy z katarskich ust padały tak bezwstydnie nedorzeczości, które miały za zadanie jedynie zachwiać katolicką wiarę w mieszkańcach okolicznych wsi i miasteczek, nie potrafili siedzieć beczynnym i spokojnie. Szepty na temat tego, co zaszło przed chwilą, nie ustawały. Bernard, nie czekając, aż legatom minie wzburzenie, zagadnął:

- Któż stworzył człowieka na tym parszywym świecie, każdego jednego, który tu siedzi i nas słucha?

Ludzie poczęli szemrać pomiędzy sobą, ale teraz, kiedy na środku placu nadal stał wysoki mnich w czarnych szatach i z poruszającym

wewnętrznie spojrzeniem ogarniał zebrane osoby, nikt nie odważył się zabierać głosu.

- Bóg stworzył człowieka - odkrzyknął Amaury, odpowiadając na postawione pytanie. - Nie zadawaj pytań, na które wszyscy znają odpowiedź. Nawet małeńkie dzieci mogłyby ci jej udzielić.

Bernard pokręcił z niesmakiem głową.

- To łgarstwo! - odpowiedział ponownie tonem wyraźnym, który nie dopuszczał wątpliwości. Zwrócił głowę w stronę przełożonego cystersów i rzekł wprost do niego: - „Otwórz swoje serce na pouczenia, nakłoń swoje uszy, by słuchały słów mądrych”¹⁷². - Podniósł oczy ku niebu, a następnie skierował je na wszystkich przybyłych i stwierdził, podkreślając każde wypowiedziane przez siebie słowo: - Nie Bóg stworzył człowieka!

Piotr z Castelnuu przeciął jego słowa z napastliwą i władczą nadpobudliwością:

- Zamilcz, kłamco! To nikczemna potwarz! - Twarz miał srogą, wykrzywioną, a jego postawa z wolna zeszywniała. Stał naprzeciw mnicha i mierzył go wrogim spojrzeniem. Miał ochotę rozdeptać go na bezkształtną masę.

De Simorre, nie zwracając uwagi na cystersa, patrzył z dobrotliwą miną na zebranych i kontynuował gorącą wypowiedź:

- To szatańskie dzieło, w żadnym wypadku boskie - perswadował, cofając się o krok. - Materialna postać stworzeń to zło i nicość same w sobie, dlatego też każdy człowiek jest diabelskim tworem. - Omijając wzrokiem legatów, rozejrzał się uważnie, spoglądając wpierw na małe dzieci, młode dziewczęta, potem na utrudzonych mężczyzn i zmęczone staruszki. - Każdy! - powtórzył donośnie. Miał pewność, że wszyscy dobrze go usłyszeli.

- Nie, mnichu! - zaprzeczył ostro Piotr, a potem z zacięciem oznajmił głośno: - To kłamstwo, wymyślone po to, by szkalować świętą katolicką wiarę. - Skierował się ku słuchaczom i rzekł do nich: - „Wszelkie drzewo, które nie rodzi dobrego owocu, zostanie wycięte i wrzucone do ognia. Po ich owocach poznacie ich”¹⁷³. - A następnie,

zwracając się do kaznodziejów, rzekł szorstko: – Wasze dusze są usidłone przez demona i ułowił je on szybciej, aniżeli usidlił wasze ciała. Jest tylko jedna prawda, a zgodnie z nią człowiek jest boskim stworzeniem – jest umiłowanym dzieckiem jedyne Boga. Jedyne stworzyciela nieba i ziemi.

De Simorre i Gwilbert de Castres z nieukrywaną drwiną kręcili głowami i uśmiechali się do siebie. Bernard mruknął do siedzącego towarzysza:

– „Ten, co się za mędrca uważa, budzi mniej nadziei aniżeli głupiec”¹⁷⁴.

Legat dalej prowadził wywód, pragnąc zaprzeczać katarskiej zuchwałej kłamliwości, która jawnie uderzała w świętość katolickiej religii.

– Człowiek jako boskie dzieło jest istotą żywą, ma dwie nogi i jest nieopierzony.

Po tych słowach Bernard de Simorre naprędce odszedł w stronę wejścia do zamkowych pomieszczeń. W międzyczasie do zgromadzonych naokoło ludzi podeszli dwaj kaznodzieje, Gerard Pelatar i Robert Dumernoy, którzy wracali ze spotkania z mieszkańcami w Béziers. Chcieli jedynie przysiąc i odpocząć, a przy tym posłuchać swoich braci, którzy byli dla nich niewyczerpanym źródłem wiedzy i świętości, gdyż – jak twierdzili za Arystotelesem – jeżeli wzrok przyjmuje od otaczającego powietrza światło, tak dusza je bierze od nauki. Szukali wolnego miejsca, bo wszystkie w zasięgu ich wzroku były zajęte, albowiem ludzie nadal nadchodzili, ukończywszy pracę w warsztatach, kramach, na polach; inni wracali z tawern.

Mały chłopiec potrącił niedużym drągiem przechodzącego obok Roberta, a potem naraz zawołał:

– Uwaga!

Dumernoy zatrzymał się i zapytał spokojnie:

– Chcesz mnie raz jeszcze uderzyć?

Chłopiec zaczerwienił się i jął przeproszać Roberta.

Niebawem na dziedziniec powrócił de Simorre. W rękę trzymał oskubanego do gołej skóry koguta. Kiedy znalazł się na środku placu, wypuścił go z dłoni, a ów pognał naprzeciw siebie, wystraszony co niemiara. Wokół rozległy się śmiechy, a legaci ze sztywnym spojrzeniem i niedowierzaniem przyglądali się kaznodziei. Amaury zapytał twardo, z domieszką cynizmu:

- Czegóż to dowodzi?

De Simorre odparł niewzruszony:

- Oto jest człowiek, według papieskich legatów.

Tłum ogarnęła euforia. Przybyli na debatę ludzie nie przestawali się śmiać, a kobiety z rozbawieniem pokazywały swoim pociechom biegającego koguta, a zaraz potem wskazywały na namiestników papieskich, próbując wyjaśnić dzieciom powód ogólnej wesołości. Zgromadzeni bezceremonialnie, z lekceważeniem wytykali palcami trójkę zdezorientowanych popleczników papieża. Nawet zwolennicy katoliccy nie potrafili ukryć uśmieszków, dlatego też naprędce zakrywali usta. Katarski duchowny nieoczekiwanie zaskoczył pysznych przedstawicieli Innocentego, przez co ich duma ucierpiała.

- Jak mi Bóg miły... zabiłbym ich wszystkich - sapnął Piotr do ucha Raoulowi, obnażając mocne zęby.

- Ja też - odpowiedział naprędce Amaury, który zdołał usłyszeć niegodziwe słowa papieskiego legata. - Ale przyjmij mą radę i nie okazuj prawdziwych odczuć.

I nie namyślając się długo, sam naskoczył na innowierców:

- A kim wy jesteście, żeby wprowadzać mieszkańców Langwedocji w błąd? - zapytał tubalnie. Jego oczy, wyłaniające się spod ciężkich powiek, budziły niepokój. - Żerujecie na nich jak wilki na padlinie! „Pozbądźcie się głupoty, a żyć będziecie i chodzić drogami rozsądku¹⁷⁵, posłuchajcie moich napomnień, bądźcie roztropni i nie odrzucajcie ich”¹⁷⁶.

Na to podniósł się tym razem Gwilbert de Castres.

- Czynimy to wszakże, nie zauważyłeś jeszcze, legacie? - odrzekł miarowym tonem. - Jesteśmy roztropni i jedynie drogami rozsądku

podążamy. Skoro nie potraficie dostrzec, że życie Jezusa jest dla nas wzorem, że nasza wiara jest prawdziwa, gdyż wywodzi się z apostoelskiej świętości, a my sami nauczamy świętej prawdy, jak to czynili Jezusowi apostołowie, to powiem wam: jesteście ślepcami, którzy nigdy nie odzyskają wzroku.

Piotr zaburczał, chciał zbić jego argumenty, ale Amaury nie wyraził zgody na zabranie przezeń głosu. Jako ambitny duchowny sam pragnął dzierżyć prym i nadawać ton odbywającej się debacie, by móc potem chełpić się odniesionym zwycięstwem przed Innocentym i przyjmować z papieskich ust należne mu pochwały.

- My jesteśmy prorokami i to my sprawimy, że egipskie ciemności rozjaśnią się pośród wszystkich wątpiących i wskażemy drogę ku boskiej światłości - zawyrokował Arnold z przeświadczeniem o swoim boskim powołaniu. - „A naród, który żył w ciemnościach, ujrzał światłość wielką. Jasność ukazała się nad tymi, którzy mieszkali w mrocznej krainie śmierci”¹⁷⁷.

Gwilbert, nie bacząc na zacietrzewione miny papieskich legatów, począł wygłaszać tezę, która natychmiast zyskała powszechne uznanie. Nie było takiej siły na świecie, żeby zaintrygowana ludność oderwała wzrok od kolejnego odzianego na czarno katarskiego nauczyciela, który prowadził iście apostoelski żywot, a swoim nieskalanym postępowaniem nakłaniał do brania z niego przykładu. Robert z Gerardem nie chcieli przepuścić ani jednego słowa wypowiedzianego przez ich skromnych braci.

- „Strzeżcie się fałszywych proroków, tych, co przychodzą do was w owczej skórze, ale wewnątrz są to drapieżne wilki”¹⁷⁸ - udzielał ostrzeżenia de Castres. - Jezus jest dobrym pasterzem, możecie mu zaufać - przedkładał. - On uchroni was i wasze rodziny przed tymi wściekłymi wilkami. Jam jest jego wiernym, oddanym mu psem. Psem pasterskim, który dniem i nocą pilnuje, by owce nie zabłądziły i nie wypadły z właściwej drogi. Niektórzy z was już z niej zboczyli, czyż nie? - spytał nagle.

Ludzie bez zastanowienia poczynali kiwać głowami, niektórzy z nich podnosili się z nadzieją, że kaznodzieja będzie mógł im się dokładnie przyjrzeć, jakby już zamierzali powrócić na właściwą drogę, zdając sobie natychmiast sprawę z własnego zagubienia. Zwolennicy katolickich księży nie mieli odczucia, aby zbłądzili.

Gerard Pelatar nachylił się do Roberta i powiedział szeptem:

- „Zaiste mądrość droższa jest od pereł, nie są jej równe najkosztowniejsze kamienie”¹⁷⁹.

- Bez wątpliwości - odpowiedział Dumernoy. - „Posiąść mądrość - to więcej aniżeli posiadać złoto”¹⁸⁰.

Piotr, miotając się pomiędzy porywem wściekłości a chęcią wymierzenia wicherzycielskim mnichom sprawiedliwości, nerwowo miętosił tkaniny szaty. Raoul, za zgodą przełożonego cystersów, wystąpił naprzód, a Amaury powrócił na wcześniejsze miejsce.

- W głowie mi się kręci od tych heretyckich potwarzy - sapnął Piotr do Arnolda.

- Zatem przytrzymaj się ławy - odparł obojętnie Amaury, gładząc krzaczaste brwi.

Piotr z Castelnau wydał z siebie bełkotliwy odgłos jak ktoś, kto chce przemówić.

- Zachowaj spokój - przestrzegł przełożony cystersów.

- Doprawdy twój spokój jest iście zdumiewający - przyznał Piotr, wciągając nozdrzami ciepłe powietrze i tocząc wokół małymi, święskimi oczyma.

- Zatem niech będzie dla ciebie inspiracją.

- Bóg w tym wypadku wymagałby ode mnie zbyt wiele - wyznał Piotr i ciężko przełknął ślinę.

- Nie wątp i pokładaj w nim, bracie, ufność, jak i ja to czynię.

Dźwięk upadającego nieopodal glinianego naczynia odwrócił nagle uwagę słuchaczy od mnicha z Fontfroide. To mąż jednej z obecnych niewiast upuścił niebaczenie trzymany garnek. Dzięki temu zakonnik miał czas na przypomnienie sobie kilku ważnych zdań, które zamierzał teraz przytoczyć.

- „Mój język mówi tylko prawdę - przemówił Raoul. - Odrazą dla ust moich jest wszelkie fałszerstwo, samą prawdą są wszystkie moje słowa, w żadnym z nich nie ma zakłamania ani fałszu”¹⁸¹.

- Czyż nie są zakłamaniem grzeszne wyprawy do Ziemi Świętej? - zapytał znienacka Gwilbert de Castres. - Kazaliście wymierzać miecze przeciw innym nieszczęśnikom stworzonym przez Złego. Jedni i drudzy walczyli naprzeciw siebie - oświadczył i zaraz dodał: - Bezprawie, wszelka przemoc to niewątpliwie zło. Ono nie zasługuje na szacunek.

- Odszczepieńcu od świętej wiary, zważ na to, co mówisz! - Raoul wzdrygnął się. - To słuszna walka z niewiernymi o wyzwolenie Ziemi Świętej. *Negotium pacis et fidei*¹⁸²! Należy się jej poszanowanie, a podeptana została niegodnymi muzułmańskimi nogami.

„Was też należałoby wyrznać jak muzułmanów” - pomyślał z wrogością Piotr, zaciskając usta.

- A czyż oszustwem nie jest całowanie krzyża? - dopytywał Gwilbert, po którego twarzy przemknął cień złośliwej ironii. - Jak można nie odczuwać odrazy, kiedy pochyla się głowę przed okrutnym narzędziem tortur, służącym do zadawania innym cierpienia? Czyż nie jest głupotą oddawanie czci kawałkom drewna i skrawkom szmat, skoro to wszystko należy do nieczystej materii i zostało stworzone przez nikczemnego Złego?

- To boskie symbole i święte relikwie! - wykrzyknął znienacka zakonnik z Fontfroide. - Bluźnicie! Chrystus umarł na krzyżu... a wy na niego plujecie! Bezbożnicy!

- Zatem słusznie opluwamy wasz krzyż, ale nie Chrystusa, gdyż to narzędzie tortur, narzędzie samego Lucyfera! - powiedział otwarcie de Castres, spoglądając na wpatrzonych w niego wściekle legatów. - Wasze pozbawione znaczenia symbole i oszukańcze relikwie nie mają niczego wspólnego z boskością, ponieważ nie posiadają żadnego nimbu boskości, albowiem to kłamliwe postępowanie na modłę i chwałę faryzeuszy.

Piotr, którego wypełniała dzika pycha, nie potrafił usiedzieć w spokoju. Zerwał się i stanął obok zakonnego brata. Szczypiący pot

wystąpił mu na czoło, a ręce drżały niczym złodziejowi w pobliżu kiesy wypchanej złotem. Zanim Raoul zdołał otworzyć usta, a Amaury go powstrzymać, Piotr z miejsca wypalił:

- „Nie dawajcie psom tego, co święte, nie rzucajcie pereł przed wieprze, mogą je bowiem podeptać, a potem rzuca się na was, aby i was rozszarpać”¹⁸³.

Wokół rozległo się gniewne pomrukiwanie i sarkanie. Podany przez papieskiego legata fragment z Nowego Testamentu oburzył zgromadzonych, z wyjątkiem stronników wypowiadającego te słowa. Katarskim sympatykom głęboko nie spodobała się arogancka wypowiedź Piotra z Castelnau, który pomimo wielu prób i ćwiczeń nie nabył dotąd cennej umiejętności prowadzenia wstrzeźliwych, wyważonych dysput. Język świerzbiał go na każdym kroku, a szczególnie po każdej wypowiedzi kacerskiego mnicha. To zdecydowanie nie było miejsce dla nieumiejącego pohamować emocji legata.

Zachodzące słońce skryło się nieśmiało za zalesionymi grzbietami wzgórz, które lśniły jeszcze ognistożółtym pobłyskiem, a popielaty półmrok niczym majestatyczny marmur pokrywał rozgrzaną ziemię domagającą się ochłody. Z oddali niosły się przytłumione głosy, jakby zrodzone z otchłani wieczornego cienia. Ptaki ciszej śpiewały i nie ćwierkały tak zalotnie, jak to czyniły o świcie. W niedługim czasie zamkowa służba rozpałała pochodnie. Chodziła jak cienie po dziedzińcu, wtykając żagwie we wszystkie możliwe zagłębienia, aby ludzie wzajemnie mogli widzieć swoje twarze.

Bernard przybliżył się do Gwilberta. Obu ciężko było ukrywać obrzydzenie i brak szacunku do papieskich legatów.

- „Nie odpowiadaj głupiemu według jego głupoty, żebyś się nie stał do niego podobny”¹⁸⁴.

- Miejmy nadzieję - odpowiedział de Castres - że pewnego dnia Chrystus natchnie ich mądrością i wkroczą na drogę prawdy.

Bernard z przekąsem zipnął pod nosem.

- Nadzieja to marzenia senne na jawie, zatem nie przywiążuj do niej tak dużej wagi, bo rozczarowanie będzie ci doskwierać bardziej niżli bolący ząb.

Gwilbert rzucił urągliwym spojrzeniem na Piotra i stłumionym głosem, z właściwym sobie wyrazem dojrzałej rozwagi i doświadczenia sędziwego wieku, powiedział do przyjaciela:

- „Choćbyś głupiego zmiażdżył tłuczkiem w mózdzierzu razem z ziarnami, nie oddzielisz odeń jego głupoty”¹⁸⁵.

Kiedy skończył, Bernard de Simorre odezwał się głośno, z typową dla siebie determinacją:

- „Człowiek porywczy ciągle wznieca kłótnie, opanowany zaś łagodzi spory”¹⁸⁶, dlatego też „kto mówi dużo, nie ustrzeże się grzechu, mądry zaś trzyma zawsze swój język na wodzy”¹⁸⁷.

Raoul, obróciwszy twarz w stronę Piotra, poprosił, by ów zajął miejsce przy Amaurym i pozwolił mu na rzeczowe kontynuowanie debaty. Narwany legat ścisnął w złości dłonie, ale - o dziwo - uległ i przysiadł obok przełożonego cystersów. Niemniej jednak wzburzenie ani na moment nie ustępowało z jego zawistnej twarzy.

- „Wielkie są bowiem i niezbadane wyroki Twoje i dlatego pobłądziły nieoświecone dusze”¹⁸⁸. - Raoul prowadził dalej dyskurs. - Przysięg nie uznajecie!

- A czy powinniśmy? - zadrwił de Simorre, spoglądając ze znużeniem na legata.

Po twarzach zgromadzonych przebiegł niemy uśmiezek jak poranny wiaterek, który niewinnie muska gałązki na drzewach, by potem zniknąć w leśnym gąszczu i rozwiać się niezauważenie niczym chmura dymu.

- Bez wątpienia pytanie jest niedorzeczne - odrzekł zaskoczony Raoul.

- Pozwólcie, że wam przypomnę, o czym zapewne zdążyliście zapomnieć, gdyż rzucacie słowa na wiatr - odparł z godnością Bernard. - A ja wam mówię: „Nie przysięgajcie; ani na niebo, bo ono jest tronem Boga; ani na ziemię, bo ona jest podnóżkiem stóp Jego;

ani na Jerozolimę, bo jest miastem wielkiego Króla. Nie przysięgaj na głowę, bo nie możesz sprawić, aby choć jeden włos na niej stał się biały lub czarny. Mowa wasza niech będzie: tak - tak, nie - nie. Wszystko, co powie się nadto - pochodzi od złego”¹⁸⁹.

Tym razem z wyjaśnieniami pośpieszył Amaury, którego gesty zdradzały chęć protestu:

- Bez przysięg świat cały ległby rychło w gruzach - rzekł stanowczo z twarzą posiniałą jak metaliczny poblask dobrze wypolerowanego miecza. - Przyrzeczenia tworzą potrzebne więzy, które łączą ludzi przysięgą wierności, a tym samym całe społeczeństwa i królestwa, uświęcają i podtrzymują bowiem odwieczny boski ład i porządek prawny, bez których świat runąłby w przepaść bezprawia. Bez koniecznych przysięg zapanowałby chaos i bezrząd. Nie możemy na to zezwolić. - Po czym zwrócił ciemne oczy na innowierców, podniósł rękę i uroczyście zapewnił: - Nie pozwolimy wam stworzyć drugiej Sodomy i Gomory! - Zacisnął dłoń w pięść. - Nie pozwolę wam pogardzać prawem boskim i ludzkim!

De Simorre wstrząsnął niedbale ręką, jakby cała wypowiedź Amaury'ego zasługiwała jedynie na wyrzucenie jej do świńskiej obory, gdzie myszy i szczury chowają się w najohydniejszych zakamarkach.

- Buntujecie się i grzesznie podburzacie ludność Langwedocji przeciwko sakramentalnej religii - wyłuszczał Arnold.

- Zgadza się - udzielił odpowiedzi Bernard, zauważając ukontentowane miny legatów, którzy nie oczekiwali nagłej aprobaty słusznych ich zdaniem wypowiedzi. Jednakże po chwili musieli pożałować przedwczesnego entuzjazmu, albowiem katarski nauczyciel dokończył wypowiedź: - Gdyż naszym celem jest należyte przywrócenie bardziej duchowej, prostszej i indywidualnej drogi do Chrystusa.

Porozumiał się wzrokiem z Gwilbertem, a następnie zwrócił się do ogółu.

- My tworzymy Kościół Jezusa Chrystusa - mówiąc to, przyglądał się przyjacielsko niespuszczającym z niego wzroku słuchaczom. -

Naszym powołaniem jest przekazywanie słów Chrystusa i Chrztu Duchowego, gdyż, jak wszyscy wiedzą, Kościół katolicki błądzi i nieskutecznie szuka drogi wyjścia, a Kościół Jezusa Chrystusa niezmiennie kontynuuje tradycję apostołską i opiera swoją religię na Jego Objawieniu. Jezus jest dobry, kocha ludzi, w przeciwieństwie – tu zmienił wyraz twarzy i sztywno spojrział na legatów – do waszego okrutnego stwórcy ze Starego Testamentu, która to księga spisuje jedynie bezlitosne, szaleńcze dokonania Demiurga. Podobnie i Prawo Mojżeszowe to okrutne, jakże głęboko dotknięte szaleństwem dzieło zbrodniczego władcy świata, który pochwała mordy. – Głos Bernarda stał się nieprzyjemny i ostry. – „Małe dzieci będą zabijane na ich własnych oczach, w ich domach wszystko zostanie złupione, a wszystkie kobiety będą pogwałcone”¹⁹⁰.

Zgromadzeni z rosnącą wrogością patrzyli na papieskich legatów, a z niekłamanym podziwem na odważnych kaznodziejów w czarnych szatach. Piotra zalewała wściekła żółć, a na końcu języka miał najgorsze przekleństwa. Amaury wzdychał i przewracał oczyma, ale tym razem nie poruszył się. Złożone ręce utrzymał na kolanach. Widząc kątem oka wiercącego się Piotra, obrócił ku niemu głowę.

– Poskrom wreszcie nerwy! – mruknął, zauważając jego gotowość do rzucenia się z pięściami na katarskich mnichów. – Oni cieszą się, widząc twoje rozsierdzenie. To my musimy zwyciężyć!

„A może jeno ty?” – pomyślał z zawiścią Piotr z Castelnau, pocierając spiczasty nos.

Rauol czekał chwili, kiedy kaznodzieja zamknie usta, aby mu odparować. Jednakże Bernard nie zamierzał zbyt wcześnie dać pola do popisu mnichowi z Fontfroide.

– „Wszyscy młodzi chłopcy zostaną roztrzaskani, zmiażdżone będą także ich dziewczęta. Nie ulitują się nawet nad noworodkami, nie znajdą w ich oczach miłosierdzia także niemowlęta”¹⁹¹.

– Milcz, wichrzycielu! – wrzasnął Piotr z Castelnau, zapominając o upomnieniu Amaury’ego. – Niech cię piekło pochłonie!

Arnold momentalnie złapał się za głowę i zerknął na zatroskanego Raoula. Przecierał palcami czoło, jakby usiłował wygładzić pokrywające je w nadmiernej ilości zmarszczki.

- Musicie w końcu zrozumieć, że ziemia jest piekłem. Lecz czy wy jesteście zdolni to pojąć? - spytał z ironią de Simorre, nie oczekując odpowiedzi. Dokładał starań, aby przemówić legatom do rozumu. - Wy w nim tkwicie.

Piotr zacisnął pięści i zęby. Gdyby spojrzenie jego rozbłyśniętymi wściekłością oczu mogło zabić, obaj katarzy leżeliby martwi na środku zamkowego dziedzińca.

- Władza kościelna i świecka to oszustwo, hańba i niegodziwość, a to dowodzi, że nie ma na ziemi ani Kościoła, ani żadnego królestwa. - Bernard podniósł głos równocześnie ze swoimi rękoma. - Nie bójcie się w to wierzyć! - eksplikował. - Twierdzimy i, jak się okazuje, mamy rację... - odchrząknął i dowodził dalej - że szatański Kościół to świątynia wilków, synagoga diabła, a jego niezmierzone bogactwa, w których biskupi i opaci jako hipokryci i oślinieni uwodziciele pławią się jak bezwstydną ladacznica w łajnie rozpusty i doznają przyjemności kosztem wiernych, to piekielne łgarstwo. W żadnym wypadku nie powinniście mu hołdować! - bił na trwogę.

Amaury kategorycznie sprzeciwił się zabrani głosu przez Piotra.

- Ich Kościół to Kościół diabła. Jego doktryny i sakramenty to dzieło demonów, nic innego - prawil bez litości de Simorre, trzymając wyciągniętą rękę w kierunku papieskich legatów i wskazując na nich palcem. - Jak plugawa wszeteczna Apokalipsy! Ordynarna matka cudzołóstwa i wstrętu pijana krwią świętych i męczenników! Uciekajcie przed nimi i zwróćcie się ku prawdziwej wierze, której my wszakże nauczamy!

- Czyż nie widać, że ci heretycy - Arnold zaznaczył to z naciskiem, apelując do obecnych - to burzyciele porządku publicznego? Czy wy, ludzie, tego nie widzicie? Dążą do przestępstw na szkodę wszystkich chrześcijan. Znieważają - zaczął wyliczać na palcach - przysięgi, krzyż, święte relikwie, święcenia kapłańskie, komunię świętą,

bierzmowanie, małżeństwo. – Po czym teraz on nieprzystojnie wskazał ręką Bernarda oraz Gwilberta i chcąc odsłonić prawdę, a także obnażyć kacerskie wierołomstwo, wykrzyknął ku zgromadzonym: – Jesteście niebezpieczni i niemoralni, albowiem zagrażacie społeczeństwu! Jesteśmy zobowiązani, aby ratować przed wami ludzkość! Ludzie, nie słuchajcie ich! Nie ustępujcie! – perorował. – Nie dajcie się porwać bałamutnym słowom, które jedynie oddalać was będą od jedynej wiary! Ich zamierzonym celem, któremu musimy się zdecydowanie przeciwstawić, jest rozbitcie jedności Kościoła.

Burczenie i niemiły jazgot wkradły się w szeregi zebranych.

Piotr kipiącym zaciekleścią wzrokiem śledził każdy ruch katarskich nauczycieli. Gwilbert de Castres rozłożył szeroko ręce i odpowiedział:

– „Ziemie zamieszkują ludzie czystego serca, ostaną się na niej sami sprawiedliwi, a bezbożni znikną z tej ziemi, przewrotni zostaną z niej wykorzenieni”¹⁹². – I obejmując wzrokiem papieskich przedstawicieli, rzucił im bez ogródek w twarz: – „A wy na próżno rozwieszacie sieci na oczach wszelkiego ptactwa”¹⁹³.

Żona lokalnego feudała, siedząca obok Roberta, nieśmiało zerknęła na czarno odzianego mnicha i dotknąwszy lekko jego rękawa, spytała cicho:

– Dobry chrześcijaninie, cóż on ma na myśli?

Kaznodzieja objaśnił najlepiej, jak umiał:

– Kiedy ptak widzi, że zastawiają na niego sieci, potrafi je sprytnie ominąć. Zatem, kobieto, nie mają szans powodzenia żadne knowania chciwców i faryzeuszów, którzy usiłują na oczach Boga zastawiać zdradzieckie sieci na sprawiedliwych i prawych.

Niewiasta pojęła myśl, ale dla większej pewności wskazała palcem Piotra z Castelnau, Amaury’ego i Raoula.

– Oni są chciwcami i faryzeuszami?

Dumernoy potwierdził i nie czekając na dalsze pytania, rzekł bez zwłoki:

- Są wilkami w jagnięcej skórze. Strzeż się, kobieto, tych obłudników. Uciekaj przed nimi, gotowi są pożreć ciebie, twoją rodzinę i wszystkich tu obecnych.

Obrócił ku niej głowę i w twarzy niewiasty, kiedy patrzyła spod rzesz na pełne przepychu ubrania papieskich namiestników, wyczytał nieprzychylność i wzgardę. Napomknął:

- „Szczęśliwy, kto nie słucha bezbożnych. Nie chodzi drogami grzeszników i nie zadaje się z szydercami”¹⁹⁴.

W tym czasie Piotr z Castelnau, nie mogąc zdzierżyć heretyckiej bezczelności, wybuchnął niemożliwym do opanowania gniewem, który wyraźnie unaoczniał jego trudny i zarazem gwałtowny charakter.

- Niechaj Bóg przeklnie was i dzień, kiedym was ujrzał! - grzmiał.
- Obyście zgnili i cuchnęli spod ziemi na waszym grobie, który rozkaże zrównać z ziemią!

Bernard de Simorre nie pozostał mu dłużny.

- Macie jeden język i dwoje uszu, abyście słuchali dwa razy więcej, aniżeli mówili, bo to, co mówicie, jest odrażające i obelżywe.

Amaury z opryskliwą ironią zapytał:

- Jakże zatem postąpicie wobec tej zniewagi?

- Zachowamy się tak jak względem posła, którego odsyła się bez odpowiedzi - wyjaśnił z pogardą de Simorre. - „Pamiętajcie, jak uciekający wróbel i odlatująca jaskółka, tak przekleństwo bez racji: uleci, nikogo nie dotknie”¹⁹⁵.

*

Spotkanie zakończyło się przy blasku księżyca. Po opuszczeniu Servian, na rozstaju dróg czwórka mnichów, duchowych nauczycieli żyjących w iście apostolskim ubóstwie, pożegnała się i każda dwójka poszła w swoją stronę. Robert z Gerardem wracali do Béziers, w którym pobyt zaoferowała im para kupiecka, będąca podobnie jak większa część jego mieszkańców zwykłymi wierzącymi,

zaś Gwilbert z Bernardem po przekroczeniu rzeki Orb wyruszyli na zachód, w stronę Prouilles i Fanjeaux.

W niewielkim Fanjeaux szykowano się do wyjątkowej uroczystości, podczas której Gwilbert de Castres miał udzielić sakramentu chrztu duchowego czterem możliwym niewiastom, które od ponad roku roku przygotowywały się pilnie do jego przyjęcia i dzięki naukom czuły się gotowe do życia, jakie wiedli apostołscy nauczyciele. Sakrament ten, którego przyjęcia z pokorą oczekiwały szlachetnie urodzone kobiety, był jedynym zwiastunem doskonałości, a jego ciągłość od czasów apostołskich stanowiła niepostrzegalną świątynią wiekiowości. Powodował zbliżenie do królestwa dobrego Boga oraz pogłębiał dystans w stosunku do świata widzialnego. Duch Święty mógł zostać przekazany jedynie nieskalanymi grzechem rękoma, przez osobę szczącą się nieskazitelnym, doskonałym charakterem. Gwilbert de Castres niezaprzeczenie spełniał te wymogi. Consolamentum oprócz niewątpliwej łaski zbawienia i odpuszczenia wszystkich grzechów umożliwiało nowo wyświęconym kobietom lub mężczyznom przekazywanie wiernym Ducha Świętego. Miało charakter oczyszczający, bowiem Chrystus nie przyszedł zmyć brudu ciała, lecz oczyścić brud Bożych dusz, które zostały zbrukane przez zetknięcie ze złymi duchami.

Katarski nauczyciel wszedł do olbrzymiej sali wypełnionej po brzegi palącymi się świecami. Liczba ich była niezliczona, a płomienie miały za zadanie symbolizować zstąpienie Ducha Świętego na Jezusowych apostołów.

Esclarmonde de Foix, Aude de Fanjeaux, Fays de Durfort i Rajmunda de Saint Germain¹⁹⁶, wywodzące się ze znamienitych rodów Langwedocji, były pełne wzniosłych ideałów i pokory, przygotowane do całkowitej przemiany dotychczasowego życia. Ów święty rytuał i jego doniosłość wnosily w życie przyjmujących sakrament najważniejsze zobowiązania moralne i pozostawiały trwałą ślad w ich kobiecej psychice, która nie była tak delikatną, jak powszechnie sądzono.

W tylnej części imponującej komnaty znajdowała się bliska rodzina przyjmujących święty sakrament kobiet, która przybyła na dzisiejszą uroczystość, aby swą obecnością potwierdzić aprobatę dla wybranej przez nie drogi i uczestniczyć w wielkim święcie dostąpienia zbawienia w życiu doczesnym. Hrabiowie de Foix i de Saissac przestępowali z nogi na nogę, ale wiernie trwali przy szlachetnych damach ze swoich rodów.

- Jaka szkoda, że nie ma z nami Aureliena - szepnęła Rajmund Roger de Foix do hrabiego Michaela de Saint Germain. - Zawsze lubił Esclarmonde... Z pewnością uczestniczyłyby w uroczystości razem z nami.

Bertrand de Saissac ze smutkiem pokiwał głową na wspomnienie zmarłego przyjaciela. Brat Rajmundy wzruszył ramionami. Cóż mógł powiedzieć? Śmierć jednak nie wybiera, nie można prowadzić z nią dysput ani targów.

- De Peyres nie był pierwszej młodości - odpowiedział tonem, w którym ciężko było dostrzec smutek spowodowany nagłą śmiercią Aureliena. - Swoje lata już miał.

Cztery możne hrabianki zaintonowały modlitwę. Esclarmonde przymknęła powieki, aż długie rzęsy położyły się na policzkach niczym rozciągnięty do granic możliwości wachlarz. Najpierw odmówiły przeciwioną wielokrotnie formułkę:

„Podajemy Ci tę świętą modlitwę, abys miał ją od nas, Boga i Kościoła, i abys miał moc jej odmawiania we wszystkich chwilach twojego życia, w dzień i w nocy, sam i w towarzystwie, i abys nigdy nie zjadł ani nie wypił niczego, nie odmówiwszy jej pierwszej. Jeśli tego nie uczynisz, będziesz musiał odprawić pokutę”.

- Widzieliście jego syna? - spytał z nagłą ciekawością Bertrand. Mężczyźni zaprzeczyli ruchem głowy. - Wiem od Trencavela, że chłopak duży jak na swoje cztery lata i urodziwy, całkiem podobny do Bertille. Oby zadziorny i waleczny był jak nasz przyjaciel...

- Najważniejsze, by przejął jak najmniej złych cech od matki - dokończył poważnie de Saissac z kwaśnym uśmiechem na mięsistych

ustach.

Hrabia de Foix przeniósł wzrok z modlącej się siostry na Bertranda, po czym zmarszczył czoło i rozpytał szlachciców:

- Czyż nie powinniśmy go mieć w naszej opiece? By z chłopca wyrósł dzielny w boju hrabia?

- Szybciej ci oczy wydrapie wściekła czarownica, aniżeli zezwoli, byśmy otoczyli go opieką - wtrącił głucho brat Rajmundy. - Pójdzie chłopak na zmarnowanie jak nic.

De Saissac, uniósłszy brwi do góry, odetchnął głęboko. Posępna myśl przebiegła mu przez głowę.

- A może i lepiej się stało - odezwał się ponuro - że Bóg zabrał Aureliena do siebie.

- Bertrand, co ty wygadujesz?! - obruszył się de Foix. - Zapomniałeś już, jakim smutkiem napełniła nas jego niespodziewana śmierć?

- Uciszcie się! - syknęła matka Fays de Durfort. - Potem będziecie rozprawiać!

Hrabiowie szturchnęli się porozumiewawczo ramionami i chcąc okazać szacunek, zaprzestali dyskusji.

Gwilbert de Castres z delikatnym uśmiechem na szlacheckiej twarzy złączył dłonie. Stał na wprost czterech niewiast, które z pozbawionym wątpliwości czystym wejrzeniem podniosły na niego rozmodlone twarze niczym anielskie oblicza pełne miłości i poświęcenia.

- Niechaj nikt spośród was nie uważa - oznajmił nobliwie - że ten chrzest przywieść ma was do pogardzenia innym chrztem lub czymkolwiek dobrym lub chrześcijańskim wypowiedzianym lub uczynionym przez was poprzednio.

Zebrani na uroczystości zamienili się w słuch, kiedy przemawiał żyjący święty zajmujący pozycję równą apostołom Jezusa. On prawił dalej, patrząc na szczerę, łaknącą przyjęcia chrztu niewiasty, którym na pełnym wdzięku licu nie zadrgał żaden mięsień.

- Dziś odnajdziecie Ducha Świętego, zatem upraszam was, postępujcie według jego wskazań, a osiągniecie zbawienie i połączycie się z Bogiem.

De Castres położył ręce oraz księgę Nowego Testamentu na głowie pierwszej z langwedockich dam, Esclarmonde de Foix, tym samym rozpoczynając pokutę dla upadłej duszy za wszystkie grzechy. Rajmund Roger zauważył szczęście i niespotykany dotąd spokój, jaki zagościł na obliczu jego siostry.

„Dopięła celu... Przekonała mnie i wymusiła zgodę na zostanie dobrą chrześcijanką” - uznał z nieukrywanym podziwem o Esclarmonde.

Z łagodnością patrzył na siostrę, jednakże myślami był daleko stąd. Marzył o Etiennette i jej aksamitnym ciele. Oczyma wyobraźni widział jej płonące blaskiem i pożądaniem oczy. Odetchnął ciężko. Filipa, która pod sercem nosiła potomka de Foix, z troską dotknęła ramienia męża.

- Duszno ci? - spytała cichutko.

Hrabia nie słuchał jej uważnie, dlatego odburknął coś niewyraźnie.

- Esclarmonde - przemówił uroczyście Gwilbert - pragniesz otrzymać chrzest duchowy, przez który Duch Święty przychodzi do Kościoła Bożego wraz ze świętą Modlitwą Pańską oraz nałożeniem rąk przez dobrych ludzi?

Można dama z rodu de Foix skinęła głową, po czym de Castres wygłosił kazanie na temat tradycji tego chrztu przekazywanej od Jezusa Chrystusa i apostołów aż do katarów.

- O tym chrzcie Pan nasz Jezus Chrystus mówi w Ewangelii według św. Mateusza. - Wyrzekł doniosłym tonem: - „Ja chrzczę cię wodą, abys się nawróciła, lecz Ten, który przyjdzie po mnie, jest mocniejszy ode mnie. Ja nie jestem nawet godzien nosić Jego sandałów. On to będzie cię chrzczył w Duchu Świętym i w ogniu”¹⁹⁷.

Katarski mnich wygłosił drugie kazanie mówiące o zasadach etycznych, których kandydat będzie musiał przestrzegać, zostając

doskonałym, oraz o dyscyplinie pokarmowej, którą zobowiązywał się tym samym zachować. W kolejnej części powołał się na fragmenty z Ewangelii i Dziejów Apostolskich. Płomienie setek świec oświetlały zasłuchane twarze mężczyzn i kobiet przybyłych na ceremonię. De Castres z powagą przytaczał kolejne elementy rytuału chrztu duchowego.

- Od czasów Apostołów aż do chwili obecnej Kościół Boży zachował ten Chrzest Święty, za pomocą którego otrzymywany jest Duch Święty. - Głos dobrego chrześcijanina był cierpliwy, łagodny, uspokajający. - On jest przekazywany przez jedno pokolenie dobrych ludzi drugiemu, i tak będzie kontynuowany aż do końca świata.

Twarz Esclarmonde była natchniona, a dostojna szlachetność odbijała się od jej twarzy podobnie jak promienie słoneczne odbijają się od niczym niezmaczonej gładkiej tafli wody. Kobieta czuła się spełniona jak matka, która powiła zdrowe dziecko, a teraz przykładają go jej do pełnej mleka piersi.

- I jeśli chcesz sobie otrzymać tę siłę i moc, musisz zachować przykazania Chrystusa i Nowego Testamentu, na ile możesz. I wiedz, że Jego przykazanie zabrania człowiekowi kłamstwa i zabójstwa, popełniania cudzołóstwa, składania przysięgi; należy wybaczać tym, co go krzywdzą... - Gwilbert wymieniał istotne nakazy i patrzył na promieniejące oblicze Esclarmonde. - „Nie buntujcie się przeciwko temu, który wam źle czyni; przeciwnie, jeśli ktoś uderzy cię w prawy policzek, nadstaw mu jeszcze i drugi”¹⁹⁸. Nie sądźcie i nie potępiajcie... - Wziął głęboki oddech i prawił niestrudzenie. - Wszystkie te przykazania oraz wiele innych ustanowionych przez naszego Pana i jego Kościół musisz zachować. - Zmarszczył nieznacznie brwi i dowodził żywo: - Musisz także nienawidzić tego świata i wszystkich jego dzieł i wszystkiego w nim, ponieważ, jak święty Jan pisze w swym Pierwszym Liście Powszechnym: „Nie miłujcie świata ani tego, co jest na świecie, bo kto miłuje świat, w tym nie ma miłości Ojca. Wszystko bowiem, co jest w świecie - pokiwał głową, a oczy zapaliły mu się ogniem - pożądliwość ciała, pożądliwość oczu,

wynoszenie się z powodu rzeczy doczesnych, pochodzi nie od Ojca, lecz od tego świata. Tymczasem świat przemija razem ze swymi pożądaniami; ten zaś, kto wypełnia wolę Bożą, ostoi się na wieczność”¹⁹⁹. – Westchnął z dyskretnym uśmiechem i dokończył z pokorą: – I jeśli wytrwale czynić tak będziesz aż do końca, wtedy, mamy nadzieję, twa dusza osiągnie życie wieczne.

Wybitny kaznodzieja objął spojrzeniem olbrzymią komnatę, odetchnął głęboko, a z jego warg dobyły się słowa:

– Święty Ojczy, przyjmij swego sługę w Twojej sprawiedliwości i udziel mu swojej łaski i swojego Ducha Świętego.

Następnie wyrecytował Prolog Ewangelii Świętego Jana.

Później przysła kolej na pozostałe niewiasty. Chrzest zakończył pocałunek pokoju. Wszystkie stały się świątynią Ducha Świętego i zostały zobowiązane do życia w ascezie oraz cnoty. Od tej pory miały prowadzić życie godne Jezusowych apostołów. Mogły nauczać zwykłych wierzących oraz udzielać im consolamentum tuż przed śmiercią, jeżeli wcześniej nie mieli oni wytrwałości ani wystarczającej siły woli, aby prowadzić życie ascetyczne, pełne wyrzeczeń i niekończących się modlitw, w którym króluje jeno umiar, pokora i bezbrzeżna stanowczość w przestrzeganiu jakże wymagających zasad. Mimo to dzięki uzyskanemu przed śmiercią z rąk dobrych chrześcijanek rozgrzeszeniu mogli oni dostąpić żywota wiecznego.

Błogie ukontentowanie nie schodziło z niewieścich, promieniejących dumą i radością twarzy.

– Spójrz, jakże szczęśliwa jest twoja siostra – szepnęła Filipa de Foix do męża, jednocześnie przesyłając tej, o której wspominała, serdeczny uśmiech. – Dobrze, że nie zabroniłeś jej tego wyboru. Dzięki temu jej życie będzie w pełni bogate i takie, o jakim zawsze marzyła.

Rajmund Roger z roztargnieniem pokiwał głową. Na policzki hrabiny de Foix wystąpił rumieniec, kiedy zapytała z obawą, nieśmiało:

- A może i mnie zezwolisz na tenże dobry krok, kiedy wyjdę z połogu?

De Foix nie bez zdziwienia zerknął z ukosa na brzemienną żonę. Chmurnie wykrzywił twarz. Jego szorstki głos zatrwożył Filipę.

- Najpierw, moja żono, wypełnij swoje obowiązki - odparł sucho - jakie masz względem mojego rodu, a potem podejmę decyzję co do twojej przyszłości.

Teraz nadszedł czas na modlitwę. Ochrzczone niewiasty przymknęły powieki.

„Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje; przyjdź królestwo Twoje; bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego nadprzyrodzonego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Bo Twoje jest królestwo i potęga, i chwała na wieki. Amen”²⁰⁰.

De Castres nie omieszkał wspomnieć świeżo ochrzczonym:

- Gdyby doszło do złamania przyjętych zasad, konieczne stanie się ponowne przyjęcie sakramentu również przez te osoby, którym zostanie on przez was udzielony, bowiem odrzucamy katolicką zasadę *ex opere operato, non ex opere operantis*²⁰¹ - wyjaśnił Gwilbert. - Powodem powtórzenia *consolamentum* może być również apostazja. - I patrząc byстрым wzrokiem na ochrzczone niewiasty, dodał: - Sakrament nasz musi być nieskazitelny, bowiem nie może utracić niczego ze swojej doskonałości.

Uduchowione kobiety wymownie zamrugały rzęsami.

- Drwijmy z dobrego pochodzenia, sławy i bogactw. To nic innego jak niepotrzebne nikomu ozdoby, pod którymi czai się zło - napomknął i udzielił przestrogi: - Należy wieść życie proste, poprzestać na skromnych potrawach i zadowalać się jedną szatą. Doczesna potęga i władza są szkodliwe, albowiem karmią się diabelskimi podszeptami. - Pogroził palcem. - Gardźmy nimi!

Bertrand de Saissac podciągnął ku górze brwi i nachyliwszy się do ucha Rajmunda Rogera de Foix, stwierdził ze sztuczną wesołością:

- Ja nie pogardzę tym, co mam. Nie ma na to najmniejszych szans, choćby sam diabeł siedział mi za uchem od rana do nocy.

- Już siedzi, mój przyjacielu, i cię nie odstąpi - odparł żartobliwie de Foix. - Kogo jak kogo, ale na pewno nie ciebie.

- Znak to, że nie jest głupcem! - odparł szlachcic, unosząc brwi z miną zuchwałego rozbawienia. Po jego opalonej twarzy przetoczył się diaboliczny uśmiezek.

ROK PAŃSKI 1205

Rajmund VI z rodu de Saint-Gilles, hrabia Tuluzy, z dziesiątką najemników, bez których nie potrafił się obejść podobnie jak bez ładnej niewiasty w łożu, podążał cwałem w kierunku Paryża. Unosili się w siodłach do pólśiady, odciążając w ten sposób końskie grzbiety, i gnali przed siebie, jakby ścigali zwinnego jelenia. Niewiele czasu pozostało im do zmroku. Starali się dojechać do najbliższego miasteczka, gdzie mogliby się najeść, przespać, dać wierzchowcom wytchnienie, ponieważ o świcie następnego dnia musieli co żywo ruszać w dalszą drogę. Hrabia pragnął dotrzeć pojutrze na Île de la Cité, otrzymał bowiem pilne wezwanie od Filipa Augusta.

Nie w smak było mu wyruszać do króla i zostawiać młodą żonę, ciemnowłosą Eleonorę Aragońską²⁰², samą na zamku Saint-Gilles. Hrabiowski sekretarz Peire Cardenal miał jak zwykle twardy orzech do zgryzienia i jak zwykle musiał ganiać za hrabią, aby przekonać go, iż król nie prosi, jeno wzywa, a to oznaczało ni mniej, ni więcej, że należy wyruszać w drogę co koń wyskoczy. Nie było tu miejsca na zbędne dyskusje, a odmowa nie wchodziła w rachubę. Wszak nie można było pozwolić, aby król czekał! Nietęga mina Rajmunda, który znów czuł się przymuszany do czegoś, co nie sprawiało mu przyjemności, przyprawiła o ból głowy jego wiernego sługę. Hrabia wolał wylegiwanie się w łożu w komnatach swojej nowej małżonki, póki się nią jeszcze nie znudził, aniżeli wypełnianie nudnych szlacheckich obowiązków. Cardenal nie szczędził starań. Nalegał

i z mozołem tłumaczył, że zlekceważenie królewskiego rozkazu może spowodować jedynie pogorszenie i tak nie najlepszych stosunków z władcą. Za wszelką cenę należało tego uniknąć. Zatem musiał znaleźć sposób, aby wyprawić Rajmunda na Île de la Cité.

- Hrabio, wnet znajdziecie pocieszenie... Jak zawsze - zapewniał Peire. - Czyż kiedykolwiek sprawiło wam to nadmierną trudność?

- Prawdziwy mężczyzna w swoich podeszłych latach ma coraz większą skłonność do niewiast aniżeli przedtem - wyznał szlachcic.

- Dlatego zabawiajcie się, panie, z ladacznicami - odpowiedział bez skrępowania sekretarz.

Rajmund ostatecznie dał za wygraną. Aby pozbyć się marudzącego mu za uchem sekretarza, podjął decyzję o wyjeździe, mimo że żał mu było patrzeć na smutną minę rozkosznej siostry aragońskiego króla.

- Moja piękna, nie smuć się. Przywiozę ci z Paryża wspaniałe prezenty - zapewnił na odjeźdnym, kiedy Cardenal niemalże siłą wyciągał hrabiego z komnaty sypialnej apetycznej Eleonory. - Dbaj o mojego syna - dorzucił na koniec. - Pilnuj go i spełniaj każdą jego zachciankę, jakby chodziło o ciebie!

Mający się ku końcowi dzień oblewał się już na zachodzie spłowiałą czerwienią, kiedy grupa jeźdźców na mocno zdrożonych wierzchowcach dotarła do Mespuits. Wtedy uzbrojeni po zęby ludzie Rajmunda pozwolili koniom swobodnie wyciągnąć szyje i obniżyć głowy. Mężczyźni z uwagą rozglądali się wokół, wypatrując otwartej tawerny.

- Panie, czy zatrzymamy się w tej? - zapytał jeden z najemników, wskazując palcem niską zabudowę oświetloną gęsto pochodniami.

Rajmund obrócił głowę, patrząc na zbrojnego. Następnie spojrział we wskazanym kierunku i bez większego zastanowienia skinął głową. Był zmęczony jazdą i nie chciało mu się otwierać ust.

Kiedy weszli do ogrzanej, dusznej karczmy, siedzący przy stołach ludzie z zainteresowaniem zerknęli na zakurzonych przybyszy, którzy wkroczyli jak do siebie, z głośnym śmiechem na ustach.

- Podajcie nam wina! - krzyknął do karczmarza Marcel, przyboczny Rajmunda. - Żarcie jakieś też by się przydało... Byleby nie podle!

Zbrojni wraz z hrabią rozsiedli się w ciemnym kącie przy podłużnej ławie.

Właściciel z wielkim brzuchem na krótkich nóżkach błyskawicznie znalazł się przy gościach z kubkami w dłoniach i kilkoma świecami.

- A piwa nie chcecie spożyć? Najlepsze mam w okolicy - pochwalił się niski gospodarz o nalanej twarzy z trzema podbródkami. Wytrzeł tłuste ręce w fartuch, którym był przewiązany. - Żadne wino nie smakuje tak jak moje piwo! Wiem, co mówię. - Przyglądał się strojnej sylwetce szlachcica z Saint-Gilles i dobrze skrojonemu na kształt tuniki kaftanowi z drogiej tkaniny, który sięgał za kolana i kształt nie leżał na kolczudze z kapturem. - Ho, ho, chyba z daleka jedziecie? - wypytywał karczmarz, nie odrywając oczu od przystojnego hrabiego. - A dokąd to się wybieracie, panie?

Rajmund powoli podniósł głowę. Odgarnął z czoła mokre od potu włosy i spojrzał ciemnymi, argusowymi ślepiami na interesującego się nadmiernie właściciela oberży.

- W jakimże celu ta wiedza jest ci niezbędną? - zapytał cynicznie, opierając się łokciami na stole.

Mężczyzna, zaskoczony pytaniem szlachcica, zmieszał się i poczerwieniał na pełnej twarzy.

- Wybaczcie, panie, mą śmiałość - rzekł strwożony z rozbieganymi z zażenowania oczyma, nie wiedząc, gdzie je w tym momencie podziąć. Odwrócił się naprędce z zamiarem odejścia od niemiłych przybyszów. - Już podaję piwo!

- Stój! - zawołał pan na Saint-Gilles.

Karczmarz zatrzymał się w pół kroku i odwrócił się tłustym ciałem ku szlachcicowi.

- Nie chcemy piwa, daj nam wina i chleba. Chętnie zjedlibyśmy pieczone kurczęta, nieprawdaż? - skierował pytanie do najemnych żołnierzy.

- A jakże! - potwierdzili natychmiast.

- A gdybyś miał figi, to też chętnie byśmy skosztowali - rzucił przez ramię jeden z żołdaków, a reszta wybuchła śmiechem.

Napotkali spłoszony wzrok gospodarza, który ze zdziwienia aż gębę rozdziawił, nie wiedząc zapewne, co to są te figi.

Kiedy wreszcie odszedł, zajęli się rozmową, a szczególnie omawianiem pobytu w Paryżu. Najemnicy na czas wizyty hrabiego u króla mieli zamieszkać w jednej z kwater w obrębie miejskich murów, na lewym brzegu Sekwany, w Saint Severin, gdzie było stosunkowo blisko do wielu tawern i domów uciechy, to bowiem najbardziej ich interesowało. Zacierali ręce z radości, mlaskali jak krowy mielące w pyskach trawę, ponieważ snuli dalekosiężne plany. Jeden z żołdaków, mający po dziurki w nosie miejskie dziwki, rzekł jednak z przekąsem:

- Te wymalowane ladacznice są jak trucizna zaprawiona miodem, dlatego jej nie wyczujesz, a potem jest po tobie!

- Bredzisz, choć nie jesteś jeszcze pijany! - odparował przyboczny Rajmunda. - Są ładne i zawsze chętne, czego o tobie nie można powiedzieć, kiedy nadchodzi czas na zbrojną wyprawę, ha, ha, ha. - Nagle zmienił temat. - Patrzcie, jaki miecz podarował mi hrabia Rajmund. - Wyciągnął połyskujące w blasku świateł żelazo w ozdobnej rękojeści, unosząc ku górze jego finezyjną głownię. - Widzieliście kiedy takie cudenka?

Żołnierze zaczęli zachwycać się, macać, brać miecz w dłonie i spoglądać przymilnie na Rajmunda. Każdy pragnął otrzymać w prezencie tak imponującą rzecz. Hrabia uśmiechał się delikatnie i niedbale przysłuchiwał się pochwałom jego daru.

- A mnie nie chwalicie za to, że zasłużyłem na ten miecz? - spytał Marcel, z lisim uśmieszkiem na twarzy wychylając głowę w bok.

Nad ramieniem hrabiego dostrzegł rumianą pannę krzątającą się przy kominku. Miała szerokie biodra, gęste blond włosy o intensywnie rudym połysku i twarz dość sprytnej dziewczki. Znajdowała sobie robotę, byleby blisko przybyłych najemników. Udawała zapracowaną,

jednakże bezustannie zerkąca na nich, mając nadzieję, że nie zauważą jej zaabsorbowania.

Tymczasem wszyscy zebrani przy stole kompani jak jeden mąż poczęli wychwalać Marcelego, aż machnął w końcu ręką, każąc im się zamknąć.

- A nie uważacie, że lepiej wpaść pomiędzy kruki niż pośród pochlebców? - zagaił Rajmund, ujmując w palce elegancko przyciętą ciemną brodę.

Żołnierze zamilkli.

- Czemuż to? - odezwał się najdalej siedzący, potężny i barczysty najemnik, który za kilka monet gotów był spać na zimnej podłodze pod łóżem hrabiego.

- Bo kruki zjadają jeno trupy, a pochlebcy żywych.

Ponownie zapadła cisza, a najemnicy w skupieniu poczęli analizować hrabiowską myśl, patrząc w jego oczy, aby upewnić się, że słowa te są prawdziwe.

- Bóg mi świadkiem, nad wyraz mądrzy jesteście, panie - stwierdził z uznaniem ów najdalej siedzący, wyciągając dla wygody nogi pod ławą.

- To nie ja, to Antystenes²⁰³.

- Któż?

W tym momencie powrócił karczmarz. Ostrożnie, gdyż drżały mu ręce, postawił na stole tacę z wypolerowanej cyny, a na niej duży, ciężki dzban pełen chłodnego i czerwonego jak świeża krew wina. Rajmund z uniesionymi brwiami i kpiącym uśmiechem w kącikach ust zerknął na garniec wypełniony po brzegi napojem.

- Człowieku, czy jeżeli ciebie zapytać, ile jest dwa plus dwa, odpowiesz: dwie dziesiątki? - spytał karczmarza, który zapewne zaprzestał się już cieszyć z ich wizyty.

Właściciel oberży zaniemówił. Gapił się tępo na władcę Tuluzy, czekając na objaśnienia co do zadanego pytania, którego w swojej prostej głowie za żadne skarby nie pojmował. Zgnębiony, nie ośmielił się przemówić.

- Zatem - rzekł z kpina szlachcic, widząc, że nie doczeka się satysfakcjonującej go odpowiedzi - ani nie dajesz tego, o co się ciebie prosi, ani nie odpowiadasz na to, o co się ciebie pyta...

- Hrabio, nie męczcie już nieszczęśnika. - Marcel próbował brać grubasa w obronę. - Jakiż on wystraszony!

Najemnicy podśmiechiwali się z biednego, nielicho strwożonego właściciela karczmy.

- Głupi jest i tyle - skwitował żołdak siedzący po prawej stronie Rajmunda. - Masz te kurczęta czy nie? Odpowiedzże wreszcie!

Mężczyzna zaprzeczył nerwowym ruchem głowy. Bał się odezwać. Bał się, że cokolwiek powie, padną kolejne pytania, a on znów nie zrozumie ich treści i tym samym narazi się na ponowne wyśmiewanie przez żołnierzy, którzy nie zamierzali go wszakże oszczędzać.

- A figi?

Ponownie pokręcił głową.

- Boże jedyny, miejże zmiłowanie nad nami! - ryknął potężny najemnik, rozlewając do kubków aksamitnie błyszczący napój, który potrafił solidnie namieszać w głowach. - Daj nam, co masz, byleby szybko, bo za wino ci nie zapłacimy.

Nad ranem wyspani najemnicy rześko dosiadali napojonych i nakarmionych sianem ogierów. Czekali na Rajmunda. Lecz on nie wysunął jeszcze nosa z kwatery, którą właściciel przeznaczył mu na noc.

Marcel, zaniepokojony nieobecnością hrabiego, pognął co sił w nogach po schodach do jego sypialni. Głośno zapukał do drzwi.

- Panie, czas na nas!

Po chwili usłyszał zaspany głos dochodzący z wewnątrz. Nacisnął rygiel i ostrożnie zajrzał do środka. W łóżu, z którego ciężko zwlekał się Rajmund, leżała dziewczka o ponętym ciele, kręcąca się poprzedniego wieczora przy najemnikach. Dziewczyna, której długie blond włosy o rudym połysku leżały rozrzucone na poduszkach, spała jeszcze niczym nieprzykryta. Obaj mężczyźni lubieżnym wzrokiem przebiegali po jej bladym ciele.

- No, no... hrabio, jakże wam się to udało? - spytał Marcel, kiedy dosiedli rumaków i ruszyli w kierunku Paryża. - Byliście niemiłosiernie zmęczeni, jak sobie przypominam.

Władca Tuluzy zerknął na Marcela, po czym uderzył go grzbietem dłoni w pierś, jakby rozgniewany, ale po prawdzie nie żywił oburzenia. Jego ciemne oczy wypełniło rozbawienie.

- Płacę ci za to, żebyś był najemnikiem czy moim spowiednikiem?

*

Dojechali do Paryża. Przed nimi piętrzyła się chluba i duma Filipa II Augusta. Jego ulubione miasto było stolicą Francji, a co najważniejsze - biorąc pod uwagę wszystkie współzawodniczące o to szczytne miano miasta z północnej części królestwa - nie miało sobie równych pod względem wielkości, sukcesywnej rozbudowy i postępującego dobrobytu.

Jeźdźcy dotarli do olbrzymiej bramy w miejskich murach od strony Saint-Marcel. Król zarządził, aby drogi dojazdowe do paryskich murów miały szerokość nie mniejszą niż siedem metrów. Szesnaście lat wcześniej podjął on słuszną decyzję o budowie murów, które miały otoczyć szerokim kręgiem powiększające się systematycznie miasto, stare mury znały bowiem jeszcze rzymskie zwyczaje. Ojciec Filipa, król Ludwik VII, w okresie małżeństwa z Eleonorą Akwitańską przystąpił do wznoszenia murów, które w jego pierwotnym zamierzeniu miały obejmować część Paryża od prawej strony, jednakże syn obmyślił kilkakrotnie większy obszar murów, które objęły prawy brzeg oraz część lewego, a na całej ich długości widniało ponad siedemdziesiąt charakterystycznych, zabezpieczających miasto wież. Mury zajęły łącznie sześćset dwadzieścia pięć akrów. Zatem zgodnie z założeniami budowniczych i za zgodą uwielbiającego nowe rozwiązania konstrukcyjne Filipa, znajdujące się na prawym piaszczystym brzegu Sekwany podmiejskie dawniej osady, jak Saint-Gervais, Saint-

Germain-l'Auxerrois i Saint-Jean-en-Grève, weszły w obręb miejskich murów, podobnie jak Saint-Séverin i Sainte-Geneviève, leżące po lewej stronie Sekwany. Poza murami znalazło się jednakże wiele dużych osad, jak chociażby Saint-Germain-des-Prés i Saint Nicolas-des-Champs przylegająca do opactwa Saint-Martin-des-Champs, a także leżące na południowy wschód od opactwa surowe mury zamku templariuszy Le Temple.

Był przyjemny dzień. Deszcz dopiero co przestał kropić, uporczywa mżawka zanikła, wobec czego mężczyźni, zsunąwszy z głów kaptury, rozglądali się z zaciekawieniem, przejeżdżając kolejne uliczki. Jechali brukowanymi ulicami dużego miasta, które za ambitnych rządów Filipa stało się wielkim miejskim skupiskiem, nie będąc już tym samym - jak to było dawniej - zlepkiem wielu osad. Wokół rozlegał się zgiewliwy hałas i gorączkowy gwar, stukot końskich kopyt i hurgot okutych żelazem kół. Ciężkie wozy z sianem lub załadowane workami mąki, beczkami wina czy stertami jarzyn co raz musiały się usuwać, aby przepuścić orszak dostojników kościelnych albo baronów, których wierzchowce z niecierpliwością dreptały w miejscu. Panował wielki ścisk. Ludzie tłoczyli się całymi gromadami.

Skierowali konie ku północnej części miasta. Dojechali do miejsca zwanego Les Halles, które z powodu odbywających się tutaj całodziennych targów było bardzo ważnym ośrodkiem handlowym. To tu dwadzieścia cztery lata temu przeniesiono jarmark z Saint-Lazare, a w kolejnym roku, aby uzyskać większą przestrzeń, zburzono wszystkie żydowskie domostwa. Rajmund z najemnikami wjechali pod zadaszone targowisko. Pod wpływem wielkiego naporu ludzi konie nie mogły swobodnie się przemieszczać. Rozkazujące krzyki na nic się zdały. Ciżba blokowała je, przepychała się pomiędzy wierzchowcami i uniemożliwiała swobodny przejazd. Kramarze, których towary niemal wysypywały się na ulicę, przekrzykiwali się i poganiali niezdecydowanych, a cierpliwi, z boską zgołą wytrwałością, oczekiwali swojej kolejki. Ubożsi z zazdrością i niemą boleścią na wyschniętych

licach spoglądali na kolorowe tkaniny, mieniające się ozdoby, wschodnie przyprawy i pachnące ciasta.

- Wynoście się! - wykrzykiwali kupcy do biedoty w północnym żargonie la langue d'oïl²⁰⁴, który to język Rajmund nie do końca rozumiał, gdyż porozumiewał się głównie w języku occitan, la langue d'oc²⁰⁵. - Zabierać te brudne łapy!

W wyniku zwiększającego się napływu ludzi, który stanowił rękojmię dobrobytu, Filip August zezwolił piekarzom na utrzymywanie własnych piekarni, niwelując tym samym ogromne kolejki, które utrudniały mieszkańcom codzienne życie. Szybko rozwijał się handel solą i winem, a kupcy wodni doskonale prosperowali pod łaskawą królewską opieką. Na specjalnych straganach handlowano pieniędzmi z całej Europy, jadem żmii, suszonymi i rozdrobnionymi odchodami oraz organami różnorodnych zwierząt, którym przypisywano wyjątkowe znaczenie. Wszelako nie mogło zabraknąć także leczniczych ziół oraz narkotyków - jak opium i lulek czarny, które były szeroko stosowane do uśmierzania bólu zębów, skurczy - czy innych cennych specyfików znanych dzięki Hipokratesowi²⁰⁶.

Rajmund z ciekawością spoglądał na strojne damy, łagodnie ujmujące w palce błyszczącą biżuterię, sukna, i na ich nie mniej urodziwe dwórki. Uśmiechał się do siebie. Był w doskonałym humorze, odprężony pomimo tego, że w nocy przespał tylko kilka godzin, noc ta bowiem okazała się być udaną, a to za sprawą rozkosznej dziewczki z Mespuits.

Pożegnał się z kompanami i dalej jechał już tylko z wiernym Marcelem. Zawrócili konie ku pałacowi na Île de la Cité.

- Panie, posilmy się, nim staniecie przed królem - zaproponował najemnik.

Wypatrywali stosownego miejsca, w którym mogliby się zatrzymać, lecz niebawem rozległy się niepokojąco brzmiące wrzaski. Nie były to zachęcające kupieckie okrzyki. W pewnej odległości od jeźdźców zrobił się straszny harmider i powstały przepychanki.

- Złodziej! Złodziej! - poczęli krzyczeć wzburzeni ludzie. - Łapać go!

Wtem Rajmund z Marcelem ujrzeli biegnącego w ich stronę barczystego mężczyznę w poszarpanym odzieniu. Trzymał on w dłoni migoczący przedmiot. Człowiek ów gonił przed siebie co sił w nogach. Wściekle odpychał ludzi grubymi rękoma, którymi mógłby bez mrugnięcia okiem zmiażdżyć ludzką czaszkę. Kilku śmiazków próbowało uniemożliwić mu ucieczkę, jednakże złodziej, mogący się poszczycić niemałym w swym „fachu” doświadczeniem, umiejętnie pokonywał piętrzące się przed nim przeszkody. Ślepo biegł dalej, na złamanie karku, z wywieszonym jęzorem. Histerycznie wykrzykiwał groźne przekleństwa. Przewracał wszystko, co stanęło mu niebacznie na drodze. Był szybki jak dzika bestia będąca w panice, trudna do poskromienia. Oczy gorzały mu pioruńsko i drapieźnie, a z ust ciekła ślina. W dłoni ścisnął drogocenną bransoletę i nie zamierzał jej wypuścić.

Przy jednym z kramów, w pobliżu Rajmunda i Marcela, stanęła młoda kobieta. Odwrócona była do nich plecami. Kiedy usłyszała krzykliwe wołania i wyzwiska, odsunęła się raptownie od straganu. Nie zwlekając, wiedziona ciekawością, wystąpiła na drogę, którą na łeb na szyję pędził złodziej. Ich zderzenie było jeno kwestią czasu, albowiem było ono nieuniknione. Mężczyzna z szaleńczą siłą, niczym morski wzburzony bałwan, wpadł na dziewczynę. Przewrócił się, a ją pchnął w bok, wprost pod konia Rajmunda.

- Ach! - zdołała jedynie krzyknąć przerażonym głosem.

Hrabia jako doświadczony jeździec w ułamku sekundy ściągnął zamasyście lejce ku sobie. Ostro spiął rumaka do góry. Wierzchowiec z głośnym, gardłowym rykiem stanął na tylnych nogach. Marcel bez zwłoki zeskoczył ze swojego i migiem odciągnął leżącą niewiastę na bezpieczną odległość.

Złodziej zdołał się podnieść i pognał dalej. Zniknął za najbliższym rogiem. Wszystko wydarzyło się w okamgnieniu.

Dziewczyna była tak mocno przestraszona, że nawet nie zdołała zapłakać. Hrabia uspokajająco klepał ogiera po gładkiej szyi, a Marcel pomagał wystraszonej nie lada pannie powoli podnieść się z ziemi. Zmierzwione włosy zasłaniały niewieścią twarz, a elegancka suknia była silnie pobrudzona. Kiedy stanęła na własnych nogach, poczuła się zdecydowanie pewniej.

- Kogóż to uratowaliśmy od niechybnej śmierci? - zapytał Rajmund, przyglądając się młodej kobiecie, której długie czarne włosy zakrywały twarz.

Hrabia pragnął dodać niedoszłej ofierze nieco otuchy, dlatego też ton jego głosu był przyjazny i miły.

- Panie, jedźmy... - rzekł Marcel, sprawnie wskakując na konia.

Hrabia, patrząc zadumanymi, fanatycznymi oczyma na smukłą sylwetkę młodej niewiasty, rzucił cicho przez ramię:

- Czekać...

Kobieta wyprostowała się i szybkim ruchem ręki przerzuciła czarne, błyszczące świeżością włosy do tyłu. Jej długą szyję zdobił wisior wysadzany zielonymi kamieniami i perłami. Starła otwartą dłońią kurz z policzków i nosa. Wtem... zastygła w bezruchu. Czyż mogło to być prawdą? Stała zdumiona, zszokowana, całkowicie odrętwiała.

Oczom Rajmunda ukazała się ładna, smagła twarz osiemnastoletniej dziewczyny o wielkich, precudnych jak czarna, bezksiężycowa noc oczach. Oczy te napełniły się nagłym i gwałtownym żarem. Wbiły się w przystojną twarz szlachcica i pozostały nieruchome. Szeroko rozwarte, zupełnie oszołomione, niemogące uwierzyć w to, kogo ujrzały. Od czasu, kiedy widziała go ostatni raz, nie zmienił się w widoczny sposób. Szkarłatny rumieniec zabarwił jej policzki. Młode serce momentalnie zalała fala gorąca, a we krwi poczęły krążyć niespokojne wiry, bowiem serce na wskroś przeniknął promień słońca. Wystąpiło w nim, w jej sercu, coś na kształt burzy, podczas której grzmoty przeżynają niebo ze straszliwym łoskotem, a błyskawice zapalające się żywym ogniem oślepiają ludzki wzrok. Ono

płonęło. Wrzało niczym woda w saganie nad ogniem. Głos uwiązał w krtani. Szybko oddychając, nie potrafiła oderwać wzroku od tej twarzy i argusowych oczu, tak dawno niewidzianych, które zapamiętała na zawsze. Każdy fragment jego przystojnego oblicza wyrył się głęboko w jej młodym sercu.

„Zdecydowanie to nie służąca” – przebiegło Rajmundowi przez myśl. Jego ciemne, pożądlive oczy lustrowały ją z zainteresowaniem od stóp do głów.

Podziwiał kobietą, dojrzałą już postać. Oceniał jej niekwestionowaną wartość. Milczenie wnet przerwał Marcel.

- Panie, nie mamy czasu...

- Zatem... - wyrzekł nieśpiesznie Rajmund, jakby wyrwany z letargu, nie zdejmując spojrzenia ze smagłej panny - jedźmy.

Z wolna zbliżył się do oniemiałej dziewczyny, która zerknęła na niego spod rzęs. Patrzyła na hrabiego, jakby nie mogła się do syta napatrzeć. Jakby nie mogła uwierzyć w szczęście, które jakże niespodzianie w jednej chwili spadło na nią i ścięło ją z nóg. Koń stanął blisko niewiasty. Wstrzymała oddech. Pan na Saint-Gilles zdjął z dłoni rękawicę i pochylił się ku jej twarzy. Ona zatrzepotała szybko rzęsami i poczęła nieprzyzwoicie dygotać, co czyniło ją dla niego szalenie podniecającą. Mężczyzna wyczuł delikatną woń pachnidła, które niczym mgiełka otulało kształtną szyję drżącej przed nim niewiasty. Dziewczyna na moment zamarła, jakby jej serce przestało z nagłą bić, ale już po chwili oszalałe waliło w żebra, chcąc je rozerwać i wyskoczyć z piersi. Wyciągnął dłoń i dwoma palcami, subtelnie, czyniąc swoje ruchy niezwykle powolnymi, odgarnął niewielki kosmyk włosów, który zasłaniał jej oko. Władca Tuluzy uśmiechnął się pożądliwie. Przełknęła ślinę. Zachłyśnięta jego widokiem, jego intensywnie męskim zapachem, zupełnie zamroczone, nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Nic. Jakby wraz z upadkiem straciła mowę. Jej ciało było rozpalone jak rozgrzany komin, który promienieje ciepłem. Pod radosnym uśmiechem hrabiego traciła zmysły. Zdało się, jakby zawarł w argusowych

ślepiach słońce i księżyc wychodzące na niebo w jednym czasie. Rozświetlone, porażające wyrazistą ekspresją oczy uśmiechały się do niej tak, jak uśmiechały się do pięknych kobiet, które wpadły mu w oko. Bez dwóch zdań zmysłowa kobieta spodobała mu się.

Prostując się w siodle, rzekł na pożegnanie:

- Uważaj na siebie i... na konie! - Po czym z wigorem klepnął wierzchowca w zad i odjechał wraz z najemnikiem.

Podążyła za nimi odurzonym wzrokiem. W głowie jej się zakręciło, w ustach poczuła niewysłowioną słodycz. Czuła się jak trafiona piorunem, które rozłamuje drzewo na dwoje.

„Znalazłam cię... Znowuż mnie uratowałeś - pomyślała, czując, że krew nieśpiesznie odpływa z jej ciała. Przytknęła dłoń do piersi. - Jesteś mój... Jesteś...”

Upojona nadzieją, patrzyła jak zahipnotyzowana na jeźdźców dopóty, dopóki nie zniknęli jej z oczu... i jeszcze dłużej...

*

Giovanni niczym duch wszedł do prywatnych komnat Lotariusza. Gdyby papież, który kończył skromną wieczerzę, nie odwrócił w tym właśnie momencie głowy ku drzwiom, nie zauważyłby wejścia przyjaciela. Kanonik przysiadł w pobliżu stołu. Papież zjadł ostatni plaster z pieczonej piersi kaczki i włożył pobrudzone tłuszczem palce do srebrnej miseczki z różaną wodą, którą przed chwilą na stole, zakrytym zdobionym obrusem, postawił Antoni. Moczył palce, wstrząsał wodą i przyglądał się z zainteresowaniem siedzącemu nieopodal na krześle przyjacielowi. Jego mizerny wygląd, spowodowany brakiem snu, momentalnie rzucał się w oczy.

- Jadłeś?

- Nie, poszczę.

- Doprawdy? Od tego postu prawie nie będzie cię widać niedługo - zadrwił Innocenty. - Bogu nie jest miłe umartwianie ciała ponad

słuszną miarę.

Kanonik sztywno wzruszył ramionami.

- Bóg docenia moje wysiłki, jestem tego pewien.

- Bóg pewnie tak - bąknął papież - ale jak tak dalej pójdzie, to nikt już nie będzie miał z ciebie żadnego pożytku. Ja, bo będziesz głęboko pod ziemią, a Bóg, bo przestaniesz się modlić i rozsądnie pościć.

Giovanni usiłował się uśmiechnąć, ale efekt tego był żalospny. Pościł od dawna i przez świadome odmawianie sobie najlżejszego nawet pożywienia nie mógł skoncentrować myśli. Papież zwrócił uwagę na jego nieobecne, jakby martwe oczy i nienaturalną bladość cery, która czyniła jego dobrotliwą twarz nieomal przezroczystą. Przywołał osobistego służącego. Gdy ten się zjawił, polecił mu, by dostarczył tę samą porcję, którą niedawno postawił na papieskim stole.

- Nie, nie, Lotariuszu, nie mogę. Poszczę, nie mogę zawieść Boga - bronił się zawzięcie Giovanni. - Nie, nie... Nie będę niczego jadł.

- Mój przyjacielu, nie zachowuj się niemądrze - przekonywał papież. - Kiedy będziesz pościł na potęgę, to mnie w krótkim czasie zawiedziesz i cóż wtedy?

Kanonik spojrzał w wąskie, osadzone blisko nosa papieskie oczy.

- Nie wiem, Lotariuszu - odparł szczerze.

- I byłoby dla ciebie lepiej, abyś się nie dowiedział.

Bezwłocznie polecił kanonikowi, by ten usiadł przy stole i częstował się wieczerzą. Antoni nalał do kielichów wino, po czym papież odprawił go.

- Jedz! - rozkazał Innocenty, nie tolerując sprzeciwu. - Złożył obie ręce i oparł łokcie na stole.

Giovanni odważył się. Z poczuciem zdrady wobec Boga sięgnął do pierwszej z potraw. Oderwał maleńki kawałek mięsa i wsunął go nieśmiało do ust. Mielił w zębach pożywienie. Jego utracony chwilowo zmysł smaku wnet powrócił. Niezadługo spożywał już pieczone części kaczkę z niemałą rozkoszą. Delektował się jej smakiem i świeżym

chlebem. Poczuł, że powoli odzyskuje cenne siły i energię. Z każdym kolejnym kęsem wracała mu dawna sprawność umysłowa, którą ostry post zdołał nieco przytłumić.

- I cóż? - Papież spojrział na przyjaciela pytającym wzrokiem. - Czyż nie lepiej?

- Z całą pewnością, Lotariuszu - przyznał kanonik, wycierając dłonie w jasną szmatkę.

Ojciec święty powstał, szeleszcząc szatami, i przysiadł w pobliżu kominka. Niebawem nadszedł służący Marek. Zebrał on talerze i półmiski, pozostawił jedynie wino. Wkrótce potem wraz z Antonim rozpalili świece i umieścili je na gzymsie nad kominkiem i na stole. Wstawili je również do ciężkich lichtarzy.

- Dlatego na przyszłość, proszę cię, utrzymuj swoje posty w rozsądnej formie. Jesteś mi potrzebny, jesteś moim przyjacielem i nie podoba mi się bezsensowne umartwianie się. W takim stanie nie przysłużysz mi się. Inni mają większe powody do przestrzegania surowych postów, a nie czynią tego, mimo iż ku boskiej chwale powinni jeno to.

Giovanni skinął głową. Odszedł od stołu i usiadł obok przyjaciela. Teraz obaj najedzeni mogli oddać się przyjemności, jaka płynęła ze swobodnej konwersacji.

- Nadszedł czas na zmianę biskupa w Tuluzie - powiadomił papież. - Wpierw zacznę od niego, potem będę się brał za każdego z tych langwedockich sybarytów.

- To znaczy?

- Ów jest głupcem - rzekł z wyniosłą wzgardą. - I dlatego należy go niezwłocznie usunąć z największego po Rzymie i Wenecji miasta Europy.

- Lotariuszu, jestem przekonany, że gdyby nie wydarzenia w Zarze i Konstantynopolu, dawno już rozwiązałbyś ów problem.

Papież ponuro skinął głową, zatrzymując rozzłoszczony wzrok na jowialnej twarzy przyjaciela i na jego dobrodusznym oczach. Podłużna twarz Innocentego silnie kontrastowała z okrągłą głową

kanonika. Przywołanie haniebnego w skutkach przedsięwzięcia pokoju i wiary, które w pierwotnym zamierzeniu miało być szczytną misją owianą gloriolą niekończących się zwycięstw i sukcesów, gwałtownie go zabolalo i ukłuło w samo serce. Zwiesił głowę, która poczerwieniała z gorącego gniewu. Jął rozpamiętywać niepojętą skalę porażającej klęski i degrengolady czwartej wyprawy przeciwko niewiernym.

- Lotariuszu, nie powinieneś się obwiniać - przekonywał kanonik, patrząc na wzburzoną minę przyjaciela, który z gniewu zaciskał dłonie. - Nie miałeś jednak wpływu na bieg wydarzeń.

Papież, stękając, kręcił głową.

- Mój drogi Giovanni, jestem władcą świata, a to oznacza jedno: muszę mieć wpływ na wszystko, co się wokół mnie toczy! Zawsze! - Wbił mocne spojrzenie w dobrotliwą twarz kanonika, usiłując wyczytać w niej bezwarunkową afirmację dla swoich słów. - Cóż z tego, że skutkiem plugawego zdobycia i złupienia Zary była moja ekskomunika?

- To ze wszech miar była mądra decyzja - podkreślił kanonik. - Jednakże miej na uwadze, Lotariuszu, że winnym napaści na Zarę był bez wątpienia Henryk Dandolo²⁰⁷, ponieważ nikt inny, jak jeno on sam zawiązał niecną intrygę, w którą nieszczęśliwie i nieopatrznie wpadli uczestnicy wyprawy.

- Nieszczęśliwie?! - wykrzyknął zdumiony Innocenty. - Nieopatrznie?! Chyba nie masz wątpliwości, mój Giovanni, że to zwykłe baranie łby?

Kanonik zauważył u papieża rosnące zdenerwowanie i usiłował go uspokoić, co zawsze starał się czynić, kiedy Innocentego ponosiło nadmierne rozdrażnienie.

- Zaiste... chrześcijańska armia najemnikami Wenecji. Godne to podziwu! Świat cały zapewne do tej pory się z nich śmieje, nie mówiąc już o Bogu, który odwraca ze wstydu oczy! - Prychał z irytacją na wspomnienie bezmózgowa chrześcijańskich wodzów. - Dali się podejść przekłętemu ślepcowi! Armia głupców!

- Był przebiegły i wziął ich sprytem.

- Dzięki Bogu, że Dandolo zakończył w tym roku nędzne życie i uwolnił Europę od swojej parszywej osoby - sapnął z wyraźną ulgą. - Powinienem był utrzymać ekskomunikę, bowiem dokonanie częściowego rozgrzeszenia było nieroztropne - stwierdził szczerze Innocenty, mrużąc wąskie oczy. - Przez to umożliwiłem niejako uderzenie na Konstantynopol tym dzikim hordom, bo jakże inaczej można nazwać bezmyślnych wodzów, gangrenowatych rycerzy i żołnierzy zamiast Saracenów, łupiących przez trzy dni i trzy noce chrześcijańskie miasto i mordujących z zimną krwią chrześcijan? Wszakże Bóg domaga się krwi niewiernych!

- Lotariuszu, oni mieli podążać ku Ziemi Świętej, a nie do Konstantynopola. - Kanonik przeżegnał się. - Rozkazałeś wyzwolić Święte Miasto z rąk saraceńskich, a rycerstwo znowuż dało się porwać nierozważnie, tym razem pokusom i kuszącym obietnicom Aleksego IV Angelosa²⁰⁸. - Papież ciężko wzdychał, słuchając słów przyjaciela. - Miast odzyskać naszą Jerozolimę, zdobyli Konstantynopol.

- Ci kalecy duchem plugawcy podeptali moje i boskie nakazy - odpowiedział z goryczą Innocenty. Jego twarz była zeszywniała, oczy twarde. - Boże wielki, jakże mogli to uczynić?! - zapytał, nie oczekując odpowiedzi, i skierował zaciekle palec ku sufitowi. - Jestem najważniejszy tu na ziemi i zaraz po Bogu, a oni, miast mnie słuchać i być we wszystkim posłuszni jako oddane psy, których obowiązkiem jest warować ze spuszczonego pyskiem u mych stóp, odważyli się wystąpić przeciwko moim wyraźnym rozkazom. - Obrócił rękę na tkaną srebrną nicią tkaninę, która zdobiła jego chudą postać, i wykrzyknął z oburzeniem: - Podeptali moje wytyczne! Rozumiesz, mój Giovanni? Mnie, najważniejszemu człowiekowi na świecie, mieli czelność sprzeciwić się!

Kanonik rozumiał, jak zawsze. Papieżowi, który był najważniejszy po Bogu, któremu wszyscy ludzie na świecie winni byli bezwzględne posłuszeństwo, trudno było przyjąć lekceważenie jego nakazów, brak

karności i posłuchu. Odbierał to bardzo osobiście, niczym wymierzony w twarz siarczasty policzek, albowiem nie tolerował odmowy wykonywania papieskich poleceń.

- Oburzające również jest to, iż siostra Filipa Augusta, Agnieszka²⁰⁹, była cesarzowa bizantyjska, przymknęła oko i nie uczyniła niczego, aby zapobiec bezwstydnemu łupiestwu.

- Ach, mój drogi Giovanni, to szydery i intryganci, płynię w nich ta sama krew - zgodził się papież, pocierając długi nos. - Siostra nie różni się niczym od brata.

Kanonik zerknął w bok komnaty. Na jednym z lichtarzy zgasły świece. Patrzył na nie niewidzącym wzrokiem i przypomniał sobie słowa papieża, które wypowiedział on, kiedy posłańcy przynieśli mu katastrofalne wieści ze wschodu. Przeniósł wzrok na papieskiego przyjaciela i rzekł:

- Pamiętam, jak grzmiałeś: Ci obrońcy Chrystusa, którzy mieli użyć miecza jeno przeciwko niewiernym, skąpali się w krwi chrześcijańskiej, ośmielili się sięgnąć po bogactwa kościołów, krzyże i cenne relikwie.

Innocenty wzdrygnął się na wspomnienie wszystkich strat, jakich dokonała chrześcijańska armia, która powinna była pobić muzułmanów i wyzwolić Święte Miasto z rąk niewiernych.

- Gdybym nie wezwał wiernych Kościoła - wyjawiał kanonikowi z żalem - aby porwali za broń, tarcze i śpieszyli na pomoc Jezusowi Chrystusowi, to miałbym całą tę chrześcijańską armię przeciwko kłębowskiemu zmi, które wylęgają się w Langwedocji, które wylęgają się jak szczury na truchle.

Giovanni postanowił zakończyć przykry dla przyjaciela temat. Powrócił do poprzedniego wątku.

- Któż zajmie miejsce Rajmunda z Rabastens²¹⁰?

- Sądzę, że mój wybór będzie trafny - odparł Lotariusz, wracając myślami do sprawy obsady biskupich urzędów. - Diecezję zamierzam powierzyć cysterskiemu duchownemu Fulko z Marsylii²¹¹, który przed złożeniem ślubów i wstąpieniem do klasztoru był bogatym kupcem...

- Doskonały wybór! - żywo zareagował kanonik, unosząc się z siedzenia. - Przypuszczam, że doskonale poradzi sobie z wszelkimi problemami, na jakie biskupstwo w Tuluzie naraził Rajmund z Rabastens.

Innocentemu zabłyśły oczy, kiedy usłyszał pochwałę przyjaciela, zadowolonego z papieskiej decyzji.

- Stąd mój wybór. Poza tym ma inne talenty.

- Doprawdy? Czyż nie dość ich już posiada?

Lotariusza opuściły nareszcie gorzkie wspomnienia. Uśmiechnął się i odrzekł:

- Stworzył dużą liczbę pieśni, a jego talenty poetyckie były szczególnie podziwiane na kastylijskim dworze króla Alfonsa. Ale mnie zależy na utrzymaniu spokoju, zatem sądzę, że jest odpowiednią osobą do obrony Kościoła na tych nieokiełznanych, przeżartych herezją ziemiach.

Giovanni doskonale rozumiał powody, jakie kierowały papieżem. Rajmund z Rabastens był jednym z tych niepokornych biskupów, który robił, co chciał i kiedy chciał, gdyż za przyjaciela miał Rajmunda VI, hrabiego Tuluzy, przez co czuł się nietykalnym, podobnie jak zadufany w sobie biskup Narbony Berenguer²¹², którego wyczyny - ze względu na silne parantele rodzinne - były niebywałe i szokujące. Jeśli chodzi o Rajmunda z Rabastens, cztery lata temu bez zmrużenia oka oddał w zastaw kościelny majątek, ponieważ pilnie potrzebował pieniędzy na opłacenie najemników. Z tym niegodnym katolickich księży procederem papież od lat walczyli bezskutecznie. Innocenty postanowił przedsięwziąć zdecydowane kroki i nareszcie rozprawić się z nimi, wyplenając z kościelnych kręgów wszelkie zepsucie i upadek moralnych obyczajów, które wszakże powinny były przyświecać postępowaniu duchownych.

- Staliśmy się niejako śmieciem tego świata i odrazą dla wszystkich aż do tej chwili - oświadczył gniewnie. - Kościół gnije, a ja będę tym, który go skutecznie uzdrowi, albowiem oczyszczę go ze zrad i schizm, ale wpierw z jego łona powyrywam zatruwające

i niszczące go chwasty! – dodał z pełną zapału zawziętością i ścisnął pięść. – Póki będę żył, będę z całą stanowczością tępił u rozpasanych duchownych tę pogoń za pieniędzmi i lichwą!

– Twoja mowa, Lotariuszu, to zwierciadło czynów. – Kanonik przyznawał w tym względzie rację przyjacielowi.

Czas był już najwyższy, żeby zrobić z bezwstydnymi kapłanami porządek, bogactwo bowiem rodzi przesyt, z przesyty zaś bierze początek grzech, a grzech jest wszak złem samym w sobie. Bez wątplenia grzechami były pycha i zuchwalstwo, a czyż Święty Augustyn nie przestrzegał mądrymi słowy, iż człowiek zły nie chce mieć prawdy Ewangelii przed sobą, lecz za sobą? Gdy prawdy te są przed człowiekiem, to go prowadzą, a gdy za człowiekiem, to go obarczają. Giovanni popatrzył na Innocentego zamyślonymi oczyma i rzekł:

– „Zwodnicze są bogactwa. Patrzysz, a ich już nie ma, skrzydeł nagle dostają i odlatują jak orzeł ku niebu”²¹³. – Następnie dopowiedział ze smutkiem: – *Duae res homines ad maleficium impellunt: luxuria et avaritia*²¹⁴.

– Najgorszy jest Berenguer – burknął z drwiną papież. – Wynajmuje najemników, dzięki którym może ściągać dziesięcinę. Głupi pies, który już nawet nie może głośno szczeknąć. Ślepy człowiek, który dla pieniędzy byłby w stanie sprzedać własną duszę. – Jego oczy zapłonęły gniewem. – A nawet jestem przekonany, że i moja.

– Na Boga! – Giovanni przeżegnał się z bojaźnią. – Wszak On nie pozwoliłby na to!

– Biorąc pod uwagę ogrom korzyści, jakie niebawem przyczynię Bogu, ja również jestem tego samego zdania.

– Jednakże, Lotariuszu, nie możesz zaprzeczyć, iż jest on synem hrabiego Barcelony i księcia Aragonii Rajmunda Berengara IV. Jest naturalnym wujem króla aragońskiego Piotra i hrabiny Tuluzy Eleonory.

– To jeno głupi bastard – zirytował się papież, machając niedbale ręką, po czym odparł wyniośle: – Tym bardziej to przejmujące, że

mając takiego ojca, z którego powinien brać przykład, został takim nikczemnym biskupem Narbony. Ani nie sprawuje duchowego przywództwa w powierzonej mu diecezji, ani nie potrafi zapanować nad swoją żądzą. – Westchnął głęboko i wyrzekł z żalem, zdając sobie sprawę z nieuchronności ludzkiego losu: – Gdybym został wybrany papieżem osiem lat wcześniej, niż to nastąpiło, nie pozwoliłbym objąć mu biskupstwa i tym samym miałbym o jeden kłopot mniej, podobnie jak Grzegorz VII, który interweniował w kwestii wyboru arcybiskupa Narbony i to aż dwukrotnie.

– Skoro umiłowanym bogiem Berenguera jest złoto, a sercem złoty skarbiec, to czemuż się dziwisz?

– Ja mimo wszystko, mój Giovanni – spuścił na kolana udręczone oczy – nadal się dziwię i nie mogę pojąć tej gonitwy za cielesnymi uciechami i pieniędzmi, która całkowicie ogłupiła langwedockich biskupów, czyniąc z nich tępe osły, które idą naprzód jeno za sprawą kija, który raz po raz opada na ich jakże łatwo uginające się karki.

Kanonik podszedł do stołu i chwycił w dłoń kielich, drugi zaś podał Lotariuszowi.

– *Auri sacra fames*²¹⁵ – mruknął Lotariusz.

– Dlatego jest ono bladożółte...

– Czemuż to? – spytał z nagłą papież.

– Ze strachu przed ludźmi, którzy na nie czyhają.

– Słuszna uwaga, mój przyjacielu – stwierdził ojciec święty, popijając ulubione wino, które otrzymał w prezencie od Szymona de Montfort²¹⁶. – Dobrze, nieprawdaż? – zapytał przyjaciela i ze smakiem oblizwał usta.

– Znakomite – potwierdził uprzejmie mnich, upijając odrobinę.

– Ja jestem jedynym moralnym autorytetem, jedynym recenzentem decyzji i wyborów wszystkich ludzi, w tym również niepokornych biskupów, którzy są dla mnie jeno głupcami bez odrobiny dobrej woli.

Kanonik patrzył w przemawiającego Lotariusza, który, podobnie jak podczas koronacyjnej przemowy, podkreślał swoją bezapelacyjną wyższość ponad wszystkimi ludźmi na świecie.

- Wychodzę z założenia, że skoro jestem jedynym depozytariuszem prawdy, to oznacza to, że...

Kanonik przechylił kielich i wlał kilka kropel do gardła, po czym spytał Innocentego:

- Cóż takiego to oznacza?

- Jak to co? - zdumiał się papież. - Czyżbyś nie wiedział?

- Nie - odparł szczerze kanonik. - Nie oczekuj ode mnie, Lotariuszu, że będę odgadywał wszystkie twoje myśli.

- A powinienes... Zatem oznacza to, mój Giovanni, że nie powróciły ci jeszcze siły po owym zgoła przesadnym poszczeniu - uznał, powoli wzruszając ramionami, po czym dokonał szybkiej analizy: - Przyjacielu, jestem władcą, decydem i beneficjentem materialnej doczesności. Aby panować i utrzymać władzę, muszę być żarłoczny jak wilk i groźny jak niedźwiedź.

Kanonik pokiwał krągłą głową na znak, iż rozumie papieski zamysł.

- Dlatego też należy niezwłocznie ustanowić prawa i zająć się reformą Kościoła, którą postanowiłem przedsięwziąć, aby uratować dobre imię chrześcijańskiego świata, albowiem poprzez wybryki duchownych o godnej ubolewania moralności staje się on starą szkatułą na klejnoty, z której odpadły już zdobiące ją drogocenne kamienie, a krawędzie jej zostały mocno uszkodzone. - Innocenty złożył ręce na kolanach i patrząc na drgające płomienie świec, z zapalem, który go doskonale definiował, przedstawiał przyjacielowi plan koniecznych zmian, o których, podobnie jak o wytrzebieniu heretyków, zamyślał na długo przed wyborem na papieża.

Jednakowoż zdawał sobie sprawę, iż prawa podobne są do pajęczyny. Jeżeli bowiem dostanie się do niej stworzenie małe i słabe, nie będzie mogło się z niej ono wydostać, ale stworzenie większe rozerwie ją i spokojnie poleci dalej.

- Należy zająć się fałszywymi biskupami, których puste baranie łby zaprzątnięte są zaspokajaniem hańbiących potrzeb, pozbawionych

należytego wykształcenia w sprawach duchowych i do cna wyzbytych duszpasterskiej żarliwości...

Giovanni wszedł Innocentemu w słowo, co starał się czynić rzadko, ale czasami, nad czym sam ubolewał, nie potrafił się powstrzymać. Wszakże i jego dotykały przykre ludzkie przypadłości.

- Przez to kroczą grzeszną drogą. Oby zdołali się w porę opamiętać.

- W istocie rzeczy, mój przyjacielu. Pokładam głęboką nadzieję w ich rozsądku i miłości do Boga, lecz póki co są całkowicie wyzuci ze zdolności głoszenia słowa Bożego, oporni w nauczaniu, a przecież... - Spojrzał z pasją na mnicha. - Przecież ludowi potrzebny jest chleb, którym oni nie chcą się z nim dzielić. A co ważne, mój Giovanni, i nie można ukrywać tegoż faktu: zepsucie w łonie Kościoła przyczynia się w ogromnej mierze do liczby wędrujących po Europie kaznodziei, do znacznego wzrostu liczby przeklętych dysydentów, których muszę jak najszybciej wyprawić do piekieł - jęknął ze zniecierpliwieniem.

- Zdecydowanie, Lotariuszu, należy to poprawić - wtrącił z szacunkiem kanonik. - Wszyscy bowiem należymy do Państwa Bożego, niewidzialnego Kościoła z Panem na czele, który będzie świętował ostateczne zwycięstwo, a w którym panują idealne porządki odzwierciedlające jeno dobro.

- Nie inaczej, Giovanni, i w związku z tym uznaję potrzebę większej duchowości, jednakże nie zalecałbym szerszego krzewienia wiedzy biblijnej, albowiem głębia boskich pism jest tak bezkresną i doskonałą, iż nie tylko ludzie prości i niepiśmienni, ale nawet rozumni i wykształceni nie posiadają pełnej zdolności, jaką ja i ty zdobyliśmy, by je pojąć i właściwie zrozumieć.

- Żadne proroctwo Pisma, jak to mawiał Święty Piotr, nie jest dla prywatnego wyjaśnienia - odrzekł zagłębiony w rozważaniach Giovanni. - Znajdują się w nich trudne wszelako do zrozumienia sprawy, które ludzie niedouczeni i mało utwierdzeni w wierze na opak tłumaczą, podobnie jak inne pisma, na własną swą zgubę - podsumował.

- Dlatego jesteś mi potrzebny ze swoją wytrwałością i mądrością równą Augustynowi oraz innym filozofom, a nie usychający z głodu i niepotrafiący logicznie zebrać myśli. - Otaksował wzrokiem przyjaciela i zmrużywszy tajemniczo powieki, spytał: - Wiesz, czym różni się człowiek wykształcony od niewykształconego?

Kanonik niepewnie pokręcił głową. Gdzieś już to słyszał, ale pamięć niestety potrafiła go momentami zawodzić.

- Tym, czym żywi od umarłych - odparł papież.

- Ach, Lotariuszu! - kanonikowi z nagłą wróciła pamięć. - Toż to słowa Arystotelesa!

- Zaiste, to jego słowa - potwierdził papież z uśmiechem na wąskich ustach.

- Arystoteles wszak mawiał, że wykształcenie jest w chwilach pomyślności ozdobą, a w chwilach nieszczęścia - schronieniem - prawil zadowolony Giovanni, tak gorliwy w studiowaniu filozofii. - Rodziców, którzy kształcili swe dzieci, uważał za godniejszych szacunku od tych, którzy je tylko spłodzili, bo ci drudzy dali im tylko życie, a ci pierwsi - piękne życie.

- Bezwzględnie - westchnął Lotariusz. W tym momencie pomyślał o sobie, co nie było niczym wyjątkowym, i wspomniął matkę, wspaniałą i zapobiegliwą Claricę, która w ogromnej mierze przyczyniła się do wyniesienia na najwyższy z możliwych szczytów zdolnego syna. Tegoż syna, którego obsesyjna ambicja i maniackalny dogmatyzm przekształciły się z czasem w swoiste kuriozum.

- Postaram się pomóc na tyle, na ile będę mógł - przyrzekł życzliwie mnich. - Jak zawsze, Lotariuszu, jestem do twoich usług.

- A możesz naprawdę dużo, mój Giovanni - zachęcał Innocenty. - Wiedza jest bowiem twierdzą najpewniejszą, nie można jej ani zburzyć, ani wziąć podstępem, wszak jedynym dobrem jest wiedza, a jedynym złem niewiedza i brak pobożności.

- Choć nie zapominaj, Lotariuszu, że trudna jest droga, która prowadzi z piekła do światła.

Papież podszedł do przyjaciela i uściśnił serdecznie jego chudą, bladą dłoń. W przypadku Lotariusza gest ten oznaczał więcej aniżeli najsoczystsze podziękowania. Stary, przygarbiony mnich poczuł głębokie wzruszenie.

- Mój Giovanni, zatem, jak sam widzisz, muszę rozwiązać problem czytania pism świętych. Powinni to czynić jedynie duchowni.

- Niewątpliwie i w tym względzie masz rację - odparł kanonik. - W większości popieram twoje roztropne posunięcia.

Lotariusz wyprostował się raptownie i z niedowierzaniem uniósł głowę. Dotknąwszy niedbale ostrego podbródka, ponuro wlepił zdziwione oczy w twarz przyjaciela.

- W większości?

*

- Jakże twa podróż przebiegła? - zapytał król, najwyraźniej rad ze spotkania z dawno niewidzianym kuzynem.

- Długa, ale nie będę narzekał. - Rajmund szybko rozejrzał się wokół siebie.

Królewscy giermkowie przyprowadzili go do niedużej komnaty o podłużnych, wąskich oknach, w której oprócz podstawowych mebli nie było niczego specjalnego ani wykwintnego, albowiem komnata ta służyła władcy Francji za miejsce do pracy i przyjmowania bliskich mu gości. Z jej okien król mógł z dumą w sercu doglądać, jak rośnie w siłę i potęgę centralny donżon warownego zamku, który miał należycie zabezpieczać ukochane miasto Filipa od północno-zachodniej strony, górując nad drogami do Clichy i Chaillot. Władca nadał mu nazwę Luwr. Z błogim zadowoleniem obserwował każdego dnia postępujące prace budowniczych.

- Może wolisz wpierw odpocząć? - zapytał uprzejmie Filip. Był to mężczyzna rosłej postawy, dziewięć lat młodszy od hrabiego, równie dobrze zbudowany co Rajmund, o szerokich, barczystych ramionach,

dużej głowie i zjadliwym, chytrym spojrzeniu cechującym władców z dynastii Kapetyngów. - Zjedźmy wspólnie wieczerzę, podczas której będzie czas na spokojną rozmowę.

Ich spotkanie nie miało charakteru oficjalnej audiencji, ponieważ król zaplanował rozmowę z hrabią Tuluzy w cztery oczy. Uznał bowiem, że w ten sposób zdoła przemówić do rozumu buntowniczemu, nieskoremu do posłuchu kuzynowi, który dzięki swobodnej i niewymuszonej atmosferze - a także bez obecności królewskich dostojników - chętniej przyjmie pouczenia.

- Dobry pomysł, najjaśniejszy panie.

Rajmund skłonił głowę przed królem i wyszedł. Ruszył za giermkim, który zaprowadził go do komnaty, przyszykowanej dla królewskiego kuzyna. Kiedy wchodzili na schody prowadzące na wyższe piętra pałacu na Île de la Cité, z oddali mignęła szlachcicowi szczupła kobieca sylwetka z długimi, prostymi jak miecz, czarnymi włosami.

„Jakże podobna do tej z targowiska” - przebiegło mu nagle przez głowę.

- To tu, panie. - Giermek wskazał ręką drzwi komnaty, w której hrabia miał spędzić kilka dni podczas gościny w paryskim pałacu. - Zaraz przywołam służącego.

Wieczorem Filip wraz z Rajmundem zasiedli do wieczerzy w prywatnych apartamentach króla. Służba usiłowała być nieomal niewidzialną - ostrożnie obchodziła stół i ustawiała na nim ulubione potrawy króla oraz dzbany z piwem i winem.

- Wspaniale - rzekł hrabia, rozsiadając się wygodnie na kobylistym krześle, po czym zajął się słuszną porcją dziczyzny, którą jeden ze służących postawił tuż przed nim.

Filip zaś, nim przystąpił do spożywania, nawijał na palce końcówki ciemnorudych wąsów i nie spuszczał wzroku z Rajmunda.

- Nic się nie zmieniasz - oświadczył po chwili, a pan na Saint-Gilles wyczuł w tonie kuzyna jakby utajoną pretensję.

Hrabia uśmiechnął się, odrywając zębami kawał mięsa.

- Prowadzę dobre życie, to i zmian nie widać.

- Czy to dobre życie wynika z wzięcia sobie piątej żony? - Filip ujął w dłoń puchar. - Którą to poślubiłeś w ubiegłym roku?

Rajmund odsunął spadające mu na czoło włosy i odrzekł z szelmowskim ukontentowaniem:

- Najjaśniejszy panie, nie jest to żadną tajemnicą, iż potrzebowałem mieć dobre stosunki z Aragonią. Brat mojej żony Piotr, jak dobrze wiesz, jest hrabią Barcelony i królem Aragonii. Może mi się przydać w stosownym momencie, zatem poszedłem za namową mych doradców, a szczególnie jednego, wiernego Cardenala. - Tu przetarł usta i spojrzał przelotnie na króla. - Czyż nie zauważyłeś pewnego podobieństwa pomiędzy nami?

Król odłożył na talerz wypieczony mocno korpus bażanta, który mu nie posmakował, i z zaintrygowaniem objął Rajmunda spojrzeniem.

- A to jakiego, drogi kuzynie? Czyżbyś miał na myśli nasze nosy? - spytał żartobliwie.

Hrabia bezwiednie dotknął swojego, po czym oparł dłoń na szerokim oparciu krzesła.

- Nie to podobieństwo mam na myśli. - Uśmiechnął się serdecznie i udzielił objaśnienia: - Obaj mieliśmy kilka żon, a jeszcze więcej kochanek.

Król roześmiał się, mocno kiwając głową. Hrabia trafił w czuły punkt Filipa, który podobnie jak Rajmund wodził pożądlivym wzrokiem za każdą ładną buzią i kształtną kibicią.

- Muszę ci przyznać rację, a to oznacza jedynie, że płynie w nas ta sama gorąca krew. - Następnie zagadnął zaczepnie: - Od wczesnej młodości nie przepuściłeś żadnej okazji, żeby dopaść nałożnicę swojego ojca i przypuszczam, że nie odczuwałeś skruchy, zaciągając je wszystkie do łóża.

- Zadowolici mnie mogła jeno ta, o której wiedziałem, że uprzednio ojciec mój z nią sypiał - wyznał bez skruchy hrabia.

- Przeto częstokroć groził ci wydziedziczeniem.

Hrabia uniósł grube brwi i ze śmiechem odchylił w tył głowę.

- Cóż... jego groźby pozostały czczymi groźbami, niczym więcej. Twój w dzieciństwie został przyuczony do stanu duchownego i nie takie były jego zainteresowania, przeto cóż mogłeś mu zabierać? Mój posiadał nieokiełznany temperament, który musiał znaleźć ujście.

- Przez co twoja matka, a siostra mego ojca Konstancja miała dość życia z tak nieopanowanym zbereźnikiem i opuściła go, powracając na dwór brata.

Rajmund popił mięso winem i spytał cynicznie:

- Ty nim nie jesteś?

Filip młaskał i oblizywał palce unurzane w tłuszczu.

- Nie... tobie wszelako nie dorównam w miłosnych podbojach, kuzynie - przyznał kpiarsko, biorąc się za udko z bażanta. - Miałem raptem trzy żony, choć Ingeborga²¹⁷...

- Ta druga?

- W istocie... nie pozwala mi o sobie zapomnieć. Nie chcę tej Dunki i brzydzę się nią, a ona jak podstępna żmija pełza i płacze się bezustannie wokół moich nóg. Nie zamierza ustąpić. Za wszelką cenę chce być koronowaną królową Francji i stale podburza przeciwko mnie zarówno swojego brata²¹⁸, jak i papieża. Zgodziłem się na pojednanie z nią, ale przeciągam sprawę tak długo, jak tylko się da.

- Co się właściwie stało, że odtrąciłeś ją tuż po nocy poślubnej? Podobno słynie z urody.

Filip zjeżył się na wspomnienie, o którym nie chciał pamiętać. Przywołanie w myślach owej feralnej nocy podziało na niego jak nieoczekiwane pchnięcie nożem w brzuch.

- Mnie jeszcze nie było dane pieścić duńskich piersi - uświadomił sobie z żalem pan na Saint-Gilles.

Syn Ludwika VII wzdrygnął się, jakby podstawiono mu pod nos cuchnącą padlinę.

- Nie masz czego żałować - odpowiedział zwięźle i dodał kategorięcznym tonem: - Nie chcę o niej rozmawiać.

Rajmund przyjrzał się poczerwieniałej z odrazy twarzy króla i zaniechał dalszych pytań. Zajął się porcją dziczyzny.

- Agnes z Meran²¹⁹ była wspaniałą, skromną i urodziwą - rzekł król po chwili milczenia, kiedy przywołał w myślach ostatnią małżonkę. - Dała mi troje dzieci, które Innocenty dopiero po jej śmierci uznał za pochodzące z prawego łoża.

Filip darzył trzecią małżonkę szczerym uczuciem, a małżeństwo to było możliwe dzięki poparciu kilku biskupów francuskich. Pomimo próśb i wysuwanych przez króla argumentów, które w jego mniemaniu nie pozwalały mu na koronację Ingeborgi z powodu nieskonsumowania małżeństwa i pokrewieństwa, nie uzyskał on papieskiej zgody na rozwód. Nie miał zatem innego wyjścia, jak przy poparciu królewskiej rady i paru zaufanych biskupów unieważnić ślub z rozwścieczoną tym faktem Dunką, której za jednym zamachem odebrano możliwość zdobycia francuskiej korony. Papież Innocenty, który słał do Filipa list za listem, a w nich motywował króla do zmiany stanowiska i wykazywał, jak wielkim zagrożeniem dla jego zbawienia i dla całego królestwa jest związek z Agnes, nie odniósł sukcesu. W odpowiedzi na królewską zatwardziałość obłożył niepokornego i głuchego na papieskie nawoływania poddanego ekskomuniką, a kraj pograżył się w głębokiej ciemności. Nałożenie klątwy niewątpliwie wiązało się z utratą pozycji i prestiżu w Europie. A wszystko to za sprawą grzesznego postępowania Kapetynga.

Kościół posiadał w walce z samowolnymi władcami silną i skuteczną broń w postaci interdyktu, który uderzał jak piorun w możnych tego świata, ale przy tym biczował i prosty lud, pozbawiając go możliwości przyjmowania świętych sakramentów i uczestnictwa w nabożeństwach. Złożone dzwony leżały na ziemi i niechlubnie okrywały się pajęczyną i kurzem. Dlatego z powodu kościelnej kary, która była surową i nadzwyczaj dotkliwą, dwunastoletnia wnuczka Eleonory Akwitańskiej nie mogła poślubić przeznaczonego jej oblubieńca na ziemi francuskiej. Jej zaślubiny odbyły się w skromnym kościele na terenie Normandii - w Port-Mort, miejscowości położonej najbliżej granicy.

- Ogromnym żalem okryła mnie przedwczesna śmierć Agnes cztery lata temu. - Westchnął.

Rajmund pokiwał z udawanym zrozumieniem. On nie miał takich odczuć, kiedy umierały jego żony. Ich strata nie okrywała go żałobą, gdyż wówczas rozważał już wzięcie następnej, a w międzyczasie smakował młode i jędrne ciało kolejnej ładnej nałożnicy. Pan na Saint-Gilles nie miał poważania dla kobiet, jak również dla ich uczuć. Żona dla hrabiego była jedynie narzędziem - niezbędnym, aby zagwarantować mu zdrowego, silnego potomka zrodzonego z prawego małżeństwa, który to syn w przyszłości przejąłby należne mu władztwo nad ziemiami hrabstwa Tuluzy. Niewiast słabych, bojaźliwych nie tolerował i gardził nimi w najwyższym stopniu. Kobiet takich pozbywał się jak najszybciej. Nie były mu przydatne, nawet w łóżu sprawowały się niczym kłoda drewna, co Rajmunda na zawsze do nich zrażało. Jeno ta niewiasta mogła mieć jakąkolwiek szansę na zwrócenie na siebie uwagi hrabiego Rajmunda, która była piękna i twarda niczym jego wypolerowana na błysk zbroja kosztująca cztery duże wsie. A wówczas on z kolei mógł zaszczycić ową niewiastę czymś więcej aniżeli łaskawym spojrzeniem.

- Jak sobie radziłeś z ekskomuniką, mój panie? - zapytał króla.

- A ty?

Rajmund prychnął śmiechem, jakby Filip opowiedział mu wyjątkowo zabawną historyjkę.

- Nie utrudniało mi to życia w żaden sposób - wyznał zgodnie z prawdą.

Władca z rozbawieniem zmrużył chytre oczy. On, podobnie jak Rajmund, nie rozpaczał w podobnych sytuacjach, a przeciwnie: buntował się i pielęgnował w sobie wrogość do Kościoła i Następcy Świętego Piotra.

- Słyszałem - zaczął Rajmund z nieukrywaną wesołością - że rozkazałeś splądrować ziemie biskupów Senlis i Paryża, którzy zgodzili się posłuchać papieża i dostosować się do interdyktu.

Tego typu zachowania nie były obce również hrabiemu, gdyż znał je z własnego doświadczenia, nie wywoływały więc uczucia niesmaku.

- Jednakże posłuchałem głosu mojej rady i zdecydowałem się na rozstanie z Agnes - rzekł ze smutną miną, zdając sobie sprawę, że poddał się doradcom i papieżowi, choć tak naprawdę działał przeciwko własnemu sumieniu. - Wówczas Innocenty uchylił interdykt.

- Skoro musiałeś...

- Ale kuzynie, nadal pozostaję nieugiętym i wymagającym zwierzchnikiem prałatury Francji, którą zmuszam do lojalności. Pięć lat temu na przykład skonfiskowałem rozległe posiadłości biskupów Orleanu i Auxerre.

- Czemuś to uczynił, królu? - spytał hrabia, drapiąc się po brodzie i nie spuszczać oczu z królewskiego kuzyna.

Filip posiadał tę cenną umiejętność, że słowa z miejsca przekuwał w czyn, ale tylko w taki, który był mu na rękę. Rajmund zaś skłaniał się ku dyplomacyjnej płataninie i składaniu obietnic bez pokrycia.

- Odmówili mi pomocy zbrojnej - oświadczył. - Twardą ręką utrzymuję kontrolę nad leżącymi na mojej ziemi opactwami. Nie pozwolę, aby mi się przeciwstawiali, poza tym staram się, aby biskupami zostawali moi ludzie. Wtedy wiem, czego mogę od nich wymagać, a oni pozostają mi wierni.

- Wierność jest do czasu, najjaśniejszy panie - skwitował Rajmund.

Filip wzruszył obojętnie ramionami i odparł:

- Zatem trzeba umieć ją utrzymać podobnie jak zdrowy rozsądek.

Na powrót zajęli się jedzeniem i rozmowa zesłała na dalszy plan. Król napił się piwa, ale Rajmund poprzestał na winie.

- Obaj, najjaśniejszy panie, mamy problem z papieżem - stwierdził rzeczowo hrabia, kiedy oddzielił mięso od kości.

- Kuzynie... - Twarz króla z nagłą spoważniała, rzekłbyś, że pojawiła się na niej pewna doza irytacji. Odstawił puchar i przyglądając się badawczo Rajmundowi, sformułował tezę: -

Przypuszczam jednakże, że twój problem jest zdecydowanie poważniejszy.

Tymczasem do komnaty wśliznął się służący i po cichu stanął z boku. Król zauważył go. Skinął palcem, tym samym przyzwalając mu podejść. Ów zbliżył się bez zwłoki. Nachylił się nad królewskim uchem i wyszeptał parę słów.

- Niech wejdzie - polecił Filip August i chwycił w palce odstawiony przed chwilą puchar.

Rajmund momentalnie podniósł głowę znad pieczeni. Skierował zainteresowane spojrzenie na władcę, a następnie na uchylające się szeroko drzwi.

Niebawem jego oczom ukazała się młoda i piękna siedemnastoletnia dziewczyna, ze śmiałym, pewnym siebie spojrzeniem, o migdałowym kształcie szmaragdowych oczu. Sprężystym krokiem weszła do królewskich apartamentów. Stanęła przed królem Francji i przygięła kolana tak, że, kiedy dygała, szeroki tren sukni z lekka rozpostarł się wokół niej. Ujęła ją bez pośpiechu w dłoń i wyprostowała się z szelestem materiału, jak gdyby powstała z morskiej fali. Rozchyliła karminowe jak rozkwitający pączek róży usta w przyjemnym uśmiechu, dzięki czemu w jej gładkich policzkach ukazały się dwa rozkoszne dołeczki. Miała na sobie suknię o barwie soczystej zieleni. Błyszczący pas, dość nisko umieszczony, wydłużał gibką kibić i subtelnie podkreślał ruchy ponętnego ciała, rysującego się pod fałdami drogiej tkaniny. Zgrabnym ruchem wypielegnowanej dłoni, na której lśnił piękny złoty pierścień z cennym szafirem, odrzuciła na plecy kasztanowe, lekko kręcone włosy, które wymknęły się spod przezroczystego, cieniutkiego welonu, przytrzymanego złotym diademem dodającym jej twarzy niebagatelnego uroku i wyrazistości.

Władca Tuluzy przymrużył argusowe ślepia. Bez słowa przypatrywał się zachwycającej niewieście. Na jego obliczu pojawił się intrygujący uśmieszek, który począł się błąkać w kącikach ust.

Spojrzeniem znawcy mierzył wspaniałą postać dziewczyny, wyposażoną hojnie przez Boga we wszelkie najcenniejsze dary natury.

Filip, widząc reakcję Rajmunda, uśmiechnął się w duchu.

„Ho, ho... tej jednej mieć nie będziesz...”

- Pozwól, kuzynie, że ci przedstawię małżonkę mojego syna, Blankę, córkę kastylijskiego króla Alfonsa...

- I wnuczkę Eleonory Akwitańskiej, a siostrzenicę mojej zmarłej żony Joanny - dokończył hrabia i nie spuszczać wzroku z niewiasty obdarzonej niezwykłą urodą, rzekł z rozbijającą kurtuazją: - Miło mi cię poznać, pani.

Blanka zerkała spod wachlarza długich rzęs i z uwagą przyglądała się hrabiemu Tuluzy Rajmundowi VI. Nie miała dotąd okazji osobiście poznać królewskiego kuzyna, ale wiele niepochlebnych rzeczy zdążyła o nim usłyszeć, a teraz pragnęła skonfrontować posiadaną wiedzę z rzeczywistością.

- Mnie również miło cię poznać, hrabio - odpowiedziała dźwięcznym głosem, w którym przebijała się nuta zaciekawienia.

Młody Ludwik, syn Filipa Augusta, zachorował po ostatnim polowaniu w lasach Fontainebleau, gdzie wraz z innymi młodymi szlachcicami uganiał się szaleńczo za łaniami i jeleniami, w myśl zasady, iż polowanie przygotowuje do wojny. Teraz przyszło mu spędzać czas w sypialni, nie zaniehbując wszakże pilnych nauk pod wprawnym okiem nauczyciela, wybitnego mistrza paryskich szkół Amaury'ego z Bène²²⁰. Oboje z Blanką pobierali lekcje muzyki, literatury, a także geometrii i astronomii. Obojgu nauka sprawiała nie lada przyjemność. Przyswajali treść Pisma Świętego, łaciny, jak również niełatwe formuły używane w urzędowych dokumentach królewskiej kancelarii. Blanka umiała pięknie pisać, gdyż do doskonałości stylu przywiązywano niezwykłą wagę. Poza prozą potrafiła tworzyć urocze wiersze, które wymagały nie lada umiejętności. Nie była tak wykształconą jak Aglaonike²²¹ czy Teano²²², ale posiadała inne cenne zalety, które czyniły ją wyjątkową.

- Mój syn odpoczywa, jak mniemam? - zagadnął Filip.

Wytworna Kastyljka odwróciła zaciekawiony wzrok od Rajmunda i jego przystojnej twarzy. Skierowała go na Kapetynga.

- Owszem, najjaśniejszy panie - odpowiedziała grzecznie, pochylając głowę. - Teraz dopiero zasnął, dlatego też nie chciałam zakłócać jego snu i sama przyszłam, aby powitać waszego gościa.

- Bardzo dobrze uczyniłaś - uznał król i zaproponował synowej wspólne spożywanie wieczerzy. - Siadaj razem z nami.

Dziewczyna uprzejmie odmówiła Filipowi.

- Nie, dziękuję. Już zjadłam posiłek razem z moim mężem.

- Czy Ludwik zostanie również koronowany za twojego życia, najjaśniejszy panie? - zapytał z ciekawością hrabia Tuluzy. - Tak jak to uczynił z tobą twój ojciec?

- Nie zostanie koronowany, póki ja będę żył - odpowiedział twardo. - Wystarczy jednego króla do panowania nad wszystkimi w jednym królestwie.

Rajmund nie odrywał oczu od przyszłej królowej Francji. Z miejsca dostrzegł jej zdumiewające podobieństwo do zmarłej w marcu ubiegłego roku Eleonory Akwitańskiej.

- Jesteś, pani, bardzo podobna do mojej byłej teściowej.

- To prawda - odparła rezolutnie Blanka, uśmiechając się z zadowoleniem na wspomnienie Eleonory. - Każdy, kto miał zaszczyt poznać moją babcię, mówi dokładnie to samo. - I dodała z urzekającą łagodnością, w której jednakże można było dostrzec silny i nieugięty charakter: - Jestem bardzo szczęśliwa z tego powodu, że ją przypominam, choćby jeno wyglądem.

„I niech tak dla twego dobra pozostanie” - pomyślał pospiesznie Rajmund, łapiąc w palce kawałek mięsa z leżącego przed nim półmiska. Kiedy przełknął, zmienił wyraz twarzy i rzekł:

- Chciałbym złożyć ci, pani, wyrazy współczucia z powodu śmierci waszej pierworodnej córki.

Blanka ze smutkiem pochyliła głowę.

- Dziękuję, hrabio.

To był niezwykle bolesny dzień dla obojga młodych małżonków, kiedy ich maleńkiego dziecka nie zdołano utrzymać przy życiu. Mała istotka zgasła, nim zdołała zabłysnąć.

- Odwiedź mnie, hrabio, nim opuścisz Paryż - poprosiła, odsuwając szybko jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przykre myśli. - Chciałabym obdarować podarkami twoją urodziwą małżonkę.

- To bardzo łaskawe z twojej strony, pani - rzekł, wypijając resztki wina. Nagle, jakby właśnie uświadomił sobie, co usłyszał, zapytał otwarcie: - Skąd wiesz, że jest urodziwą?

Filip, ciekaw odpowiedzi, zerknął na synową, której pytanie hrabiego bynajmniej nie zbiło z tropu.

- Nie sądzę, hrabio, abys poślubił niewiastę, której Bóg znacząco poskąpił tego daru - rzekła przekonana o celności swojej wypowiedzi.

Kuzyni wymienili się szybkimi spojrzeniami, które jeno dla nich były zrozumiałe.

- Doskonała odpowiedź - pochwalił Rajmund i wciągając nozdrzami powietrze, przetarł zwilżone winem wąsy.

Blanka uśmiechnęła się wyzywająco.

- Nie spodziewałeś się chyba, hrabio, usłyszeć innej odpowiedzi? - odparła dumnie.

Rajmund pokręcił głową, a Kastylijka, wpatrując się w jego kłujące przenikliwością oczy, dokończyła z rozmysłem:

- Wszakże jestem wnuczką Eleonory Akwitańskiej, a zatem krwią z jej krwi.

Bądź silną, wytrwałą i nieugiętą. Zawsze!

Blanka opuściła komnatę teścia i skierowała kroki do swoich prywatnych apartamentów. Ria z wypiekami na twarzy i rozdygotaniem oczekiwała jej, spragniona wiadomości na temat hrabiego Tuluzy. Kiedy małżonka Ludwika przestąpiła próg komnaty, Ria, nie czekając, rzuciła się z natarczywymi pytaniami, które były tak niespójne i chaotyczne, że trudno było je w pierwszej chwili zrozumieć.

- Uspokój się wreszcie - zbeształa podekscytowaną pannę Mincie.
- Od kiedy hrabia pojawił się w Paryżu, nie można z tobą wytrzymać. Dlaczego tak nie szalałaś, kiedy przebywał tu Guy de Ardalais?

- Z tej prostej przyczyny, że Guy de Ardalais nie interesował mnie nigdy tak jak ciebie.

- Czyżby?

Kastylijka stanowczym ruchem dłoni uciszyła Amicie. Ria wpatrywała się w piękną twarz Blanki, z której niczego nie potrafiła wyczytać. Oczy czarnowłosej dziewczyny płonęły żądzą spalającej ją ciekawości, a ciało nieprzyzwoicie drżało. Wciągała nerwowo powietrze, a szczęście bijące z jej twarzy było aż nadto widoczne.

Tymczasem żona Ludwika, unosząc lekko suknię, usiadła w fotelu w pobliżu okna. Uśmiechnęła się pobłażliwie do osiemnastoletniej dwórki.

- Blanko, proszę... mówże... widziałaś hrabiego? - pytała błagalnie, jakby od kilku słów następczyni tronu miało zależeć jej dalsze życie.

- A cóż mam ci powiedzieć?

- Jaki on jest? - piszczła rozgorączkowana.

Mincie przysunęła się bliżej, mimo wszystko ona również była ciekawa słów Blanki.

- Wiesz przecie, jaki - odparła królewska synowa. - Moje słowa na nic się zdadzą.

Dziewczyna siedziała na podłodze, patrząc na cudną twarz swojej pani, przyszłej królowej. Zaiste, wiedziała, ale cóż z tego? Hrabia ma żonę, podobno nadobną Aragonkę, ale cóż z tego?

„To nieważne, to niczego nie zmienia - rozmyślała uporczywie z rozdygotanym sercem. - Jest mój... zawsze będzie mój! Wszak musi być jeno mój!”

- Nasza Ria zakochała się w hrabim - zaczęła prześmiewać się Mincie. - Czy hrabia wie o tym?

Ria z markotną miną spojrzała na kastylijską dwórkę Blanki. Jej radość raptownie przygasła.

„Skąd miałby wiedzieć?” – pomyślała strapiona.

- Czy hrabia pokocha naszą Rię? – Amicie nie ustępowała. – Czy pokocha? – Biegała po komnacie z rozłożonymi rękoma i wzdychając głośno, stroiła śmieszne miny. – Czy pokocha? A jeżeli nie?

- Przestań, Mincie! – zareagowała ze zniecierpliwieniem Blanka, przywołując dwórkę do porządku. – Ciekawe, co ty byś zrobiła, gdybyś zakochała się w takim mężczyźnie?

- Jak to w takim? – Ria nagle otrzeźwiała, potrząsając głową. Czarne włosy zafalowały na jej plecach, jak gdyby wpadł w nie wzburzony wiatr.

- Ja? – Mincie zaśmiała się drwiąco i machnąwszy w powietrzu ręką, powiedziała z oburzeniem: – Moja najdroższa Blanko, ja nigdy nie zakochałabym się w mężczyźnie, który ma więcej kochanek aniżeli włosów na głowie, a każdy już zdołał zauważyć, jak bujną czuprynę posiada hrabia Rajmund.

Gęsta wilgoć niespodziewanie pojawiła się w oku Rii, zrosiła jej długie, czarne rzęsy. Wyśmiewana podniosła się z podłogi i nie oglądając się za siebie, wybiegła bez słowa z komnaty, nie domykając drzwi. Jej wysoka postać skryła się momentalnie za szerokim filarem.

- Ria, wracaj! – zawołała za nią Blanka. – Ria! Ria! – Po czym zwróciła się z ostrą reprimendą do Mincie: – Widzisz, co uczyniłaś? No i czemu tak się zachowujesz?

- Popłaczę i wróci.

- Ciemno już...

- Cóż z tego? – mruknęła Mincie kąśliwie. – Hrabia ją porwie?

- A jeżeli?

Młode kobiety nie wiedziały, że obok niewieściej komnaty przechodził w tym momencie hrabia Tuluzy, który wracał z wieczery u Filipa. Mężczyzna szedł zadumany, całkowicie pogrążony w myślach. Kiedy jednak usłyszał wykrzykiwane głośno imię, raptownie przystanął. Starał się wsłuchać w kobiecą rozmowę.

- Ria? – powtórzył do siebie. – Skąd ja znam to imię? Takie dziwne... Gdzieś już je słyszałem. – Zastanowił się, ale nie potrafił

sobie przypomnieć ani miejsca, ani czasu, kiedy to mogło nastąpić. -
Ria?

- Panie, idziemy? - zapytał giermek, który zauważył po chwili, że hrabia stoi i w skupieniu wpatruje się w niedomknięte drzwi komnaty przyszłej królowej Francji.

Zapłakana dziewczyna wybiegła z pałacu. Nie namyślając się długo, skierowała kroki na zachód, gdzie aż po kres wyspy rozciągał się trójkątny obszar wypełniony pałacowymi ogrodami. Czarna ziemia pokryta była trawą i różnorodnymi ziołami, a zazielenione brzegi Sekwany oprószyły się niezliczoną ilością kwiecica, słodkiego w zapachu i malowniczego dla oka, jaśniejącego niczym gwiazdki ponad otaczającą ją roślinnością, przybladłe w odbłyску księżyca. Ria nie odczuwała strachu. Szła przed siebie wzdłuż brzegu rzeki. Księżycowa poświata, jak gdyby nastrojowa płowiejąca łuna, wskazywała drogę pośród drożyn, które zaczynały się zwężać. Burzliwe myśli pochłaniały ją całą, a łzy rozgoryczenia i żalu kapały na suknię. Wciągnęła powietrze, które odurzyło ją intensywnym zapachem rozkwitłych kwiatów i ziół. Olbrzymi żółty księżyc zawisł nisko nad pałacem na Île de la Cité, jakby lada chwila miał z hukiem runąć wprost na ziemię.

Dwórka zatrzymała się. Ten pełen ciszy krajobraz rozciągający się przed nią nie mógł przywrócić jej spokoju. W zamyśleniu spojrzała ponad siebie, na rozgwieżdżone niebo. Miała wrażenie, że gdy tylko wyciągnie ku górze dłoń, będzie mogła złapać w palce iskrzącą się gwiazdkę.

„Czy jedna z nich jest mi przeznaczona?” - pomyślała z dygoczącym sercem.

Pomimo chłodu, który nawiewał od Sekwany, ruszyła dalej. Znalazła miejsce, w którym popołudniami przy ładnej pogodzie siadywały z Blanką i Mincie na jedwabnej, haftowanej kapie i spędzały wspólnie czas, rozprawiając o miłości, najskrytszych marzeniach i walecznych rycerzach, gotowych dla królowych swoich serc na największe, niepojęte zwykłym śmiertelnikom poświęcenia.

Z tej trójki jedynie Blanka mogła mówić o spełnionej miłości, Bóg bowiem w swej nieskończonej łaskawości zesłał jej i Ludwikowi to wspaniałe uczucie, które narodziło się z łączącej ich wprzódę głębokiej przyjaźni, by następnie poprzez wzajemne rozmiłowanie połączyć się w zmysłowej namiętności. Nie bacząc na wilgoć, Ria uklękła na trawie i wzniosła ręce ku migoczącemu, rozświetlonemu gwiazdami niebu. Jej twarz była śmiertelnie poważna, ponieważ przytłoczona była niepewnością i obawą, a posępność ogarnęła duszę.

- Najświętsza Panno Maryjo! - wykrzyczała głosem rozplomienionym, z którego przebijało się szalone zakochanie i żarliwa nadzieja, albowiem w Matce Zbawiciela pokładała szczerą ufność. - Oddam ci wszystko, co mam, Przenajświętsza Panienko, oddam ci moje młode życie, ale daj mi go. Błagam, daj mi hrabiego choć na krótki czas. - Szlochając, podniosła głos, aż wybuchła nagle gorzkim płaczem. Łzy niepowstrzymanym strumieniem polały się z oczu. - Nigdy więcej o nic cię nie poproszę... Przyrzekam, Przenajświętsza Panienko, jeno daj mi go! Błagam cię, daj choć na chwilę!

- Uważaj na słowa i na pragnienia, bo kiedy się ziszczą, nie ma już odwrotu i nie przykryjesz ich innymi słowami i pragnieniami.

Ria, usłyszawszy ten głos, zerwała się jak oparzona. Nieomal omdlała z przestachu. Z niemym lękiem gwałtownie obróciła głowę w stronę, skąd dobiegł ją niespodziewany szept. Zbladła jak trup. Wytrzeszczyła oczy, usiłując dojrzeć cokolwiek, ale jedyne, co zdołała zauważyć, to niepozorna sylwetka odziana w mnisi habit. Cała w napięciu wpatrywała się w nią. Postać ta, niska i odwrócona plecami, przemknęła od kępy drzew, które rosły nieopodal, i skryła się chyłkiem za wysokimi zaroślami. Znikła w mroku nocy.

Niewiasta starła łzy z policzków. Stała z otwartymi ustami i chłoneła tę przestrożę, wypowiedzianą jakże nie w porę. Owiało ją powietrze zimne i nieprzyjemne. Nie był to nocny chłód napływający od Sekwany.



Następnego dnia, nim świt nastał, król z Rajmundem udali się do Château de Vincennes. Zamek ten został wzniesiony przez ojca Filipa, króla Ludwika VII, który zapragnął mieć w pobliskich lasach dom służący regenerowaniu sił po polowaniach. Był to jeden z ulubionych zamków królewskich w niedalekiej odległości od Île de la Cité. Filip darzył go szczególnym sentymentem, na tyle, że postanowił dokonać jego rozbudowy, lubił w nim bowiem wypoczywać oraz oddawać się rozrywkom.

Kuzyni spożyli w zamku śniadanie, po czym ruszyli na polowanie do gęstych lasów Vincennes, które nadzwyczaj bujnie rozciągały się wokół Paryża. Za nimi podążyła dziesiątka rycerzy oraz hrabia Bretanii Gwidon z Thouars²²³, chwilowo przebywający w Paryżu, osobista służba króla, giermkowie, kucharze, sokolnicy i parobkowie z królewskimi psami. Filip zapewnił kuzyna o niezmierzonej ilości zwierzyny, która żyła w królewskich lasach, czym wywołał u hrabiego Tuluzy nie lada ciekawość i drapieżną żądzę polowania.

- Kiedy wstąpiłem na tron, Henryk Młodszy Plantagenet²²⁴ podarował mi z tej okazji znaczną liczbę jeleni i łani, które zostały umieszczone na tych oto ziemiach. - Wyciągnął rękę i powiódł nią szeroko, wskazując niezmierzone połacie zielonych ostępów i lasów.

Rajmund rozejrzał się po otaczającej ich wkoło głuszy, ale poza przerzedzającą się szarością nie mógł niczego wypatrzyć. Ziemię skrywała gęsta jak mleko mgła, toteż służba brodziła w niej po kolana.

- Gdyby nie zmarł w wieku zaledwie dwudziestu ośmiu lat, czyniąc wdową moją przyrodnią siostrę Małgorzatę²²⁵, zapewne to on, a nie Ryszard, byłby tym, który przejąłby angielski tron po śmierci Henryka.

- Zapewne - mruknął hrabia, siląc się całą duszą na entuzjazm, którego, szczerze mówiąc, zawsze mu brakowało, gdy mowa była o braciach zmarłej sześć lat temu małżonki.

„Pierwszy, Wilhelm, zmarł w wieku trzech lat – rozmyślał z ironią. – Drugi, Henryk Młodszy, dwa lata przed swoimi trzydziestymi urodzinami. Trzeci, Gotfryd, zginął w turnieju poturbowany przez konie, mając tyle samo lat co zmarły trzy lata wcześniej Henryk Młodszy. Czwartemu, Ryszardowi, udało się przeżyć czterdzieści dwa lata. A ostatecznie na tronie, jako dopełnienie złowróżbnego losu Plantagenetów, ostał się najgłupszy i najbardziej próżny z synów Eleonory”.

Nie obchodzili go zmarli synowie Akwitanki, a ten jeden, który jeszcze żył i z uporem opętańca trwonił spuściznę po matce i ojcu, sprawiał póki co kłopoty Filipowi, nie jemu.

– Lubilem go, wszyscy go lubili – ciągnął Filip wspomnienie o Henryku Młodszym, nie zważając na kwaśną minę kuzyna. Zniżył głowę, żeby odsunąć zwisające z drzewa gałęzie. – Ale wahania nastroju, od nadmiernej wesołości do przytłaczającego smutku, które nader często u niego występowały, nie przypadły mi do gustu. Jego prawdziwą miłością były turnieje i szalone zabawy, co czyniło go niepoprawnym rozrzutnikiem.

Hrabia pocierał jedną wargę o drugą, nad wyraz znudzony odległymi wspomnieniami króla.

– No i taki był, najjaśniejszy panie, wspaniały, bogaty, a jak przyszło co do czego, to umarł zadłużony po same uszy.

Filip, jadący tuż przed Rajmundem, niewiele myśląc, wstrzymał konia. Odwrócił w jego stronę głowę i poczekał, aż hrabia zrówna się z nim.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał, kiedy szlachcic znalazł się przy jego boku.

– Czyżby to była tajemnica? – zdumiał się Rajmund.

– Nie. Ale skąd wiesz?

– Od Joanny. Jego towarzysze nie mieli innego wyjścia, jak sprzedać wiele wartego wierzchowca Henryka Młodszego i kupić jedzenie dla ludzi z orszaku pogrzebowego, a niektórzy musieli buty zastawić, inaczej głodowaliby. Godne to pożałowania. – Prychnął.

- Zaiste, Rajmundzie, to prawda - przyznał Filip, który w swoim czasie, podobnie jak jego ojciec, celowo knuł zdradzieckie intrygi pomiędzy synami a ich ojcem Henrykiem Plantagenetem, starając się jak najwięcej korzyści wyciągnąć dla francuskiego królestwa. - Opat zaś z własnej kiesy opłacił świece na mszy za zbawienie duszy zmarłego.

Orszak zbliżył się do wielkiej polany pośrodku lasu. Filip rozkazał rozbić w tym miejscu obozowisko. Hrabia, chcąc okazać Filipowi wdzięczność za wszystkie starania, jakie ten podejmował, by uprzyjemnić mu pobyt w Paryżu, rzekł z wymuszonym zainteresowaniem:

- Powiedz mi coś więcej, najjaśniejszy panie, sprawa ta wydaje się dość interesująca. - Jego ton był monotony i bezbarwny, równie dobrze mógłby mówić, że całkiem przyjemnie siedzi mu się w siodle.

- A co do Joanny, to czy wiesz, że...?

Rajmund mimochodem, bez specjalnego zainteresowania, zerknął kątem oka na Filipa.

- Zamierzałem ją poślubić, kiedy zmarła Izabela, a ona została wdową po sycylijskim królu.

Co nieco obilo mu się o uszy, ale nie czuł potrzeby wnikania w szczegóły. Jego samego Joanna nie interesowała jako kobieta. Jego interesowało jedynie małżeństwo z nią i korzyści, jakie uzyskał w trakcie krótkiego pożycia z niewiastą z rodu Plantagenetów. Nic ponadto.

- Czemu zatem nie doszło do realizacji twoich planów, najjaśniejszy panie? - spytał bez emocji.

- Ryszard je zaprzepaścił - wyznał król, spoglądając z ukosa na kuzyna, po czym dodał spiesznie: - A szkoda, gdyż uznałem, że mogłaby być odpowiednią żoną i królową Francji. Była córką Eleonory, a zatem...

Rajmund przełknął ślinę i zamrugnął powiekami.

„Czy ja nigdy nie uwolnię się od Eleonory? - rozważał z ciężkim sercem. - Wszyscy poza mną stale ją wspominają”.

- Odebrała należyte wykształcenie w Fontevraud - ciągnął król. - I na dworze w Poitiers. Potem przez trzynaście lat żyła na wielonarodowym sycylijskim dworze, dlatego posiadała odpowiednie prerogatywy, aby zostać władczynią królestwa Francji, lecz cóż ... ostatecznie została twoją małżonką.

Filip patrzył przed siebie, dlatego nie mógł zauważyć cynicznego uśmiechu, jaki pojawił się na twarzy kuzyna.

„Zazwyczaj żałuje się tego, czego nie można było zaznać” - pomyślał Rajmund.

- Doszły mnie słuchy, jakoby Ryszard planował w swoim czasie małżeństwo Joanny z bratem Saladyna²²⁶ Malikiem al-Adilem²²⁷.

Tym razem hrabia zamienił się w słuch. O tym nikt mu nie powiedział, nawet uczynna w przekazywaniu wszelakiego rodzaju wiadomości była teściowa.

- Eleonora z miejsca poddała się urokowi panowania na wschodzie i wizji pokoju pomiędzy dwoma odmiennymi światami, które są wszelako jak słońce i księżyc. Według założeń Ryszarda małżonkowie mieli piastować władzę w Jerozolimie i mieć w posiadaniu nadbrzeżne miasta, przy czym obie strony uzgodniły, że nastąpi wymiana jeńców wojennych.

Władca Tuluzy nie okazał zdziwienia, niemniej jednak był zaskoczony nowinami, które przekazał mu Filip.

- Zakony rycerskie: templariuszy i joannitów, miały uzyskać miasta i warownie jako gwarancję dotrzymania umowy pomiędzy władcą chrześcijańskim i muzułmańskim.

- A jakże... Eleonora... Zdumiewające, że nie udało jej się doprowadzić zamysłu Ryszarda do szczęśliwego końca - zauważył z kpinką Rajmund, kiwając głową.

- Joanna postawiła twarde warunki - wyjaśnił Filip, uprzedzając ironiczną wypowiedź kuzyna. - Brat Saladyna musiałby przejść na chrześcijańską wiarę.

- Mało to prawdopodobne, aby Saracen zmienił wiarę - bąknął hrabia. Kwaśny uśmiech wykrzywił jego przystojną twarz.

- Dlatego też nie doszło do ziszczenia się planów Eleonory i Ryszarda.

- Ja zawsze obiecuję niewiastom migoczące gwiazdy z nieba, te najjaśniejsze, najbardziej iskrzące...

- I cóż? - spytał z zaciekawieniem Filip, pociągając ciemnorude końcówki wąsów.

Rajmund roześmiał się wesoło.

- Przysięgi upojnych nocy są však ważne jedynie do rana.

Filip wybuchnął śmiechem i z tego uciesznego rozbawienia klepnął się po udzie.

- Doskonale to ująłeś, kuzynie.

Tymczasem służba rozbiła dwa namioty z niebieskiego płótna wyhaftowanego w złote lilie. Były wielkie, lśniące kolorami i zdobione chorągwiami.

Kuzyni wraz z hrabią Gwidonem ruszyli w las polować na dzikiego zwierza.

- Będzie przednia zabawa - rzekł Rajmund do jadącego przy jego boku Marcela, poprawiając wodze w skórzanych rękawicach. - Polowanie dobrze nam zrobi.

„Dość tego nudnego bajania o umarłych” - pomyślał z ulgą.

- Miejmy nadzieję - odparł najemnik. - Znudził mi się Paryż, duszno tam i za głośno.

- Wkrótce wracamy, a dziś możemy popędzić za łowną zwierzyną. Dużo masz strzał?

Marcel przytaknął.

Pognali za galopującymi końmi Filipa i Gwidona.

Kiedy powrócili - zmęczeni, spoceni, ale radośni i upojeni rozrywką, śmiejąc się z pięknego zbioru, do którego zaliczał się między innymi dorodny jelen z ogromnym porożem - zajęli przygotowane przez służbę miejsca przy stole w jednym z namiotów. Przyjemnie było w ten pogodny ranek stawać z wiatrem w zawody i gnać co sił na rumakach, w pogoni za umykającymi zwinnie sarnami i jeleniami. Rajmund był odprężony i wielce ukontentowany. Jego

męskie ciało odczuwało satysfakcję z polowania i szalonej jazdy konnej do głębi zielonych dolin, poprzez pola i gęste lasy.

Kucharze przystąpili niezwłocznie do oporządzania upolowanej przez mężczyzn zwierzyny. Gdy uporali się z tą robotą, co rychlej nadziewali ją na żelazne pręty, które w następnej kolejności ustawiali na ruszcie ponad rozpalonym ogniem. Niebawem wszyscy mogli poczuć unoszący się wokół aromat pieczonej dziczyzny. Hrabia Gwidon powrócił do Paryża, a kuzyni mogli wkrótce sami rozkoszować się przygotowaną przez wytrawnych kucharzy ucztą.

Rajmund dotknął dłonią brody, jak gdyby chciał się nią pobawić, ale po chwili wahania ostatecznie odsunął rękę i ułożył ją na oparciu. Pragnął zadać królowi pytanie, mimo iż zdawał sobie sprawę, że może ono przywołać wspomnienia przykre i mało chwalebne. Chciał jednak zaspokoić swą ciekawość, w swoim czasie dotarły do niego bowiem sprzeczne informacje, które rodziły plotki, a i rozpałały wyobraźnię.

- Nie miałem okazji zapytać cię, najjaśniejszy panie, jakże ci się walczyło w Ziemi Świętej, przy boku Ryszarda - zagadnął.

Filip na dźwięk słów Ziemia Święta prychnął, jakby dostał z nagła zimnych potów.

- Nie ma o czym gadać - odparł szybko, jak gdyby pragnął o tym wszystkim zapomnieć. Zerknął w bok i skinieniem głowy przywołał służącego.

- Wina! - rozkazał i zwrócił się do hrabiego. - Ryszard był niewartym zaufania łotrem, jakby sam szatan w nim siedział...

Po smagłej twarzy Rajmunda począł się błąkać słaby uśmiezek; szerszy mógłby urazić królewskie uczucia, dlatego też hrabia w porę się pohamował. Filip i Ryszard od zawsze byli rywalami, i to na każdym polu. Nie zmieniły tego nawet uroczyste przysięgi i deklaracja, którą złożyli wspólnie przed wyruszeniem do Ziemi Świętej, że odtąd będą lojalnymi względem siebie braćmi i żaden z nich nie zwróci się przeciw drugiemu, a wszelkie zdobycze, jakie przypadną im tam w udziale, zostaną sprawiedliwie pomiędzy nich rozdzielone. Jednakże i sam Bóg wiedział doskonale, że przysięgi

braterskie posiadają tyle samo wagi, ile obietnice składane przez hrabiego Tuluzy.

- Stosunki pomiędzy nami były tak fatalne, że ten łotr ośmielił się zakpić ze mnie i gdy doniesiono mi o chorobie mojego Ludwika, Ryszard powiadomił mnie o jego śmierci. - Zipnął nerwowo.

Rajmund, nie spuszczać oczu z Filipa, westchnął i odparł:

- Gorzki to żart, mój królu.

- Zaiste - zgodził się tamten i powiedział do kuzyna z takim przygnębieniem, że uznałbyś to za słowa starego, umęczonego życiem człowieka: - Pod Akrą z powodu złego jadła poczęłem tracić włosy i paznokcie. - Wyznawał to nie bez wstydu. - Moje zdrowie było do tego stopnia osłabione, iż doradcy obawiali się o moje życie. Dziesięć dni po upadku miasta delegacja szlachciców udała się do Ryszarda i poprosiła o zwolnienie mnie z przysięgi wspólnego powrotu do domu...

- I jakiej udzielił on odpowiedzi? - zapytał hrabia z nie lada zainteresowaniem.

Król łypnął okiem na srebrny kielich wypełniony po brzegi winem, uniósł go, przyjrzał się jego rzeźbionej nóżce, którą po mistrzowsku wypieszczono rylcem, po czym postawił naczynie z powrotem na stole. Skierował na Rajmunda chłodne spojrzenie.

- Powiem ci uczciwie, kuzynie, była to pogardliwa odpowiedź. - Syknął ze wzgardą. - Ryszard uznał, że jeżeli od wyjazdu zależy moje życie, to mogę odjechać, mimo iż muszę mieć świadomość, że to wielki wstyd opuszczać wyprawę przed zdobyciem Jerozolimy.

Hrabia nie odpowiedział, jedynie pochwycił kielich, dopiero co napełniony przez służącego winem, i ugasił męczące go pragnienie. Kiedy go opróżnił, Filip począł mówić dalej:

- Opuszczając Akrę, zgodziłem się zrzec swojej części okupu, której Ryszard zażądał za uwolnienie garnizonu miasta...

- Jakaż to była kwota? - Rajmund wpadł mu w słowo.

- Zbliżona do dwustu tysięcy dinarów.

- No... całkiem sporo zażyczył sobie twój niedoszły brat, najjaśniejszy panie. - Na przejaw sarkastycznej natury Rajmunda nie trzeba było długo czekać.

Filip na tę uwagę wyrócił oczyma i kręcąc głową, odrzekł:

- Takiego brata nie życzyłbym nawet największemu wrogowi, no chyba że samemu Ryszardowi. - Parsknął złośliwie. - On to, nie mogąc doczekać się tychże pieniędzy i nie chcąc żywić jeńców, którzy nie byli mu w żadnym względzie przydatni, osobiście nadzorował rzeź dwóch tysięcy siedmiuset muzułmanów i trzech setek kobiet i dzieci. Nie oszczędził niemowląt.

- Doszły mnie wieści o okrucieństwie Ryszarda.

- Zamordowanym otwarto brzuchy - ciągnął Filip - bo szukano w nich kosztowności. Potem spalono ciała i dalej szukano złota, do upadłego przesiewając popioły.

- Krążyła pogłoska, że Ryszard był niezmordowany.

- Bez wątpienia - przyznał drwiąco Filip. - To powszechna pogłoska.

Wtem Rajmund uderzył się w udo. Przypomnił sobie coś, o czym nie powinien był zapomnieć.

- Najjaśniejszy panie, wybac, że w natłoku codziennych, niecierpiących zwłoki spraw zupełnie wyleciało mi z głowy... - Król wbił zaintrygowane spojrzenie w twarz kuzyna. - Wszak miałem ci pogratulować zdobycia Château Gaillard. To wielkie zwycięstwo! Masz się czym chlubić. Warownia, jak głośzono, była nie do zdobycia, a przynajmniej tak twierdził Ryszard i wierni mu ludzie.

Filip rozciągnął usta w szerokim uśmiechu i przechylając leniwie głowę, z widocznym ukontentowaniem słuchał hrabiowskich pochwał. Nie różnił się w tym od innych władców żądnych pochlebstw, które gładko wpadały do ucha i niczym słodkie wino zalewały umysły.

- Nie wiem, jakże ci się to udało - stwierdził Rajmund, tym razem szczerze. - Choć przyznać muszę, że chodziły słuchy, jakoby Bóg nawiedził królestwo Francji, gdyż król Ryszard umarł.

Filipowi uśmiech nie schodził z oblicza, on bądź co bądź również o tym słyszał.

- Jakieś ziarno prawdy z pewnością w tym jest - rzekł wesoło po namyśle. - Miałem szczęście, gdyż mój przeciwnik popełniał błąd za błędem - rzucił dumnie i zaczął przyglądać się wielkim pierścieniom zdobiącym palce na prawej dłoni. - Odnosiłem wrażenie, że czynił to z pełną świadomością, graniczącą z szaleństwem. - Uśmiechnął się i wyjaśnił: - Opanowałem tę twierdzę nie do zdobycia szturmem. Kazałem mym ludziom wspiąć się do zamku przez wieżę, w której znajdowały się latryny, i w ten oto sposób zdobyłem go.

- Sprytnie i mądrze. Znając twój, najjaśniejszy panie, upór, zdobędziesz kolejne terytoria Plantagenetów.

- Przy takim podejściu Jana zapewne masz rację. Rouen z kolei zdobyłem dlatego, że angielski król nie uważał za stosowne przerwać gry w szachy.

- Doprawdy?! - wykrzyknął zaskoczony Rajmund. - Niebywałe!

- Kuzynie, to jeszcze nic - rzekł, przechylając się w stronę Rajmunda, który rozbawiony uciesznymi opowiastkami o królu Anglii rozsiadł się na krześle jak na królewskim tronie. - Kiedy podszedłem pod zamek Vaudreuil, w którym Jan zgromadził zapasy i pieniądze, twierdza poddała się bez utraty choćby jednej kropli krwi, zarówno po stronie oblegających, jak i oblężonych.

- Dobrze jest nie ponosić strat.

- Jan oświadczył angielskim baronom - ciągnął król - że zamek poddał się na jego wyraźny rozkaz. Śmie rozgłaszać, że niedługo, za jednym zamachem odbierze mi to wszystko, co mu zabrałem.

Obaj kuzyni zanieśli się śmiechem nad umysłową ociężałością Plantageneta i zupełnym brakiem rozwagi z jego strony.

- Podburza jednych baronów przeciw drugim, a potem raduje się, kiedy z nienawiścią skaczą sobie do gardeł. Jest tak zazdrosny, że nie może znieść człowieka poczciwego. - Filip wzdychał, kręcąc z politowaniem głową. - Jan, którego kalectwo ducha jest bezbrzeżne,

nie jest stworzony do bycia władcą, w jego rękach kraj skazany jest na chaos.

- Ty zaś, najjaśniejszy panie, przekuwasz jego haniebne zachowania w swoje sukcesy.

Filip pochwycił kielich w dłoń, lecz nim podniósł go do ust, odpowiedział kuzynowi:

- Owszem, Rajmundzie. Zwycięstwo nad Janem w ubiegłym roku zawdzięczam również zdrowym finansom mojego królestwa, ponieważ wzięłem przykład z jego ojca.

Rajmund z pytającym spojrzeniem skierował głowę w stronę króla, a ów przystąpił do objaśnień.

- Otóż, kiedy ich stałe dochody przynosiły mniej, wówczas starali się zadbać o uzupełnienie brakującej sumy poprzez nakładanie dodatkowych podatków, na których polegali bardziej niżli na zwykłych źródłach dochodu.

- Godne to pochwały - zgodził się Rajmund z uznaniem. Zdążył już porządnie zgłodnieć, zatem z prawdziwą przyjemnością zabrał się za pierwszą porcję mięsa, którą kucharz zgrabnie odkroił z pieczonego nad ogniem udźca sarny.

Filip wziął kilka głębokich łyków i spojrzał z uwagą na pochłaniającego łapczywie jedzenie kuzyna. Wiedział, że nadszedł najlepszy czas, aby przywołać Rajmunda do porządku i przestrzec przed popełnianiem błędów, które niezmiennie były udziałem langwedockiego szlachcica. Nim jednak przystąpił do zasadniczej kwestii, postanowił przedłożyć i uświadomić hrabiemu główną zasadę swoich rządów.

- Ręka królów jest bardzo silna. Mocą uświęconego prawa muszę poskramiać zuchwalstwo i brak pokory tyranów, widząc, jak znajdują rozkosz w nieustannych grabieżach, w napastowaniu ubogich i niszczeniu kościołów. Królowie interweniują, by zapobiec podobnym wypadkom, bo jeśli im się nie przeciwstawią, tyrani poczują się jeszcze bardziej rozzuchwaleni.

Hrabia przeżuwał i udawał, że już nie ma pamięta, jak regularnie nękał opatów w klasztorze w Saint-Gilles, za co spotkała go w końcu zasłużona kara w postaci ekskomuniki, która wszakże obeszła go tyle co zmarłe małżonki.

- Jest przywilejem królów, że gdy czynią dobrze, mówi się o nich źle - rzekł, rzucając kawałek mięsa królewskim psom, które obsiadły go z każdej strony. Kiedy dostały to, czego chciały, odeszły w kąt.

Filip pochylił głowę nad głębią przekazu i przeszedł do sedna:

- Innocenty pisał do mnie w tym roku i ubiegłym.

- Nic nowego - odparł Rajmund, ciągnąc palcami kawał skóry. Kiedy oddzielił ją od mięsa, rzucił skórę największemu z myśliwskich psów, który w locie złapał ją ostrymi kłami. - Do mnie też pisuje, ale ja jego listy każę niezwłocznie wrzucać w ogień, bo tyle mnie one obchodzą.

- Nie czytasz ich?

- Nie odczuwam takiej potrzeby - odpowiedział ze spokojną nonszalancją.

- Nie jest to właściwe, kuzynie - rzekł król, krzywiąc się lekko. - Lepiej nie robić sobie z niego zaciętego wroga, kiedy nie ma po temu konieczności.

- Seneka wszak prawil: „Z możliwego zła nie ma gorszego nad opinię prostaka”.

- Rajmundzie - westchnął władca Francji - toż to następca Świętego Piotra.

- To prostak.

Służba napełniła hrabiemu puchar nową porcją wina, tym razem innego rodzaju. Rajmund ujął w palce kielich i przyłożył do ust. Pociągnął duży łyk i zrobił kwaśną minę, ponieważ było ono jak na jego gust za ostre. Sięgnął po mięso.

- Ja nie pozwalam na żaden wzrost papieskich pretensji na moich ziemiach - rzekł Filip, każąc służbie niezwłocznie dostarczyć hrabiemu inne wino. - Kiedy dwa lata temu Innocenty polecił mi zawarcie pokoju z Janem, ja, przy poparciu mojej rady, jasno oświadczyłem, że

to nie sprawa papieska, jeno feudalna, zatem problem ten nie powinien się znajdować w zakresie jego zainteresowań.

- Cóż on na to? - zapytał z ożywieniem hrabia. - Nie sądzę, by łatwo mu było pogodzić się z twoją odpowiedzią. No, macie, macie... - sapnął do psów i rzucił im odrobinę dziczyzny.

- Wystosował pismo do francuskich biskupów, w którym zaznaczył, że nie zamierza naruszać i pomniejszać moich rządów, podczas gdy ja nie powinienem hamować i ograniczać jego władzy, podejmuje on bowiem decyzje odnoszące się do grzechu, co do którego sądenie niewątpliwie należy do niego i może on, a wręcz powinien egzekwować to prawo wobec każdego.

Rajmund parsknął szyderczym śmiechem.

- Kiedy biskupi z Normandii zadali mu pytanie, za kim powinni podążać, za Janem czy za mną, on odparł, by sami podjęli decyzję.

- O... gotów jestem zmienić zdanie o naszym papieżu.

- Rajmundzie, posłuchaj mnie uważnie. - Filip ponownie przybrał poważną minę i rzekł stanowczo: - Papieskie listy są dla mnie kamieniem młyńskim u szyi. - Hrabia zamienił się w słuch, zgodnie z królewskim życzeniem. - Zamecza mnie nimi, raz atakuje, domagając się jednoznacznej odpowiedzi, innym znowuż razem błaga na wszystko, co drogie mojemu sercu, a jeszcze innym pisze o wizji dwóch mieczy, które powinny współdziałać przeciwko heretykom i ich upartym obrońcom. Napomina mnie, a nawet ośmiela się utrzymywać w nich rozkazujący ton, którego nie mogę zaakceptować.

Pan na Saint-Gilles powoli odłożył na talerz nadgryziony kawał pieczeni i po wytarciu rąk ułożył je na oparciach krzesła, po czym spojrzał z uwagą na Filipa.

- Żąda niezmiennie - kontynuował władca - bym najechał Langwedocję i zawojował krainę mieczem, a w zamian obiecuje mi ją całą.

- Obiecuje ci moje ziemie?

Filip z powagą skinął głową.

- Poza tym obiecuje wszelkie bogactwa i odpusty - oznajmił chytrze. - Nie powiem, by nie stanowiło to dla mnie pewnego rodzaju pokusy.

Rajmund argusowymi ślepiami spod ciemnych, zmarszczonych brwi w skupieniu patrzył na królewskiego kuzyna, jakby zawisł pomiędzy ciężką wściekłością a sardonicznym humorem.

- Wpierw musi mi udowodnić herezję.

- Dlatego, kuzynie, nie chcę się angażować w Langwedocji. - Król okręcał złoty pierścień wokół palca i wykladał swoje racje. - Bo, prawdę mówiąc, nie mam po temu żadnego legalnego, dającego się uzasadnić tytułu.

- Formalnie jestem twoim wasalem.

- Otóż to - przyznał Filip. - Dlatego nie uśmiecha mi się atakować cię w jakiegokolwiek formie.

Hrabia nie spuszczał wzroku z królewskiego oblicza, a Filip, po zastanowieniu, kontynuował:

- Poza tym, co jest równie ważne, nie mam tylu środków, aby prowadzić jednocześnie dwie kampanie, przeciwko tobie i przeciw Janowi, a jego muszę pokonać. To sprawa mojego honoru - wyznał. - Jednakże cokolwiek by mówić, nie życzę sobie, aby papież pouczał mnie i dyktował, co mam robić u siebie.

Szlachcic obliznął językiem usta, a potem przeczesnął palcami włosy, w dalszym ciągu nie odrywając wzroku od króla Francji.

Filip mruknął, znowuż się namyślił i przechylił głowę w bok.

- Dlatego proszę cię jako mojego kuzyna - począł szybko mówić - wyrzucić heretyków ze swoich ziem...

- Najjaśniejszy panie... - hrabia wszedł mu w słowo.

- Jeszcze nie skończyłem, Rajmundzie - przerwał król i prawił dalej. - Zaprowadź w nich ład i spokój. Nie chciałbym być złym prorokiem, ale jeżeli nie pozbędziesz się ich ze swoich posiadłości, ściągną na ciebie niebezpieczeństwo.

- Oni mi nie przeszkadzają, nazywają siebie przyjaciółmi Boga - odparł oschle Rajmund i potoczył wkoło oczyma. Postukał palcami po

stole i dokończył: - To niegodziwa intryga i szaleństwo pozbawionego skrupułów Innocentego.

- Kuzynie, nawet jeżeli jest, jak mówisz, jesteś zobowiązany zrobić z tym porządek - napomniał Filip.

- Najjaśniejszy panie, nie mogę nic zrobić.

Król wstał, przytrzymując się dłonią stołu, i przeszedł parę kroków. Zazwyczaj opanowany, chodził teraz w podnieceniach tam i z powrotem, wyjrzał z namiotu i cofnął się do środka. Wreszcie zatrzymał się przed władcą Tuluzy.

- Rajmundzie - odezwał się, rozkładając ręce w osłupieniu - nie możesz walczyć z papieżem w obronie innowierców! Ja nie zawsze będę mógł się biernie przyglądać i nie sprawię, że papież zostawi cię w spokoju. Czy to rozumiesz?

Władca Tuluzy złapał się za brodę i milczał jak skała porośnięta mchem.

- Nakazuję ci mnie posłuchać!

Hrabia pokręcił przecząco głową i odpowiedział:

- Mieszkańcy moich ziem zostali wychowani pośród, jak to mówisz, heretyków...

Filip wybałuszył oczy.

- A ty uważasz, że nimi nie są?! - wykrzyknął i z niedowierzaniem przyglądał się kuzynowi. - Jak mi Bóg miły, wszak nie można nazwać człowieka heretykiem, jeśli będzie trzymał zamknięte usta.

- W Langwedocji żyją ludzie różnych narodowości i wyznań. - Hrabia ścisnął poręcz krzesła. - Mieszkańcy moich ziem mają pośród owych dobrych chrześcijan krewnych i przyjaciół. Wszyscy widzą, że żyją oni doskonałym życiem. Jakże mogę wygnać ich z własnych domostw? Czyż nie wiesz, że prześladowanie podsyci wiarę, natomiast tolerancja niechybnie ją usypia? Jakże mogę wymagać, aby ścigali własne matki? - zapytał zgorszony, ocierając czoło. - Czy ty, najjaśniejszy panie, rozkazałabyś ścigać własną matkę?

Filip obrzucił kuzyna zde gustowanym spojrzeniem. Nabrał głęboko tchu i głośno westchnął. Ostrożnie przytrzymał dłonią swą

brodę, jak gdyby była ona ptakiem i chciała ulecieć.

- Rajmundzie, zacznijmy od tego, że moja matka nie jest heretyczką i nie zanosi się na to, aby się nią stała. Zrozumże - postulował - nie możesz prowadzić z papieżem otwartej wojny. Nie igraj z ogniem, bo cię oparzy - rzekł tonem na poły majestatycznym, na poły proszącym.

- Czy ja to czynię?

- A jakże! - potwierdził Filip August, zaskoczony pytaniem. - Wyrzucając papieskie listy bez czytania i odpowiedzi, nie prowadząc z Innocentym rozmów, nie pozbywając się heretyków!

- Wszystko to, co mówi Innocenty, jest dla mnie jeno kupą łajna zalegającą stajnie na zamku w Saint-Gilles. - Splunął na ziemię chrząstką i wyrzekł gardłowym głosem: - Jako powiadał Seneka, wywyższenie jest w dwójnasób słodkie dla tych, co nie zasługują na nie.

Król stęknął i przewrócił białkami na niewybredne wypowiedzi szlachcica. Sam jednakże sądził podobnie, kiedy Innocenty ostro go napominał i rozkazywał niezwłocznie wypełniać papieskie polecenia. Czuł się wówczas jak mały chłopiec, którego należy zbesztać za nieodpowiednie zachowanie.

- Kiedy przyjdzie pora, złamię mu grzbiet na moim kolanie - zapowiedział złowieszczo władca Tuluzy.

- Ale ta pora jeszcze nie przyszła - odparł krótko Filip i jął dalej tłumaczyć z uporem. - Rajmundzie, nie możemy tolerować heretyków. W tym względzie papież wszelako ma rację.

- Nie zgadzam się z tobą, najjaśniejszy panie - zdecydowanie zaprzeczył hrabia. - Nie lubisz, jak ci się mówi, co masz robić we własnym królestwie, a mnie w moich posiadłościach każesz robić to, co papież ci napisał i czym cię kusi?

Król nie ustępował. Wbijał uparte oczy w siostrzeńca swojego ojca i grzmiał, aż mu broda podrygiwała:

- Rajmundzie, nakazuję ci mnie posłuchać! Zatargi z Rzymem nawet dla mnie nie są wskazane, a cóż dopiero dla ciebie! Możesz

Innocentego obrzucać łąjnem ze swoich stajni, ale miej choćby odrobinę szacunku dla urzędu, który on póki co piastuje.

Pan na Saint-Gilles wciągnął nozdrzami leśne powietrze, po czym wypuścił je ustami.

- Czujesz, królu, jakie rześkie powietrze? Uwielbiam tę porę roku.

Król popadł w ciężkie i groźne milczenie. Spojrzał na zarys namiotu, a potem skierował wzrok na nieustępliwego kuzyna. Obaj wiedzieli, że uległość stwarza przyjaciół, mówienie prawdy rodzi zaś nienawiść.

Królewskie psy biegały wokół namiotów, kręciły się przy rycerzach. Wkrótce przydreptały one do kucharzy i zaczęły na nich szczekać. Nieszczęśnicy, nie mogąc sobie z nimi poradzić, odganiaли je, jak mogli, ale one, wyczuwając smakowity aromat pieczonej dziczyzny, nie dały się tak łatwo odpędzić.

Hrabia zastękał chrapliwie, jak gdyby poczuł w piersiach przytłaczający ciężar, i ostatecznie wydukał niechętnie:

- Zatem dobrze... postaram się spełnić twoją prośbę, najjaśniejszy panie.

Filip August przyjrzał się badawczo Rajmundowi, jakby usiłował odnaleźć w hrabiowskiej twarzy nieszczerość zamiarów.

- Czyżby to była kolejna obietnica, której nie będziesz miał zamiaru dotrzymać?

Ciąg dalszy nastąpi...

PODZIEKOWANIA

Na wstępie moje gorące podziękowania chciałabym skierować do jedynej Osoby na świecie, której bezwarunkowa miłość, wsparcie, życiowa mądrość i oczywiście niebagatelna cierpliwość do mnie są nieocenione pod każdym względem i choćby świat cały się walił, nigdy we mnie nie zwątpi. Zatem winna jestem nisko pochylić głowę przed moim wspaniałym Mężem, dzięki któremu mam nieograniczone możliwości, aby spełniać swoje marzenia i który zapewnia mi wszystko, co najlepsze. I to niniejszej powieści i jej dalsze części to nasza niejako wspólna praca, która była dla mnie czystą przyjemnością.

Chciałabym wyrazić szczerze podziękowania naszemu szesnastoletniemu synowi Dominikowi za jego cenne i jakże trafne uwagi, które stanowiły inspirację do kreowania nowych postaci i wzbogacania akcji poprzez jego niezawodne, śmiałe pomysły, które siłą rzeczy musiały wzbudzać moją aprobatę, uwielbiam bowiem nowatorskie, kontrowersyjne i szokujące rozwiązania. Świetnie się przy tym razem bawiliśmy. Moje zdjęcie na skrzydełku książki to również jego dzieło. Dziękuję Ci Kochanie.

Nie mogę naturalnie nie wspomnieć o naszej najmłodszej latorośli, ośmioletniej Livii, która nie może doczekać się momentu, kiedy będzie mogła w cudnych plenerach reklamować I tom mojej nowej powieści i następnych. Jej również pragnę gorąco podziękować za wszystkie starania, jakie czyniła z poprzednią moją powieścią,

jakże wspaniale, przy naszej akceptacji, promowała ją na wszystkich bez wyjątku zdjęciach, które nota bene są cudowne, i jak wiele radości oraz śmiechu przyczyniła nam w związku z tym.

Ponadto w tym miejscu nie może również zabraknąć serdecznych podziękowań dla naszego najstarszego, dwudziestosiedmioletniego syna Tobiasza, za jego wyrozumiałość i pomoc we wszystkim, o cokolwiek go poproszę a który jest całym naszym szczęściem i oparciem.

Te same podziękowania należą się niezaprzeczalnie Natalii Mamis za jej świetne opinie i sugestie, które znaczą dla mnie ogromnie dużo i zawsze biorę je sobie do serca.

Moim wspaniałym Rodzicom dziękuję za wsparcie i bezgraniczną wiarę we mnie. Mimo iż z oczywistych względów rzadko ich widuję, myślami zawsze jestem z nimi i cieszę się, że mam ich afirmację dla moich pisarskich prób. Cieszę się ogromnie, że moja mądra Mama będzie mogła przeczytać kolejną powieść osadzoną w realiach średniowiecznej Europy Zachodniej, tym razem mojego skromnego autorstwa. Będzie to dla mnie najwyższym zaszczytem, ona bowiem, podobnie jak ja, interesowała się tymże okresem historycznym przez całe swoje życie i – poza naturalnie moim Mężem – jest Osobą, na której zdaniu polegam najbardziej, a z którą mogę na ten temat porozmawiać, albowiem wiedza jej w tym temacie jest godna pozazdroszczenia.

Oczywiście w tym miejscu szczególne podziękowania należą się bez dwóch zdań R.S. Czarneckiemu, M. Monikowskiemu, A. Średzińskiej, A.B. Izdebskiemu, a także wielu następnym naukowcom, aczkolwiek, co muszę przyznać z ogromnym żalem, nie mam możliwości złożenia podziękowań wszystkim, którym bym chciała. Bez dwóch zdań winna jestem najszczerze podziękowania i wyrazy najgłębszego szacunku tak żyjącym, jak i zmarłym geniuszom, albowiem ich wkład w mediewistyczną naukę jest ponadczasowy. Zatem podaję ich słynne nazwiska: É. Berger, B. Bolton, D. Boyd, N. F. Cantor, M. Costen, J. Duvernoy, Ch. Frayling, P. Hetherington, P.

Johnson, R.I. Moore, J. H. Mundy, R. Nelli, S. O' Shea, D. Paladilhe, R. Pernoud, J. Richards, M. Roquebert, J. Sayers, N.P. Stork, J. Sumption, J.R. Strayer, Ch. Thouzellier, W.L. Wakefield. Miałam nieocenioną przyjemność tłumaczenia, a co za tym idzie skorzystania z ich ponadprzeciętnych naukowych badań oraz osiągnięć, które zaowocowały nadzwyczaj wartościowymi materiałami, a które tym są dla duszy tym, czym pokarm dla ciała, albowiem wzbogaciły one w znaczący sposób moją wiedzę historyczną i nadal niezawodnie to czynią. To niekwestionowana skarbnica - sezam z najwspanialszymi bizantyjskimi klejnotami, zatem, mówiąc krótko, są tym dla mnie, czym sklep z zabawkami i słodyczami dla dziecka. Nie będę ukrywać, że jedynie fanatycy historii średniowiecznej Europy Zachodniej, do których się bez wątpienia zaliczam, potrafią ze wszech miar docenić ich niebagatelny i fundamentalny wkład w rozwój mediewistycznej myśli i nauki.

PRZYPISY

Rok Pański 1199

¹ Morfeusz - w greckiej mitologii bóg i uosobienie marzeń sennych.

² Eleonora Akwitańska (Aliénor) - Kwietniowa Królowa; ur. w kwietniu 1122 r. w zamku Belin bądź w pałacu L'Ombrière w Bordeaux, zm. 31 marca 1204/ 1 kwietnia 1204 w opactwie w Fontevraud. Córka Wilhelma X i Aénor de la Rochefoucoud de Châtellerauld. Księżna Akwitanii, Gaskonii, hrabina Poitou. 25 lipca 1137 r. poślubiła w Bordeaux Ludwika VII, a w Boże Narodzenie w tym samym roku w katedrze Bourges została koronowana na królową Francji. W marcu 1152 r. rozwiodła się z Ludwikiem i 18 maja 1152 r. poślubiła w Poitiers Henryka II Plantageneta. 25 października 1154 r., w kilka dni po śmierci Stefana z Blois, króla Anglii, oboje mogli tytułować się królem i królową Anglii, zaś w Boże Narodzenie tego roku w opactwie Westminsterskim zostali ukoronowani na króla i królową Anglii. Ludwikowi urodziła dwie żywe córki, Henrykowi ośmioro żywych dzieci.

³ Amaria - żyła na przełomie XII/XIII w. Oddana służąca Eleonory Akwitańskiej, która towarzyszyła jej wiernie podczas piętnastu lat uwięzienia.

⁴ Elias de Malemort - arcybiskup Bordeaux w latach 1188-1207. W latach 1199 -1200 odbył z Eleonorą Akwitańską podróż do Kastylii. 23 maja 1200 r. przewodził ceremonii zaślubin Blanki Kastylijskiej i Ludwika VIII w Port-Mort (Normandia).

⁵ Jan Plantagenet (Jan bez Ziemi) - ur. 24 grudnia 1166 r. w Oksfordzie (w niektórych źródłach podawana jest data 27 grudnia), zm. 18/19 października 1216 r. Newark on Trent. Najmłodszy syn Eleonory Akwitańskiej i Henryka II Plantageneta. Król Anglii od 27 maja 1199 do 11

października 1216 r. Dwukrotnie żonaty. Pierwszą żoną była Hawisa z Gloucester; drugą Izabela z Angoulême. Posiadał pięcioro legalnych dzieci.

⁶ Henryk II Plantagenet. – ur. 05.03.1133, Le Mans, Maine, zm. 6.07. 1189, zamek Chinon, Touraine. Syn Gotfryda Pięknego V Andegawęńskiego i cesarzowej Matyldy. Hrabia Andegawenii, Maine, Nantes, księżę Normandii, pan Irlandii. Król Anglii 25. 10. 1154 – 06.07.1189. Żonaty z Eleonorą Akwitańską. Miał 8 legalnych dzieci. Dziadek Blanki Kastylijskiej.

⁷ Wilhelm Plantagenet – ur. 17 sierpnia 1153 r., zm. w 1156 r. Pierworodny syn Eleonory Akwitańskiej i Henryka II Plantageneta. Eleonora nadała dziecku imię Wilhelm na cześć swego dziadka i ojca, nie pytając męża o zgodę.

⁸ Ryszard I Plantagenet (Lwie Serce) – ur. 8 września 1157 r. w Oksfordzie, zm. 6 kwietnia 1199 r. w Châlus (Limousin). Trzeci syn Eleonory Akwitańskiej i Henryka II Plantageneta. Król Anglii w latach 1189–1199. Żonaty z Berenguelą z Nawarry. Nie posiadał dzieci z legalnego związku. Ukochany syn Eleonory Akwitańskiej. Podejrzewany o skłonności homoseksualne.

⁹ Piotr Basile – zm. w kwietniu 1199 r. Obrońca zamku Châlus, który, wystrzeliwszy bełt z kuszy, poważnie zranił króla angielskiego Ryszarda I Plantageneta, co w konsekwencji spowodowało jego śmierć. Basile poniósł śmierć w męczarniach.

¹⁰ Robert D'Arbrissel – ur. w 1045 r. w d'Arbrissel, zm. w 1117 r. w Prieuré d'Orsan. W roku 1110 założył opactwo w Fontevraud w Andegawenii, którego regułę oparł w głównej mierze na regule benedyktyńskiej. Przewodził opactwu w latach 1099–1115. Do końca swojego życia prowadził działalność misyjną na terenie całej zachodniej Francji. Beatyfikowany.

¹¹ Wilhelm le Maréchal – ur. w r. 1146/1147, zm. 14 maja 1219 w Caversham. Rycerz anglo-normandzki, jeden z najsłynniejszych rycerzy średniowiecza. Wybitny mąż stanu. Służył pięciu królom: Henrykowi II Plantagenet, jego trzem synom: Henrykowi Młodszemu, Ryszardowi Lwie Serce, Janowi Plantagenet i jego synowi Henrykowi III. W imieniu dziewięcioletniego Henryka III w roku 1216 objął regencję królestwa angielskiego i został mianowany protektorem. Żonaty z Izabelą de Clare. Miał z nią dziesięcioro dzieci.

¹² Alfonso VIII (El Noble, z hiszp. 'Szlachetny') – ur. 11 listopada 1155 w miejscowości Soria, zm. 5 października 1214 r. w Gutierre-Muñoz. Syn

Sancho III i Blanki z Nawarry. Król Kastylii w latach 1158–1214. W 1212 r. odniósł wspaniałe zwycięstwo pod Las Navas de Tolosa. Żonaty z Eleonorą Angielską Plantagenet. Miał z nią dwanaścioro dzieci.

¹³ Aelith (Aelis) z Akwitanii – ur. w 1125 r., zm. w 1193 r. Druga córka Wilhelma X i Eleonory (Aénor) de la Rochefoucauld de Châtellerauld. Młodsza siostra Eleonory Akwitańskiej. Żona Raula z Vermadois. Urodziła mu troje żywych dzieci.

¹⁴ Wilhelm X z Akwitanii – ur. w 1099 r. w Tuluzie; zm. 9 kwietnia 1137 r. podczas pielgrzymki do Santiago de Compostella. Syn Wilhelma IX z Akwitanii i Filipy, hrabiny Tuluzy. Książę Akwitanii, Gaskonii, hrabia Poitou od 1126/1127 do śmierci. Żonaty z córką kochanki ojca, Aénor de la Rochefoucauld de Châtellerauld. Miał troje dzieci z legalnego związku. Ojciec Eleonory Akwitańskiej. Pradziadek Blanki Kastylijskiej.

¹⁵ Wilhelm IX (Trubadur) – ur. 22 października 1071, zm. 10 lutego 1126 lub 1127 r. Syn Wilhelma VIII i Hildegardy z Burgundii. Książę Akwitanii, Gaskonii, hrabia Poitou. Krzyżowiec. Pierwszy europejski poeta. Uważany za pierwszego trubadura. Jako pierwszy pokazał swoje dzieła szerszej publiczności. Dwukrotnie żonaty, najpierw z Ermengardą Andegaweską, potem z Filipą z Tuluzy. Z drugą żoną miał siedmioro dzieci. Dziadek Eleonory Akwitańskiej. Prapradziadek Blanki Kastylijskiej.

¹⁶ Eleonora Młodsza Plantagenet – ur. 13 października 1162 r. w Domfront (Normandia), zm. 31 października 1214 r. w Burgos (Kastylia). Druga córka Eleonory Akwitańskiej i Henryka II Plantageneta. Żona Alfonsa VIII. Królowa Kastylii. Urodziła dwanaścioro żywych dzieci. Matka Blanki Kastylijskiej.

¹⁷ Rajmund VI de Saint-Gilles – ur. 27 października 1156 r. w Saint-Gilles, zm. 1 sierpnia 1222 r. w Tuluzie. Syn Rajmunda V i Konstancji Francuskiej, córki króla Franków Ludwika VI Grubego. Hrabia Tuluzy. Książę Narbony. Markiz Prowansji. Przywódca Langwedocji. Ekskomunikowany sympatyk Katarów. Pięciokrotnie żonaty z następującymi kobietami: 1. Ermessenda de Pelet, 2. Beatrice de Béziers, 3. Joanna Plantagenet, 4. Beatrice Komnena. 5. Eleonora Aragońska. Miał czworo lub pięcioro legalnych dzieci. W 1215 r. został formalnie pozbawiony praw przez Sobór Laterański.

¹⁸ Joanna Plantagenet – ur. w październiku 1165 r. w Anjou (Andegawenia), zm. 4 września 1199 r. w Rouen (Normandia). Najmłodsza córka Eleonory Akwitańskiej i Henryka II Plantageneta. Królowa Sycylii w latach 1177–1189. Hrabina Tuluzy od października 1196 r. do swej śmierci. Dwukrotnie

zameżna: z Wilhelmem I Sycylijskim oraz Rajmundem VI z Tuluzy. Urodziła dwoje lub troje żywych dzieci.

¹⁹ Rajmund V de Saint-Gilles – ur. w 1134 r., zm. w 1194 r. Syn Alfonsa-Jordana i Faydidy z Prowansji. Ostatni z tej linii, która otwarcie wspierała Kościół. Hrabia Tuluzy od 1148 r. do swojej śmierci w roku 1194. Żonaty z Konstancją Francuską, siostrą Ludwika VII. Miał czworo dzieci z legalnych związków.

²⁰ Filipa Matylda z Tuluzy – ur. w 1070 r., zm. 28 listopada 1117 r. Córka Wilhelma IV z Tuluzy i Emmy de Mortain. Hrabina Tuluzy. Żona Wilhelma IX Trubadura. Urodziła troje żywych dzieci. Babka Eleonory Akwitańskiej.

²¹ Ludwik VII – ur. w 1120 r., zm. 18 września 1180 r. w Paryżu. Syn Ludwika VI Grubego i Adelajdy z Maurienne. Król Francji od 1131 r. jako koregent ojca. Samodzielnie władał królestwem Franków w latach 1137–1180. Jego żonami były: 1. Eleonora Akwitańska. 2. Konstancja Kastylijska. 3. Adela z Blois. Miał sześćoro legalnych dzieci, w tym jednego syna: Filipa II Augusta.

²² Rajmund VII Saint-Gilles – ur. w lipcu 1197 r. w Château de Beaucaire, współcześnie Gard, zm. 27 września 1249 r. w Tuluzie. Syn Rajmunda VI i Joanny Angielskiej Plantagenet. Ostatni z hrabiów Tuluzy z rodu Saint-Gilles. Hrabia Tuluzy, książę Narbonne i markiz Prowansji od 1222 r. do swojej śmierci. Żonaty z Sanchą Aragońską, która była siostrą piątej żony jego ojca Eleonory Aragońskiej oraz z Małgorzatą de Lusignan. Miał jedno legalne dziecko, Joannę, dziedziczkę Tuluzy. Pochowany w opactwie Fontevraud obok swojej matki.

²³ Filip II August – ur. 21 sierpnia 1165 r. w Gonesse (Île de France), zm. 14 lipca 1223 r. w Mantes-la-Jolie (Île de France). Syn Ludwika VII i jego trzeciej żony, Adeli z Blois. Król Francji 18.09.1180 – 14.07.1223. Trzykrotnie żonaty ; 1. Izabela z Hainaut, 2. Ingeborga Duńska, 3. Agnieszka z Meranu. Miał 6 legalnych dzieci. Baronowie króla byli przywódcami krucjaty przeciw Katarom. Teść Blanki Kastylijskiej.

²⁴ Hubert Walter – ur. w roku 1159 lub 1160, zm. 13 maja 1205 r., Teynham, Kent. Syn Herveya Waltera i Maud de Valoignes. Biskup Salisbury, arcybiskup Canterbury w latach 1193–1205. Legat papieski. Królewski doradca Plantagenetów: Henryka II, Ryszarda I, Jana.

²⁵ Izaak Dukas Komnenos – ur. pomiędzy 1155 a 1160 r., zm. w 1195 lub 1196. Syn Ireny Komnenos. Król Cypru. Żonaty z królowną z Armenii, córką Thorosa II z Armenii i Béatrice de Réthel. Miał dwoje legalnych dzieci.

²⁶ Beatrice Komnena (La Damsel z Cypru) – ur. w roku 1177, zm. w 1204. Córka Izaaka Dukasa Komnenosa i królowny z Armenii, córki Thorosa II z Armenii i Béatrice de Réthel. Hrabina Tuluzy. Czwarta małżonka Rajmunda VI, hrabiego Tuluzy.

²⁷ Roger – żył na przełomie XII i XIII w. Wierny sługa Eleonory Akwitańskiej. Kapelan. Eleonora ustanowiła dla niego kapelanię w Fontevraud przy kościele Saint-Laurent.

²⁸ Konstancja Francuska – ur. w 1124 r., zm. w 1176 r. Córka Ludwika VI Grubego i jego drugiej żony Adelajdy de Maurienne. Dwukrotnie zamężna. Pierwszym mężem był Eustachy IV, hrabia Boulogne; drugim Rajmund V, hrabia Tuluzy. Hrabina Boulogne w latach 1140–1153, hrabina Tuluzy w okresie 1154–1165. Urodziła piątkę żywych dzieci. Matka Rajmunda VI.

²⁹ Piotr Abelard – ur. w 1079 r. w Le Pallet (Nantes, Bretania), zm. 21 kwietnia 1142 r., Chalon-sur-Saône, (Burgundia-Franche-Comté). Syn rycerza o imieniu Berenger. Wybitny filozof, humanista, znawca siedmiu sztuk wyzwolonych, teolog, poeta oraz arcyznakomity logik. Bliscy mu byli autorzy łacińscy: Wergiliusz, Owidiusz, Lukan. Jego nauki dały podwaliny pod rozwój szkolnictwa w Europie. Romans z Heloizą, z którą miał dziecko, Piotra Astrolabiusza, zakończył się kastracją filozofa. Autor przepięknych listów do Heloizy. Oskarżany o herezję.

³⁰ Owidiusz – ur. 20 marca 43 r. p.n.e. w Sulmonie (Abruzja); zm. w 17 lub 18 r. n.e. w Tomi (Rumunia). Jeden z najwybitniejszych rzymskich poetów.

³¹ Bledhri – celtycki pieśniarz przebywający na dworze ojca Eleonory Akwitańskiej. Prawdopodobnie pochodził z Irlandii albo z Walii.

³² Cercamon – ur. 1135, w Gaskonii. Jeden z pierwszych trubadurów. Twórca planh i tenso.

³³ Opat Suger – ur. w 1081 r., zm. 13 stycznia 1151 r. Opat Saint-Denis, Île de la Cité, wybitny i szlachetny mąż stanu, historyk oraz patron sztuki. Przyjaciel i doradca królów Ludwika VI i Ludwika VII. Około roku 1137 postanowił przebudować bazylikę św. Dionizego w Saint Denis. Nowa struktura katedry została ukończona i dedykowana Ludwikowi VII 11 czerwca 1144 r.

³⁴ Bernard z Clairvaux – ur. w 1090 r. w Fontaine-lès-Dijon (Burgundia-Franche-Comté), zm. 20 sierpnia 1153 r. w Clairvaux (Szampania – Ardeny). Zakonnik cysterski, teolog, filozof, mistyk, święty kościoła katolickiego, ewangelickiego i anglikańskiego. Doradca króla Ludwika VII. Próbował walczyć z herezją katarską, ale nie odniósł na tym polu żadnych sukcesów. Toczył zaciekle spory z Piotrem Abelardem.

³⁵ Amauberge (La Dangerosa, La Maubergeonne) de l'Isle Bouchard – ur. w 1079 r., zm 7 października 1151 r. w Indre-et-Loire (Centralna Francja). Córka Bartolomeusza de l'Isle Bouchard i Gerbergi de Blaison (de Terrasson). Małżonka Aymerica I de la Rochefoucauld Viscount de Châtellerault, któremu urodziła troje żywych dzieci. Wieloletnia kochanka Wilhelma IX (Trubadura). Urodziła mu troje żywych dzieci.

³⁶ Św. Jakub Większy – ur. w Betsaidzie (Galilea), zm. w 43 lub 44 r. w Judei. Syn Zebedeusza i Salome. Brat Jana Ewangelisty. Męczennik. Święty Kościoła katolickiego, koptyjskiego, ormiańskiego, prawosławnego, anglikańskiego, ewangelickiego oraz starokatolickiego. Szczególnie czczony w Hiszpanii i Portugalii.

³⁷ Marx Mercadier – zm. 9 lub 10 kwietnia 1200 r., słynny oksytański wojownik, dowódca łuczników i najemników. Służył Ryszardowi I (Lwie Serce) i Eleonorze Akwitańskiej.

Rok Pański 1200

³⁸ Castillo – z hiszp.: 'zamek'.

³⁹ Leonor – z hiszp.: 'Eleonora'.

⁴⁰ Martín II López de Pisuerga – zm. 28 sierpnia 1208 r. w Toledo. Syn Lope Diaza de Fitero. Kastylijski duchowny i przywódca wojskowy. Doradca króla Kastylii, Alfonsa VIII. Biskup Sigüenzy w latach 1186–1191. Arcybiskup Toledo w latach 1192–1208. Nazywany Wielkim.

⁴¹ Jehuda ibn Esra – żydowski doradca finansowy Alfonsa VIII.

⁴² Rachel ibn Esra (La Ferosa, z hiszp. 'Piękna') – ur. w 1165 r., zm. w 1195 r. w Gutierre-Muñoz (Ávila, Kastylija). Córka Jehudy ibn Esra. Wieloletnia żydowska kochanka Alfonsa VIII.

⁴³ ¡Vete al diablo! – hiszp. 'Idź do diabła!'

⁴⁴ Zakaz wydany przez króla, który obowiązywał po wypadku biskupa Tarragony.

⁴⁵ Giraut de Borneil – ur. w 1138 r. w Bourney (Akwitania), zm. w 1215 r. Średniowieczny trubadur.

⁴⁶ Guiraut de Calanso – średniowieczny trubadur pochodzący z Gaskonii.

⁴⁷ Raimon de Miraval – ur. Między rokiem 1135 z 1160, zm. w 1220. Średniowieczny trubadur.

⁴⁸ Peire Vidal – ur. w 1175 r., zm. w 1205 r. w Tuluzie (Langwedocja). Średniowieczny trubadur.

⁴⁹ Urraka z Kastylii – ur. w 1186 r., zm. 10 listopada 1220 r. w Coimbrze (Portugalia). Córka Alfonsa VIII i Eleonory Angielskiej Plantagenet.

Królowa Portugalii. Żona Alfonsa II z Portugalii. Urodziła pięcioro żywych dzieci.

⁵⁰ ¡Déjalo! – z hiszp.: ‘Zostaw to!’.

⁵¹ Tamar – postać biblijna z Księgi Rodzaju (Stary Testament). Podwójna synowa Judy i jednocześnie matka dwóch jego synów, Peresa i Zeraha.

⁵² Artur Plantagenet (Pogrobowiec) – ur. 29 marca 1187 r., zm. 3 kwietnia 1203 r. Syn Gotfryda II Plantageneta i Konstancji z Bretanii. Książę Bretanii w latach 1196–1203.

⁵³ Konstancja z Bretanii – ur. w 1161 r., zm. 5 września 1201 r. w Nantes (Bretania). Córnka Conana IV i Małgorzaty ze Szkocji. Trzykrotnie zamężna, a jej mężami byli: 1. Gotfryd II Plantagenet, 2. Ranulph de Blondville, 3. Gwidon z Thouars. Księżna Bretanii w okresie 1166–1196. Abdykowała na rzecz syna Artura Plantageneta. Urodziła sześcioro żywych dzieci. Zmarła na trąd.

⁵⁴ Pedro Manrique de Lara – zm. w styczniu 1202 r. Syn Manrique Pereza de Lara i Ermessendy de Narbona. Doradca Alfonsa VIII. Trzykrotnie żonaty z następującymi kobietami: 1. Sancha Garces, 2. Margarita de Hundington, 3. Mafalda. Miał czworo dzieci pochodzących z legalnych związków.

⁵⁵ Ludwik VIII (Lew) – ur. 5 września 1187 r. w Paryżu (Île de France), zm. 8 listopada 1226 r. w Château de Montpensier (Auvergne). Syn Filipa II Augusta i jego pierwszej żony Izabeli z Hainaut. Król Francji w latach 1223–1226. Żonaty z Blanką Kastylijską. Blanka urodziła mu czternaścioro żywych dzieci.

⁵⁶ Baldwin z Canterbury – ur. ok. 1125 r. w Exeter, zm. 19 października 1190 r. w okolicach Akky. Syn Hugh’a d’Eu, archidiakona Totnes, i nieznaney z imienia kobiety, która została później siostrą zakonną. Arcybiskup Canterbury w okresie od grudnia 1184 r. do swojej śmierci. Wierny przyjaciel Plantagenetów. Po swej intronizacji zwrócił się z prośbą do Henryka II o złagodzenie niewoli Eleonorze Akwitańskiej.

⁵⁷ Achilles – w mitologii greckiej Heros i bohater wojny trojańskiej.

⁵⁸ Rajmund z Poitiers – ur. w 1105 r., zm. 29 czerwca 1149 r. w Inab. Syn Wilhelma IX z Akwitanii i Filipy, hrabiny Tuluzy. Władca Antiochii w latach 1136–1149. Żonaty z Konstancją, księżną Antiochii. Miał czworo dzieci z legalnego związku.

⁵⁹ Konstancja de Hauteville – ur. w 1127 r., zm. w 1163 r. Córnka Boemunda II i Alicji, córki Baldwina II. Księżna Antiochii w latach 1130–1163. Małżonka: 1. Rajmunda z Poitiers, 2. Renalda de Châtillon. Urodziła pięcioro lub sześcioro żywych dzieci.

⁶⁰ Konstancja Kastylijska – ur. w 1136 r., zm. 4 października 1160 r. w Paryżu. Córka Alfonsa VII i Berengueli z Barcelony. Druga żona Ludwika VII. Królowa Francji. Urodziła dwie żywe córki.

⁶¹ Adela z Blois – ur. w 1140 r., zm. 4 czerwca 1206 r. w Paryżu. Córka Tybalda II Wielkiego i Matyldy z Karyntii. Trzecia żona Ludwika VII. Królowa Francji. Urodziła dwoje żywych dzieci. Matka Filipa II Augusta.

⁶² Karol Wielki – ur. w 743 lub 747 r., zm. 28 stycznia 814 r. w Akwizgranie. Syn Pepina Krótkiego i Betrady z Laon. Król Franków od 24 września 768 do śmierci. Cesarz rzymski od 25 grudnia 800 r., także do śmierci. Żonaty pięciokrotnie; jego żonami były kolejno: 1. Himiltruda, 2. Gerperga, 3. Hildegarda, 4. Fastrada, 5. Luitgarda. Miał dwanaścioro legalnych dzieci.

⁶³ Gotfryd II Plantagenet – ur. 23 września 1158 r. w Anglii, zm. 19 sierpnia 1186 r. w Paryżu. Czwarty syn Henryka II Plantageneta i Eleonory Akwitańskiej. Książę Bretanii w okresie 1181–1186. Żonaty z Konstancją z Bretanii. Miał troje dzieci z legalnego związku.

⁶⁴ Hugo z Lincolnu – ur. między rokiem 1135 a 1140 w zamku Avalon (Owernia); zm. 16 listopada 1200 r. w Londynie. Syn Wilhelma, pana na Avalonie, i Anny de Theys. Francuski szlachcic. 21 września 1186 r. konsekrowany na biskupa Lincolnu w Westminsterze. Angielski święty.

⁶⁵ Piotr z Blois – ur. w 1130, zm. w 1211 r. Pochodził z drobnej bretońskiej szlachty. Francuski mnich, teolog, poeta. Sekretarz Henryka II Plantageneta. Był w jego królewskiej służbie jako dyplomata w negocjacjach z Rzymem i z Ludwikiem VII. W późniejszych latach sekretarz Eleonory Akwitańskiej. Archidiakon Bath w hrabstwie Somerset.

⁶⁶ Celestyn III – Giacinto Bobone. Ur. w 1105 r. w Rzymie, zm. 8 stycznia 1198 r. w tymże mieście. Papież w okresie 21 marca 1191 – 8 stycznia 1198.

⁶⁷ Berenguela z Kastylii (la Grande – Wielka) – ur. w 1180 r. w Burgos, zm. 8 listopada 1246 r. w klasztorze Santa María la Real de Las Huelgas. Najstarsza córka Alfonsa VIII i Eleonory Angielskiej Plantagenet. Królowa Kastylii w okresie 6 czerwca – 31 sierpnia 1217 r. Wcześniej królowa Leonu w latach 1197–1204. Małżonka Konrad II, księcia Szwabii, oraz Alfonsa IX, króla Leonu i Galicji. Urodziła Alfonsowi IX pięcioro żywych dzieci.

⁶⁸ Alfonso IX – ur. 15 sierpnia 1171 r. w Zamorze, zm. 23/24 września 1230 r. Jedyne dziecko króla Ferdinanda II z Leónu i Urraki z Portugalii. Król Leónu i Galicji od śmierci ojca Ferdinand II w 1188 r. do własnej śmierci. Żonaty z następującymi kobietami: 1. Teresa z Portugalii, z którą miał troje dzieci,

2. Berenguela z Kastylii, z którą miał pięcioro dzieci. Ponadto pięć lub sześć kochanek urodziło mu w sumie dziesięcioro dzieci.

⁶⁹ Blanka Kastylijska – ur. 4 marca 1188 w Palencii, zm. 26 listopada 1252 r. w Maubuisson-lès-Pontoise. Trzecia córka Alfonsa VIII Kastylijskiego i Eleonory Angielskiej Plantagenet. Ulubiona wnuczka Eleonory Akwitańskiej. Poślubiła Ludwika VIII (Lwa). Królowa Francji w latach 1223–1226. Regentka Francji w imieniu małoletniego syna Ludwika IX (Świętego) 1226–1236. Urodziła czternaścioro żywych dzieci. Jedna z najwybitniejszych władców Francji.

⁷⁰ Ludwik VI (Gruby) – ur. 1 grudnia 1081 r. w Paryżu, zm. 1 sierpnia 1137 r. w Béthisy-Saint-Pierre (północna Francja). Syn Filipa I i Bertę Holenderskiej. Król Francji w okresie 29 lipca 1108 – 1 sierpnia 1137 r. Żonaty z następującymi kobietami: 1. Lucienne de Rochefort, 2. Adelajda de Maurienne. Miał dziewięcioro dzieci z legalnych związków.

⁷¹ Gonzalo Pérez – syn Pedro Lópeza, pana de Siones w dolinie de Mena, i Sanchi Gómez. Arcybiskup Toledo w latach 1182–1191.

⁷² Blanka z Nawarry – ur. w 1133 r., zm. w 1156 r. Córka Garcii IV Odnowiciela i Małgorzaty de l’Aigle. Żona Sancho III Upragnionego. Urodziła syna, którym był przyszyły kastylijski król Alfonso VIII.

⁷³ iAsunto concluido! – z hiszp.: „Sprawa skończona”.

⁷⁴ Fernán Gutiérrez de Castro – ur. w 1180 r., zm. w 1233. Syn Gutierre Rodrígueza de Castro i Elviry Osorio. Kastylijski szlachcic wywodzący się z jednego z najmożniejszych kastylijskich rodów.

⁷⁵ Św. Gauderyk – prawdopodobnie żył ok. r. 900 w Fanjeaux (Langwedocja).

⁷⁶ Św. Saturnin – zm. w 249–251 r. Pierwszy biskup Tuluzy. Męczennik chrześcijański. Święty Kościoła katolickiego.

⁷⁷ Rajmund Roger Trencavel – ur. w 1185 r., zm. 10 listopada 1209 r. Syn Rogera II Trencavela i Azalais z Tuluzy. Wicehrabia Béziers, Albi, Carcassonne. Wasal hrabiego Tuluzy i Barcelony. Żonaty z Agnes de Montpellier. Miał syna z legalnego związku, Rajmunda II Trencavela.

⁷⁸ Piotr II z Aragonii – ur. w lipcu 1178 r. w Huesca; zm. 13 września 1213 r. w Muret. Syn Alfonsa II i Sanczy z Kastylii. Król Aragonii w okresie 1196–1213. Hrabia Barcelony jako Piotr I w latach 1196–1213. Hrabia Girony, Osony, Besalu, Cerdagne i Roussillon. Pan Montpellier w okresie 1204–1213. Żonaty z Marią de Montpellier. Miał jednego syna z legalnego związku.

⁷⁹ Bertrand de Saissac – ur. w 1165 r., zm. ok. 1240 r. Syn Huguesa I de Saissac i Brunissendy. Langwedocki hardy szlachcic. Przyjaciel

trubadurów, sympatyk katarów, heretyk. Posiadał w rodzinie wielu katarskich Doskonałych. Osobisty opiekun Rajmunda Rogera Trencavela. Mąż Guilherme. Ojciec Jourdain de Saissac.

⁸⁰ Rajmund Roger de Foix – ur. w 1152 r., zm. 27 marca 1223 r. Syn Rogera Bernarda I le Gros i Cecylii Ferrane de Trencavel. Piąty hrabia de Foix w latach 1188–1223. Najbardziej wojowniczy z langwedockiej szlachty. Brat i mąż katarskich Doskonałych. Sympatyk katarów. Charakteryzował się okrucieństwem na polu walki i godną zauważenia arogancją wobec papieża. Żonaty z Filipą de Montcada. Miał dwoje legalnych dzieci.

⁸¹ Azalais z Tuluzy (Azalais de Burlats) – ur. w 1158 r., zm. w 1199 r. Córka Rajmunda V z Tuluzy i Konstancji Francuskiej. Siostra Rajmunda VI, hrabiego Tuluzy. Małżonka Rogera II Trencavela. Matka Rajmunda Rogera Trencavela. Słynny był jej romans z Alfonsem II, królem Aragonii. Krążyły pogłoski, jakoby urodziła Aragończykowi nieślubnego syna.

⁸² Etiennette de Pennautier (La Loba – Wilczyca) – ur. w 1175 r., zm. 16 marca 1244 r. Córka Guillame’a Durbana. Małżonka Jourdaina de Cabaret. Kochanka Rajmunda Rogera de Foix. Uznawana za najpiękniejszą kobietę Langwedocji.

⁸³ Esclarmonde de Foix (La Grande – Wielka) – ur. w roku 1151 lub między 1165 a 1167 w Langwedocji; zm. w 1215 r. także w tej krainie. Córka Rogera Bernarda I le Gros i Cecylii Ferrane de Trencavel. Małżonek: Jordan III de L’Isle-Jourdain, pan na L’Isle-Jourdain. Urodziła sześcioro żywych dzieci. Wraz z innymi wysoko urodzonymi niewiastami przyjęła katarską religię w 1204 r. podczas ceremonii w Fanjeaux, stając się Doskonałą. Prowadziła katarski dom. Siostra Rajmunda Rogera de Foix.

⁸⁴ Innocenty III (Lotario dei Conti di Segni) – ur. w 1160 r. w Anagni (Lacjum), zm. 16 lipca 1216 r. w Perugii. Syn Trasimunda di Segni i Claricii Scotii. Papież od 22 lutego 1198 r. W roku 1208 zapoczątkował krucjatę przeciw katarom. W 1215 r. zwołał IV Sobór Laterański. Jeden z najstraszliwszych i najbardziej podziwianych średniowiecznych papieży.

⁸⁵ Augiasz – w mitologii greckiej król Elidy na Peloponezie.

⁸⁶ Roger II Trencavel – zm. w marcu 1194 r. Syn Rajmunda I Trencavela i Saure. Wicehrabia Carcassonne, Béziers, Razès i Albi od 1167 lub 1171 do swojej śmierci. Żonaty z Azalais de Burlats. Ojciec Rajmunda Rogera Trencavela.

⁸⁷ Pacta sunt servanda – z łac. „Umów należy dotrzymywać”.

⁸⁸ Alfonso II z Aragonii – ur. 25 marca 1157 r., zm. 25 kwietnia 1196 r. w Perpignan. Syn Ramona Berengara IV i Petroneli z Aragonii. Hrabia Barcelony w latach 1162–1196. Król Aragonii; rządy sprawował wspólnie

z matką w latach 1162–1164 i samodzielnie od roku 1164 do śmierci. Hrabia Prowansji w okresie 1167–1196. Ponadto hrabia Girony, Osony, Besalu, Cerdagne i Roussillon. Żonaty z Sanchą Kastyljską. Miał pięcioro dzieci z legalnego związku.

⁸⁹ Bernard Ato IV – zm. w 1129 r. Syn Rajmunda Bernarda Trencavela de Nîmes i Ermengardy de Carcassonne. Wicehrabia Nîmes, Carcassonne. Poślubił Cecylię de Provence, córkę Bertranda II de Provence. Miał z nią czworo dzieci.

⁹⁰ Filipa de Montcada – żyła na przełomie XII i XIII w. Córka Williama Rajmunda de Montcada i Marii de Montcada. Około roku 1189 poślubiła Rajmunda Rogera de Foix. Hrabina de Foix. Urodziła dwoje żywych dzieci. Przyjęła religię katarską, stając się Doskonałą.

⁹¹ Geoffroi de Lauroux – arcybiskup Bordeaux w latach 1135–1158. Powiernik Eleonory Akwitańskiej. Jej lojalny doradca. Przewodził uroczystości zaślubin Eleonory i Ludwika.

⁹² Filip Kapet – ur. 29 sierpnia 1116 r., zm. 13 października 1131 r. w lesie pod Paryżem. Syn Ludwika VI Grubego i Adelajdy de Maurienne.

⁹³ Diogenes z Synopy – lata życia: ok. 412 – 323 p.n.e. Syn bankiera Hikezjosa. Filozof joński. Cynik.

⁹⁴ Lucius Annaeus Seneka – ur. ok. 2 r. p.n.e. albo 2 r. n.e., zm. w 65 r. n.e. Rzymski retor, poeta, pisarz i filozof. Od 50 r. wychowawca Nerona.

⁹⁵ Kupidyn – w mitologii rzymskiej bóg i uosobienie miłości.

⁹⁶ Brandin – żył na przełomie XII i XIII wieku. Dowódca najemników, rzezimieszek; również w służbie króla angielskiego Jana Plantageneta.

⁹⁷ Manuel I Komnenus – ur. 28 listopada 1118 r., zm. 24 września 1180 r. Syn Jana II Komnenosa i Piroski z Węgier. Cesarz bizantyjski w okresie: 8 kwietnia 1143 – 24 września 1180. Żonaty z: 1. Bertą (Ireną) z Sulzbach, 2. Marią z Antiochii, córką Rajmunda z Poitiers i Konstancji z Antiochii. Manuel I miał troje dzieci z legalnych związków. Po śmierci Berty – Ireny – Manuel opisywany był jako „Ryczący Lew”, ponieważ bardzo rozpaczał po jej utracie.

⁹⁸ Berta (Irena) z Sulzbach, z rodu Babenbergów – ur. w 1110 r. w Sulzbach, zm. 29 sierpnia 1159 r. w Konstantynopolu. Córka Berengara II, hrabiego z Sulzbach, i Adelheidy z Wolfratshausen. Bizantyjska cesarzowa. Pierwsza małżonka Manuela I. Urodziła dwie żywe córki. Po jej śmierci Manuel określany był mianem „Ryczącego Lwa” z powodu smutku, jaki okazywał po utracie Berty-Ireny.

⁹⁹ Aénor de la Rochefoucauld de Châtellerauld – ur. w 1103 r. w Châtellerauld, zm. w marcu 1130 r. w Talmont-sur-Gironde (Akwitania).

Córka Aymerica I de la Rochefoucauld Viscount de Châtellerauld i Amauberge de L'Isle Bouchard. Małżonka Wilhelma X. Księżna Akwitanii. Urodziła troje żywych dzieci. Matka Eleonory Akwitańskiej.

¹⁰⁰ Wilhelm Aigret z Akwitanii - ur. w 1126 r., zm. w 1130 r. w Talmont-sur-Gironde. Najmłodsze dziecko Wilhelma X i Aénor de la Rochefoucauld de Châtellerauld. Brat Eleonory Akwitańskiej.

¹⁰¹ Aymeric I de la Rochefoucauld Viscount de Châtellerauld - ur. w 1075 r., zm. 7 listopada 1151 r. Syn Bosona II de Châtellerauld i Aleanor de Thouars. Żonaty z Amauberge de L'Isle Bouchard. Miał troje dzieci z legalnego związku. Ojciec Aénor de la Rochefoucauld de Châtellerauld, matki Eleonory Akwitańskiej.

¹⁰² Ermengarda Andegaweńska - ur. w 1067 r., zm. 1 czerwca 1147 r. Córka Fulka IV Ponurego, hrabiego Andegawenii, i Hildegardy z Beaugency. Małżonka: 1. Wilhelma X (Trubadura), 2. Alana IV, księcia Bretanii, hrabii Nantes i Rennes. Admiratorka Bernarda z Clavaux.

¹⁰³ Anaklet II - benedyktyn, antypapież w latach 1130-1138.

¹⁰⁴ Innocenty II - ur. w Rzymie, zm. 24 września 1143 r. w Rzymie. Papież od 14 lutego 1130 r. do 24 września 1143 r.

¹⁰⁵ Izabela z Hainaut - ur. 23 czerwca 1170 r., zm. 15 marca 1190 r. w Paryżu. Córka Baldwina V, hrabiego Flandrii, i Małgorzaty I Flandryjskiej. Pierwsza małżonka Filipa II Augusta. Królowa Francji od 18 września 1180 r. do 15 marca 1190 r. Urodziła troje żywych dzieci. Matka Ludwika VIII (Lwa).

¹⁰⁶ Aymar, wicehrabia Limoges - wasal Wilhelma X, którego owdowiała córka miała poślubić księcia Akwitanii.

¹⁰⁷ Eugeniusz III - Bernardo da Pisa OCist, ur. ok. 1085 r. w Pizie, zm. 8 lipca 1153 r. w Tivoli. Pierwszy papież z zakonu cystersów, w latach 15 lutego 1145-8 lipca 1153.

¹⁰⁸ Alais Francuska - ur. 4 października 1160 r. Córka Ludwika VII i jego drugiej żony Konstancji Kastylijskiej. Narzeczona Ryszarda I (Lwie Serce). Kochanka Henryka II Plantageneta, któremu miała rzekomo urodzić dzieci. Małżonka Wilhelma Talvasa, hrabiego Ponthieu, któremu urodziła troje żywych dzieci.

¹⁰⁹ Rosamunda Clifford zwana Piękną Rosamundą, a także Różą Świata - ur. w 1150 r., zm. w 1176 w Godstow Nunnery (Oxford). Córka lorda Waltera Clifforda i Małgorzaty. Legendarna nałożnica Henryka II Plantageneta.

¹¹⁰ Gotfryd V Plantagenet (Piękny) - ur. 24 sierpnia 1113 r., zm. 7 września 1151 r. w Château du Loir. Syn Fulko V Andegaweńskiego i Ermengardy

z Maine. Księżę Normandii, hrabia Andegawenii i Maine. Żonaty z Matyldą Angielską. Miał troje legalnych dzieci.

¹¹¹ Adelajda de Maurienne – ur. w 1092 r., zm. 18 listopada 1154 r. w Montmartre. Córka Humberta II, króla Sabaudii i Maurienne, i Giseli Burgundzkiej. Małżonka: 1. Ludwika VI Grubego, 2. Mateusza I Montmorency. Królowa Francji od 1115 r. do 1 sierpnia 1137 r. Urodziła Ludwikowi dziewięcioro żywych dzieci. Matka Ludwika VII. Pierwsza teściowa Eleonory Akwitańskiej.

¹¹² Matylda Angielska – ur. 7 lutego 1101 lub 1102 r. w Winchesterze, zm. 10 września 1167 r. w Rouen. Córka Henryka I, króla Anglii, i Edyty ze Szkocji. Małżonka: 1. Henryka V, cesarza rzymskiego, 2. Gotfryda V Plantageneta. Cesarzowa Świętego Cesarstwa Rzymskiego w okresie 1111–1125. Hrabina Andegawenii. Królowa Anglii od 7 kwietnia do 1 listopada 1141 r. Matka Henryka II Plantageneta. Druga teściowa Eleonory Akwitańskiej.

¹¹³ Berenguela z Nawarry – ur. w 1165 lub 1170 r., zm. 23 grudnia 1230 r. w Le Mans (Maine). Córka Sancha IV z Nawarry i Sanchy Kastyljskiej. Królowa Anglii w latach 1191–1199. Księżna Normandii i hrabina Andegawenii. Nieszczęsna małżonka Ryszarda I (Lwie Serce). Synowa Eleonory Akwitańskiej.

¹¹⁴ Rotrou z Warwick – zm. 27 listopada 1183 r. w Rouen. Czwarty syn Henryka de Beaumonta I, earla Warwick, i Małgorzaty, córki Geoffreya II de Perche. Arcybiskup Rouen w latach 1165–1183.

¹¹⁵ Transire suum pectus mundoque potiri – z łac.: Wznieść się ponad granice ludzkich możliwości i przewodzić światu.

¹¹⁶ Claricia de Scotti – ur. w 1095 r., zm. w 1148 r. Małżonka Trasimunda dei Conti. Matka Lotariusza dei Conti di Segni i Riccardo dei Conti di Segni.

¹¹⁷ Trasimundo dei Conti – ur. 1095 / 1145. Syn Pietro dei Conti. Żonaty z Claricią di Segni. Ojciec Lotariusza dei Conti di Segni i Riccardo dei Conti di Segni.

¹¹⁸ Paolo Scolari – ur. w 1130 r. w Rzymie, zm. 20 marca 1191 r. na Lateranie (Rzym). Papież Klemens III w okresie 19 grudnia 1187–20 marca 1191.

¹¹⁹ Sola ratio perfecta beatum facit – z łac.: Tylko doskonały rozum czyni człowieka szczęśliwym.

¹²⁰ Cupido dominandi cunctis affectibus flagrantior est – z łac.: Żądza władzy jest najgorętszym ze wszystkich uczuć.

¹²¹ Hildebrand - ur. w 1020 r., zm. 25 maja 1085 r. w Salerno. Papież Grzegorz VII w latach 1073-1085. Święty Kościoła katolickiego.

¹²² Arystoteles ze Stagiry - 384 - 322 p.n.e. Syn Nikomacha, który był medykiem na dworze króla macedońskiego Amynstasa (ojca Filipa II Macedońskiego i dziadka Aleksandra Wielkiego) i Faistydy. Pochodził ze Stagiry. W wieku osiemnastu lat przybył do Aten i wstąpił do Akademii Platona, w której pozostał przez dwadzieścia lat. Najzdolniejszy uczeń Platona. Powołany przez Filipa II, króla macedońskiego, na wychowawcę Aleksandra. Twórca syntezy myśli helleńskiej. Filozof starożytnej Grecji. Pisał traktaty z zakresu filozofii politycznej i moralnej.

¹²³ Św. Jan - apostoł Jezusa Chrystusa. Syn Zebedeusza i Salome. Brat Jakuba Apostoła. Według tradycji chrześcijańskiej autor Ewangelii i Apokalipsy św. Jana oraz trzech listów w Nowym Testamencie. Święty Kościoła katolickiego, ormiańskiego, koptyjskiego, prawosławnego, anglikańskiego, ewangelickiego.

¹²⁴ Św. Piotr - ur. w Betsaidzie nad jeziorem Galilejskim, zm. prawdopodobnie jesienią 64 r. w Rzymie. Chrześcijański męczennik, święty Kościoła katolickiego i prawosławnego. Apostoł. Uważany przez Kościół katolicki za pierwszego papieża.

¹²⁵ Św. Paweł - ur. ok. 5-10 r. w Tarsie w Cylicji (obecnie terytorium Turcji), zm. ok. 64-67 w Rzymie. Nawrócony faryzeusz. Autor trzynastu listów Nowego Testamentu. Święty chrześcijański, męczennik.

¹²⁶ Aaron - postać biblijna, syn Amrama i Jokebed. Pomocnik i brat Mojżesza; również brat Miriam.

¹²⁷ Mojżesz - postać biblijna, syn Amrama i Jokebed. Brat Aarona i Miriam. Według Księgi Wyjścia wyprowadził naród izraelski z niewoli egipskiej.

¹²⁸ Augustyn Aureliusz - ur. w 354 r. w Tagaście (dzisiejsza Algieria); zm. w 430 r. Syn rzymskiego poganina Patriciusa i Moniki, chrześcijanki (została kanonizowana). Pod wpływem biskupa Mediolanu Ambrożego nawrócił się i przyjął chrzest. Biskup Hippony (dzisiejsza Algieria). Ojciec i doktor Kościoła. Twórca chrześcijańskiej teologii politycznej. Filozof. Święty.

¹²⁹ Teofrast z Erezu - ur. ok. 370 r. p.n.e., zm. w 286 r. p.n.e. Syn pilśniarza Melantesa z Erezu. Filozof joński. Jego prawdziwe imię brzmiało Tyrtamos, ale Arystoteles zmienił je na Teofrast. Zmarł jako 85-letni starzec.

¹³⁰ Platon z Aten - żył w latach 427-347 p.n.e. Syn Aristona i Periktiony albo Potony; pochodził z zamożnej rodziny arystokratycznej. Jego przodkiem po mieczu był król Kodros, matka z kolei spokrewniona była

z Solonem. Urodził się w Atenach. Filozof starożytnej Grecji. Zwolennik elitaryzmu. Twórca koncepcji państwa idealnego.

¹³¹ Sokrates z Aten - ur. w 469 lub 470 r. p.n.e., zm. w 399 r. p.n.e. Syn Sofroniska, kamieniarza, i położnej Fainarety. Urodził się w Atenach, w gminie Alopeke. Filozof starożytnej Grecji. Twórca etyki politycznej. Jeden z najwybitniejszych myślicieli starożytnych.

¹³² Kleantes z Assos - lata życia 331-232 p.n.e. Urodził się w Assos. Syn Faniasa. Filozof joński. Stoik.

¹³³ Zenon z Kition - żył w latach 333-261 p.n.e. Syn Mnazeasa albo Demeasa. Pochodził z Kition na Cyprze. Filozof joński. Stoik.

¹³⁴ Konstantyn I Wielki - ur. 27 lutego ok. roku 272; zm. 22 maja 337 r. Syn Konstancjusza Chlorusa i św. Heleny. Cesarz rzymski (w latach 306-337), który jako pierwszy przeszedł na chrześcijaństwo. Żonaty z Flawią Maximą. Miał pięcioro dzieci z legalnego związku.

¹³⁵ Flavia Maxima Fausta - ur. po 290 r., zm. w 326 r. w Rzymie. Córka cesarza Maksymiana i jego drugiej żony Eutropii. Cesarzowa Rzymu w latach 307-326. Małżonka cesarza Konstantyna I. Urodziła pięcioro żywych dzieci. Matka trzech cesarzy.

¹³⁶ Proskynesis - z gr.: dosłownie „padanie na twarz”.

¹³⁷ Ferro et igni - z łac.: Żelazem i ogniem.

¹³⁸ Arnold Amaury - ur. w 1160 r., zm. 29 września 1225 r. Cysters. Opat Cîteaux. Głowa zakonu cystersów. Pełnomocnik papieża w Langwedocji, później mianowany arcybiskupem Narbone. Przywódca krucjaty przeciw katarom podczas masakry w Béziers.

¹³⁹ Piotr z Castelnau - ur. w Château-Neuf (Montpellier), zm. 14 lub 15 stycznia 1208 r. Cysters. Najbardziej antypatyczny przedstawiciel papieża w Langwedocji. Beatyfikowany przez Innocentego III. Jego gwałtowna śmierć stała się bezpośrednią przyczyną papieskiego wezwania do anihilacji katarów.

¹⁴⁰ Château - z franc.: zamek.

¹⁴¹ Raul I Vermandois - ur. w 1085 r., zm. 14 października 1152 r. Syn Hugha, hrabiego de Vermandois, i Adelajdy, hrabiny de Vermandois. Od strony ojca był wnukiem Henryka I, króla Franków. Seneszał Francji. Żonaty z: 1. Eleonorą z Szampanii, 2. Aelith z Akwitanii, siostrą Eleonory Akwitańskiej, 3. Laurette z Flanders. Miał troje dzieci z Aelith.

¹⁴² Ira furor brevis est - z łac.: Gniew jest chwilowym szaleństwem.

¹⁴³ Manifesta non egent probatione - z łac.: Oczywiste nie wymaga dowodu.

- ¹⁴⁴ Quos Deus vult perdere, prius dementat – łac.: Kogo Bóg chce zgubić, temu rozum odbiera.
- ¹⁴⁵ Dum excusare credis, accusas – łac.: Kiedy myślisz, że się usprawiedliwiasz, oskarżasz się.
- ¹⁴⁶ Peire Cardenal – ur. w 1180 r. w Le Puy-en-Velay (południowo-centralna Francja), zm. w 1278 r. Trubadur, który był uznanym kompozytorem sirventes – rymowanych pieśni, zazwyczaj piętnujących wrogów człowieka, który je zamówił. Sekretarz hrabiego Tuluzy Rajmunda VI.
- ¹⁴⁷ Animus aeger semper errat! – łac.: Chory umysł zawsze błądzi!.
- ¹⁴⁸ Gutta cavat lapidemo – łac.: Kropla drąży skałę.
- ¹⁴⁹ Księga Przysłów 18:1. Cyt biblijne za.: *Biblia Rodzinna. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Warszawa (Wydawnictwo M) 2005.
- ¹⁵⁰ Non est peccatum nisi contra conscientiam – łac.: Grzeszny jest tylko ten, kto ma świadomość grzechu.
- ¹⁵¹ Ab omni lege necessitas exempta est – łac.: Konieczność uwalnia od (szanowania) wszelkiego prawa.
- ¹⁵² Adulationi foedum crimen servitutis – łac.: W pochlebstwie tkwi zbrodnicza cecha niewoli.
- ¹⁵³ Księga Przysłów 27:1.
- ¹⁵⁴ Periander z Koryntu – lata życia: 625–585 p.n.e. Mędrzec. Syn Kypselosa z Koryntu, pochodził z rodu Heraklidów. Żonaty z Lyzidą, córką Proklesa, którą nazwał Melissą, a którą zamordował, kiedy była w ciąży. Miał z nią dwóch synów.
- ¹⁵⁵ Bertrada de Montfort – ur. ok. roku 1070, zm. 14 lutego 1117 r. w Fontevraud. Córką Szymona I de Montfort i Agnieszki, córki hrabiego Ryszarda d'Évreux. Jej małżonkami byli: 1. Fulko IV Andegaweński, 2. Filip I, król Francji. Hrabina Andegawenii. Królowa Francji w okresie 1092–1108. Pierwszemu mężowi urodziła syna, Filipowi czworo żywych dzieci.
- ¹⁵⁶ Filip I – ur. 23 maja 1052 r., zm. 29 lipca 1108 r. w Melun (Ile de France). Syn Henryka I i Anny Kijowskiej. Król Francji w latach 1059–1108. Żonaty z: 1. Bertą Holenderską, 2. Bertradą de Montfort. Miał dziewięć dzieci z legalnych związków.
- ¹⁵⁷ Berta Holenderska – ur. ok. 1055 r., zm. w 1093 r. w Montreuil (Pas-de-Calais). Córką Florisa I Holenderskiego i Gertrudy Saskiej. Małżonka Filipa I. Królowa Francji od 1072 do 1092 r. Urodziła pięć żywych dzieci.
- ¹⁵⁸ Fulko IV Andegaweński – ur. w 1043 r., zm. 14 kwietnia 1109 r. Syn Godfryda II Ferréola i Ermengardy, córki hrabiego Andegawenii Fulka III Czarnego. Hrabia Andegawenii w latach 1068–1109. Żonaty z następującymi kobietami: 1. Hildegarda de Beaugency, 2. Ermengarda,

córka Archambauda IV, pana de Bourbon, 3. Oregarda, córka Isembarda, pana de Châtellailon, 4. Bertrada de Montfort, 5. Mantie, córka Waltera I de Brienne. Miał troje dzieci z legalnych związków.

¹⁵⁹ Biskupi Saintes, Poitiers – biskupi towarzyszący Blance Kastylijskiej w podróży do Normandii.

¹⁶⁰ Żona Lota – starotestamentowa małżonka Lota, bratanka Abrahama.

¹⁶¹ Amicie – zdrobniale Mincie. Kastylijska dwórka Blanki. Często figurowała w królewskich rachunkach, hojnie obdarowywana.

¹⁶² Modlitwa św. Bernarda.

¹⁶³ Culpam poena premit comes – z łac.: Winie depcze po piętach kara.

¹⁶⁴ Chodzi o św. Pawła z Tarsu. Zob. przypis [118].

¹⁶⁵ Furor impius intus – fremet horridus ore cruento – łac.: Bezbożna furia wojny dyszy w głębi gardzieli żądnej krwi (Wergiliusz, Eneida).

¹⁶⁶ Tantal – w mitologii greckiej syn Zeusa, król Lidii.

Rok Pański 1204

¹⁶⁷ Gwilbert de Castres – ur. w 1165 r. w Castres (Langwedocja), zm. w 1240 r. Największy z Doskonałych w Langwedocji. Katarski biskup Tuluzy.

¹⁶⁸ Bernard de Simorre – żył na przełomie XII i XIII w. Doskonały. Katarski biskup.

¹⁶⁹ Raoul z Fontfroide – żył na przełomie XII i XIII w. Wywodził się z opactwa w Fontfroide. Cysters. Legat papieski.

¹⁷⁰ Księga Psalmów 36:4.

¹⁷¹ Księga Przysłów 19:1.

¹⁷² Księga Przysłów 23:12.

¹⁷³ Ewangelia wg św. Mateusza, 7:19-20.

¹⁷⁴ Księga Przysłów 26:12.

¹⁷⁵ Księga Przysłów 9:6.

¹⁷⁶ Księga Przysłów 8:33.

¹⁷⁷ Ewangelia wg św. Mateusza 4:16. Por. Księga Izajasza 9:1.

¹⁷⁸ Ewangelia według św. Mateusza 7:15.

¹⁷⁹ Księga Przysłów 8:11.

¹⁸⁰ Księga Przysłów 3:14.

¹⁸¹ Księga Przysłów 8:7-8.

¹⁸² Negotium pacis et fidei – łac.: Przedsięwzięcie pokoju i wiary.

¹⁸³ Ewangelia wg św. Mateusza 7:6.

¹⁸⁴ Księga Przysłów 26:4.

¹⁸⁵ Księga Mądrości 27:22.

- ¹⁸⁶ Księga Przysłów 15:18.
- ¹⁸⁷ Księga Przysłów 10:19.
- ¹⁸⁸ Księga Mądrości 17:1.
- ¹⁸⁹ Ewangelia wg św. Mateusza 5:34-37.
- ¹⁹⁰ Księga Izajasza 13:16.
- ¹⁹¹ Księga Izajasza 13:18.
- ¹⁹² Księga Przysłów 2:21-22.
- ¹⁹³ Księga Przysłów 1:17.
- ¹⁹⁴ Księga Psalmów 1:1.
- ¹⁹⁵ Księga Przysłów 26:2.
- ¹⁹⁶ Aude de Fanjeaux, Fays de Durfort i Rajmunda de Saint Germain – langwedockie arystokratki, które w roku 1204 w Fanjeaux wraz z Esclarmonde de Foix przyjęły Consolamentum z rąk Gwilberta de Castres, stając się Doskonałymi.
- ¹⁹⁷ Ewangelia według św. Mateusza 3:11.
- ¹⁹⁸ Ewangelia według św. Mateusza 5:39.
- ¹⁹⁹ Pierwszy List św. Jana 2:15-17.
- ²⁰⁰ Modlitwa „Ojcze nasz” w wierze katarskiej.
- ²⁰¹ Ex opere operato, non ex opere operantis – łac.: Łaska wynika z tego, co się robi, a nie z tego, kto to robi.

Rok Pański 1205

- ²⁰² Eleonora Aragońska – ur. w 1182 r., zm. w 1226 r. Córka Alfonsa II, króla Aragonii, hrabiego Barcelony, oraz Sanchy Kastyljskiej. Hrabina Tuluzy. Piąta, ostatnia małżonka Rajmunda VI, hrabiego Tuluzy. Siostra Piotra II Katolickiego. Szwagierka Rajmunda VII de Saint-Gilles.
- ²⁰³ Antystenes z Aten – lata życia: ok. 440–366 p.n.e. Pochodził z Aten. Syn Antystenesa i matki trackiej. Filozof joński. Cynik.
- ²⁰⁴ La langue d’oil – w owym czasie język mówiony używany na północy Francji. Przodek języka francuskiego.
- ²⁰⁵ Język occitan, la langue d’oc – siostra języka katalońskiego, kuzynka hiszpańskiego; spokrewnione z nią dialekty to: limousin, auvergnat, langwedocki, gaskoński, prowansalski. W języku occitan rozwijała się pierwotnie poezja trubadurów. Z biegiem czasu occitan został niemal całkowicie wyparty. Oksytański i jego kuzyni były to niegdyś języki pierwszoplanowe. La langue d’oc nie jest dialektem języka francuskiego, ale samodzielnym językiem.
- ²⁰⁶ Hipokrates – ur. ok. 460 r. p.n.e. w Kos; zm. ok. roku 370 p.n.e w miejscowości Larysa (Grecja). Grecki lekarz.

- ²⁰⁷ Enrico Dandolo – ur. ok. 1107 r., zm. w 1205 r. Najwyższy urzędnik w Republice Weneckiej w latach: 1192/1193–1205.
- ²⁰⁸ Aleksy IV Angelos – ur. w 1182 r., zm. w 1204 r. Syn Izaaka II Angelosa i Heriny Paleologiny. Cesarz bizantyjski w okresie: 1.08.1203 – 25.01.1204.
- ²⁰⁹ Agnieszka (Anna) Francuska – ur. w 1171 r., zm. po roku 1205. Córka Ludwika VII i Adeli z Blois. Cesarzowa bizantyjska od 1180 r. do listopada roku 1183 jako żona Aleksego II Komnena. Cesarzowa bizantyjska od listopada 1183 r. do 12 września 1185 r. jako żona Andronika I Komnena. Jej trzecim mężem został Teodor Branas, któremu urodziła dwie córki. Siostra Filipa II Augusta.
- ²¹⁰ Rajmund z Rabastens – ur. po roku 1160, zm. ok. roku 1215. Syn Pere Raimona I de Rabastens i Braïdy. Biskup Tuluzy do 1205 r.
- ²¹¹ Fulko z Marsylii – ur. w 1155 r., zm. 25 grudnia 1231 r. Syn kupca. Trubadur w okresie: 1180–1195. Cysterski duchowny. Od roku 1205 biskup Tuluzy. Uwieczniony przez Dantego w pieśni IX *Raju*. Wykazywał się nadzwyczajną elokwencją i bezwzględnością w zwalczaniu katarów.
- ²¹² Berenguer – żył na przełomie XII i XIII w. Opat Montearagón, Toledo. Biskup Leridy (Katalonia). Arcybiskup Narbony w latach 1191–1212.
- ²¹³ Księga Przysłów 23:5.
- ²¹⁴ Duae res homines ad maleficio impellunt: luxuria et avaritia – łac.: Dwie rzeczy ludzi ku złu prowadzą: zbytek i chciwość.
- ²¹⁵ Auri sacra fames – łac.: Przeklęta żądza złota.
- ²¹⁶ Szymon IV de Montfort – ur. między rokiem 1160 a 1165, zm. 25 czerwca 1218 r. Francuski możnowładca. Syn Szymona III de Montfort i Amicii de Baumont. Zagorzały obrońca sprawy katolickiej na Południu. Wicehrabia Carcassonne i Béziers w 1209 r.
- ²¹⁷ Ingeborga Duńska – ur. w 1175 r., zm. 29 lipca 1236 r. w Corbeil (Esonne, Île-de-France). Córka Waldemara I Duńskiego i Zofii, córki Włodzimierza Nowogrodzkiego. Druga żona Filipa II Augusta. Poślubiona 15 sierpnia 1192 r., ale koronowana dopiero w roku 1213.
- ²¹⁸ Waldemar II Duński – ur. w 1170 r., zm. 28 marca 1241 r. Syn Waldemara I Duńskiego i Zofii, córki Włodzimierza Nowogrodzkiego. Małżonki: 1. Dagmara Czeska, 2. Berenguela z Portugalii. Miał pięcioro dzieci z legalnych związków.
- ²¹⁹ Agnes z Andechs-Meran – ur. w 1172 lub 1175 r., zm. 20 lipca 1201 r. w Poissy (Île-de-France). Córka Bertolda z Meran i Agnes von Rochlitz. Królowa Francji w latach 1196–1201. Trzecia małżonka Filipa II Augusta. Urodziła troje żywych dzieci.

²²⁰ Amaury z Bène - ur. w II poł. XII w., zm. w 1206 lub 1207 r. w Paryżu. Duchowny, filozof, teolog. Jeden z mistrzów szkół paryskich, które słynęły z wysokiego poziomu i aktywności. Nauczyciel Ludwika VIII (Lwa).

²²¹ Aglaonike - żyła ok. II lub I w. p.n.e. Greczynka. Uznawana za czarownicę, jedna z pierwszych kobiet astronomów. Potrafiła przewidzieć zaćmienie Księżyca.

²²² Teano - żyła w VI w. p.n.e. Małżonka Pitagorasa. Greczynka. Filozofka. Zajmowała się matematyką, fizyką, astronomią, medycyną i pedagogiką.

²²³ Gwidon z Thouars - zm. 13 kwietnia 1213 r. w Chemillé (Maine). Syn Godfryda IV, wicehrabiego de Thouars, i Eleonory de Lusignan. Wicehrabia de Thouars. Książę Bretanii w latach 1203-1213. Żonaty z Konstancją z Bretanii. Miał z nią troje dzieci.

²²⁴ Henryk Młodszy Plantagenet - ur. 28 lutego 1155 r. w Bemondsey; zm. 11 czerwca 1183 r. w Martel (Turenia). Drugi syn Henryka II Plantageneta i Eleonory Akwitańskiej. Król Anglii, książę Normandii, hrabia Andegawenii i Maine jako koregent swojego ojca Henryka II Plantageneta, w latach 1170-1183. Małżonek Małgorzaty Francuskiej. Miał z nią jednego syna, który żył jednak tylko parę dni.

²²⁵ Małgorzata Francuska - ur. w listopadzie 1157 r., zm. w sierpniu lub wrześniu roku 1197. Pierwsza córka Ludwika VII i jego drugiej żony Konstancji Kastylijskiej. Małżonkowie: 1. Henryk Młodszy Plantagenet, 2. Bela III Węgierski. Królowa Anglii w okresie 1172-1183. Królowa Węgier w latach 1186-1196. Urodziła tylko jedno dziecko, które po kilku dniach od porodu zmarło. Przyrodnia siostra Filipa II Augusta.

²²⁶ Saladyn - ur. w 1138 r. w Tikrit (obecnie Irak), zm. 4 marca 1193 r. w Damaszku (obecnie Syria). Syn Ajjuba ibn Szaziego. Założyciel dynastii Ajjubidów. Panował w latach 1174-1193.

²²⁷ Malik al-Adil - ur. w roku 1143 lub 1144 w Baalbek (obecnie Liban) lub w 1145 r. w Damaszku (obecnie Syria), zm. 31 sierpnia w 1218 r. w Alikin (Damaszek). Młodszy brat Saladyna. Sułtan z dynastii Ajjubidów. Panował w Egipcie w latach 1200-1218.

Zabijcie wszystkich, Bóg swoich rozpozna. Tom 1 Żądza
Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-535-8

© Violetta Domagała i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paweł Pomianek
KOREKTA: Emilia Kapłan
OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES
ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.